


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



**HANS CHRISTIAN
ANDERSEN**

BAŚNIE

Copyright © by Tower Press

Wydawnictwo „Tower Press”

Gdańsk 2001

KRZESIWO

Szedł sobie drogą żołnierz: raz, dwa! Raz, dwa! Na plecach miał tornister, a u boku szablę, bo wracał właśnie z wojny do domu.

Na środku drogi spotkał starą czarownicę; była obrzydliwa, dolna warga zwisała jej aż na piersi. – Dobry wieczór, żołnierzu! – powiedziała. – Jaką piękną masz szablę, jaki duży tornister! Prawdziwy żołnierz z ciebie! Dam ci tyle pieniędzy, ile tylko zechcesz.

– Dziękuję ci, stara czarownico! – odpowiedział żołnierz.

– Widzisz tamto duże drzewo? – spytała czarownica wskazując mu drzewo stojące na uboczu. – Jest ono zupełnie puste w środku. Wdrapiesz się na jego wierzchołek, a wówczas zobaczysz otwór, przez który się wślizniesz głęboko do środka. Obwiążę cię w pasie sznurem, a kiedy zawołasz, będę cię mogła wciągnąć z powrotem na górę.

– A po cóż mam wleźć do tego drzewa? – spytał żołnierz.

– Po pieniądze! – powiedziała czarownica. – Musisz wiedzieć, mój żołnierzu, że jak wejdiesz do środka, znajdziesz się w dużym korytarzu, będzie tam jasno, bo pali się tam przeszło sto lamp. Potem zobaczysz troje drzwi. Możesz je otworzyć, klucze tkwią w zamkach. Wejdiesz w pierwsze drzwi. Tam na środku izby, na skrzyni, siedzi pies, ma on oczy jak filizanki, ale nic się nie bój. Dam ci mój fartuch w niebieskie paski, rozłożysz go na podłodze; potem podejdziesz szybko do psa, posadzisz go na fartuchu, otworzysz skrzynię i wyjmiesz tyle pieniędzy, ile zechcesz; będą to same miedziaki. Jeśli zechcesz mieć srebrne pieniądze, musisz iść do sąsiedniej izby; siedzi tam pies z oczyma jak młyńskie koła, ale nic się nie bój, posadź go na moim fartuchu i bierz pieniądze! Jeśli zechcesz złota, to możesz je także mieć, i to tyle, ile

zdołasz udźwignąć, ale musisz wejść do trzeciej izby. Pies, który siedzi na skrzyni ze złotem, ma dwoje oczu, a każde z tych oczu jest tak wielkie jak Okrągła Wieża w Kopenhadze. To jest dopiero pies! Ale nic się nie bój! Posadź go tylko na moim fartuchu, a nic ci nie zrobi; potem łap ze skrzyni tyle złota, ile ci się podoba!

– To byłoby wcale niezłe – powiedział żołnierz – ale co ci mam dać za to, stara czarownico, bo czegoś przecież na pewno będziesz chciała!

– Nie – odrzekła czarownica – nie chcę ani grosika! Przynies mi tylko stare krzesiwo, którego zapomniała moja babka, kiedy ostatni raz tam była.

– Zgoda – powiedział żołnierz. – Przewiąż mnie sznurem.

– Tu masz sznur – powiedziała czarownica – a tu mój niebieski fartuch w paski.

A więc żołnierz wlaź na drzewo, dał się spuścić na sznurze do środka i oto, jak mu wiedźma powiedziała, stał już w długim korytarzu, gdzie płonęły setki lamp.

Otworzył pierwsze drzwi. Brrr! Siedział tam pies z oczami jak filiżanki i gapił się na niego.

– Podobasz mi się, bratku – powiedział żołnierz, posadził go na fartuchu czarownicy i wziął tyle miedziaków, ile zmieściło mu się w kieszeni. Potem zamknął skrzynię, posadził na niej psa z powrotem i poszedł do drugiego pokoju. I doprawdy! Siedział tam pies z oczyma jak młyńskie koła.

– Nie patrz tak na mnie! – powiedział żołnierz. – Jeszcze cię oczy zabolą! – i posadził psa na fartuchu wiedźmy; a gdy zobaczył tyle srebra w skrzyni, wyrzucił wszystkie miedziaki i napchał sobie kieszenie i tornister samym srebrem. Potem przeszedł do trzeciej izby. Ach, to było okropne! Pies miał doprawdy dwoje oczu tak wielkich jak Okrągła Wieża w Kopenhadze, a kręciły się one w głowie niby koła.

– Dobry wieczór! – powiedział żołnierz i sięgnął do czapki, gdyż nigdy przedtem nie widział takiego psa; ale gdy mu się trochę przyjrzał, pomyślał sobie, że to wystarczy, posadził go na podłodze i otworzył skrzynię. Ach, mój Boże! Ileż tam było złota! Za te pieniądze mógł kupić całą Kopenhagę i wszystkie świnki z cukru od przekupek, wszystkich ołowianych żołnierzy i wszystkie baciki, i konie na biegunach z całego świata. To były pieniądze! Wtedy żołnierz wyrzucił wszystkie srebrne pieniądze, którymi miał napelnione kieszenie i tornister, a na to miejsce nabrał złota; wszystkie kieszenie, tornister, czapka i buty tak były pełne, że ledwo mógł się poruszać. Teraz miał pieniądze! Posadził psa z powrotem na skrzynię, zatrzasnął drzwi za sobą i zawołał w górę:

– Wyciągnij mnie teraz na górę, ty stara wiedźmo!

– A masz krzesiwo? – spytała czarownica.

– To prawda! – powiedział żołnierz – zupełnie zapomniałem! – Wrócił i zabrał krzesiwo.

Wiedźma wciągnęła go na górę i oto stał już znowu na drodze, z kieszeniami, tornistrem, butami i czapką pełnymi pieniędzy.

– Po co ci to krzesiwo? – spytał żołnierz.

– Nic ci do tego, masz pieniądze! – powiedziała wiedźma – a teraz dawaj krzesiwo!

– Gadu! Gadu! – zawołał żołnierz – w tej chwili mi powiesz, po co ci to krzesiwo! Inaczej utnę ci głowę tą szablą!

– Nie – powiedziała czarownica.

Wtedy żołnierz odrąbał jej głowę. Miała za swoje! Żołnierz zawiązał całe swoje złoto w jej fartuch, zarzucił sobie, jak węzełek, na plecy, wsadził krzesiwo do kieszeni i ruszył prosto do miasta.

Piękne to było miasto. Wstąpił tam do najpiękniejszej gospody, zażądał najlepszych pokojów i potraw, bo był przecież bardzo bogaty teraz, gdy miał tyle pieniędzy.

Służący, który wziął mu buty do czyszczenia, dziwił się co prawda trochę, że taki bogaty pan nosi takie śmieszne, stare buty, ale on nie zdążył jeszcze kupić nowych; na drugi dzień kupił sobie buty, w których można było się pokazać, i takie piękne ubranie! Teraz z żołnierza zrobił się wytworny pan. Ludzie opowiadali mu o wszystkich cudach miasta, o swoim królu i o tym, jaką śliczną księżniczką jest jego córka.

– Gdzie ją można zobaczyć? – spytał żołnierz.

– Nie można jej wcale zobaczyć – powiedzieli wszyscy razem – mieszka w wielkim, krytym miedzią pałacu, otoczonym mnóstwem murów i wież. Nikt prócz króla nie może do niej wchodzić, bo wywrócono jej, że wyjdzie za mąż za zwykłego żołnierza, a o tym król nie chce słyszeć!

„Chciałbym ją zobaczyć” – pomyślał żołnierz; ale to przecież było niemożliwe.

Tymczasem więc pędził wesołe życie, chadzał do teatru, zwiedzał ogród królewski, a biednym dawał zawsze dużo pieniędzy, co było bardzo ładnie z jego strony: pamiętał bowiem z dawnych czasów, jak to niedobrze być bez grosza!

Teraz był bogaty, miał piękne ubrania, wielu przyjaciół, którzy mówili mu, że jest dobrym człowiekiem i prawdziwym panem, a to się podobało żołnierzowi.

Ale pieniędzy wydawał codziennie dużo, a nowych nie przybywało, więc wkrótce wydał już prawie wszystko. Zostały mu tylko dwa szylingi; musiał wyprowadzić się z pięknych pokojów, w których mieszkał, zajął maleńką nędzną izdebkę na poddaszu, sam czyścił sobie buty i zeszywał je igłą do cerowania, a żaden z przyjaciół go nie odwiedzał, bo za wysoko było wchodzić.

Pewnego razu był ciemny wieczór, a żołnierz nie miał pieniędzy nawet na świecę, wtedy przypomniał sobie nagle, że w krzesiwie przyniesionym z dziupli, do której spuściła go czarownica, był mały ogarek; wyjął więc krzesiwo i ogarek, ale w tej samej chwili, gdy uderzył o krzemień, iskry posypały się z krzesiwa, drzwi otworzyły się z trzaskiem, stanął przed żołnierzem pies z oczyma jak filizanki, którego widział w dziupli drzewca, i spytał:

– Co mi rozkaże mój pan?

– A to ci historia! – powiedział żołnierz. – A to dopiero zabawne krzesiwko, mogę mieć z niego, co zechcę. Przynies mi trochę pieniędzy! – rozkazał psu, i hyc! już psa nie było! hyc! już był z powrotem i dźwigał w pysku dużą torbę pełną miedziaków!

Teraz żołnierz wiedział już, jakie to cudowne krzesiwa! Kiedy uderzał w nie raz, zjawił się pies, który siedział na skrzyni z miedziakami; gdy uderzył dwa razy, przychodził ten, który miał srebro, a za trzykrotnym uderzeniem krzesiwa zjawiał się pies, który miał złoto.

Więc żołnierz wprowadził się z powrotem do pięknych pokojów, sprawił sobie znowu śliczne stroje i znowu pamiętali o nim wszyscy jego serdeczni przyjaciele i bardzo go kochali.

Pewnego razu żołnierz pomyślał sobie: „To jest jednak śmieszne, że nie mogę zobaczyć księżniczki. Wszyscy mówią, że jest prześliczna; co z tego, kiedy wciąż siedzi zamknięta pod miedzianym dachem w zamku z tyloma wieżami? Ale gdzie jest moje krzesiwo?” Zakrzesał ognia, hyc! już stał przed nim pies z oczyma jak filizanki.

– Jest teraz co prawda północ – powiedział żołnierz – ale tak bardzo chciałbym zobaczyć księżniczkę, chociaż na chwileczkę!

Pies wypadł natychmiast za drzwi i zanim się żołnierz obejrzał, już był z powrotem, a na grzbiecie niósł księżniczkę; spała i była śliczna, że od razu można było poznać, iż jest to prawdziwa księżniczka; a żołnierz nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie pocałować, bo to był prawdziwy żołnierz.

A pies wrócił z księżniczką do zamku, a gdy nastał ranek i król i królowa pili herbatę poranną, księżniczka opowiadała, że miała tej nocy dziwny sen o psie i o żołnierzu. Pies niósł ją

na grzbiecie, a żołnierz ją pocałował.

– To byłaby dopiero ładna historia! – zawołała królowa.

Następnego nocy jedna ze starych dam dworu czuwała przy łóżku księżniczki, aby się przekonać, czy to był sen, czy też coś innego.

Żołnierz tęsknił bardzo za widokiem ślicznej księżniczki, więc pies zabrał ją znowu i biegł z nią, jak najszybciej go nogi niosły, ale stara dama dworu włożyła kalosze i biegła za nimi; gdy zobaczyła, że znikają w bramie dużego domu, pomyślała: „No, teraz już wiem, gdzie to jest”, i kawałkiem kredy nakreśliła na bramie duży krzyż. Potem wróciła do domu i położyła się z powrotem, a pies odniósł księżniczkę. Kiedy pies zobaczył, że na bramie domu, w którym mieszkał żołnierz, narysowano kredą krzyż, wziął kawałek kredy i tak samo naznaczył bramy wszystkich domów w całym mieście; było to bardzo mądre, gdyż w ten sposób dama dworu nie mogła znaleźć właściwych drzwi, ponieważ na wszystkich były krzyże.

Wczesnym rankiem król i królowa, dama dworu i wszyscy oficerowie przyszli, by zobaczyć to miejsce, gdzie była w nocy księżniczka.

– To tu! – powiedział król, gdy ujrzał pierwsze drzwi oznaczone krzyżem.

– Nie, to tu, mój drogi mężu! – powiedziała królowa wskazując drugie drzwi oznaczone krzyżem.

– Ale tu jest także krzyż, i tu, i tu! – zawołali wszyscy; gdziekolwiek spojrzeli, widzieli drzwi oznaczone krzyżem. Więc zrozumieli, że szukanie na nic się nie zda.

Ale królowa była bardzo mądrą kobietą, umiała ona nie tylko jeździć kareta.

Wzięła więc swe duże, złote nożyczki, pokrajała nimi kawałek jedwabiu na części i uszyła z nich śliczny woreczek, mieszek ten nappełniła drobną kaszą i przywiązała księżniczce na plecach, a gdy wszystko było gotowe, wycięła w woreczku otworek, tak aby kasza znaczyła całą drogę, którą będzie jechała księżniczka.

W nocy zjawił się znowu pies, wziął księżniczkę na grzbiet i pobiegł z nią do żołnierza, który ją tak bardzo kochał i tak chciał być księciem, by móc się z nią ożenić.

Pies nie zauważył wcale kaszy, która sypała się od zamku aż do okna żołnierza, dokąd dostał się po murze razem z księżniczką.

Rano król i królowa już wiedzieli, gdzie była ich córka, schwytali żołnierza i wsadzili go do więzienia.

Siedział więc. Och, jak tam było ciemno i nudno!

Powiedzieli mu: „Jutro cię powieszają”. Nie była to bardzo zabawna wiadomość, a krzesiwa zapomniał w gospodzie. Rankiem mógł widzieć przez żelazne kraty okienka lud śpieszący z miasta, aby przyglądać się, jak go będą wieszali. Słyszał werble bębnow i widział maszerujących żołnierzy. Wszyscy ludzie pędzili, a wśród nich mały szewczyk w skórzanym fartuchu i pantoflach; biegł tak szybko, że jeden pantofel spadł mu z nogi i uderzył o mur, za którym siedział żołnierz i wyglądał zza krat.

– Słuchaj, szewczyku! – zawołał żołnierz. – Nie śpiesz się tak bardzo i tak nic z tego nie będzie, póki ja nie przyjdę; jeżeli pobiegiesz tam, gdzie ja mieszkałem, i przyniesiesz mi krzesiwo, dostaniesz cztery szylingi. Ale musisz wziąć nogi za pas!

Szewczyk chciał bardzo zarobić cztery szylingi, pobiegł po krzesiwo, przyniósł je żołnierzowi, no a teraz posłuchajcie!

Za miastem zbudowano wysoką szubienicę, wokoło stali żołnierze i setki tysięcy ludzi. Król i królowa siedzieli na wspaniałym tronie, właśnie na wprost sędziów i całej rady.

Żołnierz stał już na drabinie; ale gdy mieli mu założyć stryczek na szyję, powiedział, że przecież przed wykonaniem wyroku powinno się spełnić każde niewinne życzenie grzesznika. On zaś pragnie wypalić fajkę, będzie to przecież ostatnia fajka w jego życiu.

Król nie chciał mu tego odmówić, żołnierz wyjął swe krzesiwo i zakrzesał ognia: raz! dwa! trzy! I oto już stały przed nim trzy psy: i ten z oczami jak filiżanki, i ten z oczami jak koła młyńskie, i ten z oczami jak Okrągła Wieża.

– Ratujcie mnie przed powieszeniem! – powiedział żołnierz. Wtedy psy rzuciły się na sędziów i na całą radę, schwyciły jednego za nogi, drugiego za nos i podrzucały tak wysoko w powietrze, że upadli na ziemię i rozlecieli się na kawałki.

– Nie chcę! – powiedział król, ale już największy pies schwycił i jego, i królową, i podrzucił do góry jak innych. Wtedy to przestraszyli się żołnierze i cały lud, i krzyknęli:

– Drogi żołnierzu, bądź naszym królem, weź sobie śliczną księżniczkę!

I wsadzili żołnierza do karety króla, a wszystkie trzy psy tańczyły przed nią i wołały: „Hura!”, chłopcy gwizdali na palcach, a żołnierze prezentowali broń. Księżniczka wyszła z zamku o miedzianym dachu i została królową, a to jej się bardzo podobało.

Wesele trwało cały tydzień, a psy siedziały przy stole razem ze wszystkimi i wytrzeszczały oczy.

KSIĘŻNICZKA NA ZIARNKU GROCHU

Był sobie pewnego razu książę, który chciał się ożenić z księżniczką, ale to musiała być prawdziwa księżniczka. Jeździł więc po całym świecie, żeby znaleźć prawdziwą księżniczkę, lecz gdy tylko jakąś znalazł, okazywało się, że ma jakieś „ale”. Księżniczek było dużo, jednakże książę nigdy nie mógł zdobyć pewności, że to były prawdziwe księżniczki. Zawsze było tam coś niezupełnie w porządku.

Wrócił więc do domu i bardzo się martwił, bo tak ogromnie chciał mieć za żonę prawdziwą księżniczkę.

Pewnego wieczora była okropna pogoda; błyskało i grzmiało, a deszcz lał jak z cebra; było strasznie. Nagle zapukał ktoś do bramy miasta i stary król wyszedł otworzyć.

Przed bramą stała księżniczka. Ale, mój Boże, jakże wyglądała, co uczyniły z niej deszcz i ślota! Woda spływała z włosów i sukien, wlewała się strumykiem do trzewiczków i wylewała się piętami, ale dziewczynka powiedziała, że jest prawdziwą księżniczką.

„Zaraz się o tym przekonamy” – pomyślała stara królowa, ale nie powiedziała ni słowa, poszła do sypialni, zdjęła całą pościel, na spód łóżka położyła ziarnko grochu i ułożyła jeden na drugim dwadzieścia materaców na tym ziarnku grochu, a potem jeszcze dwadzieścia puchowych pierzyn na tych materacach.

I na tym posłaniu miała spać księżniczka.

Rano królowa zapytała ją, jak spędziła noc.

– O, bardzo źle! – powiedziała księżniczka – całą noc oka nie mogłam zmrużyć. Nie wiadomo, co tam było w łóżku. Musiałam leżeć na czymś twardym, bo mam całe ciało brązowe i niebieskie od sińców. To straszne!

Wtedy mieli już pewność, że była to prawdziwa księżniczka, skoro przez dwadzieścia materaców i dwadzieścia puchowych pierzyn poczuła ziarnko grochu. Taką delikatną skórę mogła mieć tylko prawdziwa księżniczka.

Książę wziął ją za żonę, bo teraz był pewny, że to prawdziwa księżniczka, a ziarnko grochu

oddano do muzeum, gdzie jeszcze teraz można je oglądać, o ile go ktoś nie zabrał.

Widzicie, to była prawdziwa historia!

CALINECZKA

Była sobie pewnego razu kobieta, która bardzo, bardzo pragnęła mieć malutkie dziecko, ale nie wiedziała, skąd je wziąć. Poszła więc do starej czarownicy i powiedziała jej:

– Pragnęłabym z całego serca mieć małe dziecko, czy mogłabyś mi powiedzieć, skąd je mogę wziąć?

– Znajdziemy na to radę – powiedziała czarownica. – Masz tu ziarnko jęczmienia, nie z tego gatunku, który rośnie na chłopskim polu, ani z tego, który jedzą kury. Wsadź je do doniczki, zobaczysz, co z tego wyrośnie!

– Dziękuję ci – powiedziała kobieta i dała czarownicy dwanaście groszy. Potem poszła do domu, zasadziła ziarnko jęczmienia i natychmiast wyrósł piękny, duży kwiat, który wyglądał jak tulipan, ale płatki miał stulone tak, jak gdyby kwiat był jeszcze w pączku.

– Jakież to piękny kwiat! – powiedziała kobieta i pocałowała śliczne czerwone i żółte płatki. I w chwili kiedy składała ten pocałunek, rozległ się jak gdyby wystrzał i kwiat otworzył się od razu. Był to prawdziwy tulipan, ale w środku kwiatu siedziała na zielonym słupku maleńka dziewczynka, śliczna i delikatna. Miała nie więcej niż cal wysokości i dlatego nazwano ją Calineczką. Pięknie polakierowana łupina włoskiego orzecha służyła jej za kołyskę, błękitne płatki fiołków zastępowały materace, a płatek róży – kołdrę. Spała tam w nocy, a w dzień bawiła się na stole, gdzie kobieta postawiła talerz, a naokoło zrobiła wianek z kwiatów, których łodygi leżały w wodzie; po talerzu pływał wielki płatek tulipana, a Calineczka mogła na nim siedzieć i pływać z jednego brzegu talerza na drugi, a zamiast wiosł miała dwa białe końskie włosy. Wyglądało to prześlicznie. Calineczka umiała także śpiewać tak pięknie i wdzięcznie jak nikt na świecie.

Pewnej nocy, gdy leżała w swoim ślicznym łóżeczku, przyszła wstrętna ropucha; wskoczyła przez okno, bo szyba była stłuczona. Ropucha była brzydka, duża i mokra, wskoczyła na stół, gdzie Calineczka spała pod czerwonym płatkiem róży.

– Piękna byłaby z niej żona dla mego syna! – powiedziała ropucha, wzięła skorupę orzecha, gdzie spała Calineczka, i razem z nią zeskoczyła z okna do ogrodu.

Przepływała tam szeroka rzeka, brzeg jej był bagnisty, tu mieszkała ropucha ze swoim synem.

Och, jakież był brzydki i wstrętny, zupełnie jak jego matka. „Kwa, kwa, brekekekeks!”, to było wszystko, co potrafił powiedzieć, kiedy zobaczył śliczną maleńką dziewczuszkę w łupinie orzecha.

– Nie mów tak głośno, bo się obudzi – powiedziała stara ropucha. – I jeszcze nam ucieknie, bo jest lekka jak łabędzi puch. Posadźmy ją na rzece, na dużym liściu lilii wodnej, tam jej będzie dobrze. Ona jest taka lekka i mała, że liść ten jest dla niej całą wyspą. Stamtąd nam nie ucieknie. A my tymczasem doprowadzimy do porządku odświętną izbę pod bagnem, gdzie zamieszkacie po ślubie.

Na rzece rosło mnóstwo wodnych lilii z szerokimi liśćmi, które wyglądały, jakby pływały po wodzie. Liść leżący najdalej był największy, do niego podплыnęła ropucha i postawiła na nim łupinkę orzecha z Calineczką.

Biedna, mała istotka obudziła się wczesnym rankiem i kiedy zobaczyła, gdzie się znajduje, zaczęła gorzko płakać, bo liść otoczony był ze wszystkich stron wodą i nie mogła się wydostać na ląd.

Stara ropucha siedziała na dole w bagnie i zdołała izbę trzcina i żółtymi płatkami nenufarów; wszystko musiało być piękne dla nowej synowej; potem odpłynęła razem ze swoim wstrętnym synem do liścia, na którym stała Calineczka. Chcieli zabrać jej śliczne łóżko i wstawić do pokoju młodej pary, zanim ona sama się tam zjawi. Stara ropucha skłoniła się głęboko w wodzie przed Calineczką i powiedziała:

– Oto widzisz mego syna, zostanie on twoim mężem, a zamieszkacie z przepychem na dole, w bagnie!

– Kwa, kwa brekekekeks! – to było wszystko, co potrafił powiedzieć syn.

Potem wzięli śliczne małe łóżeczko i odpłynęli z nim, a Calineczka siedziała sama na zielonym listku i płakała, bo nie chciała zamieszkać u wstrętnej ropuchy ani zostać żoną jej obrzydliwego syna. Małe rybki, które pływały w wodzie, widziały ropuchę, słyszały, co mówiła, i wysunęły głowy z wody chcąc obejrzyć małą dziewczynkę. Zachwyciły się nią bardzo i zrobiło im się naprawdę żal, że będzie musiała zamieszkać u wstrętnej ropuchy. Nie, nigdy, przenigdy! Zebrały się pod powierzchnią wody naokoło zielonej łodygi z liściem, na którym stała, przegryzły zębami łodygę i liść popłynął z biegiem strumienia, a na nim Calineczka daleko, daleko, tam gdzie ropucha nie mogła już jej dogonić.

Calineczka przepływała obok różnych okolic, a małe ptaszki siadały w krzakach, patrzyły na nią i śpiewały:

„Jakaż to miła, mała dziewczynka!” Liść razem z nią płynął coraz dalej i dalej; w ten oto sposób powędrowała Calineczka za granicę.

Uroczy, mały biały motylek krążył nad nią od dawna i w końcu usiadł na liściu, gdyż Calineczka spodobała mu się niezmiernie; i ona również była bardzo zadowolona, bo ropucha nie mogła jej już dogonić i tak pięknie było tam, gdzie przepływała; słońce świeciło na wodzie i wyglądało jak błyszczące złoto. Calineczka wzięła swój pasek i przywiązała jednym końcem motylka, drugi koniec wstążki przymocowała do liścia, ruszył on teraz o wiele szybciej i ona również, bo przecież stała na liściu.

Nagle sfrunął wielki chrabąszcz, spostrzegł ją, w mgnieniu oka schwycił w swe macki smukłą dziewczynkę i pofrunął z nią na drzewo, a zielony liść płynął dalej po rzece i motyl również, bo był przecież przywiązany do liścia i nie mógł się uwolnić.

Mój Boże, jak bardzo przstraszyła się biedna Calineczka, kiedy chrabąszcz usiadł z nią na drzewie! Najbardziej martwiła się jednak tym, że przywiązała motylka, bo przecież jeżeli nie uda mu się uwolnić, umrze z głodu. Ale chrabąszcz nie troszczył się o to wcale. Usadził się razem z nią na największym zielonym liściu na drzewie, nakarmił ją słodkim kwiatowym sokiem i powiedział jej, że jest urocza, chociaż zupełnie nie przypomina chrabąszcza. Później przyszły z wizytą wszystkie chrabąszcze mieszkające na tym samym drzewie; obejrzały ją; panny chrabąszczówny potrząsały mackami i mówiły: „Ona ma tylko dwie nogi, jakże to nędznie wygląda! Nie ma macek – mówiły inne. – Jakaż jest cienka w pasie, fe, wygląda jak człowiek! Jaka brzydka!!!” – mówiły wszystkie chrabąszczówny, a Calineczka była przecież taka śliczna! Tak też myślał z początku chrabąszcz, który ją porwał, ale gdy wszyscy mówili, że jest brzydka, zaczął sam w końcu tak sądzić i nie chciał jej już wcale. Niech sobie idzie, dokąd chce. Chrabąszcze sfrunęły razem z nią z drzewa i posadziły ją na stokrotce; a Calineczka płakała, że chrabąszcz jej nie chce, bo jest taka brzydka, a przecież była najmilszą istotą, jaką można sobie wyobrazić, taka delikatna i jasna jak najpiękniejszy płatek róży.

Przez całe lato mieszkała biedna Calineczka sama jedna w dużym lesie. Uplotła sobie łóżko z traw i powiesiła pod wielkim liściem szczawiu, aby deszcz na nią nie padał; zbierała słodki sok z kwiatów i wypijała rosę, która co rano lśniła na liściach. Tak przeszło lato i jesień, ale oto przyszła zima, mroźna, długa zima. Wszystkie ptaki, które tak pięknie dla niej śpiewały, odleciały. Drzewa i kwiaty zwiędły, wielki szczawiovy liść, pod którym mieszkała, zwinął się i pozostał tylko żółty, suchy badyl. Calieczka marzła straszliwie, bo jej sukienki podarły się, a ona

sama była taka delikatna i taka mała. Biedna Calineczka, mogła zamarznąć na śmierć! Zaczął padać śnieg i każdy płatek śniegu, który na nią padał, był tym, czym dla nas cała łopata śniegu, bo my jesteśmy wielcy, a ona miała tylko cal długości. Otuliła się zeschniętym listkiem, ale nie ogrzało jej to wcale; drżała z zimna.

Tuż pod lasem, gdzie mieszkała, znajdował się duży łąn zboża, ale zboża nie było już od dawna, tylko nagie, wyschłe rżysko sterczało na zmarzniętej ziemi. Rżysko to wydawało się Calineczce tak duże jak olbrzymi las, o, jakże drżała z zimna! Doszła wreszcie do mieszkania polnej myszki. Myszka mieszkała w małej norze pod ścierniskiem. Było tam ciepło i zacisznie, cały pokój wypełniony był ziarnami zboża, oprócz pokoju była piękna kuchnia i spizarnia. Biedna Calineczka stanęła w drzwiach jak mała żebraczka i poprosiła o maleńkie ziarnko jęczmienia, bo od dwóch dni nic nie miała w ustach.

– Moje ty biedne stworzonko! – powiedziała polna mysz, bo w gruncie rzeczy była to dobra, stara mysz – wejdź do mego ciepłego pokoju i zjedz ze mną obiad.

A ponieważ Calineczka jej się spodobała, powiedziała:

– Mogłabyś zostać u mnie przez zimę, ale musisz ładnie, czysto sprzątać mój pokój i opowiadać mi bajki, bo bardzo bajki lubię.

Calineczka robiła wszystko, czego wymagała od niej stara mysz polna, i odtąd wiodło jej się wcale dobrze.

– Będziemy miały wkrótce odwiedziny – powiedziała mysz polna – mój sąsiad ma zwyczaj odwiedzania mnie raz na tydzień. Powodzi mu się jeszcze lepiej niż mnie, ma wielkie salony i nosi piękne, czarne aksamitne futro. Gdyby chciał cię wziąć za żonę, miałabyś los zapewniony, Tylko że jest niewidomy. Musisz mu opowiadać najpiękniejsze bajki, jakie znasz!

Ale Calineczka nie miała na to ochoty, nie zależało jej wcale na sąsiedzie, gdyż był to kret. Przyszedł wreszcie w odwiedziny w swym czarnym aksamitnym futrze. Mysz polna mówiła, że jest taki bogaty i uczony, i że jego mieszkanie było więcej niż dwadzieścia razy większe od mieszkania myszy; był rzeczywiście uczony, ale nie znosił słońca i pięknych kwiatów, mówił o nich źle, bo ich nigdy nie widział. Calineczka musiała mu śpiewać i zaśpiewała: „Leć, chrabąszczu, leć” i „Chodzi mniszek po łące!” Wtedy kret zakochał się w niej, zachwycony jej pięknym głosem, ale nie powiedział nic, bo był to już taki rozważny jegomość. Wykopał sobie w ziemi długi korytarz, prowadzący od jego domu do nory myszy; pozwolił Calineczce i myszy, spacerować po tym korytarzu, kiedy tylko będą chciały. Prosił je, aby się nie bały martwego

ptaka, który leży w korytarzu. Był to cały ptak ze skrzydłami i z dziobem, umarł zapewne niedawno i pochowano go właśnie tam, gdzie kret wykopał swój korytarz.

Kret wziął do pyska kawałek próchna, które świeciło w ciemnościach, szedł przodem i świecił im w długim, ciemnym korytarzu. Gdy przyszli do miejsca, gdzie leżał martwy ptak, kret wparł swój szeroki nos w powalę i rozrzucał ziemię, dopóki nie zrobił dużego otworu, przez który przeświecało światło. Pośrodku na podłodze leżała martwa jaskółka; piękne jej skrzydła były z obu stron przyciśnięte do boków, nogi i głowa schowane pod pióra; biedny ptak na pewno umarł z zimna. Calineczce strasznie go było żal, kochała tak bardzo wszystkie ptaszki, które jej tak pięknie śpiewały i ćwierkały, ale kret trącił ptaka swoją krótką nogą i powiedział:

– Nie będzie już nigdy śpiewać! Jakże godne politowania jest stworzenie, które urodziło się ptakiem! Bogu niech będą dzięki, że żadne z moich dzieci nie będzie ptakiem; taki ptak nie potrafi nic, tylko wołać: „kwiwit”, a w zimie musi umierać z głodu!

– Tak, mówi pan jak człowiek rozsądny – odezwała się mysz polna. – Co przyjdzie ptaszce z jego świergotu, gdy nadchodzi zima? Musi głodować i marznąć. Jednak jest w tym coś wzniosłego.

Calineczka nie powiedziała nic; ale gdy oboje odwrócili się plecami do ptaka, schyliła się, odgarnęła pióra, które zakrywały mu głowę, i pocałowała go w zamknięte oczy. „Może to on tak latem ślicznie mi śpiewał – myślała. – Ileż radości sprawił mi ten kochany, piękny ptaszek!”

Kret zatkał dziurę, przez którą przeświecał jasny dzień, i odprowadził panie do domu. Ale w nocy Calineczka nie mogła spać; wstała z łóżka i uplotła ze słomy duży, ładny dywan, który zaniósła do korytarza, i przykryła nim martwego ptaszka, potem po obu stronach ptaszka położyła miękką bawełnę, znaną w pokoju myszy; chciała, aby był ciepło przykryty w zimnej ziemi.

– Żegnaj, śliczny mały ptaszku! – powiedziała. – Żegnaj, i dziękuję ci za twój cudny śpiew w lecie, gdy wszystkie drzewa były zielone i słońce tak mocno nam świeciło!

Potem przyłożyła swą głowę do piersi ptaszka, ale nagle przeraziła się, bo wydało jej się, jak gdyby w środku coś pukało; było to serce ptaszka. Nie był martwy, tylko skostniały z zimna, a teraz ogrzał się i powracał do życia.

Jesienią wszystkie jaskółki odlatują do ciepłych krajów, ale ta, która się spóźni, marznie, pada na ziemię i przykrywa ją zimny śnieg. Calineczka drżała na całym ciele, tak bardzo była przestraszona; ptak był duży, bardzo duży w porównaniu z nią, która miała tylko cal długości.

Ale zebrała się na odwagę, otuliła mocniej bawełną biedną jaskółkę, przyniosła miętowy listek, który jej służył za kołdrę, i przykryła nim głowę ptaka.

Następnego nocy wysliznęła się do niego znowu; był żywy, ale tak słaby, że mógł tylko na chwilę otworzyć oczy i spojrzeć na Calineczkę, która stała z kawałkiem próchna w dłoni, bo innej latarni nie miała.

– Dziękuję ci, moje śliczne, małe dziecko! – powiedziała chora jaskółka. – Tak się doskonale ogrzałam. Wkrótce odzyskam siły i będę mogła latać na dworze w ciepłym blasku słońca.

– Ach! – powiedziała Calineczka – na dworze jest tak zimno, śnieg i mróz. Leż w twoim ciepłym łóżku, będę cię pielęgnowała!

Przyniosła jaskółce wody w płatku kwiatka; jaskółka wypila wodę i opowiedziała jej, jak to zraniła sobie skrzydełko o ciernisty krzak i nie mogła z tego powodu tak prędko fruwać jak inne jaskółki, które odleciały daleko, daleko, do ciepłych krajów. Upadła na ziemię, ale potem nie wie już nic, co się z nią działo i jak się tu znalazła.

Przez całą zimę została jaskółka pod ziemią, a Calineczka była dla niej dobra i kochała ją bardzo; ani kret, ani mysz polna nie mieli o tym pojęcia, bo nie lubili przecież biednej, ubogiej jaskółki.

Natychmiast gdy przyszła wiosna i słońce ogrzało ziemię, jaskółka powiedziała Calineczce: „do widzenia”, i otworzyła dziurę zrobioną przez kreta w górze. Słońce tak pięknie świeciło i jaskółka spytała dziewczynkę, czy nie chciałaby z nią razem polecieć, mogłaby siedzieć na jej grzbiecie, poleciałaby daleko, do zielonego lasu. Ale Calineczka wiedziała, że stara mysz polna zmartwiłaby się, gdyby ją w ten sposób porzuciła.

– Nie, nie mogę – powiedziała.

– Bądź zdrowa, moja dobra, śliczna dziewczynko! – pożegnała ją jaskółka i poleciała ku słońcu. Calineczka patrzyła na nią i oczy jej napełniły się łzami, bo bardzo kochała jaskółkę.

– Kwiwit! kwiwit! – śpiewał ptaszek i pofrunął do zielonego lasu. Ale Calineczka była bardzo smutna. Nie mogła wyjść na ciepłe słońce; zboże, które było zasiane dookoła domu polnej myszki, wyrosło tak wysoko, że dla biednej, małej Calineczki był to duży, gęsty las, miała przecież tylko cal wzrostu.

– Latem musisz sobie uszyć wyprawę – powiedziała do niej mysz polna, bo właśnie sąsiad, nudny kret w czarnym futrze, poprosił o jej rękę. – Musisz mieć suknie i bieliznę, abyś miała w czym chodzić i w czym spać, kiedy będziesz żoną kreta.

Calineczka musiała kręcić wrzeciono, a mysz polna wynajęła cztery pająki, które dzień i noc przędły i tkwały. Co wieczór odwiedzał ją kret i mówił bez przerwy o tym, że kiedy się skończy lato, słońce przestanie tak grzać – bo teraz spala ziemię na kamień – więc kiedy przejdzie lato, wyprawią sobie wesele. Ale dziewczynka nie była wcale zadowolona, bo nie znosiła nudnego kreta. Co rano, kiedy słońce wschodziło, i co wieczór, kiedy zachodziło, wymykała się za drzwi, i kiedy wiatr rozwiewał kłosa zboża, tak że mogła widzieć błękit nieba, myślała o tym, jak pięknie i jasno jest na świecie i jak bardzo by chciała zobaczyć jaskółkę; ale jaskółka nigdy nie wracała; na pewno była daleko w pięknym, zielonym lesie.

Kiedy nadeszła jesień, wyprawa Calineczki była skończona.

– Za cztery tygodnie będziesz miała wesele – powiedziała do niej mysz polna. Ale Calineczka zaczęła płakać i powiedziała, że nie chce iść za mąż za nudnego kreta.

– Głupstwo – powiedziała mysz polna – nie upieraj się, bo cię ugryzę moimi białymi zębami. Będziesz miała takiego pięknego męża. Nawet królowa nie ma takiego pięknego czarnego futra. Ma on dobrze zaopatrzoną kuchnię i piwnicę. Powinnaś Bogu dziękować za takiego męża.

I oto miało się odbyć wesele. Przyszedł kret, aby zabrać Calineczkę, miała z nim mieszkać głęboko pod ziemią i nigdy nie wychodzić na ciepłe słońce, bo kret nie znosił słońca. Biedne dziecko było bardzo zmartwione, musiała się pożegnać z jasnym słońcem, w które mogła przecież patrzeć stojąc przed drzwiami mieszkania polnej myszy.

– Żegnaj, jasne słońce! – powiedziała dziewczynka, wyciągnęła do góry ramiona i oddaliła się trochę od mieszkania polnej myszy. Zboże było zżęte i sterczały tylko suche badyle. – Żegnaj, żegnaj! – powtórzyła i objęła swoim delikatnym ramieniem mały, czerwony kwiatek, który tam rósł. – Pozdrów ode mnie kochaną jaskółkę, jeżeli ją zobaczysz!

– Kwiwit! kwiwit! – rozległo się nad jej główką, obejrzała się, była to jaskółka, która właśnie nad nią przelatywała. Gdy tylko zobaczyła Calineczkę, bardzo się ucieszyła; dziewczynka opowiedziała jej, jak niechętnie wychodzi za mąż za brzydkiego kreta, i że będzie musiała mieszkać głęboko pod ziemią, gdzie nigdy nie świeci słońce. Nie mogła się powstrzymać od płaczu.

– Teraz nadchodzi chłodna zima – powiedziała jaskółka. – Lecę daleko stąd, do ciepłych krajów, czy chcesz polecieć ze mną? Mogłabyś usiąść na moim grzbiecie, przywiąż się tylko mocno paskiem, wtedy odlecimy daleko od wstrętnego kreta i jego ciemnej nory, daleko nad górami, do ciepłych krajów, gdzie słońce piękniej świeci niż tutaj, gdzie jest zawsze lato i gdzie

rosną cudne kwiaty. Leć tylko ze mną, mała kochana Calineczko, która uratowałaś mi życie, kiedy leżałam zmarznięta w ciemnej piwnicy.

– Tak, polecę z tobą – powiedziała Calineczka i usadowiła się na grzbiecie jaskółki, nogi oparła na rozpostartych skrzydłach i przywiązała się paskiem do najmocniejszego pióra jaskółki, a jaskółka poleciała wysoko w powietrze nad lasami i morzem, wysoko nad wielkimi górami, gdzie zawsze leży śnieg. Calineczka marzła w zimnym powietrzu, ale wtedy wtulała się w ciepłe pierze ptaka i wysuwała tylko główkę, aby podziwiać z góry wszystkie piękności.

Przyleciały do ciepłych krajów. Słońce świeciło tam o wiele jaśniej niż tu; niebo było dwa razy tak wysokie, a na wzgórzach i płotkach rosły najpiękniejsze jasne i ciemne winogrona, a na drzewach wisiały cytryny i pomarańcze; pachniały mirty i mięta, a po drogach biegały śliczne dzieci i bawiły się dużymi, barwnymi motylami. Ale jaskółka leciała jeszcze dalej, a było tam coraz ładniej i ładniej. Pod wspaniałymi, zielonymi drzewami na brzegu błękitnego morza stał lśniący biały, starożytny zamek z marmuru, winorośle pięły się wzdłuż wysokich kolumn, na górze było wiele gniazd jaskółczych, a w jednym z nich mieszkała jaskółka, która przyleciała z Calineczką.

– Tu jest mój dom – powiedziała jaskółka. – Ale ty musisz sobie wyszukać jeden z tych pięknych kwiatów, które rosną tam na dole, umieszczę cię tam i będzie ci tak dobrze, jak tylko można sobie wymarzyć.

– To cudownie – powiedziała Calineczka i klasnęła w małe rączki. A leżała tam duża, biała kolumna z marmuru; rozpadła się ona kiedyś na trzy kawałki, między którymi kwitły najpiękniejsze, wielkie, białe kwiaty. Jaskółka zniżyła się i posadziła Calineczkę na jednym z szerokich płatków. Co za niespodzianka! W środku kwiatu siedział maleńki człowieczek, tak biały i przezroczysty, jak gdyby był zrobiony ze szkła; na głowie miał piękną złotą koronę, a z ramion wyrastały mu cudne, jasne skrzydła, a nie był wcale większy od Calineczki. Był to duszek kwiatów. W każdym kwiecie mieszkał taki maleńki pan albo maleńka pani, ale ten królował nad wszystkimi.

– Boże, jakież on piękny! – szepnęła Calineczka do jaskółki. Mały książę przestraszył się bardzo jaskółki, bo w porównaniu z nim była olbrzymim ptakiem, ale kiedy zobaczył Calineczkę, ucieszył się, była to najpiękniejsza dziewczynka, jaką kiedykolwiek widział. Zdjął więc z głowy złotą koronę, włożył ją Calineczce i spytał ją, jak się nazywa i czy chce zostać jego żoną i królową wszystkich kwiatów.

To był rzeczywiście zupełnie inny mąż niż syn ropuchy i kret w czarnym aksamitnym futrze. I dlatego Calineczka odpowiedziała pięknemu księciu: „Tak”. Z każdego kwiatu wyszła pani lub pan i byli tacy śliczni, że aż przyjemnie było patrzeć; każdy przyniósł Calineczce jakiś podarunek, ale najpiękniejsze ze wszystkiego były dwa piękne skrzydła dużej, białej muchy; skrzydła te przytwierdzono jej do pleców i teraz mogła fruwać z kwiatka na kwiatek. Była to wielka przyjemność, a jaskółka siedziała na górze w swoim gnieździe i śpiewała im, jak tylko potrafiła najładniej, ale w głębi duszy była zmartwiona, bo bardzo kochała Calineczkę i niechętnie się z nią rozłączała.

– Nie powinnaś się nazywać Calineczką – powiedział do niej duszek kwiatów. – To brzydkie imię, a ty jesteś taka ładna. Będziemy cię nazywali Maja.

– Bądź zdrowa, bądź zdrowa! – zawołała jaskółka i odleciała z ciepłych krajów w daleką drogę do Danii. Tam uwiła sobie małe gniazdko nad oknem, gdzie mieszkał pan, który umie opowiadać baśnie. Śpiewała mu: „Kwiwit, kwiwit!”, i stąd ta cała historia.

TOWARZYSZ PODRÓŻY

Biedny Jan był smutny, bo jego ojciec był bardzo chory i musiał umrzeć. W małym pokoiku nie było nikogo prócz nich dwóch. Lampa na stoliku dogasała, był bardzo późny wieczór.

– Byłeś dobrym synem, mój Janie! – powiedział chory ojciec. – Pan Bóg będzie ci dopomagał w życiu – spojrzał na niego poważnymi, łagodnymi oczami, głęboko westchnął i umarł. Zdawało się, że zasnął. Jan płakał, teraz nie miał już nikogo na całym świecie, ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata. Biedny Jan! Klęczał przed łóżkiem i całował rękę nieżywego ojca, i płakał obfitymi, słonymi łzami. Aż wreszcie zamknęły mu się oczy i zasnął z głową opartą o twardą poręcz łóżka.

Przyśnił mu się dziwny sen. Widział, jak mu się kłaniały słońce i księżyc, widział ojca zdrowego i rześkiego, słyszał jego śmiech, tak jak się zawsze śmiał, kiedy był z czegoś zadowolony. Piękna dziewczyna ze złotą koroną na długich ciemnych włosach wyciągnęła do Jana rękę, a ojciec powiedział: „Widzisz, jaką masz narzeczoną. Jest najładniejsza ze wszystkich dziewcząt na całym świecie!” Wtedy obudził się i wszystkie cuda znikły. Ojciec leżał w łóżku martwy i zimny; nie było przy nim nikogo, biedny Jan!

W tydzień potem pogrzebano nieboszczyka. Jan szedł tuż za trumną; nie mógł już widzieć swego dobrego ojca, który go tak kochał. Słyszał, jak sypali piasek na trumnę, widział już tylko ostatni jej rożek, ale przy następnej łopacie ziemi i ten skrawek zniknął. Wtedy tak się zasmucił, jak gdyby miało pęknąć mu serce. Dookoła niego śpiewali kościelną pieśń, brzmiało to tak pięknie, że oczy Jana napelniły się łzami; płakał i to koło jego ból. Słońce oświetlało pięknie zielone drzewa, jak gdyby chciało powiedzieć: „Nie bądź taki smutny, Janie! Spójrz tylko, jakie niebo jest niebieskie, tam w górze jest twój ojciec i prosi Pana Boga, aby ci było zawsze dobrze.”

– Chcę być zawsze dobry! – powiedział Jan – a potem pójdę do nieba do mego ojca, cóż to będzie za radość, kiedy się tam zobaczymy! Ile rzeczy mu opowiem, a on będzie mi tyle pokazywał, będzie mnie uczył o wszystkich pięknościach nieba, tak jak mnie uczył na ziemi. Ach, cóż to będzie za radość!

Jan wyobrażał to sobie tak wyraźnie, że myśląc o tym śmiał się, a łzy wciąż jeszcze spływały

mu po policzkach. Małe ptaszki siedziały na górze na kasztanach i ćwierkały: „Kwiwit, kwiwit!”; były bardzo zadowolone, chociaż był to pogrzeb, ale wiedziały przecież, że nieboszczyk jest już w niebie, ma skrzydła o wiele ładniejsze i większe niż one, i wiedziały, że jest szczęśliwy, bo tu na ziemi był dobry. Dlatego też ptaszki się cieszyły. Jan widział, jak pofrunęły z zielonych drzew daleko w świat, i zachciało mu się również polecieć wraz z nimi. Przedtem jednak wyciął z drzewa duży krzyż, aby go postawić na grobie ojca, a kiedy przyniósł go wieczorem na cmentarz, grób posypany był piaskiem i ubrany kwiatami. Zrobili to obcy ludzie, którzy bardzo kochali dobrego nieżyjącego ojca.

Nazajutrz wczesnym rankiem spakował Jan mały węzełek i schował do sakiewki za pasem cały odziedziczony po ojcu majątek, składający się z pięćdziesięciu talarów i paru srebrnych szylingów; z tym chciał ruszyć w świat. Przedtem poszedł na cmentarz na grób ojca. zmówił *Ojcze nasz* i powiedział:

– Żegnaj, drogi ojcze! Pragnę być zawsze dobrym człowiekiem, a ty powinieneś tylko prosić Boga, aby mi się dobrze powodziło!

W polu, gdzie przechodził Jan, rosło w gorącym blasku słońca tyle świeżych, ślicznych kwiatów; chyliły się na wietrze ich głowy, tak jak gdyby chciały powiedzieć: „Witaj w polu! Czyż tu nie pięknie?” Ale Jan obejrzał się jeszcze raz, aby popatrzeć na stary kościół, gdzie chrzcili go niemowlęciem i dokąd chodził co niedziela wraz z ojcem modlić się i śpiewać psalmy. Jan podniósł wzrok na kościelną wieżę i ujrzął kościelnego duszka w czerwonej spiczastej czapeczce wyglądającego z okienka. Osłaniał się on rączką przed blaskiem słońca. Jan skinął mu na pożegnanie, a mały elf powiewał ku niemu czapeczką, kładł rękę na sercu i wiele razy posyłał mu palcami całusa, aby pokazać, jak mu jest życzliwy i jak pragnie, aby Jasiowi dobrze się w drodze powodziło. Jan myślał o tym, ile pięknych rzeczy zobaczy na tym wspaniałym, wielkim świecie, i szedł dalej i dalej do miejsc, w których nigdy nie był. Nie znał miast, przez które wędrował, i nie znał ludzi, których spotykał. Był daleko, między obcymi.

Pierwszej nocy musiał się położyć na stogu siana, gdyż nie miał innego łóżka. Ale to mu się podobało. Nawet król, myślał sobie, nie ma lepiej. Całe pole ze strumykiem, stóg siana i niebieskie niebo, wszystko to było piękną sypialnią. Zielona trawa z małymi, czerwonymi i białymi kwiatkami to był dywan; krzaki bzu i dzikich róż były bukietami kwiatów, jako umywalnia służył mu cały strumyk ze świeżą, przezroczystą wodą, a trzciny kłaniały mu się, mówiąc mu: „dobry wieczór” i „dzień dobry”. Księżyc był wspaniałą nocną lampą, zawieszoną

wysoko nad błękitnym sufitem, od tej lampy nie zapalały się firanki; Jan mógł zupełnie spokojnie spać, toteż spał, a gdy się obudził, słońce stało już wysoko na niebie i wszystkie małe ptaszki naokoło śpiewały: „Dzień dobry, dzień dobry! Jeszcze nie wstałeś?”

W kościele dzwoniono na nabożeństwo, bo była niedziela. Ludzie szli na kazanie; Jan przyłączył się do nich, śpiewał psalmy, słuchał Bożego słowa i wydawało mu się, że jest w swoim kościele, gdzie był chrzczony i gdzie śpiewał psalmy z ojcem.

Na cmentarzu było wiele mogił, a na niektórych z nich rosła wysoka trawa. Jan przypomniał sobie grób swego ojca, pomyślał, że teraz, kiedy nie będzie mógł oczyszczać go z chwastów i przyozdabiać, grób będzie tak samo wyglądał jak te mogiły. Przykucnął i zaczął wyrywać zielsko, poprawił drewniane krzyże, które się przewróciły, i zawiesił wieńce zrzucane z grobów przez wiatr; myślał sobie przy tym: „Może ktoś inny tak samo zadba o grób mego ojca, teraz kiedy sam nie mogę tego zrobić.”

Przed kościołem stał stary żebrak opierając się na kuli. Jan dał mu wszystkie srebrne pieniądze, jakie miał, i poszedł zadowolony i szczęśliwy w daleki świat.

Pod wieczór nadciągnęła straszna burza. Jan spieszył się, aby ukryć się pod dachem, ale zbliżała się ciemna noc. Przyszedł wreszcie do małego kościółka, stojącego całkiem samotnie na wzgórzu. Drzwi były szczęśliwie otwarte; Jan wszedł do środka, gdyż chciał tam przeczekać niepogodę.

– Usiądę w kącie – powiedział. – Jestem bardzo zmęczony i muszę trochę odpocząć! – Usiadł, złożył ręce, odmówił modlitwie wieczorną i zanim się obejrzał, zasnął, podczas gdy na dworze grzmiało i błyskało.

Kiedy się obudził, była głęboka noc, ale burza przeszła i księżyc zaglądał przez okno. Pośrodku kościoła stała otwarta trumna, leżał w niej umarły, którego jeszcze nie pogrzebali. Jan nie przestraszył się wcale, bo miał czyste sumienie i wiedział, że umarli nie robią nikomu nic złego. Tylko żywi źli ludzie krzywdzą. Tacy właśnie dwaj żywi źli ludzie stali koło trumny z umarłym, którą ustawiono w kościele przed pogrzebem.

Chcieli mu zrobić krzywdę, wyjąć go z trumny i wyrzucić przed kościół tego biednego nieboszczyka.

– Dlaczego chcecie to zrobić? – spytał Jan. – To źle i okrutnie. Dajcie mu w imię Boga spać!

– Nie mów głupstw! – powiedzieli obaj nędznicy. – Oszukał nas. Winien nam jest pieniądze, nie mógł nam ich zapłacić i oto w dodatku umarł, a my nie dostaliśmy ani grosza, chcemy się

więc na nim zemścić; niech leży jak pies przed drzwiami kościoła!

– Mam tylko pięćdziesiąt talarów! – powiedział Jan. – To jest cały spadek, jaki dostałem, ale oddam je wam chętnie, jeżeli mi obiecacie, że zostawicie w spokoju tego biednego nieboszczyka. Dam sobie jakoś radę bez pieniędzy, jestem zdrow i silny, i Pan Bóg mi będzie zawsze pomagał!

– Dobrze! – zgodzili się źli ludzie – jeżeli zapłacisz jego długi, nie zrobimy mu żadnej krzywdy, możesz na to liczyć.

Wzięli pieniądze od Jana, śmiali się głośno i szczerze z jego dobroduszości i poszli swoją drogą. A Jan ułożył umarłego na nowo w trumnie, skrzyżował mu ręce, pożegnał się z nim i zadowolony poszedł przez wielki las.

Tam gdzie księżyc przeświecał między drzewami, widział Jan maleńkie, urocze elfy, bawiące się wesoło. Nie przerwały zabawy, wiedziały, że był dobrym człowiekiem, a tylko złym ludziom nigdy nie ukazują się elfy. Niektóre z nich nie były większe od palca, a długie, jasne włosy miały upięte złotymi grzebieniami, kołysały się parami na dużych kroplach rosy, lśniących na liściach i wysokich trawach; czasami kropla spadała, a wtedy i one spadały na ziemię, pomiędzy żdzbla traw, wówczas wśród reszty małych istotek rozbrzmiewał śmiech i gwar. Było to bardzo zabawne.

Elfy śpiewały i Jan poznawał wszystkie piosenki, których się uczył jako mały chłopiec. Wielkie różnobarwne pająki z srebrnymi koronami na głowach przędły od jednego kąta do drugiego długie, powietrzne mosty i pałace, a kiedy padała na nie rosa, wyglądało to w jasnym blasku księżyca jak połyskujące szkło. Tak trwały aż do wschodu słońca. Wtedy małe elfy schowały się do pączków kwiatów, a wiatr zerwał mosty i zamki, które pofrunęły w powietrze jako długie pajęczyny.

Jan wyszedł właśnie z lasu, kiedy usłyszał, że jakiś donośny męski głos woła za nim:

– Hop, hop, towarzyszu! Dokąd to wędrujesz?

– W daleki świat! – powiedział Jan. – Nie mam ani ojca, ani matki, jestem ubogim chłopcem; ale Pan Bóg mi dopomoże!

– I ja także chcę powędrować w daleki świat! – powiedział obcy człowiek. – Może wybierzemy się razem?

– Bardzo chętnie! – rzekł Jan i poszli razem. Polubili się wkrótce bardzo, bo obaj byli dobrymi ludźmi. Ale Jan spostrzegł, że nieznajomy był od niego o wiele mądrzejszy. Znał

prawie cały świat i potrafił opowiadać o wszystkim.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy zasiedli pod wielkim drzewem, aby zjeść śniadanie. Wtedy zbliżyła się jakaś staruszka. Była stara i krzywa, opierała się na kuli, na plecach dźwigała wiązkę chrustu: uzbierała ją w lesie. Jan zobaczył, że w fartuchu miała trzy wielkie różgi z paproci i wierzbowych gałęzi. Gdy była już zupełnie blisko nich, pośliznęła się, upadła i krzyknęła głośno, gdyż złamała nogę. Biedna staruszka!

Jan chciał ją zanieść zaraz do domu, ale nieznajomy otworzył tornister, wyjął z niego słoik i powiedział, że posiada maść, która natychmiast wyleczy i uzdrowi jej nogę, tak że będzie mogła sama pójść do domu, i to tak pewnie, jak gdyby nigdy nie miała złamanej nogi; ale za to żądał, aby mu podarowała trzy różgi, które miała w fartuchu.

– To dobra zapłata! – powiedziała stara i kiwnęła jakoś dziwnie głową; niechętnie rozstawała się ze swoimi różgami, ale nie miała również ochoty leżeć ze złamaną nogą. Dała mu więc różgi i gdy tylko obcy człowiek posmarował jej nogę maścią, staruszka podniosła się i ruszyła w drogę o wiele raźniej niż przedtem. Takie było działanie tej maści. Ale w aptece takiej maści nie dostaniesz!

– Po co ci te różgi? – spytał Jan swego towarzysza podróży.

– Są to trzy piękne miotły – powiedział. – Podobają mi się, bo jestem dziwakiem!

Potem poszli dalej.

– Patrz no, jak się niebo zaciąga – powiedział Jan i wskazał przed siebie. – Jakie straszne ciężkie chmury.

– Nie! – powiedział towarzysz podróży – to nie są chmury, to są góry, piękne, wielkie góry, tam dopiero wznosi się człowiek ponad chmury, wysoko, wysoko! Wierz mi, tam jest naprawdę pięknie! Jutro będziemy już aż tam, hen w górze!

Do gór nie było tak blisko, jak się zdawało; musieli wędrować cały dzień, żeby dojść tam, gdzie rosły aż do nieba czarne lasy i gdzie były kamienie tak wielkie jak całe miasta. Aby wdrapać się na sam szczyt, trzeba było forsownego marszu; Jan i jego towarzysz poszli do gospody, aby porządnie odpocząć i nabrać sił do wędrówki, jaką mieli przed sobą.

W gospodzie, w wielkiej szynkowej izbie, zebrała się masa ludzi, bo jakiś człowiek pokazywał marionetki. Rozstawił właśnie swój mały teatrzyk, a ludzie usadowili się naokoło, aby zobaczyć widowisko; ale na samym przedzie zasiadł stary, gruby rzeźnik, zajął najlepsze miejsce. Jego wielki buldog – och, jak ten pies złośliwie wyglądał! – usiadł obok niego i

wytrzeszczał tak samo oczy jak wszyscy inni.

Przedstawienie się rozpoczęło, a była to śliczna komedia z królem i królową. Siedzieli na aksamitnym tronie, na głowach mieli złote korony i długie treny przy szatach, bo mogli sobie na to pozwolić. Śliczne, drewniane lalki o szklanych oczach stały przy drzwiach, otwierały je i zamykały, aby świeże powietrze miało dostęp do pokoju. Było to naprawdę prześliczne przedstawienie i wcale nie smutne, ale właśnie, kiedy królowa wstała z tronu i przeszła przez pokój, wtedy – Bóg wie, co ten wielki buldog sobie myślał – ale ponieważ gruby rzeźnik wcale go nie trzymał, pies skoczył na środek teatryku i schwycił królową za jej smukłą talię, tak że aż zatrzeszczało. To było straszne.

Biedny człowiek, który urządził to przedstawienie, przeraził się, był strasznie zmartwiony tą królową, bo to była jego najładniejsza lalka, a ten szkaradny buldog odgryzł jej głowę. Ale kiedy później ludzie sobie poszli, nieznamy, który był z Janem, powiedział, że ją uzdrowi; wyciągnął swój słoik i posmarował lalkę maścią, którą uzdrowił starą kobietę, gdy złamała nogę. Jak tylko posmarował lalkę, od razu wyzdrowiała i mogła nawet poruszać członkami, nie trzeba jej było ciągnąć za sznurki; lalka była jak żywy człowiek, tyle tylko, że nie mówiła. Właściciel teatryku był bardzo zadowolony, nie trzeba było wcale trzymać tej lalki na sznurku, mogła sama tańczyć, czego żadna inna lalka nie potrafi.

Kiedy nadeszła noc i goście w gospodzie poszli spać, rozległy się głośne, ciężkie westchnienia; wszyscy zerwali się i pobiegli zobaczyć, kto tak wzdycha. Właściciel teatryku poszedł do swoich marionetek, bo z tej strony dochodziły jęki; król, wszyscy trabanci i wszystkie drewniane lalki leżały porozrzucone; to one tak żałośnie jęczały i patrzyły swymi wielkimi szklanymi oczami przed siebie; tak bardzo pragnęły, aby je także posmarować maścią, jak królową, aby się mogły same poruszać. Królowa padła na kolana, podniosła do góry swoją złotą koronę i modliła się: „Zabierz ją, ale posmaruj mego małżonka i moich dworzan!” Wtedy biedny człowiek, właściciel teatryku i lalek, nie mógł się powstrzymać od płaczu, bo mu było ich naprawdę żal; obiecał zaraz towarzyszowi Jana, że da mu wszystkie pieniądze, jakie miał uzyskać następnego wieczoru za swoje przedstawienie, byle tylko zechciał posmarować maścią cztery lub pięć najładniejszych lalek, ale towarzysz Jana powiedział, że nie żąda niczego, prócz dużej szabli, którą ten człowiek miał u boku; a kiedy szablę dostał, posmarował sześć lalek, zaczęły one natychmiast tańczyć, i to tak ślicznie, że wszystkie żywe dziewczynki, patrząc na to, tańczyły razem z nimi. Tańczył stangret i kucharka, służący i pokojówka, wszyscy obcy ludzie,

tańczył pogrzebacz i łopata do węgla, które przewróciły się przy pierwszym podskoku – to była dopiero wesoła noc!

Na drugi dzień rano Jan i jego towarzysze porzucili wszystkich i poszli sobie daleko, w góry, przez wielkie sosnowe lasy. Doszli tak wysoko, że wieże kościelne wyglądały w dole wśród zieleni jak czerwone jagódki, mogli widzieć na odległość wielu, wielu mil miejsca, w których nigdy nie byli. Nigdy jeszcze nie widział Jan naraz tyle pięknych rzeczy tego cudownego świata, a słońce grzało tak mocno na błękitnym niebie, a rogi myśliwskie grały tak pięknie wśród gór, że oczy jego napelniły się łzami radości i nie mógł się powstrzymać, aby nie powiedzieć:

– Dobry, kochany Boże! Chciałbym Cię całować za to, że jesteś taki dobry dla nas wszystkich, za to, że dałeś nam te wszystkie cuda świata!

Towarzysz podróży stał również ze skrzyżowanymi rękami i patrzył poprzez ciepłe promienie słoneczne na las i miasta. Nagle posłyszeli nad swoimi głowami jakiś cudownie piękny śpiew; wielki, biały łabędź kołysał się w powietrzu; był tak piękny i śpiewał tak, jak żaden inny ptak nigdy nie śpiewał, ale jego śpiew stawał się coraz słabszy, słabszy, łabędź pochylił głowę i upadł z wolna do ich stóp. Piękny ptak zakończył życie.

– Takie dwa piękne skrzydła! – powiedział towarzysz Jana. – Takie dwa wielkie skrzydła, tak białe i tak wielkie, warte dużo pieniędzy, wezmę je z sobą. Widzisz, jak to dobrze, że mam szablę! – I jednym uderzeniem odciął łabędziowi oba skrzydła, które tak bardzo chciał mieć.

Wędrowali więc wiele, wiele mil przez góry, aż w końcu przyszedli do wielkiego miasta, które miało przeszło sto wież, połyskujących w słońcu jak srebro. Pośrodku miasta stał wspaniały murowany zamek pokryty szczerym złotem. Tu mieszkał król.

Jan i towarzysz nie weszli od razu do samego miasta, tylko zatrzymali się w gospodzie na przedmieściu, aby się trochę ogarnąć, bo chcieli porządnie wyglądać, kiedy się pokażą na ulicy. Gospodarz opowiadał im, że król jest bardzo dobrym człowiekiem, nie robi nikomu nic złego, ale jego córka, Boże broń nas przed nią, jest bardzo złą księżniczką. Na urodzie jej nie zbywa, nikt nie jest tak piękny i pociągający jak ona, ale cóż to znaczy, kiedy jest złą czarownicą, przez którą musiało zginąć tylu pięknych książąt. Wszystkim ludziom pozwoliła starać się o swą rękę, może to być książę lub żebrak, wszystko jej jedno, musi tylko odgadnąć trzy rzeczy, o które pyta. Jeżeli potrafi odpowiedzieć na trzy pytania, wyjdzie za niego za męża, i ten szczęśliwiec po śmierci jej ojca zostanie królem całego kraju; ale jeżeli nie umie zgadnąć tych trzech rzeczy, każe go powiesić albo odciąć mu głowę. Taka zła i okrutna jest ta księżniczka!

Jej ojciec, stary król, martwi się tym bardzo, ale nie może jej zabronić, bo raz jej powiedział, że nie chce się wtrącać do sprawy jej małżeństwa, może sama robić, co zechce. Więc robi, co jej się podoba. Co jakiś czas zjawia się jakiś książę i chce odgadywać zagadki, aby ożenić się z księżniczką; nie udaje mu się i oddaje głowę pod topór albo idzie na szubienicę – a przecież ostrzega się go, aby nie ubiegał się o księżniczkę. Stary król tak jest zmartwiony tym smutkiem i nieszczęściem, że raz na rok cały dzień klęczy wraz ze swymi żołnierzami i modli się, aby księżniczka się poprawiła, ale ona nie chce. Stare kobiety, które piły wódkę, pofarbowały ją na znak żałoby na czarno, a więcej nie mogły już nic zrobić.

– Wstrętna księżniczka! – powiedział Jan. – Powinna dostać różgą, to by jej dobrze zrobiło. Gdybym ja był starym królem, zbiłbym ją do krwi!

Nagle usłyszeli, jak ludzie na ulicy krzyczeli: „Hura!” To księżniczka przejeżdżała tamtędy, a była tak piękna, że wszyscy zapominali, że była taka zła, i dlatego wołali: „Hura!” Dwanaście pięknych dziewczic w białych, jedwabnych sukniach, ze złotymi tulipanami w rękach, jechało u jej boku na czarnych jak węgiel koniach. Sama księżniczka miała śnieżnobiałego rumaka ozdobionego diamentami i rubinami; suknię ze szczerego złota, a różgą, którą trzymała w ręku, wyglądała jak promień słońca; złota korona na jej głowie, jak małe gwiazdeczki błyszczące wysoko na niebie, a jej płaszcz był uszyty z przeszło tysiąca skrzydeł motyli, ale ona sama była o wiele ładniejsza od najpiękniejszych swoich szat.

Kiedy Jan ją zobaczył, twarz jego pokryła się purpurą i nie mógł wymówić ani słowa. Księżniczka wyglądała zupełnie tak jak piękna dziewczyna w złotej koronie, która mu się śniła tej nocy, kiedy umarł ojciec. Uważał, że jest tak cudownie piękna, że nie może jej nie kochać. To na pewno nieprawda, że jest taką złą czarownicą, która każe ludzi wieszać lub ścinać im głowy, kiedy nie mogą odgadnąć tego, czego od nich żąda.

– Każdy może przecież starać się o jej rękę, nawet najuboższy żebrak; chcę koniecznie pójść na zamek, tak już musi być!

Wszyscy mu mówili, aby tego nie robił, powiedzie mu się na pewno tak jak innym. Towarzysz podróży odradzał mu także, ale Jan wierzył, że mu się powiedzie; oczyścił buty i ubranie, umył twarz i ręce, uczesał piękne jasne włosy i poszedł zupełnie sam do miasta, na zamek.

– Proszę! – powiedział stary król, kiedy Jan zapukał do drzwi. Jan wszedł. Stary król w szlafroku i haftowanych pantoflach wyszedł naprzeciw niego, na głowie miał złotą koronę, w

jednej ręce trzymał berło, a w drugiej królewskie jabłko. – Poczekaj chwilę – powiedział i wziął jabłko pod pachę, aby podać Janowi rękę. Ale gdy tylko usłyszał, że Jan jest konkurentem, zaczął tak płakać, że berło i jabłko upadły na ziemię, a król musiał wytrzeć oczy połą szlafroka. Biedny, stary król.

– Nie rób tego – prosił – skończysz tak samo jak wszyscy inni. Spójrz tylko! – I zaprowadził Jana do ogrodu księżniczki, i pokazał mu straszny widok. Wysoko na każdym drzewie wisiało po trzech, czterech królewskich synów, którzy ubiegali się o rękę księżniczki, a nie odgadli zagadek, jakie im zadawała. Za każdym powiewem wiatru szczękały ich kości, tak że ptaszki przerażone nie odważyły się przylatywać do tego ogrodu; wszystkie kwiaty były przywiązane do ludzkich kości, w doniczkach stały trupie głowy i szczyrzyły zęby. To był dopiero księżęcy ogród!

– Widzisz, miałem rację! – powiedział stary król. – To samo będzie z tobą, co ze wszystkimi innymi, których tu widzisz; więc porzuć ten zamiar. Czynisz mnie nieszczęśliwym, bo tak bardzo biorę to sobie do serca.

Jan pocałował starego, dobrego króla w rękę i powiedział, że wszystko będzie dobrze, bo on tak bardzo kocha śliczną księżniczkę.

Wkrótce księżniczka razem ze swoimi wszystkimi damami dworu wjechała na podwórze zamkowe; wyszli więc do niej i przywitali się. Była naprawdę bardzo piękna, podała Janowi rękę, a on pokochał ją jeszcze mocniej niż przedtem; na pewno nie była złą czarownicą, tak jak o niej mówili ludzie. Poszli na górę do salonu, a mali paziowie podawali im konfitury i pierniki, ale stary król był taki smutny, że nie mógł jeść, zresztą pierniki były dla niego za twarde.

Postanowiono, że Jan przyjdzie na drugi dzień do zamku, bo zbiorą się wtedy sędziowie i cała rada i będą słuchali, jak Jan wywiąże się ze zgadywania zagadek. Jeżeli mu się dobrze powiedzie, musi przyjść jeszcze dwa razy, ale dotychczas nikt nie odgadł pierwszej zagadki i każdy na tym stracił życie.

Jan nie martwił się wcale, nie troszczył się o to, jak mu się powiedzie, przeciwnie, był zadowolony, myślał tylko o pięknej księżniczce i wierzył mocno, że Pan Bóg mu pomoże; ale jak, tego sam nie wiedział i wcale nie chciał o tym myśleć. Tańczył na drodze wracając do gospody, gdzie go oczekiwał towarzysz podróży.

Jan nie mógł dość naopowiadać jaka księżniczka była dla niego miła i jaka jest piękna; tęsknił już do następnego dnia, kiedy przybędzie na zamek, aby spróbować szczęścia w rozwiązywaniu

zagadek.

Ale towarzysz podróży kiwał głową i był bardzo zmartwiony.

– Kocham cię tak bardzo! – powiedział. – Moglibyśmy jeszcze tak długo być razem, a oto muszę cię utracić! Biedny, drogi Janie! Płakałbym, ale nie chcę ci psuć radości może ostatniego wieczora, który spędzamy razem. Weselmy się dzisiaj, weselmy całą duszą! Jutro, kiedy ciebie nie będzie, będę mógł płakać do woli.

Wszyscy ludzie w mieście zaraz się dowiedzieli, że jest nowy konkurent do ręki księżniczki, i z tego powodu panowało wielkie przygnębienie. Teatr został zamknięty, cukiernicy obwiązali prosiętą z cukru czarną krepą, król i księża leżeli krzyżem w kościele, panowała wielka rozpacz, bo Janowi nie mogło się lepiej powieść niż wszystkim innym konkurentom.

Przed wieczorem towarzysz Jana przygotował dużą wazę ponczu i powiedział Janowi, że będą się bawić i pić za zdrowie księżniczki. Ale kiedy Jan wypił dwie szklanki ponczu, poczuł taką senność, że oczy mu się skleiły same i pogrążył się w głębokim śnie. Jego towarzysz podniósł go ostrożnie z krzesła i położył do łóżka, a że już zapadła ciemna noc, wziął dwa wielkie skrzydła, które obciął łabędziowi, przywiązał je sobie mocno do ramion, schował do kieszeni największą różgę, jaką dostał od staruszki ze złamaną nogą, otworzył okno i pofrunął nad miastem aż do zamku, gdzie usadowił się w kącie pod oknem sypialni księżniczki.

W mieście było cicho; kiedy zegar wybił trzy kwadransy na dwunastą, otworzyło się okno i księżniczka w białym płaszczu z czarnymi, długimi skrzydłami wyleciała nad miasto aż na wysoką górę; towarzysz Jana zrobił się niewidzialny, tak że księżniczka wcale go nie mogła zobaczyć, i leciał za nią okładając ją różgą tak mocno, że z każdego miejsca, w które trafił, tryskała krew. Och, cóż to była za jazda przez powietrze, wiatr wzdymał na wszystkie strony płaszcz księżniczki jak olbrzymi żagiel, a księżyc prześwietlał wydęte szaty.

– Jaki grad, jaki grad! – mówiła księżniczka za każdym uderzeniem różgi, a było to dla niej bardzo zdrowo. Wreszcie przyleciała ku górze i zapukała. Wtedy jakby zagrzmiało, góra się otworzyła, księżniczka weszła, ale towarzysz Jana szedł obok niej, nikt go przecież nie mógł ujrzeć, był niewidzialny. Szli przez duży, długi korytarz, gdzie ściany błyszczały cudownie, ponad tysiąc płomiennych pajaków, które pełzały po murach w górę i w dół, świeciło jak ogień. Weszli do dużej sali, całej zbudowanej ze złota i srebra, czerwone i niebieskie kwiaty, tak duże jak słoneczniki, kwitły na ścianach, ale nikt nie mógł ich rwać, bo łodygi tych kwiatów były wstrętnymi, jadowitymi węzami, a kwiaty były z ognia, który buchał im z gardzieli. Cały sufit

pokryty był błyszczącymi świętojańskimi robaczkami i błękitnymi nietoperzami, które trzepotały cienkimi skrzydłami; wyglądało to bardzo dziwnie. Pośrodku sali stał tron wsparty na czterech rumakach, których uprząż była z ognistych pajęczyn. Sam tron był z mlecznobiałego szkła, a poduszki, na których się siedziało, zrobione były z małych, czarnych myszy, które gryzły się w ogony. Na samej górze kołysał się dach z różowej pajęczyny, wśród której maleńkie, zielone muszki połyskiwały jak kosztowne kamienie. Pośrodku sali na tronie siedział stary czarodziej, w koronie na potwornej głowie i z berłem w ręku. Pocałował księżniczkę w czoło i zaprosił ją, aby usiadła obok niego na kosztownym tronie, po czym rozpoczęła się muzyka. Wielkie, czarne koniki polne grały na harmonijce, a sowa uderzała się w brzuch, bo nie miała bębna. Był to zabawny koncert. Maleńkie chochliki z błękitnymi ognikami na czapkach tańczyły dokoła sali. Nikt nie widział towarzysza Jana, który ukrył się za tronem i widział, i słyszał wszystko. Dworzanie, którzy tam weszli, byli bardzo wykwintni i eleganccy, ale kto im się uważnie przyjrzał, widział, co to byli za jedni. Były to kije od szczotek, z główkami kapusty; czarownik wlał w nie życie i ubrał w haftowane szaty. Ale było to przecież obojętne, używano ich tylko od parady.

Trochę potańczono i potem księżniczka zaczęła opowiadać czarodziejowi, że ma nowego konkurenta, i spytała go, jakie ma wymyślić pytania dla tego młodzieńca, który jutro przybędzie na zamek.

– Posłuchaj – powiedział czarodziej. – Powiem ci coś! Musisz wymyślić coś łatwego, bo to mu nie przyjdzie do głowy. Pomyśl o twoim trzewiku! Tego nie zgadnie. A potem każ mu obciąć głowę, ale nie zapomnij, kiedy tu jutro przyjdiesz, przynieść mi jego oczu, żebym je zjadł!

Księżniczka złożyła mu głęboki ukłon i powiedziała, że nie zapomni o oczach. Troll¹ otworzył znowu górę i księżniczka pofrunęła do domu, a towarzysz Jana leciał za nią i bił ją tak mocno różgą, że bardzo się skarżyła na grad i śpieszyła się, jak tylko mogła, aby wrócić przez okno do swej sypialni; towarzysz Jana pofrunął z powrotem do gospody, gdzie spał Jan, odwiązał skrzydła i położył się do łóżka, bo chyba mógł być zmęczony.

Jeszcze było zupełnie rano, a Jan już się obudził; jego towarzysz również wstał i opowiedział mu, jaki dziwny sen śnił mu się tej nocy o księżniczce i jej trzewiku, i z tego powodu prosił go, aby spytał księżniczkę, czy pomyślała o swoim trzewiku. Słyszał przecież, jak troll na górze

¹ Zły duch, często przedstawiany w postaci olbrzyma lub karła.

mówił o tym, ale nie chciał mówić tego Janowi, a tylko prosił go, aby spytał, czy księżniczka nie pomyślała o swoim trzewiku.

– Mogę równie dobrze spytać o to, jak o coś innego – powiedział Jan – może to prawda ci się wyśniła, bo wierzę w to, że mi pomaga Pan Bóg! Ale jednak muszę się z tobą pożegnać, bo jeżeli źle odgadnę, nie zobaczę cię już nigdy.

I potem pocałowali się, a Jan wszedł do miasta i udał się na zamek. Cała sala była pełna ludzi, sędziowie siedzieli w fotelach, a pod głowami mieli poduszki z łabędziego puchu, bo musieli dużo myśleć. Stary król wstał, otarł sobie oczy białą chusteczką. Weszła księżniczka. Była jeszcze o wiele piękniejsza niż poprzedniego dnia i pozdrowiła wszystkich serdecznie, a Janowi podała rękę i powiedziała:

– Dzień dobry!

I oto miał Jan zgadywać, o czym sobie pomyślała. Mój Boże, jakże łaskawie na niego patrzyła! Ale gdy tylko wymówił słowo „trzewik”, stała się blada jak kreda, zadrżała na całym ciele. Nic jej to jednak nie pomogło, bo Jan dobrze odgadł.

Do kroćset. Jakże się ucieszył stary król. Fiknął koziołka, a wszyscy ludzie klaskali w ręce na cześć jego i Jana, który po raz pierwszy odgadł trafnie zagadkę.

Towarzysz Jana promieniał radością, kiedy się dowiedział, że wszystko się dobrze odbyło, a Jan złożył ręce i dziękował Bogu, który mu na pewno i w obu następnych wypadkach pomoże. Na drugi dzień miał znowu zgadywać.

Wszystko było tak samo jak poprzedniego wieczora. Kiedy Jan zasnął, jego towarzysz poleciał za księżniczką na górę i bił ją jeszcze mocniej niż poprzedniej nocy, bo wziął tym razem dwie różgi. Nikt go nie zauważył i znowu wszystko słyszał. Księżniczka miała myśleć o swojej rękawiczce. Opowiedział Janowi, że mu się to wyśniło. Jan znowu trafnie odgadł i wielka radość zapanowała w zamku. Cały dwór fikał koziołki, tak jak król za pierwszym razem; ale księżniczka leżała na kanapie i nie chciała powiedzieć ani jednego słowa. Przyszła wreszcie chwila, kiedy Jan miał po raz trzeci zgadywać. Gdyby mu się powiodło, dostałby piękną księżniczkę i odziedzyczyłby całe królestwo po śmierci starego króla, gdyby nie zgadł, straciłby życie, a czarownik dostałby na pożarcie jego piękne, niebieskie oczy.

Poprzedniego wieczora poszedł Jan wcześniej spać, odmówił swoją wieczorną modlitwę i zasnął spokojnie. Ale jego towarzysz przywiązał sobie do ramion skrzydła, przypasał do boku szablę, wziął wszystkie trzy różgi i poleciał do zamku.

Była grobowa ciemna noc; szalała taka burza, że dachówki spadały z domów, a drzewa w ogrodzie, gdzie wisały szkielety, wyginały się jak trzciny na wietrze. Co chwila błyskało i grzmiało bez przerwy, jakby przez całą noc trwał jeden jedyny grzmot. Wtem otworzyło się okno sypialni i księżniczka wyfrunęła przez nie; była blada jak trup, ale śmiała się z brzydkiej pogody, uważała, że jeszcze było nie dość brzydko; jej biały płaszcz powiewał na wicherze jak wielki żagiel. Towarzysz Jana smagał ją tak mocno trzema różgami, że krew spływała na ziemię i księżniczka zaledwie mogła lecieć. W końcu jednak przyleciała na górę.

– Straszna burza i grad – powiedziała do czarownika. – Nigdy jeszcze nie byłam na dworze w taką pogodę.

– Dobrego nigdy nie za dużo! – powiedział czarownik. A księżniczka opowiedziała mu, że Jan i za drugim razem odgadł trafnie; o ile uda mu się jutro odgadnąć, nigdy nie będzie mogła przylecieć do niego na górę, nie będzie już więcej mogła robić takich czarodziejskich sztuk jak przedtem; z tego powodu była bardzo zmartwiona.

– Trzeba tak zrobić, żeby nie mógł zgadnąć – powiedział czarodziej – już ja wymyślę coś takiego, o czym on jeszcze nigdy nie pomyślał; inaczej musiałby być większym czarodziejem niż ja. Ale teraz bawmy się!

Schwycił księżniczkę obiema rękami i tańczyli razem ze wszystkimi chochlikami i błędnymi ognikami, które znajdowały się na sali. Czerwone pająki skakały tak samo wesoło po ścianach i wyglądało to zupełnie, jak gdyby z ognistych kwiatów leciały iskry. Sowa uderzała w bęben, świerszcze cykały, a duże koniki polne grały na organkach. Był to wesoły bal!

Kiedy już się wytańczyli, księżniczka musiała wrócić do domu, bo spostrzegliby na zamku jej nieobecność. Czarodziej powiedział, że ją odprowadzi, żeby być z nią trochę dłużej razem.

Polecieli więc podczas strasznej niepogody, a towarzysz podróży bił ich w plecy trzema różgami; nigdy jeszcze nie był czarodziej na dworze w tak straszną gradową burzę. Przed zamkiem pożegnał się z księżniczką i jednocześnie szepnął jej: „Myśl o mojej głowie!” Ale towarzysz Jana usłyszał dobrze i w chwili gdy księżniczka wskakiwała przez okno do swojej sypialni, a czarodziej chciał zawrócić, schwycił go za długą, czarną brodę i obciął mu szablą jego wstrętą głowę u samej szyi, tak że czarodziej nawet tego nie zauważył, ciało rzucił do jeziora na pożarcie rydom, a głowę zanurzył tylko w wodzie, potem obwiązał ją swoją jedwabną chusteczką, zabrał ze sobą do gospody i położył się spać.

Nazajutrz rano dał Janowi zawiniątko, ale powiedział mu, aby nie odwiązywał go wcześniej,

zanim księżniczka nie zapyta, o czym myśli.

W wielkiej sali zamkowej było tak wiele ludzi, że stali jeden przy drugim jak rzodkiewki związane w pęczek. Rada siedziała w fotelach z miękkimi poduszkami pod głowami, a stary król miał na sobie nowe szaty, złota korona i berło były wyczyszczone i wyglądało to wszystko bardzo uroczyście i wspaniale; ale księżniczka była bardzo blada, miała na sobie suknię czarną, czarną jak węgiel, jakby szła na pogrzeb.

– O czym pomyślałam? – spytała Jana, który natychmiast rozwiązał chustkę i sam się przeraził, gdy zobaczył potworną głowę czarodzieja. Wszystkimi wstrząsnął dreszcz, gdyż był to straszny widok; ale księżniczka siedziała jak skamieniała i nie mogła wymówić ani jednego słowa; wreszcie wstała, wyciągnęła do Jana rękę, bo odgadł przecież zagadkę! Nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo, tylko głęboko westchnęła:

– Teraz jesteś moim panem! Dziś wieczorem będzie nasze wesele!

– To mi się podoba! – powiedział stary król. – Tak powinno być! – wszyscy krzyknęli „hura!”, muzyka wojskowa grała na ulicy, biły dzwony, a cukiernicy zdjęli z cukrowych świnek czarną krepe, bo teraz zapanowała radość. Na rynku wystawiono trzy pieczone woły, nadziane kaczkami i kurami; każdy mógł sobie kawałek odkrajać. Z fontanny lało się najlepsze wino, a gdy kupował kto u piekarza za grosz obwarzanek, dostawał w dodatku sześć dużych bułek, i to bułek nadzianych rodzynkami.

Wieczorem całe miasto było iluminowane, żołnierze strzelali z armat, chłopcy z kapiszonów, a na górze wszyscy jedli i pili, wznosili toasty, skakali i płasali, a wytworni panowie z pięknymi paniami tańczyli para za parą. Już z daleka słyhać było, jak śpiewali:

Piękne dziewczęta tańczą wkoło,
Tańczą prześlicznie i wesoło
Pod trąb i bębnow różne tony.
Skaczą, płasają na wsze strony.
Tańczcie wesoło, tańczcie dopóty,
Aż bez podeszew zostaną buty.

Ale księżniczka była jeszcze czarownicą i wcale nie kochała Jana; pomyślał o tym jego towarzysz; dał Janowi trzy pióra ze skrzydeł łabędzia i małą butelkę, w której było parę kropel;

powiedział mu, aby postawił obok łóżka żony duże naczynie z wodą, i kiedy księżniczka będzie wchodzić do łóżka, trącił ją tak, żeby wpadła do wody; wtedy powinien ją trzy razy zanurzyć; przedtem wrzucić do wody pióro i wlać krople, a wówczas księżniczka zostanie odczarowana i pokocha go naprawdę.

Jan zrobił wszystko, jak mu poradził jego towarzysz. Księżniczka krzyczała głośno, kiedy ją zanurzał w wodzie i zmieniła mu się w rękach w dużego, czarnego łabędzia o błyszczących oczach; kiedy po raz drugi wyjął ją z wody, była białym łabędziem, tylko na szyi miała wąski, czarny pierścień. Jan pomodlił się do Pana Boga i zanurzył ptaka po raz trzeci w wodzie; w tej samej chwili ptak przemienił się w piękną księżniczkę. Była jeszcze ładniejsza niż przedtem i dziękowała mu ze łzami w pięknych oczach za to, że ją odczarował.

Nazajutrz przyszedł król wraz z całą świtą i powinszowania trwały przez cały dzień. Na końcu przyszedł towarzysz Jana. W ręku trzymał kij, a na plecach miał tornister. Jan całował go wiele razy i prosił go, aby nie odchodził i przy nim został, bo jemu przecież zawdzięcza całe swoje szczęście. Ale towarzysz Jana potrząsnął głową i powiedział łagodnie i serdecznie:

– Nie, mój czas już się skończył! Spłaciłem tylko moje długi. Czy przypominasz sobie umarłego, któremu źli ludzie chcieli zrobić krzywdę? Dałeś mu wszystko, co miałeś, aby miał spokój w grobie. Ja jestem tym zmarłym.

W tej samej chwili znikł.

Wesele trwało cały miesiąc. Jan i księżniczka kochali się z całego serca, a stary król przeżył jeszcze wiele radosnych dni, ich małe dzieci jeździły konno na jego kolanach i bawiły się jego berłem. A Jan został królem całego kraju.

MAŁA SYRENA

Daleko na morzu woda jest tak błękitna jak płatki najpiękniejszych bławatków i tak przezroczysta jak najczystsze szkło, ale jest bardzo głęboka, tak głęboka, że jej dna nie sięga żadna kotwica; trzeba by ustawić wiele wież kościelnych jedne na drugich, aby sięgnęły od dna aż ponad wodę. Tam na dole mieszka lud morski.

Ale nie myślcie, że jest tam tylko nagie, piaszczyste dno, nie – rosną tam najpiękniejsze drzewa i rośliny o łodygach i liściach tak giętkich, że poruszają się przy najlżejszym ruchu wody tak jak żywe stworzenia. Wszystkie ryby małe i duże przemykają pomiędzy gałęziami jak ptaki w powietrzu. W najgłębszym miejscu stoi zamek króla mórz mury ma z koralu, wysokie spiczaste okna z najczystsze bursztynu, a dach tworzą muszle, które otwierają się i zamykają, w miarę jak faluje woda; wygląda to prześlicznie, bo w każdej muszli znajdują się promienne perły, jedna jedyna byłaby już skarbem w koronie królewskiej. Król mórz, tam na dole, był od wielu lat wdowcem, a jego stara matka zajmowała się gospodarstwem; była to mądra kobieta, ale dumna ze swego pochodzenia i dlatego nosiła w ogonie dwanaście ostryg, gdy inne wykwintne damy mogły nosić tylko sześć. Lecz poza tym była godna szacunku, gdyż kochała bardzo małe morskie księżniczki, swoje wnuczki. Było ich sześć, wszystkie były ładne, ale najmłodsza była najładniejsza ze wszystkich, cerę miała tak przezroczystą i delikatną jak płatek róży, oczy tak błękitne jak najgłębsze morze, ale tak samo jak inne nie miała nóg, jej ciało kończyło się rybnym ogonem.

Przez cały długi dzień dzieci mogły się bawić na dole w zamku, gdzie żywe kwiaty wyrastały wszędzie ze ścian. Otwierano wielkie, bursztynowe okna i wtedy podpływały do nich ryby, tak jak do nas przylatują jaskółki, kiedy otwieramy okna, ale ryby przyplływały zupełnie blisko do małych księżniczek, jadły z ich ręki i dawały się głaskać.

Przed zamkiem był duży ogród z płomiennoczerwonymi i ciemnobłękitnymi drzewami, owoce błyszczały jak złoto, a kwiaty jak płonący ogień i ciągle poruszały łodygami i listkami. Grunt tworzył najdelikatniejszy piasek, niebieski jak płomień siarki. Nad wszystkim zaś unosił się cudowny, błękitny blask, wydawać się mogło raczej, że jesteśmy wysoko w powietrzu i że mamy pod sobą i nad sobą tylko niebo, a nie, że to dno morza. Kiedy nie było wiatru, widać było

słońce; wyglądało ono jak purpurowy kwiat, z którego kielicha lało się światło.

Każda z małych księżniczek miała w ogrodzie swoją grządkę, na której mogła sadzić i kopać, jak jej się podobało; jedna nadała swojej kształt wieloryba, inna wolała, by jej grządka przypominała małą syrenę, ale najmłodsza zrobiła swoją grządkę zupełnie okrągłą jak słońce i zasadziła na niej tylko czerwone kwiaty, tak czerwone jak słońce. Była ona niezwykle cichym dzieckiem, cicha i zamyślona; podczas gdy inne siostry ozdabiały swoje grządki najdziwniejszymi przedmiotami, które znajdowały w zatopionych okrętach, ona prócz czerwonych kwiatów, podobnych do słońca tam w górze, wybrała sobie tylko jeden posąg. Był to przepiękny chłopiec, wyrzeźbiony z białego marmuru, który spadł na dno morza przy zatonięciu okrętu. Obok posągu syrenka zasadziła czerwoną wierzbę płaczącą, która rosła pięknie i zwieszała swoje giętkie gałęzie aż do piaszczystego, błękitnego dna, gdzie cień zdawał się fioletowy i kołysał się bezustannie, tak samo jak gałęzie; wyglądało to, jak gdyby wierzchołek i korzenie bawiły się w pocałunki.

Nie było dla syrenki większej radości, jak słuchać o świecie ludzi mieszkających w górze; stara babka musiała wszystko opowiadać, co wiedziała o statkach i miastach, ludziach i zwierzętach, wydawało jej się to cudownie piękne, że tam na górze, na ziemi, pachną kwiaty; na dnie morza one nie pachniały – i że lasy są zielone, i że ryby, które przepływały tu pomiędzy drzewami, tam tak głośno i pięknie śpiewają, aż rozkoszą jest słuchać; miały to być ptaszki, ale babka nazywała je rybami, bo księżniczki inaczej nie zrozumiałyby, nie widziały przecież nigdy żadnego ptaka.

– Kiedy skończycie piętnaście lat – powiedziała babka – pozwolę wam wynurzyć się z wody i będziecie mogły usiąść na skałach i patrzeć przy blasku księżyca na wielkie przepływające okręty, i zobaczycie lasy i miasto!

Następnego roku jedna z siostr skończy piętnaście lat, ale inne?... Każda z nich była o rok młodsza od poprzedniej, a więc najmłodsza miała przed sobą jeszcze całe pięć lat do czasu, kiedy będzie mogła wypłynąć na powierzchnię i zobaczyć świat. Ale jedna siostra obiecywała drugiej opowiedzieć o tym, co widziała pierwszego dnia i co uważała za najładniejsze, bo stara babka nie opowiedziała im jeszcze wszystkiego i pozostało jeszcze tyle rzeczy, o których chciały się dowiedzieć.

Żadna nie była tak niecierpliwa jak najmłodsza, ta właśnie, która musiała najdłużej czekać i która była taka cicha i zamyślona. Czasami w nocy stawała przy otwartym oknie i patrzyła w

górze poprzez ciemnobłękitne morze, gdzie ryby pluskały swymi płetwami i ogonami. Widziała księżyc i gwiazdy, połyskiwały wprawdzie bardzo słabo, ale poprzez wodę wydawały się blade i o wiele większe, niż się nam wydają; gdy prześlizgiwała się pod nimi czarna chmura, syrena wiedziała, że to jest albo wieloryb, albo statek z wieloma ludźmi, przepływający nad zamkiem; z pewnością nie wiedzieli oni, że śliczna, mała syrena stała tam na dole i wyciągała białe ręce do okrętu.

Wreszcie najstarsza księżniczka skończyła piętnaście lat i mogła wypłynąć na powierzchnię.

Kiedy wróciła, miała do opowiedzenia tysiące rzeczy, ale mówiła, że najpiękniej jest leżeć na piaszczystym brzegu w blasku księżyca, kiedy morze jest spokojne, w pobliżu zatoki i wielkiego miasta, gdzie światła błyszczą jak tysiące gwiazd; słuchać muzyki, gwaru ludzi, turkotu pojazdów; patrzeć na liczne wieże i iglice, słuchać, jak biją dzwony kościelne; właśnie dlatego że nie mogła być tam, podobało jej się to najbardziej.

Ach, jakże przysłuchiwała się tym opowiadaniom najmłodsza siostra! Kiedy potem wieczorem stała przy otwartym oknie i patrzyła w ciemnobłękitną wodę, myślała o wielkim mieście, o ruchu i gwarze, i wtedy wydawało jej się, że aż tutaj dolatuje odgłos kościelnych dzwonów.

W rok potem druga siostra otrzymała pozwolenie wydostania się nad wodę i popłynięcia, dokąd będzie chciała. Wypłynęła właśnie wtedy, kiedy zachodziło słońce, i tę chwilę uważała za najpiękniejszą. Całe niebo wyglądało jak złoto, opowiadała, a chmury – ich piękności nie mogła dość opisać; płynęły nad nią czerwone i fioletowe, ale o wiele prędzej od nich płynęło, jak długi biały welon, stado dzikich łabędzi wprost w słońce; i ona płynęła do słońca, ale słońce zaszło, a różany odbłask zgasł na powierzchni morza i w obłokach.

W rok później siostra wypłynęła w górę, ta była najodważniejsza i dlatego popłynęła aż do wielkiej rzeki, która wpadała do morza. Widziała śliczne, zielone pagórki okryte winnicami, zamki, dwory wśród wspaniałych lasów; słyszała, jak śpiewały ptaki, a słońce grzało tak mocno, że musiała często zanurzać się w wodzie, aby ochłodzić rozpaloną twarz. W małej zatoczce spotkała całą gromadę małych ludzkich dzieci; biegały zupełnie nago dookoła i pluskały się w wodzie, chciała się z nimi bawić, ale uciekły przerażone i wtedy przyszło małe, czarne zwierzątko, był to pies, ale ona nigdy jeszcze nie widziała psa, a szczekał tak strasznie, że przestraszyła się go i uciekła na otwarte morze. Ale nigdy nie zapomni wspaniałych lasów, zielonych wzgórz i ślicznych dzieci, które pływały w wodzie, chociaż nie miały rybiego ogona.

Czwarta siostra nie była taka odważna, została na pełnym morzu i mówiła, że właśnie tam było najpiękniej; widzi się naokoło siebie wielomilową przestrzeń, a niebo rozpościera się jak wielki szklany dzwon. Widziała okręty, ale z daleka wyglądały jak mewy; zabawne delfiny fikały koziółki, a wielkie wieloryby parskaly wodą z dziurek od nosa. Wyglądało to jak tysiące fontann dookoła.

Przyszła kolej na piątą siostrę; jej urodziny wypadaly właśnie w zimie, i dlatego widziala to, czego inne nie widzialy. Morze bylo zupełnie zielone i naokoło pływaly wielkie lodowe góry. Mówila, że każda z nich wygladala jak perła, a jednak byly o wiele, o wiele większe niż wieże kościelne, które budują ludzie. Ukazywały się w najdziwniejszych postaciach i błyszczaly jak diamenty. Usiadła na największej z nich, wszyscy żeglarze okrażali z przerażeniem górę lodową, na której siedziala, a wiatr bawil się jej długimi włosami. Pod wieczór niebo zaciagnęło się chmurami, błyskało i grzmiało, góry lodowe na czarnym morzu wznosily się i połyskiwaly w jaskrawym blasku błyskawic. Na wszystkich okrętach zwinięto żagle, ogarnął wszystkich strach i przerażenie, ale ona siedziala spokojnie na pływającej górze lodowej i widziala niebieską błyskawicę, spadającą zygzakiem na błyszczące morze.

Gdy która z sióstr wypływała po raz pierwszy na morze, zachwycona była nowością i pięknem tego, co widziala, ale ponieważ teraz jako dorosłe dziewczyny mogły wypływać na morze, kiedy tylko chcialy, było im to już zupełnie obojętne, tęskniły znowu do domu i po upływie miesiąca mówiły, że tam u nich na dole jest najpiękniej i że w domu jest najlepiej.

Często o wieczornej godzinie wszystkie siostry brały się za ręce i wznosily się rzędem wysoko na wodzie; miały przepiękne głosy, piękniejsze niż jakikolwiek człowiek, a kiedy zbierało się na burzę i myślaly, że okręty rozbijają się, podpływały pod statek i śpiewaly o tym, jak pięknie jest na dnie morza, prosiły marynarzy, aby nie bali się zejść na dno; ale ci nie rozumeli ich słów i myśleli, że to burza szumi, zresztą nie oglądaliby cudów dna morskiego, bo kiedy okręt się pograżał, ludzie tonęli i przybywali już tylko jako trupy do zamku morskiego króla.

Kiedy wieczorem siostry wypływały ręka w rękę na powierzchnię morza, ich mała siostrzyczka zostawiała zupełnie sama i czuła, że jej się zbiera na płacz, ale syreny nie znają łez i dlatego o wiele bardziej cierpią.

– Ach, kiedy już będę miała piętnaście lat! – mówiła. – Wiem, że pokocham ten świat i ludzi, którzy tam mieszkają!

Wreszcie skończyła piętnaście lat.

– Oto i ty pójdziesz własnymi drogami – powiedziała babka, stara królowa-wdowa. – Chodź, niech cię ubiorę tak jak twoje siostry. – I włożyła jej na włosy wianek z białych lilii, każdy płatek kwiatu był połową perły, potem przymocowała księżniczce do ogona osiem dużych ostryg na znak jej wysokiego pochodzenia.

– To boli – powiedziała syrena.

– Trzeba cierpieć, aby godnie wyglądać – odpowiedziała babka.

Ach, jakże chętnie mała syrena zrzuciłaby z siebie ten cały przepych i pozbyła się ciężkiego wianka; czerwone kwiaty z jej ogródka ozdobiłyby ją o wiele ładniej, ale nie odważyła się tego zrobić. – Do widzenia – powiedziała i uniosła się jasna i powiewna jak mydlana bańka nad powierzchnią wody.

W chwili kiedy wynurzyła głowę nad wodę, słońce zaszło, ale chmury połyskiwały jeszcze jak róże i złoto, a w różowym powietrzu błyszcząca wieczorna gwiazda, jasna i piękna; powietrze było łagodne i świeże, morze spokojne. W pobliżu stał wielki statek z trzema masztami, tylko jeden żagiel był rozwinięty, bo nie było najmniejszego wiatru, a na rejach siedzieli marynarze. Rozlegała się muzyka i śpiew, a w miarę jak się ściemniało, zapalano setki kolorowych latarni; wyglądało tak, jakby w powietrzu powiewały flagi wszystkich narodów. Mała syrena podpłynęła tuż do okienka i za każdym razem, kiedy woda podnosiła ją do góry, mogła zajrzeć przez przejrzyste szyby do wnętrza, gdzie stało wiele pięknie ubranych ludzi, ale najpiękniejszy ze wszystkich był młody książę o dużych, czarnych oczach; nie miał na pewno więcej niż szesnaście lat, i to właśnie jego urodziny obchodzono z taką paradą. Marynarze tańczyli na pokładzie, a kiedy młody książę wyszedł do nich, wystrzeliły w powietrze niezliczone rakiety, świeciły jak jasny dzień, tak że mała syrena przestraszyła się i schowała pod wodę, ale zaraz potem wysunęła znowu głowę i wtedy wydawało jej się, że spadają na nią wszystkie gwiazdy z nieba. Nigdy dotąd nie widziała sztucznych ogni. Wielkie słońca obracały się z sykiem, wspaniałe, ogniste ryby wylatywały w błękitne powietrze, a wszystko to odbijało się w pogodnym, cichym morzu. Na samym statku było tak jasno, że widać było każdą kroplę rosy, nie mówiąc już o ludziach. A jakże piękny był młody książę, ścisnął ludzi za ręce, uśmiechał się radośnie, a muzyka rozbrzmiewała wśród cudnej nocy.

Było już późno, ale mała syrena nie mogła oderwać oczu od statku i od pięknego księcia. Zgaszono kolorowe latarnie, rakiety przestały tryskać w górę, nie słychać było wystrzałów, tylko w głębi morza coś szumiało i grzmiało. Syrena siedziała na wodzie kołysząc się w górę i na dół,

tak że mogła zaglądać do kajuty; statek popłynął szybciej, rozwijano jeden żagiel za drugim, fale stawały się coraz to silniejsze, nadciągały wielkie chmury i w oddali błyskało. Cóż to będzie za straszna burza! Toteż marynarze zwinęli żagle. Wielki statek kołysał się, szybował po rozhukanym morzu; fale podnosiły się jak wielkie, czarne góry usiłując runąć na maszty, lecz statek zanurzał się tylko między wysokie bałwany, jak łabędź, i znowu wypływał na powierzchnię spiętrzonej wody. Syrenę bawił ten widok, ale żeglarze byli innego zdania. Statek trzeszczał i jęczał, grube belki gięły się pod ciężkimi uderzeniami fal, maszt przełamał się pośrodku jak trzcina, statek przechylił się na bok i woda zaczęła wlewać się do wnętrza. Dopiero teraz syrenka dostrzegła, że ludzie byli w niebezpieczeństwie; sama musiała się mieć na baczności przed belkami i deskami okrętu, unoszącymi się na wodzie. Przez chwilę było zupełnie ciemno, tak że nic nie było widać, ale kiedy potem błysnęło, zrobiło się znowu jasno i mogła rozpoznać wszystkich na statku. Każdy myślał tylko o sobie, a syrenka szukała przede wszystkim księcia i kiedy statek zaczął już tonąć, dostrzegła, jak się pogrążył w głębokiej wodzie. W pierwszej chwili ucieszyła się bardzo, że oto pójdzie na dno, do niej, ale potem przyszło jej na myśl, że przecież ludzie nie mogą żyć w wodzie i że księżę dostanie się na zamek jej ojca jedynie jako trup. „Nie, on nie może umrzeć” – pomyślała. I przepłynęła pomiędzy belkami i deskami, unoszącymi się na wodzie, zapominając zupełnie, że mogą ją zmiażdżyć, zanurzała się głęboko w wodę i wznosiła znowu na falach; w ten sposób udało się jej dotrzeć do młodego księcia, który nie mógł już utrzymać się na wzburzonym morzu; ręce i nogi zaczynały mu omdlewać, piękne oczy zamknęły się; gdyby mała syrena nie przybyła do niego, musiałby umrzeć. Trzymała jego głowę nad wodą i dawała się unosić falom, dokąd chciały.

Nad ranem burza przeszła; ze statku nie zostało ani śladu; słońce wzeszło czerwone i jarzące nad wodą. Wydawało się przy jego świetle, że policzki księcia nabierają życia, ale oczy pozostały zamknięte; syrena pocałowała go w wysokie, piękne czoło i odgarnęła jego mokre włosy; wydawało jej się, że był podobny do marmurowego posągu w jej małym ogródku, pocałowała go jeszcze raz, życząc mu, aby odzyskał przytomność.

A wreszcie zobaczyła przed sobą stały ląd, wysokie, błękitne góry, na których wierzchołkach lśnił biały śnieg, jak gdyby spoczywały tam łabędzie; w dole na wybrzeżu ciągnęły się śliczne, zielone lasy, a wśród nich stał gmach – kościół czy też klasztor, co trudno było odróżnić. W ogrodzie rosły cytrynowe i pomarańczowe drzewa, a przed bramą stały wysokie palmy. Morze tworzyło tu małą, cichą, ale głęboką zatokę, która błyszczała jak zwierciadło i kończyła się pod

skąłą ławicą ślicznego, białego piasku; tutaj przyplęła syrena z pięknym księciem i ułożyła go na piasku tak, aby głowa była wyżej, w ciepłym blasku słońca.

W dużym, białym gmachu zabrzmiały dzwony i do ogrodu przyszło dużo młodych dziewcząt. Wtedy syrena odpłynęła znowu dalej, za wysokie kamienie wystające z wody, okryła swe włosy i piersi mokrą pianą, aby nikt nie zauważył jej małej twarzyczki, i patrzyła uważnie, kto zbliży się do biednego księcia.

Wkrótce podeszła do niego jakaś młoda dziewczyna; z początku wydawała się przerażona, ale tylko przez chwilę; potem sprowadziła ludzi i syrena zobaczyła, że księżę wraca do życia, że uśmiecha się do wszystkich dookoła; tylko do niej nie uśmiechał się, bo nie wiedział przecież wcale, że to ona go uratowała. Zasmuciła się syrena i kiedy księcia wprowadzono do dużego gmachu, zanurzyła się zmartwiona w wodę i wróciła do domu, na zamek swego ojca.

Mała syrena była zawsze cicha i zamyślona, ale teraz stała się jeszcze cichsza. Siostry pytały ją, co widziała po raz pierwszy na powierzchni morza, ale nie opowiadała im nic.

Często wieczorem lub rano płynęła do tego miejsca, gdzie zostawiła księcia. Widziała, jak dojrzewały owoce w ogrodzie, widziała, jak je zrywano, widziała, jak na wysokich górach tajał śnieg, ale księcia nie widziała, i dlatego wracała do domu za każdym razem coraz bardziej smutna. Jej jedyną pociechą było siedzieć w ogródku i obejmować ramionami marmurowy posąg, który był podobny do księcia, ale nie pielęgnowała już swych kwiatów, rosły dziko, ich długie łodygi i liście posplatały się z gałęziami drzew tak, że w gąszczu tym było zupełnie ciemno...

Wreszcie mała syrena nie mogła już dłużej tać swego smutku i opowiedziała o nim jednej ze swoich siostr, od niej zaś dowiedziały się wkrótce wszystkie inne, ale nie wiedział o tym nikt więcej prócz księżniczek i paru innych syren, które zwierzyły się z tą tajemnicą tylko swoim najlepszym przyjaciółkom. Jedna z syren miała dokładne wiadomości o księciu; ona również widziała święto na okręcie, wiedziała, skąd księżę pochodzi i gdzie leży jego królestwo.

– Pójdź, siostrzyczko! – powiedziały inne księżniczki i objawszy się wypłynęły sznurem na powierzchnię morza w tym miejscu, gdzie wiedziały, że stał zamek księcia.

Był zbudowany z jasnożółtego, błyszczącego kamienia, miał szerokie, marmurowe schody, prowadzące do samego morza. Wspaniałe, złożone kopuły wznosiły się na dachu, a pomiędzy kolumnami, otaczającymi cały budynek, stały marmurowe posągi, które wyglądały jak żywe. Przez przezroczyste szkło wysokich okien widać było wspaniałe komnaty, gdzie wisiły drogie

jedwabne zasłony i dywany, a wszystkie ściany ozdobione były wielkimi obrazami, których widok sprawiał prawdziwą rozkosz. Pośrodku największej sali pluskała duża fontanna, strumienie wznosiły się aż do szklanej kopuły w suficie, słońce odbijało się w wodzie i oświetlało wspaniałe rośliny, rosnące w wielkim basenie.

Syrena wiedziała więc teraz, gdzie mieszka książę, i często wieczorem i w nocy ukazywała się tu na wodzie; przy pływała o wiele bliżej do brzegu, niż mogła się odważyć każda inna syrena; płynęła wąskim kanałem aż do wspaniałego, marmurowego balkonu, rzucającego długi cień na wodę. Siedziała tu i patrzyła na młodego księcia, któremu się zdawało, że jest zupełnie sam w jasnym blasku księżyca.

Nieraz wieczorem widywała go, jak płynął z muzyką w łodzi ubranej flagami; ukrywała się w zielonym sitowiu, a kiedy wiatr poruszał jej długim, srebrnobiałym welonem, mogło się zdawać, że to jest łabędź zrywający się do lotu.

Czasami w nocy słyszała, jak rybacy, łowiąc ryby na morzu przy świetle pochodni, opowiadali wiele dobrego o księciu, a wtedy cieszyła się, że uratowała mu życie, kiedy na pół martwy unosił się na falach, i myślała o tym, jak ciężko głowa jego spoczywała na jej piersiach i jak serdecznie go pocałowała; on jednak nic o tym nie wiedział i nie mógł nawet marzyć o niej.

Coraz bardziej zaczęła kochać ludzi, coraz silniej pragnęła przebywać między nimi, świat ludzi wydawał jej się o wiele większy niż jej świat, ludzie mogą przecież pływać statkami po morzu, mogą wspinać się na wielkie szczyty wysoko aż pod chmury, a kraje, które do nich należą, ciągną się lasami i polami o wiele dalej, niż sięga jej wzrok. Było tyle rzeczy, o których chciała się dowiedzieć, ale siostry nie potrafiły odpowiedzieć na jej pytania i dlatego spytała starą babkę; znała ona bardzo dobrze wyższy świat i słusznie nazywała go Ponadmorskim Krajem!

– Czy ludzie, którzy nie toną w morzu – spytała mała syrena – mogą żyć wiecznie, czy nie umierają, tak jak my, na dnie morskim?

– Gdzież tam – powiedziała stara – i ludzie umierają, ich życie trwa jeszcze krócej niż nasze. My możemy dożyć trzystu lat, ale kiedy kończymy życie, zmieniamy się w pianę morską i nie mamy nawet grobu tu, pomiędzy naszymi bliźnimi. Nie mamy nieśmiertelnej duszy, nie możemy się odrodzić, jesteśmy jak zielone sitowie: kiedy się je raz zerwie, nie może już nigdy być zielone; ludzie zaś mają duszę, która żyje wiecznie, żyje nawet wtedy, gdy ciało staje się prochem, wznosi się poprzez jasne przestworza aż do błyszczących gwiazd. Tak jak my

wynurzamy się z morza by oglądać kraje i ludzi, podobnie oni wznoszą się do nieznanym, cudownych miejsc, których my nigdy nie zobaczymy.

– Dlaczego my nie mamy nieśmiertelnej duszy? – spytała zmartwiona syrena. – Oddałabym te setki lat, które mam jeszcze do przeżycia, aby być przez jeden jedyny dzień człowiekiem i potem dostać się do niebiańskich krain.

– Nie trzeba, abyś sobie tym zaprzętała głowę – powiedziała stara – my jesteśmy o wiele szczęśliwsi i o wiele lepiej żyjemy niż ludzie tam w górze.

– Mam więc umrzeć i pływać jako piana na morzu, nie słyszeć więcej muzyki fal ani nie widzieć pięknych kwiatów i czerwonego słońca? Czyż nic nie mogę zrobić, aby zdobyć nieśmiertelną duszę?

– Nie – powiedziała stara. – Chyba że jakiś człowiek pokocha cię tak, że staniesz mu się droższa od ojca i od matki, przywiąże się do ciebie wszystkimi myślami i całą duszą, ksiądz zwiąże wasze ręce przysięgą wierności na ziemi na całą wieczność, wtedy jego dusza przejdzie do twojego ciała i będziesz dopuszczona do udziału w przyszłym ludzkim szczęściu. Obdarzy cię wówczas duszą, a zatrzyma jednak swoją własną.

Ale to się prawdopodobnie nie zdarzy. To, co tu w morzu jest takie ładne, twój rybi ogon, na ziemi uważane jest za brzydkie, nie rozumieją się na tym wcale; tam żeby być piękną, trzeba mieć dwie ciężkie podpory, które ludzie nazywają nogami.

Mała syrena westchnęła i ze smutkiem spojrzała na swój ogon.

– Nie martw się! – powiedziała stara. – Skaczymy i tańczmy przez trzysta lat, które mamy żyć, to chyba dosyć czasu, a potem tym przyjemniej będzie wypocząć w grobie. Dziś wieczór będziemy mieli dworski bal!

Była to wspaniała uroczystość, jakiej nikt nie ogląda na ziemi. Ściany i sufit w wielkiej sali do tańca były z grubego, ale przezroczystego szkła. Pod ścianą stały rzędem setki olbrzymich muszel, czerwonych jak róże i zielonych jak trawa, a w muszlach tych płonął błękitny ogień, oświetlający całą salę i przeświecający przez szklane ściany całe morze dookoła, tak, że widać było niezliczone ryby, małe i duże, przyplływające do szklanych ścian; na niektórych połyskiwały purpurowe łuski, a inne wyglądały jak zrobione ze srebra i złota. Pośrodku sali przepływał szeroki, rwący strumień, a na nim syreny i trytony tańczyły przy dźwiękach własnego słodkiego śpiewu. Ludzie na ziemi nie mają tak pięknego głosu. Mała syrena śpiewała najpiękniej, wszyscy oklaskiwali jej śpiew; i przez chwilę syrena czuła radość w sercu, bo

wiedziała, że ma najpiękniejszy głos ze wszystkich na ziemi i w morzu. Ale zaraz potem znowu przyszły myśli o świecie na górze; nie mogła zapomnieć o pięknym księciu i smutno jej było, że nie ma, tak jak on, nieśmiertelnej duszy. Dlatego też wymknęła się z zamku ojca i podczas gdy wszyscy śpiewali i bawili się, siedziała smutna w swoim małym ogródku. Nagle usłyszała dźwięk myśliwskiego rogu, dochodzący ku niej poprzez wodę, i pomyślała: „Oto płynie sobie tam w górze ten, którego kocham więcej niż ojca i matkę, ten, do którego należą moje myśli, ten, komu bym chciała powierzyć szczęście mojego życia. Odważę się na wszystko, by zdobyć jego nieśmiertelną duszę. Podczas gdy moje siostry tańczą na zamku, pójdę do czarownicy morza, do tej, której się tak zawsze bałam, tylko ona może mi poradzić i pomóc!”

I oto mała syrena porzuciła swój ogródek i poszła w stronę gotującego się wiru, za którym mieszkała czarownica. Nigdy jeszcze nie szła tą drogą; nie rosły tu kwiaty ani morska trawa, goły, szary piasek ciągnął się aż do wiru, gdzie woda rwała jak szumiące młyńskie koła i porywała za sobą w głębię wszystko, co tylko mogła schwycić. Aby dostać się do państwa czarownicy, musiała syrena przejść przez rwące wiry, nie było tu innej drogi jak poprzez bulgocący gorący szlam, który czarownica nazywała swoją łączką. Dalej stał jej dom wśród osobliwego lasu. Wszystkie drzewa i krzaki tutaj były to polipy, na pół zwierzęta, na pół rośliny, wyglądały jak stugłowe węże wyrastające z ziemi. Gałęzie były to długie, lepkie ramiona o palcach jak giętkie robaki. Każdy kawałek tych drzew od korzeni aż do wierzchołków poruszał się bezustannie. Wszystko, co morze porwało, ścisnęły te potwory w swych objęciach i nie wypuszczały już nigdy.

Syrena zatrzymała się przerażona; serce biło jej ze strachu, o mało co nie zawróciła, ale pomyślała o księciu i o zdobyciu ludzkiej duszy i to jej dodało odwagi. Splotła mocno na głowie swe długie, puszyste włosy, aby polipy nie mogły ich schwycić, obie ręce złożyła na piersiach i pomknęła, jak ryba potrafi mknąć w wodzie, pomiędzy obrzydliwymi polipami, które wyciągały już do niej swoje giętkie ramiona i palce. Zauważyła, że każdy z tych potworów trzyma coś w objęciach, tysiącem drobnych ramion ściskając jak żelazną obręczą. Ludzie, którzy zginęli w morzu i spadali głęboko na dno, wynurzali się z ramion polipów w postaci białych kości. Ścisnęły one wiosła i skrzynie, szkielety domowych zwierząt i nawet malutką syrenę, którą pojmały i zadreńczyły na śmierć – to było chyba najstraszniejsze.

Przybyła wreszcie do dużego, błotnistej miejsca w lesie, gdzie kłębiły się wielkie, tłuste węże, pokazując wstrętne, białożółte podbrzusza. Pośrodku na tym miejscu stał dom zbudowany

z kości topielców; siedziała tam czarownica i karmiła ze swych ust ropuchę, tak jak ludzie dają kanarkowi do zjedzenia cukier. Brzydkie, tłuste węże wodne nazywała swoimi kurczątkami i pozwalała im pelzać po swoich wielkich, gąbczastych piersiach.

– Wiem dobrze, czego chcesz! – powiedziała czarownica – robisz głupstwo, zrobię jednak, co chcesz, bo to doprowadzi cię do nieszczęścia, moja piękna księżniczko. Chciałabyś się pozbyć rybiego ogona, zamiast tego mieć dwie podpory, na których mogłabyś chodzić jak ludzie, aby księżę się w tobie zakochał i abyś miała jego i nieśmiertelną duszę.

Tu czarownica zaśmiała się tak głośno i wstrętnie, że ropucha i węże upadły na ziemię i wylły się u jej stóp.

– Przychodzisz w samą porę – powiedziała czarownica. – Gdybyś przyszła jutro po wschodzie słońca, nie mogłabym ci pomóc przed upływem roku. Przygotuję ci napój, musisz popłynąć z nim, zanim słońce wzejdzie, aż na ląd, usiąść na brzegu i wypić go, wtedy odpadnie ci ogon i skurczy się w to, co ludzie nazywają pięknymi nóżkami, ale to będzie bolało tak, jakby przeszył cię ostry miecz. Wszyscy, którzy cię zobaczą, będą mówili, że jesteś najpiękniejszym ludzkim stworzeniem, jakie widzieli. Zachowasz swój powiewny chód, żadna tancerka nie potrafi tak się kołysać jak ty, ale za każdym krokiem, jaki uczynisz, poczujesz ból, jakbyś stąpała po ostrzu noża, jakbyś doznawała krwawych ran. Jeżeli zgodzisz się to wszystko znieść, spełnię twoje życzenie.

– Tak – odpowiedziała mała syrena drżącym głosem i pomyślała o księciu i o nieśmiertelnej duszy.

– Ale pomyśl – powiedziała czarownica – kiedy otrzymasz ludzką postać, nigdy już nie będziesz mogła zamienić się z powrotem w syrenę. Nigdy nie będziesz mogła zstąpić poprzez wodę do twoich sióstr i do zamku twego ojca, a jeżeli nie zdobędziesz miłości księcia, jeżeli nie zapomni z twego powodu o swej matce i swoim ojcu, nie przywiąże się do ciebie wszystkimi myślami, jeżeli ksiądz nie połączy waszych rąk tak, abyście się stali mężem i żoną, dusza twoja nie stanie się nieśmiertelna. Pierwszego ranka po zaślubinach księcia z inną pęknie ci serce i zamienisz się w pianę morską.

– Tak chcę – powiedziała mała syrena i zbladła jak trup.

– Ale mnie musisz także zapłacić! – powiedziała czarownica. – A żądam nie byle czego. Masz najpiękniejszy głos ze wszystkich tu na dnie morskim, sądzisz, że tym mogłabyś oczarować księcia, ale oddasz mi twój głos. To, co masz najwartościowszego, oddasz mi za mój

drogocenny napój. Muszę bowiem dodać do tego napoju własnej krwi, żeby był ostry jak obosieczny miecz.

– Cóż mi pozostanie, gdy mi odbierzesz głos? – spytała syrena.

– Twoja piękna postać – odpowiedziała czarownica – twój powiewny chód i wymowne oczy, którymi możesz oczarować ludzkie serce. No i cóż, straciłaś odwagę? Wysuń języczek, obetnę ci go jako zapłatę, a wtedy dostaniesz mocny napój.

– Niech się stanie – powiedziała syrenka, a czarownica postawiła kocioł, aby zgotować czarodziejski napój. – Czystość jest najważniejsza – powiedziała, szorując kocioł węzami, które związała w kłębek; potem zadrasnęła się w pierś, z której spadło parę kropel czarnej krwi; para tworzyła najdziwniejsze postaci, tak że strach brał patrzeć. Co chwila dorzucała czarownica coś nowego do kotła, a kiedy płyn się dobrze gotował, brzmiało to jakby krokodyl płakał. Wreszcie napój był gotów, wyglądał jak najczystsza woda.

– Oto go masz! – powiedziała czarownica i obcięła jej język, i z tą chwilą mała syrenka straciła mowę, nie mogła ani śpiewać, ani mówić.

– Jeśliby polipy chciały cię schwytać, gdy będziesz przechodziła przez mój las – powiedziała czarownica – wlej na nie jedną kroplę napoju, a wtedy ich ramiona i palce rozpadną się na tysięczne kawałki. – A małej syrenie nie było to wcale potrzebne, polipy widząc przezroczysty napój, błyszczący w jej ręku jak świecąca gwiazda, cofały się przed nią przerażone. W ten sposób prędko przeszła przez las, przez bagno i przez rwące wiry.

Widziała teraz zamek swojego ojca; światła w wielkiej sali tańca pogaszono, spali pewnie wszyscy, ale nie odważyła się tam pójść teraz, kiedy była niema i kiedy miała ich na zawrże porzucić. Serce jej pękało z bólu. Wśliznęła się do ogrodu, zerwała z każdej grządki, która należała do jej sióstr, po kwiatuszku, posłała ręką mnóstwo pocałunków w stronę zamku i wypłynęła na powierzchnię granatowej wody.

Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy ujrzała zamek księcia i wdrapała się na wspaniałe, marmurowe schody. Księżyc świecił niezwykle jasno. Syrenka wypila ostro palący napój i poczuła, jakby obosieczny miecz przeszył jej delikatne ciało, zemdląła i leżała jak martwa. Kiedy słońce rozbłysło nad wodą, ocknęła się i poczuła piekący ból, ale przed nią stał piękny, młody książę, wpatrywać się w nią swymi czarnymi jak węgiel oczyma tak, że musiała spuścić swój wzrok; wtedy zobaczyła, że jej rybi ogon znikł i że miała najładniejsze, małe białe nóżki, jakie tylko może mieć mała dziewczynka; ale była zupełnie naga i dlatego otuliła się swoimi

długimi, gęstymi włosami. Księżę spytał ją, kim jest i skąd się tu wzięła, lecz ona spojrzała na niego słodko, a jednocześnie żałośnie swymi ciemnoniebieskimi oczami, nie mogła przecież mówić. Wtedy wziął ją za rękę i zaprowadził do zamku. Przy każdym kroku, jak jej to przepowiedziała czarownica, czuła ból, jakby chodziła po spiczastych sztychach i ostrych nożach, ale zносиła to chętnie; trzymając księcia za rękę stąpała tak lekko jak bańka mydlana, a on i wszyscy inni podziwiali jej czarowny, powiewny chód.

Ubrano ją w kosztowne suknie z jedwabiu i muślinu, na zamku była najpiękniejszą ze wszystkich, ale była niema i nie mogła śpiewać ani mówić. Piękne niewolnice, ubrane w jedwabie i złoto, wystąpiły przed księciem i jego królewskimi rodzicami; jedna z nich śpiewała piękniej od wszystkich innych, a księżę uśmiechał się do niej i klaskał w ręce. Wtedy małej syrenie zrobiło się smutno, wiedziała, że dawniej mogła śpiewać o wiele piękniej, i pomyślała: „Ach, gdyby on wiedział, że oddałam na zawsze mój głos po to, aby móc być przy nim!”

Niewolnice tańczyły pięknie, kołysząc się w takt cichej muzyki; wtedy syrena wzniosła w górę cudne białe ramiona, stanęła na palcach i popłynęła po posadzce; tańczyła tak, jak nikt dotychczas nie tańczył; przy każdym poruszeniu piękność jej była bardziej widoczna, a jej oczy przemawiały do serc wymowniej niż śpiew niewolnic.

Wszyscy byli zachwyceni, a zwłaszcza księżę, który nazwał ją swoją małą znajdką, a ona tańczyła dalej, chociaż za każdym razem, kiedy jej noga dotykała ziemi, czuła ból, jakby stąpała po ostrych nożach. Księżę powiedział, że musi pozostać przy nim na zawsze, i pozwolił jej spać pod swoimi drzwiami na aksamitnych poduszkach. Kazał jej zrobić męskie ubranie, aby mu towarzyszyła w konnych wycieczkach. Jeździli przez pachnące lasy, gdzie zielone gałęzie uderzały ich po ramionach, a małe ptaszki śpiewały wśród zieleni liści. Wchodzili na wysokie góry i chociaż jej delikatne nóżki krwawiły i wszyscy to widzieli, śmiała się i biegała za nim aż tam, gdzie przepływały pod nimi obłoki jak stada ptaków lecących do ciepłych krajów.

Dopiero nocą w pałacu księcia, kiedy inni spali, wychodziła na szerokie marmurowe schody, chłodziła swoje rozpalone nogi w zimnej morskiej wodzie i myślała o swoich, tam w głębi morza.

Pewnej nocy jej siostry trzymając się za ręce wynurzyły się z wody i śpiewały tak smutnie, mała syrena przesłała im ręką pozdrowienia, a one poznały ją i opowiedziały, jak bardzo ich wszystkich zasmuciła. Odtąd odwiedzały ją codziennie, a jednej nocy zobaczyła w dali starą babkę, która od wielu lat nie była ponad morzem, i króla mórz w koronie na głowie. Wyciągali

do niej ręce, ale nie odważyli się podплыnąć blisko lądu jak siostry.

Z dnia na dzień księżę coraz bardziej cenił małą syrenkę i pokochał ją tak, jak się kocha dobre, drogie dziecko, ale nie przychodziło mu wcale na myśl, aby uczynić z niej królową, a przecież musiała zostać jego żoną, aby zdobyć nieśmiertelną duszę, inaczej w dzień jego zaślubin stanie się pianą morską...

„Czyż mnie nie kochasz więcej od wszystkich!” – zdawały się mówić oczy syreny, kiedy brał ją w swe ramiona i całował jej piękne czoło.

– Tak, ty jesteś mi najdroższa – mówił księżę – bo ty masz najlepsze serce ze wszystkich, ty jesteś mi najwierniejsza i jesteś podobna do jednej młodej dziewczyny, którą kiedyś widziałem, ale której pewnie już nigdy nie zobaczę. Byłem na tonącym statku, fale rzuciły mnie na brzeg, przed świątynią, gdzie wiele dziewcząt służyło Bogu; najmłodsza znalazła mnie na brzegu i uratowała mi życie, widziałem ją tylko dwa razy, jest jedyną istotą, którą na tym świecie mógłbym pokochać, ale ty jesteś do niej podobna, ledwie że nie zacierasz jej obrazu w mojej duszy; ona jest poświęcona Bogu i dlatego jakaś dobra gwiazda zesłała mi ciebie, nie rozłączymy się nigdy.

„Ach, on nie wie, że to ja uratowałam mu życie – myślała syrena – zaniiosłam go przez morze aż do lasu, gdzie stoi świątynia, siedziałam okryta morską pianą i czekałam, aż przyjdą ludzie. Widziałam piękną dziewczynę, którą on kocha bardziej ode mnie. – I mała syrena westchnęła głęboko, gdyż płakać nie mogła. – Ta dziewczyna jest poświęcona Bogu, nigdy nie wróci do świata, nie spotkają się nigdy, a ja jestem przy nim, widzę go codziennie, będę o niego dbała, będę go kochała, poświęcę mu swoje życie!”

Lecz oto rozeszła się wieść, że księżę ma się zenić z piękną córką króla ościennego państwa, i dlatego tak wspaniale wyposażył swój statek. Mówiło się, że księżę jedzie oglądać ziemie króla ościennego państwa, miał zabrać ze sobą wielką świtę, ale w istocie jechał, aby poznać jego córkę. Syrena potrząsnęła głową i śmiała się, znała myśli księcia o wiele lepiej niż wszyscy inni.

– Muszę jechać – powiedział do niej. – Mam zobaczyć piękną księżniczkę, moi rodzice tego pragną, ale nie zmuszą mnie nigdy, abym ją wprowadził do domu jako moją żonę; nie mogę jej kochać, bo nie jest podobna do pięknej dziewczyny ze świątyni, do której ty jesteś podobna; gdybym miał się ożenić, wolałbym raczej ciebie, moja ty mała, niema znajdko, z tymi twoimi wymownymi oczami. – I całował jej czerwone usta, bawił się jej długimi włosami i kładł swoją głowę na jej sercu, które marzyło o ludzkim szczęściu i nieśmiertelnej duszy.

– Nie boisz się przecież wody, moja mała niemowo – powiedział książę, kiedy stali na wspaniałym statku, który ich wiozł do sąsiedniego kraju; opowiadał jej o burzy i o ciszy morskiej, o dziwnych rybach w głębinach morza i o tym, co tam widzi nurek, a ona słysząc to uśmiechała się, wiedziała przecież lepiej niż ktokolwiek inny, jak wygląda dno morza.

W jasną księżycową noc, kiedy wszyscy spali na okręcie, nie wyłączając sternika stojącego przy sterze, syrena siedziała na dziobie statku i patrzyła w głąb. Wydawało jej się, że widzi przez przezrocze wód zamek swego ojca, a na najwyższej wieży stała stara babka w srebrnej koronie na głowie i wpatrywała się poprzez rwący prąd wody w górę, w dno okrętu. Potem wynurzyły się z wody jej siostry, patrzyły na nią ze smutkiem i załamywały białe ręce, a ona wychylała się do nich z uśmiechem i chciała im opowiedzieć, jak jej się dobrze wiedzie i jaka jest szczęśliwa, ale nadszedł chłopiec okrętowy, siostry zanurzyły się w wodę, a chłopiec był pewien, że biel, którą widział, to piana morska. Następnego ranka statek przyplłynął do przystani wspaniałej stolicy sąsiedniego państwa. Wszystkie dzwony dzwoniły w kościołach, z wysokich wież grzmiały trąby, a żołnierze stali z powiewającymi chorągwiami i błyszczącymi bagnietami. Co dzień było inne święto. Bale i przyjęcia następowały po sobie, ale księżniczki wciąż jeszcze nie było, mówiono, że przebywała daleko od rodzinnego miasta, wychowała się bowiem w klasztorze i ćwiczyła się tam we wszelkich królewskich cnotach. Wreszcie przyjechała.

Mała syrena bardzo pragnęła ją ujrzeć i musiała przyznać, że nigdy jeszcze nie widziała tak uroczej istoty. Płeć miała delikatną i piękną, a spod długich i ciemnych rzęs uśmiechały się ciemnoniebieskie, szczerze oczy.

– To jesteś ty – powiedział książę. – To ty mnie uratowałaś, kiedy leżałem jak martwy na brzegu. – I chwycił swoją zarumienioną narzeczoną w ramiona. – Ach, jestem zbyt szczęśliwy! – powiedział do syreny. – Spełniło się moje najgorętsze marzenie! Prawda, że cieszysz się z mego szczęścia, bo kochasz mnie najbardziej ze wszystkich! – A mała syrena pocałowała go w rękę i myślała, że serce już jej pęka. Poranek po jego weselu będzie przecież dniem jej śmierci, przemiany w pianę morską.

Wszystkie dzwony dzwoniły w kościołach, heroldowie jeździli po ulicach i obwieszczali zaślubiny. Na wszystkich ołtarzach płonęły srebrne lampy napełnione wonnym olejem, księża obnosili kadzielnice, a państwo młodzi trzymając się za ręce odebrali błogosławieństwo samego biskupa. Mała syrena ubrana w złoto i jedwabie niosła tren panny młodej, ale jej uszy nie słyszały uroczystej muzyki, jej oczy nie widziały świętej ceremonii; myślała o nocy swej

śmierci, o szczęściu, które straciła.

Jeszcze tego samego wieczoru państwo młodzi weszli na pokład okrętu; armaty strzelały, powiewały wszystkie chorągwie, a pośrodku stał królewski namiot ze złota i purpury, usłany najpiękniejszymi poduszkami, tam miała spać młoda para w cichą, chłodną noc.

Żagle wydeły się na wietrze i statek płynął lekko i spokojnie po jasnym morzu.

Gdy się ściemniło, zapalono kolorowe lampy i marynarze tańczyli wesołe tańce na pokładzie. Mała syrena przypomniała sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy wynurzyła się z morza i widziała takie samo radosne święto. A potem tańczyła wśród innych unosząc się lekko jak jaskółka, wszyscy zachwycali się nią, bo nigdy jeszcze nie tańczyła tak pięknie. Przy każdym stąpieniu jakby ostre noże kłuły ją w delikatne nóżki, ale nie czuła tego, o wiele boleśniej kłuło ją serce. Wiedziała, że spędza ostatni wieczór z tym, dla którego porzuciła rodzinę i ojczyznę, oddała piękny głos i zносиła codziennie niezliczone męki, podczas gdy on nawet tego nie przeczuwał. Była to ostatnia noc, kiedy oddychała tym samym co on powietrzem; widziała gwiazdziste niebo i głębokie morze; teraz ogarnąć ją miała wieczna noc, bez myśli i bez snów, bo nie miała nieśmiertelnej duszy i nigdy już jej zdobyć nie mogła. A na statku panowała radość i wesele aż do późnej nocy, syrena tańczyła i śmiała się czując śmierć w sercu. Księżę całował swą piękną oblubienicę, a ona bawiła się jego czarnymi włosami i razem udali się na spoczynek do wspaniałego namiotu.

Na statku zapanowała cisza i spokój; tylko sternik stał przy sterze; syrenka oparła się białymi dłońmi o poręcz statku i spoglądała na wschód, ku jutrzence; wiedziała, że zabije ją pierwszy promień słońca. Wtedy ujrzała siostry wyłaniające się z morza, były blade jak ona, ich długie, piękne włosy nie powiewały już na wietrze, były obcięte.

– Oddaliśmy je czarownicy, aby uratowała tej nocy twoje życie. Dała nam nóż, oto jest! Czy widzisz, jaki jest ostry? Zanim wszędzie słońce, musisz przebić nim serce księcia i kiedy gorąca krew opryska twoje nogi, zrosną się w ogon, staniesz się znowu syreną i będziesz mogła zejść do wody, do nas, i żyć trzysta lat, zanim nie zmienisz się w martwą, słoną morską pianę. Spiesz się, ty albo on musicie umrzeć, zanim wszędzie słońce. Nasza stara babka martwi się tak, że jej białe włosy wypadły, tak jak nasze spadły pod nożycami czarownicy. Zabij księcia i wracaj do domu. Spiesz się, czy widzisz czerwoną smugę na niebie? Za parę minut wszędzie słońce i wtedy umrzesz! – Westchnęły głęboko i zanurzyły się w falach.

Mała syrena odsunęła purpurową zasłonę namiotu i ujrzała piękną pannę młodą śpiącą z

głową wspartą na piersi księcia; schyliła się i pocałowała go w cudne czoło, spojrzała w niebo, gdzie coraz jaśniej świeciła jutrzienka, spojrzała na ostry nóż i znowu zwróciła oczy na księcia, który we śnie wymówił imię swojej oblubienicy, tylko ona żyła w jego myślach; nóż zadrżał w ręku syreny, odrzuciła go daleko w fale, które zabłyśły czerwonym blaskiem; tam gdzie nóż upadł, wydawało się, że krople krwi wytryskują z wody. Raz jeszcze spojrzała żalnym wzrokiem na księcia, a potem skoczyła ze statku do morza i czuła, jak jej ciało zmienia się w pianę.

Teraz słońce weszło nad morzem, promienie jego padały tak łagodnie, ogrzewając śmiertelnie zimną pianę morską, mała syrenka nie czuła wcale śmierci, ujrzała jasne słońce, a wysoko nad nią unosiły się tysiące pięknych, przezroczystych istot. Poprzez te istoty widziała białe żagle statku i czerwone obłoki na niebie; głosy tych istot były melodią, ale tak delikatną, że ucho żadnego człowieka nie mogło jej usłyszeć, jak również żadne ziemskie oko nie mogło ich widzieć, bez skrzydeł, własną lekkością, unosiły się one w powietrzu. Mała syrenka zobaczyła, że ma ciało podobne do nich, i wzniosła się coraz wyżej i wyżej z piany ku górze.

– Dokąd ja idę? – spytała, a jej głos brzmiał jak głos tych cudnych duchów, tak nieziemsko, że żadna ziemska muzyka nie mogłaby go naśladować.

– Do cór powietrza! – odpowiedziały tamte. – Syreny nie mają nieśmiertelnej duszy i nie mogą jej mieć, chyba że zdobędą miłość człowieka. Jej wieczne trwanie zależy od obcych mocy. Córy powietrza także nie mają wiecznej duszy, ale przez dobre uczynki mogą na nią zasłużyć. Lecimy do ciepłych krajów, gdzie dzuma zabija ludzi; tam niesiemy ożywczy chłód. Rozpylamy w powietrzu zapach kwiatów, koimy i leczymy. Kiedy przez trzysta lat dążyć będziemy do tego, aby w miarę naszych sił czynić dobro, wtedy osiągniemy nieśmiertelność i będziemy brały udział w ludzkim wiecznym szczęściu. Biedna mała syreno, dążyłaś całym swym sercem do tego samego co my celu! Cierpiałaś tak jak my i wzniosłaś się do świata powietrznych duchów, a po trzystu latach możesz przez dobre uczynki zdobyć nieśmiertelną duszę.

Mała syrena wzniosła ku Bożemu słońku białe ramiona i po raz pierwszy poczuła w oczach łzy.

Na statku znowu zawrzało życie i gwar, syrena widziała księcia wraz z jego piękną małżonką, jak szukał jej; spoglądali smętnie na pieniającą się wodę, jak gdyby wiedzieli, że syrenka rzuciła się na fale. A ona niepostrzeżenie pocałowała oblubienicę w czoło, uśmiechając się do księcia i wraz z innymi dziećmi powietrza wzniosła się ku górze, ku różowym obłokom szybującym w

powietrzu.

– Za trzysta lat wzniesiemy się do królestwa Bożego!

– Jeszcze wcześniej możemy się tam dostać! – szepnęła jedna z nieziemskich istot. – Niewidzialne, dostajemy się do domów ludzi, gdzie są dzieci, i widok każdego dziecka sprawiającego swoim rodzicom radość i zasługującego na ich miłość skraca czas naszej próby. Dziecko nie wie, kiedy przelatujemy przez pokój, a gdy się uśmiechamy z radości, jaką nam sprawiło, Bóg odlicza nam jeden rok z trzystu lat; ale jeśli napotkamy niegrzeczne i złe dziecko, wylewamy łzy smutku, i każda łza przedłuża o jeden dzień czas naszej próby!

NOWE SZATY CESARZA

Przed wielu laty żył sobie cesarz, który tak bardzo lubił nowe, wspaniałe szaty, że wszystkie pieniądze wydawał na stroje. Nie dbał o swoich żołnierzy, nie zależało mu na teatrze ani na łowach, szło mu tylko o to, by obnosić przed ludźmi coraz to nowe stroje. Na każdą godzinę dnia miał inne ubranie, i tak samo, jak się mówi o królu, że jest na naradzie, mówiono o nim zawsze: „Cesarz jest w garderobie.”

W wielkim mieście, gdzie mieszkał cesarz, było bardzo wesoło; codziennie przyjeżdżało wielu cudzoziemców. Pewnego dnia przybyło tam dwu oszustów, podali się za tkaczy i powiedzieli, że potrafią tkać najpiękniejsze materie, jakie sobie tylko można wymarzyć. Nie tylko barwy i wzór miały być niezwykle piękne, ale także szaty uszyte z tej tkaniny miały cudowną własność: były niewidzialne dla każdego, kto nie nadawał się do swego urzędu albo też był zupełnie głupi.

„To rzeczywiście wspaniałe szaty! – pomyślał cesarz. – Gdybym je miał na sobie, mógłbym się przekonać, którzy ludzie w moim państwie nie nadają się do swoich urzędów; odróżniałbym mądrych od głupich. Tak, ten materiał muszą mi utkać jak najprędzej.” I dał oszustom z góry dużo pieniędzy, aby mogli rozpocząć pracę.

Oszuści ustawili warsztaty tkackie, udawali, że pracują, ale nie mieli nic na warsztatach. Zażądali od razu najdroższych jedwabów i najwspanialszego złota; chowali je do własnej kieszeni i pracowali przy pustych warsztatach, i to często do późnej nocy.

„Chciałbym jednak wiedzieć, jak daleko postąpiła robota” – pomyślał cesarz, ale zrobiło mu się nieswojo na myśl, że człowiek głupi albo niezdatny do urzędu, który piastuje, nic nie zobaczy; uspokoił się wprawdzie, że o sobie nie potrzebuje się obawiać, ale postanowił jednak posłać kogoś, aby dowiedzieć się, jak rzeczy stoją. Wszyscy ludzie w mieście wiedzieli, jaką cudowną własność miała mieć ta materia, i wszyscy pragnęli się przekonać, że ich sąsiad jest głupi lub zły.

„Poślę do tkaczy mojego starego, poczciwego ministra – pomyślał cesarz – ten będzie mógł najlepiej ocenić ich pracę, bo ma dużo rozumu i nikt lepiej niż on nie sprawuje swego urzędu.”

I oto stary, poczciwy minister poszedł do sali, gdzie siedzieli dwaj oszuści i pracowali przy

pustych warsztatach tkackich. „Boże drogi – pomyślał stary minister i wytrzeszczył oczy – ależ ja nic nie widzę.” Ale głośno nie przyznał się do tego.

Obaj oszuści prosili go, aby łaskawie zbliżył się do nich, i pytali, czy wzór nie jest piękny i barwa wspaniała. Wskazywali przy tym na puste warsztaty i biedny, stary minister otwierał w dalszym ciągu oczy, ale nie mógł nic dostrzec, bo nic tam nie było. „Wielki Boże! – pomyślał. – Czyżbym był głupi? Tego nigdy nie przypuszczałem i nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Czyżbym nie nadawał się do swego urzędu? Nie, nie mogę nikomu powiedzieć, że nie widziałem tkaniny.”

– No i co, nic pan nie mówi? – powiedział jeden z tkaczy.

– O, to jest śliczne, bardzo ładne! – powiedział stary minister i patrzył przez okulary. – Co za wzór i jakie kolory! Tak, powiem cesarzowi, że mi się tkanina niezwykle podoba.

– To nas cieszy – powiedzieli tkacze i wymieniali nazwę barwy oraz objaśniali rysunek wzorów.

Stary minister pilnie uważał, aby móc dokładnie powtórzyć wszystko cesarzowi, co też uczynił.

Po czym oszuści zażądali więcej pieniędzy i nowego zapasu jedwabiu i złota, potrzebnego jakoby do dalszej pracy. Ale znów wszystko schowali do kieszeni, a na warsztatach tkackich nie było ani jednej nitki. Pomimo to siedzieli jak przedtem przy pustych warsztatach.

Cesarz posłał wkrótce innego uczciwego urzędnika, aby zobaczył, jak postępuje praca tkaczy i czy tkanina będzie już wkrótce skończona. Powiodło mu się zupełnie tak samo jak ministrowi. Patrzył i patrzył, ale ponieważ nie było nic na warsztatach, nie mógł więc nic zobaczyć.

– Czyż to nie cudowna tkanina? – zapytali obaj oszuści i pokazali mu, objaśniając, wspaniałe wzór, który wcale nie istniał.

„Głupi nie jestem – pomyślał posłany człowiek. – A więc chyba nie nadaję się do mego świetnego stanowiska. Byłoby to dość dziwne, ale nie trzeba tego po sobie okazywać”. Pochwalił tkaninę, której nie widział, i zapewniał oszustów, jak bardzo mu się podobają piękne barwy i ładny wzór.

– Tak, to przepiękne – powiedział do cesarza.

Wszyscy ludzie w mieście mówili o wspaniałej tkaninie.

Wreszcie cesarz zapragnął sam zobaczyć materię na warsztacie. Wybrał się więc z całą gromadą oddanych mu ludzi, wśród których znajdowali się i tamci dwaj dzielni urzędnicy,

którzy już tu byli, i zastał sprytnych oszustów pracujących jak najgorliwiej, lecz bez nici i bez osnowy.

– Czyż to nie wspaniałe? – powiedzieli dwaj dostojni urzędnicy. – Niech jego cesarska mość tylko spojrzy, co za wzór, co za barwy! – I pokazywali puste krosna, gdyż myśleli, że wszyscy prócz nich widzą tkaninę.

„Cóż to? – pomyślał cesarz. – Nic nie widzę. To straszne! Czyżbym był głupi? Czy jestem niewart tego, aby być cesarzem? To byłoby najstraszniejsze, co mi się mogło przytrafić.”

– O tak, to jest bardzo piękne – powiedział cesarz – raczę to bardzo pochwalić! – kiwnął z zadowoleniem głową i zaczął oglądać puste krosna, bo nie chciał powiedzieć, że nic nie widzi. Cały orszak, który otaczał cesarza, patrzył i patrzył, ale także nic nie widział, wszyscy jednak mówili tak jak cesarz:

– Tak, to jest bardzo piękne.

I radzili monarsze, aby szaty z tego nowego wspaniałego materiału włożył po raz pierwszy na wielką procesję, która miała się wkrótce odbyć.

– Magnifique, zachwycające, excellent! – powtarzał jeden za drugim, i wszyscy byli niezwykle radzi.

Cesarz ofiarował każdemu z oszustów krzyż do noszenia w dziurce od guzika i nadał każdemu tytuł nadwornego tkacza.

Przez całą noc poprzedzającą procesję oszuści nie spali i szyli szaty przy szesnastu świecach. Ludzie widzieli, jak się śpieszyli, aby wykończyć nowe szaty cesarza. Wykonywali takie ruchy, jakby zdejmowali materiał z krosien, cięli wielkimi nożycami w powietrzu, szyli igłami bez nici i wreszcie powiedzieli:

– Oto szaty gotowe.

Cesarz przyszedł do nich z najdostojniejszymi dworzanami, a dwaj oszuści podnosili ramiona takim ruchem, jakby coś trzymali w ręku, i mówili:

– Oto spodnie, oto frak, oto płaszcz! – I tak dalej. – Wszystko takie

lekkie jak pajęczyna; takie cienkie, że się nic na ciebie nie czuje, ale na tym polega cała zaleta tych szat.

– Istotnie – powiedzieli wszyscy dworzanie, ale nie mogli nic zobaczyć, bo przecież nic nie było.

– Może jego cesarska mość raczy łaskawie zdjąć swoje suknie – powiedzieli oszuści –

przymierzmy nowe szaty tu przed tym wielkim lustrem!

Cesarz zdjął ubranie, a oszuści udawali, że wkładają na niego różne części nowo uszytych szat. Objęli go wpół tak, jak gdyby coś zawiązywali, niby to tren; cesarz zaś kręcił się i obracał przed lustrem.

– Boże, jak to dobrze leży, jak cesarzowi w tym do twarzy – mówili oszuści. – Jaki wzór, jakie barwy! To wspaniały strój!

– Baldachim, który będą nieść podczas procesji nad jego cesarską mością, czeka przed domem – oznajmił najwyższy mistrz ceremonii.

– Dobrze, jestem gotów – powiedział cesarz. – Czy dobrze leży? – I wykręcił się jeszcze raz przed lustrem, żeby się wydawało, że ogląda swój wspaniały strój.

Dworzanie, którzy mieli nieść tren, schylili się do ziemi i czynili takie ruchy rękami, jakby ów tren podnosili; a potem szli i udawali, że coś niosą w powietrzu; nie ośmielali się okazać, że nic nie widzą.

I tak oto kroczył cesarz w procesji pod wspaniałym baldachimem, a wszyscy ludzie na ulicy i w oknach mówili:

– Boże, jakież te nowe szaty cesarza są piękne! Jaki wspaniały tren, jaki świetny krój.

Nikt nie chciał po sobie pokazać, że nic nie widzi, bo wtedy okazałoby się, że nie nadaje się do swego urzędu albo że jest głupi. Żadne szaty cesarza nie cieszyły się takim powodzeniem jak te właśnie.

– Patrzcie, przecież on jest nagi! – zawołało jakieś małe dziecko.

– Boże, słuchajcie głosu niewiniątka – powiedział wtedy jego ojciec i w tłumie jeden zaczął szeptem powtarzać drugiemu to, co dziecko powiedziało.

– On jest nagi, małe dziecko powiedziało, że jest nagi!

– On jest nagi! – zawołał w końcu cały lud. Cesarz zmieszał się, bo wydawało mu się, że jego poddani mają słuszość, ale pomyślał sobie:

„Muszę wytrzymać do końca procesji”. I wyprostował się jeszcze dumniej, a dworzanie szli za nim, niosąc tren, którego wcale nie było.

KALOSZE SZCZĘŚCIA

1. Początek

W Kopenhadze, w jednym z domów na Östergade, niedaleko od centrum placu Kongens Nytorv, było wielkie przyjęcie. Takie przyjęcia należy co pewien czas wyprawiać, żeby się pozbyć tego obowiązku i żeby w zamian być zapraszonym na podobne przyjęcia przez innych. Część gości siedziała już przy kartach, a druga część czekała, co wyniknie z pytania gospodyni: „No, i w co się teraz zabawimy?” Rozmowa toczyła się tak, jak zwykle toczą się podobne rozmowy. Między innymi zaczęto mówić o średniowieczu i niektórzy goście uważali tę epokę za daleko lepszą od naszych czasów. A radca Knap bronił nawet tak zawzięcie tego poglądu, że gospodyni zgodziła się z jego wywodami i oboje zaczęli zwalczać pogląd Örsteda, który w Almanachu o starych i nowych czasach wynosił nasze czasy ponad tamte. Radca uważał, że najszcześniejsza była epoka króla Jana.

Podczas gdy się tak plecie ta rozmowa, przerwana jedynie na chwilę przyniesieniem gazety, w której, nawiasem mówiąc, nic nie było do czytania, zajrzyjmy do pokoju, gdzie pozostawiono płaszcze, laski, parasole i kalosze. W przedpokoju tym siedziały dwie dziewczyny: jedna młoda, druga starsza. Można było sądzić, że to dwie służące, które przyszły, aby towarzyszyć swoim paniom, jakiejś starej pannie lub wdowie, ale gdy się uważniej im przyjrzało, widać było od razu, że nie były to zwykłe służące. Na to dłonie ich były za delikatne, postawy i ruchy iście królewskie, a nawet szaty miały śmiały krój. Były to dwie wróżki. Młodsza nie była co prawda samym Szczęściem, ale jedną z pokojówek u jednej z dam dworu samego Szczęścia, i obnosiła drobniejsze jego dary po świecie. Starsza wyglądała ogromnie poważnie i surowo, była to bowiem Troska, ta zawsze osobiście załatwia swoje sprawy nie polegając na nikim; tylko wtedy wie, że załatwione są ściśle i sumiennie.

Wróżki opowiadały sobie nawzajem, gdzie były tego dnia. Ta, która była służebną damy dworu Szczęścia, spełniła kilka drobnych zadań: ochroniła nowy kapelusz przed ulewą, sprawiła, że wytworny nicpoń uklonił się uczciwemu, skromnemu człowiekowi, i tym podobne, ale teraz miała przed sobą poważniejsze zadanie, coś, co było zupełnie niezwykłe.

– Muszę powiedzieć, że dzisiaj przypadają moje urodziny – rzekła. – Powierzono mi więc w

celu uczczenia tego święta parę kaloszy, które mam wręczać ludziom. Kalosze mają tę cudowną własność, że człowiek, który je włoży, może się znaleźć w takim czasie i w takim miejscu, w jakim pragnie się znajdować. Każde życzenie w zakresie czasu i miejsca będzie natychmiast spełnione. Raz w życiu będzie naprawdę szczęśliwy.

– Szczęśliwy! I ty wierzysz temu! – powiedziała Troska. – Jestem pewna, że będzie nieszczęśliwy i że będzie błogosławił tę chwilę, kiedy pozbędzie się kaloszy.

– Co też ty mówisz – zaprzeczyła tamta. – Stawiam kalosze tu pod drzwiami. Ktoś zamieni je ze swoimi i zostanie uszczęśliwiony. Oto o czym rozmawiały wróżki.

2.Co się przydarzyło panu Radcy?

Było już późno. Radca Knap, zagłębiony w myślach o czasach króla Jana, wybrał się do domu i oto los chciał, że zamiast swoich kaloszy włożył na nogi kalosze szczęścia, po czym wyszedł na Östergade. Ale ponieważ czarodziejska siła kaloszy przeniosła go w czasy króla Jana, więc nogi jego natychmiast ugrzęzły w błocie, bo za czasów króla Jana ulice nie były brukowane.

– To okropne! Dlaczego tu jest tak brudno? – powiedział radca. – Chodnik gdzieś się zapodział i wszystkie latarnie pogasły!

Księżyc nie wzeszedł jeszcze wysoko, a poza tym była gęsta mgła, tak że wszystko tonęło w ciemnościach. Na najbliższym rogu paliła się, co prawda, lampka przed obrazem Matki Boskiej, ale światło było prawie że żadne; radca spostrzegł je dopiero, gdy był całkiem blisko, i wzrok jego padł na malowidło przedstawiające Matkę z Dzieciątkiem. „Z pewnością – pomyślał – mieści się tu antykwariat i zapomniano schować na noc szyld.”

Przeszło koło niego paru ludzi w strojach z tamtej epoki.

– Cóż to za ubranie? Pewnie wracają z maskarady!

Nagle rozległy się dźwięki trąb i piszczałek, mroki ulicy rozświetlił blask pochodni. Radca zatrzymał się i przyglądał dziwnemu pochodowi, który przeciągał środkiem ulicy. Na przedzie kroczyli dobosze waląc w bębny, za nimi trabanci uzbrojeni w łuki i kusze. Najważniejszym w pochodzie był jakiś duchowny. Zdumiony tym widokiem radca spytał, co to wszystko znaczy i kim jest ten człowiek.

– To biskup Zelandii – odpowiedziano mu.

– Mój Boże, co też się stało temu biskupowi? – westchnął trzęsąc głową radca. – Nie, to niemożliwe!

I rozmyślając nad tym, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, szedł radca ulicą Östergade aż do placu Høibro. Ale nie mógł nigdzie znaleźć mostu wiodącego do Kongens Nytorv z placu Zamkowego. Przystanął na brzegu kanału i natknął się tu na dwu ludzi siedzących przy łodzi.

– Chce pan na wyspę Holm? – spytali go.

– Na wyspę Holm? – powtórzył radca, który wciąż nie wiedział, w jakim jest stuleciu. – Chcę się dostać do Christianshavn, a stamtąd na Lilletorvegade.

Ludzie spojrzeli po sobie.

– Powiedźcie mi tylko, gdzie jest most? To skandal, że nie zapalono latarni. I cóż tu za błoto? Zupełnie jak gdyby się chodziło po bagnie.

Im dłużej mówił z przewoźnikiem, tym mniej rozumiał, co ci ludzie mówią.

– Nie rozumiem waszej bornholmszczyzny – powiedział wreszcie ze złością, odwrócił się od nich i poszedł dalej. Ale wciąż nie mógł znaleźć mostu, nie było nawet bariery oddzielającej wodę.

– To skandal, jak tu wygląda – oburzał się. Jeszcze nigdy tak nie pogardzał swoją epoką jak tego wieczora.

„Zdaje się, że będę musiał wziąć dorożkę – pomyślał. – Ale jak tu znaleźć dorożkę? Będę musiał chyba wrócić na Kongens Nytorv. Tam z pewnością jest postój dorożek. Inaczej nigdy nie dostanę się do Christianshavn.”

Wrócił więc do Östergade i właśnie w chwili gdy tam dotarł, na niebie ukazał się księżyc.

– Mój Boże, cóż to za rusztowanie tam ustawili! – powiedział, patrząc na bramę, która wówczas znajdowała się u wylotu Östergade.

Wreszcie przez furtkę w bramie wydostał się na plac Nytorv, ale plac ten okazał się obszerną łąką; rzadkie krzaki sterczały tu i ówdzie, a środkiem łąki płynął kanał czy też potok. Parę nędznych lepianek na drugim brzegu służyło tu za schronienie hallandzkim rybakom, od których miejsce to wzięło nazwę Strugi Hallandzkiej.

– Albo ujrzałem, jak to mówią, fatamorganę, albo jestem pijany – jęknął radca. – Cóż to jest? Cóż to jest?

Zawrócił, święcie przekonany, że jest chory. Gdy znalazł się znowu na ulicy, przyjrzał się uważniej domom i spostrzegł, że większość z nich była zbudowana z drewnianych wiązadeł, a

wiele miało dachy kryte słomą.

– Nie, nie, stanowczo nie czuję się dobrze! – wzdychał. – A wypilem przecież tylko jedną szklankę ponczu. Ale widocznie i tego nie jestem w stanie znieść. Też pomyśl, żeby podawać do ponczu gorącego łososa. Muszę to powiedzieć gospodyni. Może by tak wrócić i powiedzieć, jak ja się teraz źle czuję. Głupstwo! Nie wiadomo, czy nie poszli już spać.

Zaczął szukać znajomego domu, ale nie mógł go znaleźć.

– To straszne! Nie poznaję wcale Östergade! Nie widzę tu ani jednego sklepu. Same jakieś stare, zapadłe chałupy, jak gdybym był w Roskilde albo w Ringsted. Ach, zachorowałem. Nie powinienem się krepować. Ale gdzież podział się dom agenta? Wygląda zupełnie inaczej niż zawsze. W każdym razie są tam wewnątrz ludzie, wejść do środka. Ach, z pewnością jestem bardzo chory!

Natrafił na uchylone drzwi, zza których padało przez szparę światło. Była to jedna z gospod, rodzaj piwiarni, których tak wiele było w mieście w owych czasach.

Izba wyglądała jak wnętrze holsztyńskiej chaty. Towarzystwo, składające się z żeglarzy i obywateli kopenhaskich oraz z paru uczonych ludzi, siedziało zatopione w żywej rozmowie przy dzbanku i mało zwróciło uwagi na wchodzącego.

– Przepraszam bardzo! – powiedział radca do gospodyni, która podeszła do niego. – Ale zrobiło mi się słabo i chciałem prosić o znalezienie mi dorożki, która by mnie zawiozła do Christianshavn.

Kobieta spojrzała na niego i potrząsnęła głową. Potem przemówiła do niego po niemiecku. Radca zrozumiał, że kobieta nie zna duńskiego, i dlatego powtórzył swoją prośbę po niemiecku. To w połączeniu z jego niezwykłym strojem utwierdziło kobietę w mniemaniu, że ma przed sobą cudzoziemca. Zrozumiała jednak, że czuje się on niedobrze, i przyniosła mu dzban mętnej wody, którą widać zaczerpnęła z pobliskiej studni.

Radca podparł głowę ręką, odetchnął głęboko i zaczął rozmyślać nad wszystkimi dziwami, które go otaczały.

– Czy to dzisiejszy „Dzień” – spytał, żeby coś powiedzieć widząc, że kobieta odkłada jakiś duży arkusz papieru.

Kobieta nie rozumiała, o co pyta, ale podała mu trzymany w ręku papier. Był to drzeworyt przedstawiający zjawisko powietrzne, obserwowane w mieście Kolonii.

– To bardzo stare! – powiedział radca, ogromnie podniecony znalezieniem czegoś tak

starożytnego. – W jaki sposób dostał się tak rzadki sztych w pani ręce? Bardzo ciekawe, chociaż treść ilustracji jest wierutną bajką. Przekonano się, że to była zorza północna i że podobne zjawiska prawdopodobnie wywołuje elektryczność!

Najbliżej siedzący biesiadnicy słysząc jego słowa spojrzeli nań zdziwieni, a jeden z nich powstał z miejsca, zdjął kapelusz z głowy i powiedział z najpoważniejszą miną:

– Musicie być bardzo uczoney, monsieur!

– O, wcale nie! – zaprzeczył radca. – Tyle tylko, że umiem o tym czy o owym pomówić jak każdy inny.

– Modestia² to piękna cnota! – powiedział nieznajomy. – A zresztą chciałbym dodać do pańskiego zdania: mihi secus videtur³, chętnie jednak wstrzymam się tu od mego własnego iudicium⁴!

– Czy wolno mi spytać, z kim mam przyjemność? – spytał radca.

– Jestem bakałarzem uczonym w Piśmie! – odpowiedział nieznajomy.

Ta odpowiedź wystarczyła radcy. Zresztą strój odpowiadał takiemu zawodowi. „Musi być starym nauczycielem wiejskim – pomyślał. – Dziwak, jakich można jeszcze niekiedy spotkać w zakamarkach Jutlandii.”

– Nie jest tu co prawda locus docendi⁵! – ciągnął dalej bakałarz. – Ale proszę, mówcie, panie. Musicie być biegłym w sprawach starożytnych.

– Ach, tak, istotnie, znam się na starożytnej literaturze, ale lubię także nowoczesną. Tylko nie te powieści z życia codziennego. Mamy ich dość w rzeczywistości.

– Z życia codziennego? – spytał bakałarz.

– Tak. Mam na myśli te modne obecnie powieści.

– O! – uśmiechnął się nieznajomy. – A jednak jest w nich wiele ukrytej mądrości. Czytają je przecież i na dworze. Król lubi zwłaszcza powieść o panu Ivenie i panu Gaudianie, w której czyta się o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu, żartuje często na ich temat z dworskimi panami.

– Tego jeszcze nie czytałem. To musiał świeżo dopiero wydać Heiberg – powiedział radca.

– Nie – odpowiedział tamten. – Wydawcą nie jest Heiberg, tylko Godfred von Gehmen.

² skromność (łac.)

³ tak mi się to wydaje (łac.)

⁴ sądu (łac.)

⁵ miejsce do nauczania (łac.)

– Ach, to on jest wydawcą! – wykrzyknął radca. – To bardzo stare nazwisko. Tak przecież nazywał się najstarszy drukarz w Danii.

– Tak, to jest nasz pierwszy drukarz – odparł człowiek. Rozmowa więc toczyła się gładko. Potem jeden z obywateli zaczął mówić o strasznej zarazie, która nawiedziła Danię na parę lat przedtem, przy czym miał na myśli epidemię z roku 1484, radca jednak zrozumiał, że mowa jest o niedawnej cholercie, i rozprawiano w dalszym ciągu. Następnie musiano poruszyć wojnę piracką z roku 1490. Narzekano na piratów angielskich, którzy pozabierali okręty z portu, a radca, któremu żywo stały w pamięci wypadki roku 1801⁶, narzekał wraz z nimi na Anglików. Dalsza rozmowa nie szła już tak składnie. Przestano się wzajemnie rozumieć. Uczony bakałarz wydawał się radcy bardzo naiwnym, a nawet najprostsze sprawy, które poruszał radca, brzmiały dla bakałarza jak zuchwale fantastyczne przypuszczenia. Spoglądali na siebie, a bakałarz w najkrytyczniejszych chwilach mówił po łacinie, bo myślał, że tak będzie lepiej zrozumiany, ale to nie pomagało.

– Jakże teraz czujecie się, panie? – spytała gospodyni ciągnąc radcę za rękaw. Radca nagle przypomniał sobie, co mu się przytrafiło, gdyż podczas rozmowy wypadło mu to z pamięci.

„Wielki Boże, gdzież ja się właściwie znajduję?” – pomyślał i aż mu się w głowie zakręciło.

– Napijemy się na zdrowie! Mieszanka z miodu i bremeńskiego piwa! – zawołał jeden z gości. – A wy napijcie się z nami, panie!

Weszły dwie dziewczyny, jedna z nich miała na głowie dwubarwny czepiec.⁷ Napęły kieliszki i ukloniły się pięknie. Radcę przeszedł lodowaty dreszcz.

– Cóż to się dzieje? Cóż to się dzieje? – powiedział, ale musiał pić z innymi. Wszyscy byli dla niego zresztą bardzo uprzejmi, aż wreszcie jeden z nich powiedział, że radca jest pijany. Radca uwierzył i prosił, aby mu sprowadzono dorożkę. Ale oni myśleli, że mówi po moskiewsku.

Radca jeszcze nigdy w życiu nie przebywał w tak prostackim i ordynarnym towarzystwie. „Przeżywam najokropniejsze momenty mego życia! – myślał. – Pomyślałby kto, że kraj się cofnął do czasów pogańskich.” I nagle przyszło mu do głowy, że mógłby przykucnąć pod stołem i na czworakach nieznacznie wysunąć się z izby. Ale gdy znalazł się już blisko drzwi, biesiadnicy spostrzegli, co się święci, i schwyтали go za nogi. Na szczęście dla radcy ściągnęli mu przy tym kalosze, a wraz z tym prysnął cały czar.

Radca zobaczył, że znajduje się pod jasno płonąca latarnią, a obok wznosi się wysoka

⁶ Andersen ma tu na myśli wojnę między Danią i Anglią.

kamienica. Znał ją doskonale, tak samo jak i wszystkie sąsiednie. Był na Östergade, wyglądającej tak, jak ją wszyscy znamy. Radca leżał zwrócony nogami ku bramie jakiegoś domu, a naprzeciw niego siedział stróż nocny i spał.

– Stwórco kochany, widocznie usnąłem na ulicy i wszystko to mi się śniło – powiedział. – Tak, jestem na ulicy Östergade, jak tu pięknie, jasno, jak czysto! To okropne, żeby jedna szklanka ponczu mogła mieć takie skutki.

W dwie minuty później siedział już w dorożce, która wiozła go do Christianshavn, rozmyślał o tym, ile się najadł strachu, i dziękował w duszy szczęśliwej rzeczywistości. Sławił nasze czasy, o wiele przewyższające mimo swych braków tamte, w których dopiero co przebywał.

Bardzo to było rozsądne ze strony pana radcy.

3. Przygoda nocnego stróża

– Cóż to za para kaloszy leży przed progiem domu? – powiedział stróż. – Na pewno należą do porucznika z pierwszego piętra. Leżą akurat przed bramą!

Uczciwy stróż miał ochotę zadzwonić i oddać kalosze właścicielowi, bo jeszcze się tam paliło światło, ale bał się, że obudzi innych mieszkańców domu; i dlatego dał spokój.

– Jakże to musi być ciepło w takich kaloszach na nogach! – westchnął. – Jakże są mięciutkie! – Akurat pasowały na jego nogi. – Jak to dziwnie dzieje się na tym świecie. Porucznik mógłby dawno położyć się do ciepłego łóżka, a zamiast tego biega tam i na powrót po pokoju. Szczęśliwy człowiek! Nie ma ani żony, ani dzieci! Co wieczór chodzi na wizyty. Ach, gdybym był na jego miejscu, byłbym szczęśliwym człowiekiem.

Zaledwie wymówił to życzenie, kalosze zaczęły działać, miał je przecież na nogach. I stróż wcielił się w porucznika. Stał na górze pośrodku oświetlonego pokoju i trzymał w palcach różowy arkusik papieru. Na arkusiku wypisane były wiersze, a wiersze te ułożył sam porucznik. Któż bowiem nie bywa raz w życiu w poetycznym usposobieniu. A kiedy zapisze się swe myśli, wtedy powstaje wiersz.

⁷ Król Jan wydał rozporządzenie, mocą którego dziewczęta uliczne nosiły dwubarwne czepki.

Na kartce były napisane te zwrotki:

Gdybym był możny, gdybym był bogaty –
Marzyłem o tym w dzieciństwie, przed laty –
Wtedy bym został dzielnym oficerem,
Chodziłbym z szablą, w mundurze, z orderem.
Minęły lata, jestem oficerem,
Lecz na ubóstwo nic to nie pomoże.
Wspieraj mnie, Boże.

Nadszedł raz wieczór, światło dnia pobladło
I na kolanach dziecię mi usiadło,
Dla niego snułem baśni barwne przędze,
Możny w skarb baśni, nie dbałem o nędzę,
Dziewczynka chciała baśni, nie pieniędzy.
Lecz na ubóstwo nic to nie pomoże.
Ty wiesz, o Boże.

„Ach, być bogatym” – modlitwa ma brzmiała,
Dziewczynka z czasem w dziewicę dojrzała,
Jest taka piękna, tak mądra, tak miła,
Ach, gdyby w sercu mym miłość odkryła,
Tę baśń tak wielką, ach, gdyby odkryła!
Lecz biedny jestem, nic mi nie pomoże.
Ty wiesz, o Boże.

O, gdybym znalazł ciszę, ukojenie
I precz odpędził od siebie cierpienie...
Ty, której serce me niosę w ofierze,
Przeczytaj, com tu skreślił na papierze,
Tę smutną baśń, co niosę w ofierze.
Smutek przede mną, nic mi nie pomoże,

I ciebie tylko błogosławię, Boże.

Tak wiersze piszą tylko zakochani, ale rozsądny człowiek ich nie drukuje. Porucznik, miłość i bieda to trójkąt, a raczej połówka przełamanej kostki szczęścia. Porucznik czuł to doskonale i dlatego, oparłszy głowę o ramę okna, wzdychał głęboko.

„Ubogi stróż na ulicy szczęśliwszy jest ode mnie! Nie wie on, co to tęsknota! Ma dom, żonę, dzieci, które podziela z nim troski i radości! O ileż byłbym szczęśliwszy, gdybym się mógł stać stróżem!”

I w tejże chwili stróż stał się na nowo stróżem, bo kalosze szczęścia zrobiły go porucznikiem, a jak widzimy, czuł się on o wiele gorzej w ciele porucznika i wołał zostać tym, czym był w istocie. A więc stróż był na nowo nocnym stróżem.

„Niedobry to był sen – powiedział wtedy – ale zabawny! Śniło mi się, że byłem porucznikiem w mieszkaniu na górze i że to wcale nie było przyjemne! Tęskniłem do starej i do bachorów, które zacałowują mnie na śmierć!”

Stróż usiadł znów i kiwał głową; sen nie chciał go opuścić, kalosze miał wciąż jeszcze na nogach. Po niebie przeleciała padająca gwiazda.

„Już jej nie ma! – pomyślał. – Ale jeszcze ich dość zostało na niebie. Chciałbym z bliska przypatrzeć się tym rzeczom, szczególnie księżycowi, bo ten tak prędko nie znika. Student, któremu moja żona pierze bieliznę, opowiada, że po śmierci wędrujemy z jednej planety na drugą. Naturalnie, to wymysł, ale to mogłoby być wcale miłe. Pragnąłbym, na przykład, żeby moja dusza teraz mogła zrobić taką małą wycieczkę. Ciało mogłoby zostać tymczasem tu na schodkach.”

Często w życiu trzeba się dobrze namyślić, zanim się coś powie. Ale szczególnie powinien pomyśleć ten, co wypowiada życzenie mając na nogach kalosze szczęścia. Posłuchajcie tylko, co się stało ze stróżem!

My, ludzie, znamy prawie wszyscy szybkość komunikacji za pomocą pary, wypróbowaliśmy ją albo w kolei, albo na statku płynąc po morzu, ale szybkość ta jest przechadzką leniwca czy marszem ślimaka w porównaniu z szybkością światła; jest ono dziewiętnaście milionów razy szybsze niż tamta szybkość, a elektryczność jest jeszcze prędsza. Śmierć jest elektrycznym ciosem, który otrzymujemy w serce, a dusza wyzwolona wyfruwa na skrzydłach elektryczności w przestrzeń. W ciągu ośmiu minut i jednej sekundy promień świetlny przebywa przestrzeń

przeszło dwudziestu milionów mil; dusza ludzka za pomocą pośpiesznej poczty elektrycznej zużywa jeszcze znacznie mniej czasu na przebycie tej samej drogi. Przestrzeń między ciałami niebieskimi nie wydaje jej się większą niż nam w mieście przestrzeń między domami naszych przyjaciół, ale za to ten elektryczny cios w serce dzieje się kosztem naszego życia tu na ziemi. Chyba że mamy kalosze szczęścia na nogach, tak jak ten stróż nocny.

W ciągu paru sekund stróż przebył pięćdziesiąt dwa tysiące mil dzielących ziemię od księżyca, który, jak wiadomo, zrobiony jest z materiału o wiele lżejszego niż ziemia i jest miękki jakby świeżo spadły śnieg. Znalazł się on na jednym z tych niezliczonych kraterów, które znamy z mapy księżycowej doktora Madlera; chyba ją znacie wszyscy? Góra spadła stromo w kotłinę, na długość całej duńskiej mili. Tu znajdowało się miasto. Wyglądało ono ze szczytu jak białko jajka w szklance wody. Kopuły, wieże, balkony w kształcie żagli były przezroczyste; chwiały się w rzadkim powietrzu; nasza ziemia, jako wielka purpurowa kula, unosiła się nad jego głową.

Były tam też jakieś istoty w rodzaju ludzi, ale wyglądające całkiem inaczej niż my na ziemi. Mówiły one jakimś językiem. Trudno doprawdy wymagać od duszy stróża nocnego, by ten język rozumiała; a jednak rozumiała ona każde słowo.

Rozumiała więc, że mieszkańcy księżyca rozprawiają o naszej ziemi i wątpią w to, czy jest zamieszkała, bo powietrze, które ją otacza, musi być zbyt gęste na to, by jakikolwiek rozsądny mieszkaniec księżyca był w stanie nim oddychać. Uważali oni, że tylko księżyc jest zamieszkały i że on jest ośrodkiem wszechświata, gdzie mieszkają jedyne w świecie żywe istoty.

Ale wróćmy teraz na Östergade i zobaczmy, co się stało z ciałem stróża. Siedziało ono martwe na schodach, z ręki wypadł mu kij stróżowski, oczy utkwione miało w księżyc, gdzie właśnie jego uczciwa dusza rozpoczęła wędrówkę.

– Która godzina, stróżu! – spytał jakiś przechodzień, a nie otrzymawszy odpowiedzi, dał mu lekkiego szcztka w nos i wówczas stróż stracił równowagę, ciało przewróciło się na wznak. Człowiek ten przecież był martwy. Wielki strach przejął przechodnia, który tak zażartował. Otóż stróż umarł i leżał nieżywy. Dano znać, gdzie trzeba, zbadano sprawę i nad ranem przeniesiono ciało do szpitala.

Ładny to byłby figiel dla duszy, gdyby wróciwszy z księżyca nie znalazła ciała na swoim dawnym miejscu na ulicy Östergade. Musiałaby zapewne wpierw polecieć na policję, potem do biura znalezionych rzeczy, by zobaczyć, czy nie znajdzie czasem swego ciała między zaginionymi przedmiotami: a potem popędziłaby do szpitala. Ale pociesmy się tym, że dusza

jest najmądrzejsza wówczas, gdy działa na własną rękę, to tylko ciało tak ją ogłupia.

Jak to już powiedzieliśmy, ciało stróża zaniesiono do szpitala. Tu położono je w sali przyjęć i przede wszystkim ściągnięto z niego kalosze. Wtedy dusza musiała wrócić do ciała i skierowała się prościuteńko na swoje miejsce. Stróż zaraz ożył.

Zapewniał wszystkich, że była to najokropniejsza noc w jego życiu, nie chciałby jeszcze raz przeżyć czegoś podobnego! Nawet za dwie marki. Na szczęście było już po wszystkim.

Wypisano go tego samego dnia, ale kalosze zostały w szpitalu.

4. Kulminacyjny moment

Numer deklamacji. Wysoce niezwykła podróż.

Każdy mieszkaniec Kopenhagi wie doskonale, jak wygląda brama szpitala Fryderyka, ale ponieważ historię tę będą czytali może i ci, którzy Kopenhagi nie znają, więc muszę ją na wszelki wypadek pokrótce opisać.

Szpital oddzielony jest od ulicy wysoką kratą żelazną, której pręty są tak szeroko jeden od drugiego rozstawione, że bardzo szczupli młodzi asystenci lekarscy wykradają się pomiędzy nimi na różne krótkie wizyty. Najtrudniej było przecisnąć na drugą stronę głowę, tak że i tu, jak w ogóle często na świecie, małe głowy są najszczęśliwsze. Tych parę słów wystarczy zamiast wstępu.

Tego wieczora miał dyżur jeden z młodych praktykantów. Można było o nim powiedzieć jedynie w fizycznym znaczeniu tego słowa, że miał tęgą głowę. Na dworze deszcz lał strumieniami, ale pomimo tych dwóch przeszkód lekarz postanowił wyjść, przynajmniej na kwadrans. Uważał przy tym, że nie oplaca się na tak krótki przeciąg czasu wtajemniczać w całą sprawę woźnego, gdy można się było prześliznąć pomiędzy prętami ogrodzenia.

Stały tam kalosze zapomniane przez stróża; młody lekarz wcale nie myślał, że to kalosze szczęścia, ale sądził, że przydadzą mu się na taką pogodę, włożył je więc i chciał prześliznąć się przez ogrodzenie, czego jeszcze nigdy dotychczas nie próbował. No i już jest przy ogrodzeniu!

– Daj Boże, aby przesunąć głowę! – powiedział asystent i zaraz (choć głowę miał dużą i grubą) szczęśliwie przesunął ją pomiędzy prętami, już to kalosze potrafiły zrobić! Teraz trzeba było przecisnąć całe ciało, ale tu sprawa utknęła.

– Ha, jestem za gruby – powiedział asystent – myślałem, że z głową będzie najtrudniej! Nie

przelizę, to darmo!

Chciał prędko cofnąć głowę, ale nie mógł. Mógł łatwo poruszać szyją, ale to wszystko. Z początku się rozgniewał, a potem humor zupełnie go opuścił. Kalosze szczęścia postawiły go w strasznej sytuacji, a na nieszczęście nie przyszło mu do głowy powiedzieć, że chce wyzwolenia z tej pozycji. Deszcz lał, nikogo nie było na ulicy. Nie mógł dosięgnąć dzwonka do bramy, jakże się mógł wyzwolić z takiego położenia? Myślał, że będzie musiał tak przestać do rana i że trzeba będzie posłać kogoś po kowala, aby przepiłował żelazne pręty, ale to przecie nie będzie tak szybko, a tymczasem cała szkoła chłopców w błękitnych mundurkach z przeciwka stanie na nogi, przybiegną weterani marynarze ze swoich domków, żeby przyglądać się, jak stoi niczym pod pręgierzem. Większy zbierze się tłum niż w zeszłym roku, kiedy to podziwiano kwitnącą, olbrzymią agawę. „Ha, krew uderza mi do głowy, ja oszaleję! Już szaleję! Ach, żebym się tylko mógł wydostać, zaraz mi wszystko przejdzie!”

Widzicie, tak powinien był od razu powiedzieć; w jednej chwili miał już głowę wolną i skoczył z powrotem do szpitala, nieprzytomny ze strachu, którego mu napędziły kalosze szczęścia.

Ale niech się nam nie zdaje, że już się wszystko skończyło. Działy się jeszcze gorsze rzeczy. Noc minęła i cały następny dzień, a nikt nie przysłał po kalosze.

Wieczorem miało się odbyć przedstawienie w małym teatrze przy ulicy Kannikestraede. Sala była pełna; przeczytano nowy wiersz. Zaraz go posłyszemy. Tytuł był następujący:

Okulary babuni

*Mądrość mej babki uznana jest wszędzie,
Wie ona świetnie, co jest i co będzie;
Gdyby przed laty w dawnych czasach żyła,
Jak czarownica życie by skończyła,
Nie lubi chwalić się swą sztuką wcale,
Nie zawsze mówi. co wie doskonale.
Pragnąłbym nieraz wiedzieć, co się w kraju stanie,
I o me losy zadać jej pytanie;
Lecz choć nie lubi zgadywać przyszłości,
Mówi mi czasem w swej dla mnie miłości.*

By mi dogodzić, gdym prosił o czary,
 Dała mi babka swoje okulary.
 „Idź w takie miejsce, gdzie jest ludzi wiele
 I poprzez szkiełka oglądaj ich śmieje,
 Myśli ich staną przed tobą jak karty.
 Z łatwością poznasz, co każdy z nich wartę.”
 Złożyłem dzięki i ruszyłem w drogę;
 Gdzież ich najwięcej zobaczyć też mogę?
 Na Langelinje? Zbyt mocny wiatr chłodzi,
 Na Östergade? Fe, w śmieciach się brodzi.
 Więc do teatru? To mnie bardzo nęci.
 Wieczorem wiele osób tam się kręci.
 A więc mnie tutaj obecnie widzicie,
 Jak przez szkła babci obserwuję życie.
 Nie uciekajcie, zostańcie chwileczkę,
 Za to podzielę się z wami troszeczkę
 Tym, co zobaczę przez te okulary,
 Które dostałem od me) babki starej;

(wkłada okulary)

Tak, to jest prawda – jakże mi wesoło!
 Ileż to cudów pokażę wam wkoło.
 Jakie przedziwne widzę tu figury,
 Kierowe damy, są ich całe sznury,
 A dalej czarne, to trefle i piki.
 Od razu widzę badań mych wyniki.
 Dama pikowa, jak żywa kobieta,
 Za cel swych uczuć wybrała waleta.
 Słyszałem wiele o dużym majątku,
 Lecz fakt ten psuć mi nie będzie dziś wątku.
 Nie chcę gazecie wchodzić ja w paradę,
 Bo tym przeszkody karierze mej kładę.

*Teatry tykać? Premiery? Prelekcje?
 Nie! Mógłbym tylko rozgniewać dyrekcję.
 A moje losy? Dobrze o tym wiecie,
 Że są najbliższe mi na całym świecie,
 Więc o nich milczę, nie powiem wyrazu,
 Bo mógłbym popsuć me sprawy od razu.
 Kto z was szczęśliwy, o tym milczeć wolę
 I o tym mówić sobie nie pozwolę.
 Kto będzie długo żył: ten pan? ta pani?
 Nie powiem, choć mi z nazwiska są znani.
 A więc, cóż mówić mam wam, moi drodzy?
 O tym? O tamtym? Nie, to jeszcze gorzej.
 Na co spoglądać? O czym mówić mam?
 Do was, panowie, i do pięknych dam?
 Lepiej już zamknę się całkiem w milczeniu
 I piękne dzięki złożę zgromadzeniu.*

Wiersz ten został świetnie wypowiedziany i recytatorowi podziękowano głośnymi oklaskami. Między widzami znajdował się też asystent ze szpitala, który, zdawało się, już zapomniał o swojej nocnej przygodzie. Na nogach miał kalosze szczęścia. Nikt się o nie nie upomniał, a ponieważ było błoto na ulicy; więc mu się przydały.

Wiersz ten spodobał się asystentowi.

Myśl w nim zawarta zajęła go bardzo; gdyby miał takie okulary, wiedziałby wszystko o ludziach, można by im na przykład zaglądać do serc, byłoby to o wiele bardziej zajmujące niż przepowiadanie tego, co będzie na przyszły rok, bo o tym i tak się dowiemy, a tego, co kto ma w sercu – nigdy. Weźmy na przykład tych wszystkich panów i panie w pierwszym rzędzie, żeby im można było zajrzeć do serc, musi tam przecież być jakieś wejście jak do magazynów, jakżebym się rozglądał w tych sklepach. Tamta pani ma z pewnością serce jak magazyn mód, tamta druga ma puste, lecz źle wyprzątnięte, ale z pewnością istnieją także i poważne, solidne sklepy.

„Ach tak – westchnął. – Znam nawet jeden taki solidny sklep, jedyną jego wadą jest to, że posiada już swego subiekta; to jedyna zła strona sklepu. Do niektórych sklepów z pewnością by

mnie zapraszano: «Prosimy bliżej!» – ach, żebym mógł wśliznąć się tam pod postacią miłego, przelotnego wzruszenia.”

To wystarczyło kaloszom szczęścia. Asystent skurczył się cały i rozpoczęła się jego niezwykła podróż poprzez serca ludzi siedzących w pierwszym rzędzie.

Pierwsze serce było sercem pewnej damy. Zrazu lekarz myślał, że znajduje się w instytucie ortopedycznym, jak zwykle się nazywało dom, w którym doktor usuwa wykoślawienia i wyprostowuje ręce i nogi, tyle wisiało tam na ścianach odlewów gipsowych rozmaitych zniekształconych ludzkich części ciała. Różnica jednak pomiędzy zakładem ortopedycznym a sercem polega na tym, że w zakładzie robi się odlewy gipsowe, gdy pacjent jest obecny, w sercu damy zaś odlewy te powstały dopiero po wyjściu ludzi. Były to odlewy cielesnych i duchowych braków przyjaciółek, starannie tutaj przechowywane.

Przeniósł się więc szybko do innego kobiecego serca. Wydało mu się ono obszernym kościołem, nad głównym ołtarzem latała biała gołębnica niewinności. Jakże chętnie padłby tam na kolana, ale musiał wędrować dalej. Jeszcze słyszał dźwięk organów i z uczuciem, jak gdyby stał się lepszym człowiekiem, poczuł się godnym tego, aby przekroczyć próg następnej świętości. Była to izdebka na poddaszu, leżała tam chora matka, ale okno izdebki było otwarte, zaglądały przezeń róże rosnące w skrzynkach i Boże słońko świeciło; dwa błękitne jak niebo ptaszki śpiewały o radości dziecięcej, a matka błogosławiła swą dobrą córkę.

Potem przeczłogał się na czworakach przez serce, które było, jak jatki rzeźnika, pełne mięsa i tylko mięsa. Było to serce pewnego bogacza, bardzo godnego człowieka, którego nazwisko z pewnością figurowało w księdze adresowej.

Teraz znalazł się z kolei w sercu małżonki tego bogacza. Było ono jak stary, rozwalający się gołębnik: portret męża służył tam za chorągiewkę na dachu; był on połączony automatycznie z drzwiami, które otwierały się i zamykały, ilekroć mąż się obrócił.

Potem znalazł się w lustrzanym gabinecie podobnym do tego, jaki jest w zamku Rosenborg. Tylko że tu lustra powiększały w niezwykłym stopniu, a pośrodku podłogi siedziało, jak Dalaj Lama, nic nie znaczące Ja osoby, do której należało serce, i dziwiło się własnej wielkości.

Nagle doznał wrażenia, jak gdyby się dostał do igielniczki pełnej kłujących igieł i szpilek. „To zapewne serce starej panny” – pomyślał, ale okazało się, że się myli: było to serce młodego wojskowego nagrodzonego wieloma już orderami, jak to się mówi, człowieka z sercem i rozumem.

Młody asystent opuścił ostatnie z rzędu serce zupełnie oszołomiony. Trudno mu było zebrać myśli, ale przypuszczał, że to jego zbyt bujna fantazja poniosła go w ten sposób.

„Mój Boże – myślał – z pewnością mam skłonności do pomieszania zmysłów. Jak tu gorąco. Krew uderza mi do głowy.” I nagle przypomniał sobie swoją przygodę z poprzedniego wieczora, kiedy mu głowia utkwiała między żelaznymi prętami szpitalnego ogrodzenia.

„To z pewnością skutki mojej wczorajszej przygody – westchnął. – Muszę czym prędzej coś na to poradzić. Myślę, że pomogłaby mi łaźnia parowa. Ach, gdybym już leżał na najwyższej desce.”

Ledwo to pomyślał, już leżał na najwyższej desce w łaźni. Był jednak całkowicie ubrany, w płaszczu i kaloszach, a gorące krople spadały mu na twarz z sufitu.

– Och! – krzyknął i zeskoczył na podłogę, a posługacz wrzasnął ze strachu, widząc ubranego człowieka w łaźni.

Asystent miał jeszcze tyle przytomności umysłu, że zdążył szepnąć posługaczowi: „Tu chodzi o zakład.” A gdy przyszedł do domu, przylepił sobie na plecach i na karku dwa wielkie plastry z wezykatorii⁸, aby wyciągnęły z niego szaleństwo.

Nazajutrz rano miał pokrwawione plecy i to było wszystko, co mu dały kalosze szczęścia.

5. Przemiana kopisty

Stróż nocny, o którym z pewnością jeszczeście nie zapomnieli, przypomniał sobie tymczasem o kaloszach, które znalazł, i zabrał z sobą do szpitala. Zgłosił się po nie, ale że ani porucznik, ani nikt na całej ulicy nie chciał się do nich przyznać, stróż zaniósł je na policję.

– Wyglądają zupełnie jak moje kalosze – powiedział jeden z panów kopistów i obejrzawszy uważnie znaleziony przedmiot postawił go koło swoich własnych. – Nawet oko szewca nie potrafiłoby rozróżnić jednych od drugich.

– Panie pisarzu! – zwrócił się do niego w tej chwili urzędnik, który wszedł z papierami.

Kopista odwrócił się, rozmówił z urzędnikiem, ale gdy skończył rozmowę, sam już nie był pewien, które kalosze należą do niego: te z lewej czy te z prawej strony.

⁸ Plaster sporządzony z owadów, tzw. much hiszpańskich, stosowany jako środek leczniczy.

„To pewno będą z pewnością te mokre” – pomyślał i właśnie się omylił, bo to były kalosze szczęścia. Myślicie, że urzędnik policji nie może się omylić? Włożył kalosze, do kieszeni wsadził paczkę papierosów, pod pachę wziął drugą paczkę, którą miał w domu odczytać i przepisać, i wyszedł. Była to niedziela przed południem, pogoda była śliczna.

„Przechadzka do Frederiksberg dobrze by mi zrobiła” – pomyślał i ruszył w tę stronę.

Nie było chyba pilniejszego, staranniejszego młodzieńca niż ów kopista. Użyczymy mu z całego serca tej przechadzki, która z pewnością doskonale podziiała na niego po długim siedzeniu bez ruchu. Z początku szedł nie myśląc o niczym, więc kalosze szczęścia nie miały okazji do pokazania swej czarodziejskiej siły.

W alei wiodącej do Zamku spotkał znajomego, młodego poetę, który opowiedział mu, że nazajutrz wyjeżdża w podróż wakacyjną.

– Więc pan znowu wyjeżdża? – spytał kopista. – Wolny i szczęśliwy z pana człowiek. Może pan sobie fruwać, dokąd się panu podoba, a my mamy łańcuch u nogi.

– Ale łańcuch ten jest przymocowany do drzewa, które daje chleb! – odparł poeta. – Nie ma pan za to potrzeby troszczyć się o jutro, a starość zabezpieczy panu emerytura.

– A jednak panu jest lepiej! – odparł kopista. – Siedzieć i układać sobie wiersze to przecież przyjemnie. Wszyscy mówią o panu miłe rzeczy, a przy tym jest się panem siebie. Ach, gdyby pan raz spróbował siedzieć, tak jak ja, dzień w dzień wśród tych przyziemnych spraw.

Poeta potrząsnął głową, pisarz także potrząsnął głową. Każdy z nich pozostał przy swoim zdaniu i rozstali się.

– Cóż to za dziwny naród ci poeci! – powiedział pisarz. – Chciałbym kiedyś spróbować, jak to się jest poetą, z pewnością nie pisałbym wówczas tak jak inni. Dziś taki prawdziwie wiosenny dzień, akurat dla poety. Powietrze jest takie przezroczyste, obłoki takie piękne, a zieleń tak pachnie! Od wielu już lat nie odczuwałem tego piękna tak jak w tej chwili.

Spostrzeżliście już zapewne, że pisarz zamienił się w poetę. Nie było to może tak bardzo widoczne, bo głupio jest sądzić, że poeci są różni od innych ludzi: wśród zwykłych ludzi spotyka się często bardziej poetyczne natury niż wśród uznanych poetów. Różnica pomiędzy zwykłymi ludźmi a poetami polega tylko na tym, że poeci mają lepszą pamięć duchową: potrafią zachować tak długo myśl i uczucie, aż przejdzie ono jasno i wyraźnie w słowo, a tamci tego nie potrafią. Istnieje jednak przejście od zwykłego człowieka do obdarzonego talentem, i to przejście właśnie przekroczył kopista.

– Jakież to piękny zapach! – powiedział. – Jakże przypomina mi fiołki u ciotki Lony. Tak, byłem wtedy małym chłopcem. Mój Boże, jakże dawno o tym nie myślałem. Pocziwa stara panna. Mieszkała w tamtej uliczce za giełdą. Zawsze miała w wazonie gałązkę lub dwie nawet podczas najsrozszej zimy. Fiołki pachniały w jej pokoiku, gdy ja przyciskałem do zamrożonej szyby gorące miedziaki i robiłem otwory, aby wyglądać na ulicę. Jakież to był piękny widok! Na kanale stały skute lodem zamrożone, opuszczone statki. Kracząca wrona stanowiła jedyną załogę, ale gdy powiał ciepły wiatr wiosenny, na kanale robił się ruch. Przy dźwiękach piosenek i wesołych okrzyków rąbano lód, okręty uszczelniano smołą i ruszały w dalekie kraje. A ja zostałem i muszę zostać na zawsze, zawsze siedzieć w dusznym biurze policyjnym i patrzeć na to, jak inni wyrabiają sobie paszporty, żeby wyjechać za granicę. Taki mój los. Tak. – Westchnął ciężko, ale potem nagle urwał. – Mój Boże, co się ze mną stało? Nigdy jeszcze tak nie myślałem ani nie czułem. To z pewnością z powodu wiosennego powietrza. To jednocześnie przyjemne i niepokojące uczucie. – Sięgnął do kieszeni, do której schował papiery. „Przejrzę je, może zacznę myśleć o czymś innym” – pomyślał. Spojrzał na pierwszy arkusz i przeczytał: „*Zygbryda*, oryginalna tragedia w pięciu aktach.» Co to jest? To przecież moje pismo? Czy to ja napisałem tragedię? *«Intryga na wałach, czyli Dzień pokuty, wielki wodewil.»* Ale skąd ja to wzięłem? Musiał mi ktoś włożyć do kieszeni, a oto jakiś list.” List był od dyrektora teatru. Sztuki zostały odrzucone, a list wcale nie był grzeczny. „Hm, hm” – pomyślał kopista i usiadł na ławce. Myśli miał tak żywe, a serce tak rzewne. Mimo woli zerwał kwiatek rosnący niedaleko w trawie. Była to maleńka stokrotka. To, co botanik opowiada nam w ciągu wielu wykładów, stokrotka potrafiła opowiedzieć w ciągu jednej chwali. Opowiadała baśń o swym narodzeniu, opowiadała o wielkiej mocy słońca, które rozwinęło jej delikatne listki i kazało im pachnieć. Wówczas kopista pomyślał o walkach naszego życia, które tak samo budzą uczucia w naszych sercach. Powietrze i światło, oto kochankowie stokrotki, ale najbardziej kochała światło i za nim obracała główkę. Dopiero gdy światło zniknęło, zwijała listki i kładła się spać w objęciach powietrza.

– Światło mnie ozdabia – powiedziała stokrotka.

– Ale powietrzem oddychasz – szepnął głos poety. Tuż obok stał chłopiec i uderzał kijem w błotnisty rów: krople wody tryskały w górę ku zielonym gałęziom. Kopista pomyślał o tych milionach istot, żyjących w każdej kropelce wody, i o tym, że dla nich takie wytrysnięcie w górę było tym, czym dla nas lot ponad chmury.

Gdy pisarz myślał o tym i o całej zmianie, która w nim zaszła, rzekł z uśmiechem:

– Śpię i marzę. Jakie to dziwne! Jak to można tak śnić, a jednocześnie wiedzieć, że to wszystko tylko marzenie. Obym tylko jutro, budząc się, pamiętał to wszystko. Teraz jestem w wyjątkowo dobrej formie, mam takie jasne spojrzenie na wszystko, taki jestem trzeźwy, ale pewny jestem, że jutro, jeżeli co z tego będę pamiętał, będzie mi się to wszystko wydawało głupstwem bez sensu. Przeżywałem już nieraz podobne rzeczy. Ze wszystkim, co mądre i piękne, o czym się słyszy i mówi w snach, dzieje się tak jak ze złotem pod ziemią, którym obdarzają nas w baśniach. Pod ziemią wydaje się ono piękne i błyszczące, ale wyniesione na światło okazuje się kamieniami lub zwiędłymi liśćmi. – Ach! – westchnął żałośnie i spojrzał na śpiewające ptaszki, które skakały z gałązki na gałąź. – Tym ptakom jest lepiej niż mnie. Jak to musi być uroczo fruwać. Szczęśliwy, kto się z tą sztuką urodził. Gdybym się chciał w cokolwiek zamienić, to tylko w takiego małego skowronka.

W tejsze chwili poły jego surduta i rękawy zamieniły się w skrzydła, ubranie stało się pierzem, a kalosze pazurkami. Pisarz spostrzegł to i roześmiał się w duchu. „Teraz mam najlepszy dowód, że to naprawdę sen, ale jeszcze nigdy mi się nic tak głupiego nie śniło.” I pofrunął na zieloną gałązkę, śpiewając. W śpiewie jego nie było jednak nic poetycznego, przestał być poetą. Kalosze, tak jak każdy, kto chce zrobić coś pożytecznego, robiły tylko jedną rzecz naraz. Chciał być poetą, został poetą, chciał się zamienić w ptaszka, zamienił się w ptaszka, ale poprzednia właściwość przez to zniknęła.

– To wspaniale! – powiedział. – W dzień siedzę w biurze policyjnym wśród najpoważniejszych spraw, a w nocy mogę śnić, że jestem skowronkiem i fruwać w ogrodzie Frederiksbergu. Doprawdy, można by o tym napisać całą komedię.

Sfrunął na trawę, kręcił główką na wszystkie strony i stukał dziobkiem w giętkie źdźbła trawy, które wydawały mu się tak wielkie jak palmy afrykańskie w stosunku do jego obecnych rozmiarów.

Nagle ogarnęła go czarna noc, rzucono na niego jakiś przedmiot, który mu się wydał olbrzymi. Była to czapka, którą chłopak z kolonii marynarskiej przykrył ptaszka. Jakaś ręka wsunęła się pod czapkę i schwyciła kopistę za skrzydełka i grzbiet tak mocno, że pisnął. W pierwszym strachu zawołał głośno:

– Ty bezwstydnny smarkaczu! Jestem pisarzem w biurze policyjnym! Ale chłopiec usłyszał tylko cichutkie: „ćwir, ćwir”. Ścisnął dziób ptaszкови i powędrował.

W alei parku spotkał chłopak dwóch uczniów z wyższej klasy, ale duchowo byli oni w

najniższej klasie. Chłopcy ci kupili ptaka za osiem szylingów i w ten sposób kopista wrócił do Kopenhagi i zamieszkał w domu pewnej rodziny na Gothersgade.

– Dobrze, że to tylko sen! – powiedział kopista. – Inaczej byłbym doprawdy wściekły. Najpierw byłem poetą, teraz znowu jestem skowronkiem. Widocznie to moja poetycka natura przemieniła mnie w to stworzonko. To przykra sprawa, szczególnie gdy się wpadnie w ręce chłopaków. Ciekawa jestem, jak to się skończy.

Chłopcy przynieśli ptaka do bardzo eleganckiego pokoju, gdzie przyjęła ich jakaś roześmiana, gruba pani. Nie chciała jednak słyszeć o tym, aby taki „polny ptaszek”, jak nazywała skowronka, pozostał w jej mieszkaniu.

– Dzisiaj jeszcze niech tu zostanie! – zgodziła się wreszcie, wsadzając ptaszka do pustej klatki stojącej przy oknie. – Może sprawi to przyjemność Lorci! – dodała patrząc z uśmiechem na dużą papugę, kołyszącą się wyniośle na obręczy w swojej wspaniałej, mosiężnej klatce.

– Dziś są urodziny Lorci! – dodała jeszcze z niemądrym uśmiechem. – Niech ten polny ptaszek jej powinszuje.

Lorcia nie odpowiedziała ani słowa, tylko dalej huśtała się wytwornie na obręczy tam i z powrotem. Za to kanarek, którego zeszłego lata przywieziono z jego cieplej i winnej ojczyzny, zaczął głośno śpiewać.

– Krzykacz! – zawołała pani i rzuciła białą chusteczkę na klatkę.

– Ćwir, ćwir! – jęknął. – Cóż to za zawieja śnieżna! – I zamilkł. Kopista albo – jak dama mówiła – polny ptak siedział w malutkiej klatce tuż koło kanarka, niedaleko papugi. Jedyne ludzkie słowa, jakie Lorcia umiała wymawiać, a które robiły dość śmieszne wrażenie, były;

„Ach, bądźmy ludźmi!” Wszystko inne było równie niezrozumiałe jak ćwierkanie kanarka. Pisarz jednak, który teraz sam był ptakiem, rozumiał doskonale swych towarzyszy.

– Latałem pod zielonymi palmami i kwitnącymi migdałami – śpiewał kanarek. – Latałem z moimi siostrami i braćmi ponad wspaniałymi kwiatami, nad przejrzystymi jak szkło jeziorami, gdzie na dnie widziałem poruszające się rośliny. Widziałem wiele papug, które opowiadały mi tyle wesołych i długich historii.

– To były dzikie ptaki! – odparła papuga. – Bez żadnego wykształcenia. Ach, bądźmy ludźmi. Czemu się nie śmiejesz? Jeżeli pani i jej wszyscy goście mogą się z tego śmiać, to i ty chyba możesz. To ogromna wada nie mieć poczucia humoru. Ach, bądźmy ludźmi!

– Och, czy pamiętasz jeszcze te urocze dziewczyny, które tańczyły przed namiotem pod

kwitnącymi drzewami? Czy pamiętasz słodkie owoce i orzeźwiający sok dzikich roślin?

– O tak! – odparła papuga. – Ale tutaj jest mi o wiele lepiej. Mam dobre jedzenie, traktują mnie jak kogoś lepszego. Wiem, że mam mądrą głowę, a więcej nie wymagam. Ach, bądźmy ludźmi! Ty masz, jak to mówią, duszę poety. Ja posiadam gruntowne wiadomości i dowcip, ty masz talent, ale nie przejawiasz rozsądku w twoich pieśniach i dlatego przykrywają cię białą chusteczką. Ze mną sobie tak nie pozwalają, bo za mnie więcej zapłacili. Imponuję im moim dziobem i cenią mój „żart, żart, żart”. Ach, bądźmy ludźmi!

– O moja upalna, kwitnąca ojczyzno! – śpiewał kanarek. – Chcę śpiewać o twoich ciemnozielonych drzewach, o cichych morskich zatokach, gdzie gałęzie całują przejrzystą powierzchnię wody, chcę śpiewać o radości braci moich i sióstr tam daleko, gdzie rosną kaktusy, „źródła pustyni”.

– Przestań już raz narzekać! – powiedziała papuga. – Zaśpiewaj lepiej coś dowcipnego. Śmiech jest oznaką najwyższego poziomu duchowego. Powiedz sam, czy pies albo koń może się śmiać? Mogą tylko płakać. Ale śmiech to właściwość tylko ludzka. Ho-ho-ho-! – zaśmiała się papuga i zakończyła swym żartem: – Ach, bądźmy ludźmi!

– Szary, duński ptaszku! – powiedział kanarek. – I ciebie uwięziono. W twoich lasach jest co prawda zimno, ale i tam panuje swoboda. Wyleć z klatki. Zapomnieli ją zamknąć, a górne okno jest otwarte. Uciekaj, uciekaj! – Kopista posłuchał. Frr, i wyleciał z klatki. W tej samej chwili skrzypnęły wpółotwarte drzwi; z sąsiedniego pokoju zwinnie wśliznął się kot domowy. Miał zielone, błyszczące oczy i natychmiast rozpoczął pogoń za skowronkiem. Kanarek zaniepokoił się w klatce, papuga biła skrzydłami i wołała: – Ach, bądźmy ludźmi! – Kopista uczył śmiertelne przerażenie i wyfrunął na oślep przez okno ponad domy i ulice; był tak zmęczony, że zapragnął spoczynku.

Dom naprzeciwko wydał mu się znajomy, okno było otwarte, wleciał do niego. Był to jego własny pokój; usiadł na stole.

– Ach, bądźmy ludźmi! – powtórzył bezmyślnie słowa papugi i w tejże chwili zamienił się z powrotem w kopistę. Tylko że siedział na stole.

– Na Boga – powiedział. – W jaki sposób się tu dostałem i tak zasnąłem? Co za niespokojny sen! Co za idiotyczna historia!

6. Co kalosze sprawiły najlepszego

Nazajutrz wczesnym rankiem, gdy pisarz leżał jeszcze w łóżku, zapukano do jego drzwi. Był to sąsiad z tego samego piętra, student, który uczył się na pastora. Wszedł do pokoju.

– Pożycz mi twoich kaloszy! – powiedział. – W ogrodzie jest mokro, ale słońce świeci tak pięknie, że chciałbym tam wypalić fajeczkę!

Włożył kalosze i zszedł do ogrodu. Rosła tam jedna śliwa i jedna grusza, ale nawet tak mały ogródek jak ten jest w środku Kopenhagi czymś wspaniałym.

Student spacerował ścieżką tam i z powrotem. Była dopiero szósta rano, z ulicy doleciały dźwięki trąbki pocztowej.

„Ach podróżować, podróżować! – pomyślał student. – Czyż może być większe szczęście na świecie. Tak bardzo mocno tego pragnę! Podróż uciszyłaby z pewnością niepokój, który odczuwam. Chciałbym być daleko, daleko w uroczej Szwajcarii, pojechać do Włoch!”

Dobrze, że kalosze podziały od razu. Inaczej student zapędziłby się za daleko, zarówno dla siebie, jak dla nas. A tak już jechał. Był w Szwajcarii. Siedział wraz z wieloma innymi osobami w samym środku dylizansu. Bolała go głowia, zdrętwiał mu kark, a nogi, uwięzione ciasno w butach, piekły i nabrzmiały. Ani spał, ani nie spał. W prawej kieszeni miał czek, w lewej paszport, a na piersi parę luidorów zaszytych w woreczku. Co chwila śniło mu się, że zgubił jedną z tych cennych rzeczy, dlatego budził się gorączkowa i pierwszym ruchem ręki zakreślał trójkąt z prawej ku lewej i ku piersi, aby upewnić się, czy wszystko w porządku. Nad jego głową w siatce kołysały się parasole, laski i kapelusze, zasłaniając mu widok, który był rzeczywiście wspaniały. Spoglądał ukradkiem ku oknu, a w sercu brzmiała mu pieśń, którą napisał pewien znany poeta o Szwajcarii, ale której dotąd jeszcze nie wydrukowano:

*Ach, jakież piękny jest świat w podróży;
Widzę Mont Blanc tam w dali,
Zostałbym chętnie jeszcze dłużej,
Gdyby pieniędzy mi dali.*

Cała przyroda wokół wyglądała poważnie, surowo i mrocznie. Lasy iglaste na wysokich skałach robiły wrażenie wrzosów, szczyty tonały w chmurach. Zaczął padać śnieg. Wiał zimny

wiatr.

– Ach! – westchnął. – Gdybyśmy byli po tamtej, stronie Alp, byłoby już ciepło i miałbym w ręku pieniądze za mój czek. Ten ciągły strach o pieniądze przeszkadza mi cieszyć się Szwajcarią. Ach, gdybym był już po tamtej stronie!

I oto był już po tamtej stronie – głęboko we Włoszech, między Florencją a Rzymem. Pośród błękitnych gór w blasku zachodzącego słońca leżało Jezioro Trazymeńskie jak roztopione złoto. Tu, gdzie niegdyś Hannibal pobił Flaminiusza, pnącza winne trzymały się zgodnie za zielone palce, rozkoszne, półnagie dzieci pasły stado czarnych świń pod pachnącymi laurowymi drzewami przy drodze. Gdybyśmy potrafili wiernie oddać ten obraz na malowidle, wszyscy powiedzieliby z zachwytem:

„Piękna Italia!” Ale student teologii nie mówił tak, nie mówił też tego żaden z towarzyszków podróży w dylizansie.

Zjadliwe muchy i komary tysiącami unosiły się nad podróżnymi, nie pomagało machanie gałązkami mirtowymi, wszyscy ludzie w powozie mieli twarze popuchnięte od ukłuć. Biedne konie wyglądały jak padlina, tak obsiadły je całe placki much, tylko na chwilę pomagało, gdy woźnica schodził z kozła i zdrapywał owady. Słońce zaszło i natychmiast lodowate zimno przeniknęło całą naturę. Nie było to wcale przyjemne. Ale za to góry i obłoki stały w najcudowniejszym, zielonym blasku, były przezroczyste, jasne – zresztą, podejść tam sam i zobacz, to cię lepiej przekona niż opis. Było niewypowiedzianie pięknie. Podróżni również tak uważali, ale żołądki ich były puste, ciała zmęczone, i wszyscy pragnęli znaleźć dobry nocleg. Jakież on będzie? O wiele tęskniej oglądano się za noclegiem niż za piękną przyrodą.

Drogą prowadziła przez oliwny lasek. Wyglądała jak wysadzana sękatymi wierzbami droga tam, w domu. Tu stała samotna gospoda. Pół tuzina żebrzących kalek rozłożyło się przed nią obozem. Najzdrowszy spośród nich wyglądał jak „najstarszy syn Głodu, który właśnie doszedł do pełnoletności”. Inni byli albo ślepi, ale pełzali na czworakach, albo też mieli uschnięte ręce i dłonie bez palców. Była to prawdziwa nędza w łachmanach.

– *Eccellenza, miserabili!*⁹ – jęczeli pokazując chore członki.

Gospodyni, bosa i rozczochrana, w brudnej bluzce, wyszła naprzeciw gości, drzwi w gospodzie związane były sznurem, podłogi w pokojach wyglądały jak na wpół rozkopany bruk, nietoperze fruwały pod sufitem, a smród...

⁹ Ekscelencjo, nieszczęśliwi! (wł.)

– Proszę mi położyć pościel w stajni! – powiedział jeden z podróżnych. – Tam przynajmniej wiadomo, czym się oddycha!

Otwarto okna, aby wpuścić trochę świeżego powietrza, ale szybciej niż świeże powietrze wtargnęły do środka pokręcone członki i żalosne jęki żebraków:

– *Miserabili, eccellenza!* — Na ścianach widniały najrozmaitsze napisy, połowa z nich była wymierzona przeciwko „pięknej Italii”.

Przyniesiono jedzenie. Zupa była to woda posypana pieprzem i okraszona stęchlą oliwą, potem podano sałatę też z tą samą oliwą; poza tym podano jako główne danie nieświeże jajka i popieczone kogucie grzebienie. Nawet wino było niedobre i miało smak lekarstwa. Na noc postawiono przed drzwiami kufry, a jeden z podróżnych musiał pełnić wartę, podczas gdy inni spali. Warta przypadła teologowi. O, jakaż to była noc! Gorąco dokuczało, komary brzęczały i gryzły, a żebracy na dworze jęczeli przez sen.

– Tak, podróżować byłoby pięknie! – westchnął student. – Gdyby można było podróżować bez ciała, gdyby tylko duch nasz wędrował, a ciało spoczywało. Wszędzie, gdzie się znajdę, gniecie moje serce tęsknota. Pragnę czegoś lepszego niż to, co w tej chwili posiadam, czegoś najlepszego... Ale czego? Gdzie tego szukać? Nie, właściwie wiem, czego chcę. Tęsknię do ostatecznego, najszcześniejszego celu.

Ledwo to pomyślał, znalazł się w swoim własnym pokoju. Białe, długie firanki zwieszały się z okien, a na środku pokoju stała trumna. On sam spoczywał w tej trumnie w śmiertelnym śnie. Spełniło się jego marzenie: ciało spoczywało, duch wędrował. „Nie mów o nikim, że jest szczęśliwy, dopóki nie umarł” – powiedział Solon. Słowa te sprawdzały się tutaj raz jeszcze. Każdy umarły jest sfinksem nieśmiertelności. Ale sfinks leżący w czarnej trumnie nie dawał odpowiedzi na pytanie, które sam zadał sobie za życia parę dni temu w następującym wierszu:

*O śmierci, twe milczenie grozę tylko budzi,
Ślad twój w grobowcach cmentarnych jedynie,
Czyż nic prócz trawy nie zostaje z ludzi?
Czy wszystko na świecie przejdzie i przemienie?
Najgorszych cierpień świat nie widzi stary.
Ciebie, co byłeś sam i niekochany,
Mocniej dręczyły za życia ciężary,*

Niż ziemia tłoczy trumny cztery ściany.

W pokoju znajdowały się dwie postacie. Znamy je dobrze. Jedna była wróżką Troską, druga posłanką Szczęścia. Pochyliły się nad umarłym.

– Widzisz teraz – powiedziała Troska – jakie to szczęście przyniosły twe kalosze ludziom?

– Temu, który tu śpi, przyniosły przynajmniej wieczne ukojenie – powiedziała Radość.

– O nie! – powiedziała Troska. – Nie powołano go, sam poszedł. Nie miał dość siły, by podjąć tu na ziemi wszystkie dary, które są dla niego przeznaczone. Ale ja wyświadczę mu dobrodziejstwo.

I zdjęła mu z nóg kalosze. Minał sen śmierci, przywrócony do życia wstał. Troska zniknęła, a wraz z nią zniknęły kalosze. Widocznie uważała je za swoją własność.

STOKROTKA

A teraz, słuchaj!

Daleko, na wsi, tuż koło drogi, stała altana; widziałeś ją na pewno, kiedyś tamtędy przechodził. Przed altaną był mały ogródek kwiatowy z pomalowanymi sztachetami, tuż obok na murawie, wśród najpiękniejszej zielonej trawy, rosła mała stokrotka; słońce ogrzewało ją tak samo mocno i pięknie jak wielkie, pyszne kwiaty w ogrodzie, i dlatego rosła z godziny na godzinę. Pewnego ranka całkiem rozkwitła i stała tak ze swymi małymi, śnieżnobiałymi płatkami, które otaczały, jak promienie, żółte słoneczko pośrodku. Nie myślała wcale o tym, że żaden człowiek nie widzi jej w trawie i że jest biednym, pogardzonym kwiatkiem; nie – była bardzo zadowolona, zwracała się cała do ciepłego słońca, patrzyła w nie i słuchała skowronka, który śpiewał w powietrzu.

Mała stokrotka czuła się szczęśliwa, jak gdyby to było wielkie święto, a przecież był to tylko poniedziałek; wszystkie dzieci uczyły się w szkole; podczas gdy dzieci tkwiły w ławkach i uczyły się tam czegoś – stokrotka tkwiła na swej zielonej łodydze i również się uczyła od ciepłego słońca i od wszystkiego, co ją otaczało, jaki Bóg jest dobry. Myślała o tym, jak pięknie wyśpiewuje skowronek to, co czuje w ciszy, i patrzyła z pewnego rodzaju czcią i podziwem na szczęśliwego ptaszka, który umie śpiewać, i fruwać: ale nie martwiła się tym, że sama tak nie potrafi. „Widzę i słyszę! – myślała – słońce mnie grzeje i wiatr mnie całuje. Ach, obficie mnie obdarowano!”

Za sztachetami stało tyle sztywnych, wykwintnych kwiatów; im mniej pachniały, tym dumniej strzelały w górę. Piwonie nadymały się, aby być większymi od róż – ale rozmiar przecież nic nie znaczy. Tulipany miały najpiękniejsze barwy, wiedziały o tym dobrze i trzymały się prosto, aby je można było lepiej widzieć. Nie spostrzegały wcale małej stokrotki, ale ona patrzyła na nie tym uważniej i myślała: „Jakież one bogate i piękne! Do nich przyleci na pewno ten wspaniały ptak w odwiedzinie. Bogu dzięki, że jestem tak blisko nich, mogę przynajmniej przyglądać się ich wspaniałości.” I właśnie gdy tak myślała, posłyszała: „Ćwir, ćwir!” – to skowronek zleciał na dół, ale nie do piwonii ani tulipanów – nie sfrunął w trawę do biednej stokrotki; radość po prostu przeraziła stokrotkę i sama nie wiedziała, co ma myśleć.

Ptaszek tańczył dookoła stokrotki i śpiewał: „Jaka ta trawa jest miękka, patrzcie, jaki to

kochany, mały kwiatek o złotym serduszk i srebrzystej sukience.” Złoty środek stokrotki wyglądał naprawdę jak złoty, a małe płatki dookoła błyszczały swą białością. Jakże szczęśliwa była stokrotka – to trudno sobie wyobrazić. Ptaszek pocałował ją swym dziobem, zaśpiewał dla niej i pofrunął znowu w błękitne powietrze. Chyba kwadrans minął, zanim stokrotka przysła do siebie. Trochę zawstydzona, ale jednak serdecznie uradowana, spojrzała na kwiaty w ogrodzie, widziały przecież, jaki ją spotkał honor i jakie szczęście; musiały zrozumieć, jaka to była dla niej radość; ale tulipany stały tak samo sztywne jak przedtem, twarze ich ściągnęły się, zaczerwieniły z gniewu. Piwonie nadeły się „ph!”, całe szczęście, że nie mogły mówić, na pewno robiłyby stokrotce ostre wymówki. Biedny kwiatek widział, że nie są w dobrym humorze, i to mu sprawiło prawdziwą przykrość. Wtedy do ogrodu przysła dziewczynka z wielkim nożem, ostrym, błyszczącym, zbliżyła się do tulipanów i zaczęła obcinać jeden po drugim.

– Ach! – westchnęła stokrotka. – Jakież to straszne, już po tulipanach!

Dziewczynka odeszła z tulipanami; stokrotka była szczęśliwa, że stoi daleko w trawie i że jest małym, biednym kwiatkiem; była przepelniona wdzięcznością i kiedy słońce zaszło, zwinęła płatki i zasnęła śniąc przez całą noc o słońcu i o małym ptaszku.

Następnego ranka, kiedy kwiatek wyciągnął radośnie białe płatki, niby małe ramiona, do powietrza i słońca, posłyszał głos ptaszka, ale śpiew jego brzmiał smutnie. Tak, biedny skowronek miał powody do smutku, schwytano go i oto teraz siedział w klatce przy otwartym oknie. Śpiewał o szczęściu swobodnego fruwania, śpiewał o młodym, zielonym życie w polu i o pięknej podróży, którą mógłby odbyć na swych skrzydłach wysoko w powietrzu. Biedny ptaszek nie myślał o wesołości, siedział uwięziony w klatce.

Stokrotka chętnie by mu pomogła, ale jak miała się do tego zabrać? Trudno było coś wymyślić. Zapomniała zupełnie, jak pięknie było dookoła niej, jak gorąco grzało ją słońce i jak ślicznie wyglądały jej białe płatki; myślała tylko o uwięzionym ptaszku, któremu nie mogła pomóc.

Wtedy wyszło z ogrodu dwóch małych chłopców; jeden z nich trzymał nóż, taki sam duży i ostry jak ten, którym dziewczynka obcinała tulipany. Zmierzali wprost do stokrotki, która nie mogła zrozumieć, czego oni chcą.

– Moglibyśmy tu wyciąć dla skowronka piękny kawał murawy! – powiedział jeden z chłopców i zaczął wycinać kwadrat dookoła stokrotki, zostawiając ją pośrodku.

– Wyrwij ten kwiat! – powiedział drugi chłopiec, a stokrotka zadrżała ze strachu, bo być

wyrwaną to to samo co umrzeć, a teraz chciała tak bardzo żyć, teraz gdy miała się dostać z kawałkiem murawy do klatki skowronka.

– Nie, zostaw ją! – powiedział drugi chłopiec. – Tak ładnie wygląda!

Została więc i zabrano ją do klatki skowronka.

Biedny ptaszek narzekał głośno na utratę wolności i uderzał skrzydłami o żelazną kratę, mała stokrotka nie mogła mówić, nie mogła mu powiedzieć słowa pociechy, chociaż tak bardzo chciała. I tak przeszło całe przedpołudnie.

– Nie ma tu wody! – powiedział uwięziony skowronek. – Wszyscy wyszli i nie zostawili mi ani kropli do picia. Gardło mi wyschło i pali. Czuję w sobie ogień i lód – powietrze jest takie ciężkie! Ach, będę musiał umrzeć z daleka od ciepłego słońca, od świeżej zieleni, od całego piękna, które stworzył Bóg!

I potem wsadził mały dziobek w chłodną trawę, aby się trochę odświeżyć; wtedy wzrok jego padł na stokrotkę: ptak skinął do niej główką, pocałował ją dziobkiem i powiedział:

– Ty także musisz tu więdnąć, biedny mały kwiatuszku! Ciebie i kawałek zielonej murawy dano mi w zamian za cały świat, który miałem na wolności. Każde źdźbło trawy musi mi zastąpić zielone drzewo. Każdy z twoich białych płatków ma być dla mnie pachnącym kwiatem. Ach, przypomina mi to tylko, ile straciłem!

„Kto mógłby pocieszyć skowronka?” – pomyślała stokrotka. Ale nie mogła poruszyć żadnym płatkiem jednakże zapach, który wydzielały jej płatki, był o wiele silniejszy niż zwykły zapach tego kwiatu; zauważył to również skowronek, a chociaż był osłabiony z pragnienia i w męce wyrwał zielone trawki, nie ruszył kwiatka.

Nadszedł wieczór i nikt nie przyszedł, i nie przyniósł ptaszкови kropli wody; wtedy skowronek wyciągnął swoje piękne skrzydła i potrząsał nimi kurczowo, jego śpiew brzmiał jak zboląły pisk, mała główka pochylała się ku stokrotce i serce ptaka pękło ze smutku i tęsknoty; a kwiatek nie mógł, jak poprzedniego wieczoru, zasnąć, stuliwszy płatki; chore i smutne chyliły się one do ziemi.

Dopiero następnego ranka przyszli chłopcy; a kiedy zobaczyli martwego ptaka, zapłakali, płakali rzewnymi łzami i wykopali mu śliczny grób, który ozdobili płatkami kwiatów. Ciało ptaka włożyli do pięknego, czerwonego pudełka; królewski miał pogrzeb biedny ptaszek. Kiedy żył i śpiewał, zapomniano o nim; trzymano go w klatce w niedostatku, teraz ofiarowano mu wspaniały pogrzeb i wiele łez.

A kawałek murawy wraz ze stokrotką wyrzucono na drogę pełną kurzu, nikt nie myślał o kwiatku, który najwięcej współczuł małemu ptaszкови i tak gorąco chciał go pocieszyć.

DZIELNY OŁOWIANY ŻOŁNIERZ

Było sobie pewnego razu dwudziestu pięciu ołowianych żołnierzy; wszyscy byli braćmi, bo wszyscy urodzili się z jednej starej łyżki. Broń trzymali na ramieniu, a głowy sztywno; mundury mieli wspaniałe, czerwone i niebieskie. „Ołowiane żołnierzyki!” – to były pierwsze słowa, które doszły do ich uszu, gdy otworzyła się pokrywka pudełka, w którym leżały. Tak zawołał pewien mały chłopczyk, klaszcząc przy tym w ręce; dostał on żołnierzy w dniu swych urodzin i właśnie ustawił ich na stole. Żołnierze byli zupełnie podobni do siebie i tylko jeden jedyny był trochę inny: miał tylko jedną nogę, gdyż ulano go na ostatku i nie starczyło już ołowiu. Pomimo to stał tak samo pewnie na jednej nodze jak inni na dwóch, i właśnie ten żołnierz bez nogi wyróżnił się najbardziej.

Na stole, gdzie ustawiono żołnierzy, stało dużo innych zabawek, ale najbardziej rzucał się w oczy śliczny papierowy zamek; przez małe okienka można było zajrzeć do środka. Przed zamkiem stały małe drzewa naokoło małego lusterka, które miało naśladować jezioro; łabędzie z wosku pływały po tym jeziorze i odbijały się w jego tafli. Wszystko to było prześliczne, ale najpiękniejsza była małe panienka, stojąca pośrodku otwartej bramy zamkowej. Była tak samo wycięta z papieru, ale miała suknię z białego tiulu, a niebieska wstążeczka, spięta na ramieniu, tworzyła szal, ozdobiony złotymi cekinami, tak dużymi jak cała jej twarzyczka.

Panienka miała obie ręce wyciągnięte przed siebie, gdyż była tancerką; jedną nóżkę podniosła wysoko w górę, żołnierz nie mógł jej wcale dojrzeć i myślał, że, podobnie jak on, miała tylko jedną nogę.

„To byłaby w sam raz żona dla mnie! – pomyślał żołnierz. – Ale jest tak wytworna, mieszka w zamku, a ja posiadam tylko jedno pudełko, i to wspólnie z dwudziestu pięciu towarzyszami; nie jest to miejsce dla niej! Muszę się jednak z nią zaznajomić!” Potem położył się za tabakierą stojącą na stole; stamtąd mógł dobrze obejrzeć uroczą, małą damę, która wciąż, nie tracąc równowagi, stała na jednej nodze.

Kiedy nadszedł wieczór, żołnierze wrócili do pudełka, a wszyscy ludzie w domu poszli spać. Teraz zabawki zaczęły się bawić w najrozmaitsze zabawy: w „gości”, w „wojnę” i w „bal”; żołnierze brzęczeli w pudełku, bo chcieli się też zabawić, ale nie mogli podnieść pokrywki.

Dziadek do orzechów zaczął fikać koziółki, szyferek bawił się z tabliczką; był taki hałas, że kanarek obudził się i zaczął mówić – i to wierszem.

Jedynie ołowiany żołnierz i mała tancerka nie poruszali się ze swych miejsc – ona stała na palcach jednej nóżki, z rękami wyciągniętymi przed siebie; on stał na jednej nodze i ani na chwilę nie odrywał od niej oczu.

Dwunasta godzina wybiła na zegarze i – trach! odskoczyła pokrywka tabakierki, ale w środku nie było tabaki, tylko maleńki, czarny diabełek; była to prawdziwie czarodziejska sztuka.

– Żołnierzu! – powiedział diabełek. – Czy nie chciałbyś lepiej zachować oczu dla siebie!

Ale żołnierz udawał, że nie słyszy.

– Porachujemy się jutro – powiedział diabełek.

Nazajutrz rano, kiedy dzieci wstały, postawiono żołnierza na oknie i nie wiadomo, czy diabełek to sprawił, czy przeciąg, dość, że nagle okno otworzyło się i żołnierz spadł głową na dół z trzeciego piętra. Była to straszliwa jazda! Żołnierz podniósł w górę nogę i stanął na czapce, a bagnet jego utkwiał pomiędzy brukowymi kamieniami. Służąca i chłopczyk zaraz zeszli, by go odszukać, ale mimo że ledwie na niego nie nadepnęli, nie mogli go dojrzeć. Gdyby żołnierz zawołał: „Tu jestem!” – znaleźliby go z pewnością, ale nie uważał za stosowne krzyknąć – był przecież w mundurze.

Zaczął padać deszcz, krople były coraz gęstsze, prawdziwa ulewa! Kiedy przestało padać, przyszło dwóch uliczników.

– Patrz no! – powiedział jeden – tam leży ołowiany żołnierz! Niech się przejedzie łódką.

Zrobili więc z gazety łódkę, posadzili w niej żołnierza i puścili z biegiem rynsztoka; obaj chłopcy lecieli obok i klaskali w ręce. Na Boga, jakie wielkie fale były w rynsztoku! Papierowa łódka kołysała się w górę i w dół, to znów obracała się w kółko, tak że w żołnierzyku zamierało serce, ale nie pokazał tego po sobie, pozostał niewzruszony, patrzył prosto przed siebie i broń trzymał na ramieniu.

Nagle łódka wpłynęła pod długą kładkę i zrobiło się ciemno jak w pudełku.

„Dokąd płynę? – myślał żołnierz. – Tak, na pewno to przez tego diabełka! Ach, gdyby tu przy mnie w łodzi była ta panienska z zamku, nic bym sobie nie robił z ciemności, nawet dwa razy większych.”

Nagle zjawił się olbrzymi szczur wodny, który mieszkał pod kładką rynsztoka.

– Czy masz paszport? – spytał szczur. – Pokaż mi zaraz twój paszport. Ale żołnierz milczał i

tylko mocniej trzymał broń. Łódź pomknęła prędzej, a szczur za nią. Uh! Jakże zgrzytał zębami i jak głośno wołał do płynących słomek i drewnienek:

– Trzymać go! Trzymać! Nie zapłacił cła! Nie pokazał swego paszportu!

Ale prąd był coraz silniejszy; żołnierz tam, gdzie się kończyła kładka, widział już światło dnia; jednocześnie słyszał jakiś złowrogi szum, który mógłby przerazić najodważniejszego człowieka. Tam, gdzie kończyła się deska, spływała z szumem woda do kanału, co byłoby dla żołnierzyka tak niebezpieczne jak dla nas spłynięcie łodzią do olbrzymiego wodospadu.

Zbliżył się teraz tak bardzo, że nie mógł się już zatrzymać. Łódka rwała naprzód, a biedny żołnierz trzymał się sztywno. Nikt nie mógł powiedzieć, że miał strach w oczach. Łódka przechyliła się na bok i nabierała po brzegi wody, tak że musiała zatonać; żołnierz stał po szyję w wodzie, a łódka zagłębiała się coraz więcej i więcej; coraz bardziej rozmiękał papier! woda zaczęła już zalewać głowę żołnierzowi i wtedy pomyślał sobie o małej, ślicznej tancerce, której nie miał już nigdy zobaczyć, a w uszach zabrzmiały mu słowa:

Naprzód, naprzód, w bój, żołnierzu!

Naprzód, aż do śmierci!

Papier rozpadł się, a żołnierz pogrążył się w wodzie, ale w tej samej chwili połknęła go wielka ryba.

Jakże ciemno było w jej wnętrzu! Jeszcze straszniej niż pod kładką rynsztoka! I tak ciasno! Ale żołnierz był niewzruszony – leżał trzymając broń na ramieniu.

Ryba pływała i robiła najdziwniejsze podskoki; wreszcie uspokoiła się. Żołnierzowi wydawało się, że oświetliła go jakaś nagła błyskawica. Stało się zupełnie jasno i ktoś krzyknął głośno: „Ołowiany żołnierz!” Rybę schwytano, sprzedano na targu, wzięto ją do kuchni, gdzie kucharka przekrajała ją dużym nożem. Schwyciła żołnierza w dwa palce i zaniósła do pokoju, gdzie wszyscy chcieli obejrzeć tę dziwną istotę podróżującą w brzuchu ryby; ale żołnierz nie był z tego dumny. Postawiono go na stole i okazało się, że – jakież dziwne rzeczy zdarzają się na świecie – żołnierz znajdował się w tym samym pokoju, w którym był niegdyś; widział te same dzieci i te same zabawki stojące na stole; prześliczny zamek z maleńką, uroczą tancerką; stała wciąż jeszcze na jednej nóżce, a drugą wznosiła wysoko w górę; i ona również nie zmieniła się. To właśnie wzruszyło żołnierzyka; o mało co nie rozplakał się ołowianymi łzami, ale to nie wypadało. Patrzył tylko na nią i ona patrzyła na niego; ale nie mówili nic do siebie.

Wówczas jeden z chłopców schwycił żołnierza i nie mówiąc, dlaczego właściwie to robi,

rzucił go wprost do pieca; była to na pewno wina diabełka z tabakierki.

Żołnierz stał w jasnym blasku płomienia i było mu niesłychanie gorąco, ale nie wiedział, czy pali go zwykły ogień, czy też ogień miłości. Stracił swe kolory, ale czy stało się to w czasie wędrówki, czy też z powodu zmartwienia – tego nikt nie mógł powiedzieć.

Patrzył na maleńką panienkę i ona patrzyła na niego; czuł, że topnieje; lecz wciąż jeszcze stał dzielnie, trzymał broń na ramieniu.

Nagle ktoś otworzył drzwi, wiatr porwał małą tancerkę i pofrunęła jak sylfida wprost do pieca, do ołowianego żołnierza, błysnęła płomieniem i już było po niej. A żołnierz roztopił się na bezkształtną masę i kiedy nazajutrz służąca wygarniała popiół, znalazła go w postaci maleńkiego, ołowianego serduszka; z tancerki zaś pozostały jedynie cekinki, a i te poczerniały na węgiel.

DZIKIE ŁABĘDZIE

Daleko stąd, tam, dokąd lecą jaskółki, kiedy u nas jest zima, mieszkał król, który miał jedenastu synów i jedną córkę, Elizę. Bracia byli królewiczami, chodzili do szkoły z orderami na piersiach i szablami u boku, pisali diamentowymi szyferkami na złotych tabliczkach; co tylko przeczytali, zaraz umieli na pamięć; od razu widać było, że są królewiczami. Siostra Eliza siedziała na małym, szklanym stołeczku i oglądała książkę z obrazkami, książkę, którą kupiono za pół królestwa.

Ach, jak dobrze było tym dzieciom! Ale to szczęście nie trwało długo.

Ich ojciec, król całego kraju, ożenił się ze złą królową, która wcale nie była dobra dla biednych dzieci; odczuły to już pierwszego dnia. W zamku odbywały się paradne zabawy, a dzieci bawiły się również w „gości”, ale nie dostały, jak zwykle, ciastek i pieczonych jabłek, królowa dała im tylko w filiżance do herbaty trochę piasku i powiedziała, żeby udawały, że piją naprawdę herbatę.

Po tygodniu oddała małą siostrę Elizę na wieś do chłopów, a po krótkim czasie usposobiła króla tak źle do biednych królewiczów, że wcale już o nich nie dbał.

– Lećcie sobie w świat i sami się o siebie troszczcie – powiedziała zła królowa. – Zamieńcie się w ptaki i utraciecie mowę. – Ale nie potrafiła wyrządzić tyle zła, ile chciała; królewicze przemienili się w jedenaście cudnych, dzikich łabędzi. Z dziwnym krzykiem wyfrunęły ptaki przez zamkowe okna, ponad parkiem i lasem.

Wczesnym rankiem łabędzie przyleciały do chaty, gdzie siostra Eliza spała w chłopskiej izbie, krążyły nad dachem, kręciły długimi szyjami, uderzały skrzydłami, ale nikt tego nie widział ani nie słyszał. Musiały lecieć dalej, wysoko aż do chmur, w daleki świat; poleciały do dużego, ciemnego lasu, który ciągnął się do brzegu morza.

Biedna mała Eliza stała w chłopskiej izbie i bawiła się zielonym listkiem – nie miała innej zabawki; przekłuła w listku dziurkę i spojrzała przez nią w słońce, i wtedy zdawało się jej, że widzi jasne oczy swych braci, i za każdym razem, kiedy ciepłe promienie słoneczne ogrzewały jej policzki, czuła jak gdyby pocałunki swych braci.

Jeden dzień mijał podobny do drugiego. Kiedy wiatr dął przez wielkie, różane żywopłoty

przed domem, szeptał do róż:

– Któż może być od was piękniejszy?

Ale róże potrząsały głowami i mówiły:

– Eliza jest piękniejsza! – A kiedy staruszka siedziała w niedzielę przed drzwiami i czytała książkę do nabożeństwa, wiatr odwracał stronicę i mówił do książki:

– Któż jest bardziej pobożny od ciebie?

– Eliza jest pobożniejsza! – mówiła książka do nabożeństwa. Róże i modlitewnik mówiły prawdę.

Gdy Eliza skończyła piętnaście lat, wróciła do domu, a gdy królowa zobaczyła, jaka jest piękna, ogarnęła ją złość i zawiść; z chęcią przemieniłaby ją w dzikiego łabędzia jak jej braci, ale nie odważyła się uczynić tego natychmiast, bo król pragnął przecież zobaczyć swoją córkę.

Wczesnym rankiem poszła królowa do łazienki zbudowanej z marmuru, ozdobionej miękkimi poduszkami i wspaniałymi dywanami, wzięła trzy ropuchy, pocałowała je i powiedziała do jednej z nich:

– Usiądź na głowie Elizy, kiedy się będzie kąpała, aby była tak głupia jak ty! Usiądź na jej czole – powiedziała do drugiej – aby była tak brzydka jak ty, aby ojciec jej nie poznał. Spoczywaj na jej sercu – szepnęła do trzeciej – niech się stanie zła, niech cierpi przez to męki!

Potem włożyła ropuchy do czystej wody, która zabarwiła się na zielono, zawołała Elizę, rozebrała ją i kazała jej wejść do wody. Kiedy dziewczynka się zanurzyła, jedna ropucha usiadła jej na włosach, druga na czole, a trzecia na piersi; ale Eliza nie spostrzegła ich wcale, bowiem gdy się podniosła, po wodzie pływały trzy czerwone maki. Gdyby gady nie były zatrute i gdyby nie to, że pocałowała je czarownica, przemieniłyby się w czerwone róże; ale stały się jednak kwiatami, bo spoczywały na głowie i na sercu Elizy, która była zbyt pobożna i niewinna, aby czary mogły mieć nad nią moc.

Kiedy zła królowa to zobaczyła, natarła Elizę sokiem włoskiego orzecha, tak że dziewczynka całkiem poczerniała; posmarowała jej piękną twarzyczkę cuchnącą maścią i skołtuniła jej włosy; niepodobna było poznać pięknej Elizy.

Ojciec przeraził się na jej widok i powiedział, że to nie może być jego córka; nikt jej nie poznał prócz podwórzowego psa i jaskółek, ale były to przecież mizerne stworzenia i nic nie miały do gadania.

Wtedy biedna Eliza zaczęła płakać i przypomniała sobie swych jedenastu braci. Pełna

smutku, wymknęła się z zamku, przez cały dzień chodziła po polach i błotach, aż w końcu przyszła do dużego lasu. Nie wiedziała, dokąd szła, ale czuła się tak nieszczęśliwa i tak bardzo tęskniła do swoich braci; na pewno ich także wygnano, tak samo jak ją, w szeroki świat. Chciała ich odnaleźć.

Niedługo była w lesie, a już noc zapadła; dziewczynka nie mogła odnaleźć drogi; wtedy położyła się na miękkim mchu, odmówiła wieczorną modlitwę i oparła głowę o pień drzewa. Było tak cicho, powietrze takie łagodne, a naokoło w trawie i mchu tysiące świętojańskich robaczków świeciło jak zielony ogień; kiedy dotknęła ręką gałęzi, błyszczące owady spadały na nią jak deszcz gwiazd.

Przez całą noc śnili się jej bracia; bawili się znowu jako dzieci, pisali diamentowymi szyferkami na złotych tabliczkach i oglądali piękną książkę z obrazkami, która kosztowała pół królestwa, ale nie pisali na tablicy tak jak przedtem zer i kresek, tylko najdziwniejsze czyny, jakich dokonali, wszystko, co przeżyli i co widzieli; a w książce z obrazkami wszystko żyło: ptaki śpiewały, ludzie wychodzili z książki i rozmawiali z Elizą i z jej braćmi, ale gdy przewracała kartkę, wskakiwali znowu do środka, aby nie wprowadzić nieładu między obrazkami.

Kiedy się obudziła, słońce stało już wysoko na niebie; nie widziała go wprawdzie, gdyż przesłaniała je gęsta zieleń drzew, ale jego promienie przebłyskiwały jak powiewna złota tkanina; zieleń pachniała, a ptaki nieledwie siadały na jej ramionach. Słyszała plusk wody, mnóstwo strumieni przepływało przez las, wszystkie wpadały do jednego jeziora, gdzie było najpiękniejsze, piaszczyste dno; rosły tam wprawdzie naokoło gęste krzaki, ale jelenie zrobiły w jednym miejscu duży otwór i tędy przeszła Eliza ku wodzie. Woda była tak przezroczysta, że gdyby wiatr nie poruszał krzaków i gałęzi, można było myśleć, że zostały one namalowane na dnie, tak wyraźnie odbijał się każdy listek – zarówno oświetlony słońcem, jak pogrążony w cieniu.

Jak tylko Eliza zobaczyła własną twarz w wodzie, przeraziła się, taka była czarna i brzydka, ale kiedy umoczyła rączkę i wytarła nią oczy i czoło ukazała się biała skóra; wtedy zdjęła wszystko, co miała na sobie, i weszła do czystej wody; nie było na świecie piękniejszego królewskiego dziecka od niej.

Kiedy się znowu ubrała i zaplotła długie warkocze, podeszła do bijącego źródła, napiła się z dłoni i powędrowała w głąb lasu, nie wiedząc, dokąd idzie. Myślała o braciach i myślała o Panu

Bogu, który jej na pewno nie opuści. On to sprawił, że w lesie rosły dzikie jabłka, aby nasycić głodnych. On to pokazał jej drzewo, którego gałęzie uginały się pod ciężarem owoców: zatrzymała się, aby się posilić, podłożyła podpórki pod gałęzie i weszła w najmroczniejszą głębinę lasu. Było tam tak cicho, że słyszała swoje własne kroki, słyszała szelest każdego suchego listka, który kruszyła stopami, nawet żadnego ptaka nie było widać, ani jeden promień słoneczny nie przedostawał się przez wielkie, gęste gałęzie drzew; wysokie pnie stały tak blisko jeden drugiego, że gdy patrzyła prosto przed siebie, wydawało się jej, że otacza ją plot z belek. Ach, jakaż tu panowała pustka i głusza, nigdy jeszcze takiej nie zaznała!

Noc stawała się ciemna, nawet żaden robaczek świętojański nie błyszczał wśród mchu, ułożyła się zmartwiona do snu. Wydawało jej się, że gałęzie otwierają się nad nią i że dobry Bóg patrzy na nią łagodnie, a małe aniołki wyglądają znad jego głowy i spod jego ramion.

Kiedy się nazajutrz obudziła, nie wiedziała, czy jej się to śniło, czy to było naprawdę.

Zrobiła parę kroków i spotkała staruszkę z koszem pełnym jagód; staruszka dała jej parę jagódek. Eliza pytała, czy nie widziała jedenastu królewiczów jadących konno przez las.

– Nie! – powiedziała stara. – Ale widziałam wczoraj jedenaście łabędzi ze złotymi koronami na głowach, płynęły tu rzeką w pobliżu!

I zaprowadziła Elizę trochę dalej nad urwisko; w dole wiła się rzeczka, drzewa rosnące na brzegu wyciągały ku sobie długie, pełne liści gałęzie, a tam, gdzie nie były dość wysokie, by dosięgnąć jedno drugiego, uwalniały swe korzenie z ziemi i zwieszały się nad wodą, splecione z gałęziami. Eliza pożegnała staruszkę i poszła wzdłuż rzeki aż do miejsca, gdzie wpadała ona do wielkiego, otwartego morza.

Przed młodą dziewczyną rozciągało się wielkie, wspaniałe morze, ale nie widziała ani jednego żagla, ani jednej łódki, jakżeż miała się dalej przedostać? Patrzyła na niezliczone małe kamyki leżące na brzegu wody; woda oszlifowała je gładko. Szkło, żelazo, kamienie – wszystko zostało ukształtowane przez wodę, która była o wiele miększa niż jej delikatna ręka. „Woda niestrudzenie pracuje i wygładza nawet twarde kamienie; pragnę być równie niestrudzona! Dziękuję wam za waszą naukę, czyste, bijące fale! Serce mi mówi, że kiedyś zaniesiecie mnie do moich ukochanych braci!”

Na morskiej trawie, splukanej wodą, leżało jedenaście białych piór łabędzich; Eliza zrobiła z nich wiązanek; krople wody błyszczały na piórach, nikt nie wiedział, czy to była rosa, czy łzy. Samotnie było na brzegu, ale Eliza nie czuła tego, bo morze wiecznie się zmieniało, w ciągu

paru godzin więcej razy zmieniało swój wygląd niż jeziora w ciągu całego roku. Kiedy nadciągała wielka, ciemna chmura, wydawało się, że morze chce powiedzieć: „I ja też potrafię wyglądać ponuro”; gdy wiał wiatr, fale obracały się białymi grzbietami, lecz gdy chmury stawały się czerwone, a wiatr zasypiał, morze wyglądało jak płatek róży: raz było zielone, to, znowu białe, ale nawet kiedy było w zupełnym spoczynku, przy brzegu poruszało się z lekka; woda wznosiła się łagodnie jak oddech śpiącego dziecka.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, Eliza zobaczyła jedenaście dzikich łabędzi w złotych koronach na głowach, lecących w kierunku lądu; leciały jeden za drugim i wyglądały jak długa, biała wstęga; wtedy Eliza weszła na urwisko i ukryła się za krzakiem; łabędzie spuściły się na ziemię tuż koło niej i były dużymi, białymi skrzydłami.

W tej samej chwili, kiedy słońce zanurzyło się w wodzie, opadły nagle z nich łabędzie pióra i ukazało się jedenastu królewiczów, braci Elizy. Dziewczynka krzyknęła głośno, bo chociaż zmienili się bardzo, sercem ich poznała, wiedziała, że to są oni; rzuciła się im w ramiona, wołała ich po imieniu, a oni cieszyli się widząc swą małą siostrzyczkę, taką już teraz dużą i śliczną. Śmiali się i płakali opowiadając sobie wzajemnie o tym, jaka macocha była zła dla nich wszystkich.

– My bracia – powiedział najstarszy – latamy jako dzikie łabędzie, dopóki słońce świeci na niebie; ale gdy tylko zachodzi, przemieniamy się w ludzi; i dlatego musimy zawsze uważać, aby podczas zachodu słońca mieć pod nogami stały ląd, bo gdybyśmy wówczas lecieli pod obłokami, spadlibyśmy jako ludzie w dół. Nie mieszkamy tutaj; po drugiej stronie morza znajduje się równie piękny kraj; ale droga prowadząca tam jest długa, musimy lecieć nad wielkim morzem i nie ma żadnej wyspy, na której moglibyśmy przenocować; jedynie w połowie drogi wystaje samotna skała; jest tak mała, że możemy się na niej pomieścić tylko ciasno jeden obok drugiego; przy silniejszej fali opryskuje nas woda, ale dziękujemy Bogu i za to; tam nocujemy, kiedy jesteśmy w ludzkiej postaci; gdyby nie ta skała, nie zobaczylibyśmy nigdy naszej ukochanej ojczyzny; najdłuższe dwa dni w roku zużywamy na nasz lot. Tylko raz do roku możemy odwiedzić naszą ojczyznę, wolno nam zostać tu przez jedenaście dni, aby oblecieć ten wielki las, skąd możemy zobaczyć zamek, gdzieśmy się urodzili i gdzie mieszka nasz ojciec, i wysoką wieżę kościoła, w którym jest pochowana nasza matka. Tutaj wydaje się nam, jak gdyby drzewa i krzaki były z nami spokrewnione, tutaj dzikie konie uganiają się po równinach, tak jak za czasów naszego dzieciństwa; tu drwale śpiewają stare pieśni, przy których tańczyliśmy dziećmi,

tutaj jest nasza ojczyzna, do której ciągną nas serca, i tutaj znaleźliśmy ciebie, kochana, mała siostrzyczko! Dwa dni możemy tu zostać, potem polecimy stąd daleko za morze, do pięknego kraju, który jednak nie jest naszą ojczyzną. Jak cię stąd zabrać? Nie mamy ani statku, ani łódki!

– Jakże was mogę wybawić? – pyta siostra.

I rozmawiali tak ze sobą prawie przez całą noc, drzemiąc tylko parę godzin.

Elizę obudził łopot skrzydeł łabędzi przelatujących nad nią. Bracia przemienili się znowu i lecieli, zakreślając wielkie kręgi, byli już dość daleko, ale najmłodszy z nich pozostał; położył głowę na kolanach Elizy, a ona gładziła jego białe skrzydła, przez cały dzień byli razem. Pod wieczór przyleciały inne łabędzie, a kiedy słońce zaszło, stanęli przed nią w swej naturalnej postaci.

– Jutro odlatujemy stąd i dopiero po roku wrócimy, ale nie możemy ciebie tutaj zostawić. Czy masz odwagę polecieć z nami? Mamy dość silne ramiona, dość mocne skrzydła, aby móc cię przenieść przez las i lecieć razem z tobą nad morzami.

– Ach, weźcie mnie ze sobą! – zawołała Eliza.

Przez całą noc pletli siatkę z giętkiego, wierzbowego łyka i mocnego sitowia, siatka była duża i mocna. Eliza położyła się na niej, a kiedy weszło słońce i bracia przemienili się w dzikie łabędzie pochwycili dziobami siatkę i polecili ze swą kochaną siostrą, która jeszcze spała, wysoko aż pod chmury. Promienie słoneczne padały wprost na jej twarz i dlatego jeden z łabędzi leciał nad jej głową i jego wielkie skrzydła okrywały ją cieniem.

Byli już daleko od lądu, kiedy Eliza obudziła się, miała wrażenie, że jeszcze śni, taki to był cudowny lot wysoko w powietrzu nad morzem. Obok niej leżała gałązka z pięknymi, dojrzałymi jagodami i wiązką smakowitych korzeni, zebrał je dla niej najmłodszy brat, a ona uśmiechała się do niego w podzięcie, poznała, że to on leci nad jej głową i ocienia ją swymi skrzydłami.

Lecieli tak wysoko w powietrzu, że pierwszy okręt, który zobaczyli na dole, wyglądał jak biała mewa siedząca na wodzie. Za nimi wznosiła się olbrzymia chmura niby wielka góra, i Eliza zobaczyła na niej swój własny cień oraz wyolbrzymiony cień wszystkich jedenastu łabędzi. Był to tak wspaniały obraz, jakiego jeszcze nigdy nie widziała; ale gdy słońce weszło wyżej i chmura została za nimi w tyle, kołyszący się miraż zniknął.

Przez cały dzień lecieli w powietrzu jak świszcząca strzała, ale lot ich był wolniejszy niż zwykle, bo nieśli przecież siostrę. Nadciągała burza, zbliżał się wieczór. Eliza patrzyła pełna lęku za zachodzące słońce, a na morzu nie widać było jeszcze samotnej skały; zdawało jej się, że

łabędzie silniej uderzają skrzydłami. Ach, to ona była winna temu, że nie mogli dość prędko posuwać się naprzód; gdy słońce zajdzie, przemienią się w ludzi, spadną do morza i utoną! Wówczas zaczęła się modlić z głębi serca do Boga, ale wciąż jeszcze nie widziała skały. Czarna chmura zbliżała się, silne podmuchy zwiastowały burzę, chmury wyglądały jak jedna wielka, groźna fala, mknąca naprzód jak wystrzelona kula. Błyskawica zapalała się po błyskawicy.

Teraz słońce dosięgło linii morza. Serce Elizy drżało. Nagle łabędzie spuściły się w dół tak szybko, że dziewczynka myślała, że spadają, ale one wciąż leciały. Słońce było do połowy pod wodą, wtedy dopiero spostrzegła małą skałę; nie zdawała się być większą od fok, która wysuwa głowę z wody. Słońce zachodziło szybko, teraz wyglądało już jak gwiazda; wtedy stopa jej dotknęła skały, słońce zgasło natychmiast, jak ostatnia iskra palącego się papieru; bracia stali ramię przy ramieniu, a miejsca starczyło tyle tylko, co dla nich i dla niej. Morze uderzało o skałę i oblewało ich jak ulewa. Niebo płonęło nieustającymi błyskawicami i grom uderzał po gromie, a bracia i siostra trzymali się za ręce i śpiewali psalmy, czerpiąc z nich pociechę i otuchę.

Kiedy nastał świt, powietrze było czyste i ciche. Ze wschodem słońca łabędzie z Elizą opuściły skałę. Morze ryczało jeszcze dziko, kiedy byli wysoko w powietrzu, biała piana na czarnozielonym morzu wyglądała jak miliony łabędzi pływających po wodzie.

Kiedy słońce wznosiło się na niebie, Eliza zobaczyła górzysty kraj zarysowujący się w powietrzu, białe lodowce błyszczące na wierzchołkach gór, a pośrodku wznosił się na milę zamek z jedną kolumnadą nad drugą; niżej kołysały się palmowe lasy i wspaniałe kwiaty, wielkie jak młyńskie koła. Spytała, czy to jest kraj, do którego lecą, ale łabędzie potrząsały głowami, bo to co widziała Eliza, było pięknym, wiecznie zmieniającym się zamkiem z chmur – fatamorganą; ludzie nie mogli tam mieszkać. Eliza wciąż patrzyła: zawaliły się nagle góry, lasy i zamek, a w ich miejsce stało dwadzieścia dumnych kościołów, wszystkie do siebie podobne, z wysokimi wieżami i spiczastymi oknami. Wydawało jej się, że słyszy grę na organach; ale to tylko morze szumiało. Oto gdy byli zupełnie blisko, kościoły przemieniły się w wielką flotę, która płynęła pod nimi; spojrzęła w dół i zobaczyła, że były to tylko mgły snujące się ponad wodą. Miała przed oczami ciągle zmieniające się obrazy, wreszcie ujrzała rzeczywistą krainę, do której podążali, wznosiły się tam cudne, błękitne góry, pokryte cedrowymi lasami, miastami i zamkami. Jeszcze na długo przed zachodem słońca siedziała na skale przed wielką grota, zarośniętą zielonymi, pnącymi roślinami; wyglądało to jak haftowane zasłony.

– Zobaczmy, co ci się będzie tej nocy śniło! – powiedział najmłodszy brat i pokazał jej

sypialnię.

„Ach, gdyby mi się przyśniło, w jaki sposób mogę was odczarować!” – pomyślała Eliza: ta myśl zajęła ją tak bardzo, że modliła się żarliwie do Boga o pomoc; nawet we śnie nie przestawała się modlić; zdawało jej się że pofrunęła wysoko do cudnego pałacu fatamorgany i że naprzeciw niej wyszła piękna wróżka, przypomniała jej ona jednak staruszkę, która obdarzyła ją w lesie jagodami, tę, co jej opowiedziała o łabędziach ze złotymi koronami na głowach.

– Możesz odczarować twoich braci! – powiedziała. – Ale czy jesteś odważna i wytrzymała? Morze jest miększe od twoich delikatnych rąk, a jednak kształtuje twarde kamienie, ale nie czuje bólu, jaki będą czuły twoje palce, bo nie ma serca, nie lęka się, nie cierpi, tak jak ty będziesz cierpieła. Czy widzisz tę pokrzywę, którą trzymam w ręku? Wokoło groty, w której śpiesz, rośnie wiele podobnych, zwracam ci uwagę, że możesz użyć tylko tych pokrzyw jak również takich, które rosną na grobach cmentarzy; zapamiętaj sobie, musisz je zerwać, nawet gdyby twoja skóra pokryła się pęcherzami; musisz je pognieść nogami, wtedy otrzymasz włókna, z których masz upleść jedenaście koszulek rycerskich z długimi rękawami; narzucić je na łabędzie, a wtedy czar prysnie. Zapamiętaj sobie jednak, że podczas pracy, dopóki jej nie skończysz, nie wolno ci mówić, nawet gdyby to miało trwać lata. Pierwsze słowo, jakie powiesz, przeszyje śmiertelnym sztyletem serca twoich braci; od twojego języka zależy ich życie. Zapamiętaj sobie dobrze to wszystko.

I w tej samej chwili dotknęła jej ręki pokrzywą; paliła jak ogień. Eliza obudziła się. Był jasny dzień i tuż obok miejsca, gdzie spała, leżała pokrzywa, tak jak ją widziała we śnie. Wtedy padła na kolana, dziękowała Bogu i wyszła z groty, aby rozpocząć pracę.

Delikatnymi rękami brała wstrętne pokrzywy. Paliły jak ogień, wielkie pęcherze pokryły jej ręce i ramiona, ale znosiła wszystko chętnie, aby tylko wyzwolić braci. Każdą pokrzywę deptała bosymi nogami i plotła zielone włókna.

Kiedy słońce zaszło, przyszli bracia i przestraszyli się, gdy ją zastali niemą, myśleli, że to nowy czar złej macochy, ale gdy zobaczyli jej ręce, zrozumieli, że robiła to dla nich i najmłodszy brat zaczął płakać, a tam gdzie łaża jego padła, zniknęły pałace pęcherze i Eliza nie czuła bólu.

Noc spędziła na robocie, bo wiedziała, że nie będzie miała spokoju, zanim nie zbawi swych kochanych braci. Przez cały następny dzień, gdy nie było łabędzi, siedziała samotnie, ale nigdy jeszcze czas nie mijał jej tak prędko. Jedna koszulka pancerna była już gotowa, teraz zaczęła drugą.

Aż tu wśród gór rozległ się dźwięk myśliwskiego rogu. Eliza przeraziła się; odgłosy były coraz bliższe, słyszała szczekanie psów; przestraszona, ukryła się w grocie, związała zebrane i zmiędlone pokrzywy w węzełek i usiadła na nim.

Nagle wielki pies wyskoczył z zarośli, a zaraz za nim jeszcze jeden i jeszcze jeden; czekały głośno, odbiegały i znowu wracały. Wkrótce potem przed jaskinią stanęli wszyscy strzelcy, a najpiękniejszy z nich był królem tej ziemi. Podszedł do Elizy, nigdy jeszcze nie widział tak pięknej dziewczyny – jakże się tu dostałaś, ty cudne dziecko? – zapytał. Eliza potrząsnęła głową, nie mogła przecież mówić, chodziło o życie i o wyzwolenie jej braci; schowała pod fartuchem ręce, aby nie widział, ile wycierpiała.

– Chodź ze mną! – powiedział. – Nie możesz tu zostać. Jeżeli jesteś tak dobra jak piękna, ubiorę cię w aksamity i jedwabie, a na głowę ci włożę złotą koronę; będziesz mieszkała i rządziła w moim najwspanialszym zamku! – I potem wziął ją na konia, Eliza płakała i łamała ręce, ale król powiedział:

– Pragnę tylko twego szczęścia! Kiedyś podziękujesz mi za to!

I pojechał przez góry, trzymając ją na koniu przed sobą, a myśliwi pędzili za nim.

Kiedy zaszło słońce, przyjechali do wspaniałego królewskiego miasta z kościołami i kopułami, król zaprowadził ją do zamku, gdzie w marmurowych, wysokich salach pluskały wielkie fontanny, gdzie lśniły malowidła na sufitach i na ścianach; ale Eliza nie patrzyła na to wszystko, płakała i rozpaczała; nie opierając się, dała się przebrać służebnicom we wspaniałe szaty, dała sobie wpleść we włosy perły, a na poparzone palce włożyła cienkie rękawiczki.

Kiedy stanęła w całej wspaniałości, była tak olśniewająco piękna, że dwór skłonił się przed nią jeszcze niżej, a król postanowił wziąć ją za żonę, chociaż arcybiskup potrząsał głową i szeptał mu, że piękna dziewczyna z lasu jest na pewno czarownicą; oślepiła wszystkie oczy i otumania serce króla.

Ale król nic sobie z tego nie robił, kazał grać muzyce, kazał podać najdroższe potrawy i tańczyć najpiękniejszym dziewczynom; poprowadzono ją poprzez pachnące ogrody do wspaniałych sal; ale ani razu uśmiech nie rozjaśnił jej twarzy i nie rozbłysnął w jej oczach, z których przemawiał ból, jedyne jej bogactwo. Wówczas król otworzył małą izbę tuż obok pokoju, gdzie miała spać; izba ta była zawieszona zielonymi dywanami i wyglądała zupełnie jak pieczara, w której mieszkała; na podłodze leżała wiązka włókien, które Eliza wyprzędła z pokrzyw, a pod sufitem wisiała gotowa koszulka pancerna, wszystko to zabrał jeden ze strzelców

jako coś niezwykłego.

– Tutaj możesz marzyć o twoim dawnym mieszkaniu! – powiedział król. – Masz tu robotę, którą się tam zajmowałaś; pośród tego całego przepychu będzie ci przyjemnie powracać myślami do dawnych czasów.

Gdy Eliza zobaczyła to, co było tak bliskie jej sercu, uśmiech rozjaśnił jej twarz i krew zabarwiła jej policzki, pomyślała o odczarowaniu swych braci, pocałowała królewską rękę, a on przycisnął ją do serca i kazał dzwonić dzwonom we wszystkich kościołach, aby obwieściły jego wesele. Piękna, niema dziewczyna z lasu została królową kraju.

Wtedy arcybiskup szepnął królowi do ucha złe słowa, które nie dotarły jednak do jego serca; wesele miało się odbyć; sam arcybiskup musiał jej włożyć na głowę koronę, nacisnął umyślnie zbyt ciasną ciężką obręcz, tak żeby ją zabolalo, ale bardziej bolalo ją to, co miała w sercu: troska o braci; nie czuła bólu cielesnego. Jej usta były nieme, za jedno słówko bracia zapłaciliby życiem: w jej oczach była głęboka miłość do dobrego, pięknego króla, który robił wszystko, aby jej sprawić radość. Z całego serca kochała go z każdym dniem więcej. Ach, gdyby mogła mu się zwierzyć, opowiedzieć mu swoje, cierpienia, ale musiała zachować milczenie, musiała bez słowa pracować dalej. I dlatego wymykała się nocą do swojej komórki, zmienionej w grootę, i przędła jedną koszulkę za drugą, ale gdy zaczęła siódmą, zabrakło jej włókien.

Wiedziała o tym, że na cmentarzu rosły potrzebne jej pokrzywy, ale sama musiała je zerwać; w jaki sposób mogła się tam dostać?

„Czym jest ból moich palców w porównaniu z bólem i męką, jaką odczuwa moje serce? – myślała. – Muszę się odważyć, Pan Bóg mnie nie opuści.” Z sercem pełnym lęku, tak jak gdyby miała zamiar spełnić jakiś zły czyn, wymknęła się księżycową nocą do ogrodu, minęła długie aleje i pustymi ulicami wydostała się na cmentarz. Na jednym z najobszerniejszych kamieni mogiłnych ujrzała zmory, wstrętne czarownice, które zdejmowały swoje łachmany, jakby się chciały kąpać, rozgrzebywały długimi, chudymi palcami świeże groby, wyjmowały trupy i pożerały ich ciała. Eliza musiała przechodzić tuż obok nich, patrzyły na nią złym wzrokiem, ale ona pomodliła się, zebrała pokrzywy i zaniósła je do zamku.

Jeden tylko człowiek widział ją – arcybiskup; nie spał, podczas gdy wszyscy spali: teraz upewnił się w swoim przekonaniu, że nie wszystko było w porządku z królową: była czarownicą i dlatego otumaniała króla i cały naród.

Gdy król się spowiadał, opowiedział mu o tym, co zobaczył i czego się bał i kiedy z jego ust

posypały się twarde słowa, święci wyrzeźbieni w drzewie potrząsali głowami, jak gdyby chcieli powiedzieć: „To nieprawda. Eliza jest niewinna!” Ale arcybiskup tłumaczył to sobie inaczej; myślał, że święci świadczą przeciwko niej, że kiwają głowami nad jej grzechem. Dwie duże łzy potoczyły się po policzkach króla, wrócił do domu ze zwątpieniem w sercu; w nocy udawał, że śpi, ale sen nie zamknął jego oczu, słyszał, jak Eliza wstała, i co noc powtarzało się to samo, za każdym razem szedł za nią cicho i widział, że znika w swojej komórce.

Z dnia na dzień stawał się bardziej ponury, Eliza widziała to, ale nie mogła zrozumieć dlaczego; a jednak to ją niepokoiło, jakże cierpiała w głębi serca za swoich braci! Jej gorące łzy spływały na królewski aksamit i purpurę i wyglądały jak błyszczące diamenty, a wszyscy, którzy widzieli ten przepych, zazdrościli królowej. Wkrótce skończyła robotę, brak było tylko jednej koszulki, ale nie miała już więcej włókien, ani jednej pokrzywy. Jeszcze jeden raz, ostatni raz, musiała pójść na cmentarz, by uezierać parę pełnych garści. Myślała z lękiem o samotnej wędrówce i o strasznych zmorach, ale jej wola była tak stanowcza jak ufność w Bogu.

Eliza poszła, ale król i arcybiskup szli za nią, widzieli, że zniknęła za furtką prowadzącą na cmentarz, a kiedy zbliżyli się do furtki, ujrzeli czarownice siedzące na kamieniach, tak jak je ujrziała Eliza; król odwrócił się, gdyż wśród nich wyobraził sobie, że widzi tę, której głowa spoczywała jeszcze tego wieczora na jego piersi.

– Lud niech ją sądzi! – powiedział, i lud ją osądził: „Niech ją czerwony ogień pochłonie!”

Ze wspaniałych królewskich sal wyprowadzono Elizę do ciemnej, wilgotnej nory, gdzie wiatr dął przez zakratowane okienko, zamiast aksamitów i jedwabi dali jej wiązkę pokrzyw, które zebrała; na nich miała złożyć głowę; twarde, pałace koszulki uplecione przez nią miały jej służyć za pierzynę i kołdrę, ale wyrządzono jej tym przysługę, mogła bowiem dalej pracować modląc się gorąco. Na ulicy ulicznicy śpiewali wyszydające ją piosenki, żywa dusza nie pocieszyła jej ani jednym dobrym słowem.

Pod wieczór zaszumiały skrzydła łabędzie pod więziennym okienkiem: był to najmłodszy brat, który odnalazł siostrę, a ona szlochała z radości, chociaż wiedziała, że ta noc, która miała nadejść, będzie prawdopodobnie ostatnią nocą jej życia, ale oto robota była już prawie skończona i jej bracia byli przy niej.

Przyszedł arcybiskup, aby spędzić u niej ostatnią godzinę, przyrzekł to królowi, ale ona potrząsała głową i prosiła go gestem i spojrzeniem, aby ją opuścił, tej nocy musiała przecież skończyć swoją robotę, bo inaczej wszystko byłoby na próżno; wszystko – ból, łzy i bezsenne

noce; arcybiskup opuścił ją lżąc złymi słowami, ale biedna Eliza wiedziała, że jest niewinna, i pracowała dalej.

Małe myszki przebiegając po podłodze przyciągały jej pod nogi włókna pokrzywy, aby jej choć trochę pomóc, a przed zakratowanym okienkiem usiadł drozd i przez całą noc śpiewał najweselej, jak umiał, aby Eliza nie traciła otuchy.

Jeszcze brzask nie wstał, dopiero za godzinę miało wzejść słońce, kiedy jedenastu braci stanęło przed bramą zamku i zażądało, aby ich zaprowadzono do króla, ale odpowiadano, że to niemożliwe, bo noc, król śpi i nie można go budzić. Prosilili, grozili, przyszła warta, nawet król wyszedł i spytał, co to ma znaczyć, ale w tej samej chwili wzeszło słońce i nie widać już było braci, tylko hen nad zamkiem leciało jedenaście dzikich łabędzi.

Cały lud tłoczył się do bram miasta, wszyscy chcieli zobaczyć, jak będą palili czarownicę. Nędzna szkapą ciągnęła wóz, na którym siedziała Eliza; włożono na nią koszulę z grubego, workowego płótna; piękne długie rozpuszczone włosy otaczały jej cudną twarz; policzki były śmiertelnie blade, a wargi poruszały się lekko; ale palce plotły zielone nici; nawet w tej śmiertelnej drodze nie porzuciła rozpoczętej pracy; dziesięć koszulek leżało u jej stóp, pracowała nad jedenastą; tłum szydził z niej.

– Spójrzcie na tę czarownicę, jak mruczy! Nie ma w ręku książki do nabożeństwa, siedzi ze swoją wstrętną, czarnoksięską robotą, podrzyjmy jej to na kawałki!

I rzucili się na nią, i chcieli jej podrzeć robotę; a wtedy przyleciało jedenaście białych łabędzi, usiadły naokoło niej na wozie i uderzały dużymi skrzydłami. Przerażony tłum cofnął się.

– Oto znak Boży! Ona jest na pewno niewinna! – szeptało wielu, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno.

Już kat chwycił ją za rękę, a ona rzuciła pośpiesznie jedenaście koszulek na łabędzie i oto stanęło przed nią jedenastu pięknych królewiczów: ale najmłodszy miał zamiast jednego ramienia skrzydło łabędzie, gdyż koszulce brakowało jednego rękawa, którego siostra nie zdążyła skończyć.

– Teraz mogę mówić! – powiedziała. – Jestem niewinna! A lud widział, co się stało, i pochylił przed nią głowy jak przed świętą, ale ona osunęła się zemdlona w ramiona braci; tak podziały na nią strach, ból i zmęczenie.

– Tak, jest niewinna! – zawołał najstarszy z braci i potem opowiedział wszystko, co się zdarzyło, a podczas gdy mówił, rozszedł się zapach jak od miliona róż, bo każde polano na stosie

puściło korzenie i gałązki, wznosił się pachnący żywopłot wysoki i gęsty, utkany czerwonymi różami, a na samej górze błyszczał biały kwiat, połyskujący jak gwiazda; król zerwał ten kwiat i położył go na piersi Elizy; a ona zbudziła się radośnie ze szczęściem i spokojem w sercu.

Wszystkie dzwony zaczęły same dzwonić i wielkimi gromadami przyleciały ptaki – ruszono z powrotem na zamek weselnym pochodem, orszakiem, jakiego nie miał żaden król na świecie.

LATAJĄCY KUFER

Był sobie pewnego razu kupiec tak bogaty, że mógł całą ulicę i jeszcze jedną małą uliczkę wybrukować srebrnymi pieniędzmi. Ale nie czynił tego, gdyż z pieniędzy swych robił inny użytek: wydawał szylinga, a dostawał z powrotem talara. Taki to był sprytny kupiec. W końcu jednak umarł.

Pieniądze dostały się jego synowi. Ten żył sobie ogromnie wesoło, co noc chodził na maskaradę. Robił latawce z banknotów, a złotymi monetami puszczał kaczki po wodzie, w ten sposób pieniądze mogły się łatwo wyczerpać, i tak się też stało. Wreszcie zostały mu już tylko cztery szylingi, para pantofli i stary szlafrok. Przyjaciele przestali się nim zajmować, bo nie mogli przecież spacerować z nim po ulicy, ale jeden z nich, który miał dobre serce, przesłał mu stary kufer i powiedział:

– Pakuj manatki!

Było to bardzo pięknie powiedziane, ale on nie miał co pakować do kufra, więc wszedł sam do wnętrza.

A kufer nie był zwyczajny! Wystarczyło nacisnąć zamek, a natychmiast wznosił się w powietrze. Syn kupca nacisnął zamek, i hops! wyleciał przez komin wysoko nad chmury i coraz wyżej, i wyżej. Dno kufra trzeszczało, a on bał się nie na żarty, by kufer nie rozleciał się na kawałki, bo wówczas fiknąłby porządnego kozła. Nie daj Boże! W ten sposób przyleciał do kraju Turków. Kufer schował w lesie pod suchymi liśćmi i udał się do miasta. Mógł to doskonale zrobić, bo w Turcji wszyscy chodzą jak on w pantoflach i w szlafroku. Po drodze spotkał niańkę z dzieckiem.

– Słuchaj ty turecka niańko – powiedział. – Co to za wielki zamek z wysokimi oknami wznosi się tam za miastem?

– Mieszka w nim córka króla – odpowiedziała. – Przepowiedziano jej, że będzie bardzo nieszczęśliwa przez ukochanego, i dlatego nikt nie ma do niej dostępu inaczej jak w obecności króla i królowej!

– Dziękuję! – powiedział syn kupca; potem wrócił do lasu, włożył do kufra, poleciał na dach i wszedł przez okno do księżniczki.

Leżała na kanapie i spała. Była tak śliczna, że syn kupca musiał ją pocałować. Obudziła się i przestraszyła wielce, ale on powiedział, że jest bogiem tureckim, że przyleciał przez komin, i to się jej spodobało.

Potem usiedli obok siebie i on zaczął opowiadać historie o jej oczach: że są jak piękne, ciemne jeziora, po których myśli pływają niby rusalki. I opowiadał o jej czole: że jest jak śnieżny szczyt w najpiękniejszym krajobrazie, i opowiadał o bocianie, który przynosi małe, śliczne dzieci.

To były śliczne historyjki! Potem poprosił księżniczkę o rękę, a ona od razu się zgodziła.

– Musisz przyjść tu w sobotę! – powiedziała. – Wtedy król i królowa są u mnie na herbacie! Jakże będą dumni, że zdobyłam boga Turków; ale pamiętaj, żebyś im opowiedział jakąś bardzo ładną bajkę, bo moi rodzice najbardziej lubią bajki: dla mamy musi być moralna i dystygowana, a dla ojca wesoła, żeby się można było uśmieć!

– Dobrze! – odpowiedział. – Jako narzeczeńskie prezenty będę przynosił jedynie opowieści!

I pożegnali się. A księżniczka dała mu szablę pokrytą złotymi monetami, które mu się ogromnie przydały.

Poleciał do miasta, kupił sobie nowy szlafrok. Potem siedział w lesie i układał bajkę, która musiała być gotowa na sobotę, a to przecież nie jest takie łatwe.

Kiedy skończył, nadeszła sobota.

Król, królowa i cały dwór czekali z herbatą u księżniczki. Przyjęto go bardzo łaskawie.

– Czy zechce pan opowiedzieć bajkę – spytała królowa – głęboką i pouczającą?

– Ale taką, z której można się uśmieć – powiedział król.

– Tak, oczywiście! – odrzekł i zaczął opowiadać. – Słuchajcie. „Była raz wiązka zapalek, ogromnie dumnych ze swego pochodzenia. Ich drzewo genealogiczne, to znaczy duża jodła, z której gałęzi zostały zrobione, było starym drzewem w lesie. Zapalki leżały teraz między krzesiwem a starym garnkiem żelaznym i opowiadały im o swej młodości:

– Kiedy mieszkaliśmy na zielonych gałęziach – mówiły – było nam jak w raju; co rano i wieczór piłyśmy herbatę z brylantów, to była rosa, cały dzień spędzałyśmy w blasku słońca, jeśli słońce świeciło, i słuchałyśmy bajek, które wszystkie ptaszki musiały nam opowiadać. Wiedziałyśmy też o tym, że jesteśmy bogate, bo drzewa liściaste były odziane tylko latem, naszą zaś rodzinę stać było na zielony strój zarówno w zimie, jak w lecie. Ale przyszedł drwal i nastąpiła rewolucja. Rodzina nasza rozprysła się, pień główny otrzymał posadę jako główny

maszt na pięknym okręcie, który miał opłynąć cały świat, gałęzie rozesłano w różne strony, a naszym zadaniem jest nieść światło dla mas, dlatego my, tak wytworne istoty, przebywamy w tej oto kuchni.

– Mój los jest odmienny – powiedział żelazny garnek stojący obok zapalek. – Od chwili kiedy przyszedłem na świat, gotowano we mnie i szorowano mnie. Ja dbam o rzeczy solidne i właściwie zajmuję pierwsze miejsce w domu. Jediną moją przyjemnością jest, po obiedzie, kiedy mnie już wyczyszczą i wyszorują stać na swoim miejscu i prowadzić rozsądne rozmowy z moimi towarzyszami. Ale z wyjątkiem wiadra do wody, które od czasu do czasu schodzi na podwórze, żyjemy tu wszyscy w czterech ścianach. Jedyńm zwiastunem nowinek jest dla nas koszyk, kiedy wraca z targu, opowiada dużo, ale tak niespokojnie mówi o rządzie i o ludzie. Nawet niedawno jeden stary garnek, słuchając tego, rozpadł się w kawałki – to jest, zapewniam was, prawdziwy liberał!

– Za dużo gadasz! – powiedziało krzesiwo i stal uderzyła o krzemień, tak że posypały się iskry. – Chcecie, urządzimy sobie wesoły wieczór.

– Doskonale! Pomówimy o tym, kto z nas jest najwytworniejszy! – powiedziały zapalki.

– Nie, nie lubię mówić o sobie! – zaprotestowała gliniana misa.

– Prowadźmy lepiej rozmowę towarzyską. Ja zacznę, opowiem wam coś, co każdy z was przeżył, więc się łatwo wczujecie, a to jest bardzo przyjemne. Więc: nad brzegiem Bałtyku, wśród buków duńskich...

– Jak ładnie się zaczyna! – powiedziały talerze. – To będzie opowiadanie, które się nam z pewnością spodoba.

– Tak, tam spędziłam młodość w pewnej spokojnej rodzinie. Czyszczono tam meble, szorowano podłogi, a co dwa tygodnie zawieszano czyste firanki!

– Jakże pani zajmująco opowiada! – pochwaliła miotła. – Od razu można poznać, że to opowiada kobieta, taka jakaś czystość wieje z tego!

– Tak, to się czuje! – powiedziało wiadro i podskoczyło z radości, hop! aż woda plusnąwszy na podłogę odpowiedziała: płask!

A gliniana misa ciągnęła dalej swe opowiadanie, którego koniec był równie piękny jak początek.

Talerze zabrzcęzały z radości, a miotła wyciągnęła ze śmietnika zieloną pietruszkę i uwieńczyła misę, bo wiedziała, że tym rozzłości innych.

«Uwieńczę ją dzisiaj! – pomyślała. – Za to ona uwieńczy mnie jutro!»

– A teraz zatańczę! – powiedział pogrzebacz.

I zatańczył, Boże zmiłuj się! Jak wysoko podnosił w górę swą jedyną nogę! Aż stary pokrowiec na krześle stojącym w kącie pękł ze śmiechu na ten widok!

– Czy teraz i mnie uwieńczycie? – spytał pogrzebacz.

I został uwieńczony.

«Ach, cóż to za motłoch!» – pomyślały zapalki.

Teraz przyszła kolej na samowar: miał śpiewać, ale powiedział, że jest przeziębiony i że śpiewa jedynie wtedy, gdy jest zagrzany. Oczywiście były to tylko wielkopańskie fochy; nie wypadało mu śpiewać gdzie indziej niż u państwa na stole,

W oknie tkwiło stare gęsie pióro, którym pisała służąca; nie było w nim nic szczególnego, chyba to, że maczano je zbyt głęboko w atramencie, ale ono było i z tego dumne.

– Jeżeli samowar nie chce śpiewać, to dajcie mu pokój! Za oknem wisi klatka ze słowikiem, który też umie śpiewać; nie uczył się co prawda, ale na dzisiejszy wieczór musi nam wystarczyć!

– Uważam za ogromnie niestosowne – powiedział czajnik, śpiewak kuchenny i brat przyrodni samowara – abyśmy słuchali śpiewu takiego obcego ptaka! Czy to patriotycznie? Niechże koszyk rozstrzygnie tę kwestię!

– Złości mnie to! – zawołał koszyk. – Złości niesłuchanie, że w tak niemądry sposób spędzamy wieczór! Czy nie lepiej byłoby zająć się porządkiem w domu? Każdy wróciłby na swoje miejsce, a ja kierowałbym zabawą. To byłoby coś zupełnie innego!

– Dobrze, zgadzamy się! – zawołali wszyscy.

W tej chwili drzwi się otworzyły; weszła służąca i wszyscy znieruchomieli na swoich miejscach. Nikt nie powiedział ani słówka. Ale po cichu każdy myślał o sobie, nawet najlichszy garnek myślał o tym, jak bardzo jest wytworny i że wszystko potrafiłby zrobić! «Tak, gdybym tylko zechciał – myślał każdy – mógłbym urządzić naprawdę wesoły wieczór!»

Służąca wzięła zapalki i rozpałała nimi ogień. Mój Boże! Jakże trzaskały i buchały płomieniem.

«Teraz każdy widzi, że jesteśmy najważniejsze! – myślały zapalki. – Jakież to blask z nas bije! Jakie światło!»

I tak myśląc spłonęły.”

– Tak, to była piękna bajka! – powiedziała królowa. – Po prostu byłam w kuchni z tymi

zapalkami. Bierz naszą córkę za żonę!

– Tak! – potwierdził król. – W poniedziałek oddamy ci córkę!

Mówili do niego „ty”, bo należał już do rodziny.

W ten sposób wyznaczono dzień wesela, a w wigilię tego dnia całe miasto było rześście iluminowane. Między lud rzucano ciastka i obwarzanki; ulicznicy wspinali się na palce, gwizdali i wołali: „Hura!” Było to niebywale wspaniale.

„I ja chyba muszę pokazać coś ładnego!” – pomyślał syn kupca. Nakupił dużo rakiet, fajerwerków i sztucznych ogni, włożył 19 wszystko do swego kufra i wyleciał z tym w powietrze;

Trrrach! – Trzaskało i huczało!

Turcy podskakiwali na ten widok z radości tak, że aż pantofle fruwały im koło uszu. Czegoś podobnego jeszcze nie widzieli. Toteż uwierzyli, że to bóg turecki żeni się z księżniczką.

Gdy syn kupca wrócił ze swym kufrem do lasu, pomyślał: „Pójdę trochę do miasta posłuchać, co ludzie o tym wszystkim mówią!” Był bardzo ciekawy.

Co też ci ludzie wygadywali! Każdy, kogo spytał, opowiadał na swój sposób, ale wszyscy mówili, że to było piękne.

– Widziałem na własne oczy tureckiego boga! – powiedział jeden. – Miał oczy jak błyszczące gwiazdy, a brodę jak wzburzone fale!

– Leciał w płaszczu ognistym! – mówił drugi. – A z fałd płaszcza wyglądały cudne aniołki.

Tak, pięknych historyjek nasłuchiwał się syn kupca. A nazajutrz miało być wesele.

Potem zaś poszedł do lasu, by wsiąść do swego kufra: Ale co to? Gdzie kufer? Kufer się spalił. Została w nim iskierka z fajerwerków, kufer się od niej zajął i oto był już tylko popiołem. Syn kupca nie mógł już latać, nie mógł pofrunąć do narzeczonej.

A narzeczonej stała cały dzień na dachu i czekała. Czeka tam pewnie jeszcze do dziś, a syn kupca wędruje po świecie i opowiada bajki, ale te bajki nie są już takie wesołe jak tamta, którą opowiadał o zapalkach.

ŚWINIOPAS

Był sobie pewnego razu bardzo ubogi książę. Miał księstwo małe, ale dość duże na to, by mógł się ożenić; a chciał się właśnie żenić!

Było to co prawda zuchwalstwo, że odważył się spytać córkę cesarza:

„Czy chcesz mnie mieć za męża?”, ale jednak ośmielił się to uczynić, bo imię jego było sławne na cały świat. Tysiąc księżniczek zgodziłoby się chętnie, ale dowiedcie się zaraz, co uczyniła córka cesarza.

Zatem słuchajcie.

Na grobie ojca księcia rósł krzak róży, cudny krzak róży. Zakwitał tylko raz na pięć lat, i to jedną jedyną różą. Ale ta róża pachniała tak słodko, że wachając ją zapominało się o wszystkich zmartwieniach i troskach. Miał też książę słowika, który tak pięknie śpiewał, jak gdyby w jego gardziółku mieściły się wszystkie niebiańskie melodie. Tę różę i tego słowika miała dostać księżniczka; w tym celu różę i słowika włożono do srebrnych szkatułek i tak posłano je księżniczce.

Cesarz kazał przynieść dary do wielkiej sali, gdzie księżniczka bawiła się z damami dworu w „gości”; przez cały Boży dzień nie robiły nic innego. Gdy zobaczyła duże szkatułki z darami, klasnęła z radości w ręce i zawołała: – Ach, gdyby to był maleńki kotek! – Ale w szkatułce była cudna róża.

– Jakże ładnie zrobiona! – powiedziały wszystkie damy dworu.

– Jest więcej niż ładna – powiedział cesarz. – Jest piękna. Lecz księżniczka powąchała różę i była bliska płaczu.

– Fe, ojczulku – powiedziała – to nie jest sztuczna róża, tylko prawdziwa.

– Fe – powiedziały wszystkie damy dworu – prawdziwa!

– Zanim się zaczniemy gniewać, zobaczmy, co jest w drugim pudle – powiedział cesarz; wyjęto słowika, który zaczął tak pięknie śpiewać, że nie można mu było nic zarzucić!

– *Superbe! Charmant!*¹⁰ – zawołały damy dworu, gdyż paplały wszystkie po francusku, jedna gorzej od drugiej.

– Jakżeż ten ptak przypomina mi pozytywkę świętej pamięci cesarzowej – powiedział stary marszałek dworu – zupełnie ten sam ton, ten sam wyraz!

– Tak – powiedział cesarz i rozplakał się jak dziecko.

– Chyba to nie jest żywy słowik! – powiedziała księżniczka.

– To żywy ptak – powiedzieli ci, którzy przynieśli dary.

– W takim razie wypuście go! – zawołała księżniczka i w żaden sposób nie chciała widzieć księcia.

Ale on nie tracił nadziei; posmarował sobie twarz na brązowo i czarno, wcisnął głęboko na oczy czapkę i zapukał do drzwi.

– Dzień dobry, cesarzu – powiedział – czy mógłbym dostać jakąś służbę na dworze?

– Wielu ludzi szuka tu pracy – odpowiedział cesarz – ale zobaczmy, potrzebuję kogoś, kto by mi pilnował świń, których mamy bardzo dużo. W ten sposób książe został cesarskim świniopasem. Dostał na mieszkanie ciasną, brzydką komórkę obok świńskich chlewów i miał w niej pozostać; cały dzień pracował, a kiedy nadszedł wieczór, zrobił prześliczny, mały garnuszek z dzwoneczkami wokoło; kiedy w garnku gotowało się, dzwoneczki dzwoniły ślicznie i grały starą melodię:

Ach, kochany Augustynie,

Wszystko minie, mnie, minie!

Ale największa sztuka polegała na tym, że kiedy się trzymało palce nad parą wydobywającą się z garnka, można było natychmiast poczuć zapach wszystkich potraw, jakie gotowały się we wszystkich kuchniach miasta; no, to było przecie coś zupełnie innego niż jakaś tam róża.

– Księżniczka poszła ze wszystkimi damami dworu na spacer i usłyszawszy melodię uradowała się niezwykle, bo właśnie to potrafiła grać. „Ach, kochany Augustynie”, była to jedyna melodia, którą umiała zagrać, i to tylko jednym palcem.

– To właśnie tylko umiem! – powiedziała. – Musi to być wykształcony świniopas! Słuchaj, idź do niego i spytaj, ile kosztuje ten instrument!

Jedna z dam dworu musiała pójść, ale przedtem włożyła drewniaki na nogi.

– Ile chcesz za ten garnek? – spytała dama.

– Chcę dziesięć pocałunków księżniczki! – powiedział świniopas.

– Na litość boską! – zawołała dama dworu.

¹⁰ Wspaniały! Zachwycający! (fr.)

– Ani jednego mniej! – odpowiedział świniopas.

– Co on mówił? – spytała księżniczka.

– Nie mogę tego powtórzyć! – odezwała się dama dworu. – To potworne!

– Możesz mi szepnąć do ucha! – Więc szepnęła.

– Jaki niegrzeczny! – powiedziała księżniczka i szybko odeszła, ale gdy przeszła kawałek drogi, dzwoneczki zadzwoniły cudnie:

Ach, kochany Augustynie,

Wszystko minie, minie, minie!

– Poczekaj! – powiedziała księżniczka. – Spytaj go, czy nie wystarczy mu dziesięć pocałunków dam dworu!

– Dziękuję! – odrzekł świniopas. – Dziesięć pocałunków księżniczki albo nic z garnka!

– Cóż to za uparte stworzenie! – powiedziała księżniczka. – Musicie mnie zasłonić, żeby nikt tego nie widział!

I damy dworu ustawiły się naokoło, rozpostarły swoje suknie i świniopas otrzymał swoje dziesięć pocałunków, a księżniczka dostała garnek.

Co to była za radość! Przez cały wieczór i przez cały dzień musiało się gotować w garnku; nie było w całym mieście ani jednej kuchni, o której nie wiedziano by, co się w niej gotuje, począwszy od kuchni marszałka dworu, a skończywszy na szewcu. Damy dworu tańczyły i klaskały w ręce.

– Wiemy, kto będzie jadł słodką zupę i pączki. Wiemy, kto będzie miał kaszę i pieczeń. Jakie to ciekawe!

– Niezmiernie ciekawe! – powiedziała ochmistrzyni dworu.

– Nie gadajcie za dużo, zapominacie, że jestem córką cesarza!

– Rozumie się! – powiedziały wszystkie.

Świniopas, to jest księżę (ale nikt nie wiedział, że nie jest prawdziwym świniopasem), nie tracił czasu i coraz to robił coś innego; teraz zmajstrował grzechotkę, która przy potrząsaniu grała najpiękniejsze walce, polki, oberki, jakie wymyślono od początku świata.

– To jest *superbe!* – powiedziała księżniczka idąc koło chlewów.

– Nigdy jeszcze nie słyszałam piękniejszej kompozycji! Słuchaj no, idź do niego i spytaj, ile ten instrument kosztuje; o pocałunkach nie ma mowy!

– Chce sto całusów księżniczki! – powiedziała dama dworu wróciwszy od świniopasa.

– Oszalał chyba! – powiedziała księżniczka i odeszła; ale kiedy uszła mały kawałek, zatrzymała się. – Trzeba popierać sztukę! – powiedziała.

– Jestem córką cesarza! Powiedz mu, że dostanie jak wczoraj dziesięć pocałunków, a resztę od dam dworu!

– Ach, nie bardzo się nam chce! – powiedziały damy dworu.

– To próżne gadanie! – powiedziała księżniczka. – Skoro ja go całowałam, wy możecie też się poświęcić. Pomyślcie tylko, daję wam utrzymanie i pensję! – Wobec tego dama dworu musiała znowu pójść do świniopasa.

– Sto całusów księżniczki – odpowiedział – lub każdy zostaje przy swoim!

– Ustawić się! – powiedziała księżniczka. I wszystkie damy dworu ustawiły się naokoło, by ją zasłonić, a on zaczął całować.

– Co to może być za zbiegowisko tam obok chlewów? – powiedział cesarz, który się zjawił na balkonie; przetarł oczy i nałożył okulary. – To jakaś sprawka dam dworu; muszę zejść na dół! – Wsunął głębiej pantofle, bo były bardzo przydeptane.

Jakże się śpieszył!

Zszedł na podwórze i skradał się po cichu, a damy dworu były tak zajęte liczeniem pocałunków i pilnowaniem, aby wszystko odbyło się uczciwie i aby świniopas nie dostał ich ani za dużo, ani za mało, że nie zauważyły go wcale. Cesarz wspiął się na palcach.

– Co to jest? – zawołał, zobaczywszy całującą się parę, i rzucił w nich pantoflem akurat w chwili, gdy świniopas otrzymywał osiemdziesiąty szósty pocałunek. – Precz! – powiedział cesarz, bo był bardzo zły. I kazał księżniczkę i świniopasa wyrzucić z granic cesarstwa.

Wtedy księżniczka zaczęła płakać, świniopas żartował, a deszcz lał strumieniami.

– Ach, ja nieszczęsna! – powiedziała księżniczka. – Dlaczego nie zgodziłam się być żoną pięknego księcia. Ach, jakże jestem nieszczęśliwa!

Świniopas skrył się za drzewem, starł brązową i czarną farbę z twarzy, zrzucił nędzne ubranie i wystąpił w całym książęcym przepychu, tak piękny, że księżniczka mu się ukloniła.

– Ukazałem się, by ci wyrazić mą pogardę! – powiedział. – Nie chciałaś prawdziwego księcia; nie poznałaś się na róży i słowiku; a świniopasa całowałaś, aby dostać grającą zabawkę! Masz teraz za to!

I poszedł sobie do swojego królestwa, zatrzasnąwszy i zaryglowawszy jej drzwi przed nosem; mogła sobie teraz stać na dworze i śpiewać:

*Ach, kochany Augustynie,
Wszystko minie, minie, minie!*

SŁOWIK

W Chinach, wiesz pewnie o tym, cesarz jest Chińczykiem i wszyscy, którzy go otaczają, są również Chińczykami. Historia, którą opowiem, działa się przed wielu laty, ale właśnie dlatego trzeba jej wysłuchać, zanim o niej nie zapomną.

Zamek cesarza był najwspanialszym zamkiem na świecie, cały zrobiony z delikatnej porcelany, niezwykle kosztownej, a tak kruchej, że lada dotknięcie mogło ją stłuc, więc trzeba było bardzo uważać. W ogrodzie rosły najdziwniejsze kwiaty, a do najwspanialszych przywiązano srebrne dzwonki, które dzwoniły po to, aby nikt nie minął ich nie zwróciwszy na nie uwagi.

Niezwykły był ogród cesarski, a tak wielki, że nawet ogrodnik nie wiedział, gdzie się kończy. Za ogrodem zaczynał się piękny las z wysokimi drzewami i głębokimi jeziorami. Las schodził aż do morza, które było niebieskie i głębokie; wielkie okręty mogły wjeżdżać aż pod zwisające gałęzie, a na jednej z takich gałęzi mieszkał słowik. Słowik śpiewał tak pięknie, że nawet biedny rybak, który ma przecież tyle innej roboty, kładł się i słuchał jego śpiewu, gdy nocą wychodził wyciągać sieci.

– Mój Boże, jakie to piękne! – mówił, lecz potem musiał już pilnować swojej roboty i zapominał o ptaszku; ale następnej nocy, kiedy ptak znowu śpiewał, a on wychodził, powtarzał to samo:

– Mój Boże, jakież to piękne!

Ze wszystkich stron świata zjeżdżali do cesarskiego miasta podróżni, podziwiali zamek i ogród, ale gdy słyszeli śpiew słowika, mówili:

– To jest jednak najpiękniejsze!

Podróżni po powrocie do domu opowiadali, co widzieli, uczeni pisali wiele książek o mieście, zamku i ogrodzie; nie zapominali też o słowiku i chwalili go najbardziej, a ci, którzy byli poetami, pisali piękne wiersze, wszystkie o słowiku śpiewającym nad głębokim jeziorem w lesie.

Książki te czytano na całym świecie i niektóre z nich dostały się do rąk cesarza. Cesarz siedział na złotym tronie, czytał i czytał, a co pewien czas kiwał z zadowoleniem głową, kiedy opisywano miasto, zamek i ogród. „Ale słowik jest najpiękniejszy!”, pisano w książkach.

– Co to jest? – powiedział cesarz. – Nie znam wcale tego słowika! Czy naprawdę taki ptak żyje w moim cesarstwie, i w dodatku w moim ogrodzie? Nigdy o tym nie słyszałem! Dowiaduję się o tym dopiero z książek!

I natychmiast zawołał swego marszałka; był on tak wytworny, że kiedy ludzie niżsi od niego pochodzeniem ośmielili się zadać mu jakieś pytanie, odpowiadał im tylko „p!”, a to przecież nic nie znaczy.

– Podobno jest tu jakiś niezwykły ptak, który nazywa się słowik! – powiedział cesarz – podobno jest on najpiękniejszym przedmiotem z całego mego wielkiego państwa! Dlaczego nikt mi nigdy o nim nic nie mówił?

– Nigdy o nim nie słyszałem! – odpowiedział marszałek.

– Nie przedstawiono go nigdy u dworu!

– Chcę, żeby przyszedł dziś wieczorem i śpiewał przede mną! – powiedział cesarz. – Cały świat wie, co posiadam, tylko ja o tym nie wiem!

– Nigdy o nim nie słyszałem! – powiedział marszałek. – Będę go szukał i znajdę!

Ale gdzie go szukać? Marszałek biegał w górę i na dół po wszystkich schodach, przebiegał wszystkie sale i krużganki, ale nikt z napotkanych nie słyszał o słowiku. Wrócił więc marszałek do cesarza i powiedział, że to z pewnością bajka wymyślona przez tych, co napisali książki.

– Wasza cesarska mość niechaj nie wierzy temu, co piszą, bo to wszystko wymysły, po prostu czarna magia!

– Książkę, w której to przeczytałem, przysłał mi potężny cesarz Japonii, więc musi zawierać prawdę. Chcę słyszeć słowika. Ma tu być dzisiaj wieczorem! Obdarzam go moją łaską! Musi przyjść! A jeżeli się nie zjawi, to każę moim ludziom deptać po brzuchach wszystkich dworzan, i to zaraz po kolacji!

– *Tsing pe!* – powiedział marszałek i zaczął znowu biegać po schodach na dół i w górę, i po wszystkich salach i krużgankach, a połowa dworzan biegała za nim, bo bynajmniej nie mieli ochoty, by im deptano po brzuchach. Więc wszędzie pytano o słowika, którego znał cały świat, ale nikt nie znał na dworze.

Wreszcie w kuchni znaleźli małą, biedną dziewczynkę, która powiedziała:

– Mój Boże, słowik! Znam go doskonale! Jakże cudnie śpiewa! Co wieczór wolno mi zabierać z kuchni trochę resztek, zanoszę je mojej biednej, chorej matce, która mieszka na wybrzeżu; a kiedy w nocy wracam od niej i zmęczę się, to kładę się w lesie i słucham słowika!

Łzy płyną mi wówczas z oczu i jest mi tak, jak gdyby mnie matka całowała!

– Mała pomywaczko! – powiedział marszałek. – Dam ci stałą posadę w kuchni i pozwolę ci przyglądać się, jak cesarz jada, jeśli zaprowadzisz nas do słowika, bo dziś wieczorem muszę go tu mieć!

Poszli więc wszyscy do lasu, gdzie zwykle śpiewał słowik; pól dworu im towarzyszyło; po drodze usłyszeli ryk krowy.

– O! – powiedział jeden z dworzan. – Macie słowika! Ileż to siły w tak małym stworzeniu! Słyszałem go z całą pewnością już dawniej.

– Nie, to krowy ryczą! – powiedziała mała pomywaczka.

– Jeszcześmy daleko od słowika!

Teraz żaby zarechotały w bagnisku.

– Cudownie! – powiedział chiński kapelan. – Nareszcie go słyszę. Śpiew jego brzmi jak dzwonki kościelne.

– Nie, to żaby! – powiedziała mała pomywaczka. – Ale myślę, że już wkrótce go usłyszymy!

W tej chwili słowik zaczął kląskać.

– To on! – powiedziała dziewczynka. – Słuchajcie! Słuchajcie! Oto tam siedzi! – I pokazała małego, szarego ptaszka wysoko na gałęzi.

– Czyż to możliwe! – zawołał marszałek. – Inaczej go sobie wyobrażałem! Jakże pospolicie wygląda! A może stracił swą barwę na widok tylu wytwornych osób?

– Słowiczku! – zawołała głośno dziewczynka. – Nasz łaskawy cesarz życzy sobie, abyś przed nim zaśpiewał!

– Z największą przyjemnością – powiedział słowik i zaśpiewał tak pięknie, że aż rozkoszą było go słuchać.

– Zupełnie szklane dzwoneczki! – powiedział marszałek. – A jak pracuje to małe gardziółko! To dziwne, żeśmy go nigdy przedtem nie słyszeli! Będzie miał wielki sukces na dworze!

– Czy mam raz jeszcze zaśpiewać dla cesarza? – spytał słowik, który myślał, że cesarz jest obecny.

– Mój cudny słowiczku! – powiedział marszałek. – Mam zaszczyt zaprosić cię na uroczystość dworską, na której oczarujesz jego cesarską mość tym zachwycającym śpiewem.

– Brzmi on co prawda najlepiej na tle drzew! – powiedział słowik, ale poleciał chętnie za nimi, gdyż słyszał, że taka jest wola cesarza.

Na zamku wszystko porządnie wyszorowano. Porcelanowe ściany i podłogi lśniły w blasku tysięcy złotych lamp; najpiękniejsze kwiaty, które umiały dzwonić, ustawiono w krużgankach i było tyle bieżaniny i przeciągów, a dzwonki tak głośno dzwoniły, że tłumilo to wszelkie rozmowy.

Pośrodku dużej sali, w której znajdował się cesarz, umieszczono złoty pręt i na nim miał siedzieć słowik. Cały dwór zebrał się w sali, a małej pomywaczce pozwolono stać pod drzwiami, bo teraz była już kucharką nadworną. Wszyscy w swych najwspanialszych szatach przyglądali się małemu, szaremu ptaszкови, a cesarz skinął mu głową.

A słowik śpiewał tak pięknie, że cesarzowi łzy stanęły w oczach, a gdy spływały mu po policzkach, słowik zaśpiewał jeszcze łagodniej, tak że śpiew ten sięgał prosto do serca; cesarz cieszył się bardzo i powiedział, że zawiesi słowikowi złoty pantofel na szyi. Ale słowik podziękował i powiedział, że otrzymał już dostateczne wynagrodzenie.

– Widziałem łzy w oczach cesarza, a to jest dla mnie najdroższy skarb! Łzy cesarskie mają cudowną moc! Bóg świadkiem, że jestem dość nagrodzony! – I śpiewał dalej swym słodkim, cudownym głosem.

– Tak uroczej kokieterii nie spotkałyśmy jeszcze nigdy w życiu! – mówiły damy, a potem nabierały wody w usta i gdy ktoś do nich mówił, bulgotały i myślały, że są też słowikami. Cóż tu mówić! Nawet lokaje i pokojówki byli zadowoleni, a to dużo mówi, bo im najtrudniej dogodzić. Tak, słowik naprawdę zdobył powodzenie.

Miał zostać na zawsze przy dworze, mieszkać we własnej klatce i dwa razy dziennie, a raz w nocy mógł wyfrunąć na dwór. Dwunastu służących trzymało wówczas końce jedwabnych wstążek przywiązanych do jego nóżki. Taki spacer nie należał do przyjemności.

Całe miasto mówiło o niezwykłym ptaszku. Kiedy dwoje ludzi się spotykało, jeden mówił: „sło”, a drugi „wik!”, potem obaj wzdychali; rozumieli się doskonale. Jednocześnie dzieci właścicieli sklepików z delikatesami nazywano jego imieniem! Ale żadne z nich nie umiało wydać ani jednej czystej nuty.

Pewnego dnia do cesarza nadeszła duża paczka, na której było napisane: „Słowik”.

– Pewnie nowe dzieło o naszym sławnym ptaku! – powiedział cesarz; lecz nie była to książka, tylko małe arcydzieło zamknięte w pudełku. Był to sztuczny słowik, podobny do prawdziwego, ale cały wysadzany brylantami, rubinami i szafirami; wystarczyło go nakręcić, a śpiewał te same piosenki co żywy ptak i przy tym poruszał ogonem w dół i w górę i błyszczał cały, i świecił

srebrem i złotem, na szyi miał wstążkę, a na niej napis: „Słowik cesarza Japonii jest niczym wobec słowika cesarza Chin”.

– Ach, jakie to piękne! – zachwycali się wszyscy, a ten, który przyniósł ptaka, otrzymał natychmiast tytuł: „cesarskiego naddostawcy słowików”.

– Niech zaśpiewają razem! Cóż to będzie za cudowny duet! Więc ptaki śpiewały razem. Ale nie szło im dobrze, bo prawdziwy ptak śpiewał na swój sposób, a sztuczny ptak gwizdał, gdy go nakręceno.

– To nie jego wina! – powiedział muzyk nadworny. – Ma świetne wycucie taktu i śpiewa według mojej szkoły!

Więc sztuczny ptak miał sam śpiewać. Śpiew jego podobał się równie jak śpiew prawdziwego słowika, a on sam o ile piękniej wyglądał! Błyszczał przecież cały jak bransolety i brosze.

Trzydzieści trzy razy prześpiewał ten sam kawałek i wcale się nie zmęczył; chciano go jeszcze słuchać, ale cesarz powiedział, że i żywy słowik musi coś zaśpiewać... Lecz gdzież on się podział? Nikt nie zwrócił uwagi, że słowik wyfrunął przez otwarte okno i poleciał do swych zielonych drzew.

– Cóż to znaczy? – zapytał cesarz; a wszyscy dworzanie ganili ptaka i mówili, że to niewdzięczne stworzenie. – Mamy przecież doskonalszego słowika! – mówili. I kazali mu znowu śpiewać; po raz trzydziesty czwarty usłyszeli te samą melodię, ale nie umieli jej jeszcze powtórzyć, bo była bardzo trudna, i muzyk nadworny chwalił sztucznego ptaka mówiąc, że przewyższa żywego słowika nie tylko swym ubiorem i brylantami, ale także i swą wewnętrzną wartością.

– Bo widzicie, moi państwo, a przede wszystkim, cesarzu, u prawdziwego słowika nigdy nie można przewidzieć, co nastąpi, a u sztucznego wszystko jest z góry określone! Tak będzie, a nie inaczej! Można wszystko objaśnić, można otworzyć mechanizm i pokazać, jak uczenie położone są walce, jak się kręcą sprężyny i jak co idzie za czym.

– Jesteśmy tego samego zdania! – zawołali wszyscy, a muzyk otrzymał pozwolenie na to, aby najbliższej niedzieli pokazać sztucznego ptaka ludowi.

– Niech także usłyszą, jak śpiewa! – rozkazał cesarz.

Słyszeli więc i byli tak uszczęśliwieni, jak gdyby się upili na wesoło herbatą, co jest prawdziwie chińskim obyczajem. Mówili wszyscy: „Oh!”, i podnosili w górę wskazujące palce, i kiwali głowami. Ale ubodzy rybacy, którzy słyszeli prawdziwego słowika, mówili:

– To brzmi pięknie, i nawet podobnie do tamtego, ale czegoś tu brak, nie wiemy tylko czego. Prawdziwego słowika wygnano z kraju i z państwa.

Sztucznego ptaka posadzono na jedwabnej poduszce tuż przy łóżku cesarza, naokoło niego ułożono wszystkie dary, które otrzymał, złoto i drogie kamienie, dano mu tytuł: „śpiewaka cesarskiej sypialni”, i otrzymał rangę pierwszego stopnia z lewej strony; lewą stronę bowiem uważał cesarz za godniejszą, bo z lewej strony jest serce, nawet u cesarza. Muzyk nadworny napisał dwadzieścia pięć tomów o sztucznym słowiku; dzieło było tak uczone i tak długie, i tak pełne najtrudniejszych chińskich wyrazów, że wszyscy ludzie mówili, iż przeczytali je i zrozumieli; inaczej nazwano by ich głupcami i deptano by im po brzuchach.

Tak przeszedł cały rok. Cesarz, dwór i wszyscy Chińczycy umieli na pamięć każdy najmniejszy dźwięk śpiewu sztucznego ptaka, ale to im się właśnie podobało, bo mogli śpiewać z nim razem. Nawet ulicznicy nucili:

„Zizizi! Gluk, gluk, gluk!” A cesarz śpiewał tak samo. To było cudowne!

Pewnego wieczora jednak, gdy sztuczny słowik śpiewał w najlepsze, a cesarz leżał w łóżku i słuchał, coś w ptaku chrupnęło „trach!”, coś pękło „szurrr!” i wszystkie kółka posypały się wkoło, a muzyka umilkła.

Cesarz wyskoczył natychmiast z łóżka i kazał zawołać nadwornego lekarza; ale cóż ten mógł pomóc! Wtedy zawołano zegarmistrza, który po długiej gadaninie i długim oglądaniu doprowadził ptaka nieco do porządku, ale powiedział, że trzeba go bardzo oszczędzać, bo tryby są wytarte, a nowych, takich, żeby dobrze grało, nie można sfabrykować. Było to wielkie zmartwienie. Raz tylko do roku nakręcano ptaka, i to już było za dużo. Ale wówczas muzyk nadworny wygłosił małą mowę, pełną dużych słów, o tym, że wszystko jest jak dawniej – i wszystko było rzeczywiście jak dawniej.

Upłynęło pięć lat i cały kraj zasmucił się wielce, bo cesarz, którego Chińczycy bardzo w gruncie rzeczy kochali, zachorował i powiadano, że miał umrzeć; obrano już nowego cesarza, lud stał na ulicy przed pałacem i pytał marszałka, jak się stary cesarz miewa. „P!”, odpowiadał marszałek i potrzasał głową.

Zimny i blady leżał cesarz w swym wspaniałym łożu, cały dwór myślał, że już nie żyje; i jeden dworzanin za drugim wymykał się, by pozdrowić nowego cesarza; kamerdynerzy wyszli z sali na ploteczki, a pokojówki pałacowe zapraszały znajomych na kawę. Wszystkie komnaty i krużganki wyłożono suknem, ażeby stłumić odgłosy kroków, i wszędzie było cicho, cicho! Ale

cesarz jeszcze żył; leżał sztywny i blady w swym wspaniałym łożu, przesłoniętym kotarami z aksamitu z ciężkimi, złotymi chwastami; wysoko pod sufitem jedno okno było otwarte i księżyc zaglądał przez nie, oświetlając cesarza i sztucznego ptaka.

Biedny cesarz ledwie oddychał, miał uczucie, jak gdyby coś usiadło mu na piersiach; otworzył oczy i zobaczył, że to była śmierć; siedziała na jego piersiach, włożyła na głowę jego złotą koronę, w jedną rękę wzięła złotą szablę cesarza, w drugą jego wspaniałą chorągiew, a naokoło ze wszystkich fałd kotary wyglądały ku cesarzowi dziwne twarze, niektóre brzydkie, inne znów miłe i łagodne; były to złe i dobre uczynki cesarza, które patrzyły na niego, podczas gdy śmierć siedziała mu na sercu.

– Pamiętasz? – szeptały jedna za drugą. – Pamiętasz? – I opowiadały mu tyle, że aż pot spływał mu z czoła.

– O tym nie wiedziałem – mówił cesarz. – Muzyka! Muzyka! Walcie w bęben chiński! Zagłuszyć to, co one tu mówią! – A one mówiły dalej i śmierć potakiwała głową, jak Chińczyk, na wszystko, co mówiono.

– Muzyka, muzyka! – krzyczał cesarz. – Mały, złoty ptaszku! Śpiewaj mi, śpiewaj! Podarowałem ci tyle złota i kosztowności; zawiesiłem ci nawet mój złoty pantofel na szyi; śpiewaj mi, śpiewaj!

Ale ptak milczał; nie było nikogo, kto by go nakręcił, a on sam nie umiał przecież śpiewać; śmierć tymczasem spoglądała na cesarza wielkimi, pustymi oczodołami i było cicho, tak przeraźliwie cicho.

Nagle tuż za oknem zabrzmiał najpiękniejszy głos: to mały, żywy słowik usiadł na gałązce za oknem. Dowiedział się o tym, że jego cesarz potrzebuje pomocy, i przyleciał, by mu śpiewem dodać otuchy i nadziei. A gdy śpiewał, bladły coraz bardziej i bardziej straszne postacie; krew zaczynała żywiej krążyć w słabym ciele cesarza i nawet śmierć słuchając śpiewu powiedziała:

– Śpiewaj, słowiczku, śpiewaj dalej.

– A dasz mi tę piękną, złotą szablę? Dasz mi wspaniałą chorągiew? Dasz mi koronę cesarza? – I śmierć po kolei oddawała każdą z kosztowności za jedną pieśń, a słowik śpiewał dalej o cichym cmentarzu, gdzie rosną białe róże, gdzie pachnie dziki bez, a trawa rozwija się, skraplana łzami tych, którzy żyją; wtedy śmierć poczuła nagle tęsknotę za swoim ogrodem i w kształcie białej, chłodnej mgły uniosła się za okno.

– Dzięki ci, dzięki! – powiedział cesarz – mały ptaszku z nieba! Znam cię przecież dobrze!

Wygnałem cię z mego państwa! A jednak odpędziłeś twym śpiewem złe moce od mego łoża, a śmierć z mego serca! Jakże ci mam podziękować?

– Wynagrodziłeś mnie już, cesarzu! – powiedział słowik. – Widziałem łzy w twoich oczach, kiedy śpiewałem przed tobą po raz pierwszy, a tego nie zapomnę ci nigdy! To są klejnoty, które radują serce śpiewaka; ale śpij teraz, obudź się silny i zdrow. Zaśpiewam ci coś jeszcze.

Zaśpiewał, a cesarz pogrążył się w słodką drzemkę. Ach, jaki łagodny, pokrzepiający był ten sen!

Słońce świeciło przez okno, gdy obudził się zdrow i pełen sił. Z jego służby nikt jeszcze nie wrócił, bo myśleli, że cesarz nie żyje, ale słowik był przy nim i wciąż jeszcze śpiewał.

– Musisz zostać ze mną na zawsze! – powiedział cesarz – będziesz śpiewał wtedy tylko, gdy sam zechcesz, a sztucznego ptaka każę rozbić na tysiąc kawałków.

– Nie czyn tego! – powiedział słowik – przecież zrobił tyle dobrego, ile mógł. Zatrzymaj go przy sobie jak dawniej! Nie mogę zbudować gniazdka mego i mieszkać w pałacu, ale pozwól mi przylatywać od czasu do czasu, gdy sam będę miał ochotę; będę wieczorami siadywał na gałązce za oknem i śpiewał ci pieśń, która napelni cię radością i dobrymi myślami! Będę śpiewał o szczęśliwych i o tych, którzy cierpią! Będę śpiewał o złym i dobrym, i o wszystkim, co ukryte jest przed twymi oczyma! Mały ptak zagląda wszędzie: do biednych rybaków, pod dach wieśniaków, do wszystkich, którzy z dala są od ciebie i twego dworu! Kocham twe serce więcej od twej korony, ale jednak korona ma w sobie czar świętości! Będę przylatywał, aby ci śpiewać! Tylko jedno musisz mi przyrzec!

– Wszystko – powiedział cesarz i wyprostował się w swych cesarskich szatach, w które sam się oblókł, a do serca przyciskał szablę okutą ciężkim złotem.

– O jedno tylko cię proszę! Nie mów nikomu, że masz małego ptaszka, który ci mówi o wszystkim. Tak będzie nam lepiej. – I słowik wyfrunął przez okno.

Służba weszła do sypialni, by popatrzeć na zmarłego cesarza. Stanęli jak wryci, a cesarz powiedział:

– Jak się macie?

BRZYDKIE KACZĄTKO

Jakże pięknie było na wsi! Lato było w pełni! Żółciło się żyto, zielenił owies, siano na zielonej łące ułożono w stogi, bocian chodził na długich, czerwonych nogach i paplał po egipsku; nauczył się bowiem tego języka od matki. Wokoło łąk i pól ciągnęły się wielkie lasy, a w lasach leżały głębokie jeziora – tak, na wsi było naprawdę prześlicznie. W blasku słońca, otoczony głębokimi rowami, stał tam stary dwór; od muru aż po brzeg wody rosły liście łopianu, a były tak wielkie, że pod największymi mogły się zmieścić stojąco dzieci; było tam tak dziko jak w najgęstszym lesie. W tym to gąszczu siedziała w swym gnieździe kaczka, wysiadywała pisklęta, nudziła się, bo trwało to bardzo długo, a rzadko kto ją odwiedzał; inne kaczki wołały pływać po kanałach, niż wchodzić pod liście łopianu, aby z nią pogadać.

Aż wreszcie jedno jajko po drugim zaczęło pękać, słychać było: „Pip, pip!”, wszystkie żółtka ożyły i wytknęły główki.

„Kwa, kwa!” mówiła kaczka, a pisklęta hałasowały, jak tylko umiały najgłośniej, i rozglądały się pod zielonymi liśćmi na wszystkie strony; matka pozwalała im patrzeć, ile tylko chciały, bo zielony kolor jest zdrowy dla oczu.

– Jaki świat jest wielki! – mówiły pisklęta, gdyż było im o wiele luźniej niż przedtem, kiedy leżały w skorupie.

– Czy myślicie, że to jest cały świat? – powiedziała matka. – Świat ciągnie się jeszcze daleko po drugiej stronie ogrodu, aż do księżego pola, ale nigdy tam jeszcze nie byłam. Czy jesteście już wszystkie? – Potem wstała. – Nie, to jeszcze nie wszystkie; największe jajko jeszcze nie pękło. Jak długo to ma trwać? Teraz mam już naprawdę tego dosyć! – i znowu usiadła.

– No, co słychać? – spytała stara kaczka, która przyszła ją odwiedzić.

– Z jednym najdłużej się ciągnie! – odpowiedziała kaczka siedząc na jajkach. – Wcale nie chce się otworzyć. Ale zobacz te inne. Są to najpiękniejsze kaczątka, jakie kiedykolwiek widziałam. Wszystkie podobne są do ojca: tego nicponia. Zupełnie do mnie nie przychodzi!

– Pokaż mi jajko, które nie chce pęknąć! – powiedziała stara. – Możesz mi wierzyć, że to jest jajko indyjskie. I mnie już tak nie raz oszukali, i potem miałam wiele kłopotów i trudów z malcami, gdyż bały się wody. Nie mogłam sobie dać rady, popychałam, krzyczałam, ale to nic

nie pomagało. Pokaż mi to jajko! Tak, to jest jajko indycze. Porzuć je i ucz inne dzieci pływać!

– Jednak jeszcze trochę na nim posiedzę! – powiedziała kaczka. – Tak długo już siedziałam, że jeszcze mogę parę dni wytrzymać!

– Jak uważasz! – odrzekła stara kaczka i poszła sobie.

Wreszcie duże jajko pękło. „Pip, pip!” – zapiszczało pisklątko i wylazło; było bardzo duże i brzydkie. Kaczka przyjrzała mu się.

– Jakież to kaczątko jest duże – powiedziała. – Niepodobne do żadnego innego. Ale nie jest to chyba pisklę indycze? No, zaraz się o tym przekonamy. Musi wejść do wody, nawet gdybym je miała sama tam wepchnąć!

Nazajutrz była piękna pogoda; słońce oświetlało wielkie liście łopianu. Matka-kaczka wraz z całą rodziną zeszła do kanału. Plusk! Wskoczyła do wody, „Kwa, kwa!” i jedno kaczątko po drugim plusnęło do kanału. Woda zalewała im głowy, ale podniosły je zaraz w górę i pływały wspaniale; nogi same się poruszały, wszystkie były w wodzie, nawet brzydkie, szare kaczątko pływało razem z innymi.

– Nie, to nie jest indyk! – powiedziała: kaczka. – Spójrz tylko, jak ładnie porusza nogami, jak prosto się trzyma. To moje własne dziecko. W gruncie rzeczy, kiedy mu się dobrze przyjrzyć, jest zupełnie ładne. Kwa, kwa! Chodźcie teraz ze mną, wyprowadzę was w świat, przedstawię was na podwórku, ale trzymajcie się zawsze w pobliżu, aby nikt na was nie nastąpił, i strzeżcie się kota!

Przyszły na podwórko. Był tam straszny hałas, gdyż dwie rodziny pokłóciły się o głowę węgorza, którą w końcu złapał kot.

– Widzicie, jak się to dzieje na tym świecie! – powiedziała matka-kaczka oblizując sobie dziób, gdyż i ona miała ochotę na głowę węgorza.

– Ruszajcie nogami – mówiła – kołyszcie się i ukłońcie się tej starej kaczce, jest najwykwintniejszą ze wszystkich, jakie są tutaj. Ma w sobie hiszpańską krew i dlatego jest taka gruba; widzicie, ma na nodze związany czerwony gałganek. To jest najwyższa odznaka, jaką kaczka może otrzymać, oznacza to, że obawiają się, aby nie zginęła i że ludzie i zwierzęta będą ją mogli odróżnić od innych kaczek. Kołyszcie się! Nogi stawiać nie do środka! Dobrze wychowane kaczątko rozstawia szeroko nogi jak ojciec i matka. Tak, a teraz kiwajcie głowami i powiedzcie: Kwa! Tak też robiły. Ale inne kaczki patrzyły na nie i mówiły głośno:

– Ach, Boże, po cóż nam to towarzystwo? Jakby nas nie było i tak dosyć. Fe, jak wygląda

tamto kaczątko! Nie chcemy go tu mieć pomiędzy nami! – I zaraz potem jedna z kaczek podfrunęła i dziobnęła kaczątko w kark.

– Zostaw je w spokoju – powiedziała matka. – Nie robi nikomu nic złego.

– Tak, ale jest takie duże i tak dziwnie wygląda! – powiedziała kaczka, która dziobnęła kaczątko. – I dlatego trzeba je szturchać!

– Ładne masz dzieci, mateczko! – powiedziała kaczka z czerwonym gałgankiem na nodze. – Wszystkie są śliczne prócz tego jednego, które się nie udało. Byłoby dobrze, gdybyś je mogła odmienić!

– To niemożliwe, łaskawa pani! – powiedziała matka-kaczka. – Nie jest wprawdzie ładne, ale ma dobre serduszko i umie świetnie pływać, tak samo jak inne, nawet może trochę lepiej. Przypuszczam, że wyrośnie z brzydoty albo może z wiekiem zmaleje. Za długo leżało w jajku i dlatego nie wygląda tak, jak powinno wyglądać.

Skubnęła je w kark i pogładziła po piórkach.

– To jest zresztą kaczor – dodała – i dlatego uroda nie będzie miała dla niego takiego znaczenia. Myślę, że będzie silny i że jakoś da sobie radę.

– Inne kaczątka są śliczne! – powiedziała stara. – Zachowujcie się tak, jakbyście byli u siebie w domu, a jeżeli znajdziecie głowę węgorza, możecie mi ją przynieść.

I kaczęta zachowywały się tak jak u siebie w domu.

Ale zarówno kaczki, jak kury dziobały, potraçały, kopały i wyśmiewały biedne kaczątko, które ostatnie wykluło się z jajka i było takie brzydkie. – Za duże! – mówili wszyscy, a indyk, który urodził się z ostrogami i wyobrażał sobie z tego powodu, że jest cesarzem, napuszył się jak okręt o wydętych żaglach i zwrócił się w stronę kaczątka gulgocąc tak, że aż mu cała głowa poczerwieniała. Biedne kaczątko nie wiedziało, co ma począć ani dokąd pójść; martwiło się bardzo, że jest takie brzydkie i że jest pośmiewiskiem całego podwórka.

Tak było pierwszego dnia, a potem działo się coraz gorzej i gorzej. Wszyscy prześladowali biedne kaczątko, nawet rodzeństwo było bardzo niedobre dla niego.

– Żeby cię kot porwał, ty wstrętny potworze! – mówiły kaczęta.

A matka dodawała:

– Byłoby lepiej, żebyś sobie poszedł gdzieś daleko!

Kaczki je dziobały, kury szczypały, a dziewczynka, która karmiła drób, kopała je nogami. Wreszcie kaczątko uciekło, przefrunęło przez płot, a małe ptaszki w krzakach uniosły się

przeżalone w górę. „To dlatego, że jestem takie brzydkie! – pomyślało kaczątko i zamknęło oczy; ale biegło wciąż dalej, aż przyleciało nad wielkie bagno, gdzie mieszkały dzikie kaczkę. Siedziało tam całą noc, bo było takie zmęczone i smutne. Rankiem podniosły się do lotu dzikie kaczkę i zaczęły się przyglądać nowemu towarzyszowi.

– Coś ty za jeden? – spytały, a kaczątko kręciło się na wszystkie strony i witało wszystkich, jak tylko mogło najgrzeczniej.

– Jesteś strasznie brzydkie! – mówiły kaczkę. – Ale co to nas obchodzi, dopóki nie będziesz się chciał ożenić z kimś z naszej rodziny.

Biedne kaczątko! Naprawdę nie myślało o małżeństwie, gdyby mu tylko pozwolono leżeć w sitowiu i napić się trochę wody z moczarów!

Leżało tam całe dwa dni; potem przyleciały dwie dzikie gęsi, a raczej gąsiory, gdyż były to samce; niedawno wykluły się z jaj i dlatego były takie rezolutne.

– Słuchaj no, towarzysz – mówiły – jesteś taki brzydkie, że cię nawet polubiliśmy. Czy chcesz pociągnąć z nami i zostać wędrownym ptakiem?

Tu w pobliżu, w innym bagnie, przebywa kilka uroczych, zachwycających gęsi, same młode panny, które potrafią mówić „kwa”, może u nich będziesz miał szczęście mimo swej brzydoty.

„Pif, paf!” rozległo się nagle nad nimi i obie dzikie gęsi padły martwe w sitowie, a woda zaczerwieniła się od krwi. „Pif, paf!”, zabrzmiało znowu i całe stada dzikich gęsi wyleciały z sitowia, a potem znów słyhać było strzały. Było to wielkie polowanie; myśliwi leżeli naokoło bagna, niektórzy siedzieli na gałęziach drzew; błękitny dymek unosił się jak obłoki pomiędzy ciemnymi drzewami i snuł się nad wodą; psy myśliwskie łąziły po błocie: plusk, plusk! Trzcina i sitowie gięły się na wszystkie strony. Jakież lęk ogarnął biedne kaczątko! Kręciło głową, chcąc ją schować pod skrzydło, ale w tej samej chwili stanął obok niego strasznie wielki pies, z wywieszonym ozorem i błyszczącymi groźnie oczyma, dotknął pyskiem kaczątkę, pokazał ostre zęby i – plusk – uciekł nie schwytawszy go. – Ach, dzięki ci, Boże! – westchnęło kaczątko. – Jestem takie brzydkie, że nawet psy nie raczą mnie ugryźć.

I potem leżało zupełnie spokojnie, podczas gdy śrut gwizdał nad sitowiem, a wystrzał grzmiał po wystrzale.

Dopiero późno w dzień strzały uspokoiły się, ale biedne pisklę jeszcze długo nie odważyło się ruszyć, przeczekało jeszcze parę godzin i dopiero potem, rozejrzawszy się wkoło, wydostało się z bagna; biegło, jak tylko mogło najprędzej, polem i łąkami; dał silny wicher, z trudem więc

mogło poruszać się naprzód.

Pod wieczór kaczątko zbliżyło się do ubogiej, małej chatki; była to tak żalosna chatka, że sama nie wiedziała, na którą ma upaść stronę. Trzymała się więc jako tako. Wicher gwizdał nad kaczątkiem, tak że musiało aż przysiąść na ogonie, aby się utrzymać na nogach; dęło coraz silniej i silniej; wtedy ujrzało kaczątko, że drzwi urwały się z jednej zawiasy i wisiały krzywo, tak że łatwo było się przemknąć przez szparę do środka. Brzydkie kaczątko tak też uczyniło. Mieszkała tam stara kobieta z kotem i kwoką; kot, którego nazywała synkiem, umiał wyginać grzbiet i sypać iskry; ale po to trzeba go było głaskać pod włos. Kwoka miała krótkie nóżki i dlatego przewano ją Krótkonóżką; składała dzielnie jajka i kobieta kochała ją jak własne dziecko.

Rano spostrzeżono obce kaczątko, kot zaczął miauczeć, a kwoka gdakać.

– Co to jest? – powiedziała stara i obejrzała się, ale miała słaby wzrok i dlatego zdawało jej się, że kaczątko jest tłustą kaczką, która się tu zabłąkała. – To dobry nabytek! – powiedziała. – O ile to nie jest kaczor, będę miała kacze jaja. Trzeba wypróbować!

I kaczątko zostało wystawione na trzytygodniową próbę, ale nie zniosło jaj. Kot był panem domu, a kwoka panią i mówili bez przerwy:

„My i świat!” Gdyż myśleli, że byli połową, i to lepszą połową świata. Kaczątko uważało, że można być innego zdania, ale kwoka tego nie znosiła.

– Czy umiesz znosić jaja?

– Nie!

– A więc przynajmniej stul buzię!

A kot powiedział:

– Czy umiesz się nastroszyć, miauczeć i sypać iskry?

– Nie!

– A więc zachowaj swoje zdanie dla siebie, kiedy rozsądni ludzie mówią!

Kaczątko siedziało w kącie i smuciło się. Wtedy myślało o świeżym powietrzu, o słońcu i poczuło gwałtowną chęć pływania po wodzie. Aż wreszcie nie mogło się powstrzymać, aby nie powiedzieć tego kwoce.

– Co ci przyszło do głowy? Nie masz nic do roboty i dlatego kaprysisz. Składaj jaja albo mruż, to ci przejdzie.

– Ale pływać jest tak przyjemnie! – powiedziało kaczątko. – Tak rozkosznie jest zanurzyć się

głową w wodzie i znaleźć się nagle na dnie!

– To ci dopiero przyjemność! – powiedziała kwoka. – Chyba oszalałeś? Spytaj kota, który jest najmądrzejszym stworzeniem, jakie znam, czy chciałby pływać w wodzie i dawać nurka. O mnie już wcale nie mówię. Spytaj naszą starą panią; mądrzejszej od niej nie ma chyba na całym świecie. Czy myślisz, że chciałaby pływać i dawać nurka?

– Nie rozumiecie mnie! – powiedziało kaczątko.

– No, jeżeli my cię nie rozumiemy, to kto cię zrozumie? Nigdy nie będziesz mądrzejszy od kota i od tej kobiety, o mnie już wcale nie mówię. Nie upieraj się tak, moje dziecko, i dziękuj Bogu za wszystko dobre, co dla ciebie uczyniono. Czyż nie dostałeś się do ciepłego pokoju? Czyż nie obracasz się wśród istot, od których możesz się czegoś nauczyć? Ale jesteś nieznośny i rozmowa z tobą nie jest przyjemnością. Możesz mi wierzyć, że ci dobrze życzę, mówiąc ci przykre rzeczy, a po tym właśnie poznaje się prawdziwych przyjaciół. Staraj się lepiej składać jajka i naucz się miauczeć lub sypać iskry.

– Myślę, że pójde sobie w świat! – powiedziało kaczątko.

– No to idź! – odrzekła kwoka.

I kaczątko poszło. Pływało po wodzie, nurkowało, ale nikt nie zwracał na nie uwagi, bo było takie brzydkie.

Nadeszła jesień, liście w lesie pożółkły i stały się brązowe, wiatr pędził je tak, że tańczyły w powietrzu; a powietrze było zimne; chmury zwisały brzemienne gradem i śniegiem, a na płocie siedział kruk i wołał „kra, kra!” z zimna. Już na samą myśl o tym można było porządnie zmarznąć. Biedne kaczątko bynajmniej nie czuło się dobrze.

Pewnego wieczoru słońce pięknie zaszło, a z krzaków wyfrunęła cała chmara cudnych, wielkich ptaków; kaczątko nigdy jeszcze nie widziało takich pięknych ptaków, były oślepiająco białe i miały długie, giętkie szyje; były to łabędzie. Wydawały dziwne dźwięki, rozpostarły wspaniałe, długie skrzydła i odleciały z zimnych okolic do ciepłych krajów, do otwartych mórz; wznosiły się tak wysoko, wysoko, że biednemu kaczątku zrobiło się jakoś dziwnie, kręciło się w wodzie, wyciągało do nich szyję wysoko w powietrzu i w końcu wydało głośny i dziwny dźwięk, którego samo się przestraszyło. Ach, nie mogło zapomnieć o pięknych ptakach, o szczęśliwych ptakach i kiedy zniknęły mu one z oczu, zanurzyło się w wodzie, aż na dno, a gdy wypłynęło, było jak nieprzytomne. Nie wiedziało wcale, jak się te ptaki nazywają ani dokąd lecą, a jednak kochało je, jak nikogo nigdy nie kochało; nie zazdrościło im wcale, jakżeż

mogłoby marzyć, aby być tak piękne jak one; gdyby bodaj kaczkę chciały je ścierpieć w swoim towarzystwie – biedne, brzydkie stworzonko!

A zima była taka mroźna, mroźna! Kaczętko musiało kręcić się wciąż po wodzie, aby ją chronić od zamarznięcia, ale co noc otwór, w którym pływało, stawał się węższy, zamarzał, że aż trzeszczała lodowa powłoka; kaczętko musiało przebierać nogami, aby woda nie stanęła, aż w końcu zmęczyło się, znieruchomiło i przymarzło do lodu.

Wczesnym rankiem przyszedł jakiś wieśniak; zobaczył kaczętko, porozbijał drewniakami lód na kawałki i zabrał je do domu, do swojej żony. Tam je ocucono.

Dzieci chciały się z nim bawić, ale kaczętko myślało, że chcą mu zrobić coś złego, i ze strachu wpadło do miski z mlekiem, tak, że mleko rozlało się po izbie, kobieta krzyknęła, załamała ręce, a kaczętko pofrunęło do dzieży z masłem, a potem do beczki z mąką, z której zaraz wyleciało; jakżeż strasznie wyglądało! Kobieta krzyczała i biegała za nim z pogrzebaczem, a dzieci goniły je, potrącały się i krzyczały – na szczęście drzwi były otwarte i kaczętko wyfrunęło między krzaki i świeżo spadły śnieg – leżało tam ledwo żywe.

Ale byłoby to zbyt smutne opisywać wszystko, co wycierpiało biedne kaczętko w czasie ostrej zimy. Kiedy słońce zaczęło na nowo grzać, leżało w bagnie pomiędzy sitowiem; skowronki, śpiewały, była cudna wiosna.

Nagle rozwinęło do lotu skrzydła, które szumiały silniej niż przedtem i niosły je mocniej niż dawniej, i zanim się obejrzało, znalazło się w dużym ogrodzie, gdzie kwitły jabłonie, gdzie kiście bzu pachniały i zwieszały się na długich, zielonych gałęziach ku wodnej powierzchni krętych kanałów. Ach, jakże tu było pięknie, jak świeżo, wiosennie! W tej samej chwili ujrzano trzy cudne białe łabędzie; zerwały się z zarośli i z szumem skrzydeł lekko popłynęły po wodzie. Kaczętko znało już te piękne stworzenia i na ich widok poczuło dziwny smutek.

„Chcę popłynąć do nich, do tych królewskich ptaków! Na pewno mnie zadziobią na śmierć, gdy ja, taki brzydki, odważę się do nich zbliżyć; ale nic mnie to nie obchodzi. Wolę, żeby mnie zabiły te ptaki, niż żeby mnie szczypały kaczki, dziobały kury i kopała dziewczyna karmiąca ptactwo i żebym cierpiał w zimie.” Sfrunęło na wodę i zaczęło płynąć ku wspaniałym łabędom; zobaczyły je i szumiąc skrzydłami, popłynęły mu naprzeciw. – Zabijcie mnie! – zawołało biedne stworzenie i pochyliło głowę czekając na śmierć, ale cóż ujrzano w przezroczystej wodzie? Swoją własny obraz, lecz jakże zmieniony! Nie był już niezgrabnym, czarnoszarym, brzydkim, odrażającym ptakiem, ale sam stał się łabędziem.

Nie zaszkodziło to nic łabędziowi, że urodził się na podwórzu wśród kaczek, skoro wykluł się z łabędziego jaja.

Jakże czuł się szczęśliwy po tych wszystkich cierpieniach i przeciwnościach losu, dopiero teraz potrafił ocenić swoje szczęście. A duże łabędzie pływały naokoło niego i gładziły go dziobami.

Do ogrodu przyszło kilkoro małych dzieci, które rzucały chleb i ziarnka do wody, najmniejsze z nich zawołało:

– Przybył nowy łabędź! – a inne dzieci wołały razem z nim: – Tak, zjawił się nowy! – i klaskały w ręce, i kręciły się w kółko, a potem pobiegły do swych rodziców i razem rzucały do wody chleb i ciastka, a wszyscy wołali:

– Ten nowy jest najładniejszy! Taki młody i piękny – A stare łabędzie pochylały przed nim głowy.

Wtedy ptak poczuł się zmieszany z radości: schował głowę pod skrzydła i sam nie wiedział, co się z nim dzieje; był zbyt szczęśliwy, ale wcale nie dumny, gdyż dobre serce nie bywa nigdy pyszne; myślał o tym, jak go prześladowano i wyszydzano, i słuchał, jak wszyscy teraz mówili, że jest najpiękniejszym ze wszystkich pięknych ptaków. Bzy pochylały swe gałęzie nad powierzchnią wody, a słońce grzało mocno i rozkosznie; wtedy zaszumiały skrzydła młodego łabędzia, podniosła się smukła jego szyja i zawołał z głębi serca:

– Nawet nie marzyłem o takim szczęściu wówczas, kiedy byłem tylko brzydkim kaczątkiem.

CHOINKA

Daleko w lesie rosła śliczna mała choinka; wybrała sobie piękne miejsce, słońce miało do niej dostęp, powietrza było dużo i wszędzie dookoła niej rosło wielu jej starszych towarzyszy: sosny i świerki; ale mała choinka chciała tylko rosnąć, nie myślała o gorącym słońcu ani o świeżym powietrzu, nie zwracała uwagi na wiejskie dzieci, które biegały rozmawiając i zbierając poziomki czy maliny; dzieci przychodziły z pełnym dzbankiem, układały jagody na trawie, a potem siadały obok choinki i mówiły:

– Jakie to śliczne, maleńkie drzewko! – choinka nie lubiła tego. Następnego roku była już znacznie wyższa, a gdy znowu upłynął rok, urosła jeszcze bardziej; sądząc po ilości słoików, można było wiedzieć, ile ma lat.

– Ach, gdybym już była taka duża jak inne drzewa! – wzdychała mała choinka. – Mogłabym wtedy rozpostrzeć szeroko gałęzie i patrzeć w daleki świat. Ptaki wilyby gniazda pośród moich gałęzi, a wiatrowi, gdyby zawiął, kłaniałabym się wytwornie głową, zupełnie tak samo jak inne drzewa!

Nie cieszyło jej słońce ani ptaki, ani różowe obłoki, które przepływały wysoko nad nią co rano i co wieczór.

Kiedy nadchodziła zima i wszystko wokoło przykryte było iskrzącym się, białym śniegiem, zdarzało się, że zając przeskakiwał przez choinkę (o, jakież to było irytujące!). Ale przeszły dwie zimy i na trzecią zimę drzewo zrobiło się takie duże, że zając musiał je okrążyć.

„Ach, rosnąć, rosnąć, być dużą, dorosłą to jedyne szczęście na świecie!” – myślała choinka.

Na jesieni przychodzili zawsze drwale i ścinali niektóre z dużych drzew, zdarzało się to co roku i młoda choinka, która była teraz zupełnie duża, drżała, bo wielkie, wspaniałe drzewa padały na ziemię z trzaskiem i hukiem. Odrąbywano gałęzie i drzewa leżały teraz nagie, wąskie i długie; trudno je było poznać, a potem ładowano je na wóz i konie wywoziły je z lasu.

Dokąd je wieźli? Co je czekało?

Na wiosnę, kiedy przylatywały jaskółki i bocian, choinka pytała:

– Czy wiecie, dokąd je zabrano? Czy nie spotkałyście ich? Jaskółka nic nie wiedziała, ale bocian słuchał w zamyśleniu, kiwał głową i mówił:

– Tak, wydaje mi się, że wiem; kiedy leciałem z Egiptu, spotkałem wiele nowych okrętów; na okrętach były wspaniałe maszty, wydaje mi się, że to były one, pachniały sosną; pozdrawiałem je wielokrotnie, ale one stały tak dumnie, takie wyprostowane!

– Ach, gdybym to ja już była dość duża na to, aby jeździć po morzach! Jakie ono właściwie jest, to morze, i jak wygląda?

– To za trudne do wytłumaczenia! – powiedział bocian i odleciał.

– Raduj się swoją młodością! – mówiły promienie słoneczne. – Ciesz się z tego, że jesteś młoda, że rośniesz!

Wiatr całował choinkę, rosa płakała nad nią łzami, ale drzewo nie rozumiało tego wcale.

Kiedy nadeszło Boże Narodzenie, ścięto dwa młode drzewka, może mniejsze, a może w tym samym wieku co choinka, ale ona nie miała ani chwili spokoju, tylko ciągle chciała w świat. Tym młodym drzewkom, a były to najpiękniejsze, nie odrąbano gałęzi, położono je na wozie i konie wywiozły je z lasu.

– Dokąd je zabierają? – pytała choinka. – Nie są większe ode mnie, jedna była nawet o wiele ode mnie mniejsza. Dlaczego zostawiono im wszystkie gałęzie? Dokąd je wiozą?

– Wiemy, wiemy! – ćwierkały wróble. – Zaglądałiśmy w mieście do okien! Wiemy, dokąd one jadą! Wiozą je do największych wspaniałości, jakie sobie można wyobrazić! Zaglądałyśmy do okien i widziałyśmy, że zasadzono je pośrodku ciepłego pokoju i ozdobiono najpiękniejszymi przedmiotami, złożonymi jabłkami, piernikami, zabawkami i tysiącem świeczek!

– A potem? – pyta choinka i drżała wszystkimi gałązkami. – A potem? Co się dzieje potem?

– Więcej nie widziałyśmy. Ale to było cudowne!

„Czy i ja jestem stworzona, aby pójść tą promienną drogą? – myślała choinka. – To jeszcze lepiej niż pływać po morzu! Jakże cierpię z tęsknoty! Żeby już nadeszło Boże Narodzenie! Oto jestem już duża i rozrośnięta, tak jak te, które wywieziono zeszłego roku! Ach, gdybym już była na wozie! Gdybym już była w tym ciepłym pokoju wśród przepychu i wspaniałości. A potem? Tak, potem będzie coś jeszcze piękniejszego, po co by mnie tak stroili? Potem musi się stać coś wspanialszego, większego – ale co? Ach, jakże cierpię, jakże tęsknię, nie wiem sama, co się ze mną dzieje!”

– Ciesz się ze mnie! – mówiło powietrze i światło słoneczne. – Ciesz się, że jesteś młoda, świeża i stoisz na wolności.

Ale choinka nie cieszyła się wcale; rosła i rosła, latem i zimą była zielona, ciemnozielona;

ludzie, którzy ją widzieli, mówili: „To piękne drzewo!” A na Boże Narodzenie ścięto ją pierwszą. Siekiera przecięła ją głęboko aż do szpiku, choinka upadła z jękiem na ziemię, czuła ból, omdlenie i nie mogła wcale myśleć o swoim szczęściu; była zmartwiona, że musi porzucić miejsce rodzinne, rozłączyć się z pniem, z którego wyrosła: wiedziała, że już nigdy nie zobaczy swych drogich, starych towarzyszy, małych krzaczków i kwiatów, które dookoła niej rosły, może nawet i ptaków. Odjazd wcale nie był przyjemny.

Choinka ocknęła się, kiedy wypakowano ją razem z innymi drzewami na podwórzu i kiedy usłyszała, jak jakiś człowiek powiedział:

– Ta jest wspaniała, tylko ta nam się przyda.

Potem przyszło dwóch służących w pięknej liberii i zaniósł choinkę do wielkiej, pięknej sali. Naokoło na ścianach wisiały portrety, a obok wielkich, kaflowych pieców stały wielkie chińskie wazy z lwami na pokrywach; stały tam bujające fotele, sofy kryte jedwabiem, wielkie stoły pokryte albumami i zabawki, które kosztowały sto razy po sto talarów (tak przynajmniej mówiły dzieci). Wstawiono choinkę w skrzynię do śmieci, napełnioną piaskiem, którą dla niepoznaki pokryto dookoła zielonym sukmem, i postawiono ją na dużym barwnym dywanie. Ach, jakże drzewko drżało! Co się teraz stanie? Przyszli lokaje i pokojówki i zaczęto przystrajać choinkę. Powiesili na jej gałązkach małe siateczki, wycięte z kolorowego papieru; każda napełniona była cukierkami; złożone jabłka i orzechy zwieszały się jak przyrośnięte, a do gałęzi przymocowano przeszło sto czerwonych, niebieskich i białych świeczek. Lalki, które wyglądały jak żywi ludzie (choinka nie widziała takich nigdy przedtem), kołysały się wśród zieleni, a na szczycie drzewa umocowano wielką, złotą gwiazdę – to było wspaniałe, niewypowiedziane wspaniałe!

– Dzisiaj wieczór – mówili wszyscy – dzisiaj wieczór zabłyśnie!

„Ach – myślała choinka – żeby to już był wieczór! Kiedyż już zapalają się choinki? A co potem będzie? Czy przyjdą drzewa z lasu, aby mnie oglądać? Czy wróble przylecą do okien? Czy wrosnę tu na zawsze i będę stała zimą i latem, wystrojona?”

Tak, czekała z upragnieniem, ale bolała ją bardzo kora z niecierpliwości, a bóle kory są tak przykre dla choinki jak bóle głowy dla nas.

Wreszcie zapalono świeczki. Jaki blask! Jak cudownie! Gałęzie choinki drżały, tak że od jednej ze świeczek zapaliła się zielona gałązka; porządnie ją zabolalo.

– Boże święty! – zawołały pokojówki i ugasiły prędko ogień. Teraz choinka nie odważyła się już drzeć! O, jakie to było przykre! Bała się, że zgubi coś ze swoich ozdób, była zupełnie

oszołomiona tym całym blaskiem – oto otworzyły się szeroko drzwi i do pokoju wtargnęła cała gromada dzieci tak gwałtownie, jak gdyby miały przewrócić drzewko; dorośli wchodzili spokojniej; dzieci stały oniemiałe, ale trwało to tylko chwilę, potem zaczęły się znowu cieszyć, aż rozbrzmiewało, tańczyły dookoła drzewka i zrywały jeden podarek po drugim.

„Co one robią? – myślało drzewko. – Co się jeszcze teraz stanie?” Świeczki wypaliły się do końca, a gdy tylko która się wypaliła, gaszono ją natychmiast, a potem pozwolono dzieciom zrywać wszystko, co było na choince. Rzuciły się na nią, tak że aż trzeszczały wszystkie gałęzie; gdyby jej szczyt ze złotą gwiazdą nie był przywiązany do sufitu, przewróciłaby się na pewno.

Dzieci tańczyły ze swymi pięknymi zabawkami, nikt nie patrzył już na choinkę z wyjątkiem starej niani, która podeszła i zaglądała pomiędzy gałązki, ale tylko po to, aby zobaczyć, czy nie zapomniano tam jeszcze jakiejś figi lub jabłka.

– Bajkę, bajkę! – wołały dzieci i ciągnęły małego, grubego człowieczka do choinki, człowieczek usiadł akurat pod samą choinką.

– Będzie nam miło wśród zieleni – powiedział – choinka także posłucha bajki, ale opowiem wam tylko jedną historię. Czy chcecie posłuchać bajki o Ivede-Avede, czy o Klumpe-Dumpe, który spadł ze schodów, ale mimo to spotkały go zaszczyty i zdobył rękę księżniczki?

– Ivede-Avede! – krzyczały jedne dzieci. – Klumpe-Dumpe! – wołały inne; było tyle hałasu i krzyku, tylko choinka milczała i myślała sobie:

„Czyż dla mnie nie ma tu nic do roboty, zupełnie nic?!” Ale przecież spełniła już swe zadanie.

Mały człowieczek opowiedział bajkę o Klumpe-Dumpe, który spadł ze schodów i w końcu zdobył rękę księżniczki. A dzieci klaskały w ręce i wołały: – Jeszcze! Jeszcze! – Chciały także usłyszeć drugą bajkę, ale usłyszały tylko tę jedną o Klumpe-Dumpe. Choinka stała cicha i zamyślona, ptaszki w lesie nigdy nie opowiadały jej nic podobnego o Klumpe-Dumpe, który spadł ze schodów, a jednak zdobył księżniczkę. „Więc to tak, tak dzieje się na świecie – myślała choinka i wierzyła, że tak było naprawdę, opowiadał to przecież taki miły pan. – Tak, tak, któż to może wiedzieć. Może i ja spadnę ze schodów, a potem dostanę księcia za męża.” I myślała z radością o tym, że na drugi dzień ubiorą ją w świeczki, zabawki, złoto i owoce.

„Jutro już nie będę drżała – myślała choinka – będę się cieszyła całym sercem z mego szczęścia. Jutro usłyszę znowu bajkę o Klumpe-Dumpe, może także tę drugą o Ivede-Avede.”

I przez noc całą drzewko stało ciche i zamyślone.

Rano przyszli służący i pokojówka.

„Zaraz zaczną mnie na nowo stroić” – myślało drzewko. Ale wyciągnięto je z pokoju na strych, gdzie nie zaglądał ani jeden promyk słońca. „Co to ma znaczyć? – myślała choinka. – Co mam tu robić? Co ja tu usłyszę?” Oparła się o ścianę i rozmyślała... A miała dość czasu, bo upływały dni i noce, nikt do niej nie wchodził, a kiedy nareszcie ktoś przyszedł, to jedynie po to, aby wstawić do kąta parę wielkich skrzyń; drzewko stało ukryte: pewnie wszyscy o nim zapomnieli.

„Teraz tam na dworze jest zima – myślała choinka. – Ziemia jest twarda i przykryta śniegiem, ludzie nie mogą mnie zasadzić i dlatego muszę tu czekać aż do wiosny w tym schronieniu. Jakże to świetnie obmyślane! Jacy ludzie są dobrzy! Gdyby tu tylko nie było tak ciemno i tak strasznie samotnie! Gdyby tu się zjawił przynajmniej jakiś mały zajaczek. Jakże tam było przyjemnie w lesie, kiedy leżał śnieg i przelatywał zajac; tak, nawet kiedy przeskakiwał przeze mnie, ale wówczas nie lubiłam tego. Tu na strychu jest tak strasznie samotnie”.

– Pip! pip! – pisnęła w tej chwili mała myszka i wyskoczyła z kąta, a za nią biegła druga. Obwąchały drzewko i wsunęły się pomiędzy gałęzie.

– Jakże tu okropnie zimno – powiedziały obie małe myszki. – Gdyby nie to, byłoby tu dobrze, prawda, stara choinko?

– Nie jestem wcale stara – powiedziała choinka. – Znam dużo, dużo drzew o wiele starszych ode mnie!

– Skąd się tu wzięłaś i co potrafisz? – pytały myszy. Były takie strasznie ciekawe. – Opowiedz nam o najpiękniejszym miejscu na świecie. Czy byłaś tam? Czy byłaś w spiżarni, gdzie leżą na półkach sery, gdzie spod sufitu zwisają szynki, gdzie się tańczy na świecach łożowych i gdzie się wchodzi chudym, a wychodzi tłustym?

– Nie znam tego miejsca – powiedziała choinka. – Ale znam las, gdzie świeci słońce i śpiewają ptaki! – I potem opowiedziała wszystko o swojej młodości, a małe myszki jeszcze nigdy niczego podobnego nie słyszały, więc słuchały uważnie i mówiły:

– Jakże ty dużo widziałaś. Jakże byłaś szczęśliwa!

– Ja? – śmiała choinka i myślała o tym, co sama opowiedziała. – Tak, były to w istocie szczęśliwe czasy. – A potem opowiedziała o wieczorze wigilijnym, kiedy ozdobiono ją piernikami i świeczkami.

– O – powiedziały małe myszki – jakże byłaś szczęśliwa, stara choino!

– Nie jestem wcale stara – powiedziała choinka. – Dopiero tej zimy przybyłam z lasu. Jestem w najlepszych latach. Przestałam tylko dalej rosnać.

– Jak ślicznie opowiadasz! – powiedziały myszki i następnej nocy przyszły z czterema innymi myszami, które także chciały słuchać, co drzewo opowiada, a im więcej choinka opowiadała, tym wyraźniej przypominała sobie sama wszystko i rozmyślała: „Były to jednak wesołe czasy. Ale mogą jeszcze wrócić, mogą wrócić. Klumpe-Dumpe spadł ze schodów, a pomimo to ożenił się z księżniczką, a może i ja dostanę księcia.”

A potem pomyślała o małym, ślicznym dębie w lesie, który mógłby jej zastąpić pięknego księcia.

– Kto to jest Klumpe-Dumpe? – pytały małe myszki. Więc choinka opowiedziała im całą bajkę, pamiętała każde słowo, a małe myszki miały ochotę skakać z radości aż pod sam wierzchołek choinki. Następnej nocy przyszło o wiele więcej myszy, a w niedzielę nawet dwa szczury, ale te powiedziały, że bajka nie jest zajmująca, co bardzo zmartwiło małe myszki, bo wobec tego bajka przestała im się podobać.

– Czy pani umie tylko tę jedną bajkę? – pytały szczury.

– Tylko tę jedną – odpowiedziała choinka. – Usłyszałam ją tego najszcześniejszego wieczora, ale wtedy nie myślałam o tym, jaka jestem szczęśliwa!

– To bardzo nudne opowiadanie. Czy pani nie umie opowiedzieć jakiejś bajki o słoninie lub o łożowych świecach? Żadnej bajki spizarnianej?

– Nie – powiedziało drzewko.

– Wobec tego dziękujemy – oświadczyły szczury i wróciły do swego towarzystwa.

Małe myszki odeszły w końcu także i choinka westchnęła:

– Było jednak bardzo przyjemnie, kiedy te wesołe małe myszki siedziały dookoła mnie i słuchały, co im opowiadam. I to przeszło! Ale będę o tym myślała i będę się cieszyła myślą, że mnie stąd zabiorą.

Kiedyż to się stało? Tak, pewnego ranka przyszli jacyś ludzie i zaczęli porządkować strych. Odstawili skrzynie, wyciągnęli choinkę i rzucili ją co prawda dość ostro na ziemię, ale służący ściągnął ją natychmiast po schodach, tam gdzie był jasny dzień.

„Teraz znowu zaczyna się życie” – pomyślała choinka, czuła świeże powietrze, pierwszy promień słońca, i oto była na podwórzu. Wszystko odbyło się tak szybko, choinka zapomniała zupełnie spojrzeć na siebie samą, było tyle do oglądania wokół niej. Podwórze przylegało do

ogrodu, gdzie wszystko kwitło; róże pięły się na niskich sztachetach i były takie świeże i pachnące; kwitły lipy, a wokoło fruwały jaskółki i ćwierkały:

– Ćwir, ćwir, przyjechała nasza ukochana! – ale nie miała na myśli choinki.

„Teraz będę żyła” – cieszyła się choinka i rozpostarła swoje gałęzie szeroko, gałęzie były zeschnięte i żółte, a ona sama leżała w kącie pomiędzy chwastami i pokrzywami. Na jej wierzchołku tkwiła gwiazda ze złotego papieru i błyszczała w jasnym blasku słońca.

Na podwórzu bawiło się kilkoro dzieci spośród tej wesołej gromadki, która na Boże Narodzenie tańczyła wokoło drzewka i tak się nim cieszyła. Jedno z najmniejszych podbiegło i zerwało złotą gwiazdę.

– Patrzcie, co tam zostało jeszcze na tej szkaradnej, starej choinie! – powiedział chłopiec i zaczął deptać gałęzie, aż trzeszczały pod jego butami.

A choinka spojrzała na piękne, pachnące kwiaty w ogrodzie, spojrzała na siebie samą i zateśniła do ciemnego kąta na strychu; myślała o swojej młodości w lesie, o wesołym wieczorze wigilijnym i o małych myszkach, które tak chętnie słuchały bajki o Klumpe-Dumpe.

– Skończyło się, skończyło! – powiedziała biedna choinka. – Dlaczego nie cieszyłam się wtedy, kiedy jeszcze było z czego? Skończyło się! Skończyło!

Przyszedł parobek i porąbał drzewo na małe kawałki, leżała ich już cała wiązka. Paliła się jasnym płomieniem pod wielkim kotłem do warzenia piwa i choinka wzdychała głęboko, każde westchnienie brzmiało niby krótki wystrzał i zwabiło dzieci bawiące się na podwórzu; usadowiły się przed ogniem, patrzyły w płomień i wołały: – Piff! Paff! – Przy każdym trzasku, który był głębokim westchnieniem, myślała choinka o letnim dniu w lesie i zimowej nocy, kiedy błyszczały gwiazdy, myślała o wieczorze wigilijnym i o Klumpe-Dumpe, jedynej bajce, którą usłyszała i którą potrafiła opowiedzieć, a potem spaliła się do reszty.

Chłopcy bawili się na podwórzu, a najmniejszy z nich miał na piersi złotą gwiazdę, która zdobiła choinkę owego najszcześniejszego wieczoru.

Teraz się to skończyło i drzewka już nie ma, cała bajka się skończyła, skończyła tak, jak się kończą wszystkie bajki na świecie.

KRÓLOWA ŚNIEGU

Baśń w siedmiu opowiadaniach

Opowiadanie pierwsze

W którym jest mowa o lustrze i okruchach

Posłuchajcie! Zaczynamy. Kiedy bajka się skończy, będziemy wiedzieli więcej, niż wiemy teraz, bo to był zły czarownik! Jeden z najgorszych, sam diabeł. Pewnego dnia wpadł w świetny humor, zrobił bowiem lustro, które posiadało tę właściwość, że wszystko dobre i ładne, co się w nim odbijało, rozpływało się na nic, a to, co nie miało żadnej wartości i było brzydkie, występowało wyraźnie i stawało się jeszcze brzydsze. Najpiękniejsze krajobrazy wyglądały w tym lustrze jak gotowany szpinak, najlepsi ludzie byli szkaradni albo stali na głowach bez tułowia. Twarze w tym lustrze były tak wykrzywione, że nie można ich było rozpoznać; ten, kto miał piegi, mógł być pewien, że pokryją mu cały nos i policzki.

Diabeł zaś uważał, że to było ogromnie zabawne. Skoro tylko przez głowę człowieka przeleciała jakaś zacna, dobra myśl, już twarz w lustrze wykrzywiała się, a diabeł-czarownik śmiał się ze swego sprytnego wynalazku. Wszyscy, którzy chodzili do szkoły diabła, gdyż założył czarcią szkołę, opowiadali na prawo i lewo, że stał się cud; uważali, że dopiero teraz będzie można dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda świat i ludzie. Biegali wszędzie z lustrem i w końcu nie było ani jednego człowieka, ani jednego kraju, który by nie został w nim opacznie odbity. Przyszło im do głowy, by polecieć do nieba i zabawić się kosztem aniołów i Pana Boga. Im wyżej lecieli z lustrem, tym bardziej wszystko się wykrzywiało, zaledwie mogli je utrzymać,

lecieli wyżej i wyżej, coraz bliżej aniołów i Boga; wtedy lustro zadrżało tak strasznie, że wypadło im z rąk na ziemię, gdzie rozprysło się na tysiące milionów, bilionów i jeszcze więcej okruchów. Teraz dopiero wyrządzili o wiele większą krzywdę niż przedtem, gdyż niektóre kawałki były mniejsze od ziarnka piasku i pofrunęły daleko w świat; gdy wpadły komuś do oka, tkwiły w nim, i wtedy człowiek ten widział wszystko na odwrót albo spostrzegał tylko to, co było w danym przedmiocie złe, gdyż każdy odłamek lustra miał tę właściwość co całe lustro; byli ludzie, którym taki odłamek wpadł do serca, i wtedy działo się coś okropnego: serce stawało się jak kawałek lodu. Niektóre kawałki szkła były takie duże, że zrobiono z nich szyby okienne, ale nie warto było patrzeć przez nie na przyjaciół; inne kawałki dostały się do okularów i źle się działo, kiedy ludzie nakładali te okulary, aby dobrze widzieć i dobrze sądzić; a Zły śmiał się, aż mu się brzuch trząsał, i to go przyjemnie łaskotało.

A w powietrzu unosiły się wciąż maleńkie okruchy lustra. I słuchajcie, co się stało!

Opowiadanie drugie

Chłopczyk i dziewczynka

Pośród wielkiego miasta, gdzie jest tyle domów i tyle ludzi, że nie ma dość miejsca, aby każdy miał swój mały ogródek, i dlatego większości ludzi musi wystarczyć doniczka z kwiatami, mieszkało dwoje biednych dzieci, które miały jednak ogród trochę większy niż doniczka. Nie byli bratem i siostrą, ale kochali się jak rodzeństwo. Ich rodzice mieszkali w dwóch domach, przedzielonych wąską uliczką, w dwóch izdebkach na poddaszu; dachy domów stykały się prawie ze sobą; tuż obok rynny w każdym domu widniało małe okienko, wystarczyło tylko przeskoczyć przez rynnę i już można było przejść z jednego okna do drugiego.

Rodzice mieli przed oknem drewnianą skrzynkę, w której sadzili pożyteczne warzywa i małe różane krzewy. Raz wpadło rodzicom na myśl, żeby postawić skrzynki w poprzek rynny, tak że sięgały prawie od jednego okna do drugiego i wyglądały jak dwie grządki. Pędy grochu zwieszały się ze skrzynek, a różane krzewy wypuszczały długie gałązki, wiły się dookoła okien i pochylały ku sobie; wyglądało to prawie jak brama triumfalna, pełna zieleni i kwiatów. Ponieważ skrzynki były bardzo wysoko, a nie wolno tam było się wdrapywać dzieciom,

pozwolono im często wychodzić do siebie i siedzieć na małych stołeczkach pod różami; bawiły się tam świetnie.

W zimie kończyła się ta przyjemność, okna były często zupełnie zamrożone; ale wtedy dzieci ogrzewały przy piecu miedziaki i przykładaly je do zamrożonych szyb, tak że robiła się świetna dziurka do patrzenia, taka okrągła, okrągła; przez tę dziurkę patrzyło kochane, miłe oko, przy każdym oknie jedno; byli to chłopczyk i dziewczynka. Chłopczyk nazywał się Kay, a dziewczynka Gerda. W lecie wystarczył jeden krok, i już byli razem, ale w zimie musieli wchodzić na tyle schodów i schodzić z tyłu schodów, a na dworze padał śnieg.

– To roje białych pszczół! – powiedziała stara babka.

– Czy mają także królową? – spytał chłopczyk, bo wiedział, że prawdziwe pszczoły mają królową.

– Naturalnie, że mają! – powiedziała babka. – Fruwa tam, gdzie się najęśniej roją. Jest większa od innych i nigdy nie odpoczywa na ziemi, odlatuje z powrotem w czarne chmury. Czasami w zimowe noce przelatuje przez ulice miasta i zagląda do wszystkich okien, a wtedy okna te zamrażają tak dziwnie, jak gdyby się pokrywały kwiatami.

– Tak, tośmy widzieli! – wołały dzieci i teraz uwierzyły, że to była prawda.

– Czy Królowa Śniegu może tutaj przyjść? – spytała mała dziewczynka.

– Niech tylko spróbuje! – powiedział chłopiec. – Wtedy posadzę ją na gorącym piecu i roztopi się.

Ale babka pogładziła go po głowie i zaczęła opowiadać inne bajki.

Wieczorem, kiedy mały Kay kładł się już spać, wdrapał się na krzesło przy oknie i spojrzał przez małą dziurkę; właśnie spadło parę płatków śniegu i jeden z nich, największy, zawisł na brzegu skrzynki z kwiatami; rósł coraz bardziej i bardziej i w końcu przemienił się w kobietę ubraną w najdelikatniejszą białą gazę, utkaną jakby z miliona gwiazdzistych płatków. Była piękna i zgrabna, ale cała z lodu, z olśniewającego, błyszczącego lodu, a jednak żyła: oczy patrzyły jak dwie jasne gwiazdy, ale nie było w nich spokoju ani wytchnienia. Skłoniła się do okna i skinęła ręką. Chłopczyk przestraszył się i zeskoczył z krzesła; a wtedy zdawało mu się, że wielki ptak przeleciał obok okna.

Następnego dnia był silny mróz, a potem zrobiła się odwilż, a potem przyszła wiosna, słońce świeciło, ukazała się zieleń, jaskółki budowały gniazda, otworzono okna i dzieci siedziały znowu w swoim ogródku przy rynnie, wysoko ponad wszystkimi piętrami.

Tego lata róże kwitły niezwykle obficie; dziewczynka nauczyła się psalmu, w którym była mowa także i o różach, i wtedy pomyślała o swoich własnych kwiatkach; zaśpiewała ten psalm chłopczykowi, a on nucił razem z nią:

*Róża przekwitła i mienie,
Pójdź, pokłońmy się dziecinie.*

Dzieci trzymały się za ręce, całowały róże, patrzyły w jasne słońce i mówiły do słońca jak do Dzieciątka Jezus. Cóż to były za cudne, letnie dni, jakże przyjemnie było siedzieć pomiędzy świeżymi krzewami róż, które, zdawało się, nigdy nie przestaną kwitnąć!

Kay i Gerda siedzieli i oglądali książkę z obrazkami, w której były malowane zwierzęta i ptaki. Wtem, gdy zegar na wielkiej wieży kościelnej wybił właśnie piątą, Kay zawołał:

– Coś mnie ukłuło w serce! O, a teraz coś mi wpadło do oka! Dziewczynka objęła go za szyję, chłopczyk mrugał oczami: nie, nic nie było widać!

– Pewnie już wyleciało! – powiedział, ale nie wyleciało. Był to właśnie jeden z tych odłamków szkła, na które rozpadło się lustro, czarodziejskie lustro, wiemy przecież, to wstrętne lustro, które wszystko, co wielkie i ładne, odbijało jako małe i brzydkie, podczas gdy to, co było brzydkie i złe, występowało wyraźnie i każdą wadę można było od razu zauważyć. Biedny Kay! Do jego serca wpadł także taki odłamek. Za chwilę to serce przemieni się w grudkę lodu. Teraz już przestało boleć, ale odłamek tkwił jeszcze w sercu.

– Dlaczego płaczesz? – spytał. – Tak brzydko wyglądasz! Nic mi przecież nie jest! Fe! – zawołał nagle. – Tę różę toczy robak! A patrz, tamta jest zupełnie krzywa. Właściwie te róże są brzydkie. Tak samo jak te skrzynie, w których stoją! – Kopnął nogą skrzynię i zerwał obie róże.

– Kay, co ty robisz? – zawołała dziewczynka, a on, widząc jej przerażenie, zerwał jeszcze jedną różę i pobiegł do swego okna zostawiając małą, milutką Gerdę samą.

Kiedy potem przysłała do niego z książką z obrazkami, powiedział, że to dobre dla niemowląt; a kiedy babka opowiadała bajki, miał im zawsze coś do zarzucenia albo stawał za babką, kładł okulary i przedrzeźniał ją; a udawało mu się to tak dobrze, że ludzie śmiali się z tego. Wkrótce nauczył się naśladować mowę i chód wszystkich ludzi na całej ulicy. Potrafił pokazywać wszystko, co w nich było niezwykłego i brzydkiego, a ludzie mówili: „Ten chłopiec jest bardzo zdolny!” Ale sprawiło to szkło, które mu wpadło do oka, szkło tkwiące w jego sercu, i dlatego dokuczał nawet małej Gerdzie, która była do niego przywiązana całą duszą.

Jego zabawy zmieniły się teraz całkowicie; stały się takie mądre. Pewnego zimowego dnia,

kiedy prószył śnieg, przyniósł sobie wielkie powiększające szkło, rozpostarł połowę swego granatowego płaszczyka i zgarnął na nią płatki śniegu.

– Spójrz no w szkło, Gerda! – powiedział. Każdy płatek śniegu powiększał się w szkłe i wyglądał jak piękny kwiat lub sześciokątna gwiazda; był to wspaniały widok.

– Widzisz, jakie to artystyczne! – mówił Kay – to o wiele ciekawsze od prawdziwych kwiatów! Te kwiaty nie mają żadnych wad, są doskonałe, o ile tylko się nie roztopią.

Po chwili zjawił się z wielkimi rękawicami i małymi saneczkami na plecach; krzyknął Gerdzie w samo ucho:

– Idę na wielki plac, gdzie inni chłopcy się bawią – i poszedł.

Na placu najśmielsi chłopcy przywiązywali często swoje saneczki do chłopskiego wozu i jechali w ten sposób spory kawał drogi. Było to bardzo wesołe. Kiedy się w najlepsze bawili, nadjechały jakieś wielkie sanie; były pomalowane całe na biało, a w środku siedział ktoś otulony w białe futro i w białej, futrzanej czapce; sanie objechały plac dwa razy dookoła. Kay przywiązał do nich szybko swoje saneczki i jechał za dużymi saniami; jechali coraz prędzej i prędzej, prosto przed siebie w najbliższą ulicę; osoba, która siedziała w saniach, odwróciła się, kiwnęła przyjaźnie do Kaya głową, zupełnie tak, jakby się znali od dawna; za każdym razem, kiedy Kay chciał odwiązać swoje saneczki, osoba znowu do niego kiwała i Kay zostawał; wyjechali za bramę miasta, wtedy śnieg zaczął tak sypać, że chłopiec, jadąc dalej, nie widział nawet ręki, którą trzymał przed oczami; puścił prędko sznur od saneczek, by się uwolnić od wielkich sań, ale to nie pomogło, jego małe saneczki przywiązane były mocno i jak wiatr pędziły naprzód. Wtedy zaczął głośno wołać, ale nikt go nie słyszał, śnieg padał, saneczki mknęły szybko; od czasu do czasu podskakiwały, tak jakby jechały przez rowy i płoty. Kay był bardzo przestraszony, chciał zmówić *Ojczy nasz*, ale mógł sobie przypomnieć tylko tabliczkę mnożenia.

Płatki śniegu stawały się coraz większe i większe i w końcu wyglądały jak duże białe kury; nagle odskoczyły na bok, wielkie sanie zatrzymały się i osoba, która w nich jechała, wyprostowała się, jej futro i czapka były całe ze śniegu a ona sama była damą smukłą i wysoką, jaśniejącą bielą – Królowa Śniegu!

– Zrobiliśmy ładny kawał drogi – powiedziała – ale po co marznąć? Otul się moim niedźwiedzim futrem. – Posadziła go obok siebie w saniach i otuliła go futrem; było mu tak, jakby pogrążył się w śnieżnej zaspie.

– Czy zimno ci jeszcze? – spytała i pocałowała go w czoło. Pocałunek był zimniejszy od lodu,

dotarł prosto do serca, które już i tak na pół zlodowaciało; było mu tak, jak gdyby miał umrzeć; ale tylko przez chwilę, potem zrobiło mu się dobrze; nie czuł już zimna.

– Moje saneczki! Nie zapomnij o moich saneczkach! – o tym pomyślał przede wszystkim; saneczki przywiązano do jednej z białych kur, która pofrunęła niosąc je na grzbiecie. Królowa Śniegu pocałowała Kaya jeszcze raz, i wtedy zapomniał o małej Gerdzie, o babce i o wszystkich w domu.

– Teraz już cię więcej nie pocałuję! – powiedziała – bo zacałowałabym cię na śmierć!

Kay spojrział na nią; była bardzo ładna; nie mógł sobie wyobrazić mądrzejszej i piękniejszej twarzy; teraz nie wydawała mu się już z lodu jak przedtem, kiedy ją widział za oknem, gdy kiwała do niego; w jego oczach była doskonałością, nie bał się wcale, opowiedział jej, że potrafi rachować z pamięci i nawet z ułamkami, że wie, ile kwadratowych mil liczy kraj i ile ma kraj mieszkańców; a ona uśmiechała się bez przerwy; wtedy pomyślał sobie, że wie jeszcze za mało, i spojrział w wielką, wielką przestrzeń, a ona leciała z nim wysoko ponad czarnymi chmurami, wichur szumiał i wył, tak jakby śpiewał stare pieśni. Lecieli ponad lasem i jeziorami, nad morzem i lądem; daleko pod nimi gwizdał zimny wiatr, wyły wilki, śnieg iskrzył się, wyżej leciały czarne, kraczące wrony, a nad wszystkim wysoko w górze księżyc świecił jasno i Kay patrzył nań przez całą długą zimową noc; w dzień zaś spał u stóp Królowej Śniegu.

Opowiadanie trzecie

Kwietny ogród kobiety, która umiała czarować

Ale co się działo z małą Gerdą, gdy Kay nie wracał? Co się z nim stało? Nikt nie wiedział. Nikt nie umiał tego wyjaśnić. Chłopcy opowiedzieli tylko, że widzieli jak przywiązał swoje saneczki do dużych, wspaniałych sań, które pojechały ulicą i wyjechały za bramę miasta. Nikt nie wiedział, gdzie Kay się podział. Popłynęło wiele łez, mała Gerda płakała gorąco i długo. Potem powiedziano, że umarł, że utonął w rzece, która przepływała tuż obok miasta; o, cóż to były za długie, ciemne zimowe dni. Aż wreszcie przysza wiosna i ciepłe promienie słońca.

– Kay umarł i nie ma go! – powiedziała mała Gerda.

– Nie wierzę temu – odrzekł słoneczny promień.

– Umarł i nie ma go – powiedziała Gerda do jaskółek.

– Nie wierzymy temu – odrzekły ptaki. I w końcu mała Gerda sama przestała w to wierzyć.

– Włożę moje nowe, czerwone buciki – powiedziała jednego ranka. – Kay nie widział ich jeszcze; pójdę do rzeki i spytam o niego.

Był bardzo wczesny ranek; pocałowała starą babkę, która jeszcze spała, włożyła czerwone buciki i poszła zupełnie sama za bramę miasta, aż na brzeg rzeki.

– Czy to prawda, że zabrałaś mi mojego małego towarzysza zabaw? Podaruję ci moje czerwone trzewiki, o ile mi go oddasz!

I wydawało jej się, że fale patrzyły na nią tak dziwnie, wtedy zdjęła swoje czerwone trzewiki, to, co miała najmilszego, i rzuciła je do rzeki; ale upadły tuż obok brzegu i fale zaniósły je z powrotem na ląd tak, jak gdyby rzeka nie mogąc zwrócić Gerdzie Kaya nie chciała jej zabrać tego, co najbardziej lubiła; dziewczynce zdawało się, że za blisko brzegu rzuciła trzewiki, więc weszła do łódki, która stała w sitowiu, poszła na najdalszy jej koniec i wrzuciła raz jeszcze trzewiki do wody, ale łódka nie była mocno przywiązana i na skutek ruchów dziewczynki zakołysała się i odbiła od brzegu. Gerda spostrzegła to i chciała szybko wysiąść, ale nie zdążyła, łódka oddaliła się od brzegu i popłynęła szybko naprzód.

Wtedy mała Gerda przestraszyła się bardzo i zaczęła płakać, ale nikt jej nie słyszał prócz wróbli, a te nie mogły jej zanieść na ląd, leciały tylko wzdłuż brzegu i ćwierkały tak, jakby ją chciały pocieszyć: „Oto jesteśmy my.” Łódka gnała z prądem; mała Gerda siedziała zupełnie spokojnie w pończoszki, czerwone trzewiki płynęły za nią, ale nie mogły dogonić łódki, którą prąd szybko unosił.

Na obu brzegach było ślicznie, rosły tam piękne kwiaty, stare drzewa i ciągnęły się zbocza, na których pasły się owce i krowy, ale nigdzie nie było widać człowieka.

„Może rzeka zanieś mnie do małego Kaya” – myślała Gerda i ta myśl ją pocieszyła, wyprostowała się i przez długie godziny patrzyła na zielony brzeg; potem przyплыnęła do dużego wiśniowego sadu, wśród którego widać było mały domek z dziwnymi, czerwonymi i niebieskimi oknami i słomianym dachem; przed domkiem stało dwóch drewnianych żołnierzy, prezentujących broń przed każdym, kto przepływał obok.

Gerda zawołała do nich; myślała, że są żywi, ale oni rozumie się, nic nie odpowiedzieli; podплыnęła do nich zupełnie blisko, prąd rzeki zaniósł łódkę do samego brzegu.

Gerda krzyknęła jeszcze głośniej, wtedy z domku wyszła stara, stara kobieta, opierająca się na zakrzywionym kosturze; miała duży kapelusz, pomalowany w najpiękniejsze kwiaty.

– Biedna dziecino! – powiedziała staruszka. – Jakże się dostałaś na tę dużą, bystrą rzekę, w tak daleki świat? – I potem staruszka weszła aż do wody, zaczepiła kostur o łódkę, przyciągnęła ją na brzeg i wyniosła z niej małą Gerdę.

A Gerda była zadowolona, że jest znowu na lądzie, tylko że bała się trochę tej obcej, starej kobiety.

– Chodź, opowiedz mi, kim jesteś i jak się tu dostałaś! – powiedziała kobieta.

I Gerda opowiedziała jej wszystko; a staruszka kręciła głową i mówiła: „Hm! Hm!” A kiedy Gerda skończyła opowiadać i spytała ją, czy nie widziała małego Kaya, kobieta odparła, że nie przechodził jeszcze tędy, ale że na pewno przyjdzie. Gerda nie powinna się smucić, tylko skosztować jej wisienek i obejrzeć jej kwiaty, są piękniejsze od wszystkich książek z obrazkami, każdy z nich potrafi opowiedzieć bajkę. Wzięła Gerdę za rękę i poszły do małego domku, a staruszka zamknęła drzwi.

Okna były wysoko, w górze, a szyby miały czerwone, niebieskie i żółte; światło dzienne przeświecało przez te szyby tak cudnie i mieniło się wszystkimi barwami, a na stole stały najpiękniejsze wiśnie i Gerda jadła tyle, ile chciała, bo jej było wolno. Podczas gdy jadła, staruszka czesała jej włosy złotym grzebieniem i włosy kręciły się w pierścieniu, otaczając złotą aureolą małą, miłą twarzyczkę, okrągłą i świeżą jak róża.

– Już od dawna tęskniłam do takiej uroczej, małej dziewczynki! – powiedziała staruszka. – Zobaczysz, jak nam będzie dobrze razem!

– I podczas gdy czesała włosy małej Gerdy, dziewczynka zapominała coraz bardziej o swoim przybranym braciszku; bo staruszka umiała czarować, ale nie była złą czarownicą, czarowała tylko troszeczkę, dla własnej przyjemności; i tak bardzo chciała zatrzymać małą Gerdę. Dlatego poszła do ogrodu i dotknęła kijem wszystkich różanych krzewów; nawet tych, które najpiękniej kwitły, a one zapadły się głęboko w czarną ziemię i nikt nie mógł się domyślić, że tu rosły. Staruszka bała się, że kiedy Gerda zobaczy róże, pomyśli o swoich różach, a wtedy przypomni sobie małego Kaya i ucieknie od niej.

Potem zaprowadziła Gerdę do ogrodu. Jakżeż tam pachniało i jak tam było pięknie! Wszystkie kwiaty, jakie tylko rosną o każdej porze roku, rozkwitały tu wspaniale; żadna książka z obrazkami nie mogła być barwniejsza i piękniejsza. Gerda skakała z radości i bawiła się, dopóki słońce nie zaszło pomiędzy wysokimi wiśniami, potem ułożyła się w ślicznym łóżku z czerwonymi, jedwabnymi poduszkami, haftowanymi w fiołki, zasnęła i śniła jak królowa w dniu

wesela.

Następnego dnia mogła znowu bawić się kwiatami w ciepłych promieniach słońca; tak przeszło wiele dni. Gerda знаła każdy kwiat, ale chociaż tyle ich było, jednak wydawało jej się, że jednego brak, nie wiedziała tylko jakiego. Pewnego dnia siedziała i oglądała kapelusz staruszki z wymalowanymi kwiatami. Najpiękniejszym z nich była róża. Staruszka zapomniała usunąć ją z kapelusza, podczas gdy inne żywe róże zagrzebała w ziemi. Tak zwykle bywa, gdy się jest roztargnionym.

– Co? – zawołała Gerda – czyż tu nie ma wcale róż?

I skoczyła pomiędzy grządki; szukała, szukała, ale róży nie znalazła, więc usiadła i rozplakała się; jej gorące łzy upadły właśnie na to miejsce, gdzie zakopane było różane drzewko, i kiedy łzy zrosiły ziemię, drzewko wystrzeliło kwitnące tak samo jak wówczas, gdy zapadło się w ziemię; Gerda objęła je, całowała róże i potem przypomniała sobie piękne róże w domu, a wraz z nimi i małego Kaya.

– Ach, jakżeż się tu zasiedziałam! – powiedziała dziewczynka. – Chciałam przecież szukać Kaya. Czy nie wiecie, gdzie on jest? – spytała róż. – Czy myślicie, że umarł i że go już nie ma?

– Nie umarł! – odpowiedziały róże. – Byliśmy przecież w ziemi, tam są wszyscy umarli, ale Kaya nie było!

– Dziękuję wam bardzo! – powiedziała mała Gerda i poszła do innych kwiatów, zajrzała w ich kielichy i spytała: – Czy nie wiecie, gdzie jest mały Kay?

Ale kwiaty stały sobie w słońcu i każdy z nich śnił swoją baśń lub historię, mała Gerda wysłuchiwała ich dużo, ale w żadnej z nich nie było mowy o Kayu.

Co opowiedziała płomienna lilia?

– Czy słyszysz bęben: bum, bum! Tylko dwa tony, zawsze bum, bum! Słuchaj żałobnej pieśni kobiety, słuchaj wołania kapłana. Żona Hindusa stoi w długiej czerwonej szacie na stosie, płomienie obejmują ją i jej umarłego męża; ale żona Hindusa myśli o żywym tu w orszaku, o nim, którego oczy goręcej palą niż płomień, o tym, którego żar oczu bardziej dosięga jej serca niż płomienie, co wkrótce spalą jej ciało na popiół. Czyż płomień serca może umrzeć w płomieniach na stosie?

– Nie rozumiem tego wcale! – powiedziała mała Gerda.

– To moja baśń! – odrzekła płomienna lilia. Co opowiedział powój ?

– Nad wąską, górską ścieżką wznosi się stary zamek. Gęsty bluszcz obrasta czerwone mury,

liść przy liściu oplata balkon; stoi tam śliczna dziewczyna, wychyla się poza sztachety i patrzy na drogę. Róża, zwieszająca się z gałęzi, nie jest od niej świeższa. Kwiat jabłoni, strząśnięty przez wiatr z drzewa, nie jest tak lekki jak ona; jakże szumi jej wspaniała, jedwabna szata! Czyż on nie przyjdzie?

– Czy myślisz o Kayu? – spytała mała Gerda.

– Opowiadam tylko moją baśń, mój sen! – odrzekł powój. Co opowiedział mały pierwiosnek?

– Pomiędzy drzewami wisi na sznurach długa deska; to huśtawka; dwie śliczne, małe dziewczynki, w sukniach białych jak śnieg i długich, powiewających, zielonych wstążkach przy kapeluszach, siedzą i bujają się; brat jest starszy od nich, stoi wyprostowany na huśtawce, ramię owinął sobie sznurem, aby się utrzymać, bo w jednej ręce trzyma małą miseczkę, a w drugiej białą rurkę i puszcza bańki mydlane, huśtawka się buja, bańki mydlane lecą, ostatnia o cudnych tęczowych barwach wisi jeszcze na rurce i kołysze się na wietrze; huśtawka buja się; mały czarny piesek, lekki jak mydlana bańka, podnosi się na tylne łapki i chce wejść na huśtawkę; huśtawka wznosi się, pies upada, szczeka i złości się; drażnią go rozpryskujące się bańki, kołysząca się deska, piana – oto moja pieśń!

– Może to jest ładne, co opowiadasz, ale mówisz to tak smutno i nie wspominasz wcale o Kayu! Co mówią hiacynty?

– Pewnego razu były trzy siostry, przezroczyste i delikatne; jedna miała suknię czerwoną, druga niebieską, a trzecia – białą! tańczyły, trzymając się za ręce, nad jeziorem przy blasku księżyca. Nie były to elfy, ale dzieci. Pachniało tak słodko i dziewczynki zniknęły w lesie – zapach stawał się coraz silniejszy – trzy trumny, w których leżały trzy piękne dziewczynki, wysunęły się z gęstwiny na brzeg jeziora; świętojańskie robaczki krążyły, błyszcząc jak małe, kołyszące się światełka. Czy te tańczące dziewczynki zasnęły, czy też umarły? Zapach kwiatów mówi, że nie żyją; wieczorny dzwon wydzwania im pogrzebowy śpiew!

– Strasznie mnie zasmucacie! – powiedziała mała Gerda. – Pachniecie tak mocno, że muszę myśleć o umarłych dziewczynkach: ach, czy naprawdę mały Kay nie żyje? Róże były pod ziemią i mówiły, że go tam nie ma!

– Bim, bam! – dzwoniły dzwoneczki hiacyntów. – Nie dzwoniemy dla małego Kaya, nie znamy go przecież. Śpiewamy tylko naszą piosenkę, jedyną, jaką znamy!

Gerda podeszła do kaczęcia, który świecił wśród zielonych, błyszczących liści.

– Jesteś małym, jasnym słoneczkiem – rzekła Gerda. – Powiedz mi, czy wiesz, gdzie

mogłabym znaleźć mego towarzysza zabaw?

A kaczeniec błyszczał tak ładnie i także patrzył na Gerdę. A potem zaśpiewał swoją pieśń. Ale i ta pieśń nie była o Kayu.

– W małym podwórku pierwszego dnia wiosny świeciło gorąco kochane słońce; promienie ześlizgiwały się po białym murze sąsiedniego domu, tuż obok rosły pierwsze żółte kwiaty, połyskujące jak złoto w blasku ciepłego słońca, stara babka siedziała na dworze w fotelu, wnuczka, uboga śliczna dziewczynka, przyszła do domu, pocałowała babkę. W jej serdecznym pocałunku było złoto, szczere złoto. „Złote usta, złota dziewczyna i złota poranku godzina!” Oto moja krótka baśń – powiedział kaczeniec.

– Moja biedna stara babcia – westchnęła Gerda. – Na pewno za mną tęskni i martwi się o mnie i o małego Kaya. Ale wrócę wkrótce znowu do domu i przyprowadzę go ze sobą. Nie mam po co pytać kwiatów, każdy z nich zna tylko swoją własną baśń, nie dadzą mi żadnych wskazówek. – I podwiązała sukienkę, aby móc prędzej biegać; ale narcyz uderzył ją po nodze, kiedy przez niego przeskakiwała, więc zatrzymała się, spojrzała na wysmukły kwiat i spytała, pochylając się nad nim:

– Czy powiesz mi coś wreszcie? Cóż powiedział narcyz?

– Widzę samego siebie! Widzę samego siebie! O, jakże pachnę! Wysoko w małym pokoiku na poddaszu stoi na pół ubrana mała tancerka, stoi to na jednej nodze, to na dwóch, deptce nogami cały świat i tyle że wszystkich olśniewa. Z imbryczka do herbaty nalewa wody na gorsecik, który trzyma w ręku. Czystość jest piękną rzeczą! Biała suknia wisi na wieszadle, i ona też została uprana w imbryczku, i wisi, schnie na dachu. Kładzie ją na siebie, szafranowym szalem owiązuje szyję, wtedy suknia połyskuje jeszcze śnieżniejszą bielą. Noga podniesiona. Patrz, jak ona krąży na jednej nodze! Widzę samego siebie. Widzę samego siebie!

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała Gerda. – Po co mi to opowiadasz? – I pobiegła na kraniec ogrodu.

Furtka była zamknięta, ale dziewczynka potrząsnęła zardzewiałym zamkiem, a wtedy furtka odskoczyła i mała Gerda pobiegła boso w daleki świat. Obejrzała się trzy razy, ale nikogo za nią nie było; w końcu nie mogła już dłużej biec, usiadła na dużym kamieniu. Kiedy się rozejrzała, zobaczyła, że lato już przeszło, była późna jesień, nie spostrzegła tego wcale tam, w wielkim ogrodzie, gdzie było tyle słońca i kwiaty kwitły o wszystkich porach roku.

– Mój Boże, jakże się zasiedziałam – powiedziała mała Gerda. – Przecież już jest jesień.

Teraz nie wolno mi odpoczywać. – Wstała, aby pójść dalej.

O, jakże obolałe i zmęczone były jej nóżki! Naokoło było tak zimno i pusto. Podłużne wierzbowe listki pożółkły zupełnie, mgła spływała z nich kroplami wody, jeden listek za drugim opadały na ziemię, tylko tarnina była pokryta owocami, i to takimi kwaśnymi, że cierpły od nich usta. O, jakże szaro i smutno było na dalekim świecie!

Opowiadanie czwarte

Księżę i księżniczka

Gerda musiała znowu odpocząć. Naprzeciw miejsca, gdzie siedziała, sfrunęła na śnieg duża wrona; przyglądała się dziewczynce i kręciła głową.

– Kra, kra – powiedziała. – Dź dobr. Dź dobr!

Lepiej nie umiała wymawiać, ale odniosła się życzliwie do małej dziewczynki i spytała ją, dokąd to idzie taka sama w daleki świat. Słowo „sama” zrozumiała bardzo dobrze mała Gerda i czuła, ile w tym się zawierało treści, opowiedziała wronie swoje całe życie, wszystko, co przeżyła, i spytała, czy nie widziała Kaya. A wrona kiwnęła w zamyśleniu głową i powiedziała:

– To możliwe, to bardzo możliwe, to bardzo możliwe!

– Naprawdę? – pytała mała dziewczynka i całowała wronę tak, że o mało nie zadusiła jej na śmierć.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała wrona. – Myślę, że to mógł być mały Kay! Ale na pewno zapomniał o tobie przy księżniczce.

– Czy on mieszka u księżniczki? – spytała Gerda.

– Tak, posłuchaj – powiedziała wrona. – Ale będzie mi trudno mówić twoim językiem. Czy rozumiesz wroni język? Byłoby mi łatwiej opowiadać.

– Nie, nie uczyłam się go – powiedziała Gerda – ale babka zna ten język i język innych ptaków też. Gdybym to ja się go była nauczyła!

– Nic nie szkodzi – rzekła wrona. – Opowiem, jak potrafię, ale nie będzie to dobrze opowiedziane! – I zaczęła mówić to, co wiedziała.

– W państwie, w którym teraz jesteśmy, mieszka księżniczka; jest tak niebywale mądra, że

przeczytała wszystkie gazety świata, a potem zapomniała to, co przeczytała, taka jest mądra. Teraz siedzi na tronie, ale podobno to wcale nie jest takie przyjemne; więc zaczęła śpiewać taką piosenkę! „Dlaczegoż bym nie miała wyjść za mąż! Naprawdę, to dobra myśl.” Tak, postanowiła wyjść za mąż, ale za takiego, który potrafiłby odpowiedzieć na zadane mu pytania, nie takiego, co tylko stoi i wytwornie wygląda, bo to jest nudne. I księżniczka zawołała wszystkie damy dworu, a kiedy usłyszały, o co chodzi, były bardzo zadowolone. „To się nam nadzwyczajnie podoba – powiedziały – myślałyśmy o tym niedawno! „ Możesz mi wierzyć, że każde słowo, które mówię, jest prawdą – dodała wrona. – Mam oswojoną narzeczoną, która wchodzi swobodnie do zamku, i ona mi to wszystko opowiedziała!

Narieczona była naturalnie także wroną, gdyż swój ciągnie do swego, czyli wrona do wrony!

– Tego dnia gazety wyszły z obwódką w kształcie serc i z podpisem księżniczki, można w nich było przeczytać, że każdy dobrze prezentujący się młodzieniec może przyjść na zamek i rozmawiać z księżniczką, a ten, który będzie się tam zachowywał tak jak u siebie w domu i będzie najmądrzej mówił, zostanie mężem księżniczki.

– Tak, tak – powiedziała wrona – wszystko, co mówię, to święta prawda. Więc ludzie ciągnęli gromadnie, był tłok i ścisk, ale nikomu nie poszczęściło się ani pierwszego dnia ani drugiego. Kiedy wszyscy razem stali na ulicy, rozmawiali swobodnie, ale gdy tylko wchodzili w bramę zamkową, tracili głowy na widok gwardii w srebrze, lokajów w złocie na schodach, wielkich oświetlonych sal; stali przed tronem, na którym siedziała księżniczka, i nie umieli nic powiedzieć prócz ostatniego słowa przez nią wymówionego, a jej nie zależało przecież na tym, aby usłyszeć powtórzone własne słowa. Miało się wrażenie, że ci ludzie zażyli tabaki na czczy żołądek i zapadli w sen, dopóki nie znaleźli się znowu na ulicy, gdzie odzyskiwali mowę. Od bram miasta aż do zamku stał długi ogon. Ja sam tam byłem, aby się im przyjrzeć – dodała wrona. – Czuli już głód i pragnienie, ale na zamku nie dostali nawet szklanki wody. Wprawdzie niektórzy mądrzejsi zabrali ze sobą zapasy, ale nie dzielili się ze swym sąsiadem; myśleli sobie: „Niech wygląda na głodomora, to wtedy księżniczka go nie weźmie!”

– A Kay! Mały Kay! – spytała Gerda. – Kiedy on przyszedł? Czy był między nimi wszystkimi?

– Miej cierpliwość! – powiedziała wrona. – Zaraz do niego dojdziemy. Było to trzeciego dnia, na zamek przyszedł mały chłopiec bez konia i bez pojazdu, szedł wesoło, oczy błyszczały mu jak twoje, miał prześliczne długie włosy, ale był ubogo ubrany.

– To był Kay! – cieszyła się Gerda. – Ach, nareszcie go znalazłam! – I klasnęła w ręce.

– Na plecach miał mały tornister – opowiadała wrona.

– Nie, to były pewnie jego sanki – zauważyła Gerda – zniknął z sankami!

– To możliwe! – powiedziała wrona. – Tak dokładnie nie widziałem. Ale wiem od mojej oswojonej narzeczonej, że kiedy przechodził przez zamkowe wrota i zobaczył srebrną gwardię i lokajów w złocie na schodach, zupełnie się nie zmieszał, skinął do nich głową i mówił: „Jakże to musi być nudno tak stać na schodach, lepiej wejść do środka”.

Sale błyszcząły od świateł, radcy i ministrowie chodzili bosy i roznosili złote półmiski; nastrój był uroczysty. Buciki tego chłopca skrzypiały okropnie, ale on nic sobie z tego nie robił.

– To na pewno był Kay! – zawołała Gerda. – Wiem, że ma nowe buciki; słyszałam w pokoju babci, jak skrzypiały!

– Tak, skrzypiały porządnie – powiedziała wrona. – Chłopiec z uradowaną miną poszedł wprost do księżniczki, która siedziała na perle tak wielkiej jak kołowrotek; wszystkie damy dworu ze swymi służebnymi i służebne służebnych, i wszyscy marszałkowie dworu ze swymi paziami i służącymi paziów, którzy mieli swoich chłopców na posyłki, wszyscy stali dookoła i im który stał bliżej drzwi, tym dumniej wyglądał. Twarz pacholka sługi służącego za ledwie można było dojrzeć, tak dumnie stał w drzwiach!

– To musiało być straszne! – powiedziała małą Gerda. – A jednak Kay zdobył księżniczkę?

– Gdybym nie był wroną, zdobyłbym ją również, nie bacząc na to, że jestem zaręczony. On mówił równie dobrze jak ja, kiedy mówię wronim językiem, wiem to od mojej oswojonej narzeczonej. Był swobodny i miły i wcale nie przyszedł po to, aby starać się o jej rękę, przyszedł jedynie, aby posłuchać mądrości księżniczki; spodobała mu się i on jej spodobał się także!

– Tak, to był na pewno Kay – powiedziała Gerda. – Był taki mądry, że potrafił rachować z pamięci, i to z ułamkami. Ach, czy zaprowadzisz mnie na zamek?

– To łatwo powiedzieć – powiedziała wrona – ale jak to zrobimy? – Pomówię o tym z moją oswojoną narzeczoną; na pewno nam poradzi; bo muszę ci powiedzieć, że takiej małej dziewczynki jak ty nie przepuszczą nigdy do pałacu!

– A jednak się tam dostanę – powiedziała Gerda. – Gdy Kay usłyszy, że ja tu jestem, zaraz przyjdzie i zabierze mnie!

– Czekaj na mnie przy sztachetkach! – powiedziała wrona, pokiwała głową i odleciała.

Dopiero kiedy nadszedł wieczór, wrona wróciła z powrotem.

– Kra, kra! – powiedziała. – Dużo pozdrowień od mojej narzeczonej, a oto bułeczka dla ciebie, wzięłam ją z kuchni, tam jest dość chleba, a ty jesteś na pewno głodna. To zupełnie niemożliwe, abyś weszła do pałacu, jesteś przecież bosa, srebrna gwardia i lokaje w złocie nie pozwalają na to, ale nie płacz, jakoś wejdziemy. Moja narzeczona zna pewne tylne schody, prowadzące do sypialnych pokojów, i wie, gdzie można znaleźć klucze!

Weszły więc do ogrodu, w wielką aleję, gdzie z drzew spadały liście; kiedy w pałacu jedne za drugimi pogasły światła, wrona zaprowadziła małą Gerdę do tylnych drzwi, które były uchylone.

O, jakże biło serce Gerdy ze strachu i tęsknoty! Zupełnie tak, jakby chciała zrobić coś złego, a przecież pragnęła tylko wiedzieć, czy tu był mały Kay: tak, musi tam być; myślała z takim przejęciem o jego mądrych oczach, o jego długich włosach, widziała wyraźnie jego uśmiech, kiedy siedział z nią w domu pod różami. Ucieszy się na pewno, gdy ją zobaczy i usłyszy, jaką długą drogę odbyła do niego, kiedy się dowie, jak martwili się wszyscy w domu, gdy on nie wrócił! O, jakże się bała i cieszyła zarazem!

Oto weszli już na schody; na szafie paliła się mała lampa; pośrodku na podłodze stała oswojona wrona, kręciła głową na wszystkie strony i patrzyła na Gerdę, która dygnęła tak, jak ją uczyła babcia.

– Mój narzeczony opowiadał mi tyle dobrego o pani, miła panieneczko! – powiedziała oswojona wrona. – Dzieje pani życia, jak to mówią, są również bardzo wzruszające. Niech pani weźmie lampę. Wtedy ja pójdę przodem. Gdy pójdziemy prosto przed siebie, to nie spotkamy nikogo!

– Wydaje mi się, że ktoś idzie tuż za nami! – powiedziała Gerda; rzeczywiście coś obok zaszeleściło; zupełnie jakby cienie prześlizgiwały się po ścianie, konie o rozwichrzonych grzywach i smukłych nogach, myśliwi, panowie i damy na koniach.

– To są tylko sny! – powiedziała wrona – przychodzą i zapraszają myśli księcia i księżniczki na polowanie; to dobrze, bo potem może im się pani w łóżku lepiej przyjrzeć. Ale spodziewam się, że kiedy pani dojdzie do zaszczytów i godności, okaże mi pani wdzięczność!

– To się samo przez się rozumie – wtrąciła druga wrona. Weszły do pierwszej sali o ścianach z różowego atlasu w kwiaty; obok nich zaszeleściły sny, ale przeleciały tak prędko, że Gerda nie zdążyła obejrzeć tego czcigodnego towarzystwa. Jedna sala była wspanialsza od drugiej; było tam co podziwiać. Wreszcie znaleźli się w sypialni. Sufit przypominał wielką palmę, o liściach ze szkła, z kosztownego szkła, a pośrodku pokoju na grubym sznurze ze złota wisiały dwa łoża,

każde wyglądało jak lilia; jedno było białe, leżała na nim księżniczka, drugie było czerwone i tam Gerda miała szukać małego Kaya; uchyliła jeden czerwony płatek i zobaczyła brązową szyję. Tak, to był Kay! Krzyknęła głośno jego imię trzymając lampę tuż nad nim – sny znowu wtargnęły konno do pokoju, księżę obudził się, odwrócił głowę i – to nie był mały Kay.

Miał tylko podobny do niego kark; był młody i piękny. Z łóżka, które wyglądało jak biała lilia, wyrzała księżniczka i spytała, co się stało. Wtedy mała Gerda zapłakała i opowiedziała całą swoją historię i wszystko, co zrobiły dla niej wrony.

– Biedna dziewczynka! – powiedzieli księżę i księżniczka, a potem pochwalili wrony, zapewnili je, że nie gniewają się wcale, ale żeby tego częściej nie robiły. Tym razem zostaną wynagrodzone.

– Czy chcecie latać na wolności – spytała księżniczka – czy wolicie mieć stałe miejsce jako dworskie wrony i korzystać ze wszystkich odpadków z kuchni?

Obie wrony dygnęły nisko i poprosiły o stałe miejsce; myślały o starości i powiedziały:

– To dobrze, kiedy człowiek – tak powiedziały – ma spokój na stare lata!

Księżę wstał z łóżka i ustąpił je Gerdzie, taki był dla niej dobry. Dziewczynka splotła swoje małe rączki i myślała: „I ludzie, i zwierzęta są dobrzy” – a potem zamknęła oczy i zasnęła słodko. Przyleciały znowu wszystkie sny w postaci aniołów, przyniosły małe sanki, na których siedział Kay i kiwał na nią; ale to był tylko sen i dlatego znikł, gdy tylko się obudziła.

Na drugi dzień ubrano ją od stóp do głów w jedwab i aksamit; pozwolono jej zostać w pałacu i spędzać przyjemnie czas, ale Gerda poprosiła, aby jej dali tylko wózek z koniem i parę małych trzewiczków, bo chciała jechać znowu w daleki świat odszukać Kaya.

Dostała i buciki, i mufkę; ubrano ją ślicznie, a kiedy miała odjechać, czekała na nią przed bramą kareta z czystego złota, herb księcia i księżniczki błyszczał na drzwiczkach jak gwiazda, stangret, służba i forysie, gdyż byli tam także i forysie, mieli złote korony na głowie. Księżę i księżniczka pomagali jej sami wsiąść do karety i życzyli wiele szczęścia. Leśna wrona, która właśnie pobrała się z oswojoną, odprowadziła Gerdę trzy mile; siedziała obok niej, bo nie zносиła jazdy tyłem do konia; druga wrona stała we wrotach i biła skrzydłami, nie odprowadzała Gerdy, bo cierpiała na bóle głowy, od czasu kiedy miała stałe miejsce i przejadała się. Kareta wysadzana była w środku obwarzankami z cukru, a siedzenie napchane było owocami i piernikami.

– Żegnaj, żegnaj! – wołali księżę i księżniczka, a mała Gerda płakała i wrona także; tak

przeszła pierwsza mila podróży. Potem i wrona musiała się pożegnać i to było najcięższe rozstanie. Pofrunęła na drzewo i trzepotała czarnymi skrzydłami, dopóki kareta, błyszcząca jak jasny promień słońca, nie zniknęła jej z oczu.

Opowiadanie piąte

Mała rozbójniczka

Jechali przez ciemny las, ale kareta błyszcząca jak pochodnia; kłuło to rozbójników w oczy, nie mogli tego znieść.

– Złoto, złoto! – wołali, pchali się naprzód, schwycili konie za uzdy, zabili małych forysiów, stangreta i służących i wyciągnęli małą Gerdę z karety.

– Jest tłusta, śliczna i karmiona orzechami – powiedziała stara rozbójniczka, która miała długą, sterczącą brodę i brwi opadające na oczy. – Jest taka smaczna jak małe, tłuste jagniątko, to dopiero będzie uczta! – I wyciągnęła nóż, który błysnął tak, że aż ciarki po ciele przeszły.

– Ach! – zawołała nagle stara; jej własna mała, dzika i nieznośna córeczka, którą niosła na plecach, ugryzła ją w ucho. – Ty przeklęty bachorze – zawołała matka i nie zdążyła zamordować Gerdy.

– Ona będzie się ze mną bawiła – powiedziała mała rozbójniczka. – Niech mi odda swoją mufkę i śliczną sukienkę i niech śpi ze mną w łóżku. – I ugryzła matkę parę razy tak, że żona rozbójnika aż skoczyła do góry i zaczęła się kręcić w kółko; wszyscy rozbójnicy śmieli się i mówili:

– Patrzcie, jak to tańczy ze swym bachorem!

– Ja chcę siedzieć w karecie – powiedziała mała rozbójniczka – chciała i musiała postawić na swoim, bo była rozpieszczona i uparta. Usiadła obok Gerdy w karecie i potem pojechały przez pnie i krzaki coraz głębiej w las. Mała rozbójniczka była taka duża jak Gerda, ale silniejsza, o szerszych ramionach i ciemniejszej cerze. Jej oczy były czarne i patrzyły prawie smutno. Objęła ramieniem małą Gerdę i powiedziała:

– Nie powini cię zabijać, dopóki się na ciebie nie pogniewam. Jesteś pewnie księżniczką?

– Nie – odrzekła mała Gerda i opowiedziała jej wszystko, co przeżyła, i jak bardzo kocha

małego Kaya.

Córeczka rozbójników patrzyła na nią zupełnie poważnie, pokiwała trochę głową i odezwała się:

– Nie powinni cię zabijać, nawet gdybym była na ciebie zła; sama to wtedy zrobię! – Otarła Gerdzie oczy i włożyła obie swoje ręce do ślicznej mufki, która była taka ciepła i miękka. Wtem karetka się zatrzymała; znajdowali się w środku podwórza starego, zbójeckiego zamku, był on pęknięty od góry do dołu. Kruki i wrony wyfruwały z otwartych szczelin, a wielkie buldogi, które wyglądały tak, jakby miały połknąć człowieka, skakały wysoko do góry, ale nie szczekały, bo to było zabronione.

W wielkiej, starej, zadymionej sali palił się na środku kamiennej podłogi duży ogień, dym wznosił się aż do sufitu i musiał sobie sam szukać wyjścia; gotował się duży kocioł z zupą, a na różnie piekły się zające i króliki.

– Musisz przespać się w nocy tu, obok mnie, razem ze wszystkimi moimi zwierzątkami – powiedziała mała rozbójniczka. Dano im jeść i pić i poszły potem w ką, gdzie leżała słoma i koce. Wysoko na żerdziach i belkach siedziało prawie sto gołębi, zdawało się, że śpią, ale gdy obie dziewczynki weszły, poruszyły się trochę.

– Wszystkie są moje – powiedziała mała rozbójniczka i schwyciła prędko jednego z najbliższej siedzących gołębi; złapała go za nogę i potrząsnęła nim tak, że zatrzepotał skrzydłami. – Pocałuj go – zawołała i uderzyła Gerde ptakiem po twarzy. – Tam siedzą leśne dzikusy – mówiła dalej i pokazała cały szereg żelaznych prętów, wbitych wysoko w murze, nad otworem. – Musimy ich pilnować, to są kanalie z lasu, uciekają, gdy tylko nie są dobrze zamknięte, a tutaj stoi mój stary, kochany Ba. – I przyciągnęła za rogi rena, naokoło szyi miał błyszczący, miedziany pierścień i był przywiązany. – Tego też musimy trzymać na uwięzi, bo inaczej by uciekł. Co wieczór łechcę go w szyję moim ostrym nożem, bo się tego bardzo boi. – I dziewczynka wyciągnęła długi nóż ze szpary w murze i przesunęła go po szyi rena; biedne zwierzę kopało tylnymi nogami, a mała rozbójniczka śmiała się i wciągnęła Gerde do łóżka.

– Czy będziesz miała nóż przy sobie w czasie snu? – spytała Gerda i spojrzała z przestrachem na nóż.

– Ja zawsze śpię z nożem – powiedziała mała rozbójniczka. – Nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić. Ale powtórz jeszcze raz to, co mi opowiadałaś o małym Kayu, i dlaczego poszłaś w daleki świat. – I Gerda opowiedziała od początku, a dzikie gołębie w klatce gruchały,

inne gołębie spały. Mała rozbójniczka objęła ramieniem Gerdę za szyję, w drugiej ręce trzymała nóż i zasnęła, tak że było słycać jej oddech; ale Gerda nie mogła zamknąć oczu, nie wiedziała, czy będzie żyła czy też umrze. Rozbójnicy siedzieli naokoło ognia, śpiewali i pili, a żona rozbójnika fikała koziołki. O, jakże strasznie było małej dziewczynce na to patrzeć!

Wtem gołębie leśne powiedziały:

– Gurr, grr! Widziałyśmy małego Kaya. Biała kura niosła saneczki, on siedział w saniach Królowej Śniegu, które unosiły się nad lasem, podczas gdy my siedziałyśmy w naszym gnieździe; dmuchnęła na nas i prócz nas dwóch umarły wszystkie pisklęta. Grr, grr!

– Co wy tam w górze mówicie? – zawołała Gerda. – Dokąd pojechała Królowa Śniegu? Czy wiecie coś o tym?

– Pewnie pojechała do Laponii, bo tam jest zawsze śnieg i lód. Spytaj rena, co stoi na postronku.

– Tam jest lód i śnieg, tam jest dobrze i pięknie – powiedział ren. – Skacze się swobodnie po wielkich, błyszczących dolinach. Królowa Śniegu ma tam swój letni namiot, ale jej stary zamek stoi wysoko nad biegunem północnym, na wyspie, która się nazywa Szpicberg!

– Ach, Kay, kochany Kay! – westchnęła Gerda.

– Leż teraz spokojnie – powiedziała mała rozbójniczka – inaczej zakłuję cię nożem!

Rano opowiedziała jej Gerda wszystko, co mówiły dzikie gołębie, a mała rozbójniczka słuchała uważnie, ale potem pokręciła głową i powiedziała:

– Właśnie! Właśnie! Czy wiesz, gdzie leży Laponia? – spytała rena.

– Któż ma lepiej wiedzieć ode mnie? – powiedziało zwierzę, a oczy mu zabłyśły. – Tam się urodziłem i wyrosłem, tam skakałem po polach.

– Słuchaj no! – powiedziała mała rozbójniczka do Gerdy. – Widzisz, że wszyscy nasi mężczyźni już wyszli, ale matka jest jeszcze tutaj i zostanie; później, rano, pije zawsze z dużej butelki i ucina sobie drzemkę; wtedy będę mogła coś zrobić dla ciebie! – Wyskoczyła z łóżka, rzuciła się matce na szyję, skubnęła ją w brodę i powiedziała: – Mój najśłodszy koziołku, dzień dobry! – A matka dała jej szcztka w nos, tak że jej nos poczerwieniał i posiniał, ale to wszystko jedynie z miłości.

Kiedy potem matka napiła się z dużej flaszki i ucięła sobie drzemkę, mała rozbójniczka zbliżyła się do rena i powiedziała:

– Miałabym straszną ochotę polechtać cię jeszcze kilka razy ostrym nożem, bo jesteś taki

zabawny, ale trudno, odwiążę twój sznur i pomogę ci dostać się do Laponii, tylko nie wolno ci oszczędzać nóg, musisz zaprowadzić tę małą dziewczynkę do pałacu Królowej Śniegu, gdzie jest jej towarzysz zabaw. Słyszałeś pewnie to, co ona opowiadała, bo mówiła dosyć głośno, a ty zawsze podsłuchujesz!

Ren wysoko podskoczył z radości. Dziewczynka rozbójników podniosła do góry małą Gerdę i była na tyle przezorna, że ją mocno przywiązała, a nawet dała jej małą poduszeczkę, aby miała na czym siedzieć.

– Właśnie! – powiedziała. – Masz z powrotem twoje futrzane trzewiki, bo będzie ci zimno, ale mufkę zatrzymam sobie, bo jest za ładna! Chyba nie zmarzniesz! Masz tu wielkie rękawice mojej matki, sięgają aż do łokci; kładź je! Twoje ręce wyglądają teraz jak ręce mojej wstrętnej matki!

A Gerda płakała z radości.

– Nie mogę znieść tego, że beczysz! – powiedziała mała rozbójniczka. – Teraz właśnie powinnaś mieć zadowoloną minę! Masz tu dwa bochenki chleba i szynkę, nie będziesz głodna! – Wszystkie zapasy przywiązano renowi za siodłem; mała rozbójniczka otworzyła drzwi, zawołała do środka wszystkie wielkie psy, potem przecięła nożem postronek i powiedziała do rena: – Teraz pędź, ale uważaj na dziewczynkę!

A Gerda wyciągnęła ręce w wielkich rękawicach do małej dziewczynki rozbójników i powiedziała:

– Do widzenia – a potem ren puścił się przez krzaki i kamienie, przez wielki las, przez błota i stopy tak prędko, jak tylko mógł. Wilki wyły, a kruki krakały.

– Fut, fut! – dźwięczało w powietrzu. Brzmiało to tak, jakby ktoś pluł czerwonym ogniem.

– To moja stara zorza północna! – powiedział ren. – Patrz, jak błyszczą! – I potem biegł jeszcze prędej, coraz dalej, dniem i nocą; Gerda zjadła chleby, szynkę także, i już byli w Laponii.

Opowiadanie szóste

Laponka i Finka

Zatrzymali się przed małym, bardzo nędznym domkiem; dach pochylał się aż do ziemi, a

drzwi były takie niskie, że mieszkańcy musieli pełzać na czworakach chcąc wejść lub wyjść. W domu nie było nikogo prócz starej Laponki, która, stojąc przy lampie z tranu, smażyła rybę. Ren opowiedział całą historię Gerdy, ale najpierw swoją własną, bo uważał, że ta jest o wiele ważniejsza, a Gerda była tak zmarznięta, że nie mogła wcale mówić.

– Ach, wy biedacy! – powiedziała Laponka. – Macie jeszcze daleką drogę przed sobą. Musicie przebiec jeszcze przeszło sto mil równiną finmarku, aż tam, gdzie rozsiadła się Królowa Śniegu i puszcza co wieczór bengalskie ognie. Napiszę parę słów na wysuszonym dorszu, nie mam papieru, a chcę napisać do Finki, tam na Północy, ona da wam lepsze wskazówki niż ja!

Kiedy Gerda ogrzała się, najadła i napiła, Laponka napisała na wysuszonym dorszu parę słów, kazała Gerdzie dobrze tego pilnować, przywiązała ją znowu do rena, który popędził razem z nią. „Fut, fut!”, zabrzmiało wysoko w powietrzu, przez całą noc płonęła najpiękniejsza niebieska zorza polarna i potem przyjechali do Finmarku, i zapukali do komina Finki, bo w chacie nie było nawet drzwi wejściowych.

Wewnątrz był tak straszny upał, że Finka sama chodziła prawie zupełnie nago; była mała i bardzo brudna; zaraz rozebrała małą Gerdę, zdjęła z niej rękawice i buciki, aby nie było jej za gorąco; renowi położyła na głowie kawałek lodu i potem przeczytała to, co było napisane na skórze dorsza; przeczytała trzy razy, tak że nauczyła się tego na pamięć, i wrzuciła rybę do gotującego się garnka, bo nadawała się do jedzenia, a ona nigdy niczego nie marnowała.

Ren opowiedział jej najpierw swoją historię, a potem dzieje małej Gerdy, a Finka błyskała mądrymi oczami, ale nic nie mówiła.

– Jesteś taka mądra! – powiedział ren. – Wiem, że potrafisz związać wszystkie wiatry świata jedną nitką; kiedy żeglarz rozplątuje jeden węzeł, wieje przyjazny wiatr, kiedy rozluźnia drugi, wieje ostry wicher, a kiedy rozwiązuje trzeci i czwarty, zrywa się taka burza, że lasy się przewracają. Czy zechciałabyś dać małej dziewczynce do wypicia taki napój, aby zrobiła się silna jak dwunastu mężczyzn i aby zwyciężyła Królową Śniegu?

– Silna jak dwunastu mężczyzn? – zapytała Finka. – Na cóż to się może jej przydać? – Potem podeszła do łóżka, wzięła dużą, zwiniętą skórę i rozwinęła ją; były tam napisane dziwaczne litery. Finka zaczęła czytać, aż jej pot spływał z czoła.

Ale ren wstawiał się tak gorąco za małą Gerdą, a Gerda patrzyła takimi błagalnymi, pełnymi łez oczami, że Finka zaczęła znowu błyskać spojrzeniem, zaciągnęła rena w kąt pokoju i szeptała coś kładąc mu na głowę świeży lód.

– Mały Kay jest co prawda u Królowej Śniegu, ma tam wszystko, czego tylko dusza zapagnie, i jest pewien, że to najlepsze miejsce na świecie, ale dzieje się to dlatego, że ma w sercu odłamek szkła i okruszynę szkła w oku; trzeba mu to wyjąć, inaczej nie stanie się nigdy prawdziwym człowiekiem, i Królowa Śniegu zachowa nad nim swą moc.

– Ale czy nie mogłabyś dać małej Gerdzie czegoś takiego, żeby stała się mocniejsza od wszystkich?

– Nie mogę jej użyczyć więcej mocy od tej, którą posiada. Czyż nie widzisz, jaka jest potężna? Czy nie widzisz, jak jej muszą służyć ludzie i zwierzęta, jak udało jej się przejść przez świat na bosych nóżkach? Nie powinna myśleć, że to myśmy użyczyli jej tej potęgi, ona tkwi w jej sercu, pochodzi stąd, że Gerda jest dobrym, niewinnym dzieckiem. Skoro jej samej nie uda się dostać do Królowej Śniegu i uwolnić Kaya od odłamków szkła, to my jej nic nie pomożemy. O dwie mile stąd zaczyna się ogród Królowej Śniegu, tam możesz zanieść małą dziewczynkę; posadź ją na śniegu koło wielkiego krzaka, pełnego czerwonych jagód; nie marudź długo, tylko pośpiesz się i wróć tu znowu. – Potem Finka uniosła małą Gerdę, posadziła ją na grzbiecie rena, a ren popędził, jak tylko mógł najprędzej.

– Ach, nie zabrałam moich trzewików, nie mam rękawic! – zawołała mała Gerda; spostrzegła to, bo było przeraźliwie zimno, ale ren nie odważył się zatrzymać, pędził, aż przybiegł do dużego krzaka z czerwonymi jagodami; tam posadził Gerdę, pocałował ją w usta, a wielkie, jasne łzy popłynęły z oczu po policzkach zwierzęcia; potem pobiegł z powrotem tak prędko jak tylko mogły go unieść nogi. A mała Gerda stała bez trzewików i bez rękawiczek pośrodku straszliwego, lodowato zimnego pola Finmarku.

Biegła przed siebie, jak tylko mogła najszybciej; nagle nadciągnął cały pułk śnieżnych płatków; ale nie padały z nieba, niebo było zupełnie jasne i błyszczące od zorzy północnej; płatki śniegu biegły tuż przy ziemi i im się bardziej zbliżały, tym były większe. Gerda pamiętała jeszcze, jakie wielkie i kunsztowne wydawały jej się płatki wtedy, gdy je oglądała przez powiększające szkło, ale tu były jeszcze o wiele większe i bardziej przerażające; były żywe, stanowiły przednią straż Królowej Śniegu; miały najdziwniejsze kształty; niektóre wyglądały jak szkaradne, wielkie jeżozwierze, inne jak sploty węzów, wysuwających głowy, a znowu inne – jak małe, grube niedźwiedzie o nastroszonej sierści, wszystkie były oślepiająco białe, wszystkie były żywymi płatkami śniegu.

Mała Gerda zmówiła Ojczy nasz; a mróz był tak wielki, że widziała swój własny oddech;

parował z jej ust jak gęsty dym; oddech ten stawał się coraz gęstszy i gęstszy i ułożył się w kształt jasnych aniołów, które w miarę zbliżania się do ziemi, stawały się coraz większe; wszystkie miały na głowach hełmy, a w rękach dzidy i tarcze; było ich coraz więcej, i kiedy Gerda skończyła mówić Ojciec nasz, stał naokoło niej cały legion; uderzały swymi mieczami w szkaradne płatki śniegu, tak że te rozpadały się na tysiączne kawałki, a mała Gerda szła pewnie i radośnie naprzód. Aniołki gładziły jej nogi i ręce; wtedy nie czuła wcale zimna i szła prędko naprzód do pałacu Królowej Śniegu.

A teraz zobaczymy, co się działo z Kayem. Nie myślał on wprawdzie o małej Gerdzie, a już najmniej o tym, że stała na dworze przed pałacem.

Opowiadanie siódme

Co się działo w pałacu Królowej Śniegu i co się później stało

Ściany pałacu były zrobione ze śnieżnej zawiei, a okna i drzwi z ostrych wiatrów; było tam przeszło sto sal, zależnie od tego, jak zawiał śnieg; największa sala rozciągała się na wiele mil, wszystkie oświetlało silne światło zorzy polarnej; były wielkie, puste, lodowato zimne i błyszczące! Nie panowała tu nigdy radość, nie odbył się tu nawet ani razu balik niedźwiedzi, na którym mógłby zagrać wicher i gdzie by białe niedźwiedzie mogły chodzić na tylnych nogach i popisać się swoimi dobrymi manierami; nie było tu nigdy towarzyskich zabaw ani otwierania paszcz i bicia łapami; białe liście nie plotkowały tu nigdy przy herbatce; puste, wielkie i zimne były sale Królowej Śniegu. Zorza północna paliła się tak równomiernie, że można było według jej światła oznaczyć, kiedy znajdowała się na najwyższym punkcie, a kiedy na najniższym. Pośrodku pustej, nieskończonej, śnieżnej sali leżało zamrożone jezioro, które popękało na tysiące kawałków, ale jeden kawałek był podobny do drugiego, było to prawdziwe dzieło sztuki; pośrodku tego jeziora siadywała Królowa Śniegu, wtedy gdy była w domu, i wówczas mówiła, że siedzi na zwierciadle rozsądku i że to jest jedyne i najlepsze zwierciadło na świecie.

Mały Kay był zupełnie siny z mrozu, prawie czarny, ale nie spostrzegł tego wcale, gdyż Królowa Śniegu odjęła mu swym pocałunkiem wrażliwość na zimno, a jego serce stało się kawałkiem lodu. Chodził i zbierał płaskie, ostre kawałki lodu, które składał w ten sposób, aby

coś z nich wyszło, zupełnie tak samo jak my, kiedy z kawałków drzewa składamy figury, co się nazywa chińską grą. Kay układał najkunsztowniejsze wzory, była to lodowa łamigłówka, w jego oczach figury te były nadzwyczajne i niezwyklej wagi, przyczyniał się do tego okruch szkła, który Kay miał w oku. Kay składał całe figury, które tworzyły napis, ale nie udawało mu się ułożyć słowa, na którym mu właśnie zależało. Słowem tym była „Wieczność”, a Królowa Śniegu oświadczyła:

– Jeżeli uda ci się ułożyć to słowo, staniesz się zupełnie niezależny, podaruję ci cały świat i na dodatek parę nowych łyżew. – Ale Kay nie mógł w żaden sposób ułożyć tego właśnie słowa.

– Teraz pomknę sobie daleko, do ciepłych krajów – powiedziała Królowa Śniegu – chcę zajrzeć raz do tych czarnych garnków. – Miała na myśli góry ziejące ogniem, które się nazywają Etna i Wezuwiusz. – Pobieję je trochę. To im się należy, zresztą wyjdzie to na dobre cytrynom i winogronom! – I Królowa Śniegu odfrunęła, a Kay został zupełnie sam w olbrzymiej lodowej sali, przyglądał się kawałkom lodu i myślał, myślał, aż coś w nim zatrzeszczało, siedział zupełnie sztywno i cicho, mogło się zdawać, że zamarzl.

I wtedy właśnie mała Gerda weszła przez wielkie wrota do pałacu; wiały właśnie ostre wichry, ale dziewczynka odmówiła wieczorną modlitwę i wtedy wiatry ułożyły się, jak gdyby chciały spać, a dziewczynka weszła do wielkiej, pustej, zimnej sali. Zobaczyła Kaya, poznała go, rzuciła mu się na szyję, objęła go mocno i wołała:

– Kay, drogi, mały Kay! Nareszcie cię odnalazłam!

Ale on siedział zupełnie cicho, sztywny i zimny.

Wtedy zapłakała mała Gerda gorącymi łzami, które spływały na jego pierś, dostały się aż do jego serca, roztopiły kawałki lodu i wchłonęły okruszynę szkła; Kay spojrzął na nią, ona zaśpiewała mu pieśń:

Róża przekwita i minie,

Pójdź, pokłońmy się Dziecinie.

Wtedy Kay wybuchnął płaczem i odłamek szkła wypadł mu z oka, poznał Gerdę i zawołał radośnie:

– Gerdo, kochana, mała Gerdo! Gdzieś była tak długo? I gdzie ja byłem? – Rozejrzał się wokół. – Jakże tu zimno! Jak pusto i rozległe!

I przytulił się mocno do Gerdy, a ona śmiała się i płakała z radości; było to takie piękne, że nawet kawałki lodu zaczęły tańczyć z radości, a kiedy się zmęczyły i położyły, utworzyły

właśnie te litery, o których mówiła Królowa Śniegu, że jeżeli Kay je ułoży, stanie się niezależnym panem, a ona podaruje mu cały świat i parę nowych łyżew.

Gerda pocałowała go w policzki, które zaróżowiły się; całowała jego oczy, które zabłysły tak jak jej oczy; całowała jego ręce i nogi, które stały się mocne i zdrowe. Gdyby Królowa Śniegu nawet teraz wróciła, to i tak słowo wyzwajające Kaya wypisane było błyszczącymi kawałkami lodu.

A oni wzięli się za ręce i wywędrowali z wielkiego pałacu, rozmawiali o babce i o różach kwitnących wysoko na dachu; wszędzie, gdzie przechodzili, układały się wiatry do spoczynku i układało się słońce; kiedy przyszedli do krzaka z czerwonymi jagodami, stał tam ren i czekał; obok niego stał drugi młody ren, o pełnych wymionach, dał dzieciom ciepłego mleka i ucałował je. Potem reny zawiozły Gerdę i Kaya najpierw do Finki, gdzie ogrzali się w ciepłej izbie i otrzymali wskazówki na drogę powrotną, potem do Laponki, która uszyła im nowe ubrania i przygotowała swoje sanki do drogi.

Oba reny skakały obok sań i dotrzymywały im towarzystwa aż do granic kraju; kielkowała tam pierwsza zieleń. Wtedy pożegnali się z renami i z Laponką.

– Bądźcie zdrowi! – powiedzieli wszyscy. Pierwsze małe ptaszki zaczęły ćwierkać, drzewa miały zielone pączki i z lasu wyjechała na wspaniałym koniu, którego Gerda знаła (był to jeden z koni zaprzęgniętych do złotej karety), dziewczynka w jaskrawoczerwonej czapeczce na głowie i z pistoletami za pasem; była to mała rozbójniczka, której znudziło się w domu i chciała pojechać na północ, a w razie gdyby jej się tam nie spodobało, wybrałaby się w innym kierunku. Poznała od razu Gerdę i Gerda ją również poznała; ucieszyły się bardzo.

– Ładny z ciebie nicpoń, że się tak po świecie włóczysz – powiedziała do Kaya – chciałabym wiedzieć, czy zasługujesz na to, żeby z twojego powodu pędzić na koniec świata!

Ale Gerda pogłaskała ją po twarzy i spytała o księcia i księżniczkę.

– Pojechali do obcych krajów! – powiedziała rozbójniczka.

– A wrona? – spytała mała Gerda.

– Wrona umarła! – odpowiedziała dziewczynka. – Oswojona małżonka została wdową, nosi opaskę z czarnej krepy na nodze i skarży się żałośnie! Ale opowiedz lepiej, jak tobie się powiodło i jak go odnalazłaś!

Wtedy Gerda i Kay opowiedzieli wszystko.

– Ta-ra-ra, ta-ra-ra! – zawołała mała rozbójniczka, schwyciła oboje za ręce i obiecała, że

jeżeli kiedyś będzie przejeżdżała przez ich miasto, przyjedzie do nich w odwiedzin; potem pojechała w daleki świat, a Kay i Gerda poszli trzymając się za ręce, a gdy tak szli, zrobiła się cudna wiosna; wszystko kwitło i zieleniało; dzwony były w kościołach i dzieci poznały wysokie wieże i wielkie miasto; było to miasto, w którym mieszkali; poszli przez ulice aż do drzwi babki, weszli na schody i znaleźli się w pokoju, gdzie wszystko stało na tym samym miejscu co dawniej, a zegar mówił: tik, tak! i wskazówki poruszały się, ale, przechodząc przez drzwi, spostrzegli, że byli już dorosłymi ludźmi. Róże w rynnie na dachu kwitły i zaglądały w otwarte okna – stały tam małe, dziecinne krzeselka;

Kay i Gerda usiedli na nich i wzięli się za ręce; zapomnieli jak o złym śnie o zimnej, pustej wspaniałości u Królowej Śniegu. Babka siedziała w jasnym blasku słońca i czytała z Biblii: „A jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie osiągniecie Królestwa Bożego!”

A Kay i Gerda spojrzeli sobie w oczy i nagle zrozumieli starą pieśń:

*Róża przekwita i minie,
Pójdź, pokłońmy się Dziecinie.*

Siedzieli więc oboje, dorośli, a jednak dzieci, dzieci w sercach, i było lato, gorące błogosławione lato.

CZERWONE TRZEWICZKI

Była raz mała dziewczynka – delikatna i ładna – tylko że w lecie musiała chodzić boso, bo była biedna, a w zimie nosiła wielkie drewniaki, od których drobne jej nóżki robiły się czerwone, strasznie czerwone.

We wsi mieszkała stara szewcowa; siedziała i szyła najlepiej, jak tylko potrafiła, ze starych, czerwonych skrawków sukiennych parę małych trzewiczków. Trzewiczki te były może niezgrabne, ale szczerym sercem ofiarowane, a miała je dostać mała dziewczynka. Mała dziewczynka nazywała się Karen.

Właśnie tego dnia, kiedy odbywał się pogrzeb jej matki, dostała czerwone trzewiczki i włożyła je po raz pierwszy; nie było to może stosowne do żałoby, ale dziewczynka nie miała przecież innych, więc szła za ubogą trumną w czerwonych trzewiczkach na bosych nogach.

Drogą przejeżdżała właśnie wielka, stara karetka, a w niej siedziała stara pani; zobaczyła małą dziewczynkę, ulitowała się nad nią i powiedziała do pastora:

– Proszę dać mi tę małą dziewczynkę, będę dla niej dobra.

Karen myślała, że to z powodu jej czerwonych trzewiczków, ale stara pani powiedziała, że trzewiczki są szkaradne, i kazała je spalić. A dziewczynkę ubrała ładnie i czysto. Musiała się uczyć czytać i szyć. Teraz ludzie mówili, że Karen jest ładna i miła, a zwierciadło mówiło: „Jesteś o wiele więcej niż miła, jesteś śliczna!”

Pewnego razu przyjechała do tej okolicy królowa ze swoją córeczką, która była księżniczką. Ludzie zbiegli się gromadnie przed pałac, a między nimi była też Karen; mała księżniczka stała w oknie w białej sukni i pozwalała się oglądać; nie miała trenu ani złotej korony, tylko śliczne czerwone safianowe trzewiczki; rozumie się, że daleko ładniejsze od tych, które stara szewcowa uszyła niegdyś dla małej Karen. Na całym świecie nie mogło być nic piękniejszego od tych czerwonych trzewiczków.

Karen była już taka duża, że miała być konfirmowana; sprawiono jej nową suknię i miano jej sprawić nowe trzewiczki. Bogaty szewc z miasta wziął miarę z jej małej nóżki; było to u niego w izbie, gdzie stały wielkie, oszklone szafy pełne najśliczniejszych trzewiczków i błyszczących butów. Wyglądało to bardzo ładnie, ale stara pani miała słaby wzrok i nie mogła się tym zachwycić. Wśród trzewiczków była jedna para czerwonych, zupełnie takich samych jak te,

które miała księżniczka, ach, jakież one były piękne! Szewc powiedział, że zrobił je dla hrabiowskiego dziecka, tylko że miara nie była dobra.

– To musi chyba być lakier? – zapytała stara pani. – Tak błyszczą!

– Naprawdę błyszczą! – powiedziała Karen. Trzewiczki były w sam raz na jej nóżki i zostały kupione. Ale stara pani nie wiedziała wcale, że trzewiczki są czerwone, bo nigdy by nie pozwoliła, aby Karen poszła do konfirmacji w czerwonych trzewiczkach.

A Karen poszła.

Wszyscy ludzie patrzyli na jej nogi, a kiedy szła po posadzce kościelnej na chór, zdawało jej się, że nawet stare malowidła na pomnikach, portrety pastorów i pastorowych w sztywnych kryzach i długich czarnych sukniach wpatrywały się w jej czerwone trzewiczki. Myślała też tylko o nich, kiedy kaznodzieja położył jej rękę na głowie i mówił o chrzcie świętym, o przymierzu z Bogiem i o tym, że ona, Karen, jest już teraz dorosłą chrześcijanką, a organy grały tak uroczyście, piękne głosy dziecięce śpiewały na chórze i stary kantor śpiewał; ale Karen myślała tylko o czerwonych trzewiczkach.

Po południu stara pani dowiedziała się od ludzi, że Karen miała czerwone trzewiczki, i powiedziała, że to było szkaradne, że to nie wypada i że Karen odtąd ma nosić do kościoła tylko czarne trzewiczki, chociażby nawet stare.

Następnej niedzieli była komunia i Karen, wybierając się, popatrzyła na czarne trzewiczki, potem na czerwone, potem na czarne – i wreszcie włożyła czerwone.

Była piękna, słoneczna pogoda; Karen ze starą panią szły wśród zboża; było trochę kurzu.

Przed kościołem stał stary żołnierz, oparty na kuli, miał dziwnie długą brodę, bardziej rudą niż siwą; była to właściwie ruda broda; zgiął się do samej ziemi w ukłonie i zapytał starą panią, czy pozwoli obtrzeć sobie trzewiki z kurzu. Karen wysunęła także swoje nóżki.

– Ach, jakież piękne balowe pantofelki! – zawołał stary żołnierz. – Siedzicie mocno przy tańcu! – i uderzył dłonią o podeszwy.

Stara pani dała mu grosz i weszła z Karen do kościoła.

Wszyscy ludzie w kościele patrzyli na czerwone trzewiczki, które Karen miała na nogach, i wszystkie obrazy ze ścian patrzyły na nie, a kiedy Karen uklękła przed ołtarzem i przytknęła złoty kielich do ust, myślała tylko o czerwonych trzewiczkach, i to tak, że widziała je pływające w kielichu; zapomniała o śpiewaniu psalmu, zapomniała o zmówieniu Ojcze nasz.

Ludzie wyszli z kościoła i stara pani wsiadła do powozu. Karen podniosła nogę, aby wsiąść

również, ale stary żołnierz, który stał tuż obok, powiedział: „Ach, jakie piękne balowe pantofelki!” I Karen nie mogła się oprzeć, musiała zrobić kilka tanecznych kroków, a kiedy zaczęła, nogi tańczyły już same dalej, było to tak, jak gdyby trzewiczki pozyskały władzę nad nogami; tańczyła wokoło kościoła i nie mogła ustać. Stangret podbiegł za nią, schwycił ją, podniósł i wsadził do powozu, ale nogi tańczyły dalej same, tak że straszliwie pokopała dobrą, starą panią. Nareszcie zdjęto jej trzewiczki i nogi uspokoiły się.

W domu schowano trzewiczki do szafy, ale Karen nie mogła się powstrzymać i wciąż na nie patrzyła.

Tymczasem stara pani zachorowała. Lekarze powiedzieli, że nie będzie żyła, że trzeba ją bardzo starannie pielęgnować i czuwać nad nią. Któż inny miałby się temu poświęcić jak nie Karen? Ale w mieście był wielki bal i Karen dostała zaproszenie; spoglądała na starą panią, która i tak nie mogła żyć, spoglądała na czerwone trzewiczki i myślała sobie, że to przecież nie jest grzechem; potem włożyła czerwone trzewiczki, przecież to było jej wolno, potem poszła na bal, a potem zaczęła tańczyć.

Ale kiedy chciała skrócić na prawo, trzewiczki tańczyły na lewo; a kiedy chciała wbiec do sali na górę, trzewiczki zbiegły w dół na ulicę i dalej aż za bramę miasta. Tańczyła w nich, musiała tańczyć, aż w głąb dalekiego, ciemnego lasu.

Nagle zaświeciło coś wśród drzew, myślała, że to księżyc, bo wyglądało jak oblicze ludzkie, ale to był stary żołnierz z rudą brodą; siedział tam, kiwał głową i mówił: „Ach, jakie piękne balowe pantofelki!”

Przeleżała się i chciała zrzucić czerwone trzewiczki, ale siedziały mocno; zerwała pończoszki, ale trzewiczki przyrosły jej do nóg i musiała w nich tańczyć, i tańczyła po polach i łąkach, w deszcz i w pogodę, w noc i w dzień, a w nocy było najstraszniej.

Tańcząc, wbiegła na cmentarz, ale umarli nie tańczyli wraz z nią, mieli co innego do roboty; chciała usiąść na grobie nędzarza, gdzie rosła leśna paproć, ale nie było już dla niej spokoju ani wytchnienia. A kiedy w tanecznych skokach mijała otwarte drzwi kościelne, ujrzała w nich anioła w długich, białych szatach, skrzydła sięgały mu od ramion do ziemi, oblicze jego było surowe i poważne, a w ręku trzymał miecz, bardzo szeroki i błyszczący.

– Masz tańczyć! – rzekł – tańczyć w twoich czerwonych trzewiczkach, aż staniesz się blada i zimna, aż zeschnie się skóra na tobie jak na szkielecie. Masz tańczyć od drzwi do drzwi i pukać tam, gdzie mieszkają pyszne i próżne dzieci, aby cię usłyszały i bały się ciebie! Tańczyć masz,

tańczyć!...

– Łaski – zawołała Karen.

Ale nie słyszała już tego, co odpowiedział anioł, gdyż trzewiczki uniosły ją poza bramę, dalej na pole, poprzez drogę, poprzez ścieżkę, dalej dalej...

Pewnego ranka tańczyła przed drzwiami, które dobrze знаła. Z głębi domu dochodził śpiew psalmów, wynoszono właśnie trumnę ubraną kwiatami; wiedziała już, że to stara pani umarła. Karen poczuła, że wszyscy ją opuścili i anioł Boży ją przeklął.

Musiała tańczyć i tańczyła, tańczyła wśród ciemnej nocy. Trzewiczki niosły ją po cierniach i krzewach, które raniły jej nogi; tańczyła przez polanę aż pod mały, samotny domek, wiedziała, że tam mieszkał kat. Zastukała do okna i zawołała:

– Wyjdź do mnie! Wyjdź do mnie! Nie mogę wejść do ciebie, bo muszę tańczyć!

A kat powiedział:

– Nie wiesz chyba, kim jestem. Ucinam głowy złym ludziom i teraz czuję, że topór mój drży.

– Nie ucinaj mi głowy – prosiła Karen – bo nie mogłabym odpokutować mojej winy, ale odetnij mi nogi razem z czerwonymi trzewiczkami!

I wyznała swój grzech, a kat uciął jej nogi z czerwonymi trzewiczkami; ale trzewiczki wraz z nóżkami tańczyły dalej przez pole w głąb lasu.

Kat wystrugał jej kule i drewniane nogi, nauczył ją psalmu, śpiewanego przez grzeszników, a ona ucałowała rękę, która kierowała toporem, i poszła przez polanę w powrotną drogę.

– Teraz odpokutowałam już za czerwone trzewiczki! – powiedziała do siebie. – Teraz pójdę do kościoła, aby mnie wszyscy zobaczyli! – I poszła prędko w stronę kościoła, ale kiedy już tam dochodziła, ujrzała czerwone trzewiczki, które tańczyły przed nią, zlekła się i zawróciła.

Cały tydzień smuciła się i płakała gorzkimi łzami, ale kiedy przyszła niedziela, powiedziała sobie:

– Teraz już dość się nacierpiałam i namartwiłam! Teraz już jestem tyle warta co ci, którzy siedzą w kościele, zadowoleni z siebie! – I poszła odważnie naprzód, ale zaledwie doszła do drzwi, ujrzała czerwone trzewiczki tańczące przed nią, przeraziła się, zawróciła i korzyła się całym sercem, żałując swej winy.

Zgłosiła się na plebanie i prosiła, żeby ją przyjęli do służby, będzie pracowała, będzie wszystko robiła, czego od niej zażądają, nie chce żadnej zapłaty, tylko dachu nad głową i aby być wśród ludzi. Pastorowa zlitowała się nad nią i przyjęła ją do służby.

Była pracowita i rozumna. Siedziała cichutko i słuchała jak pastor wieczorem czytał na głos Biblię. Dzieci lubiły się z nią bawić, ale gdy mówiły o strojach i świecidełkach i marzyły, aby być tak piękne jak królowa, potrząsała głową.

Następnej niedzieli poszli wszyscy do kościoła i chcieli ją zabrać ze sobą, ale ona spojrzała ze smutkiem i ze łzami w oczach na swoje kule, więc poszli wysłuchać słowa Bożego, a ona udała się sama do swojej komórki, która była tak mała, że mieściło się w niej tylko łóżko i krzesło; tam usiadła z książką do nabożeństwa; a kiedy czytała nabożne modlitwy, wiatr przyniósł jej dźwięki organów z kościoła i wzniosła oczy zalane łzami, i modliła się:

– O Boże, zlituj się nade mną!

Wtedy słońce zaświeciło jasno i stanął przed nią anioł Boży w białych szatach, ten sam, którego widziała owej nocy przed drzwiami kościoła, nie miał jednak już w ręku ostrego miecza, tylko prześliczną, zieloną gałąź, obwieszoną różami, i dotknął nią pułapu, który unosił się coraz wyżej, a tam gdzie go dotknął zabłysła złota gwiazda. Dotknął ścian, które rozstały się tak, że mogła ujrzeć dźwięczące organy i stare portrety pastorów i pastorowych; parafianie siedzieli w paradnych krzesłach i śpiewali psalmy – gdyż sam kościół przyszedł tutaj do komórki ubogiej dziewczyny albo też ona znalazła się w kościele. Siedziała w ławce razem z domownikami pastora, a kiedy skończyli śpiewać psalm i zobaczyli ją, skinęli z uśmiechem głowami i powiedzieli:

– To dobrze, żeś przyszła, Karen!

– To była łaska! – powiedziała.

I organy zadźwięczały, a głosy dziecięce w chórze zabrzmiały miękko i rzewnie. Jasne promienie słoneczne padały ciepłym blaskiem przez okno prosto na ławkę kościelną, w której Karen siedziała; serce jej było tak przepełnione słońcem, pokojem i radością, że pękło; dusza jej pofrunęła na promieniach słonecznych do Boga, a tam nikt już nie pytał o czerwone trzewiczki.

PASTERKA I KOMINIARCZYK

Czy widziałeś kiedy taką prawdziwą starą szafę, szerniałą ze starości, ozdobioną rzeźbami i girlandami? Taka szafa stała właśnie w pewnym salonie, odziedziczona po prababce, i była od góry do dołu rzeźbiona w róże i tulipany, miała mnóstwo najosobliwszych ozdób, a pośród nich małe jelenie głowy wysuwały rogi. Pośrodku stał wyrzeźbiony w całej postaci człowiek, wyglądał zabawnie i szczerzył zęby, bo trudno to było nazwać śmiechem, miał koźle nogi, małe różki na czole i długą brodę.

Dzieci w pokoju nazywały go zawsze koźlonogimnadipodgłównodowodzącymgenerałasierżantem, gdyż była to nazwa trudna do wymówienia i nie każdy mógł się poszczycić podobnym tytułem, a wyrzeźbić takiego pana było zadaniem nie byle jakim. No, więc sobie stał. Z miejsca swego spoglądał bezustannie na stolik pod lustrem, gdyż tam sterczała mała, uroczą pastereczka z porcelany; miała pozłacane trzewiczki, sukienkę zgrabnie podpiętą czerwoną różą, do tego złoty kapelusik i kij pasterski – była prześliczna! Tuż obok niej stał mały kominiarz, czarny jak węgiel, zresztą także z porcelany; był tak samo czysty i wytworny jak każdy inny, wyobrażał tylko kominiarza; ten, kto go zrobił z porcelany, mógł równie dobrze zrobić z niego księcia, było mu wszystko jedno.

Stał zgrabnie ze swą drabiną, a twarz miał białą i różową jak dziewczyna, co było może niewłaściwe, gdyż twarz kominiarza powinna być choć trochę czarna. Stał całkiem blisko pasterki; stali oboje tam, gdzie ich postawiono, a że ich tak właśnie postawiono obok siebie – zaręczyli się, bo byli dla siebie bardzo odpowiedni – oboje młodzi, oboje z jednakowej porcelany i on tak samo kruchy jak ona.

Tuż obok nich stała jeszcze jedna figurka, trzy razy większa od nich; był to stary Chińczyk, również z porcelany, który potrafił kiwać głową i utrzymywał, że jest dziadkiem małej pasterki, tylko że nie potrafił tego dowieść. Mówił, że ma nad nią władzę, i dlatego kiwał w stronę koźlonogiegonadipodgłównodowodzącego generłasierżanta, który starał się o małą pasterkę.

– Będziesz miała męża – mówił stary Chińczyk. – Męża, który, jak mi się zdaje, zrobiony jest cały z mahoni, on może z ciebie uczynić koźlonogąnadipodgłównodowodzącągenerłasierżantową, do niego należy cała szafa pełna srebra, nie licząc tego, co jest ukryte w tajnych schowkach.

– Ja nie chcę iść do ciemnej szafy — mówiła mała pastereczka. – Słyszałam, że on tam ma jedenaście porcelanowych żon.

– Więc ty możesz być dwunastą – zdecydował Chińczyk. – Tej nocy, gdy stara szafa zatrzeszczy, odbędzie się wasze wesele. Jest to tak pewne jak to, że jestem Chińczykiem. – To mówiąc kiwnął głową i zasnął.

Ale mała pasterka płakała i patrzyła na swego ukochanego, porcelanowego kominiarza.

– Chcę cię o coś prosić – powiedziała. – Chodź ze mną w szeroki świat, bo tutaj nie możemy zostać.

– Zrobię wszystko, czego chcesz – odrzekł kominiarczyk. – Idziemy natychmiast. Zdaje mi się, że mój zawód zapewni nam utrzymanie.

– Gdyby się nam tylko udało szczęśliwie zejść ze stołu – mówiła. – Nie będę szczęśliwa, dopóki nie wyruszę w szeroki świat.

Kominiarczyk pocieszył ją i pokazywał, jak ma stawiać małe nóżki na wyrzeźbionych rogach i połączonych girlandach, zdobiących nogę stołu; wziął także swą drabinę do pomocy i tak udało im się zejść na podłogę; ale kiedy zwrócili wzrok na starą szafę, ujrzeli tam wielkie poruszenie, wszystkie wyrzeźbione jelenie wysunęły głowy, podnosiły rogi i wykręcały szyje; koźlonoginadipodgłównodowodzącygeneralsierżant skakał do góry i wołał do starego Chińczyka:

– Uciekają! Uciekają!

Przestraszyli się więc trochę i schowali czym prędzej w szufladzie komody. Leżały w niej trzy albo cztery niepełne talie kart i mały teatrzyk marionetek, sklecony, jak się dało; grano w nim właśnie komedię i wszystkie damy karo czy kier, trefl czy pik siedziały w pierwszym rzędzie i wachlowały się tulipanami, a za nimi stali waleci i pokazywali głowy od góry i od dołu tak, jak to bywa w kartach. Treścią sztuki były losy dwojga kochanków, którzy nie mogli się połączyć, i mała pasterka płakała, gdyż były to jakby jej własne dzieje.

– Nie wytrzymam – mówiła. – Muszę się wydostać z szuflady. – Ale gdy stanęli na podłodze i spojrzeli na stół, zobaczyli, że Chińczyk obudził się i trząśniętym całym ciałem, od dołu był przecież nieruchomą kłodą.

– Stary Chińczyk nas goni! – krzyknęła pastereczka i padła na swe porcelanowe kolana, tak była zmartwiona.

– Mam myśl – rzekł kominiarz. – Ukryjmy się w wielkiej wazie, która stoi w rogu. Tam

położymy się na różach i lawendzie i sypniemy mu soli w oczy, jak się tylko zbliży.

– To nie pomoże – powiedziała. – Zresztą wiem, że wielka waza i Chińczyk byli niegdyś zaręczeni, a taki stosunek pozostawia zawsze pewną zażyłość; nie, nie możemy zrobić nic innego, tylko wyruszyć w daleki świat.

– Czy masz rzeczywiście odwagę iść ze mną w daleki świat? – zapytał kominiarz. – Czy pomyślałaś o tym, jaki ten świat jest wielki, i że nigdy nie będziemy mogli tutaj powrócić?

– Pomyślałam – odrzekła.

Więc kominiarz spojrział na nią wymownie, a potem powiedział:

– Droga moja prowadzi przez komin, czy naprawdę masz odwagę przeleźć ze mną przez piec, przez żelazne ruszty i rury? Dopiero wtedy przedostaniemy się do komina, a tam ja potrafię się ruszać. Wejdziemy tak wysoko, że nie będą mogli się do nas dostać, a w górze znajdziemy otwór, który nas wyprowadzi w daleki świat.

I poprowadził ją do drzwiczek od pieca.

– Jak tam czarno! – powiedziała, ale poszła za nim zarówno przez ruszt, jak i przez rury, gdzie było ciemno jak w grobie.

– Teraz jesteśmy w kominie! – powiedział. – Patrz! Patrz! Tam w górze świeci najpiękniejsza gwiazda.

Była to prawdziwa gwiazda na niebie, która świeciła nad nimi, jak gdyby chciała im wskazać drogę. Wspinali się więc w górę; była to okropna droga, pod górę, wciąż pod górę, ale on podtrzymywał ją i pomagał jej, i pokazywał jej najwygodniejsze miejsca, gdzie mogła stawiać swe małe porcelanowe nóżki, i tak dostali się wreszcie na brzeg komina, gdzie usiedli, bo byli bardzo zmęczeni, a co prawda mieli od czego być zmęczeni.

Niebo ze wszystkimi gwiazdami było wysoko nad nimi; a wszystkie dachy miasta nisko pod nimi; mogli spoglądać daleko wokoło siebie, daleko przed siebie, w szeroki świat.

Biedna pasterka nie wyobrażała sobie tego nigdy; oparła główkę o swego kominiarza i płakała tak, że złoto na jej pasku poodpadało.

– To za wiele dla mnie – mówiła. – Tego nie zniosę. Świat jest za duży. Chciałabym wrócić na stolik pod lustro. Nie będę nigdy szczęśliwa, dopóki tam nie wrócę. Poszłam za tobą w szeroki świat, więc możesz mnie teraz poprowadzić z powrotem, jeśli choć trochę mnie kochasz.

Kominiarz na próżno próbował pomówić z nią rozsądnie, mówił o starym Chińczyku i o koźlonogim nadipodgłównodowodzącym generał-sierzancie, szlochała tak strasznie i całowała

swego kominiarczyka tak, że musiał jej ulec, choć to było czystym szaleństwem.

Więc poszli z największymi trudnościami z powrotem przez komin i leźli przez wszystkie rury i ruszty, gdzie wcale nie było rozkosznie, aż znaleźli się w ciemnym piecu; teraz nasłuchiwali przy drzwiach, co się dzieje w pokoju. Ale w pokoju było zupełnie cicho; wyjrzeli... ach, stary Chińczyk leżał na podłodze, spadł ze stołu, kiedy chciał ich gonić, i stłukł się na trzy części; całe plecy rozpadły się, a głowa potoczyła się w kąt; koźlonoginadipodgłównodowodzącygenerałsierżant stał tam, gdzie zwykle, i rozmyślał.

– To straszne! – powiedziała pastereczka. – Dziadunio rozbił się na kawałki z naszej winy. Nie przeżyję tego! – I załamała swe małeńkie rączki.

– Można go będzie skleić – powiedział kominiarz. – Można go będzie doskonale skleić. Nie rozpaczaj tak, jak mu skleja grzbiet i przylepią głowę, będzie znów jak nowy i jeszcze powie nam niejedno przykre słowo.

– Naprawdę? – zapytała.

A potem wdrapali się z powrotem na stół, gdzie poprzednio stali.

– Dalekośmy zaszli – rzekł kominiarz. – Mogliśmy sobie zaoszczędzić tych wszystkich trudów.

– Gdyby tylko skleili już starego dziadunia. Czy to będzie bardzo drogo kosztowało?

Dziadunia sklejonu; rodzina kazała mu zlepić plecy, w szyję wprawiono nowy kołek, był jak nowy, tylko głową kiwać już nie potrafił.

– Pan bardzo zhardział od czasu, kiedy się pan rozbił na kawałki – powiedział koźlonoginadipodgłównodowodzącygenerałsierżant – nie wydaje mi się, żeby to był powód do dumy. Czy mam ją dostać, czy też jej nie dostanę?

Komisarz i pasterka spoglądali tak wzruszająco na starego Chińczyka; tak się bali, że kiwnie głową, ale nie mógł kiwnąć, a było mu nieprzyjemnie opowiadać obcemu, że ma wstawiony kołek w kark, wobec tego porcelanowi kochankowie połączyli się i błogosławili kołek dziadunia, i kochali się dotąd, dopóki się sami nie potłukli na kawałki.

DZIEWCZYNIKA Z ZAPALKAMI

Było bardzo zimno; śnieg padał i zaczynało się już ściemniać; był to ostatni dzień w roku, wigilia Nowego Roku. W tym chłdzie i w tej ciemności szła ulicami biedna dziewczynka z gołą głową i boso; miała wprawdzie trzewiki na nogach, kiedy wychodziła z domu, ale co to znaczyło! To były bardzo duże trzewiki, nawet jej matka ostatnio je wkładała, tak były duże; i mała zgubiła je zaraz, przebiegając ulicę, którą pędem przejeżdżały dwa wozy; jednego trzewika nie mogła wcale znaleźć, a z drugim uciekł jakiś urwis; wołał, że przyda mu się on na kołyskę, kiedy już będzie miał dziecko.

Szła więc dziewczynka boso, stąpała nóżkami, które poczerwieniały i zsiniały z zimna; w starym fartuchu niosła zawiniętą całą masę zapalek, a jedną wiązkę trzymała w ręku; przez cały dzień nie sprzedała ani jednej; nikt jej nie dał przez cały dzień ani grosika; szła taka głodna i zmarznięta i wyglądała taka smutna, biedactwo! Płatki śniegu padały na jej długie, jasne włosy, które tak pięknie zwijały się na karku, ale ona nie myślała wcale o tej ozdobie. Ze wszystkich okien naokoło połyskiwały światła i tak miło pachniało na ulicy pieczonymi gęśmi.

„To przecież jest wigilia Nowego Roku” – pomyślała dziewczynka. W kącie między dwoma domami, z których jeden bardziej wysuwał się na ulicę, usiadła i skurczyła się cała; małe nożyny podciągnęła pod siebie, ale marzła coraz bardziej, a w domu nie mogła się pokazać, bo przecież nie sprzedała ani jednej zapalki, nie dostała ani grosza, ojciec by ją zbił, a w domu było tak samo zimno, mieszkali na strychu pod samym dachem i wiatr hulał po izbie, chociaż największe szpary w dachu zatkane były słomą i gałganami. Jej małe ręce prawie całkiem zamarzły z tego chłodu. Ach, jedna mała zapalka, jakby to dobrze było! Żeby tak wyciągnąć jedną zapalkę z wiązki, potrzebę ją o ścianę i tylko ogrzać paluszki! Wyciągnęła jedną i „trzask”, jak się iskrzy, jak płonie! mały ciepły, jasny płomycek, niby mała świeczka otoczona dłońmi! Dziwna to była świeca; dziewczynce zdawało się, że siedzi przed wielkim, żelaznym piecem o mosiężnych drzwiczkach i ozdobach; ogień palił się w nim tak łaskawie i grzał tak przyjemnie; ach, jakież to było rozkoszne! Dziewczynka wyciągnęła przed siebie nóżki, aby je rozgrzać także – a tu płomień zagasł. Piec znikł – a ona siedziała z niedopałkiem siarnika w dłoni.

Zapaliła nowy, palił się i błyszczał, a gdzie cień padł na ścianę, stała się ona przejrzysta jak

muślin; ujrzała wnętrze pokoju, gdzie stał stół przykryty białym, błyszczącym obrusem, nakryty piękną porcelaną, a na półmisku smacznie dymiła pieczona gęś, nadziana śliwkami i jabłkami; a co jeszcze było wspanialsze, gęś zeskoczyła z półmiska i zaczęła się czołgać po podłodze, z widelcem i nożem wbitym w grzbiet; doczołgała się aż do biednej dziewczynki; aż tu nagle zgasła zapalka i widać tylko było nieprzejrzystą, zimną ścianę.

Zapaliła nowy siarnik. I oto siedziała pod najpiękniejszą choinką; była ona jeszcze wspanialsza i piękniej ubrana niż choinka u bogatego kupca, którą ujrzała przez szklane drzwi podczas ostatnich świąt; tysiące świeczek płonęło na zielonych gałęziach, a kolorowe obrazki, takie, jakie zdobiły okna sklepów, spozierały ku niej. Dziewczynka wyciągnęła do nich obie rączki – ale tu zgasła zapalka; mnóstwo światełek choinki wznosiło się ku górze, coraz wyżej i wyżej, i oto ujrzała ona, że były to tylko jasne gwiazdy, a jedna z nich spadła właśnie i zakreśliła na niebie długi, błyszczący ślad.

– Ktoś umarł! – powiedziała malutka, gdyż jej stara babka, która jedyna okazywała jej serce, ale już umarła, powiadała zawsze, że kiedy gwiazdka spada, dusza ludzka wstępuje do Boga.

Dziewczynka znowu potarła siarnikiem o ścianę, zajaśniało dookoła i w tym blasku stanęła przed nią stara babunia, taka łagodna, taka jasna, taka błyszcząca i taka kochana.

– Babuniu! – zawołała dziewczynka – o, zabierz mnie z sobą! Kiedy zapalka zgaśnie, znikniesz jak ciepły piec, jak gaska pieczona i jak wspaniała olbrzymia choinka! – i szybko potarła wszystkie zapalki, jakie zostały w wiązce, chciała jak najdłużej zatrzymać przy sobie babkę, i zapalki zabłysły takim blaskiem, iż stało się jaśniej niż za dnia. Babunia nigdy przedtem nie była taka piękna i taka wielka; chwyciła dziewczynkę w ramiona i poleciały w blasku i w radości wysoko, wysoko; a tam już nie było ani chłodu, ani głodu, ani strachu – bowiem były u Boga.

A kiedy nastał zimny ranek, w kąci przy domu siedziała dziewczynka z czerwonymi policzkami, z uśmiechem na twarzy – nieżywa: zamarła na śmierć ostatniego wieczora minionego roku. Ranek noworoczny oświetlił małego trupka trzymającego w ręku zapalki, z których garść była spalona. Chciała się ogrzać, powiadano; ale nikt nie miał pojęcia o tym, jak piękne rzeczy widziała dziewczynka i w jakim blasku wstąpiła ona razem ze starą babką w szczęśliwość Nowego Roku.

CIEŃ

W ciepłych krajach słońce pali co się zowie. Ludzie opalają się tam na mahoniowo; a w najgorętszych stronach opalają się nawet na Murzynów. Otóż do tych ciepłych krajów przywędrował pewien uczonec z północnych stron; zdawało mu się, że może tam tak spacerować, jak u siebie w domu. Ale bardzo prędko odzwyczaił się od tego. Musiał tak jak wszyscy rozsądni ludzie siedzieć w mieszkaniu, a okiennice i drzwi trzymać zamknięte przez cały dzień; wyglądało to tak, jak gdyby cały dom spał albo jak gdyby nikogo w domu nie było. Ciasna ulica z wysokimi domami, przy której uczonec mieszkał, miała takie położenie, że promienie słoneczne świeciły nad nią od rana do nocy; było istotnie nie do wytrzymania. Uczonec z zimnych krajów był to człowiek młody i mądry; zdawało mu się, że siedzi w rozpalonym piecu, i to męczyło go; chudł coraz bardziej i w końcu nawet cień jego skurczył się i stał się o wiele mniejszy niż w ojczyźnie, słońce pastwiło się nad nim. Obydwaj odżywali dopiero wieczorem po zachodzie słońca.

Był to bardzo zabawny widok; skoro tylko zapalano światło w pokoju, cień wydłużał się na ścianie, sięgał wyżej, czasem aż na sufit; musiał się tak wyciągać, aby znowu nabrać sił. Uczonec wychodził na balkon, żeby tam rozprostować swe członki, a kiedy gwiazdy ukazywały się na pięknym, czystym niebie, zdawało mu się, że zaczyna na nowo żyć. Na wszystkich balkonach wychodzących na ulicę (a w ciepłych krajach przed każdym oknem znajduje się balkon) ukazywali się ludzie, gdyż świeże powietrze potrzebne jest każdemu, nawet gdy się jest przyzwyczajonym do opalania się na mahoń. Wówczas ożywiało się wszystko w górze i na dole. Szewcy czy krawcy, wszyscy wychodzili na ulicę, wystawiano stoły i krzesła, zapalano światła, tysiące świec; jedni rozmawiali, inni śpiewali, ludzie przechadzali się, wozy turkotały, osły pędziły, dzińdzielińdzińdzieliń – dzwoniły dzwonki uwiązane u ich szyi; chowano zmarłych przy dźwiękach psalmów, ulicznicy rzucali skaczące żabki; dzwony kościelne dzwoniły – tak, naprawdę było bardzo gwarno na ulicy. Tylko w jednym domu, który stał naprzeciwko domu uczonego, było zupełnie cicho; a jednak ktoś tam mieszkał, gdyż na balkonie rosły kwiaty; kwitły one tak pięknie w żarze słonecznym, a przecież nie mogłyby kwitnąć, gdyby ich nie

podlewano, więc ktoś musiał je podlewać, to znaczy, że ktoś musiał tam mieszkać.

Wieczorem otwierały się nawet jakieś drzwi, ale poza nimi było ciemno, przynajmniej we frontowym pokoju, z głębi mieszkania zaś dochodziły dźwięki muzyki. Obcemu uczonemu wydawała się ta muzyka nieporównanie piękna, ale mógł sobie również zupełnie dobrze tylko tak wmawiać, gdyż właściwie w tych gorących krajach wszystko wydawało mu się cudowne, gdy tylko słońce nie paliło. Gospodarz uczonego mówił, że nie wie, kto wynajął dom naprzeciwko, nie widać w nim przecież nikogo, a co do muzyki, to jemu wydaje się ona niesłychanie nudna.

– Brzmi to tak, jak gdyby ktoś tam siedział i ćwiczył jeden kawałek, z którym nie może sobie dać rady, wciąż ten sam kawałek. „A jednak go zagram!” – mówił do siebie, ale nic z tego nie wychodzi, mimo że gra i gra.

Pewnej nocy cudzoziemiec obudził się: spał przy otwartych drzwiach balkonu, wiatr uniósł firankę, która je zasłaniała, i wówczas ujrzał, że z sąsiedniego balkonu pada cudowny blask, wszystkie kwiaty świeciły jak płomienie w najpiękniejszych barwach, a pośród kwiatów stała wysmukła, urocza dziewczica; zdawało się, że i ona świeci; olśniło go to, otwierał szeroko oczy przetarte dopiero co ze snu; jednym susem wyskoczył z łóżka, cichutko wsunął się za firankę, ale dziewczica już znikła, blask przepadł, kwiaty nie świeciły, kwitły tylko tak pięknie jak zwykle; drzwi były odemknięte i z oddali płynęła muzyka tak urocza i rzewna, że można było przy jej dźwiękach snuć najsłodsze myśli. Był to niby sen czarodziejski. Kto tam mieszkał? Gdzie było właściwe wejście. Cały parter zajmowały sklepy, sklep przy sklepie, a tamtędy ludzie nie mogli przecież przechodzić.

Pewnego wieczoru cudzoziemiec siedział na swoim balkonie, w pokoju tuż za nim paliło się światło, było więc zupełnie naturalne, że jego cień padał na ścianę przeciwległego domu i siedział tam naprzeciw niego wśród kwiatów na balkonie, a gdy uczony się poruszył, jego cień poruszał się także, jak to zwykle bywa.

– Zdaje mi się, że mój cień jest jedyną żywą istotą, którą się tam widzi – powiedział uczony. – Proszę patrzeć, jak mu dobrze wśród kwiatów, drzwi są ledwo przymknięte, gdyby mój cień był mądry, wszedłby do pokoju, rozejrzał się, a potem wrócił i opowiedział mi wszystko, co widział. Tak, przynajmniej przydałbyś się na coś – dorzucił żartem. – Bądź tak łaskaw i wejdź. No cóż, wejdiesz? – I kiwnął głową cieniowi, a cień odpowiedział mu tym samym gestem. – Więc idź, ale nie zapomnij wrócić. – I uczony podniósł się, a jego cień na przeciwległym balkonie podniósł

się również; uczony odwrócił się i jego cień odwrócił się również; gdyby ktoś bacznie zwrócił na to uwagę, zobaczyłby wyraźnie, jak cień wszedł wprost przez współprzymknięte drzwi balkonowe przeciwległego domu w tej samej chwili, kiedy uczony wrócił do pokoju i zaciągnął za sobą długą firankę.

Następnego ranka wyszedł uczony, aby napić się kawy i przeczytać gazety.

– Co to jest! – zawołał, skoro stanął w blasku słońca. – Przecież ja nie mam cienia! Więc naprawdę poszedł wczoraj wieczorem i nie wrócił; a to przykra historia!

Gniewało go to, ale nie tylko dlatego, że cień sobie poszedł, lecz dlatego, że znał opowiadanie o człowieku bez cienia, znali je zresztą wszyscy jego rodacy w zimnych krajach, więc gdyby teraz wrócił i opowiedział swoją własną historię, powiedzieliby, że naśladuje innych, a na to nie chciał się narażać. Wolał wcale o tym nie mówić i to było daleko rozsądniejsze.

Wieczorem wyszedł znów na swój balkon, światło umieścił poza sobą, gdyż wiedział, że cień lubi, by jego pan był mu parawanem, ale nie udało mu się przywabić go; kurczył się, wyciągał – nic nie pomagało – cienia nie było; chrząkał: hm, hm. Ale i to nie skutkowało.

Było mu nieprzyjemnie, ale w gorących krajach rośnie wszystko tak szybko, że po upływie tygodnia uczony zauważył z wielką radością, że nowy cień wyrasta mu spod nóg, skoro tylko wychodzi na światło słoneczne; widać korzenie zostały. Po trzech tygodniach miał już zupełnie przyzwoity cień, który gdy uczony wracał do swoich północnych stron, w podróży coraz bardziej rósł, aż w końcu stał się tak długi i duży, że połowa wystarczyłaby w zupełności.

Tak więc powrócił uczony do siebie, pisał książki o tym co na świecie jest prawdziwe, o tym, co dobre i piękne, a dni płynęły, minął rok, minęło wiele lat.

I oto uczony siedzi pewnego wieczoru w swym pokoju; wtem ktoś puka cicho do drzwi.

– Proszę! – powiedział uczony, ale nikt nie wchodzi; otwiera drzwi i widzi przed sobą tak niezwykle chudego człowieka, że aż oczom nie dowierza. Zresztą człowiek ten był bardzo starannie ubrany i wyglądał na wytwornego mężczyznę.

– Z kim mam zaszczyt? – zapytał uczony.

– Pomyślałem sobie, od razu, że pan mnie nie pozna. Nabrałem tyle ciała, przyodziałem się tak dostatnio. Nie wyobrażał pan sobie zapewne nigdy, że zobaczy mnie w takim dostatku? Cóż, nie poznaje pan swego dawnego cienia? Tak, myślał pan, że już nigdy nie wrócę. Doskonale mi się powodziło od owego czasu, kiedy odszedłem od pana. Wzbogaciłem się pod każdym względem i teraz, jeśli zechcę wykupić się od służby, to mnie na to stać. – I zaczął pobrzękiwać

pękiem kosztownych breloków, które wisiały mu przy zegarku, rękę wsadził w gruby łańcuch złoty, który nosił na szyi, na wszystkich zaś palcach błyszcząły mu brylantowe pierścionki – wszystko było prawdziwe.

– Nie mogę tego pojąć! – zawołał uczony. – Co to wszystko ma znaczyć?

– Tak, to nie jest zwykła rzecz – rzekł cień. – Ale i pan nie należy do zwykłych ludzi, a ja, jak pan dobrze wie, od dzieciństwa deptałem panu po piętach. Skoro tylko pan uznał, że dojrzałem dostatecznie, aby pójść sam w świat, poszedłem własnymi drogami; znajduję się teraz w najświetniejszych warunkach, ale ogarnęła mnie jakaś tęsknota, aby pana jeszcze raz zobaczyć przed pańską śmiercią. Bo przecież pan umrze. Przy tym chciałem jeszcze raz zobaczyć te strony, człowiek jest zawsze przywiązany do ojczyzny. Wiem, że panu towarzyszy inny cień, czy mam wobec niego albo wobec pana jakieś zobowiązania? Proszę mi to tylko otwarcie powiedzieć.

– Czyżbyś to ty był naprawdę? – zadziwił się uczony. To istotnie nadzwyczajne. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że własny cień może wrócić w postaci człowieka.

– Proszę mi powiedzieć, ile mam panu zapłacić – mówił cień – gdyż nie lubię mieć jakichkolwiek długów.

– Co też ty mówisz? – zawołał uczony. – O jakim tu długi może być mowa? Jesteś zupełnie wolny. Cieszę się niewymownie z twego powodzenia. Siadaj, stary przyjacielu, i opowiedz mi coś niecoś o tym, jak ci się wiodło i coś widział w domu naprzeciwko, tam w tych gorących krajach.

– Owszem, chętnie panu opowiem – rzekł cień i usiadł. – Ale w zamian za to musi mi pan przyrzec, że nigdy nikomu w tym mieście nie powie, iż byłem pańskim cieniem. Mam zamiar zaręczyć się; mógłbym sobie pozwolić na utrzymanie nie tylko jednej rodziny.

– Nie obawiaj się! – rzekł uczony. – Nie powiem nikomu, kim właściwie jesteś, oto moja ręka. Słowo uczciwego człowieka.

– Słowo uczciwego cienia! – powtórzył cień, gdyż inaczej nie mógł powiedzieć.

Ta przemiana z cienia w człowieka była istotnie nadzwyczajna; ubrany był czarno, i to w najcieńsze czarne sukno, miał lakierki i kapelusz, który dawał się składać tak, że zostawało tylko rondo i denko, nie mówiąc już o tym, o czym wiemy, to jest o brelokach, o złotym łańcuchu i pierścionkach brylantowych; istotnie – cień był niesłychanie wykwintnie ubrany, co właśnie przyczyniło się do tego, że wyglądał na prawdziwego człowieka.

– A więc opowiadam – rzekł cień i postawił nogi w lakierkach z całej siły na rękawie nowego cienia, który niby pudel leżał u stóp uczonego. Uczynił tak może z wyniosłości, a może dlatego, aby nowy cień przywarł szczelnie; leżący cień zachowywał się bardzo cicho i spokojnie, pewnie dlatego, aby dobrze słyszeć, chciał także wiedzieć, jak to można wyzwolić i stać się panem samego siebie.

– Wie pan, kto mieszkał w tym domu naprzeciwko? – rzekł cień. – To było najpiękniejsze ze wszystkiego, to była Poezja. Mieszkałem tam trzy tygodnie i ten pobyt miał na mnie taki wpływ, jak gdybym żył trzy tysiące lat i przeczytał wszystko, co zostało napisane wierszem. Wiem, co mówię. Wszystko widziałem i wszystko wiem.

– Poezja! – zawołał uczony. – Tak, tak, ona mieszka często niby pustelnica w wielkich miastach. Poezja! Tak, widziałem ją przez jedną krótką chwilę, ale sen zamykał mi wtedy oczy. Stała na balkonie i świeciła niby zorza północna; opowiadaj, opowiadaj. Byłeś na balkonie, wszedłeś przez drzwi, a dalej...

– Znalazłem się w przedpokoju – rzekł cień. – Pan spoglądał zawsze na przedpokój. Ale tam nie było światła, panował półmrok; za to wszystkie drzwi w długim szeregu pokojów i salonów stały otwarte, a jasność była w nich tak oślepiająca, że zabiłaby mnie z pewnością, gdybym poszedł wprost do dziewicy, ale byłem rozważny; przeczekałem trochę, gdyż tak należy zawsze czynić.

– A cóż potem widziałeś? – zapytał uczony.

– Widziałem wszystko i opowiem to panu; ale – nie jest to bynajmniej dumą z mojej strony – jako człowiek niezależny, posiadający wykształcenie, poważne stanowisko i będący w świetnym położeniu materialnym, życzyłbym sobie, aby pan raczył tytułować mnie panem.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł uczony. – To ze starego przyzwyczajenia, którego trudno się wyzbyć. Ma pan zupełną słuszość, zastosuję się do tego. A teraz proszę mi opowiedzieć wszystko, co pan widział.

– Owszem – zgodził się cień. – Gdyż widziałem wszystko i wiem wszystko.

– Jakżeż tam wyglądało w głębi mieszkania? – zapytał uczony. – Nie było tam tak jak w zielonym lesie! Czy tak jak w uroczystym kościele? Czy sale przypominały gwiaździste niebo widziane z wierzchołka wysokiej góry?

– Wszystko tam było – opowiadał cień. – Wprawdzie nie wszedłem w głąb, zostałem w pierwszym pokoju w ciemności, ale było to doskonale miejsce do obserwacji, widziałem

wszystko i wiem wszystko. Byłem na dworze Poezji w przedpokoju.

– Ale co pan widział? Czy przez wielkie sale szedł pochód wszystkich bogów starożytności? Czy walczyli tam dawni bohaterowie? Czy igrały tam wdzięczne dzieciątka i opowiadały swoje sny?

– Mówię panu przecież, że byłem tam, więc może się pan domyślić, że widziałem wszystko, co było do zobaczenia. Gdyby pan tam był, nie zostałby pan z pewnością człowiekiem, ale ja stałem się nim. A zarazem poznałem własną moją naturę, wszystko, co we mnie jest przyrodzonego, pokrewieństwo, jakie mnie łączy z poezją. Wówczas, kiedy byłem na służbie u pana, nie myślałem o tym, a jednak zawsze, pan wie, kiedy słońce wschodziło lub zachodziło, wydłużałem się tak bardzo; w świetle księżyca stawałem się nawet bardziej widzialny od pana. Nie rozumiałem wówczas mojej natury, dopiero tam, w tym przedpokoju, poznałem siebie. Stałem się człowiekiem. Wyszedłem stamtąd dojrzały, ale pana już nie było w tych gorących krajach. Wstydzilem się pokazać jako człowiek takim, jakim byłem; potrzeba mi było obuwia, ubrania, całego tego pokostu, właściwego ludziom.

Poszukałem więc swojej drogi – tak, panie, mogę się do tego przyznać, przecież pan tego nie umieści w żadnej książce – ukryłem się pod spódnicą kucharki; ta kobieta nie przypuszczała wcale, kogo otacza swoją opieką. Dopiero późnym wieczorem wyszedłem, biegłem w świetle księżyca, wyciągałem się jak najdłużej wzdłuż muru, co mnie zawsze tak łaskocze rozkosznie po plecach; biegałem tam i z powrotem, zaglądałem przez najwyższe i najniższe okna do salonów i poddaszy, zaglądałem tam, gdzie nikt inny zajrzeć nie może, i widziałem to, czego nikt inny nie widzi i widzieć nie może. W gruncie rzeczy świat jest zły i nie zostałbym człowiekiem, gdyby nie było przyjęte, że człowiek ma jakieś znaczenie. Widziałem najnieprawdopodobniejsze rzeczy u mężczyzn i u kobiet, u rodziców i u tych milutkich, czarujących dzieci. Widziałem – ciągnął cień – czego żaden człowiek nie powinien wiedzieć, a co każdy tak chętnie chciałby wiedzieć, to, co się złego dzieje u sąsiada. Gdybym wydawał gazetę, byłaby rozchwytywana, ale ja pisałem wprost do każdej osoby i w każdym mieście, gdzie przebywałem, powstawał zamęt z mego powodu. Bali się mnie, a jednocześnie lubili mnie. Profesor zrobił ze mnie profesora, krawiec uszył mi nowe ubranie, jestem teraz zaopatrzony; menniczy wybił dla mnie monety, a kobiety mówiły, że jestem piękny. I takim to sposobem stałem się tym, kim jestem dzisiaj. A teraz żegnam. Oto mój bilet wizytowy, mieszkam po słonecznej stronie, a w deszcz można mnie zawsze zastać w domu – i cień poszedł sobie.

– To dziwna historia – powiedział uczony.

Przeszły dni i lata, aż pewnego razu cień zjawił się na nowo.

– Co słychać? – zapytał.

– Ach! – odrzekł uczony. – Piszę dzieło o tym, co jest prawdą, dobrem i pięknem, ale nikogo to nie obchodzi; jestem zrozpaczony, bo tak się tym przejmuję.

– Ja sobie z takich rzeczy nic nie robię! – zawołał cień. – Tyję, i basta, o to właśnie trzeba się starać. Tak, pan nie zna się na życiu. Rozchoruje się pan w końcu. Trzeba, żeby pan zaczął podróżować. Tego lata wybierałem się właśnie w podróż, może pan pojedzie ze mną? Chciałbym mieć towarzysza podróży, może pan pojedzie ze mną jako cień? Będzie to dla mnie wielką przyjemnością mieć pana przy sobie, płacę koszty podróży.

– Pan sobie za dużo pozwala – rzekł uczony.

– Zależy, z której strony się to bierze. Podróż panu zrobi znakomicie. Jeśli pan chce być moim cieniem, płacę za wszystko w podróży.

– To nie do pomyślenia – powiedział uczony.

– Trudno, świat jest już taki – rzekł cień. – I takim zostanie – i poszedł swoją drogą.

Uczonemu nie powodziło się wcale, troski i zmartwienia prześladowały go, a kiedy mówił o tym, co prawdziwe, dobre i piękne, znaczyło to dla większości ludzi tyle co róże dla krowy.

W końcu uczony zachorował.

– Pan wygląda jak cień – mówili ludzie do niego, a słowa te przejmowały uczonego dreszczem, gdyż przywodziły mu coś na myśl.

– Musi pan koniecznie jechać do wód – mówił cień, który go odwiedził. – Nie ma dla pana innego ratunku. Zabiorę pana w imię naszej dawnej zażyłości, zapłacę za podróż, a pan ją opisze, a przy tym rozerwie mnie pan trochę w drodze. Mnie także potrzebna jest kuracja, broda mi jakoś nie rośnie, to także choroba w swoim rodzaju, bo brodę trzeba mieć. Niech pan będzie rozsądny i przyjmie moją propozycję, a pojedziemy jako towarzysze.

I pojechali. Cień był teraz panem, a pan był cieniem. Podróżowali razem, razem jeździli konno i chodzili razem, obok siebie, przed i poza sobą, zależnie od położenia słońca. Cień potrafił zawsze zająć miejsce pańskie; uczony nie zwracał na to uwagi, miał bardzo dobre serce i był niezwykle grzeczny i uprzejmy, więc pewnego dnia powiedział do cienia:

– Ponieważ jesteśmy towarzyszami podróży, a zarazem wzrosliśmy ze sobą od dzieciństwa, powinniśmy więc wypić na „ty”. Będziemy odtąd w większej ze sobą zażyłości.

– Przemówił pan – rzekł cień, który teraz właściwie był panem – bardzo szczerze i w dobrej intencji; postaram się mówić równie szczerze i życzliwie. Pan, jako uczoney, wie dobrze, jaka natura ludzka jest dziwna. Bywają ludzie, którzy nie mogą dotknąć się szorstkiego papieru, bo im się robi słabo, inni nie mogą znieść skrobania żelazem po szkłe; ja mam podobne uczucie, gdy słyszę, że pan mówi do mnie „ty”, przygniata mnie to do ziemi jak wówczas, kiedy byłem w pierwszej służbie u pana. Widzi pan, że to nie jest duma, tylko wrażliwość, nie zniosę, aby mi pan mówił „ty”. Natomiast będę chętnie „tykał” pana, aby pańskie życzenie przynajmniej w połowie zostało spełnione.

I odtąd cień mówi „ty” do swego dawnego pana.

„To chyba za wiele. On mnie tyka, a ja jego nazywam panem” – pomyślał sobie uczoney, ale nie mógł już na to nic poradzić.

Przyjechali do miejscowości kąpielowej, gdzie było wiele gości, a wśród nich cudownie piękna królowna, której choroba polegała na tym, że zbyt wyraźnie wszystko widziała, a to było niepokojące.

Od razu poznała, że nowy przybysz różnił się od wszystkich innych ludzi.

– Mówią, że przyjechał po to, aby mu broda wyrosła, ale ja widzę właściwą przyczynę, on nie ma cienia.

Zaciekawiło ją to tak, że od razu na spacerze wdała się w rozmowę z obcym jegomościem. Jako królowna, nie miała potrzeby się kępować i powiedziała szczerze.

– Pańska choroba polega na tym, że pan nie ma cienia.

– Jej królewska wysokość jest na drodze do poprawy zdrowia – rzekł cień. – Wiem, że jej choroba polega na zbyt przenikliwym widzeniu wszystkiego, ale to już zanika, wasza królewska wysokość wraca do zdrowia. W danym wypadku mogę zapewnić, że towarzyszy mi stale niezwykle cień, który zawsze obok mnie chodzi. Inni ludzie mają pospolity cień, ale ja nie lubię nic pospolitego. Często daje się lokajom cieńsze sukno na liberie od tego, które się nosi samemu, i dlatego pozwoliłem memu cieniowi przebrać się za człowieka. Tak, pozwoliłem mu nawet mieć własny cień. To wszystko drogo kosztuje, ale lubię mieć coś osobliwego.

– Jak to? – rzekła królowna. – Czyżbym miała naprawdę się wyleczyć? Tak, kąpiele tutejsze są najskuteczniejsze ze wszystkich, jakie znam; wody mają jakieś cudowne własności. Ale nie wyjadę stąd jeszcze, teraz dopiero zaczyna tu być wesoło. Ten cudzoziemiec podoba mi się niezwykle. Oby mu tylko broda nie odrosła, bo wówczas natychmiast wyjedzie.

Wieczorem w wielkiej sali balowej tańczyła królowna z cieniem. Ona była lekka, ale on był jeszcze lżejszy, takiego tancerza nigdy jeszcze nie miała. Powiedziała mu, z jakiego kraju pochodzi, a on znał ten kraj; był tam, ale jej wtedy nie było w domu, zaglądał przez okna u góry i u dołu, niejedno widział i stąd mógł królownie mówić i napomykać o takich rzeczach, które ją zdumiały. Musiał być chyba najmądrzejszym człowiekiem na świecie; nabrała dla niego takiego szacunku za jego wiedzę, że kiedy znowu zaczęli tańczyć, zakochała się w nim, co cień doskonale zauważył, gdyż oczami swymi gotowa była przejrzeć go na wskroś. Tańczyli jeszcze raz i królowna omal nie powiedziała mu tego, ale powstrzymała się, gdyż była rozsądna, i pomyślała sobie o swoim państwie i o tych wszystkich ludziach, którymi miała rządzić. „Jest mądry – powiedziała sobie – to dobrze; tańczy doskonale, to także dobrze, ale nie wiem, czy ma gruntowne wykształcenie, a to jest bardzo ważne. Trzeba go przeegzaminować.” I zaczęła wypytywać go o najtrudniejsze rzeczy, na które sama nie umiałaby odpowiedzieć. Cień przybrał zagadkowy wyraz twarzy.

– Na to pan nie potrafi odpowiedzieć? – powiedziała królowna.

– Wiedziałem o tym jeszcze jako dziecko, nawet mój cień, który stoi tam w drzwiach, potrafi na to odpowiedzieć.

– Pański cień? – zawołała królowna. – To byłoby nadzwyczajne.

– Nie twierdzą na pewno, że będzie wiedział – rzekł cień. – Ale tak mi się zdaje, tyle lat mi towarzyszy i słyszał już niejedno. Ale wasza wysokość pozwoli sobie zwrócić uwagę, że cień mój jest bardzo dumny z tego, że uchodzi za człowieka, i aby go wprawić w dobry humor, a musi być w dobrym honorze, aby należycie odpowiadać, trzeba go traktować zupełnie tak jak człowieka.

– To mi się podoba – rzekła królowna.

I podeszła do uczonego, stojącego w drzwiach, i zaczęła z nim rozmawiać o słońcu i o księżycu, o ludziach, jakimi są wewnątrz i na zewnątrz, a uczoney odpowiadał rozumnie i trafnie.

„Cóż to musi być za człowiek, kiedy jego cień jest tak mądry! – pomyślała sobie – to byłoby prawdziwe błogosławieństwo dla mego ludu i dla mego państwa, gdybym go wybrała za małżonka. Uczynię tak.”

I porozumieli się bardzo szybko, królowna i cień, tylko że nikt nie miał o tym wiedzieć, dopóki ona nie powróci do swego państwa.

– Nikt, nawet mój cień – oświadczył cień, a miał po temu swoje racje.

I pojechali do państwa, którym królowna rządziła, teraz gdy była już u siebie w domu.

– Słuchaj przyjacielu – rzekł cień do uczonego – teraz stałem się tak szczęśliwym i potężnym jak tylko być można, chcę więc uczynić dla ciebie coś niezwykłego. Będiesz zawsze przy mnie mieszkał w pałacu, będziesz jeździł ze mną w królewskiej karecie, będziesz dostawał sto tysięcy talarów rocznej pensji; ale musisz za to pozwolić nazywać się przez wszystkich cieniem. Nie wolno ci nigdy powiedzieć, że byłeś kiedykolwiek człowiekiem, a raz na rok, kiedy będę siedział na balkonie w słońcu i będę się pokazywał poddanym, musisz leżeć u mych stóp tak, jak się przynależy cieniowi, gdyż powiem ci całą prawdę: żenię się z królowną, dziś wieczorem wesele.

– Nie, tego już za wiele – krzyknął uczony – tego nie zrobię za nic na świecie! Znaczyłoby to oszukać cały kraj wraz z królowną! Powiem wszystko – że to ja jestem człowiekiem, a ty cieniem przebrany za człowieka.

– Nikt ci nie uwierzy – rzekł cień – uspokój się albo zawołam straż.

– Idę wprost do królowny! – rzekł uczony.

– Ale ja pójdę wpierw – rzekł cień – a ty pójdiesz do więzienia. I tak się stało, gdyż straż usłuchała tego, który miał zostać mężem królowny.

– Drżysz? – zapytała królowna, gdy cień stanął przed nią. – Czy stało się coś? Nie wolno ci chorować, dziś nasze wesele.

– Przeżyłem najstraszniejszą rzecz, jaką można przeżyć – powiedział cień. – Wyobraź sobie, że biedny mózg mojego cienia nie wytrzymał. Wyobraź sobie, że mój cień zwariował, zdaje mu się, że on jest człowiekiem, a ja, pomyśl tylko, ja jestem jego cieniem!

– To okropne! – rzekła królowna. – Czy zamknięto go?

– Rozumie się. Obawiam się, że nigdy nie odzyska rozumu.

– Biedny cień! – zawołała królowna. – Jaki nieszczęśliwy! Byłoby to prawdziwym dobrodziejstwem pozbawić go tej odrobiny życia, która mu pozostała, i po namyśle wydaje mi się, że najlepiej będzie sprzątnąć go po cichu.

– To byłoby okrutne, gdyż był bardzo wiernym sługą – rzekł cień i wydał coś w rodzaju westchnienia.

– Jaki ty masz szlachetny charakter! – rzekła królowna.

Wieczorem całe miasto było iluminowane, armaty grzmiały: bum! – a żołnierze prezentowali broń. Wesele było co się zowie! Królowna i cień ukazali się na balkonie ludowi, aby usłyszeć jeszcze raz wiwaty.

Ale uczony tego wszystkiego nie słyszał, bo go sprzątnięto po cichu.

SZCZĘŚLIWA RODZINA

Zielony liść łopianu jest bezsprzecznie największym liściem, jaki znamy; gdy zasłonić nim brzuszek, jest tak duży jak mały fartuch; kiedy się go kładzie na głowę, służy w czasie deszczu za parasol – taki jest ogromny. Łopian nie rośnie nigdy sam, tam gdzie rośnie jeden, jest ich więcej; są wspaniałe, ale cała ta wspaniałość służy za pożywienie ślimakom. W dawnych czasach wytworni ludzie przyrządzali wielkie, białe ślimaki do jedzenia i spożywając je mówili: „Ach, jakie to smaczne!” Byli przekonani, że są one naprawdę smaczne, dlatego że żywią się liśćmi łopianu. Siano więc specjalnie łopiany, by hodować na nich ślimaki.

Był sobie stary dwór, w którym nie jadano już co prawda ślimaków, bo całkiem wymarły, ale łopiany nie wymarły; zarosły nawet wszystkie dróżki, wszystkie grządki, nie można ich było powstrzymać; był to prawdziwy łopianowy las; gdzieniegdzie stała jabłoń lub śliwa i gdyby nie one, nie przypuszczałby nikt, że to jest sad; dookoła nie było nic prócz łopianu, a w środku mieszkały dwa ostatnie, ogromne stare ślimaki.

Same nie wiedziały, ile miały lat, ale mogły sobie doskonale przypomnieć, że dawniej było ich więcej, że pochodziły z rodziny zagranicznej i że dla nich i dla im podobnych zasadzony był cały ten las. Nigdy jeszcze nie wyszły z domu, ale wiedziały, że istniało jeszcze na świecie coś, co się nazywało dworem, że tam we dworze ugotowano by je i że stałyby się czarne, że położono by je na srebrny półmisek, ale co dalej stać się miało, tego nie wiedziały. Nie wiedziały również, jak to jest, gdy się zostaje ugotowanym i położonym na srebrnym półmisku, ale wiedziały, że to musi być piękne, a zwłaszcza bardzo wytworne. Ani chrabąszcze, ani ropucha, ani glista, które o to pytały, nie mogły im tego objaśnić, bo żadnego z nich nie gotowano ani nie kładziono na srebrny półmisek.

Stare, białe ślimaki były najwytworniejsze na świecie, wiedziały o tym, las istniał dla nich i dwór był po to, aby je ugotowano i położono na srebrny półmisek.

Żyły więc sobie samotnie i szczęśliwie, a ponieważ nie miały same dzieci, wzięły sobie

pospolitego, małego ślimaka na wychowanie i dbały o niego jak o własne dziecko. Ale malec nie chciał wcale rosnać, bo to był tylko zwyczajny ślimak; starym, a szczególnie matce ślimaczycy, wydawało się, że trochę rośnie, i prosiła ojca, aby o ile tego nie widzi, dotknął skorupy ślimaka: ojciec uczynił to i uznał, że matka miała rację.

Pewnego dnia padał ulewny deszcz.

– Posłuchaj no, jak tam bębni na liściach łopianu: rum, rum, rum! – powiedział ojciec-ślimak.

– Przecieka tu – zauważyła matka – krople wody spływają po łodydze. Zobaczysz, będzie tu zupełnie mokro. Cieszę się tylko, że mamy nasze wygodne domki i że malec ma także swój dom. Naprawdę zrobiono dla nas więcej niż dla innych stworzeń, widać, że jesteśmy dobrze urodzone. Przychodzimy na świat z gotowym domkiem, a las łopianu zasiano specjalnie dla nas; chciałabym tylko wiedzieć, jak daleko się rozciąga i co jest poza nim.

– Poza nim nie ma już nic – powiedział ślimak-papa – nigdzie nie może być lepiej niż u nas, nie życzę sobie niczego więcej.

– Tak – powiedziała matka – ale chciałabym się dostać do dworu, aby mnie ugotowano i położono na srebrnym półmisku tak, jak uczyniono to ze wszystkimi naszymi przodkami; możesz mi wierzyć, że to jest coś zupełnie nadzwyczajnego!

– Dwór runął już może – powiedział ojciec-ślimak – albo może las łopianów rozrósł się tak, że ludzie nie mogą stamtąd wyjść. Nie ma do czego się śpieszyć. Ale ty gonisz zawsze tak strasznie i malec zaczyna iść w twoje ślady. Czyż nie wpelza w trzy dni na szczyt łodygi? W głowie mi się kręci, kiedy na to patrzę.

– Nie gniewaj się na niego – powiedziała ślimaczycyca. – Pełza rozważnie doczekamy się z niego pociechy, a my, starzy, nie mamy przecież nikogo poza nim, dla kogo warto byłoby żyć. Ale czy ty pomyślałeś już o tym, skąd weźmiemy dla niego żonę? Czy nie przypuszczasz, że tam daleko w łopianowym lesie powinny być jeszcze jakieś istoty do nas podobne?

– Myślę, że czarnych ślimaków jest tam na pewno dosyć – powiedział ojciec – czarnych ślimaków bez domków, ale one są takie pospolite, a wyobrażają sobie, że są Bóg wie czym. Jednak możemy zlecić tę sprawę mrówkom, które kręcą się wszędzie, jakby miały coś do roboty, i na pewno znajdą kogoś odpowiedniego dla naszego małego ślimaczka.

– Miałybyśmy najpiękniejszą kandydatkę – powiedziały mrówki – ale obawiamy się, że nic z tego nie będzie, bo ona jest królową.

– To nic nie szkodzi – odrzekł stary. – Czy ma dom?

– Ma pałac – powiedziały mrówki – najwspanialszy mrówczy pałac o siedmiuset korytarzach.

– Dziękuję – odparła ślimaczycza. – Nasz syn nie będzie mieszkał w mrowisku. Jeżeli nie wiecie o niczym lepszym, to zwróć się do komarów, które fruują w słońcu i deszczu i zbadały las łopianów od góry i od dołu.

– Mamy dla niego żonę – powiedziały komary – o sto ludzkich kroków stąd siedzi na agrestowym krzaku mała ślimacza panienka z domkiem, jest zupełnie samotna i właśnie w wieku odpowiednim do zamążpójścia. Tylko o sto ludzkich kroków stąd.

– Ona powinna przyjść do niego – powiedzieli starzy – on ma łopianowy las, a ona tylko jeden krzak.

Przyprowadzili więc ślimaczą panienkę. Osiem dni trwało, zanim przyszła, ale po tym właśnie można było poznać, że jest osobą dobrze urodzoną.

A potem wyprawili wesele. Sześć świętojańskich robaczków świeciło najjaśniej, jak tylko można; wszystko odbyło się bardzo spokojnie, bo stare ślimaki nie znosiły zabaw i pijatyki; ale ślimaczycza wygłosiła piękną mowę, ojciec wcale nie mógł przemówić, taki był wzruszony; a potem oddał synowi w spadku cały łopianowy las i powiedział, co zwykle mówił, że to jest najlepsze ze wszystkiego na świecie i że jeśli młodzi będą dobrze gospodarować, uczciwie żyć i rozmnażać się – to i oni, i ich dzieci dostaną się pewnego dnia do dworu, gdzie ich ugotują i położą na srebrnym półmisku.

Po wygłoszeniu tej mowy starzy wpełzli do swoich domków i nigdy już więcej z nich nie wyszli; zasnęli. Młoda ślimacza para panowała teraz w lesie i miała liczne potomstwo, ale nie ugotowano ich i nie dostali się na srebrny półmisek. Ślimaki doszły więc do wniosku, że dwór musiał się rozpaść, a wszyscy ludzie na świecie wymarli, a ponieważ nikt im się nie sprzeciwił, uznali to za prawdę; deszcz bębnił po liściach łopianu jak muzyka na ich cześć, słońce świeciło, aby zabarwić dla nich łopianowy las; czuli się bardzo szczęśliwi, podobnie jak cała szczęśliwa rodzina, bo rzeczywiście byli szczęśliwi.

OPOWIADANIE O MATCE

Pewnego razu matka siedziała przy kołysce swego dziecięcia i była – bardzo smutna, obawiała się, że dziecina umrze. Dziecko było takie blade, oczki miało zamknięte i oddychało tak słabo, to znowu ciężko wciągało powietrze, jak gdyby wzdychało; a matka spoglądała coraz niespokojniej na swoje maleństwo.

Aż tu ktoś puka do drzwi; przyszedł ubogi staruszek, okryty końską derką, aby się ogrzać, bo była surowa zima. Wszystko na dworze pokryte było lodem i śniegiem, a wiatr dał mocno i szczypał w policzki.

A ponieważ starzec drżał z chłodu, a dziecko zdrzemnęło się na chwilę, matka wyszła, aby wstawić do pieca garnuszek z piwem; chciała, by człowiek mógł się ogrzać; stary siedział w izbie kołysząc kołyskę, a matka usiadła na krześle tuż obok; spoglądała na chore dziecko, które tak ciężko oddychało i poruszało rączyną.

– Jak myślisz, czy ono umrze? – powiedziała kobieta. – Chyba Bóg nie zechce mi go zabrać?

A starzec, a była to śmierć sama, tak dziwnie pokiwał głową, co mogło równie dobrze oznaczać „tak” jak i „nie”. A matka opuściła głowę i łzy pociekły jej po policzkach; głowa jej ciążyła bardzo, trzy noce i trzy dni nie zmrużyła oka, więc zasnęła, ale tylko na chwileczkę, zaraz się przebudziła i wzdrygnęła z chłodu.

– Cóż to znaczy? – powiedziała i obejrzała się na wszystkie strony. Ale starca nie było i dziecka nie było w pokoju. Zabrał je z sobą! A w kącie stary zegar brzęczał i brzęczał, wielki, ołowiany ciężar osunął się aż na podłogę i zegar nagle stanął.

Biedna matka wybiegła z domu wołając swe dziecko. Na dworze, w śniegu, siedziała kobieta odziana w długie, czarne suknie i powiedziała:

– To śmierć była u ciebie w izbie, widziałam, jak spieszenie wychodziła z dzieckiem na rękę; ona jest szybsza od wiatru i nigdy nie przynosi z powrotem tego, co raz zabrała.

– Powiedz mi tylko, którądy poszła! – powiedziała matka – pokaż mi tylko drogę, a ja już ją znajdę!

– Znam ja drogę! – powiedziała kobieta w czarnych sukniach – ale nim ci ją wskażę, musisz mi zaśpiewać wszystkie te pieśni, które śpiewałaś swojemu dziecku. Bardzo je lubię, słuchałam

ich nieraz; jestem nocą, widziałam, jak płakałaś śpiewając.

– Zaśpiewam ci je wszystkie, wszystkie! – powiedziała matka – ale mnie nie zatrzymuj, dogonię ją i odnajdę moje dziecko!

Ale noc siedziała cicha i milcząca, a wtedy matka załamała dłonie, śpiewała i płakała, i wiele było tam pieśni, ale leż jeszcze więcej; wtedy noc powiedziała:

– Idź na prawo przez ten ciemny, sosnowy las, tamtędy, widziałam, poszła śmierć z twoim dzieckiem.

W głębi lasu drogi krzyżowały się i matka nie wiedziała w którą stronę ma iść. A stał tam krzak cierniowy, który nie miał na sobie ani listka, ani kwiatka, bo przecież to była zima i śnieg okrywał gałęzie.

– Czy nie przechodziła tędy śmierć z moim małym dzieckiem?

– Przechodziła – powiedział krzak cierniowy. – Ale ci nie powiem, w którą poszła stronę, zanim nie ogrzejesz mnie twoim sercem. Zmarzłem całkiem, zmieniam się w czysty lód!

Więc matka przycisnęła krzak cierniowy do swojej piersi mocno, a żeby mógł się dobrze ogrzać, a ciernie wpięły się w jej ciało i krew popłynęła wielkimi kroplami, i krzak cierniowy wypuścił świeże, zielone liście, i kwiaty pojawiły się na nim w ciemną zimową noc, tak było gorące zrozpaczone matczyne serce. I krzak cierniowy wskazał jej drogę, którą miała iść.

Wtedy przyszła nad wielkie jezioro, na którym nie widać było ani okrętu, ani żadnej łódki. Jezioro nie było tak zamrożone, aby mogło ją utrzymać, ani tak płytkie, aby można było przez nie przebrnąć, a musiała przedostać się na drugi brzeg, jeżeli chciała znaleźć swoje dziecko; położyła się więc i chciała wypić jezioro, a to przecież niemożliwe dla człowieka. Ale zrozpaczona matka myślała, że może jednak nastąpi cud.

– Nie, tak nic nie poradzisz – powiedziało jezioro – lepiej się jakoś pogódźmy! – Bardzo lubię zbierać perły, a twoje oczy są najczystszyimi perłami, jakie widziałem. Wypłacz je do mnie, to cię przewiozę na drugą stronę aż do wielkiej cieplarni, gdzie mieszka śmierć i hoduje kwiaty i drzewa, a każde z nich jest życiem ludzkim.

– O, czegóż ja nie oddam, byle tylko dostać się do mego dziecka! – powiedziała płacząca matka i zapłakała jeszcze bardziej, i oczy jej spłynęły na dno wody, i stały się dwiema kosztownymi perłami, a jezioro podjęło ją, tak jakby siedziała na huśtawce, i przeniosło ją z falą na drugi brzeg, gdzie stał na milę obszerny dom, dziwny, bo nie wiadomo było, czy to jest góra pełna lasów i grot, czy też wzniesiona budowla; ale biedna matka nie widziała tego, bo przecież

wyplakała swoje oczy.

– Gdzież ja znajdę śmierć, która zabrała mi moje dzieciątko? – zapytała.

– Jeszcze nie wróciła – powiedziała stara grabarka, która pilnowała wielkiej cieplarni śmierci.

– Jakes tu się dostała i kto ci pomagał w drodze?

– Pan Bóg mi pomagał! – powiedziała matka – jest On miłosierny, bądź więc i ty miłosierna! Gdzie mogę znaleźć moje dziecko?

– Nie znam twego dziecka – powiedziała kobieta – a ty jesteś niewidoma. Wiele kwiatów i drzew zwiędło dzisiejszej nocy. Śmierć przyjdzie wkrótce i przesadzi je! Wiesz przecie, że każdy człowiek ma drzewo swego życia albo kwiat w zależności od tego, jak mu się życie toczy. Wyglądają one jak inne rośliny, tylko że bije w nich serce. Dziecięce serduszko także bije. Przysłuchaj się, może poznasz twoje dziecko po tym! Ale co mi oddasz, jeżeli ci powiem, co masz dalej czynić?

– Już nic nie mam do oddania – powiedziała zrozpaczona matka – ale mogę pójść dla ciebie choćby na koniec świata.

– Nie mam tam nic do roboty – powiedziała kobieta – ale możesz mi dać twoje długie, czarne włosy, sama wiesz, jakie są piękne, a mnie się bardzo podobają! Oddam ci w zamian moje siwe, zawsze coś będziesz miała!

– Nie chcesz nic innego? – powiedziała matka – włosy oddam ci z radością. – I oddała jej swój piękny, czarny warkocz, i otrzymała w zamian siwe włosy staruszki.

A potem weszła do wielkiej cieplarni śmierci, gdzie kwiaty i drzewa bujnie rosły, jedno przez drugie. Stały tam piękne hiacynty pod szklanymi kloszami, a obok wielkie, mocne peonie; rosły tam wodne rośliny, niektóre świeże, inne na pół zwiędłe, ślimaki oblepiały je, a czarne raki przywierały do ich łodyg. Stały tam wspaniałe palmy, dęby i platany, rosła pietruszka i kwitnął tymianek; każde drzewo i każdy kwiat nosiły jakieś nazwisko, bo każde było ludzkim życiem, życiem ludzi żyjących jeszcze to w Chinach, to w Grenlandii, rozsypanych po całym świecie. Były tam wielkie drzewa w małych doniczkach, stały ściśnięte i rozsadzały prawie doniczki korzeniami, a w wielu miejscach stały małe, słabe kwiatki w tłustej ziemi, otoczone mchem, starannie pielęgnowane i podlewane, Zrozpaczona matka pochylała się nad każdą najmniejszą roślinką i przysłuchiwała się, jak w nich bije ludzkie serce; i pośród milionów poznała serce swego dziecka.

– Oto ono! – krzyknęła i wyciągnęła rękę do małego, liliowego krokusa, który całkiem chory,

pochylił się w jedną stronę.

– Nie ruszaj kwiatu! – powiedziała stara – tylko stań tutaj, a kiedy śmierć nadejdzie, a już nadchodzi, czuję to, nie pozwól jej wyrwać tego kwiatka i zagroź jej, że wyrwiesz wkoło inne kwiaty, wówczas śmierć się przestraszy: za każdy kwiat bowiem odpowiada przed Panem Bogiem i żadnego nie można zerwać, zanim On nie da rozkazu.

Nagle powiało chłodem w całym budynku i ślepa matka zrozumiała, że to śmierć, nadchodzi.

– Jakaś znalazła drogę aż tutaj – spytała śmierć – jak mogłaś przybyć tu prędzej ode mnie?

– Jestem matką – odpowiedziała tamta.

I śmierć wyciągnęła swą rękę ku małemu kwiatkowi, ale matka schwyciła ją za rękę i trzymała je mocno starając się nie dotknąć płatków krokusa. Wtedy śmierć dmuchnęła na jej dłoń i matka poczuła, że powiew ten jest chłodniejszy od najchłodniejszego wiatru, i rękę jej zwisały bezwładnie.

– Nie możesz sobie poradzić ze mną! – powiedziała śmierć.

– Ale Bóg sobie poradzi!

– Czynię tylko to, co On chce – powiedziała śmierć. – Jestem tylko stróżem jego ogrodu! Wszystkie jego kwiaty i drzewa zabieram stąd i przesadzam do wielkiego rajskiego ogrodu w nieznanym kraju. Ale jak one tam rosną i jak tam jest, nie mogę ci powiedzieć.

– Oddaj mi moje dziecko! – powiedziała matka i płakała, i prosiła; nagle schwyciła w dłonie dwa kwiaty rosnące w pobliżu i zawołała do śmierci: – Zerwę wszystkie twoje kwiaty, nic innego nie pozostaje już mojej rozpacz.

– Nie rusz ich! – powiedziała śmierć. – Powiadasz, że jesteś nieszczęśliwa, a teraz chcesz unieszczęśliwić tak samo inną matkę...

– Inną matkę? – powiedziała biedaczka i wypuściła natychmiast oba kwiaty z dłoni.

– Masz tu twoje oczy – powiedziała śmierć. – Wyłowiłam je z jeziora, tak błyszcząły na dnie, nie wiedziałam, że to są twoje oczy. Weź je z powrotem, są teraz jeszcze jaśniejsze niż przedtem. Spójrz tylko w głęboką studnię obok ciebie, ja wymienię nazwiska tych dwóch kwiatków, które chciałaś zniszczyć, i ujrzysz całą ich przyszłość, całe ich życie; patrz, co chciałaś zniszczyć i co miałaś zepsuć!

Matka spojrzała do studni i zobaczyła, że jeden z tych ludzi stał się błogosławieństwem dla świata; jak wiele szczęścia i radości otaczało go zewsząd! A potem ujrziała życie innego i była to troska i nędza, zbrodnia i nędza.

– I jeden los, i drugi zależą od woli boskiej – powiedziała śmierć. – Któryż kwiat jest kwiatem nieszczęsnym, a który szczęśliwym? – spytała matka.

– Tego ci nie powiem – rzekła śmierć – ale dowiesz się ode mnie, że jeden z tych kwiatów był kwiatem twego dziecka, widziałaś losy twego dziecka, twego rodzzonego dziecka przyszłość.

Wtedy matka wydała okrzyk przerażenia:

– Który z nich był moim dzieckiem? Powiedz mi to! Ocal niewinnego! Ocal moje dziecko od nędzy! Raczej je zabierz! Zabierz do krainy Bożej! Zapomnij łązy moje, zapomnij modlitwy, i wszystko, co powiedziałam i co uczyniłam!

– Nie rozumiem cię – powiedziała śmierć. – Czy chcesz odebrać dziecko, czy mam z nim odejść do nie znanej tobie krainy?

A wtedy matka załamała ręce, upadła na kolana i modliła się do Pana Boga:

– Nie słuchaj mnie, jeżeli modłę się przeciw Twojej woli! Ona jest najdoskonalsza. Nie słuchaj mnie! Nie słuchaj mnie! I głowa jej opadła na piersi. A śmierć z jej dziecięciem w ramionach odeszła do nieznanej krainy.

LEN

Len zakwitł. Miał śliczne, niebieskie kwiatki, miękkie jak skrzydła motyla, ale jeszcze o wiele od nich delikatniejsze. Słońce świeciło na len, zraszały go deszczowe chmury, a sprawiało mu to taką samą przyjemność jak dzieciom, kiedy po umyciu całuje je matka; stają się wtedy o wiele ładniejsze. Tak też było i z lnem.

– Ludzie mówią, że doskonale wyglądam – powiedział len – jestem bardzo wysoki, więc będzie ze mnie spora sztuka płótna. Jakże jestem szczęśliwy! Jestem na pewno najszczęśliwszym na świecie! Tak mi dobrze. I będzie coś ze mnie. Jakże cieszy mnie promień słońca i jak mi smakuje orzeźwiający deszcz. Jestem niezwykle szczęśliwy, najszczęśliwszy!

– Tak, tak – mówił kołek w płocie – wcale nie znasz życia, ale my za to znamy, mamy przecież sęki – i jęknął żałośnie:

Kręćcie się, wrzeciona,

Piosenka skończona.

– Nie, jeszcze nie koniec – powiedział len – jutro zaświeci słońce, będzie świeżo po deszczu, słyszę, jak rosnę, czuję, że kwitnę. Jestem najszczęśliwszy!

Ale pewnego dnia przyszli ludzie, chwycili len za główkę, wyciągnęli go razem z korzeniem; bolało bardzo; włożyli go do wody, zdawało mu się, że tonie, potem wrzucono go do ognia – jakże piekło; było strasznie!

– Nie może być zawsze dobrze – pocieszał się len – trzeba dużo przecierpieć, aby się czegoś dowiedzieć.

Tymczasem było coraz gorzej. Len przegięto, przełamano, wymoczono i darto zeń paździerzę; skądże miał wiedzieć, jak się to wszystko, co z nim robili, nazywało. Dostał się na kołowrotek; fr... fr... nie sposób było zebrać myśli.

„Byłem niezwykle szczęśliwy” – myślał podczas tej całej męki.

– Trzeba się cieszyć ze wszystkiego dobrego, czego się doświadczyło. Cieszyć się. Ach! – tak mówił, kiedy był już na tkackim warsztacie i potem przemienił się w prześliczny kawałek płótna. Cały len, każda najmniejsza cząsteczka zamieniła się w płótno.

– Mimo wszystko to jest wspaniale. Nigdy nie przypuszczałem, że tak będzie. Jakże mi

jednak dopisuje szczęście! Kołki w płocie wcale nie mają racji, kiedy śpiewają:

Kręćcie się, wrzeciona,

Piosenka skończona.

To jeszcze nie koniec. Teraz się dopiero na dobre zaczyna. Jakie to cudowne! Nacierpiałem się, ale przydałem się do czegoś – jestem najszczęśliwszy. Jestem taki silny i taki miękki, taki biały i długi. To zupełnie coś innego, niż być rośliną, nawet wtedy kiedy kwitnie. Nikt o nas wówczas nie dba i wodę ma się tylko wtedy, kiedy pada deszcz. Teraz mi usługują. Służąca przewraca mnie co rano, co wieczór mam kąpiel deszczową z konewki; tak, nawet żona pastora wygłosiła nade mną mowę i powiedziała, że jestem najlepszym kawałkiem płótna w całej parafii. Czyż można być szczęśliwszym?

Ale oto zabrano płótno do domu i dostało się pod nożyce. Jakże je krajano, jakże je kłuto igłami! Nie należało to do przyjemności. Z płótna zrobiono dwanaście sztuk bielizny, z rodzaju, o którym się niechętnie mówi, a który każdy człowiek musi mieć. Starczyło na cały tuzin.

– Patrzcie, dopiero teraz przydałem się, jestem pożyteczny. A więc to było moje przeznaczenie. Jakie to piękne. Teraz przynoszę światu pożytek a tylko to sprawia prawdziwą przyjemność. Rozpadłem się na dwanaście sztuk, ale razem stanowimy całość, tuzin. Jakie to niezwykle szczęście! Przeszły lata – i kawałki płótna nie mogły już dłużej wytrzymać.

– Kiedyś musi się to skończyć – mówił każdy kawałek – trzymałbym się chętnie dłużej, ale nie można żądać niemożliwości.

A więc potem podarto je w strzępy; myślały, że to już wszystko się skończyło, bo posiekano je i ugotowano, same nie wiedziały, co się z nimi stało, a potem przemieniły się w śliczny, wytworny, biały papier.

– Cóż to za niespodzianka, piękna niespodzianka! – zawołał papier. – Teraz jestem wytworniejszy i będą na mnie pisali. Ile rzeczy można na mnie napisać! Cóż to za nieopisane szczęście!

Zaczęli na nim pisać najpiękniejsze historie i wiersze, ludzie czytali wszystko, co było napisane, było to mądre i dobre, czyniło ludzi o wiele mądrzejszymi i lepszymi; wielkie dobrodziejstwo spłynęło na papier przez słowa, które na nim były napisane.

– Nawet nie marzyłem o tym, kiedy byłem małym, niebieskim, polnym kwiatkiem, jakże mogłem wtedy przypuszczać, że będę szerzył wśród ludzi radość i wiedzę. Sam nie mogę tego jeszcze pojąć. Ale to jest jednak prawda. Bóg wie, że sam nie zrobiłem nic prócz tego, że

dokładałem mych słabych sił, aby móc żyć; a jednak wiedzie mnie od jednej radości do drugiej i od zaszczytu do zaszczytu; za każdym razem, kiedy myślę, że pieśń się skończyła, przechodzę do czegoś wyższego i lepszego, teraz poślą mnie na pewno w podróż, objadę cały świat, aby wszyscy ludzie mogli mnie czytać. To byłoby najwłaściwsze. Najpewniej tak będzie. Dawniej miałem niebieskie kwiatki, a teraz zamiast każdego kwiatka mam tyle najpiękniejszych myśli. Jestem najszcześniejszy!

Ale papier nie powędrował w podróż, dostał się do drukarza. Wszystko, co było na nim napisane, zostało wydrukowane w książce, w setkach książek. I w ten sposób przyniósł pożytek i radość znacznie większej ilości, niż gdyby sam zapisany papier pojechał w podróż i zmarniał w połowie drogi.

„Tak, to jest najrozsądniejsze – myślał zapisany papier. – To mi wcale nie wpadło do głowy. Zostanę w domu i będę szanowany jak stary dziad. To na mnie wszystko napisali, każde słowo spłynęło z pióra prosto na mnie, ja zostanę, a książki powędrują w świat. Teraz naprawdę się przydadają, jestem najszcześniejszy.”

Zawinięto papier w paczkę i położono na półce.

– Po pełnej trudów pracy dobrze jest spocząć – powiedział papier. – To bardzo słusznie, że zbieram myśli i zastanawiam się nad tym, co we mnie tkwi. Dopiero teraz wiem naprawdę, co się we mnie znajduje. A znać samego siebie, czyż to nie prawdziwy postęp? Cóż teraz może się jeszcze stać? Naprzód, ciągle naprzód!

Pewnego dnia położono papier na kominku, miał zostać spalony, nie mógł przecież zostać sprzedany do zawijania masła i cukru u kupca. Wszystkie dzieci, jakie były w domu, zebrały się dookoła, chciały zobaczyć, jak papier będzie się palił, chciały zobaczyć czerwone iskierki w popiele, iskierki, które uciekają i gasną jedna po drugiej tak prędko, i wyglądają zupełnie jak dzieci wychodzące ze szkoły, a ostatnia iskra to nauczyciel; wydaje się często, że już go nie ma, a on wychodzi na końcu, po wszystkich.

Cały papier, cały zwój wrzucono w ogień. – Och! – jęknął. – Och! – zawołał i przemienił się w płomień, wzniósł się tak wysoko w górę, len nigdy nie mógł wznieść tak wysoko swych niebieskich kwiatków, i błyszczał tak, jak białe płótno nigdy nie potrafiło błyszczeć. Wszystkie napisane litery stały się w jednej chwili czerwone i wszystkie słowa i myśli uniosły się w płomieniach.

– To wznoszę się prosto do słońca – powiedziało coś w płomieniach i wydawało się, że

tysiące głosów powtórzyło to jednogłośnie, a płomienie uderzyły wysoko w górę, przez komin, wysoko... ale delikatniejsze od płomieni, niewidzialne dla ludzkich oczu unosiły się w powietrzu maleńkie istotki – było ich tyle co kwiatków na lnie. Były lżejsze od płomienia, który je zrodził, a kiedy ogień zgasł i z papieru został tylko czarny popiół, istotki te zatańczyły jeszcze raz dokoła niego, a tam gdzie go dotknęły, widać było ślady ich stóp; były to czerwone iskierki.

Dzieci wyszły ze szkoły, a nauczyciel szedł za nimi; jakież to był ładny widok; wszystkie dzieci mieszkające w tym domu stały i śpiewały przy wygasłym popiele:

Kręćcie się, wrzeczona,

Piosenka skończona.

Ale maleńkie, niewidzialne istotki tak mówiły:

– Pieśń nie kończy się nigdy! To jest właśnie najpiękniejsze! Wiem o tym i dlatego jestem najszczęśliwszy!

Dzieci nie słyszały tego, a gdyby nawet słyszały, nie zrozumiałyby na pewno. Ale dzieci niekoniecznie muszą wszystko rozumieć.

PEWNA WIADOMOŚĆ

Straszna historia – powiedziała kwoka właśnie w tej stronie wsi, gdzie ta historia się nie wydarzyła. – Straszna historia w kurniku! Będę się bała spać sama w nocy. Jak to dobrze, że jest nas tyle na grzędzie. – I potem opowiedziała coś takiego, od czego innym kurom pierze stanęło dęba, a kogutowi opadł grzebień. To jest pewna wiadomość!

Ale zacznijmy od początku, a początku należy szukać w zupełnie innym kącie wsi, w kurniku. Słońce zaszło i kury pofrunęły na swoje grzędy, jedna z nich – była to biało upierzona, krótkonoga kwoka, składała swoje codzienne, obowiązkowe jajko i była kwoką zasługującą pod każdym względem na szacunek; kiedy usiadła na grzędzie, zaczęła się skubać dziobem i przy tym wypadło jej jedno małe piórko.

– Wypadło mi piórko – powiedziała. – Im się więcej skubię, tym jestem ładniejsza. – Powiedziała to tylko dla żartu, bo wśród kur była znaną śmieszką, mimo że, jak to już było powiedziane, zasługiwała na szacunek; potem zasnęła.

Dookoła było ciemno; kury siedziały obok siebie, a siedząca najbliżej kwoki nie spała; słyszała i nie słyszała, tak jak to należy robić na tym świecie, kiedy się chce mieć święty spokój. Odezwała się jednak do sąsiadki:

– Czy słyszałaś, jakie tu padły słowa? Nie chcę nikogo wymieniać, ale jest tu jedna kwoka, która oskubuje się, aby pięknie wyglądać; gdybym była kogutem, czułabym dla niej pogardę.

A nad kurami siedziała matka-sowa z sową-ojcem i swoimi dziećmi; rodzina ta miała dobry słuch i słyszała każde słowo, które mówiła ich sąsiadka-kwoka; sowy przewracały oczami, a matka-sowa powiedziała potrząsnawszy skrzydłami:

– Nie, tylko posłuchajcie! Ale pewnie już słyszeliście, jakie tam padły słowa. Ja słyszałam to na własne uszy, a trzeba dobrze słuchać, jeśli się ma uszy. Jest tam jedna kura, która do tego stopnia zapomniała, co przystoi kwoce, że siedzi i wyskubuje sobie wszystkie pióra i tak się prezentuje kogutowi.

– *Prenez garde aux enfants*¹¹ – powiedział ojciec-sowa – to nie jest wiadomość dla dzieci.

– Opowiem to jednak sowie z przeciwka. To bardzo szanowana sowa i prowadzi się bez zarzutu – to mówiąc, matka odfrunęła.

– Uhu, uuhu! – huczały obie tuż obok gołębnika należącego do sąsiada; wszystkie gołębie nasłuchiwały. – Czy słyszałyście? Czy słyszałyście? Uuhu, uuhu! Jest tam jedna kwoka, która wyskubała sobie wszystkie pióra, aby się podobać kogutowi, zamarznie na śmierć, jeżeli już nie zamarzła. Uuhu!

– Gdzie, gdzie? – gruchały gołębie.

– W kurniku sąsiada! Jakbym na to sama patrzyła. Wprost nie wypada opowiadać takich rzeczy, ale to jest pewna wiadomość.

– Wierzmy, wierzmy każdziutkiemu słowu! – zagruchały gołębie i rozgłosiły w kurniku na swoim podwórku: – Jedna kura (niektórzy mówią, że było ich dwie) wyskubała sobie wszystkie pióra, aby nie wyglądać jak inne i aby zwrócić na siebie uwagę koguta. To niebezpieczna gra. Można się przeziębnić i umrzeć z febry, toteż obie umarły.

– Obudźcie się, obudźcie się! – zapiał kogut i pofrunął na grzędę, miał jeszcze zaspane oczy, ale mimo to zapiał: – Trzy kury umarły z nieszczęśliwej miłości do koguta: wyskubały sobie wszystkie pióra. To obrzydliwa historia, nie chcę zatrzymać jej dla siebie, opowiedzcie ją dalej!

– Puśćcie ją w świat! – zagwizdały nietoperze, kury zagdakały, a koguty zapiały.

– Puśćcie ją w świat, puśćcie ją w świat! – Tak więc historia ta przechodziła z kurnika do kurnika, aż wróciła w końcu znowu do tego samego miejsca, skąd właściwie wyszła.

– Pięć kur – mówiono – wyskubało sobie pióra, aby pokazać, która z nich najbardziej schudła z nieszczęśliwej miłości do koguta, potem rzuciły się na siebie, pobiły do krwi i padły martwe ku pośmiewisku i hańbie całej swej rodziny i ku wielkiej stracie właściciela.

A kura, której wypadło jedno pióro, nie poznała naturalnie swojej własnej historii, a ponieważ była kwoką godną szacunku, powiedziała:

– Pogardzam takimi kurami. Ale jest więcej kur podobnych! Czegoś takiego nie można przemilczeć. Postaram się, aby ta historia dostała się do gazet, potem dowie się o niej cały kraj; kury te zasłużyły sobie na to i ich rodzina także.

I wiadomość ta dostała się do gazet, i została wydrukowana; to jest pewna wiadomość, jedno piórko może się łatwo zmienić w pięć kur.

¹¹ Uważaj, dzieci słyszą, (fr.)

KRASNOLUDEK U KUPCA

Był sobie pewnego razu prawdziwy student, mieszkał na strychu i nie miał nic; był sobie pewnego razu prawdziwy kupiec, mieszkał na parterze i był właścicielem całego domu. Krasnoludek zamieszkał u kupca, gdyż co rok na Gwiazdkę dostawał od niego talerz kaszy z dużym kawałem masła w środku: kupiec mógł sobie na to pozwolić. Krasnoludek pozostał w jego sklepie i możecie sobie z tego wyciągnąć naukę.

Pewnego wieczoru student wszedł drzwiami od tyłu, aby kupić sobie świecę i ser, nie miał kogo posłać, więc poszedł sam; otrzymał, czego zażądał, zapłacił, kupiec kiwnął mu głową na dobranoc, żona kupca również mu się ukloniła, a była to kobieta, która potrafiła nie tylko kłaniać się, ale posiadała jeszcze dar wymowy. Student uklonił im się także; zatrzymał się na środku sklepu, z oczami wlepionymi w papier, którym był owinięty ser. Była to kartka wyrwana ze starej książki, która nie zasługiwała na podarcie; stara książka była pełna poezji.

– Mam tu więcej tego! – powiedział kupiec. – Dałem za to jednej staruszce parę ziarenek kawy; niech mi pan da osiem szylingów, to dostanie pan resztę tego papieru.

– Dziękuję! – odrzekł student. – Proszę mi to dać zamiast sera, mogę jeść sam chleb bez sera: byłoby grzechem, gdyby taka książka została podarta w strzępy. Jest pan wspaniałym człowiekiem, praktycznym człowiekiem, ale na poezji zna się pan nie więcej niż ta beczka!

Było to niegrzeczne, zwłaszcza w stosunku do beczki, ale kupiec roześmiał się i student się śmiał, bo to były tylko żarty. Ale krasnoludek rozgniewał się, że student odważył się tak mówić do kupca, który był właścicielem domu i sprzedawał najlepsze masło.

Gdy zapadła noc, zamknięto sklep i wszyscy prócz studenta poszli spać. Krasnoludek poszedł do mieszkania i zabrał pani kupcowej jej dar wymowy (w czasie snu nie był jej przecież potrzebny); na jakikolwiek przedmiot w pokoju go położył, przedmiot ten zaczynał mówić i potrafił wypowiadać swoje myśli i uczucia zupełnie jak pani kupcowa; nie można jednak było obdarzyć tą wymową wszystkich przedmiotów naraz i miało to dobrą stronę, bo inaczej wszyscy mówiliby jeden przez drugiego.

Krasnoludek użyczył wymowy beczce kupca, w której leżały stare gazety.

– Czy to prawda – zapytał – że pani nie wie, co to jest poezja?

– Wiem doskonale! – powiedziała beczka. – To jest coś, co znajduje się w dole gazety i co ludzie wycinają nożyczkami, wydaje mi się, że mam tego więcej w sobie niż student, a jednak w porównaniu z kupcem jestem tylko mizerną beczką.

Potem krasnoludek obdarzył mową młynek do kawy – jakże zaczął mleć! Obdarzył też darem wymowy beczkę z masłem i kasę; wszyscy byli tego samego zdania co beczka, a należy szanować sądy większości.

Teraz pokażemy studentowi! – I krasnoludek poszedł cichutko kuchennymi schodami na górę, na poddasze, gdzie mieszkał student. W pokoju paliło się jeszcze światło, krasnoludek zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył studenta siedzącego i czytającego podartą książkę przyniesioną ze sklepu. Jakże jasno było w pokoju! Z książki wydobywał się promień, który przemienił się w potężne, wysoko wznoszące się drzewo, rozpościerające swe gałęzie szeroko nad studentem. Listki były świeżutkie, a każdy kwiat był prześliczną dziewczęcą główką, niektóre z tych główek miały oczy ciemne i promienne, inne znów jasne i przejrzyste. Każdy owoc był błyszczącą gwiazdą, w powietrzu unosił się przepiękny śpiew i muzyka.

Krasnoludek nigdy nie wyobrażał sobie, nie widział ani nie słyszał takich wspaniałości. Stał na paluszkach i patrzył, patrzył, dopóki nie zgasło światło. Student zdmuchnął lampę i poszedł do łóżka, ale mały krasnoludek stał mimo to wciąż jeszcze, bo ciągle słyszał cichy, śliczny śpiew; była to kołysanka, śpiewana studentowi do snu.

– Jakże tu pięknie! – powiedział mały krasnoludek. – Czegoś podobnego nie spodziewałem się wcale. Myślę, że chyba zostanę na zawsze u studenta! – Myślał i myślał, zastanawiał się rozsądnie i westchnął: – Student nie ma kaszy! – Więc zszedł z powrotem na dół do kupca i dobrze zrobił, bo beczka zużyła już prawie całą wymowę, pani kupcowej, wypowiedziała już jednym bokiem wszystko, co miała do powiedzenia, a teraz miała się właśnie obrócić na drugą stronę, aby wyczerpać swoją drugą połowę. Ale w tej chwili krasnoludek wrócił i zabrał dla pani kupcowej jej dar wymowy.

W całym sklepie, począwszy od kasy, a skończywszy na łuczywie, wszyscy zaczęli myśleć tak jak beczka, poważali ją do tego stopnia i ufali jej tak bardzo, że kiedy kupiec czytał „Kronikę sztuki i teatru” co wieczora w swoim kurierku, myśleli, że wszystko to pochodzi od beczki.

Lecz mały krasnoludek nie siedział już tak spokojnie jak dawniej, nie słuchał już tutejszej mądrości i tutejszego rozsądku; gdy tylko zabłyśło światło na poddaszu, wydawało mu się, że to światło przemienia się w mocne okrętowe liny, które go wyciągają w górę: musiał uciekać i

zaglądać przez dziurkę od klucza i wtedy ogarniało go takie potężne uczucie, jak nas, kiedy patrzymy na falujące morze, nad którym Bóg rozpętał burzę. Wtedy wybuchał płaczem, sam nie wiedział dlaczego, ale w płaczu tym było coś błęgiego. Jakże rozkosznie byłoby usiąść wraz ze studentem pod drzewem, ale to się nie mogło stać – więc pozostawało mu tylko patrzenie przez dziurkę od klucza.

Stał tam w zimnym przedpokoju, a jesienny wicher wiał przez szczeliny w dachu: było zimno, tak bardzo zimno, ale maleńki krasnoludek czuł to dopiero wtedy, kiedy gasło światło w pokoiku na poddaszu i dźwięki zamierały, zagłuszone świstem wiatru. Brr, jakże mu było wtedy zimno! Wsuwał się znowu w swój ciepły kącik, było tam tak przytulnie i bezpiecznie. Kiedy nadeszło Boże Narodzenie i zjawiała się kasza z wielkim kawałkiem masła, kupiec zwyciężył stanowczo.

Lecz pośród nocy obudził krasnoludka jakiś straszny hałas, rozlegający się za okiennicami sklepu. Krzyczeli ludzie, walili w okiennice, stróż nocny trąbił: wybuchł wielki pożar. Cała ulica stanęła w jasnym blasku. Czy paliło się tu, w domu, czy u sąsiada? Gdzie? Wszystkich ogarnęło przerażenie! Pani kupcowa do tego stopnia straciła głowę, że wyjęła sobie z uszu złote kolczyki i włożyła je do kieszeni, aby cośkolwiek uratować, kupiec pobiegł do swoich wartościowych papierów, a służąca – po jedwabną mantylkę, kupioną za zarobione pieniądze. Każdy chciał ratować to, co miał najmilej, i krasnoludek tak samo: w paru podskokach pobiegł na schody i wpadł do pokoju studenta, który stał spokojnie przy otwartym oknie patrząc na pożar szalejący w sąsiednim podwórzu. Krasnoludek chwycił ze stołu cudowną książkę, włożył ją do swojej czerwonej czapeczki i mocno zacisnął ją obiema rękami. Największy skarb domu został uratowany. Potem ruszył, skoczył na dach, wysoko na komin i tam usiadł, oświetlony płomieniami sąsiedniego pożaru: obiema rękami trzymał czerwoną czapeczkę, w której leżał skarb. Teraz poznał już swoje uczucia, wiedział, do kogo właściwie należy jego serce; ale gdy ugaszono pożar i krasnoludek opamiętał się, powiedział:

– Podzielę się pomiędzy ich obu, nie mogę wyrzec się tak zupełnie kupca ze względu na kaszę.

Było to całkiem ludzkie uczucie. My wszyscy chodzimy przecież do kupca – po kaszę.

POD WIERZBĄ

Okolice małego miasteczka Kōge są jednostajne. Miasto leży wprawdzie nad brzegiem morza, gdzie zawsze jest pięknie, ale mogłoby tam być ładniej, niż jest; dookoła ciągną się płaskie pola, a do lasu daleko. Ale tam, gdzie człowiek czuje się u siebie w domu, znajduje zawsze coś, za czym później tęskni, nawet będąc w najpiękniejszym miejscu świata. Trzeba więc przyznać, że na krańcu miasteczka Kōge, tam gdzie kilka nędznych ogródków schodziło aż do brzegu strumyka wpadającego do morza, było prześlicznie, zwłaszcza latem. Tego zdania były szczególnie dzieci sąsiadów, Knud i Joanna, które bawiły się razem i przełaziły jedno do ogródka drugiego pod krzakami agrestu.

W jednym ogródku rósł krzak dzikiego bzu, a w drugim – stara wierzba, właśnie pod tym drzewem bawiły się dzieci tak chętnie. Pozwalano im na to, chociaż wierzba rosła tuż nad brzegiem strumienia i z łatwością mogły wpaść do wody: ale Boże oko czuwa nad dziećmi, inaczej byłoby z nimi źle. Dzieci te były zresztą ostrożne, chłopiec tak bardzo bał się wody, że nawet latem nie chciał zejść na brzeg, gdzie inne dzieci biegały i pluskały się wesoło. Śmiały się i szydziły z niego, i Knud musiał to wszystko znosić; lecz małej Joannie, córeczce sąsiada, śniło się, że płynęła w łódce po zatoce Kōge, a Knud szedł do niej, zanurzył się zaraz po szyję, a potem woda zalała mu głowę. Od chwili gdy Joanna opowiedziała mu swój sen, chłopiec nie cierpiał już nad tym, że go wyśmiewano za tchórzostwo, wspominał tylko sen Joanny, napelniało go to dumą; ale do wody nie wchodził.

Ubodzy rodzice tych dzieci przebywali często razem, a Knud i Joanna bawili się w ogrodzie i na drodze, gdzie nad rowem rosły rzędem wierzby, nie były one piękne, gałęzie ich były odrąbane, ale przecież nie rosły tam dla ozdoby, tylko dla pożytku; ładniejsza była stara wierzba w ogrodzie i tam właśnie spędzały dzieci miłe chwile, jak to się zwykło mówić.

Pośrodku miasta Kōge znajduje się duży rynek. W dni jarmarczne stały tam rzędy bud, gdzie sprzedawano jedwabne wstążki, buciki i najrozmaitsze rzeczy. Na jarmarku panował zawsze wielki ścisk i przeważnie padał deszcz; wtedy czuć było woń chłopskich sukman, ale także przyjemny zapach pierników. Jedna buda była cała napelniona piernikami; najwspanialsze ze wszystkiego było jednak to, że człowiek, który sprzedawał pierniki, mieszkał w czasie jarmarku

u rodziców małego Knuda i dawał mu od czasu do czasu mały pierniczek, którym chłopiec dzielił się, naturalnie, z Joanną. Ale było jeszcze coś bodaj bardziej przyjemnego od pierników: ten, który je sprzedawał, potrafił opowiadać bajki, i to o wszystkich rzeczach świata, nawet o piernikach; opowiedział o nich pewnego wieczoru bajkę, która zrobiła tak głębokie wrażenie na obojgu dzieciach, że nigdy jej nie mogły zapomnieć, i dlatego będzie najlepiej, jeżeli jej posłuchamy, tym bardziej że jest krótka.

– Na ładzie – opowiadał – leżały dwa pierniki; jeden był w kształcie młodzieńca z kapeluszem na głowie, a drugi przedstawiał młodą pannę bez kapelusza, ale ze złotym szychem na głowie. Mieli oni twarze zwrócone do góry i nie trzeba było oglądać ich od spodu, jak nigdy nie należy oglądać ludzi.

Mężczyzna miał z lewej strony gorzki migdał, to było jego serce, dziewczyna zaś była cała z piernika. Leżeli na ładzie na pokaz, leżeli tak długo, aż się pokochali; ale żadne nie powiedziało o tym drugiemu, a należy to czynić, o ile coś ma z tego wyniknąć.

„On jest mężczyzną, on musi powiedzieć pierwsze słowo!” – myślała ona, a przecież cieszyłaby się bardzo, gdyby wiedziała, że on odwzajemnia jej miłość.

Jego myśli były wprawdzie o wiele gorętsze, gdyż mężczyźni są już tacy, śniło mu się, że jest żywym ulicznikiem i że ma cztery grosze, za które kupił dziewczynę i zjadł ją.

Leżeli dni i tygodnie na ładzie i wysychali, a myśli dziewczyny stawały się coraz delikatniejsze i bardziej kobiece.

„Wystarczy mi, że leżę z nim na jednej ładzie!” – pomyślała dziewczyna i przełamała się w pół.

„Gdyby wiedziała o mojej miłości, przetrwałaby dłużej!” – myślał mężczyzna.

– Ot i cała bajka, a oto oni sami! – powiedział sprzedawca pierników. – Dziwne są dzieje ich życia i ich niema miłość, która nigdy do niczego nie prowadzi. Patrzcie, oto są. – I to mówiąc dał Joannie całego młodzieńca z piernika, a Knudowi piernikową przełamaną panienkę. Ale dzieci były tak przejęte tą historią, że nie miały serca zjeść zakochanej pary.

Na drugi dzień poszły wraz z nimi do Köge na cmentarz, gdzie mury kościelne obrośnięte były najpiękniejszym zielonym bluszczem, który zimą i latem zwieszał się jak puszysty dywan. Postawili pierniki pomiędzy zielonymi pędami w blasku słońca i opowiedzieli całej gromadzie dzieci historię niemej miłości, która nic nie jest warta – to znaczy tylko miłość, gdyż bajka była śliczna – wszyscy tak uważali; a kiedy znowu chcieli obejrzeć piernikową parę, okazało się, że

jeden duży chłopak (i to tylko na złość) zjadł przełamaną panienkę, dzieci rozplakały się, a potem – stało się to tylko po to, aby biedny, młody człowiek nie szedł sam przez życie – zjedli i jego także, ale nigdy nie zapomnieli tej bajki.

Dzieci były wciąż razem, pod krzewem dzikiego bzu lub pod wierzbą, a dziewczynka śpiewała srebrnym głosikiem najmiłsze piosenki. Knud nie miał słuchu, ale znał słowa, a to już także coś znaczy; mieszkańcy Kogę, nawet żona handlarza żelazem, przystawali i przysłuchiwali się, jak Joanna śpiewa.

– Jakież miły głosik ma ta mała – mówili.

Były to piękne dni, ale nie trwały długo. Sąsiedzi rozstali się; matka małej dziewczynki umarła. Ojciec miał zamiar po raz drugi ożenić się w Kopenhadze, mógł tam dostać dobrą posadę, miał zostać woźnym, a to było bardzo korzystne zajęcie. Sąsiedzi rozstali się ze łzami; zwłaszcza dzieci płakały, ale starzy obiecali, że przynajmniej raz na rok będą do siebie pisywać. Knud poszedł na naukę do szewca – nie można było pozwolić, aby taki duży chłopak próżnował. A potem przystąpił do konfirmacji.

Ach, jakże chętnie pojechałby w ten uroczysty dzień do Kopenhagi, aby zobaczyć małą Joannę; ale nie pojechał, nigdy jeszcze nie był w stolicy, chociaż znajdowała się tylko o pięć mil od Kogę; ale gdy widoczność była dobra, dostrzegał ponad zatoką wysokie wieże, a w dzień konfirmacji widział zupełnie wyraźnie złoty krzyż, połyskujący na kościele Panny Marii.

O, jakże myślał o Joasi! Czy jeszcze o nim pamięta? Tak, pamiętała – na Boże Narodzenie przyszedł list od jej ojca do rodziców Knuda; pisał, że w Kopenhadze dobrze im się powodzi, że Joannie, dzięki jej ślicznemu głosowi, przypadło w udziale wielkie szczęście: została przyjęta do teatru, gdzie śpiewa i zarabia trochę pieniędzy; i przysyła z tych pieniędzy miłym sąsiadom z Kogę całego talara na wesołe święta; mają wypić jej zdrowie; sama to własnoręcznie dopisała i dodała: „Serdeczne pozdrowienia dla Knuda!”

Płakali wszyscy razem, a przecież wiadomości były wesołe! Ale płakali z radości. Codziennie przebywała Joanna w myślach Knuda, a teraz widział, że i ona o nim myśli; im bardziej zbliżał się termin wyzwolenia na czeladnika, tym jaśniej przekonywał się, że ją kocha i że musi być jego żoną; i wtedy uśmiech wykwitał mu na twarzy, i dwa razy prędzej wyciągał dratwę z przyszwyy, podczas gdy nogą przytrzymywał pociągiciel; wsadził sobie szydło głęboko w palec, ale to nic nie szkodziło. Nie chciał być niemy jak dwa pierniki, bajka stała się dla niego dobrą nauką.

A potem został czeladnikiem i zasznurował tornister. Nareszcie po raz pierwszy w życiu miał udać się do Kopenhagi, miał tam już swego majstra. Cóż to będzie za niespodzianka i uciecha dla Joanny! Miała teraz siedemnaście lat, a on dziewiętnaście.

Już w Köge chciał kupić dla niej złoty pierścionek, ale potem zastanowił się, że przecież w Kopenhadze można dostać o wiele ładniejszy. Pożegnał się ze starymi i pewnego jesienno-deszczowego i wietrznego dnia wyruszył piechotą w drogę; liście spadały z drzew. Przemoczony do suchej nitki dostał się do wielkiej Kopenhagi i do nowego majstra.

Najbliższej niedzieli miał odwiedzić Joannę i jej ojca. Włożył nowe ubranie czeladnika, nowy kapelusz z Kogę, bardzo mu w nim było do twarzy, dotychczas nosił zawsze czapkę. Znalazł dom, którego szukał, i wszedł wysoko po schodach na górę; w głowie mu się kręciło; jak ci ludzie tu, w tym zawrotnym ruchu, tłoczyli się jedni nad drugimi.

Pokój urządzony był bardzo dostatnio i ojciec Joanny przyjął go serdecznie, dla drugiej jego żony był on co prawda obcy, ale podała mu rękę i poczęstowała kawą.

– Joanna ucieszy się, kiedy cię zobaczy! – mówił ojciec. – Wyrosłeś na przystojnego młodzieńca. Tak, musisz ją zobaczyć. Ta dziewczyna sprawia mi wiele radości, a z boską pomocą będę miał z niej jeszcze większą pociechę. Ma swój własny pokój, za który płaci nam komorne. – Ojciec sam zapukał grzecznie do jej drzwi, jak gdyby był obcym człowiekiem, i weszli. – Jakże tam było ślicznie! Takiego pokoju nie miał z pewnością nikt w całym Kogę, królowa nie mogłaby mieć ładniejszego. Był tam dywan, firanki zwieszające się aż do ziemi, prawdziwy pluszowy fotel, a naokoło stały kwiaty, wisiały obrazy i lustro, do którego się miało – ochotę wejść, tak było duże jak drzwi. Knud zobaczył to wszystko od razu, a przecież patrzył tylko na Joannę. Była dorosłą dziewczyną, zupełnie inną, o wiele ładniejszą niż ta, o której myślał. W całym Köge nie było takiej dziewczyny jak ona; jakże była piękna! Ale jakże dziwnie obco spojrzała na Knuda, wprowadzie tylko przez jedno mgnienie oka, potem rzuciła się ku niemu, jak gdyby chciała go pocałować; nie pocałowała go jednak, choć była tak blisko tego; tak, ucieszyła się naprawdę widząc przyjaciela dzieciństwa. Miała przecież łzy w oczach. A potem zadawała mu tyle pytań i tyle mówiła, wypytywała go o wszystko począwszy od jego rodziców, a skończywszy na krzewie dzikiego bzu i starej wierzbie, nazywała je mamą wierzbą i papą bzem, jak gdyby i one były ludźmi, a mogły rzeczywiście uchodzić za ludzi, tak samo jak para pierników; o tych mówiła także i o ich milczącej miłości, jak to leżały na ladzie i rozpadły się w kawałki, i śmiała się przy tym tak serdecznie; ale Knudowi krew napłynęła do twarzy, a

serce biło mu mocniej niż zwykle. Nie, wcale nie zrobiła się dumna. To na jej prośbę, spostrzegł to od razu, rodzice poprosili go, aby został z nimi cały wieczór. Poczęstowała go herbatą i sama podała mu filiżankę; potem wzięła książkę i czytała im głośno, a Knudowi wydawało się, że to, co czytała, dotyczyło jego miłości; odpowiadało to tak bardzo wszystkim jego myślom. Potem zaśpiewała prostą piosenkę, ale pieśń ta przemieniła się dzięki niej w całą opowieść, zdawało się, że jej własne serce promieniało tym, co śpiewała. Tak, to było pewne, że kochała Knuda! Łzy spływały mu po policzkach, nic nie mógł na to poradzić i nie mógł wymówić ani jednego słowa, wydawał się samemu sobie bardzo głupi, ale pomimo to Joanna uścisnęła mu rękę i powiedziała:

– Masz dobre serce, Knud, zostań zawsze takim, jakim jesteś! Był to niezwykle piękny wieczór, po takim wieczorze nie można spać, toteż i Knud nie mógł zasnąć.

Przy pożegnaniu ojciec Joanny powiedział:

– Myślę, że nie zapomnisz o nas. Zobaczymy się jeszcze. A może zima się skończy, zanim sobie nas przypomnisz?

Mógł więc przyjść tu znowu w niedzielę i chciał to uczynić. Ale co wieczór po skończonej pracy – a pracowali przy świecy – Knud szedł na miasto, patrzył w okno Joanny, gdzie paliło się prawie zawsze światło, i pewnego wieczoru spostrzegł nawet wyraźny cień jej twarzy na firance. Był to piękny wieczór. Pani majstrowej nie podobało się to wcale, że Knud co wieczór „włóczy się” pod oknami, jak to nazywała, i kręciła głową, ale majster śmiał się.

– Przecież to młody człowiek! – mówił do żony.

„W niedzielę zobaczymy się i powiem jej, że żyje w moich myślach i że musi zostać moją ukochaną żoną. Jestem wprawdzie tylko biednym czeladnikiem szewskim, ale mogę zostać majstrem, będę pracował i dążył do czegoś – tak jej powiem. Milcząca miłość do niczego nie prowadzi, nauczyły mnie tego piernikowe lalki.”

Nadeszła niedziela i Knud przyszedł w odwiedziny, ale niestety, wszyscy musieli wyjść i powiedzieli mu o tym. Joanna uścisnęła jego rękę i rzekła:

– Czy byłeś kiedy w teatrze? Musisz tam raz pójść. Śpiewam w środę, jeżeli masz wolny wieczór, przyślę ci bilet; ojciec wie, gdzie mieszka twój majster!

Jakie to było mile z jej strony! W środę w południe przyszła zapieczętowana koperta, bez słowa, ale w środku był bilet, a wieczorem Knud poszedł po raz pierwszy w życiu do teatru. Cóż zobaczył? Zobaczył Joannę, taką piękną, taką cudną! Poślubiła wprawdzie obcego człowieka, ale wszystko to była komedia. Knud wiedział, że to tylko „na niby”, inaczej nie miałyby serca

przysłać mu biletu, aby patrzył na to: wszyscy ludzie klaskali i wołali głośno: „Brawo!” i Knud wołał także.

Nawet sam król uśmiechał się do Joanny, jak gdyby jej widok sprawiał mu radość. Ach, mój Boże, jaki maleńki czuł się Knud, ale kochał ją przecież z całego serca i ona go lubiła, a mężczyzna musi przecież powiedzieć pierwsze słowo – tak myślała piernikowana dziewczyna. Jakże wiele prawdy zawierała ta bajka!

Gdy tylko nadeszła niedziela, poszedł Knud do Joanny. Jego myśli były tak uroczyste, jak gdyby przystępował do ołtarza. Joanna przyjęła go sama; nie mógł trafić lepiej.

– Jak to dobrze, że przychodzisz! – powiedziała. – Miałam nawet zamiar posłać po ciebie ojca, ale czułam, że przyjdiesz dziś wieczorem; chciałam ci powiedzieć, że w piątek jadę do Francji, muszę tam pojechać, jeżeli ma być coś ze mnie.

Knudowi zdawało się, że cały pokój kręci się naokoło niego, miał wrażenie, że serce wyskakuje mu z piersi, ale łzy nie stanęły mu w oczach, widać było jednak wyraźnie, jak bardzo go to zasmuciło.

Joanna widziała to i była bliska płaczu.

– Ty poczciwa, wierna duszo! – powiedziała.

I wtedy rozwiązał się Knudowi język. Wyznał jej, jak głęboko ją kocha, i powiedział, że musi zostać jego żoną; a kiedy padły te słowa, zobaczył, że Joanna zbladła śmiertelnie. Opuściła dłonie i powiedziała poważnie, ze smutkiem.

– Nie unieszczęśliwiasz siebie i mnie, Knud. Będę dla ciebie zawsze dobrą siostrą, na którą możesz liczyć, ale niczym więcej! Pogładziła go miękką ręką po rozpalonym czole.

– Bóg, jeśli zechce, daje nam siły, by znieść wiele zawodów.

W tej chwili weszła do pokoju jej macocha.

– Knud jest w rozpacz, że wyjeżdżam! – powiedziała Joanna. – Bądź mężczyzną! – I poklepała go przy tym po plecach. Zdawać się mogło, że rozmawiali tylko o podróży, o niczym więcej. – Dziecko! – powiedziała. – Trzeba być rozsądnym jak wtedy pod wierzbą, gdy oboje byliśmy dziećmi!

Knudowi wydawało się, że świat się wali, jego myśli były jak nić, która zerwała się i unosi się na wietrze. Został dłużej, nie wiedząc, czy go o to prosili, byli jednak serdeczni i dobrzy. Joanna poczęstowała go herbatą, a potem śpiewała, ale głos jej już nie brzmiał jak dawniej: stał się niewypowiedzianie piękny; Knudowi zdawało się, że serce wyskakuje mu z piersi, a potem

pożegnali się. Nie podał jej ręki, ale ona schwyciła jego dłoń i powiedziała:

– Uściśniesz chyba na pożegnanie rękę siostry, przyjacielu! – Uśmiechała się wśród łez spływających jej po policzkach i powtarzała: – Mój bracie!

Piękna pociecha! Takie było ich pożegnanie.

– Pojechała do Francji. Knud chodził po błotnistych ulicach Kopenhagi. Inni czeladnicy z warsztatu pytali go, nad czym tak rozmyśla, namawiali go, aby się z nimi zabawił, był przecież młody.

Poszli więc razem na tańce, było tam wiele ładnych dziewcząt, ale żadnej takiej jak Joanna; i tu właśnie, gdzie spodziewał się, że o niej zapomni, ożyła w jego duszy z nową mocą. „Bóg, jeśli zechce, daje siły, aby przetrzymać wiele!” – powiedziała. Skupił się w modlitwie i złożył pobożnie ręce. Skrzypce grały, dziewczyny tańczyły dookoła. Nagle przestraszył się; miał uczucie, jak gdyby znajdował się gdzieś, dokąd nie mógłby zabrać ze sobą Joanny; a przecież była tu z nim, w jego sercu. I wyszedł stamtąd. Biegł po ulicach i przeszedł obok domu, gdzie mieszkała. Okna były ciemne; wszędzie było ciemno, pusto i samotnie. Świat szedł swoją drogą, a Knud swoją.

Nadeszła zima i wody zamarzły, i wszystko zdawało się przygotowywać do pogrzebu.

Ale kiedy przyszła wiosna i wyruszył pierwszy okręt, ogarnęła go taka tęsknota do wyjazdu, do wylotu gdzieś, na szeroki świat – byle tylko niezbyt blisko Francji.

Wtedy zawiązał swój plecak i powędrował daleko w głąb Niemiec, chodził od miasta do miasta, bez wytchnienia i spokoju. Dopiero kiedy przybył do wspaniałego, starego miasta Norymbergii, wydało mu się, że nogi przestały go swędzić. Wreszcie pozostał na jednym miejscu.

Norymberga jest cudownym, starym miastem, jak gdyby wyciętym ze starej książki z obrazkami. Ulice biegną, jak im się podoba. Domy nie chcą stać w szeregu. Wykusze z wieżyczkami, ozdobami i posągami wyskakują na chodnik, a w górze, na bardzo spiczastych dachach wybiegają rynny aż na środek ulicy, są one w kształcie smoków i psów o wydłużonych tułowach.

Tutaj na rynku stał Knud z węzełkiem na plecach. Stał obok jednej ze starych studzien, gdzie wśród tryskających ku górze strumieni sterczą wspaniałe spizowe figury biblijnych i historycznych osób. Jakaś śliczna służebna nabierała właśnie wody. Ofiarowała Knudowi kubek orzeźwiającego napoju; ponieważ trzymała w ręku wiązanek róż, dała mu jedną różę; przyjął ją

jako dobry znak.

Z pobliskiego kościoła dochodziły do niego dźwięki organów, brzmiały tak swojsko jak w kościele w Kogę. Wszedł więc do wielkiej katedry. Słońce przyświecało przez malowane szyby między wysokimi, smukłymi kolumnami. Skupił swe myśli i odzyskał spokój.

W Norymberdze szukał i znalazł dobrego majstra, został tam i nauczył się niemieckiego.

Stare fosy otaczające miasto przemieniono na małe warzywne ogródki; ale stoją tam jeszcze wysokie mury z ciężkimi wieżami. Powroźnik kręci swą linę na galerii z belek, ciągnącej się wzdłuż wewnętrznej strony muru otaczającego miasto, a naokoło we wszystkich szparach i rysach rośnie dziki bez, który rozpościera swe gałęzie nad małymi, niskimi domami, przytulonymi do miejskich murów. W jednym z takich domków mieszkał majster, u którego Knud pracował. Nad małym okienkiem poddasza, gdzie sypiał, pochylały się gałęzie bzu.

Mieszkał tu przez jedno lato i przez jedną zimę, ale gdy nadeszła wiosna, nie można go było dłużej utrzymać; bez kwitnęła i pachniała tak swojsko jak w ogrodzie w Köge – przeniósł się więc Knud od tego majstra do drugiego, który mieszkał w głębi miasta, gdzie nie rosły krzewy dzikiego bzu.

Tuż koło warsztatu stał jeden ze starych, murowanych mostów, a naprzeciwko stary, wiecznie szumiący wodny młyn: rzeka płynęła rwącym nurtem, wciśnięta pomiędzy domy, z których zwieszały się zmurszałe balkony, wyglądały tak, jakby lada chwila miały runąć do rzeki.

Nie było tu bzu, nie stała tu nawet doniczka z odrobiną zieleni, ale naprzeciw rosła wielka, stara wierzba tuląc się do ścian domów, jakby bała się, że ją porwie rzeka, rozpościerała swoje gałęzie nad wodą – zupełnie jak wierzba tam w domu, w ogrodzie nad brzegiem strumienia, w Kogę.

Tak, rzeczywiście przeniósł się od papy bzu do mamy wierzby; drzewo to, zwłaszcza w blasku księżycy, miało w sobie coś, co mu przypominało piosenkę:

Ach, czuję się Duńczykiem

W tym świetle księżycy...

Ale to nie była wina księżycy, nie, to była wina wierzby. Nie znosił jej. A dlaczego? Spytaj o to wierzby, spytaj kwitnącego bzu; pożegnał się więc z majstrem i z Norymbergą i powędrował w dalsze strony.

Nikommu nie mówił o Joannie, głęboko chował swój smutek – szczególne znaczenie przywiązywał do bajki o piernikach; teraz dopiero zrozumiał, dlaczego piernikowy młodzieniec

miał po lewej stronie gorzki migdał; on sam czuł gorycz tego smaku, a Joanna, która miała zawsze takie łagodne i serdeczne usposobienie, była ulepiona z samego piernika. Zdawało mu się, że rzemienie plecaka gniotą go tak mocno, iż nie może oddychać, rozluźnił je, ale to nie pomagało. To, co widział naokoło siebie, było tylko połową świata, drugą połowę czuł w sobie – i nie mógł nic na to poradzić!

Dopiero kiedy zobaczył wysokie góry, świat znowu stał się większy, jego myśli uległy zmianie, a łzy stanęły mu w oczach. Alpy wydawały mu się złożonymi skrzydłami ziemi. Czy rozpostarła ona kiedy swoje wielkie skrzydła o różnobarwnych obrazach, czarnych lasach, szumiących wodach, chmurach i masach śnieżnych? W dzień ostateczny ziemia wzniesie swoje wielkie skrzydła, frunie do Boga i rozprysnie się jak bańka mydlana w Jego blasku.

– Ach, gdybyż już nadszedł dzień ostateczny! – wzdychał Knud.

W milczeniu wędrował przez kraj, który zdawał mu się wielkim, zarośniętym sadem. Z drewnianych balkonów domów pozdrawiały go dziewczyny zajęte wyrabianiem koronek, wierzchołki gór płonęły w czerwonym blasku zachodzącego słońca, a gdy zobaczył zielone jeziora pomiędzy ciemnymi drzewami – przypominało mu się wybrzeże przy zatoce w Kogę; i czuł tęsknotę, ale nie ból w sercu.

Tam gdzie Ren spada jak jedna wielka fala, wali się, rozpryskuje i zmienia w śnieżne, świetliste obłoki, jak gdyby było to miejsce narodzin wszystkich chmur – a tęcza rozwiesza nad nimi swą ruchomą wstęgę – przypominał sobie młyn koło Kogę, gdzie szumiała i perlila się woda.

Zostałby chętnie w cichym nadreńskim mieście, ale było tu tyle krzewów bzu i tyle wierzb – poszedł więc dalej przez wielkie, potężne góry, przez popękane skały i dróżki przyczepione do kamiennych ścian jak jaskółcze gniazda. W przepaściach szumiały strumienie, pod nim kłębiły się chmury; wędrował w blasku ciepłego, letniego słońca, po błyszczących ostach, po śniegu i alpejskich różach – a potem pożegnał się z krajami Północy i wszedł pomiędzy kasztany, winnice i pola kukurydzy. Góry stanęły murem pomiędzy nim a wszystkimi wspomnieniami. I tak być musiało.

Przed nim znajdowało się wielkie, wspaniałe miasto, nazywali je Mediolanem; i tutaj też znalazł niemieckiego majstra, który mu dał robotę; właściciele warsztatu, gdzie pracował, byli starym, poczciwym małżeństwem. Pokochali cichego czeladnika – mówił mało, ale tym więcej pracował, był taki pobożny i wierzący. A i jemu było tak, jak gdyby Bóg zdjął ciężar z jego

serca.

Największą przyjemność sprawiało mu wchodzenie do potężnego, marmurowego kościoła, który zdawał się być zbudowany z jego ojczystego śniegu: były tam obrazy, spiczaste wieże, otwarte, pełne kwiatów portyki; z każdej wieżyczki, z każdego łuku uśmiechały się do niego białe posągi. Nad nim rozpościerało się niebieskie niebo, pod nim było miasto i szeroka, zielona Równina Lombardzka, a ku północy wznosiły się wysokie góry, pokryte wiecznym śniegiem – wówczas przypominał mu się kościół w Kōge i bluszcz zielony na czerwonych murach, ale nie tęsknił do ojczyzny, pragnął, aby go pochowano tu, za górami.

Przeżył tu rok cały. Minęły już trzy lata, odkąd opuścił ojczyznę; pewnego dnia wziął go majster do miasta – nie do cyrku, aby oglądać wołtyżerki, ale do wielkiej opery – znajdowała się tam sala, którą warto było obejrzyć. Na wysokości siedmiu pięter zawieszono jedwabną kurtynę, od ziemi aż do zawrotnej wysokości; u sufitu siedziały najwytworniejsze damy z bukietami kwiatów w ręku, jak gdyby wybierały się na bal, panowie byli w pełnej gali, niektórzy w mundurach haftowanych srebrem i złotem. Było tam tak jasno jak w blasku najjaśniejszego słońca, a potem zagrała muzyka, głośna i piękna, było tu o wiele wspanialej niż w teatrze w Kopenhadze, ale tam śpiewała Joanna, a tu – czy to czary? – kurtyna rozsunała się i tutaj także stała Joanna w złocie i jedwabiach, na głowie miała złotą koronę; śpiewała jak sam anioł, wystąpiła na przód sceny, uśmiechała się tak, jak tylko Joanna potrafiła się uśmiechać; patrzyła prosto na Knuda.

Biedny Knud chwycił majstra za rękę i zawołał głośno:

– Joanna!

Ale nikt tego nie słyszał, gdyż muzyka zagłuszyła wszystko, a majster kiwnął głową:

– Tak, nazywa się Joanna! – Wyjął zadrukowaną kartkę i pokazał, że było tam wypisane jej imię, jej całe nazwisko.

Nie, to nie był sen! Wszyscy ludzie oklaskiwali ją gorąco, rzucali kwiaty i wieńce i za każdym razem, kiedy Joanna wychodziła, wywoływali ją na nowo, wychodziła więc i wracała, wychodziła i wracała.

Na ulicy ludzie wyprzęgli konie z jej powozu, a Knud był jednym z pierwszych i najszcześniejszych ciągnących powóz; kiedy przybyli do jej wspaniale oświetlonego domu, Knud stanął przy samych drzwiczkach karety, które się otworzyły, i Joanna wyszła, światło padło właśnie na jej piękną twarz; uśmiechała się, dziękowała tak serdecznie, była bardzo wzruszona.

Knud spojrział jej prosto w oczy i ona spojrzała mu prosto w twarz, ale go nie poznała. Jakiś pan z gwiazdą na piersiach podał jej ramię – podobno byli zaręczeni, powiadano.

Poszedł więc Knud do domu i spakował plecak; chciał, musiał wrócić do ojczyzny, do krzaku dzikiego bzu i do wierzby, ach – do wierzby.

Staruszkowie prosili, aby został; ale żadne prośby nie były w stanie go zatrzymać. Tłumaczyli mu, że to już zima, że w górach spadł śnieg – ale śladami wolno jadącego dylizansu, który musi przecież torować sobie drogę w śniegu, będzie mógł iść z tłumoczkim na plecach, podpierając się kijem.

Poszedł ku Alpom, wspinał się pod górę i schodził w dół, siły opuszczały go, a wciąż nie widział przed sobą ani miasta, ani żadnego domu; szedł na północ. Nad nim błyszczały gwiazdy; nogi uginały się i kręciło mu się w głowie. Głęboko w dolinie także błyszczały gwiazdy, było tak, jakby niebo rozpościerało się także i pod nim. Czuł się źle. W dole gwiazdy mnożyły się, stawały się coraz jaśniejsze, poruszały się to tu, to tam. Było to miasteczko, w którym połyskiwały światełka; kiedy zrozumiał to, wyteżył resztę swych sił i dotarł do ubogiej gospody.

Został w niej przez noc i przez cały następny dzień, gdyż jego ciało domagało się spokoju i wypoczynku. W dolinie była mgła i odwilż. Rano przyszedł kataryniarz i zagrał melodię, którą Knud słyszał w domu, w Danii; nie mógł tego dłużej znieść i ruszył w drogę; wędrował wiele, wiele dni, z takim pośpiechem, jak gdyby się obawiał, że zanim dojdzie do celu, wszyscy umrą – ale nikomu nie mówił o swej tęsknocie, nikt by nie uwierzył, że nosi w sobie taki ból; najgłębszy ból, jaki można odczuwać, nie jest dla świata, nie zajmie nikogo, nawet przyjacielowi zwierzyć się z tego nie można, a Knud nie miał przyjaciół. Obcy, wędrował przez obce kraje, do ojczyzny, na północ. W jedynym liście, jaki otrzymał od rodziców przeszło rok temu, było napisane: „Nie jesteś prawdziwym Duńczykiem jak my wszyscy tu w kraju; my tak bardzo wrośliśmy w naszą ziemię. Tobie podobają się tylko obce kraje.” Rodzice mogli mu tak pisać – jakże mało go znali!

Pewnego wieczora Knud idąc otwartą szosą zaczął marznąć. Okolica stawała się coraz bardziej płaska, pokryta polami i łąkami. Przy drodze rosła duża wierzba. Wszystko wyglądało tutaj tak swojsko i tak po duńsku. Usiadł pod wierzbą, poczuł zmęczenie, głowa opadła mu na piersi, oczy zamknęły się sennie, ale czuł, jak wierzba pochyła nad nim swe gałęzie; zdawało mu się, że drzewo przemienia się w potężną, starą kobietę – była to mama-wierzba, wzięła go na ręce i zniosła, zmęczonego syna, do domu, do Danii, na otwarte, jasne wybrzeże, do Kogę, do ogrodu dzieciństwa. Tak, to była wierzba z Kogę, która powędrowała w świat, aby go szukać i

znaleźć; i oto teraz znalazła go i zniosła do domu, do małego ogródka nad strumykiem; stała tam Joanna w całej swej urodzie, w złotej koronie na głowie, tak jak ją ostatnio widział, i wołała: „Witaj!”

Tuż przed nim stały dwie dziwaczne postacie, ale bardziej podobne do ludzi niż za czasów dzieciństwa; one się też zmieniły. To były pierniki, mąż i żona. Stały odwrócone do niego swą ładniejszą stroną.

– Dziękujemy ci! – powiedzieli oboje do Knuda. – Rozwiązałeś nam języki. Nauczyłeś nas, że trzeba wypowiadać otwarcie swoje myśli, gdyż inaczej do niczego to nie prowadzi, i oto teraz zdobyliśmy się na coś – zaręczyliśmy się!

I poszli, trzymając się za ręce, ulicami miasteczka Kogę, i nawet z odwrotnej strony wyglądali bardzo porządnie, nie można im było nic zarzucić. Szli prosto do kościoła w Kogę, a Knud i Joanna podążali za nimi. I oni także trzymali się za ręce. Kościół stał tam, gdzie zawsze, otoczony czerwonym murem, po którym piał się zielony bluszcz, wielkie kościelne wrota otworzyły się na rozcież, organy grzmiały, a piernikowa para kroczyła środkiem kościoła do ołtarza.

– Państwo pierwsi! – Joanna pochyliła głowę nad twarzą Knuda i z oczu jej popłynęły łzy całkiem z lodu; był to lód, który roztajał w jej sercu pod wpływem jego wielkiej miłości; łzy spływały także po jego rozpalonych policzkach i – Knud obudził się. Siedział pod starą wierzbą w obcym kraju, w mroźny, zimowy wieczór; z chmur padał lodowy grad i smagał go po twarzy.

– To była najpiękniejsza godzina mego życia! – powiedział Knud – a była tylko snem. Dobry Boże, pozwól, aby jeszcze raz przyśniło mi się to samo. – I zamknął oczy, zasnął, śnił.

Nad ranem spadł śnieg, zasypał nogi Knuda, ale on spał. Wieśniacy szli do kościoła; znaleźli wędrownego czeladnika, siedział zamarznęty na śmierć pod starą wierzbą.

PIĘĆ ZIARNEK GROCHU

Było sobie pięć ziarenek grochu w jednym strączku; wszystkie były zielone i strączek był zielony, myślały więc, że cały świat jest zielony; to całkiem zrozumiałe. Strączek rósł i ziarnka groszku rosły, mimo że coraz ciasniej było im w ich mieszkaniu, jakoś sobie radziły i siedziały rzędem, jedno przy drugim. Słońce świeciło i ogrzewało strączek, deszcz go splukiwał, było ciepło i dobrze, jasno w dzień i ciemno w nocy, tak jak powinno być; ziarnka groszku stawały się coraz większe i coraz więcej myślały, bo czymś trzeba się przecież zająć.

– Czyż zawsze mamy tu tkwić? – pytały – stwardniejemy od tego długiego siedzenia. Wydaje nam się, że tam na dworze coś się dzieje; mamy jakieś przeczucia!

Upłynęły tygodnie. Ziarnka grochu zrobiły się żółte i strączek także pożółkł.

– Cały świat żółknie – mówiły. I miały słusność.

Nagle poczuły silny wstrząs; zerwano strączek, dostał się w ludzkie ręce, wraz z wieloma pełnymi strąkami znalazł się w kieszeni kurtki.

– Teraz już nam wkrótce otworzą – powiedziały i czekały na tę chwilę.

– Chciałbym teraz wiedzieć, który z nas zajdzie najdalej – powiedział najmniejszy groszek. – Zaraz się to okaże.

– Niech się stanie, co się ma stać – oświadczył największy. Trach! strączek pękł i wszystkie pięć groszków potoczyło się w jasnym blasku słońca: leżały w dziecięcej dłoni, pewien chłopczyk trzymał je i mówił, że byłyby to doskonałe naboje do jego procy; zaraz potem jeden z groszków dostał się do procy i został wystrzelony.

– Teraz lecę w daleki świat! Niech mnie schwyta, kto potrafi! – krzyknął groszek i poleciał.

– A ja lecę prosto do słońca – powiedziało drugie ziarnko groszku słońce to wspaniały strąk, w sam raz odpowiedni dla mnie. I poleciało.

– Gdziekolwiek się dostaniemy, będziemy sobie spały – powiedziały następne dwa ziarnka – ale mimo to potoczmy się trochę. – I rzeczywiście potoczyły się naprzód, po podłodze, wkrótce włożono je jednak do procy. – My zajdziemy najdalej! – krzyknęły.

– Niech się stanie, co się ma stać – powiedziało ostatnie ziarnko i wystrzeliło w powietrze, poleciało na starą deskę pod okno na poddaszu, wpadło do szpary wypchanej mchem i miękką

ziemią, mech otulił je; leżało tam zapomniane, ale Bóg o nim nie zapomniał.

– Niech się stanie, co ma się stać – powiedziało.

W maleńkim pokoiku na tym poddaszu mieszkała biedna kobieta, która ciężko pracowała, chodziła po domach i czyściła piece, rąbała drzewo – miała dużo sił i chęci do pracy, ale mimo to była wciąż w biedzie.

W domu, w małej izdebce na poddaszu, zostawiała swą jedyną niedorosłą córeczkę, delikatną i wątłą; dziewczynka przez cały rok leżała w łóżku i zdawało się, że nie może ani żyć, ani umrzeć.

– Pójdzie do swojej siostrzyczki – mówiła kobieta. – Miałam dwoje dzieci, było mi ciężko pracować na dwoje, ale Bóg podzielił się ze mną i jedno zabrał do siebie, teraz chciałabym bardzo zatrzymać sobie drugie; ale Bóg nie chce, aby dzieci były rozłączone, więc ta także odchodzi do siostrzyczki.

Ale chora dziewczynka nie odeszła. Leżała cierpliwie i spokojnie przez cały dzień, gdy matka wychodziła, aby coś zarobić.

Była wiosna i kiedy matka wczesnym rankiem szła do pracy, a słońce tak pięknie świeciło przez okno i promienie padały na podłogę pokoiku, chora dziewczynka wpatrywała się w najniższą szybę.

– Co to jest, to zielone, co wygląda zza szyby i porusza się na wietrze?

Matka podeszła do okna i uchyliła je.

– Ach – powiedziała – to mały groszek, który wypuścił zielone listki! W jaki sposób mogło się to ziarno dostać do szpary? Masz teraz mały ogródek, na który możesz sobie patrzeć.

Przesunięto łóżko chorej bliżej okna, aby dziewczynka mogła patrzeć na kielkujący groch, a matka poszła do roboty.

– Mamo, wydaje mi się, że wyzdrowieję – powiedziała dziewczynka wieczorem. – Słońce grzało mnie dzisiaj tak mocno. Groszek przyjął się tak dobrze i ja na pewno także wyzdrowieję, wstanę i wyjdę na słońce.

– Daj Boże! – powiedziała matka, chociaż nie wierzyła, aby to się mogło stać; kijkiem podparła kielkujący groch, który obudził tyle radosnych myśli w dziewczynce; nie chciała, aby go wiatr połamał. Koniec nitki przywiązała do parapetu okna i do górnej części ramy, aby pędy groszku miały się na czym oprzeć i piąć, strzelając w górę; widać było, jak groszek rozwija się z każdym dniem.

– Doprawdy, ma pączki! – powiedziała pewnego ranka kobieta i zaświtała jej nadzieja, że mała, chora dziewczynka wyzdrowieje; uprzytomniła sobie, że w ostatnich czasach mała ożywiła się, więcej mówiła, a w ciągu ostatnich dni sama siadała na łóżku i błyszczącymi oczami patrzyła na maleńki ogródek, który składał się z jedyne go ziarnka grochu. W tydzień później chora dziewczynka po raz pierwszy wstała na godzinę z łóżka. Uszczęśliwiona siedziała w promieniach ciepłego słońca; okno było otwarte, a przed oknem rósł w pełnym rozkwicie czerwono-biały kwiatek groszku. Dziewczynka pochyliła główkę i pocałowała ostrożnie delikatne płatki. Dzień ten był prawdziwym świętem.

– Pan Bóg sam posadził to ziarnko i pozwolił rozkwitnąć roślince, aby dodać nadziei tobie, moje drogie dziecko, i mnie – powiedziała uszczęśliwiona matka i uśmiechnęła się do kwiatka jak do dobrego anioła zesłanego przez Boga.

A co się stało z innymi ziarnkami?

To, które poleciało w daleki świat, wołając: „Niech mnie schwyta, kto potrafi”, wpadło do rynny na dachu i dostało się do gołębnika, leżało tam jak Jonasz w brzuchu wieloryba.

Dwa leniwe ziarnka zostały pożarte przez gołębia. Przynajmniej na coś się przydały.

Ale czwarte ziarnko, to, które chciało się dostać do słońca, wpadło do rynsztoka, leżało tam dnie i tygodnie w stojącej wodzie i pęczniało.

– Utyłem porządnie – powiedział groszek. – Pękam! Dalej nie może zajść i nie zaszło dalej chyba żadne ziarnko grochu. Jestem najniezwyklejsze ze wszystkich pięciu ziarenek w strączku.

A rynsztok podzielił to zdanie.

Przy oknie w pokoiku na poddaszu stała dziewczynka z błyszczącymi oczami, zdrowymi, rumianymi policzkami, patrzyła na kwiatek grochu i dziękowała za niego Panu Bogu.

– A ja jednak upieram się przy moim ziarnku – powiedział rynsztok.

NIEGODNA KOBIETA

Burmistrz stał przy otwartym oknie; miał na sobie koszulę z koronkowymi mankietami, szpilkę wpiętą do żabotu, był niezwykle starannie ogolony, sam się zawsze golił, zaciął się wprawdzie trochę, ale przykleił w tym miejscu skrawek gazety.

– Słuchaj no, mały! – zawołał.

A ten mały to był syn praczki; właśnie tamtędy przechodził i z szacunkiem zdjął czapkę; daszek czapki był złamany tak specjalnie, że można ją było schować do kieszeni. W ubogim, ale czystym i niezwykle porządnie wylatanym ubraniu, w ciężkich, drewnianych buciskach stał przed burmistrzem, pełen szacunku, jak przed samym królem.

– Jesteś dobrym chłopcem – powiedział burmistrz – jesteś grzecznym chłopcem. Twoja matka pierze bieliznę w strumieniu, a ty zanosisz jej to, co masz tam w kieszeni. Trudna sprawa z twoją matką. Ile tam tego masz?

– Pół miarki – odpowiedział chłopiec przerażonym i cichym głosem.

– A dzisiaj rano zaniósłeś jej również tyle? – pytał dalej.

– Nie, to wczoraj – odpowiedział chłopiec.

– Dwie pół miarki tworzą całą miarkę. To niegodna kobieta! Niełatwe są stosunki z ludźmi tego pokroju. Powiedz twojej matce, niech się wstydzi! Ty przynajmniej nie bądź pijakiem, ale na pewno też nim zostaniesz. Biedne dziecko! No, idź już sobie.

I chłopiec poszedł. Czapkę trzymał w ręku, wiatr powiewał jego jasnymi włosami, które długimi pasmami podnosiły się do góry. Skręcił na rogu w małą uliczkę prowadzącą do strumyka, gdzie jego matka stała na desce nad wodą i z wysiłkiem tłukła bieliznę kijanką. Woda rwała mocno, gdyż otworzono śluzę młyna, prąd porwał prześcieradło i o mało co nie uniósł kładki, na której stała praczka; musiała opierać się mocno, żeby nie spaść.

– O mało co nie zabrała mnie woda – powiedziała. – Dobrze, że jesteś, muszę podtrzymać swe siły. Tak tu zimno w wodzie, stoję tu już sześć godzin. Masz co dla mnie? – Chłopiec wyjął butelkę; matka przyłożyła ją do ust i pociągnęła jeden łyk.

– O, jakie to dobre! Jak grzeje. To jest to samo co ciepła strawa, a kosztuje taniej. Pij, mój chłopcze! Jesteś taki blady, marzniesz w lekkim ubraniu. Przecież już jesień. Brr, jaka zimna

woda! Byle nie zachorować! Ale nie zachoruję! Daj mi jeszcze łyk i ty także wypij, ale tylko kropelkę, nie powinieneś się przyzwyczajać, moje biedne, wynędzniałe dziecko.

Skierowała się za groble, gdzie stał chłopiec, i stanęła na suchej ziemi; woda spływała ze słomianej maty, którą była przewiązana w pasie, woda spływała z jej spódnicy!

– Haruję i męczę się, aż mi krew prawie wytryska spod paznokci.

Ale to wszystko jedno, obym tylko mogła cię uczciwie wykierować na ludzi, moje drogie dziecko!

W tej samej chwili ukazała się trochę starsza kobieta, ubogo ubrana, kulała na jedną nogę, a nad jednym jej okiem zwieszał się wielki, przyprawiony pukiel włosów, który miał zasłonić bielmo, ale tylko zwracał na nie uwagę.

Była to przyjaciółka praczki, „kulawa Maren z kosmykiem”, jak ją nazywały sąsiadki.

– Biedna, jak harujesz i męczysz się stojąc w zimnej wodzie! Naprawdę trzeba ci rozgrzewki, a złe języki obgadują cię przez parę kropelek! – i powtórzyła praczce wszystko, co mówił burmistrz do chłopca. Maren słyszała jego słowa i gniewała ją, że nagadał tak dziecku o własnej matce, i to z powodu tych paru kropel, podczas gdy sam wydawał wielki obiad z winem, które pito butelkami.

– Wyborne wina, mocne wina! I trochę więcej, niż trzeba, by ugasić pragnienie. Ale tego nie nazywa się pijaństwem. To są godni ludzie, a ty jesteś niegodna.

– Tak do ciebie mówił, dziecko? – spytała matka i jej wargi zdrząły lekko. – Masz niegodną matkę. Może ma rację. Ale dziecku nie powinien być tego mówić. Tak, w tym domu już niejedno mnie spotkało.

– Służyłaś przecież u nich, kiedy rodzice burmistrza jeszcze żyli i mieszkali w tym domu; to już wiele lat temu. Od tego czasu zjedzono już wiele garnców soli, można po nich mieć pragnienie. – Maren zaśmiała się. – Dziś burmistrz wydaje wielki obiad, miano go wprawdzie odwołać, ale już było za późno, jedzenie już przygotowane. Słyszałam to od stajennego chłopca. Przed godziną przyszedł list, że młodszy brat burmistrza zmarł w Kopenhadze.

– Umarł! – zawołała praczka i zbladła jak trup.

– Cóż to? Bierzesz to tak bardzo do serca? – zapytała kobieta. – Aha, znałaś go przecież z czasów, gdy u nich służyłaś.

– Umarł! Był to najlepszy, najszlachetniejszy człowiek. Bóg nie ma wielu takich jak on u siebie. – I łzy spłynęły po jej policzkach. – Mój Boże, wszystko mi się kręci przed oczyma, to

dlatego, że wypilałam całą butelkę. To mi szkodzi. Tak mi niedobrze! – i chwyciła się mocno za deskę.

– Mój Boże, źle z tobą, kobieto! – powiedziała Maren. – Opanuj się, to przejdzie; nie! jesteś, zdaje się, naprawdę chora. Najlepiej będzie, jeśli cię odprowadzę do domu.

– A bielizna?

– Zajmę się tym. Chodź, daj mi ramię; chłopiec może tu zostać i uważać, aż ja wrócę i dokończę prania; już niewiele zostało.

Praczką ledwie trzymała się na nogach.

– Za długo stałam w zimnej wodzie; od rana nic nie jadłam i nic nie piłam. Mam gorączkę! Ach, Boże pomóż mi wrócić do domu. Moje biedne dziecko! – I płakała.

Chłopiec też płakał siedząc sam nad brzegiem wody nad mokrą bielizną. Obie kobiety szły bardzo powoli, praczka zachwiała się na rogu, szły ulicą obok domu burmistrza i właśnie w tym miejscu praczka upadła na bruk. Nadbiegli ludzie.

Kulawa Maren wbiegła do domu burmistrza wezwać pomocy. Burmistrz i jego goście wyjrżeli przez okna.

– To praczka – powiedział – wypila trochę za dużo; to niegodna kobieta! Żal mi tego ładnego chłopca, jej syna. Bardzo go naprawdę lubię, ale matkę ma niegodną!

Kobietę ocucono i zaprowadzono do jej ubogiego mieszkanka, gdzie się położyła do łóżka. Dobra Maren zagotowała dzbanek gorącego piwa z masłem i z cukrem, uważała to za najlepsze lekarstwo: potem poszła nad wodę, wypłukała bieliznę, ale pomimo dobrych chęci robiła to bardzo źle. Wreszcie wyciągnęła na brzeg tylko zamoczoną bieliznę i włożyła do kosza.

Pod wieczór Maren czuwała w ubogiej izdebce przy chorej praczce. Przyniosła jej kilka smażonych kartofli i ładny, tłusty kawałek szynki, dostała to dla niej od kucharki burmistrza. Maren i chłopiec posilili się, a chora zadowolona się zapachem; mówiła, że to także syci.

Chłopiec położył się do łóżka, do tego samego, w którym leżała matka, tylko że miał tam miejsce w poprzek, w jej nogach, i przykrył się starym dywanikiem uszytym z czerwonych i niebieskich skrawków.

Praczce zrobiło się trochę lepiej, wzmocniło ją gorące piwo i dobrze jej zrobił zapach delikatnego jedzenia.

– Dziękuję ci, dobra duszo – powiedziała do Maren – kiedy chłopiec uśnie, wszystko ci opowiem. Wydaje mi się, że już nawet śpi. Jakże ładnie i mile wygląda z zamkniętymi oczami!

Nie wie, wcale, ile przecierpiała jego matka, daj Boże, aby nigdy nic podobnego nie doświadczył! Służyłam u radców nadwornych, rodziców burmistrza; zdarzyło się, że najmłodszy z synów, student, wrócił do domu; byłam wtedy młoda, płocha, szalona, ale uczciwa, mogę to wyznać przed obliczem Boga – powiedziała praczka. – Student był taki wesoły, pogodny i dobry, każda kropla jego krwi była dobra i sprawiedliwa, nie było na świecie lepszego człowieka. Był paniczem, a ja tylko służącą, ale pokochaliśmy się czystą miłością. Pocałunek nie jest przecież grzechem, kiedy się czuje prawdziwą miłość; powiedział o tym swojej matce; była dla niego Bogiem na ziemi; taka mądra, pełna miłości i dobroci. Wyjechał i włożył mi na palec swój złoty pierścionek. A kiedy odjechał, zawołała mnie moja pani do siebie: była poważna, ale bardzo łagodna, mówiła do mnie jak sam Pan Bóg; wytłumaczyła mi jasno, jaka nas dzieli przepaść pod względem pochodzenia i wykształcenia. „Teraz on widzi twoją urodę – mówiła – ale wygląd zewnętrzny szybko przemija. Nie jesteś tak wykształcona jak on, nie jesteście sobie równi duchowymi zaletami i tu właśnie tkwi nieszczęście. Poważam biednych – powiedziała – biedny może otrzymać w niebie wyższe miejsce niż niejeden bogacz, ale tutaj na ziemi nie trzeba przestawiać wozu na niewłaściwy tor, gdy się jedzie w drogę, gdyż wóz się przewróci i oboje wypadniecie. Wiem, że prosił o twoją rękę dzielny człowiek, rzemieślnik, Eryk rękawicznik, jest on wdowcem, nie ma dzieci i dobrze mu się powodzi; zastanów się nad tym.” – Każde słowo, które powiedziała, przeszywało mi serce jak nożem, ale ta kobieta miała rację i to właśnie mnie dobijało. Pocałowałam ją w rękę i płakałam gorzkimi łzami, a kiedy wróciłam do swojej komórki i rzuciłam się na łóżko, było mi jeszcze gorzej. Ciężka to była noc, która nadeszła potem. Bóg wie, ile wycierpiałam i namęczyłam się. W niedzielę przystąpiłam do Pańskiego stołu, aby Pan mnie oświecił. Było to jak gdyby przeznaczenie; wychodząc z kościoła spotkałam Eryka rękawicznika. W duszy mojej, nie było już wątpliwości; odpowiadaliśmy sobie sferą i stanowiskiem w świecie, był to poza tym zamożny człowiek. Podeszłam do niego, wzięłam go za rękę i spytałam: „Czy myślisz jeszcze wciąż o mnie?” – „Zawsze i wiecznie”, odpowiedział. – „Czy chcesz wziąć dziewczynę, która cię poważa i szanuje, ale cię nie kocha, a przecież to może przyjść z czasem.” – „Tak, to może przyjść z czasem”, powiedział i podaliśmy sobie ręce.

Wróciłam do domu, do mojej pani; złoty pierścionek, który dostałam od jej syna, nosiłam na piersi, gdyż w dzień nie mogłam go nosić na palcu, ale wieczorem, kiedy kładłam się spać, wkładałam go zawsze. Pocałowałam pierścionek tak, że aż mi pokrwawił wargi, a potem oddałam go mojej pani i powiedziałam, że na przyszłą niedzielę odbędą się moje zapowiedzi z

rękawicznikiem. Wtenczas pani wzięła mnie w ramiona i uściskała; i nie mówiła, że jestem niegodna, może byłam wtedy lepsza, chociaż nie wypróbowałam tylu przeciwności życiowych. W święto Oczyszczenia odbył się nasz ślub. Pierwszego roku wszystko szło dobrze, trzymaliśmy jednego czeladnika i jednego ucznia i ty u nas służyłaś, Maren.

– Ach, byłaś dobrą gospodynią – powiedziała Maren. – Nigdy nie zapomnę, jacy byliście dla mnie dobrzy, ty i twój mąż.

– Tak, dobre to były lata, kiedy u nas byłaś. Dzieci nie mieliśmy jeszcze wtedy. Studenta nie zobaczyłam już nigdy. Raz go wprawdzie widziałam, ale on mnie nie widział. Przyjechał na pogrzeb swojej matki. Widziałam, jak stał nad grobem, był taki biedny i taki smutny, ale to dlatego że stracił matkę. Kiedy później umarł jego ojciec, był w obcych krajach i nie przyjechał na pogrzeb. Nigdy od tej pory tu nie był! Nie ożenił się, podobno został prokuratorem; o mnie zapomniał, a gdyby nawet mnie zobaczył, nie poznałby, wyglądam tak okropnie. Szczęście, że mnie nie widział.

Potem opowiedziała o ciężkich dniach próby, o nieszczęściach, które zaraz potem na nią spadły. Mieli pięćset talarów, a na ulicy znajdował się dom za dwieście talarów, opłacało się zburzyć ten dom, wybudować nowy, wobec czego dom kupiono. Murarze i cieśle obliczyli, że to ma kosztować tysiąc dwieście talarów. Eryk rękawicznik miał kredyt, pożyczył pieniądze w Kopenhadze, ale marynarz, który wiozł te pieniądze, rozbił się wraz z okrętem i pieniądze poszły na dno.

– W tym czasie urodziłam mego kochanego chłopca, który tu śpi. Ojciec dziecka obłóźnie zachorował i przez trzy kwartały musiałam go ubierać i rozbierać. Było z nami bardzo źle, pożyczaliśmy i pożyczaliśmy, cały nasz majątek przepadł. Mąż umarł. Pracowałam i harowałam. Cierpiałam dla mego dziecka, szorowałam schody, prałam bieliznę zwyczajną i wykwintną, nie sądzone mi było dożyć lepszych czasów. Pan Bóg tego nie chce, ale zbawi mnie i zaopiekuje się moim synem.

I potem zasnęła.

Nad ranem wzmocniona snem, pomyślała, że jest dość silna, by wrócić do pracy. Zaledwie weszła do zimnej wody poczuła dreszcze i zemdlała; kurczowo wyciągnęła przed siebie rękę, zrobiła jeden krok i upadła. Głowa leżała na suchej ziemi, ale nogi były w wodzie, jej drewniane sandały, w których stała na kładce, wypchane słomą, porwał prąd. Tak zastała ją Maren, kiedy przyszła do niej z kawą.

Tymczasem burmistrz posłał po nią do domu, by natychmiast do niego przysłała, gdyż ma jej coś powiedzieć. Ale było za późno. Wezwano felczera, aby jej upuścił krwi. Ale praczka była martwa.

– Zapłała się na śmierć – powiedział burmistrz.

W liście donoszącym o śmierci brata podana była treść testamentu, jaki zostawił; było tam napisane, że wdowa po rękawiczniku, która służyła niegdyś u jego rodziców, ma po jego śmierci otrzymać sześćset talarów. Pieniądze te według najlepszego uznania mają zostać wypłacone w większych i mniejszych sumach jej i jej dziecku.

– Było tam coś między nią a moim bratem – powiedział burmistrz – to szczęście, że zeszła mu z drogi; chłopiec dostanie teraz całą sumę, a ja umieszczę go u porządnym ludzi, będzie z niego dobry rzemieślnik.

Bóg pobłogosławił tym słowom.

Burmistrz wezwał do siebie chłopca, obiecał mu, że się nim zajmie, i powiedział:

– Jak to dobrze, że twoja matka umarła, gdyż była to niegodna kobieta!

Zaniesiono ją na cmentarz, na cmentarz dla ubogich. Maren zasadziła mały różany krzew na grobie, chłopiec stał obok.

– Moja droga mama! – powiedział i łzy spływały mu po policzkach. – Czy to prawda, że była niegodna?

– Była to bardzo godna kobieta – powiedziała stara Maren i spojrzała w niebo. – Wiem to od wielu lat i od wczorajszego wieczora. Mówię ci, była bardzo godna. I Bóg w królestwie niebieskim mówi to samo. A tu na ziemi niechże sobie mówią, że była niegodna!

OSTATNIA PERŁA

Był to bogaty dom, szczęśliwy dom, wszyscy, którzy tam mieszkali, państwo i służba, nawet przyjaciele, byli szczęśliwi i weseli; tego dnia urodził się dziedzic, syn; matka i dziecko czuli się dobrze.

Lampka w przytulnej sypialni była na wpół zasłonięta, okna były szczelnie zakryte ciężkimi, jedwabnymi zasłonami z kosztownej materii. Dywan był gruby i miękki jak mech, wszystko urządzono po to, aby drzemać, spać, aby rozkosznie wypoczywać – tak też czyniła położnica: spała i mogła sobie na to pozwolić – bo wkoło było dobrze i spokojnie. U wezglowia łoża stał duch opiekuńczy domu, nad dzieckiem, spoczywającym przy piersi matki, rozsunęła się jak gdyby bogata siatka, utkana z błyszczących gwiazd, a każda z tych gwiazd była perłą szczęścia. Dobre wróżki życia przyniosły nowo narodzonemu swoje dary; błyszczało tu zdrowie, bogactwo, powodzenie, miłość, słowem – wszystko – czego człowiek może zapragnąć na ziemi.

– Wszystko tu przeniesiono w darze – powiedział duch opiekuńczy.

– Nie! – zabrzmiał obok jakiś głos. To odezwał się anioł stróż dziecka. – Jeszcze jedna wróżka nie przyniosła swego daru, ale przyniesie go, przyniesie chociażby po wielu latach. Brakuje ostatniej perły!

– Brakuje! Tu nic nie może brakować, a gdyby to było prawdą, to poszukajmy tej potężnej wróżki – powiedział duch opiekuńczy – pójdźmy do niej!

– Ona przyjdzie sama, przyjdzie kiedyś! Jej perła konieczna jest do zakończenia wieńca.

– Gdzież ona jest? Gdzie jest jej dom? powiedz mi, a wtedy pójdę i przyniosę tę perłę.

– Pójdiesz do niej – powiedział dobry anioł dziecka – ja cię do niej zaprowadzę, gdziekolwiek przebywa. Nie ma stałego miejsca pobytu, bywa w królewskim pałacu i u najbiedniejszego chłopca, obok żadnego człowieka nie przechodzi bez śladu, bo wszystkim składa swoje dary, które stanowią cały świat lub tylko zabawkę! I do tego dziecka musi przyjść także wcześniej czy później. Czas jest dla wszystkich jednakowy, ale niejednakowy przynosi pożytek. Dobrze, pójdziemy po tę perłę, po ostatnią perłę w tym bogatym wieńcu!

Trzymając się za ręce duchy przyleciały do tego miejsca, gdzie właśnie o tej porze znajdowała się siedziba wróżki.

Był to duży dom o ciemnych korytarzach i pustych, dziwnie cichych pokojach; rząd okien otwarto tak, że ostre powietrze Wdzierało się do wnętrza; długie, białe, zwieszające się firanki poruszały się na wietrze.

Pośrodku na podłodze stała otwarta trumna i spoczywało w niej ciało kobiety zupełnie jeszcze młodej; piękne, świeże róże pokrywały ją całą tak, że widać było tylko jej delikatne, splecione ręce i rozjaśnione śmiercią, pełne szlachetnej powagi oblicze, które dostąpiło łaski Boga.

Przy trumnie stali mąż i dzieci, a była ich cała gromada; ojciec trzymał najmłodsze dziecko na ręku – przyszli na ostatnie pożegnanie; mąż ucałował jej rękę, która była jak zwiędły liść, a przedtem ręka ta dbała o niego, pełna siły i miłości. Gorzkie, ciężkie łzy spływały wielkimi kroplami na podłogę, ale nie padło ani jedno słowo; w milczeniu tym mieścił się cały świat bólu. Odeszli potem, cicho łkając.

Stała tam świeca, płomień jej obracał się na wietrze, tryskając w górę długim, czerwonym językiem.

Weszli obcy ludzie, przykryli umarłą wiekiem, zabili mocno gwoździami, głośno zabrzmiał stuk ich młotka po pokojach i korytarzach domu, odbijał się echem w sercach, które krwawiły.

– Dokąd mnie prowadzisz? – spytał duch opiekuńczy. – Nie mieszka tu wróżka, której perła należy do najlepszych darów życia!

– Przebywa tu w tym miejscu, tutaj o tej świętej godzinie – powiedział anioł stróż i wskazał na kąt pokoju, gdzie za życia siadywała matka pomiędzy kwiatami i obrazami, jak błogosławiona wróżka domu, pełna miłości do męża, dzieci i przyjaciół, jak promień słoneczny szerzyła radość i była sercem tego domu – teraz na tym miejscu siedziała obca kobieta, owinięta w długie, powiewne szaty. Była to Troska, która tu teraz panowała, Troska matkowała w miejscu umarłej. Pałaca łza potoczyła się po jej łonie i przemieniła się w perłę; świeciła ona wszystkimi barwami tęczy, anioł pochwycił ją, a perła błysnęła jak gwiazda siedmiobarwnym blaskiem.

– Perła Troski, ostatnia perła, której nie może zabraknąć! Przy niej wzmacnia się blask i moc innych! Czy widzisz odbłask tęczy, wiążącej niebo z ziemią? Każda droga osoba, która od nas odchodzi, stwarza nam w niebie o jednego przyjaciela więcej, za którym tęsknimy. Ziemską nocą patrzymy ku gwiazdom myśląc o spełnieniu życzeń. Spójrz na perłę Troski, posiada ona jak Psyche skrzydła, które unoszą nas w górę!

IB I KRYSTYNKA

Niedaleko rzeki Guden w lesie pod Silkeborgiem wznosi się na kształt wału pagórek, który zowią Aasen. U podnóża tego pagórka, na zachodzie, znajdowała się, a właściwie dotychczas się znajduje, mała, wiejska chałupka otoczona nieurodzajną ziemią; piasek prześwieca pomiędzy rzadkimi kłosami żyta i jęczmienia. Było to wiele lat temu; ludzie, którzy tu mieszkali, uprawiali swój mały kawałek pola; prócz tego mieli trzy owce, jedną świnie i dwa woły, słowem, jeżeli się bierze życie takim, jakim jest, mieli zupełnie wystarczające dochody, mogli nawet kupić sobie parę koni, ale mówili tak jak inni wieśniacy z tej okolicy: „Koń zeżre siebie” – to znaczy, że zjada to, co zapracuje.

Jeppe-Jaens w lecie uprawiał swoje pólko, a w zimie zajmował się wyrabianiem drewnianych chodaków. Miał również pomocnika, chłopaka, który potrafił wycinać z drzewa chodaki; były one solidne i lekkie i miały piękny kształt. Wyrabiali buty i drewniane łyżki, zarabiali na tym pieniądze, tak że nie można było powiedzieć, że u Jeppe-Jaensa była bieda.

Mały Ib, siedmioletni chłopiec, jedyne dziecko w domu, siedział, przyglądał się pracy i strugał drewniany patyczek; nieraz kaleczył się w palec; ale pewnego dnia wyciął dwa kawałki drzewa w ten sposób, że wyglądały jak małe chodaki, chciał je, jak mówił, podarować Krystynce; była to córeczka flisaka, delikatna i śliczna, zupełnie jak pańskie dziecko; gdyby miała takie ładne sukienki, jak tego wymagała jej zgrabna figurka, nikt by nie pomyślał, że mieszka w chałupie z torfu na wrzosowisku. Mieszkał tam jej ojciec, wdowiec, który żył z tego, że spławiał drzewo z lasu do wędzarni w Silkeborgu, a często i dalej, aż do Randers. Nikt nie opiekował się wówczas Krystynką, o rok młodszą od Iba, i dlatego była prawie ciągle na tratwie lub bawiła się na wrzosowisku i wśród krzaków borówek; kiedy pewnego razu ojciec musiał wyruszyć aż do Randers, wtedy Krystynkę zaprowadzono do chaty Jeppe-Jaensa.

Ib i Krystynka zgodnie jedli i bawili się razem; kopali dołki, grzebali się w piasku, pełzali i chodzili, a pewnego dnia odważyli się oboje wejść zupełnie sami wysoko na pagórek Aasen i zapuścili się aż do lasu; znaleźli tam raz parę bekasich jaj. Było to dla nich wielkie wydarzenie.

Ib nie był jeszcze nigdy wysoko na wrzosowisku, nie jeździł nigdy po jeziorach, aż do rzeki

Guden, ale teraz miał właśnie pojechać; został zaproszony przez flisaka i już w wigilię podróży poszedł z nim do domu.

Wczesnym rankiem na wysoko spiętrzonych kłodach drzewa dzieci siedziały we dwójkę na tratwie i jadły chleb z malinami. Flisak i jego pomocnik popychali tratwę naprzód; tratwa płynęła szybko z prądem w dół rzeki Guden przez jeziora, które wydawały się zamknięte wokół lasem i sitowiem, ale mimo to zawsze znajdowało się jakieś przejście, nawet wówczas, gdy stare drzewa schylały się nisko nad wodą, a dęby wyciągały swe obnażone gałęzie, jak gdyby zakasały rękawy pragnąc pokazać swe sęcate, nagie ramiona; stare olchy, które prąd podmył przy brzegu, trzymały się mocno korzeniami ziemi i wyglądały jak małe wysepki; nenufary kołysały się na wodzie; była to piękna jazda. A potem przybyli na miejsce, gdzie woda szumiała przepływając przez tamy. To się najlepiej podobało Ibowi i Krystynce.

Wówczas nie było tam jeszcze fabryki ani miasteczka, stał tu jedynie folwark i nie było tam wielkiego ruchu; spadek wody przez śluzę, krzyki dzikich kaczek były wówczas jedynymi stałymi oznakami życia. Kiedy drzewo zostało spławione, ojciec Krystynki kupił sobie kilkanaście węgorzy i zabitego prosiaka; wszystko to włożono do koszyka i postawiono z tyłu na tratwie. Wracali teraz pod prąd, ale wiatr był pomyślny i kiedy rozwinięto żagle, tratwa pędziła tak, jak gdyby zaprzężono do niej parę koni.

Kiedy znaleźli się tak wysoko pod lasem, że pomocnik flisaka miał już blisko do domu, wysiadł on wraz z ojcem Krystynki na brzeg, a dzieciom kazali zachowywać się cicho i ostrożnie; ale dzieci niedługo siedziały spokojnie; po chwili zajrzały do koszyka z węgorzami i prosiakiem; wzięły prosię do ręki, wrywały je sobie wzajemnie, aż upuściły i prosię wpadło do wody. Poniósł je prąd; to było straszne zdarzenie!

Ib wyskoczył na brzeg i pobiegł przed siebie; Krystynka go dogoniła.

– Weź mnie ze sobą! – wołała i oboje wkrótce znaleźli się w gęstych krzakach, skąd nie widzieli już ani tratwy, ani rzeki; biegli jeszcze kawałek drogi, gdy nagle Krystynka upadła i zaczęła płakać; Ib podniósł ją.

– Chodź ze mną! – powiedział – Tam jest nasz dom! – Ale domu tam nie było. Szli i szli po zwiędłych liściach, po suchych, opadłych gałązkach, które trzeszczały pod nóżkami; nagle usłyszeli czyjeś głośne wołanie – stanęli i nasłuchiwali; był to głos orła. Tym przejmującym krzykiem oboje przerazili się bardzo, ale przed nimi rosły w lesie najpiękniejsze czarne jagody, nieprawdopodobne mnóstwo jagód; były one tak nęcące, że musieli się zatrzymać. Zatrzymali

się więc i jedli, aż ich usta i policzki umorusały się na czarno. Nagle znowu usłyszeli wołanie.

– Dostaniemy baty za prosiaka! – powiedziała Krystynka.

– Chodźmy do nas! – powiedział Ib. – To tu zaraz w lesie! – I poszli. Wyszli na szosę, ale szosa nie prowadziła do domu; zrobiło się ciemno i dzieci ogarnęło przerażenie. Głęboką ciszę, jaka panowała dookoła, mąciły przykre krzyki wielkiego puszczyka i innych ptaków, których nie znali; wreszcie schronili się oboje w gęstych zaroślach. Krystynka płakała i Ib płakał, aż wreszcie po całej godzinie płaczu położyli się na zeschniętych liściach i zasnęli.

Słońce stało wysoko na niebie, kiedy się obudzili; zmarzli porządnie, ale wysoko na pagórku tuż nad nimi słońce przeświecało przez drzewa; tam będą mogli się rozgrzać – pomyślał Ib – stamtąd będą mogli także zobaczyć dom rodziców; ale byli daleko od domu, zupełnie w innej stronie lasu. Wdrapali się wysoko na pagórek i niespodziewanie znaleźli się na stromym wybrzeżu jasnego, przezroczystego jeziora; kłębiły się tam roje ryb, oświetlone promieniami słońca. Widok ten był nieoczekiwany. Tuż obok nich rósł duży krzew orzechów; trafiło się siedem w jednym pęczku; zrywali je, gryźli i zjadali delikatne jądra, które dopiero się zawiązywały... A potem spotkała ich jeszcze jedna niespodzianka, która ich przestraszyła. Z zarośli wyszła wysoka, stara kobieta o brązowej twarzy i czarnych, lśniących włosach, białka jej oczu błyszczały jak u Murzynów; na plecach miała węzeł, w ręku sękaty kij; była to Cyganka. Dzieci nie od razu zrozumiały, co mówiła; wyciągnęła z kieszeni trzy duże orzechy i powiedziała, że w każdym z nich znajdują się najcudniejsze rzeczy, że są to zaczarowane orzechy.

Ib spojrział na nią; była tak miła, że ośmielił się i zapytał czy zechce mu podarować te orzechy. Kobieta dała mu je, a w zamian zerwała z krzewu pełną garść innych orzechów, którymi wypchała sobie całą kieszeń.

Ib i Krystynka patrzyli wielkimi oczami na trzy zaczarowane orzechy.

– Czy w tym orzechu znajduje się zaprzężony wóz? – spytał Ib.

– Tam w środku jest złota karetka ze złotymi końmi! – powiedziała kobieta.

– Daj mi ten orzech! – prosiła Krystynka.

Ib dał go jej, a kobieta zawiązała orzech w jej chusteczkę na szyi.

– Czy w tym orzechu znajduje się mały, śliczny szalik, taki, jaki ma Krystynka? – spytał Ib.

– Jest tu dziesięć szalików! – powiedziała kobieta. – Są tu śliczne sukienki, pończoszki i kapelusz.

– Chcę go mieć także! – powiedziała Krystynka i mały Ib dał jej drugi orzech. Trzeci orzech był mały i czarny.

– Ten możesz sobie zatrzymać! – powiedziała Krystynka. – Ten jest także ładny!

– A co w nim jest? – spytał Ib.

– Coś najlepszego dla ciebie! – odpowiedziała Cyganka.

Ib mocno trzymał orzech. Staruszka obiecała, że ich zaprowadzi do domu; ruszyli w drogę, wprawdzie w zupełnie innym kierunku, niż powinni byli iść, ale nie można z tego powodu posądzać jej o to, że chciała ukraść dzieci.

W środku dzikiego lasu spotkali gajowego Chraena, który znał Iba i który zaprowadził ich do domu, gdzie się o nich bardzo niepokojono; przebaczone im, chociaż zasłużyli na dobre baty, po pierwsze dlatego że upuścili do wody prosię, a po drugie za to, że uciekli.

Krystynka wróciła do domu na wrzosowisko, a Ib został w małym domku w lesie; tego wieczora przede wszystkim rozłupał orzech, który zawierał „coś najlepszego”; wsunął orzech ostrożnie pomiędzy drzwi a futrynę, przymknął je – i orzech trzasnął, ale nie widać było ani śladu jądra; orzech był napęczniały jak gdyby tabaką czy czarną ziemią; był, jak to mówią, robaczywy.

– Mogłem się tego spodziewać! – powiedział Ib. – Jakże w tak małym orzechu mogłoby być miejsce na „coś najlepszego”! Krystynka nie będzie miała ze swoich orzechów ani sukienek, ani złotej karety!

Nadeszła zima i przyszedł nowy rok.

I wiele nowych lat minęło. Ib miał przystąpić do konfirmacji i chodził na naukę; proboszcz mieszkał daleko od leśnego domku. W tym czasie flisak odwiedził rodziców Iba i opowiadał, że Krystynka musiała pójść w świat zarabiać na życie i że spotkała ją prawdziwe szczęście, gdyż dostała się na służbę do porządnych ludzi; pomyślcie tylko, przenosi się do bogatych właścicieli gospody Herning, daleko na zachód; będzie tam pomagać gospodyni, a jeżeli się nada, zostanie konfirmowana i zatrzymają ją na stałe.

Ib i Krystynka pożegnali się. Nazywano ich „narzeczonymi”. Przy pożegnaniu Krystynka pokazała mu, że ma jeszcze owe dwa orzechy, które jej dał, gdy błądzili w lesie, i powiedziała, że przechowuje w skrzyni małe drewniaczki, które kiedyś wyciął dla niej z drzewa. Potem rozstali się.

Ib przystąpił do konfirmacji, ale został w domu matki, z ręcznie robił drewniaczki, a w lecie

pracował na małym pólku. Matka miała już tylko jego, gdyż ojciec Iba umarł.

Rzadko słyszano coś o Krystynce; czasami posłaniec pocztowy przywoził jakąś wiadomość, a czasami któryś z rybaków; było jej dobrze u bogatych właścicieli gospody, a po swojej confirmacji napisała list do ojca, w którym przesłała pozdrowienia dla Iba i dla jego matki; pisała też w liście, że dostała od państwa sześć nowych koszul i piękną suknię. Były to dobre wiadomości.

Następnej wiosny pewnego pięknego dnia zapukał ktoś do domku Iba i jego matki; byli to flisak i Krystynka; przyjechała na jeden dzień w odwiedziny. Nadarzyła się jej okazja podróży w obie strony do Them i z powrotem, więc skorzystała z niej. Wyglądała ślicznie – jak delikatna panienska, ładnie ubrana, suknia jej była dobrze uszyta i świetnie na niej leżała. Wyglądała paradnie, a Ib miał na sobie stare, codzienne ubranie. Nie był w stanie przemówić do niej ani słowa; wziął jej rękę, trzymał mocno i był szczerze uradowany, ale nie mógł otworzyć ust; za to Krystynka dużo mówiła, umiała opowiadać i pocałowała Iba w same usta.

– Czy mnie nie poznajesz, Ib? – spytała; ale nawet kiedy zostali sami, stał tylko i trzymał ją za rękę, ledwie odważył się powiedzieć:

– Stałaś się zupełnie wytworną panią, a ja wyglądam tak śmiesznie. Jakże wiele myślałem o tobie, Krystynko, i o tych dawnych czasach!

Trzymając się za ręce, poszli na pagórek i patrzyli za rzekę Guden na wrzosowiska i wzgórza zarośnięte wrzosem. Ib nic nie powiedział, ale kiedy się rozstawali, było dla niego jasne, że Krystynka zostanie jego żoną, nazywali ich przecież od najmłodszych lat narzeczonymi, wydawało mu się, że są parą narzeczonych, chociaż żadne z nich nigdy tego nie wymówiło.

Jeszcze tylko parę godzin mogli być razem, gdyż dziewczyna musiała wracać do Them, skąd następnego dnia wczesnym rankiem miał ruszyć wóz z powrotem na zachód. Ojciec i Ib odprowadzili ją do Them, księżyc świecił jasno. Kiedy tam przyszli, Ib wciąż jeszcze trzymał Krystynkę za rękę i nie mógł jej puścić, oczy błyszczały mu, ale słowa były skąpe, a przecież każde słowo było wydarte z serca.

– O ile się za bardzo nie rozpieściłaś – mówił – i będziesz mogła zamieszkać w domu mojej matki razem ze mną jako moja żona, to się kiedyś pobierzemy... ale możemy trochę poczekać.

– Tak, poczekamy trochę, Ib – powiedziała; przycisnęła jego rękę, a on pocałował ją w usta. – Ufam ci, Ib – powiedziała Krystynka – i myślę także, że cię kocham; ale pozwól mi nad tym jeszcze się zastanowić.

I tak się rozstali. Ib powiedział flisakowi, że jest prawie zaręczony z Krystynką, a flisak twierdził, że tego się zawsze spodziewał; wieczorem wrócił z Ibem do domu i przespali się w jednym łóżku; nie mówiono już więcej o zaręczynach.

Przeszedł rok; Krystynka i Ib napisali do siebie dwa listy. „Wierny aż do śmierci” – brzmiał podpis Iba. Pewnego dnia flisak przyszedł do Iba i przyniósł mu pozdrowienia od Krystynki; miał mu coś jeszcze do oznajmienia, ale mu to szło niesporo. Powiedział wreszcie, że Krystynce dobrze się powodzi, więcej niż dobrze, wyrosła na śliczną dziewczynę, wszyscy ją kochają i poważają. Syn właściciela gospody przyjechał w odwiedziny do domu, pracuje w jakimś wielkim interesie w Kopenhadze w biurze; spodobała mu się Krystynka i on jej się spodobał, jego rodzice również nic nie mają przeciwko temu, ale Krystynce leży na sercu to, iż Ib poważnie o niej myśli, i dlatego to postanowiła odtrącić od siebie to szczęście.

Ib z początku nie powiedział ani słowa, ale pobladł jak prześcieradło, potrząsnął nieco głową i powiedział:

- Krystynka nie powinna odtrącać szczęścia.
- Napisz do niej parę słów – poradził flisak.

Ib napisał; nie mógł jednak skleić ani jednego zdania, tak jak chciał, przekreślał i darł to, co napisał, ale na drugi dzień list do małej Krystynki był gotowy, oto on:

„Czytałem list, który pisałaś do Twego ojca; dowiedziałem się z niego, że Ci się pod każdym względem dobrze powodzi i że może Ci być jeszcze lepiej. Poradz się swego serca, Krystynko, i pomyśl o tym, na co się narażasz, jeżeli mnie wybierzesz – nie jestem przecież bogaty. Nie myśl o mnie ani o tym, jak mi się powodzi, ale myśl o własnym szczęściu. Nie jesteś ze mną związana żadnym przyrzeczeniem, a skoro zaprzysięgłaś mi wierność w swoim sercu, zwalniam Cię z tej przysięgi. Niechaj Ci przyświeca radość całego świata, droga Krystynko. Pan Bóg pocieszy moje serce.

Twój na zawsze oddany Ci przyjaciel Ib.”

List został wysłany i doszedł do rąk Krystynki.

Około święta Marcina wyszły zapowiedzi w kościele na wrzosowisku i w Kopenhadze, gdzie mieszkał narzeczony; tam też pojechała Krystynka ze swą chlebodawczynią, gdyż narzeczony z powodu wielu swoich interesów nie mógł się wybrać w daleką podróż do Jutlandii. Krystynka, zgodnie z umową, jadąc przez miasteczko Funder razem ze swoim ojcem – ponieważ było to najbliżej – tam pożegnała się z Ibem. Rozmawiano trochę, ale Ib nie powiedział nic. „Bywa taki

zamyślony”, powiedziała jego stara matka. Tak, bywał teraz często zamyślony i przypominały mu się trzy orzechy, które jako dziecko dostał od Cyganki i z których dwa podarował Krystynce. Były to zaczarowane orzechy. W jednym z nich znajdowała się złota karetka z końmi, a w drugim – najpiękniejsze suknie. Sprawdzało się to teraz! Na Krystynkę czekało w królewskiej Kopenhadze tyle wspaniałości, dla niej wróżba się spełniła. Dla Iba leżała w orzechu tylko czarna ziemia.

„Coś najlepszego dla ciebie” – powiedziała Cyganka. Tak, nawet i to się sprawdziło; czarna ziemia była dla niego najlepsza. Teraz dobrze zrozumiał, co myślała kobieta. W czarnej ziemi, w mogile będzie mu najlepiej.

Minęły lata – niewiele lat, ale dla Iba był to długi okres czasu. Starzy właściciele gospody umarli wkrótce jedno po drugim, cały majątek, wiele tysięcy talarów odziedziczył ich syn. Teraz Krystynka mogła mieć złotą karetkę i piękne suknie. W ciągu dwóch długich lat, które potem nastąpiły, nie przyszedł żaden list od Krystynki, a kiedy w końcu ojciec otrzymał wiadomość, nie była ona pisana w szczęściu i w radości. Biedna Krystynka!

Ani ona, ani jej mąż nie umieli się obchodzić z majątkiem; poszedł, jak przyszedł – nie było nad nim błogosławieństwa, gdyż oni sami nie czuwali nad nim.

Wrzosa kwitły i przekwitały. Śnieg przykrywał już tyle razy wzgórze i zasłoniętą od wiatrów chatkę w lesie, gdzie mieszkał Ib. Gdy świeciło wiosenne słońce, Ib orał pługiem ziemię. Nagle zahaczył o coś, myślał, że to krzemień, ale wyciągnął z ziemi wielki, czarny wiór, kiedy wziął go do ręki, zobaczył, że to był kawałek metalu, a w tym miejscu, gdzie pług go zadrapał, coś błysnęło jasno. Był to duży, ciężki naramiennik ze złota z czasów pogańskich. W tym miejscu, gdzie znaleziony został drogocenny klejnot, stał niegdyś kurhan żałobny. Ib pokazał klejnot proboszczowi, który mu wytłumaczył, jaki to drogocenny skarb, a potem udał się Ib do wójta, który zawiadomił o znalezieniu skarbu Kopenhagę, i poradził Ibowi, aby sam zawiózł drogocenny klejnot do stolicy.

– Znalazłeś w ziemi najlepsze, coś mógł znaleźć – powiedział wójt.

„Najlepsze – myślał Ib – coś najlepszego, co znalazłem w ziemi. A więc Cyganka i mnie dobrze wywróżyła, jeżeli to ma być to najlepsze!”

Ib pojechał kutrem z Aarhus do stołecznej Kopenhagi. Dla niego, który znał jedynie rzekę Guden, była to podróż dookoła świata.

I tak dojechał do Kopenhagi. Wyplacono mu wartość drogocennego klejnotu, była to duża

suma: sześćset talarów. Tak to z małej chatki na leśnej polanie dostał się Ib do wielkiego, zgiekliwego miasta.

Właśnie w samą wigilię swego wyjazdu z powrotem statkiem do Aarhus zabłądził na ulicach miasta i poszedł w zupełnie innym kierunku, niż zamierzał. Przez most Knippelsbro doszedł do dzielnicy Christianshavan zamiast do wałów przy bramie zachodniej. Na ulicy nie widać było żywej duszy. Z jednego z ubogich domów wyszła mała dziewczynka. Ib spytał ją o drogę, której szukał; dziewczynka zatrzymała się, spojrzała na niego i wybuchnęła płaczem. Zapytał ją, czemu płacze, odpowiedziała mu coś, czego nie zrozumiał; znajdowali się właśnie pod latarnią, której blask oświetlał jasno twarz dziewczynki, wtedy doznał dziwnego wrażenia, gdyż ujrzał przed sobą wykapaną Krystynkę, zupełnie taką samą, jaką pamiętał z dawnych czasów, kiedy oboje byli dziećmi.

Poszedł z małą dziewczynką do ubożego domu po wąskich, prowadzących na poddasze schodach, do małej i niskiej facjatki. Panował tam dławiący zaduch i ciemności. W kącie ktoś ciężko oddychał. Ib zapalił zapałkę. Na ubogim barłogu spoczywała matka dziecka.

– Czy mógłbym pani w jakikolwiek sposób pomóc? – spytał Ib. – Mała wprowadziła mnie na górę, ale ja sam jestem w tym mieście obcy. Czy nie ma tu jakichś sąsiadów lub kogoś, kogo mógłbym wezwać? – I uniósł głowę chorej.

Była to Krystynka z wrzosowiska.

Od lat nikt nie wymówił w Jutlandii jej imienia, gdyż to zmąciłoby spokój i ciche myśli Iba; a pogłoski o jej losach były prawdziwe, lecz niestety wcale nie pocieszające.

Olbrzymi majątek odziedziczony po rodzicach uczynił męża Krystynki pysznym i gwałtownym; rzucił swoją stałą posadę, przez pół roku podróżował po obcych krajach, potem wrócił, narobił długów, a mimo to żył na wielkiej stopie; wóz przechylał się coraz bardziej, aż w końcu przewrócił się. Liczni towarzysze hulanki mówili o nim, że zasłużył na to, gdyż żył jak szaleniec. Pewnego ranka wyciągnięto go martwego z kanału w Parku Zamkowym.

Krystynka była w śmiertelnej rozpacz. Jej najmłodsze dziecko, które miało zaledwie parę tygodni, poczęte w dobrobycie, urodzone w nędzy, umarło, a ona sama leżała nieuleczalnie chora, opuszczona, w nędznej komórcy, tak nędznej, że lepsza była ta na wrzosowisku; była przecież przyzwyczajona do dużo lepszych warunków i boleśnie odczuwała swą nędzę. Tej najstarsze dziecko, również mała Krystynka, cierpiało biedę i głód wraz z nią i oto teraz przyprowadziło do niej Iba.

– Boję się, że umrę i dziecko zostanie sierotą – westchnęła. – Któż się nim zaopiekuje? –
Więcej nie mogła mówić.

Ib zapalił zapałkę, znalazł ogarek świecy, który oświetlił nędzną izdebkę.

Spojrzał na dziewczynkę i myślał o Krystynce z dawnych lat; ze względu na Krystynkę będzie dobry dla tego dziecka, którego dotąd nie znał.

Umierająca spojrzała na Iba, jej oczy stawały się coraz większe i większe, czyżby go poznawała? Nie wiedział; nie przemówiła ani słowa.

Było to w lesie na brzegu rzeki Guden, obok wrzosowiska; powietrze było szare, wrzos już przekwitł; jesienne wichry, wiejące od zachodu, zrywały z drzew żółte liście, które wpadały do rzeki albo unosiły się nad polaną, gdzie stał domek z torfu, w którym niegdyś mieszkał flisak; teraz mieszkali tam obcy ludzie; a pod wzgórzem, osłonięty od wiatru, pod wysokimi drzewami stał pobielany i malowany dom, wewnątrz palił się ogień, w pokoju para dziecięcych oczu błyszczała jak słońce, z świeżych, śmiejących się ust rozbrzmiewały słowa jak śpiew słowika. Życie płynęło wesoło i radośnie; była tam Krystynka. Siedziała na kolanach Iba; Ib był dla niej ojcem i matką, którzy odeszli, jak sen odchodzi od dziecka i od człowieka dorosłego. Ib mieszkał zamożnie w ładnym, miłym domu; był teraz bogatym człowiekiem; a matka dziewczynki leżała na cmentarzu ubogich w stołecznej Kopenhadze.

Ludzie mówili, że Ib ma w skrzyni pieniądze, pieniądze wydobyte z czarnej ziemi. I miał także małą Krystynkę.

GLUPI JASIO

Daleko od wsi wznosił się stary dwór, a w nim mieszkał stary dziedzic. Miał dwóch synów. Byli to tacy mądrale, że i połowy tej mądrości byłoby dość.

Obaj mieli zamiar ubiegać się o rękę królowej, a mogli się na to odważyć; księżniczka bowiem ogłosiła, że ten będzie mężem, kto najpiękniej potrafi przemawiać w swojej sprawie.

Dwaj bracia przygotowywali się przez cały tydzień. Był to najdłuższy termin, jaki mogli wytargować, ale ten czas powinien był im wystarczyć, gdyż każdy z nich i tak już posiadał wstępne wiadomości, a te bywają użyteczne. Jeden umiał na pamięć cały słownik łaciński i miejscową gazetę z trzech lat, i to zarówno od góry do dołu, jak i z dołu do góry; drugi nauczył się wszystkich paragrafów prawa cechowego i tego, co każdy majster powinien wiedzieć. Przy tym wyobrażał sobie, że może rozmawiać o państwowych sprawach, a prócz tego umiał haftować szelki, bo był zręczny i wytworny.

– Z pewnością ja zostanę mężem księżniczki! – mówił każdy z nich. Ojciec zaopatrzył ich w dzielne rumaki, przy czym ten, który umiał słownik i gazetę na pamięć, dostał konia czarnego jak węgiel; ten zaś który znał się na prawie cechowym i haftował, dostał konia białego jak mleko. Następnie posmarowali sobie kąciuki ust rybim tranem, by nabrały ruchliwości.

Cała służba wyległa na dziedziniec, by zobaczyć, jak bracia wsiadają na koń. Aż tu zjawił się trzeci brat. Był bowiem i trzeci, ale nie liczył się za brata, ponieważ nie był taki uczony jak tamci dwaj. Nazywano go Głupim Jasiem.

– Dokądże to dążycie, żeście się tak paradnie wystroili? – spytał.

– Na dwór królewski, by wygadać sobie księżniczkę. Czyś nie słyszał, jak trąbią o tym po całym kraju? – I opowiedzieli mu wszystko.

– Jazda – powiedział Głupi Jasio. – Ja też mogę jechać z wami. – Bracia wysmiali go i odjechali.

– Ojczy, daj mi konia! – zawołał Głupi Jaś. – Mam wielką ochotę się ożenić. Jak mnie weźmie, to mnie weźmie, a jak mnie nie weźmie, to ja ją wezmę.

– To czcze gadanie – powiedział ojciec. – Nie dam ci żadnego konia. Nie potrafisz przemawiać. Co innego twoi bracia: ci świetnie się prezentują.

– Nie dacie mi konia? – zapytał Jasio. – Dobrze, pojedę na kozle. Należy do mnie i dobrze mi na nim jechać. – Dosiadł okrakiem kozła, uderzył go piętami w boki i ruszył przed siebie drogą. Wio, jakże szybko jechał, wołał: – Teraz jadę ja! – a przy tym podśpiewywał tak głośno, że aż echo się rozlegało.

Jego dwaj bracia jechali w milczeniu naprzód i nie mówili ani słówka, musieli przecież układać sobie w myśli to, co powiedzą, bo miało to być coś naprawdę przemyślanego.

– Hop, hop! – zawołał nagle Głupi Jasio. – Teraz jadę ja! Patrzcie, co też znalazłem na szosie! – I podsunął braciom pod oczy zdechłą wronę.

– Jasiu, co chcesz z nią zrobić? – spytali.

– Pragnę ją ofiarować królewskiej córce.

– Dobrze, dobrze, zrób to – powiedzieli bracia ze śmiechem i pojechali dalej.

– Hop, hop! Teraz jadę ja! Patrzcie, co znów znalazłem. Tego nie znajduje się codziennie na szosie.

Bracia obejrżeli się na nowo, żeby zobaczyć, co to było.

– Głuptasie – zawołali – przecież to stary, drewniany chodak z oberwaną przyszwą. Czy i to jest dar od ciebie dla królewskiej córki?

– Tak, i to jej dam – rzekł Jasio, a bracia śmiali się i pojechali wyprzedzając go o kawał drogi.

– Hop, hop! tu jestem! – zawołał Głupi Jasio. – Coraz lepiej! Znowu mam coś nadzwyczajnego. To się nazywa szczęście.

– Cóżes teraz znalazł? – spytali bracia.

– Nie mogę wam powiedzieć. Ale jakże się ucieszy królowna z tego daru.

– Ach! – krzyknęli bracia. – To przecież błoto wyrzucone z rowu.

– Tak, i to błotko w najlepszym gatunku, można je polubić! – powiedział Jasio i wypchał sobie tym błotem kieszenie.

Bracia popędzali co koń wyskoczy i znaleźli się o godzinę przed nim u bramy miasta. Tu wszyscy konkurenci otrzymywali numerki, w miarę jak przybywali, i ustawiono ich w szóstki, tak ciasno ramię przy ramieniu, że nie mogli ręką ruszać. Był to bardzo dobry pomysł, gdyż inaczej poszarpałoby sobie odzież na plecach, tylko dlatego że jeden stał przed drugim.

Dookoła pałacu, aż pod same okna, stali inni mieszkańcy tego kraju, którzy się mieli przyglądać, jak księżniczka przyjmuje zalotników. Ale każdy po przestąpieniu progów księżniczki natychmiast tracił dar wymowy.

Wówczas królewska córka mówiła:

– Do niczego! Precz z nim!

Przyszła kolej na tego brata, który umiał na pamięć cały słownik. Ale podczas gdy stał w szeregu, zapomniał wszystkiego, a poza tym podłoga skrzypiała, sufit był cały z luster i odbijał jego postać do góry nogami, przy każdym oknie stało trzech pisarzy i jeden starszy pan, którzy notowali każde słowo, aby prędzej mogło się dostać do gazet i trafić do każdego za dwa szylingi na rogu ulicy. To było straszne. W dodatku napalono tak silnie w piecu, że się aż rura rozżarzyła.

– Jaki tu okropny upał – powiedział konkurent wchodząc.

– To dlatego, że mój ojciec piekł tu dziś młode kurczaki – powiedziała księżniczka.

– Be! – odparł młodzieniec i zatrzymał się z otwartymi ustami, bo nie oczekiwał takich słów i nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, a czuł, że powinien powiedzieć coś zajmującego. – Be! – Do niczego! – odrzekła natychmiast księżniczka. – Precz! – więc musiał odejść. Przyszła kolej na drugiego brata.

– Jakiż tu straszny upał – powiedział wchodząc.

– Pieczemy dzisiaj młode kurczaki – powiedziała księżniczka.

– Cooo takiego! Coo? – spytał, a wszyscy pisarze zapisali: „Cooo takiego? Coo?”

– Do niczego! – zdecydowała królewska córka. – Precz!

Teraz zjawił się Głupi Jasio. Wjechał na koźle aż do samego pokoju.

– Jaki tu piekielny upał – powiedział.

– To dlatego, że piekę młode kurczaki – powiedziała znowu księżniczka.

– Doskonale! – rzekł Jasio. – Będę mógł wobec tego może upiec wronę?

– Możesz – odrzekła księżniczka. – Ale czy masz w czym upiec, bo nie mam żadnego naczynia, ani rynki, ani garnka.

– Ja mam! Oto naczynie do pieczenia – odrzekł Jasio, wyciągnął stary chodak i położył na nim wronę.

– Ta wrona starczy na obiad – rzekła księżniczka. – Ale skąd weźmiemy sosu?

– Mam go w kieszeni — odrzekł Jasio. – Jest go tyle, że mógłbym część oddać do pieczenia – i wyjął z kieszeni trochę błota.

– To mi się podoba! – zawołała księżniczka. – Przynajmniej potrafisz odpowiadać na pytania, umiesz mówić. Ciebie wezmę za męża. Ale czy wiesz o tym, że każde słowo, które tu mówimy, jest natychmiast zapisane i będzie jutro wydrukowane w gazecie? Przy każdym oknie stoi trzech

pisarzy i jeden starszy majster, a ten majster to jest najgorszy, bo nic nie rozumie.

Powiedziała to umyślnie, by go zmieszać, a pisarze pękali ze śmiechu i zrobili kleksa na podłodze.

– Pewnie to są zacni panowie! – powiedział Głupi Jasio. – Muszę dać za to temu starszemu, co mam najlepszego. – Wywrócił kieszenie i cisnął mu błoto w twarz.

– Ślicznieś to zrobił – pochwaliła królewska córka. – Ja bym tak nie potrafiła. Ale się jeszcze nauczę.

I tak Głupi Jasio został królem, dostał żonę i koronę i wnet znalazł się na tronie. Dowiedzieliśmy się o tym właśnie z gazety tego starszego majstra, tylko że na niej to całkowicie nie można polegać.

SZYJKA OD BUTELKI

W ciasnym, krętym zaułku, wśród mnóstwa nędznych domostw stał dom bardzo wąski i bardzo wysoki z pruskiego muru, który rozsypywał się ze wszystkich stron. Mieszkali w nim ubodzy ludzie, zaś najbiedniej wyglądało poddasze, gdzie przed małym okienkiem wisiała w słońcu stara, pogięta klatka, w której nie było nawet przyzwoitej miseczki dla ptaszków, tylko stała wywrócona szyjka od butelki zamknięta z dołu korkiem i napełniona wodą. W otwartym oknie widać było starą pannę; przystroiła właśnie klatkę zielenią, wśród której uwijała się mała makolągwa i śpiewała, aż się rozlegało.

„Tak, tak, ty możesz śpiewać! – powiedziała szyjka od butelki; nie powiedziała tego wprawdzie tak, jak my mówimy, gdyż szyjka od butelki nie umie mówić, ale pomyślała to sobie w duszy w ten sposób, jak my, ludzie, myślimy. – Tak, ty możesz śpiewać! Jesteś cała, ale spróbowałabyś tak jak ja stracić dolną połowę ciała i mieć tylko szyjkę i usta, do tego zatkane korkiem: wtedy byś na pewno nie śpiewała. Ale dobrze przynajmniej, że ktoś jest szczęśliwy. Ja nie mam powodów do śpiewania i zresztą wcale nie potrafiłabym. Umiałam śpiewać wtedy, kiedy byłam całą butelką i gdy mnie pocierano korkiem; nazywano mnie wówczas skowronkiem, prawdziwym skowronkiem. Było to wtedy, kiedy byłam ze starymi futrzarzami na majówce w lesie, a córka ich zaręczyła się; pamiętam wszystko tak, jakby to było wczoraj. Tak, gdy sięgnę myślą wstecz, widzę, jak wiele przeżyłam. Byłam w ogniu i w wodzie, nisko w głębi czarnej ziemi i wysoko, wyżej od innych, a teraz wiszę w tej klatce na powietrzu i w słońcu; warto by było posłuchać moich dziejów, ale nie mówię o tym głośno, bo nie mogę.”

I szyjka od butelki opowiedziała sobie, a raczej rozpamiętywała w sobie wszystko, co przeżyła, a była to historia osobliwa; mały ptaszek śpiewał wesoło swoją piosenkę, w dole na ulicy ludzie szli i jechali, każdy rozmyślał o swoich sprawach albo nie myślał wcale; ale szyjka od butelki rozmyślała.

Przypomniała sobie płonący piec hutniczy w fabryce, gdzie wydmuchiowano ją do życia; przypomniała sobie, jak zajrzała, jeszcze gorąca, do syczącego pieca, skąd wyszła, i miała wielką ochotę wskoczyć tam z powrotem, dopiero stopniowo, w miarę jak stygła, poczuła się dobrze tam, gdzie stała w jednym szeregu z całym pułkiem braci i sióstr; wszystkie pochodziły z tego

samego pieca, ale jedne wydmuchiowano na butelki do szampana, a inne na butelki do piwa, a to przecie różnica. Później w świecie można wprawdzie napełnić butelkę od piwa najwyborniejszym winem: „Lacrimae Christi”, zaś w butelce od szampana umieścić czernidło, ale po zewnętrznym kształcie można zawsze poznać, do czego się było przeznaczonym. Szlachcic to szlachcic, nawet z czernidłem w brzuchu.

Wszystkie butelki zostały zapakowane i nasza butelka również wtedy nie myślała o tym, że skończy swój żywot jako szyjka od butelki i że zaawansuje aż do stanowiska miseczki dla ptaków, bądź co bądź, uczciwa to pozycja, przynajmniej jest się czymś. Ujrzała dopiero na nowo światło dzienne, kiedy ją z innymi towarzyszkami wypakowano w piwnicy winiarza i po raz pierwszy opłukano. Było to dziwne uczucie. Leżała teraz pusta i bez korka, odczuwała dziwną czczość, czuła, że jej czegoś brak, ale nie wiedziała dobrze czego. Potem napełniono ją dobrym, doskonałym winem, wsadzono korek i zalakowano. Nalepiono na niej etykietkę z napisem: „pierwszy gatunek”, było to tak, jakby dostała najlepszy stopień na egzaminie, ale wino było naprawdę dobre i butelka dobra. Kiedy jest się młodym, jest się lirykiem. Śpiewało też w niej i dźwięczało coś, czego nie znała: zielone, słońcem oświetlone góry, pokryte winnicami, gdzie zwawii chłopcy i wesołe dziewczęta śpiewają chętnie i całują się; tak, życie jest piękne! Wszystko to śpiewało i grało w butelce jak w młodych poetach, którzy często sami nie wiedzą, co w nich śpiewa.

Pewnego dnia butelkę kupiono. Chłopiec od futrzarza miał polecenie kupienia butelki wina w najlepszym gatunku. Postawiono ją w koszu, obok szynki, sera i kielbasy; było tam też wyborowe masło i najdelikatniejszy chleb; córka futrzarza sama wszystko ułożyła; była bardzo młoda i bardzo ładna, ciemne jej oczy śmiały się, a na ustach igrał uśmiech, który mówił tyleż co oczy, miała delikatne miękkie ręce – bardzo białe, a szyja jej i piersi były jeszcze bielsze: od razu widać, że jest jedną z najpiękniejszych dziewcząt w mieście, a nie była dotychczas zaręczona.

Kosz z prowiantami trzymała na kolanach, kiedy rodzina futrzarza jechała do lasu; szyjka od butelki wyglądała spośród rogów białej serwetki: korek okryty czerwonym lakiem patrzył dziewczynie prosto w twarz; widział także młodego marynarza, który siedział obok niej; był to jej przyjaciel z lat dziecińczych, syn portrecisty; niedawno złożył gładko i z powodzeniem egzamin na szturmiana i nazajutrz miał odjechać na statku do obcych krajów; mówiono o tym dużo podczas pakowania kosza, a kiedy o tym mówiono, w oczach i wokoło ust pięknej córki

futrzarza niewiele było wesołości.

Dwoje młodych ludzi poszło w głąb zielonego lasu i rozmawiało – o czym rozmawiali? Tego butelka nie słyszała, stała przecież w koszu z prowiantami. Trwało to niezwykle długo, zanim ją wyjęto, ale kiedy to wreszcie nastąpiło, zrobiło się wesoło, wszystkie oczy śmiały się, córka futrzarza śmiała się również, ale mówiła mniej i policzki jej pałały jak dwie czerwone róże.

Ojciec ujął w ręce pełną butelkę i korkociąg. Tak, dziwne to uczucie być po raz pierwszy odkorkowaną! Szyjka od butelki nigdy potem nie mogła zapomnieć tej uroczystej chwili; Zachłysnęła się przecież mocno, kiedy wyciągano korek, a potem porządnie w niej zabalgotało, kiedy wino polało się w kieliszki.

– Niech żyją narzeczeni! – powiedział ojciec, i wszystkie kieliszki wychyiono do dna, a młody szturman pocałował swą piękną narzeczoną.

– Szczęść Boże! – zawołali rodzice. A młody człowiek napełnił jeszcze raz kieliszki.

– Szczęśliwego powrotu i wesela równo za rok! – zawołał, a kiedy opróżniono kieliszki, chwycił butelkę, podniósł ją wysoko w górę i krzyknął: – Byłaś przy ucztach w najpiękniejszym dniu mego życia, nie będziesz już nikomu innemu służyła!

I rzucił ją wysoko w górę. Córka futrzarza ani pomyślała, że częściej będzie widywała tę butelkę fruującą w powietrzu, a jednak tak miało być. Butelka upadła w gąszcz trzciny, nad jeziorkiem; szyjka od butelki pamiętała dobrze, jak tam leżała i rozmyślała: „Dałam im wino, a oni dają mi wodę z bagna, ale to nieumyślnie!” Nie mogła już patrzeć na narzeczonych i na uszczęśliwionych rodziców, ale słyszała jeszcze długo, jak wiwatowali i śpiewali. Potem przyszli dwaj chłopcy wiejscy, zajrzeli w sitowie, zobaczyli butelkę i zabrali ją; teraz znów miała opiekę.

Leśniczówkę, w której mieszkali chłopcy, odwiedził wczoraj ich najstarszy brat, marynarz; przyszedł się pożegnać, bo wyruszał w daleką podróż; matka pakowała właśnie to i owo dla syna, a ojciec miał zabrać paczkę wieczorem do miasta, gdyż chciał tam jeszcze raz zobaczyć syna przed odjazdem i uściskać go od siebie i matki.

Mała butelka nalewki stała już gotowa, gdy zjawili się chłopcy z większą, mocniejszą butelką, którą znaleźli; w takiej butelce mogło się zmieścić więcej wódki niż w małej butelce, a była to nalewka doskonała na cierpienia żołądkowe. W nalewce było dużo mięty. A więc nie napełniono butelki czerwonym winem jak przedtem, ale gorzką żołądkową. Nowa butelka, a nie ta malutka, poszła w drogę; zaczęła się jej wędrówka: dostała się na pokład do Piotra Jensena, a

był to właśnie ten sam okręt, na którym jechał młody szturman, ale ten nie widział butelki, nie byłby jej zresztą z pewnością poznał i nie pomyślałby: „To jest ta sama butelka, z której niedawno piliśmy z okazji moich zaręczyn i za pomyślny powrót do domu.”

Nie było już wprawdzie w niej wina, ale za to coś równie dobrego; toteż za każdym razem, kiedy Piotr Jensen wyciągał butelkę, nazywali go towarzysze „aptekarzem”; obdarzała ich bowiem najskuteczniejszym na bóle żołądkowe lekarstwem, które pomagało zawsze, do ostatniej kropli! Były to dobre czasy i butelka śpiewała, gdy ją pocierano korkiem; wówczas to nazywano ją wielkim skowronkiem, „skowronkiem Piotra Jensena”.

Dużo czasu minęło; butelka stała pusta w kącie, aż raz – butelka nie pamiętała dokładnie, czy to było, gdy jechała tam, czy z powrotem, bo przecież i tak na ląd nie wychodziła – nadeszła wielka burza, ogromne bałwany podnosiły się, ciemne i groźne, chwiałały i rzucały okrętem, maszt został strzaskany, fala zdruzgotała pomost, pompy przestały działać. Była ciemna noc, okręt szedł na dno, ale w ostatniej chwili młody szturman napisał na kartce papieru: „Na litość boską! Toniemy!” I napisał nazwisko swojej narzeczonej, swoje własne i nazwę okrętu, wpakował tę kartkę do pustej butelki, zatkał ją mocno korkiem i wyrzucił butelkę w szalejące morze; nie wiedział, że to była ta sama butelka, z której pito jego i jego narzeczonej zdrowie z życzeniami radości i nadziei; teraz kołysała się na falach niosąc śmiertelne pozdrowienie.

Okręt utonął, załoga utonęła, tylko butelka popłynęła jak ptak; miała przecież w sobie serce, list miłosny. Widywała teraz wschody i zachody słońca, przypominały jej pierwsze wrażenia życia: czerwony, płonący piec. Ogarniała ją znowu tęsknota, aby do niego wrócić. Przetrwiała ciszę morską i nowe burze; nie rozbiła się o żadną rafę i nie połknął jej żaden rekin; dnie i lata błąkała się tu i tam, to na północ, to na południe – jak ją niosły prądy. Była zresztą wolna, ale taka wolność może się w końcu sprzykrzyć.

Zapisana kartka, ostatnie pozdrowienie narzeczonego dla narzeczonej, trafiwszy wreszcie w odpowiednie ręce, przyniosłaby tylko rozpacz: ale gdzie są ręce, które lśniły taką białością wtedy, gdy rozścielały obrus na świeżej trawie w zielonym lesie, w dniu zaręczyn? Gdzie była córka futrzarza? Tak, gdzie był tamten kraj i jaki kraj jest najbliżej? Butelka tego nie wiedziała. Niosło ją i niosło, aż w końcu znudziło jej się to błąkanie po wodach – nie na to przecież była przeznaczona. Mimo to tułała się jeszcze tak długo, aż w końcu dobiła do lądu, do obcego lądu. Nie rozumiała ani słowa z tego, co tu mówiono, to nie była mowa, którą słyszała dawniej, a przecież dużo się traci nie znając języka.

Butelkę wyłowiono i zbadano: kartkę, która w niej tkwiła, wyjęto, obejrzano, obracano na wszystkie strony, ale nikt nie rozumiał tego, co było na niej napisane. Zrozumiano, że butelkę wyrzucono za burtę okrętu i że o tym jest mowa w kartce, ale co ta kartka zawierała, było tajemnicą. Wetknięto więc kartkę na nowo do butelki i wstawiono ją do wielkiej szafy w wielkim pokoju wielkiego domu.

Ile razy przychodzili tam cudzoziemcy, wyjmowano kartkę, obracano ją na wszystkie strony, tak że słowa, skreślone ołówkiem, zacierały się i stawały się coraz bardziej nieczytelne; w końcu nie można już było poznać, że znajdowały się tam niegdyś litery. Butelka stała tak jeszcze przez jeden rok w szafie, a potem postawiono ją na strychu, gdzie pokrył ją kurz i pajęczyna. Myślała wtedy znowu o dawnych, dobrych czasach, kiedy to rozlewała czerwone wino w świeżym lesie i kiedy to kołysała się na morskich falach, niosąc w sercu tajemnicę – list z pożegnalnym westchnieniem.

I tak stała przez dwadzieścia lat na strychu, mogłaby tak stać jeszcze dłużej, gdyby dom nie miał być przebudowany. Zerwano więc dach – spostrzeżono butelkę i mówiono coś o niej, ale ona nie rozumiała tego, co mówiono. Obcego języka nie można się nauczyć stojąc na strychu, nawet przez dwadzieścia lat. „Gdybym stała na dole, w pokoju – pomyślała butelka – nauczyłabym się na pewno!”

Teraz butelkę umyto i wypłukano; było to jej koniecznie potrzebne; czuła się jasno i przezroczyście, czuła się znów młoda jak za dawnych czasów – ale kartka, którą dotąd miała w sobie, zgubiła się przy myciu.

Potem napełniono ją jakimś nasieniem, którego dotąd nie знаła, zakorkowano i owinięto; nie widziała znowu światła latarni ani świec, ani słońca, ani księżyca, a coś powinno się widzieć przecie, kiedy się podróżuje, ale nie widziała nic, czyniła jednak to, co było najważniejsze – podróżowała, dotarła tam, gdzie należało, i została rozpakowana.

– Ileż kłopotu musieli mieć za granicą z tą butelką – mówiono – a mimo to pewnie się stłukła! – Ale nie była stłuczona. Butelka rozumiała kaździutkie słowo, bo była to przecież mowa, którą słyszała w piecu hutniczym i u handlarza win, w lesie i na okręcie, jedynie prawdziwa, dobra, stara mowa, którą można było zrozumieć. Oto wróciła więc do swej ojczyzny i usłyszała powitanie. Z radości o mało nie wyskoczyła ludziom z rąk i nie zauważyła wcale, jak wyciągnięto z niej korek; wysypano z niej wszystko i zaniesiono do piwnicy. Miała tam być schowana i zapomniana; ale w ojczyźnie jest przecież najlepiej, nawet w piwnicy. Nie przyszło

jej do głowy, aby zastanawiać się nad tym, jak długo tam przeleżała, a leżała spokojnie przez długie lata. Potem jednego dnia przyszli ludzie wybrać z piwnicy butelki – i naszą butelkę wzięto także.

Na dworze w ogrodzie odbywała się wielka zabawa. Wisiały girlandy płonących lamp, papierowe latarnie jaśniały jak wielkie, przeświecające tulipany; był to wspaniały wieczór, cichy i przezroczysty; gwiazdy lśniły tak jasno i był nów, a właściwie widziało się cały księżyc jako szaroniebieską kulę ze złotym rąbkiem. Widok był ładny dla tych, co umieli patrzeć.

W odległych alejach ogrodu urządzono także iluminację, w każdym razie dostateczną, aby rozproszyć ciemności. Między krzewami ustawiono butelki z zapalonymi świecami i tam właśnie stała nasza butelka, która kiedyś stać się miała szyjką, miseczką dla ptaka. Butelce wydawało się wszystko w owej chwili niezmiernie piękne, była znów otoczona zielenią, zabawą, wesołością, słyszała muzykę i śpiew, szum i gwar wielu ludzi, dochodzący głównie z tej części ogrodu, gdzie paliły się lampy i papierowe lampiony jaśniały różnymi barwami. Ona sama stała wprawdzie w oddalonej alei, ale to właśnie miało pewien urok. Butelka stała szerząc światło, stała dla pożytku i przyjemności innych i to dawało jej zadowolenie; w takiej chwili zapomina się o tych dwudziestu latach na strychu – a czasem dobrze jest zapomnieć.

Tuż obok niej przechodziła – trzymając się za ręce – samotna para – jak niegdyś w lesie owi narzeczeni – szturman z córką futrzarza: butelce zdawało się, że przeżywa wszystko jeszcze raz na nowo. Po ogrodzie przechadzali się goście. Chodzili tam również ludzie, którzy chcieli obejrzeć gości i wszystkie wspaniałe rzeczy; a między nimi chodziła też stara panna, która nie miała tu żadnych krewnych, chociaż nie była pozbawiona przyjaciół. Myślała ona zupełnie o tym samym, o czym myślała butelka: o zielonym lesie i o młodej parze naręczonych, obchodziło ją to bardzo blisko, bo ona to właśnie była połową tamtej pary: przeżyła wtedy najszcześniejszą chwilę swego życia, a takich chwil nie zapomina się nigdy – nawet gdy się jest już tak starą panną. Ale nie poznała butelki i butelka także jej nie poznała; często przechodzi się tak obok siebie na świecie – aż do chwili, gdy się drogi na nowo skrzyżują. Zdarzyło się to właśnie starej pannie i butelce, gdy obie spotkały się znowu w tym samym mieście.

Butelka powędrowała z ogrodu do handlarza win, napełniono ją znów winem i sprzedano lotnikowi, który miał lecieć balonem następnej niedzieli. Zebrał się tłum ludzi, aby się temu przyjrzeć, stawiała się także Orkiestra wojskowa i poczyniono wiele przygotowań; butelka wszystko to widziała z kosza, gdzie leżała wraz z żywym królikiem, który był bardzo

przygnębiony czując, że ma się wznieść ponad ziemię, aby potem spaść na spadochronie. Butelka nie wiedziała, co to jest „wznieść” i „spaść”, widziała tylko, jak balon wydymał się coraz bardziej, a gdy nie mógł już widocznie stać się większy, zaczął wznosić się coraz to wyżej i wyżej, chybocząc się coraz bardziej; liny, które go trzymały, nagle przecięto i balon bujał wraz z pilotem, koszem, butelką i królikiem w powietrzu. Muzyka zabrzmiała i wszyscy obecni krzyknęli: „Hura!”

„Jakie to śmieszne wznosić się do góry! – pomyślała butelka – to jakiś nowy sposób żeglugi: na górze przecież nie ma po czym chodzić!”

Tysiące ludzi śledziło balon wzrokiem i stara panna spoglądała za nim również: stała ona przy otwartym okienku na poddaszu, tam gdzie wisiała klatka z makolągwą, która wtedy nie miała jeszcze miseczki i musiała się zadowolić filizanką. W otwartym okienku stał mirt w doniczce, którą odsunięto nieco na bok, aby nie wypadła, podczas gdy stara panna wychylając się oknem obserwowała balon; widziała wyraźnie w balonie lotnika, który spuścił spadochron z królikiem, a potem pił za zdrowie wszystkich ludzi i wreszcie rzucił butelkę wysoko w powietrze. Stara panna nie domyślała się tego, że niegdyś w radosny dzień swego życia widziała tę samą butelkę, rzuconą w górę dla uczczenia jej i jej narzeczonego w zielonym lesie w czasach młodości.

Butelka nie miała czasu o tym pomyśleć, tak nieoczekiwanie i nagle znalazła się w szczytowym punkcie swego życia. Wieże i dachy leżały nisko w dole, a ludzie wydawali się maleńcy.

A teraz spadała na dół, i to ze znacznie większą szybkością niż królik: butelka wywracała koziołki w powietrzu, czuła się młoda, upojona radością, była jeszcze do połowy napełniona winem, ale nie na długo. Co za podróż! Słońce świeciło nad butelką, wszyscy ludzie patrzyli na nią, balon już znikł z oczu, ale wkrótce i butelka przepadła. Uderzyła o jeden z dachów i rozbiła się na kawałki, te kawałki jednak miały jeszcze tyle rozpędu, że nie mogły uleżeć, skakały i toczyły się, dopóki, rozbite na jeszcze drobniejsze kawałki, nie znalazły się na podwórzu; tylko szyjka została cała, tak jakby ją diamentem obcięto.

– Nadałaby się świetnie na miseczkę dla ptaka – powiedzieli mieszkańcy sutereny; ale nie mieli ani ptaka, ani klatki, a trudno było wymagać, by sobie sprawili jedno i drugie tylko dlatego, że znaleźli teraz szyjkę od butelki, która nadawała się świetnie na miseczkę dla ptaka. Na poddaszu mogła się przydać i dlatego szyjka powędrowała do starej panny, która zaopatrzyła ją w korek i odwróciła tak, że mogła służyć za miseczkę; nalała do niej świeżej wody i powiesiła

w klatce ptaszka, który śpiewał, aż się rozlegało.

„Tak, ty możesz sobie śpiewać” – mówiła w duchu szyjka od butelki; była przecież osobliwością, bo podróżowała balonem. A więcej już się z nią nic nie działo. Wisiała teraz jako miseczka do wody, słyszała głosy ludzi, którzy krzżeli się i gwarzyli na ulicy; słyszała głosy w izdebce starej panny; właśnie ktoś do niej przyszedł, przyjaciółka w równym z nią wieku – mówiły zaś nie o butelce, lecz o doniczce z mirtem stojącym na oknie.

– Szkoda naprawdę wydać dwa talary na bukiet ślubny dla twojej córki – mówiła stara panna – dostaniesz ode mnie prześliczną wiązaną z samych kwiatów! Patrz, jak się to drzewko wspaniale rozrosło. Przyjęło się niegdyś z gałązki tej samej mirty, którą mi ofiarowałeś na drugi dzień po moich zaręczynach; miałam sobie z niej po roku zrobić ślubny bukiet, ale ten dzień nie nadszedł nigdy. Zamknęły się oczy, które miały mi w tym życiu świecić radością i szczęściem. Na dnie morza śpi spokojnie, anielską był duszą! Mirt się zestarzał, a ja jeszcze bardziej, a kiedy drzewo kończyło swój żywot, odciąłam ostatnią świeżą gałązkę, wsadziłam ją do ziemi, gałązka wyrosła dziś na takie duże drzewko i mirt doczekał się wreszcie uroczystości weselnej, zostanie bukietem ślubnym twojej córki!

Łzy stanęły w oczach starej panny; mówiła o przyjacielu młodości, o zaręczynach w lesie; pomyślała o wiwatach wznoszonych przy kieliszku i o pierwszym pocałunku – ale o tym nie mówiła, była przecież starą panną. O tylu rzeczach myślała, tylko nie domyślała się wcale, że właśnie tuż pod jej oknem wisiała jeszcze jedna pamiątka owych czasów – szyjka od butelki, która zachłysnęła się, gdy korek z hukiem wyskoczył w powietrze. A szyjka od butelki również jej nie poznała, pomimo że mogła wysłuchać całego opowiadania, nie słuchała słów starej panny. Myślała tylko o sobie.

ZUPA Z KOŁKA OD KIELBASY

I

Jakież wspaniały był wczoraj obiad! – mówiła pewna stara, domowa mysz do drugiej myszy, która nie była na tę ucztę zaproszona. Siedziałam na dwudziestym pierwszym miejscu od starego mysiego króla, a to chyba niemało! Czy mam pani opowiedzieć, jakie podawano potrawy? Były doskonale dobrane: spleśniały chleb, skórka od słoniny, świeca łożowa i kielbasa, a potem na nowo wszystko od początku. Było to tak, jakbyśmy dostali dwa obiady. Panował uroczy nastrój i rozmawiano wiele, zupełnie jak w gronie rodzinnym. Nic nie pozostało na półmiskach prócz kołka, na który nadziana była kielbasa. Zaczęła się więc toczyć rozmowa o zupie, którą można by z takiego kołka przyrządzić. Wszyscy słyszeli, że taka zupa podobno istnieje, ale nikt jej nigdy nie skosztował, a tym bardziej nie wiedział, jak się ją przyrządza. Wzniesiono toast na cześć wynalazcy takiej zupy i żartowano, że zasługuje on na godność prezesa ubogich. Czy to nie dowcipne? Wtedy wstał mysi król i zapowiedział, że ta spośród młodszych myszy, która potrafi przyrządzić najsmaczniejszą zupę z kołka od kielbasy, zostanie jego żoną. I wyznaczył równy rok czasu do namysłu.

– To byłoby wcale niezłe! – powiedziała druga myszka. – Ale jak się przyrządza taką zupę?

– Tak, jak się ją przyrządza? – pytały wszystkie myszki, młode i stare. Każda chciała bowiem zostać królową, ale żadna nie miała ochoty pójść w daleki świat po naukę gotowania, choć bez tego nie sposób było się obejść! Nie zawsze ma się ochotę opuścić ciepły kącik rodzinny, gdyż wiadomo, że tam na świecie nie dostaje się codziennie skórek od sera i nie codziennie wącha się słoninkę; trzeba czasami głodować, a nawet można się narazić na pożarcie żywcem przez kota.

Te myśli odstraszały większość myszek od wyruszenia w świat. Znalazły się tylko cztery odważne, które zdobyły się na podróż. Wszystkie były młode i energiczne, ale bardzo biedne. Postanowiły udać się każda w inną stronę świata, by spróbować, której będzie najlepiej sprzyjało szczęście. Każda zabrała z sobą kołek od kielbasy, żeby nie zapomnieć, w jakim celu podróżuje; kołek służył każdej zarazem jako kij wędrówny.

Wyruszyły z początkiem maja, a powróciły po roku dopiero, również w maju. Wróciły jednak tylko trzy. Czwarta nie przyszła i nie dała o sobie znaku życia. Nadszedł więc dzień rozstrzygający.

– Tak już jest w życiu, że największą przyjemność musi zawsze popsuć coś przykrego! – powiedział mysi król i wydał rozkaz zaproszenia wszystkich myszy w obrębie wielu mil wokoło. Miały się zebrać w kuchni. Trzy myszy podróżniczki stanęły osobno rzędem, a na miejscu przeznaczonym dla zaginionej myszy umieszczono kołek od kielbasy spowity krepą. Nikomu nie wolno było przemówić, dopóki te trzy nie wypowiedziały swoich mów i dopóki król nie zdecydował, co się potem będzie mówiło.

A teraz posłuchajmy.

II

Co widziała i czego się nauczyła w podróży pierwsza myszka

– Gdy wyruszyłam w szeroki świat – opowiadała mała myszka – myślałam, podobnie jak wiele innych istot w moim wieku, że pochłonęłam już całą wiedzę, a tymczasem tak wcale nie jest: muszą przejść dni i lata, zanim się to osiągnie. Wyruszyłam od razu na morze, wsiadłam na statek, który żeglował na północ. Słyszałam, że kucharz okrętowy radzi sobie jak najlepiej, ale to nie sztuka sobie radzić, gdy ma się do rozporządzania całe półcie słoniny, beczki solonego mięsa i mąki. Żyje się tam wspaniale, ale nie ma okazji, żeby nauczyć się przyrządzania zupy z kołka od kielbasy. Żeglowaliśmy wiele dni i nocy; miałam już aż nadto wilgoci i kołysania. Gdy przybyliśmy do celu, opuściłam statek; było to daleko na północy.

Dziwne to uczucie wyruszyć ze swego rodzinnego kącika płynąć okrętem i nagle znaleźć się o setki mil, daleko, w zupełnie obcym kraju. Były tam dzikie lasy sosnowe i brzozowe, które mocno pachniały. Nie lubię tego, zioła wydawały tak mocną woń, że aż zaczęłam kichać; przypomniała mi się kielbasa. Były tam też leśne jeziora, których wody z bliska były czyste, ale z daleka robiły wrażenie czarnych jak atrament. Pływały po nich białe łabędzie, które zrazu wzięłam za pianę, tak były nieruchome, ale potem, gdy wyszły na ląd, zobaczyłam, jak fruują i jak chodzą, poznałam je od razu; należą do rodu gęsiego, poznać to po ich chodzie. Nikt nie jest w stanie ukryć własnego pochodzenia. Ja sama przebywałam z moimi krewnymi, z leśnymi i polnymi myszkami, ale niewiele się mogłam dowiedzieć od nich o przyrządzaniu potraw, a przecież po to wyruszyłam za granicę. Pomysł przyrządzania zupy z kołka od kielbasy wydał im

się tak dziwny, że natychmiast rozgadały o tym po całym lesie, ale wszyscy uważali go za niewykonalny. Nie mogłam więc przypuszczać, że tutaj właśnie, i to tej samej jeszcze nocy, będę wtajemniczona w sposoby przyrządzania tej potrawy. Była to właśnie noc świętojańska, dlatego to zioła pachniały tak mocno, jeziora były takie przezroczyście, jednocześnie ciemne, i tak pięknie na tym tle wyglądały białe łabędzie. Na skraju lasu między trzema czy czterema domami wzniesiono duży słup wysokości głównego masztu, a na jego szczycie wisiały wieńce i wstęgi. Dziewczęta i chłopcy tańczyli i śpiewali wokół masztu przy dźwiękach skrzypiec jakiegoś grajka. Było wesoło i pięknie o zachodzie słońca, w blasku księżyca, ale ja nie brałam udziału w zabawie. Cóż ma wspólnego mała myszka z tańcem w lesie? Siedziałam w miękkim mchu i mocno trzymałam w łapce mój kołek. Księżyc oświecał szczególnie jasno jedno miejsce, gdzie na drzewie lśnił mech tak delikatny (śmiało mogę to powiedzieć) jak futerko mysiego króla; był przy tym zielony i miły dla oka. Nagle zjawił się orszak rozkosznych maleńkich istotek, sięgających zaledwie moich kolan. Wyglądały jak ludzie, ale były proporcjonalniej zbudowane. Były to elfy, ubrane w wykwintne sukienki z płatków kwiatowych, przystrojone w skrzydełka muszek i komarów; wcale to niebrzydko wyglądało. Zdawało się, że czegoś szukają, nie wiedziałam czego, wtem kilkoro z nich podeszło do mnie, a najwytworniejszy wskazał na mój kołek od kiełbasy i powiedział: „Oto jest właśnie to, czego nam trzeba, jaki ostry, jaki doskonały!” Im dłużej patrzył na mój wędrowny kij, tym bardziej się nim zachwycał.

„Pożyczyć mogę, ale nie na stałe”, powiedziałam.

„Nie wolno zatrzymać!”, powtórzyły chórem wszystkie, schwytyły mój kołek i poskoczyły z nim do miejsca, w którym mech się tak ślicznie zielenił, tu wbiły patyczek w sam środek.

I one chciały mieć swój maszt majowy, jak ludzie, i oto miały; był jakby dla nich stworzony. Teraz go przystrojono – to był dopiero widok!

Małe pajęczki snuły wokół niego złote nici, zawieszały powiewne welony i chorągwie tak delikatnie utkane i tak piękne wybielone w blasku księżyca, że aż mnie oczy bolały; ze skrzydełek motyli brały barwy i rozsiewały je po bieli płótna, kwiaty i diamenty błyszczały na nim jasno, nie poznałam mego kołka. Z pewnością na całym świecie nie było takiego masztu jak ten. Teraz dopiero zeszło się całe duże towarzystwo elfów, były one zupełnie bez ubrania, nie mogły być bardziej wytworne. Mnie również zaproszono, ale kazano mi się trzymać w pewnym oddaleniu, gdyż byłam dla nich za duża.

Rozbrzmiała muzyka podobna do dźwięku tysięcy szklanych dzwoneczków, tak silna i

dźwięczna. Zdawało mi się, że to łabędzie śpiewają, miałam uczucie, że rozróżniam głosy kukulek i kosa, wreszcie jakby rozśpiewał się cały las, rozległy się głosiki dziecięce, dzwony i śpiew ptaków, najpiękniejsze melodie na świecie – a wszystko to rozbrzmiewało z majowego masztu elfów, w który przemienił się mój kołek od kielbasy. Nigdy nie przypuszczałam, że może służyć do czegoś podobnego. Widocznie wszystko zależy od tego, w czyim jest ręku. Byłam bardzo wzruszona i płakałam tak, jak potrafi płakać taka mała myszka, płakałam z czystej radości.

Noc wydawała mi się za krótka i rzeczywiście nie jest ona o tej porze zbyt długa na północy. O świcie zerwał się wietrzyk, powierzchnia leśnego jeziora zmarszczyła się, a wszystkie chorągiewki i welony zatrzepotały w powietrzu; kołyszące się domki z pajęczyny, wiszące mosty i balustrady, czy jak tam się to wszystko nazywa, rozpostarte między liśćmi, porwał wiatr. Sześć elfów odniosło mi z powrotem mój kołek pytając, czy nie mam żadnego życzenia, które by mogły spełnić. Wtedy poprosiłam, by mnie nauczyły, jak się przyrządza zupę z kołka od kielbasy.

„Widziałas przecież przed chwilą, jak my to robimy – powiedział najwytworniejszy elf i roześmiał się. – Z trudnością poznałaś swój własny patyczek.”

„Ach, więc o tym myślisz – rzekłam i zapoznałam go z celem mojej podróży i z nadziejami, jakie pokładają we mnie w domu. – Jaki pożytek odniesie nasz mysi król i cały naród, jeśli im nawet opowiem o wspaniałościach, które tu widziałam? Przecież nie będę mogła wytrząsnąć ich z kołka i powiedzieć: «Patrzcie, oto kołek, a potem będzie zupa.» Byłaby to potrawa, która smakowałaby chyba już tylko sytym.”

Wówczas elf zanurzył swój mały paluszek w kielichu błękitnego fiołka i powiedział: „Uważaj, teraz posmaruję twój wędrowny kij, a kiedy powrócisz do domu i zjawisz się na zamku twojego króla, dotknij tym kijem gorącej piersi królewskiej, wówczas kij pokryje się żywymi, pachnącymi fiołkami, nawet gdyby to była mroźna zima. Widzisz, teraz masz już z czym powrócić do domu, nawet z dodatkiem.”

Ale zanim mała myszka objaśniła, co to był za dodatek, przytknęła swój kij do piersi mysiego króla i rzeczywiście z kija wytrysnął pęk najpiękniejszych fiołków; pachniały tak mocno, że król rozkazał myszom, które stały obok komina, by powsadzały końce ogonków do ognia po to, żeby zapach spalenizny stłumił woń fiołków, która była nie do wytrzymania, nie był to bowiem rodzaj zapachu miły dla myszy.

– A cóż to był za dodatek, ofiarowany przez elfa? – spytał król.

– Zobaczycie – odparła myszka – to jest dopiero niespodzianka. – Przekreśliła patyk od kiełbasy i fiołki natychmiast znikły, a potem podniosła kijek do góry niby pałeczkę dyrygenta.

– Elf powiedział mi, że fiołki są tylko przyjemnością dla wzroku, powonienia i dotyku, brak zaś jeszcze czegoś dla słuchu i smaku.

Myszka poruszyła kijkiem i wówczas natychmiast rozległa się muzyka, ale niepodobna do muzyki elfów w lesie w czasie ich zabawy, były to raczej dźwięki, jakie się słyszy w kuchni. To był dopiero hałas. Zrobił się ruch, jakby wiatr przeciągnął przez wszystkie kominy. Wykipiały garnki i kociołki, pogrzebacz uderzał o miedziany kocioł i nagle wszystko ucichło. Słysząc było tylko przytłumiony śpiew czajnika; szumiał tak ślicznie, że nie wiadomo było, czy zaczyna, czy też kończy się gotować. Tymczasem mały garnuszek kipiał i duży garnek również kipiał, jeden nie zwracał uwagi na drugiego, zupełnie jak gdyby garnki wcale nie miały rozumu. A myszka coraz szybciej i szybciej poruszała swoją pałeczką. Garnki szumiały, woda kipiała, pieniała się, wiatr wył i gwizdał w kominie – huha! Było tak okropnie, że mała myszka sama wreszcie zgubiła swój kolek.

– To była trudna do ugotowania zupa – powiedział mysi król – a teraz jaka potrawa nastąpi?

– To już wszystko – powiedziała myszka dygając.

– Wszystko? – zawołał król. – Więc posłuchajmy, co nam opowie następna myszka.

III

Co miała do opowiedzenia druga myszka

– Urodziłam się w bibliotece zamkowej – powiedziała druga myszka – jak i liczni moi krewni nie mieliśmy nigdy szczęścia, by dostać się do jadalni, nie mówiąc już o spizarni; dopiero w podróży i dzisiaj tutaj oto poznałam kuchnię. Często cierpiealiśmy głód w bibliotece, ale za to wiedzy miałyśmy pod dostatkiem. Tam to dotarła do nas wieść o królewskiej nagrodzie, wyznaczonej dla tego, kto potrafi ugotować zupę z kołka od kiełbasy. Wówczas to moja stara babka przypomniała sobie rękopis, którego co prawda nie mogła przeczytać, ale słyszała, jak inni go czytali. W rękopisie tym było napisane: „Gdy się jest poetą, potrafi się ugotować zupę nawet z patyka.”

Spytała mnie, czy jestem poetką. Powiedziałam, że nie mam o tym pojęcia, a wówczas ona

kazała mi wywędrować w świat i zostać poetką. Spytałam, jak można zostać poetką, gdyż było to dla mnie tak samo trudne jak ugotowanie zupy. Babka przeczytała w rękopisie, że do tego trzeba trzech rzeczy: rozsądku, fantazji i uczucia. Jeśli te wszystkie cechy posiadasz, zostaniesz poetką i dasz sobie radę z kołkiem od kielbasy.

Wyruszyłam więc na zachód w szeroki świat, aby zostać poetką.

Rosądek jest w każdej rzeczy najpotrzebniejszy ze wszystkiego. Wiedziałam o tym, jak również i to, że pozostałe dwa dary nie cieszą się takim uznaniem. Udałam się więc na poszukiwanie rozsądku. Ale gdzież mógł mieszkać? „Udaj się do mrówki i naucz się od niej mądrości”, powiedział pewien wielki król żydowski, wiedziałam o tym z biblioteki. Nie spoczęłam więc, dopóki nie znalazłam się w pierwszym wielkim mrowisku. Tutaj czekałam, aż posiadę mądrość.

Mrówki to bardzo szanowny naród. Są one uosobieniem rozsądku. Wszystko u nich jest jak gdyby zadaniem matematycznym. Praca i składanie jajek, powiadają, oznacza życie dla terażniejszości i dla przyszłości, i tym się właśnie zajmują. Mrówki dzielą się na czyste i brudne, rangę poznaje się po numerach, królowa mrówek jest oznaczona numerem pierwszym i wszystko, co powie, jest słuszne; pochłonęła ona całą mądrość, co było dla mnie rzeczą ogromnie ważną. Mówiła tak wiele i tak mądrze, że aż wydawało mi się to głupie. Mówiła, że jej mrowisko jest najwyższym punktem świata, lecz tuż obok rosło drzewo, które przecież było wyższe, o wiele wyższe; temu się nie dało zaprzeczyć i dlatego o tym wcale się nie mówiło. Pewnego wieczoru jedna z mrówek zabłądziła na pniu drzewa i choć nie dotarła do korony, zawędrowała jednak znacznie dalej niż którakolwiek inna, a kiedy zawróciła z powrotem i znalazła się w domu, opowiedziała towarzyszkom, że istnieje coś o wiele wyższego niż ich mrowisko. Ale mrówki uważały, że obraża całe społeczeństwo, i skazały ją na kaganiec i wieczną samotność. Wkrótce potem inna mrówka również dostała się na drzewo i odbyła tę samą podróż, i uzyskała to samo doświadczenie, ale wróciwszy mówiła o tym rozsądniej i zawile, a ponieważ była poważaną mrówką i należała do rzędu czystych, więc wierzono jej i po śmierci wzniesiono jej pomnik ze skorupki od jajka, aby uczcić jej wiedzę. Widziałam – opowiadała dalej mała myszka – że mrówki wciąż biegały, nosząc swe jajka na plecach. Raz jedna z nich upuściła swe jajeczko i z wielkim trudem starała się je podnieść, ale jej się nie udało, wówczas przybiegły dwie towarzyszki i pomagały jej z takim wysiłkiem, że omal nie upuściły własnych jajeczek, a wtedy przestały pomagać, bo każdy dba przede wszystkim o

siebie. A królowa orzekła, że wykazały, iż mają serce i rozum. „Te dwie zalety wynoszą nas, mrówki, na najwyższy stopień wśród rozumnych stworzeń. Rozum musi być zawsze górą. A ja mam największy rozum.” Stała na najtylniejszych łapkach, łatwo ją można było poznać, trudno było się pomylić, wówczas połknęłam ją. „Udaj się do mrówki i ucz się od niej mądrości”, mówiono mi, a teraz miałam samą królową!

Udałam się z kolei do dużego drzewa, o którym już wspominałam. Był to dąb. Miał wysoki pień, potężną koronę i był bardzo stary. Wiedziałam, że mieszka w nim żywe stworzenie na kształt kobiety; nazywają ją Driadą, rodzi się wraz z drzewem i wraz z nim umiera; czytałam o tym w bibliotece, a teraz zobaczyłam na własne oczy dąb i jego mieszkankę. Na mój widok wydała okrzyk przerażenia, gdy zobaczyła mnie tak blisko, bo tak jak wszystkie kobiety, bała się bardzo myszy. Driada jednak miała więcej powodów do obawy przede mną niż inne kobiety: mogłam przecież przegryźć drzewo, od którego zależało jej życie. Przemówiłam do niej serdecznie i przyjaźnie, nabrała więc odwagi i wzięła mnie w swą delikatną dłoń. A gdy dowiedziała się, po co wyruszyłam w świat, obiecała mi, że może nawet tego wieczora znajdę ten jeden z dwóch skarbów, których jeszcze szukam. Opowiedziała mi, że jej bliskim przyjacielem jest Pantazus, że jest on tak piękny jak bóg miłości, spoczywa często pod gęstwiną drzewa, które tym mocniej i czulej szumi nad nimi dwojgiem; nazywa on ją swoją Driadą, powiedziała, a drzewo swoim drzewem, podoba mu się ten pokrętny, wspaniały, piękny dąb, korzenie jego tak głęboko i mocno tkwią w ziemi, a pień wraz z koroną wystrzela wysoko w powietrze i zna zarówno szalejącą śnieżycę, ostre wichry, jak i gorący blask słońca, które znać trzeba.

„Tak – mówiła Driada – ptaki tam w górze śpiewają i opowiadają o dalekich, obcych krajach, a na jednej suchej gałęzi uwił swe gniazdo bocian, bardzo to ładnie wygląda, można też i od niego usłyszeć coś niecoś z kraju piramid. Wszystko to podoba się ogromnie Pantazusowi, ale to mu nie wystarcza: ja sama muszę mu opowiadać o życiu w lesie, o tym, jak byłam jeszcze maleńka, a drzewo tak młodziutkie, że pokrzywy mogły je przykrywać, aż do chwili obecnej, gdy drzewo stało się takie duże i silne. Siadaj tam pod macierzanką i uważaj, a jak przyjdzie Fantazus, znajdę sposobność, by mu wyrwać jedno piórko ze skrzydła. Lepszego pióra nie może sobie wymarzyć żaden poeta. To ci wystarczy.”

Zjawił się Fantazus, Driada wyrwała mu piórko, a ja zabrałam je sobie – mówiła myszka – wymoczyłam piórko w wodzie, aby zmiękło, ale i tak było jeszcze dość twarde do zgrzienia.

Mimo to udało mi się je połknąć. Nie jest to wcale łatwą rzeczą wgryźć się w zawód poety. Tyle rzeczy trzeba połkać. Miałam więc już dwie rzeczy: rozsądek i fantazję. Trzecią spodziewałam się znaleźć w bibliotece, gdyż pewien wielki człowiek powiedział i napisał, że istnieją powieści, przeznaczone tylko na to, by uwalniać ludzi od zbytecznych łez, że więc są one czymś w rodzaju gąbki, która wsysa uczucie. Przypomniałam sobie kilka takich książeczek, wydawały mi się zawsze wcale apetyczne, były takie wyczytane, takie zatłuszczone, musiały przejść przez ręce niezliczonej rzeszy czytelników.

Udałam się więc z powrotem do biblioteki i natychmiast pożarłam całą powieść, to znaczy tylko miękkie kartki, skórkę, czyli okładkę zostawiłam. Gdy w dodatku strawiłam jeszcze drugą powieść, poczułam, że coś się we mnie porusza. Zjadłam jeszcze trochę trzeciej książki i zostałam poetką, powiedziałam to sobie samej i innym; bolała mnie głowa, bolało mnie w środku i cierpiałam kto wie jeszcze jakie inne bóle. Myślałam nad tym, które też opowiadania mają związek z kołkiem od kielbasy, i natychmiast przypomniałam sobie rozmaite kołki. Królowa mrówek miała niezwykły rozum; myślałam o człowieku, który włożył w usta biały patyczek i wraz z patyczkiem stał się niewidzialny, myślałam o tym, jak „zamienił stryjek siekierkę na kijek”, „nie kijem go, to pałką”, że „kij ma dwa końce”, że „w tym sęk” jak „wbił ostatni kołek do trumny”. Moje myśli krążyły koło kołków, sęków i drągów. O tym wszystkim musiałam tworzyć poematy, gdyż zostałam przecież poetką, i to z takim trudem. Mogę teraz każdego dnia w tygodniu opowiedzieć wam inną bajkę o kołku – oto moja zupa!

– Niech teraz mówi trzecia – zawołał mysi król.

– Pi, pi – zapiszczało coś w drzwiach kuchennych i mała myszka, czwarta z rzędu, którą uważano za umarłą, wpadła do kuchni i przewróciła owinięty w krepę kołek od kielbasy; biegła dniem i nocą, jechała koleją w wagonach towarowych, nie ominęła żadnej okazji, pomimo to o mało się nie spóźniła; przepchnęła się przez tłum, była potargana, straciła swój kołek od kielbasy, ale nie straciła mowy i natychmiast zaczęła mleć jęzorem, jak gdyby tylko na nią czekano, jak gdyby poza jej opowiadaniem nic nikogo na świecie nie obchodziło; przybyła tak niespodziewanie, że nikt nie miał czasu wstrzymać potoku jej wymowy, kiedy się rozgadała. Posłuchajmy więc i my.

IV

Co miała do opowiedzenia czwarta mysz, która zabrała głos, zanim przemówiła trzecia

– Udałam się natychmiast do największego miasta – mówiła – nie przypominam sobie, jak się nazywało, gdyż mam słabą pamięć do nazw. Prosto z kolei udałam się wraz ze skonfiskowanym towarem do ratusza i tu pobiegłam wprost do mieszkania dozorca więzienia. Opowiadał mi o swoich więźniach, a zwłaszcza o jednym, który mówi słowa bez sensu, o nich z kolei mówiono i mówiono, czytano i zapisywano dokładnie. „To wszystko jest jedną wielką zupą z kołką od kielbasy, ale tę zupę może więzień przypłacić głową”, powiedział dozorca. Zainteresowałam się tym więźniem – mówiła myszka – i wśliznęłam się do jego celi; nawet zaryglowane drzwi posiadają mysią dziurkę. Więzień był bardzo blady, miał dużą brodę i błyszczące oczy. Lampa filowała, ale dla ścian nie było to nowością, więc nie stawały się bardziej czarne. Więzień rysował białe obrazki i pisał wiersze na czarnym tle, ale ja ich nie czytałam. Zdaje się, że się nudził. Ucieszył się z mojej wizyty. Wabił mnie do siebie okruszynami chleba, gwizdaniem i pieszczotliwymi słowami: tak bardzo się mną ucieszył. Nabrałam do niego zaufania i zaprzyjaźniliśmy się. Dzielił się ze mną chlebem i wodą, dawał mi ser i kielbasę, odżywiałam się doskonale, a najlepiej służyło mi, muszę się przyznać, to, że mnie dobrze traktował. Pozwalał mi spacerować po swojej ręce i ramieniu, wchodzić do rękawa, chować się w jego brodzie, nazywał mnie swoją małą przyjaciółeczką, po prostu pokochałam go, odwzajemniając jego uczucie. Zapomniałam, co mnie wyгнаło w daleki świat, zapomniałam o moim kołku od kielbasy, spoczywającym po dziś dzień w szczelinie podłogi. Chciałam zostać tam na zawsze; gdybym odeszła, biedny więzień nie miałby nic, a to chyba za mało na tym świecie. Zostałam, ale on nie został. Tak smutnie mówił do mnie po raz ostatni! Dał mi podwójną porcję chleba i sera i posłał mi ręką pocałunek; poszedł i nigdy nie wrócił. Nie znam jego historii. O zupie z kołką od kielbasy mówił dozorca, więc poszłam do niego, choć mu nie bardzo ufałam. Wziął mnie również w rękę, ale tylko po to, aby wsadzić do klatki, która jest okropna i obraca się jak młynek. Biega się w niej i biega, i nigdy nie posuwa się naprzód; i w dodatku jest się pośmiewiskiem wszystkich.

Wnuczka dozorca była śliczną, złotowłosą dziewczynką z wesołymi oczami i śmiejącą się buzią. „Biedna mała myszka!” – powiedziała, zajrzała do mojej brzydkiej klatki, wyciągnęła

żelazny haczyk, a ja wskoczyłam na okno, a stamtąd na rynnę. Wolna, wolna! Tylko o tym mogłam myśleć, a nie o celu mojej podróży.

Było ciemno, zapadła noc, znalazłam schronienie w starej wieży; mieszkał tam stróż i sowa. Nie ufałam żadnemu z nich, zwłaszcza sowie: podobna jest do kota i posiada tę wadę, że jada myszy; ale można się omylić i ja się właśnie omyliłam, gdyż była to szanowana, wyjątkowo wykształcona, stara sowa wiedziała więcej od stróża, a tyle samo co ja. Młode sowiątka o byle co awanturowały się. „Tylko nie gotujcie zupy na kołku od kielbasy”, mówiła stara i były to najsurowsze słowa, jakie mogła powiedzieć, bo tak bardzo kochała swoją własną rodzinę. Nabrałam do starej sowy takiego zaufania, że zapiszczałam ku niej ze szpary, w której siedziałam; zaufanie to spodobało się jej, zapewniła mnie, że się będzie mną opiekowała, żadnemu zwierzęciu nie pozwoli mi zrobić krzywdy ani mnie zjeść, zachowa mnie dla siebie samej, gdy będzie zima i nastaną trudności z wyżywieniem.

Sowa była we wszystkim bardzo mądra, opowiadała mi, że stróż potrafi hukać tylko na swym rogu, który nosi u pasa. „Wyobraża sobie, że jest sową z wieży. Myśli, że jest czymś wielkim, a jest niczym – po prostu zupa z kołka od kielbasy!” Prosiłam ją, by mi dała przepis na tę zupę, wówczas objasniła mnie: „Zupa z kołka od kielbasy – to tylko takie sobie ludzkie powiedzenie; rozumieć to można rozmaicie, a każdy sądzi, że jego objaśnienie jest najlepsze, a wszystko to razem nic nie znaczy.”

„Nic!” – krzyknęłam. Uderzyło mnie to ogromnie. Prawda jest nie zawsze przyjemna, ale prawda jest zawsze czymś najwyższym, to samo powiedziała stara sowa. Myślałam o tym i doszłam do wniosku, że jeśli przyniosę coś najwyższego, będzie to więcej niż zupa z kołka od kielbasy. Wówczas puściłam się w drogę, aby przybyć na czas do domu i przynieść to najwyższe: prawdę. Myszy są przecież wykształconym ludkiem, a król mysi góruje nad nimi. Jestem pewna, że dla tej prawdy uczyni mnie królową.

– Twoja prawda jest kłamstwem! – zawołała mysz, która jeszcze nie przemawiała – ja umiem przyrządzić tę zupę i przyrządzę ją!

V

Jak przyrządza się zupę

– Ja nie podróżowałam – powiedziała trzecia myszka. – Zostałam w kraju i to było najmądrzejsze. Nie trzeba wcale podróżować, równie dobrze można wszystko mieć na miejscu. Zostałam. Nie czerpałam mojej wiedzy od istot nadprzyrodzonych, nie pożerałam jej ani nie zdobywałam w rozmowach z sową. Doszłam do mojej mądrości jedynie drogą własnego myślenia. Proszę mi tylko postawić garnek na ogniu i napelnić go wodą po brzegi! Rozpalić ogień pod garnkiem i niech się pali, dopóki woda się zagotuje, a gotować się musi porządnie. Teraz wrzucić do wody kołek. Czy wasza królewska mysia mość zechce zanurzyć ogonek w gotującej wodzie i mieszać! Im dłużej się miesza, tym zupa jest esencjonalniejsza i nie kosztuje to nic. Nie trzeba żadnych przypraw – wystarczy tylko mieszać.

– Czy nie może tego zrobić kto inny? – spytał król.

– Nie – odparła mysz. – Siła tkwi jedynie w królewskim ogniu. Woda kipiała i syczała, król stanął przy garnku, było to niemal że niebezpieczne, wyciągnął swój ogonek, jak to czynią myszki, gdy chcą w piwnicy zebrać śmietaną z powierzchni mleka i oblizać potem swoje ogonki; zaledwie jednak wsadził ogonek w gorącą parę, zeskoczył z kuchni.

– Ma się rozumieć, że ty zostaniesz moją żoną! – zawołał. – Z zupą poczekamy aż do naszego złotego wesela, wówczas biedacy w moim państwie będą mieli z czego się cieszyć, a radość ich będzie długotrwała.

Tak więc wyprawiono wesele, ale wiele myszek po powrocie do domów mówiło:

– To przecież wcale nie zupa z kołka od kielbasy, raczej zupa z mysiego ogona.

To i tamto z mysich opowiadań było nawet całkiem interesujące, uważały myszki, ale całość mogła być lepsza.

– Ja na przykład opowiedziałabym to tak a tak...

To była krytyka, która jest zawsze najmądrzejsza – po fakcie. Historia ta obiegła cały świat. Różne były na nią poglądy, ale ona się nie zmieniała. I tak jest najlepiej zarówno w wielkich, jak i w małych sprawach, nawet w sprawie zupy z kołka od kielbasy. Tylko nie trzeba za to oczekiwać żadnego podziękowania.

COŚ

Chcę być czymś – mówił najstarszy z pięciu braci – chciałbym być pożyteczny na świecie; mogę zajmować nawet skromne stanowisko, ale niech tylko dobrze wszystko wykonam, a już będzie to coś. Pragnę robić cegły. Nie można się przecież bez nich obyć, będzie to już znaczyło, że zrobiłem coś.

– To twoje coś to jeszcze bardzo mało – mówił drugi brat – takie zajęcie jest prawie niczym, to praca czeladnika, którą równie dobrze mogłaby wykonać maszyna. Lepiej zostać murarzem, to już coś znaczy i tym pragnę być, zawsze to jakieś stanowisko. Można się dostać do cechu, stać się obywatelem miasta, mieć własną chorągiew i własną gospodę, a gdy wszystko dobrze pójdzie, będę mógł trzymać u siebie czeladników, będą mnie nazywali majstrem, a moja żona będzie panią majstrową. To już jest coś!

– Nie, to nic nie znaczy – powiedział trzeci brat. – Nie jest to żadne stanowisko. A istnieje w mieście tyle stanowisk wyższych od majstra. Możesz być dzielnym człowiekiem, ale jako majster zostaniesz tylko zwykłym prostakiem, jak to się potocznie mówi. Ja wymyśliłem coś o wiele lepszego. Pragnę zostać budowniczym, pragnę stworzyć coś, co ma wartość artystyczną, co zawiera jakąś myśl, pragnę zaliczać się do wysoko postawionych w państwie ducha; muszę wprawdzie zacząć od rzeczy najniższych, mówię to szczerze: muszę zacząć jako terminator u cieśli, nosić czapkę rzemieślniczą, choć przywykłem do noszenia jedwabnego kapelusza, prostym czeladnikom będę przynosił wódkę i piwo, a oni będą mi mówili „ty”, będzie mi wprawdzie ciężko, a będę sobie wyobrażał, że to wszystko jest maskarada, a jutro zrzucę maskę. Jutro, to znaczy, gdy będę czeladnikiem, pójdę swoją własną drogą, inni przestaną mnie interesować. Wstąpię do akademii, nauczę się rysować, zostanę architektem – to dopiero jest coś! To już dużo! Mogę zostać szlachcicem i jaśnie oświeconym, mogę otrzymać jeszcze o wiele więcej tytułów na początku i na końcu nazwiska i będę budował, i budował, tak jak inni budowali przede mną. To już jest takie coś, na czym się można oprzeć.

– Twoje coś jest dla mnie niczym – rzekł czwarty brat – nie będę chodził utartymi drogami; nie chcę być niczym echem, pragnę być geniuszem, pragnę być czymś większym niż wy

wszyscy razem. – Stworzę nowy styl i dam nowy projekt gmachu, zastosowanego do klimatu, do materiału, jaki posiada nasz kraj, do ducha narodowego i wymagań postępu naszego stulecia. A potem dodam jeszcze jedno piętro na konto własnego geniuszu!

– Ale jeżeli nie zastosujesz się do klimatu i materiału, sprawa przybierze zły obrót – mówił piąty brat – gdyż ma to duże znaczenie. Cechy narodowe łatwo mogą się przerodzić w przesadną afektację, zaś stosowanie się do wymagań wieku może łatwo sprowadzić cię na złą drogę, jak się to często zdarza młodym. Widzę więc, że żaden z was nie zostanie właściwie czymś, chociaż tak myślicie. Ale róbcie, co chcecie, nie będę do was podobny; stanę poza tymi wszystkimi sprawami, będę krytykował to, co wy będziecie robili. W każdej rzeczy jest coś niewłaściwego, otóż ja to znajdę i będę krytykował: to dopiero będzie na pewno coś! I tak też uczynił, a ludzie mówili o piątym bracie:

– Ten jest na pewno czymś. Ten ma dobrą głowę. Ale coś z tego nie wynika! – Właśnie w ten sposób był czymś.

Widzicie, krótka to historia, ale będzie trwała, dopóki świat istnieje. Ale co się stało dalej z tymi pięciu braćmi? Czy było z nich coś? Posłuchajmy dalej, bo z tego powstało całe opowiadanie.

Najstarszy brat, ten, który robił cegły, spostrzegł wkrótce, że z każdej cegielki, kiedy już jest gotowa, toczy się mały grosik, wprowadzie tylko miedziany, ale wiele małych, miedzianych grosików razem tworzy srebrnego talara; a gdy nim zapukać do piekarza, rzeźnika lub krawca – do każdych drzwi, otwierają się one i ma się, czego potrzeba; oto co dawały cegły, niektóre z cegiełek kruszyły się na kawałki lub rozpadły się na dwie części, ale te również się przydawały.

Uboga kobiecina, matka Małgorzata, pragnęła wybudować sobie wysoko na nabrzeżu mały domek; najstarszy brat podarował jej wszystkie pokruszone cegły i parę całych, gdyż miał dobre serce, chociaż daleko nie zaszedł i tylko wyrabiał cegły. Biedna kobieta wybudowała sobie sama chatkę, która była wąska, jedno okno miała krzywe, drzwi za niskie, a słomiany dach również nie był szczelnie ułożony, ale pomimo to ochraniała ta chatka przed słońcem i niepogodą i roztaczał się z niej taki piękny widok na dalekie morze, które w całej swej potężności uderzało o nabrzeże; słońce kropki opryskiwały cały dom, który stał tam jeszcze, kiedy dawno już zmarł i zszedł z tego świata ten, co cegły wyrabiał.

Drugi brat – ten potrafił porządnie murować – nie darmo uczył się tego rzemiosła. Kiedy się wreszcie wyzwolił, wziął węzełek i zaśpiewał rzemieślniczą pieśń:

*Wędruję sobie, młody chwata,
 Domy chcę wznosić wszędzie,
 Choć bez pieniędzy, jestem rad,
 Gdy swoje mam narzędzie.
 A gdy powrócę w miły kraj,
 Gdzie mieszka ukochana,
 Tam szczęścia czeka piękny raj
 I chaty własnej ściana.*

I tak też się stało. Kiedy wrócił do miasta i został majstrem, wymurował jeden dom obok drugiego, całą ulicę; ulica ta wyglądała ładnie i była ozdobą całego miasta; wówczas to domy wybudowały mu domek, który miał być jego własnością; ale w jaki sposób domy mogą budować? Zapytaj ich, na pewno ci nie odpowiedzą, ale ludzie wytłumaczą ci: „Tak, to prawda, ulica wybudowała mu domek!” Był to mały domek i miał tylko glinianą podłogę, ale kiedy tańczył po niej ze swoją panną młodą, podłoga stała się błyszcząca i wyfroterowaną posadzką, a z każdej cegły w murze wytryskał kwiat; było to piękniejsze od najkosztowniejszego obicia. To był piękny dom i szczęśliwe małżeństwo. Chorągiew cechu powiewała przed domem, a czeladnicy i terminatorzy krzyczeli: „Niech żyje!” Tak, to było coś. A potem umarł. I to także było coś.

Po nim następował trzeci brat, budowniczy, ten, który był najpierw uczniem ciesielskim, nosił kaszkiet i biegał na posyłki, ale skończył akademię, został budowniczym, a wreszcie „szlachcicem i jaśnie oświeconym”. Jego bratu, majstrowi murarskiemu, domy na ulicy wybudowały dom, a od architekta cała ulica otrzymała nazwę i najładniejszy dom na ulicy został jego własnością; to już było coś i on był czymś, nosił długi tytuł na początku i na końcu nazwiska, jego dzieci nazywano dziećmi z dobrego domu, a kiedy umarł, wdowa po nim była wdową z towarzystwa. To już jest coś! Nazwisko jego widniało na rogu i jak nazwa ulicy było na ustach wszystkich. To dopiero coś!

Po nim następował czwarty brat, geniusz, ten, który chciał stworzyć coś nowego, niezwyklego i wybudować prócz tego jeszcze jedno piętro dla siebie; ale nie udało mu się, spadł przy pracy i zabił się – wyprawiono mu wspaniały pogrzeb z chorągiewkami cechowymi,

muzyką, kwiatami; w gazetach i na ulicy ogłoszono nad jego grobem trzy mowy pogrzebowe, jedną dłuższą od drugiej, co sprawiłoby mu dużą radość, gdyż lubił bardzo, kiedy o nim mówiono; na grobie postawiono mu pomnik; właśnie to tylko jedno własne piętro, jednak było to już coś.

Umarł więc jak trzej inni bracia, ale ostatni brat, ten, którego sąd był uczony, przeżył wszystkich braci; stało się tak, jak powinno było się stać, gdyż ostatnie słowo należało teraz do niego, a było to dla niego bardzo ważne, aby mieć ostatnie słowo. „To mądra głowa!”, mówili ludzie. Ale oto i jego ostatnia godzina wybiła – umarł i dostał się przed furkę nieba. Przybywa się tam zawsze parami. I on także stał tam z drugą duszą, która pragnęła się dostać do nieba, a była to właśnie stara matka Małgorzata z domku na nabrzeżu.

– To chyba dla kontrastu przybyłem tu jednocześnie z tą nędzną duszą – powiedział ten, którego sąd był uczony. – Któż ty jesteś, kobiecino? Czy również chcesz się dostać do nieba? – spytał.

Staruszka dygnęła, jak tylko mogła najniżej, gdyż myślała, że to sam święty Piotr do niej przemawia.

– Jestem biedna staruszka, na świecie nie mam nikogo. Stara Małgorzata z domku przy grobli.

– A cóż to tam robiliście na ziemi?

– Prawdę powiedziawszy, nic nie robiłam na tym świecie, nic, co by mi mogło otworzyć furkę do nieba. Jeżeli pozwolą mi przekroczyć tę bramę, stanie się to jedynie w drodze wielkiej łaski.

– W jaki sposób opuściliście świat? – spytał ją, po to tylko, aby coś mówić, gdyż nudziło mu się stać tak i czekać.

– Doprawdy sama nie wiem, jak opuściłam świat. W ostatnich latach byłam chora i kiepsko się czułam. Nie mogłam po prostu dźwignąć się z łóżka i wyjść na taki mróz. Sroga była zima; ale teraz to już wszystko jedno. Przez parę dni nie było wiatru, ale zimno okropnie, jak wasza wielebność sobie pewnie przypomina: lód pokrył morze, jak tylko było sięgnąć okiem, i wszyscy ludzie z miasta wybiegli na lód. Były tam, jak to oni nazywają, „szlichtady” i tańce, zdaje się, grała muzyka i sprzedawano smakołyki. Leżąc w mojej ubogiej izdebce słyszałam to wszystko. A kiedy już było pod wieczór i wzeszedł księżyc, ale nie jaśniał jeszcze w całym blasku, zobaczyłam z mego łóżka przez okno, na granicy morza i nieba, dziwną białą chmurę; leżałam i patrzyłam na tę chmurę i na czarny punkt pośrodku chmury, który rósł i rósł; wiedziałam, co to oznacza; jestem stara i doświadczona, chociaż nieczęsto zdarzało mi się widzieć ten znak.

Znałam go jednak i ogarnęło mnie przerażenie, już dwa razy w życiu widziałam to i wiedziałam, że będzie straszna burza i wielki przyptyw morza, który zatopi tych biednych ludzi, co teraz piją, weselą się i tańczą, wszyscy byli przecież na lodzie, starzy i młodzi; któż miał ich ostrzec, skoro nikt nie widział i nie wiedział tego, co ja wiem. Przeraziłam się tak bardzo i życie we mnie wstąpiło na nowo od długiego czasu. Zwlekłam się z łóżka i zbliżyłam do okna, dalej nie mogłam się dowlec. Mogłam jednak otworzyć okno. Widziałam ludzi ślizgających się i skaczących na lodzie, widziałam barwne flagi, słyszałam krzyki wyrostków: „Hura!”, śpiew dziewcząt i chłopców. A biała chmura z czarnym punktem wznosiła się wciąż wyżej i wyżej, zawołałam, jak mogłam tylko najgłośniej, ale nikt mnie nie słyszał, bo byłam zbyt daleko. Wkrótce zerwie się burza, lód rozpadnie się na kawałki i wszyscy utoną bez ratunku. Słyszeć mnie nie mogli, a ja nie miałam sił, by się do nich dostać. W jaki sposób sprowadzić ich na brzeg? I oto Pan Bóg natchnął mnie myślą, abym podpaliła własne łóżko; niechaj lepiej spłonie mój dom, niżby tylu ludzi miało zginąć. Udało mi się podłożyć ogień, widziałam czerwony płomień – wydostałam się za drzwi, ale upadłam i leżałam tam nie mogąc się poruszyć; płomień wychylił się za mną i wbił się przez okno wysoko w górę, na dach; ludzie zobaczyli ogień i przybiegli, jak tylko mogli najprędzej, aby mnie, biedną, ratować, gdyż myśleli, że się spalę żywcem; nikt nie został, wszyscy przybiegli, słyszałam, jak biegli, i słyszałam także, jak w powietrzu coś zaświstało; rozległy się huki, jak gdyby strzelano z ciężkich armat, przyptyw podniósł kry lodowe, które rozpadały się na kawałki; ale ludzie zdążyli wydostać się na brzeg, gdzie leżałam w deszczu iskier; uratowałam ich wszystkich, ale nie zniosłam zimna i strachu – i oto dostałam się do bramy rajy; mówią, że brama rajy otwiera się i dla takich biednych ludzi jak ja. Co prawda nie mam już domu tam na dole, na nabrzeżu, ale to mi przecież nie daje prawa wstępu tutaj.

Wtem otworzyła się brama królestwa niebieskiego i anioł wprowadził Staruszkę; zgubiła przed bramą małą słomkę z siennika, jedną z tych, które podpaliła, aby uratować tyle ludzi, źdźbło słomy przemieniło się w czyste złoto, w takie złoto, które rosło i wiło się w najpiękniejsze wzory.

– Patrz, co przyniosła ze sobą ta biedna staruszka! – powiedział anioł do tego, który sądził uczenie. – Cóż ty przynosisz? Wiem dobrze, że nic nie robiłeś, że nie zrobiłeś nigdy nawet jednej cegielki; gdybyś się mógł wrócić i przynieść choćby jedną cegielkę zrobioną przez siebie, byłaby zapewne nie do użytku, jednak dobre chęci to zawsze jest coś, ale nie możesz się wrócić i

ja nie mogę dla ciebie nic zrobić!

Wówczas biedna duszyczka kobiety z domku na nabrzeżu zaczęła za niego prosić:

– Jego brat robił sam cegły i podarował mi wszystkie te kawałki cegieł, z których skleciłam moją biedną chatkę, a dla mnie, ubogiej, była to wielka pomoc. Czyż te wszystkie okruchy i kawałki cegieł nie mogłyby bratu jego zastąpić jednej cegły? Jest to dzieło łaski. Potrzeba mu jej bardzo, a tutaj jest przecież królestwo łaski.

– Twój brat, ten, którego miałeś w najwyższej pogardzie, ten, którego uczciwa praca wydawała ci się czymś niższym, daje ci teraz grosik otwierający królestwo niebieskie! – powiedział anioł. – Nie będziesz stąd wypędzony, otrzymasz pozwolenie, aby tu przed bramą stać i rozmyślać, jak mogłeś lepiej żyć tam na ziemi; ale do środka nie możesz dostać się wcześniej, dopóki z twojego dobrego, choćby najdrobniejszego czynu nie powstanie coś!

„Ja bym to lepiej wyraził!” – pomyślał ten, który wszystko mądrze sądził, ale głośno nie odważył się tego powiedzieć, a to już było coś!

SZYBKOBIEGACZE

Pewnego razu ogłoszono nagrodę, a nawet dwie nagrody, dla tego, kto najszybciej biega, i to nie za jeden bieg, ale za wszystkie biegi w ciągu całego roku.

– Ja mam pierwszą nagrodę! – powiedział zajac. – Tam gdzie własna rodzina i dobrzy przyjaciele zasiadają w jury konkursowym, musi panować sprawiedliwość; ale to, że ślimak otrzymał drugą nagrodę, jest dla mnie do pewnego stopnia obrazą!

– Nie! – odrzekł kołek w płocie, który był obecny przy rozdawaniu nagród. – Trzeba uwzględnić pilność i dobre chęci; tak orzekło wiele czcigodnych osób, i ja również tak samo myślę. Ślimak zużył wprawdzie pół roku, żeby przeleźć przez próg, ale w tym pośpiechu złamał sobie kość biodrową, gdyż dla niego był to jednak pośpiech. Żył tylko myślą o tym biegu, a przy tym niósł z sobą swój dom! To wszystko zasługuje na szacunek i dlatego otrzymał drugą nagrodę.

– I mnie również mogliby wziąć pod uwagę – powiedziała jaskółka. – Nikt nie jest ode mnie szybszy w locie i w zakrętach, a ile się napodróżowałem.

Byłam hen, hen, hen!

– Tak, to jest właśnie pani nieszczęście – powiedział kołek w płocie – włóczy się pani za dużo po świecie. Gdy tylko zaczyna być zimno, opuszcza pani kraj. Nie może pani wcale być brana w rachubę. To brak patriotyzmu.

– A gdybym przez całą zimę przeleżała w bagnie? – zapytała jaskółka. – Gdybym przespała cały ten czas, czy wtedy wzięto by mnie pod uwagę?

– Niech się pani postara o zaświadczenie więdźmy z bagna, że połowę czasu przespała pani w ojczyźnie, wtedy prośba będzie uwzględniona.

– Zasłużyłem na pierwszą nagrodę, nie na drugą – rzekł ślimak – wiem przecież, że zajac biegał jedynie z tchórzostwa, bo za każdym razem myślał, że grozi mu niebezpieczeństwo; ja zaś postawiłem sobie bieg za cel mego życia i powinnośc tę przyplaciłem kalectwem. Jeżeli w ogóle ktoś ma otrzymać pierwszą nagrodę, to tylko mnie się ona należy, ale nie umiem się wyklócać! Pogardzam tym.

To mówiąc splunął.

– Jestem odpowiedzialny słowem i czynem za to, że każda nagroda, a przynajmniej mój głos w tej sprawie jest sprawiedliwy – powiedział stary kołek graniczny z lasu, który był członkiem jury konkursowego. – Ja postępuję zawsze zgodnie z porządkiem, z zastanowieniem i z obliczeniami. Już siedem razy miałem zaszczyt rozdawać nagrody; ale dopiero dzisiaj po raz pierwszy przeprowadziłem moją wolę. Przy każdym podziale nagród opierałem się na czymś pewnym. Przy pierwszej nagrodzie kierowałem się drugą częścią alfabetu, a przy drugiej nagrodzie cofnąłem się bardziej ku początkowi. Proszę teraz uważać, w jaki sposób rozpoczynam od końca: ostatnia litera alfabetu jest Z – i dlatego pierwszą nagrodę dałem zającowi. Litery A nie biorę pod uwagę, to nie litera, ale dźwięk i nigdy się nie liczy. Ósmą literą alfabetu od końca jest S i dlatego ślimak otrzymał drugą nagrodę. Następnym razem przyjdzie kolej na J – pierwsza nagroda, a R otrzyma drugą. We wszystkim musi być porządek. Trzeba się na coś opierać.

– Gdybym nie należał do sędziów, głosowałbym na samego siebie! powiedział muł, który także był sędzią. – Należy brać pod uwagę nie tylko szybkość, która sprawia, że się ktoś posuwa naprzód, ale także inne cechy, jak na przykład zdolność dźwigania ciężarów; ale nie chcę o tym mówić teraz, jak również nie chcę mówić o mądrości zająca w ucieczce, o jego chytryści, z jaką skacze nagle w bok, aby zwieść ludzi, wprowadzić ich na fałszywy ślad i ukryć się przed nimi; jest jeszcze coś, do czego ludzie przywiązują wielką wagę, czego nie należy zaniedbywać, mam na myśli to, co nazywają pięknem; na to zwróciłem uwagę, patrzałem na piękne, strzeliste uszy zająca; to prawdziwa przyjemność patrzeć, jakie są długie. Wydawało mi się, że patrzę na samego siebie, kiedy byłem jeszcze mały, i dlatego głosowałem na zająca.

– Pst! – powiedziała mucha. – Nie chcę przemawiać, pragnę tylko coś powiedzieć. Jedno wiem, że przegoniłam już niejednego zająca. Niedawno zmiażdżyłam jednemu z najmłodszych zajączków tylne skoki, siedziałam na lokomotywie, często to czynię, gdyż tam można najlepiej ocenić własną szybkość. Młody zając biegł przez długi czas przed nami, nie przeczuwał nawet, że ja tam siedziałam; musiał wreszcie skrócić w bok, ale wtedy lokomotywa zmiażdżyła mu tylne skoki, dlatego że ja na niej siedziałam. Zając został, a ja pojechałam dalej. Czyż to nie znaczy, że go prześcignęłam? Ale mnie nagroda niepotrzebna!

„Ja sędzę – myślała dzika róża, ale nie powiedziała tego, bo nie zwykła była uzewnętrzniać swych myśli, chociaż byłoby dobrze, gdyby to powiedziała głośno – ja uważam, że promień słońca zasłużył na pierwszą nagrodę i na drugą także. Przelatuje w jednej chwili nieskończenie

długą drogę od słońca aż do nas i uderza z taką siłą, że cała natura się budzi; jest taki piękny, że my, róże, rumienimy się i pachniemy na jego widok. Wysoki sąd, zdaje się, tego wcale nie zauważył. Gdybym była promieniem słonecznym, dostałby się każdemu z sędziów porządny udar słoneczny, ale wprawiliby ich to w szaleństwo, a oni i bez tego już oszaleli. Nic już nie powiem – pomyślała dzika róża. – Spokój w lesie! Jakże pięknie jest kwitnąć, pachnieć orzeźwiająco i żyć, żyć w pieśni i podaniu! Promień słoneczny przeżyje nas wszystkich!”

– Jaka jest pierwsza nagroda? – spytała dżdżownica, która cały ten czas przespała i dopiero teraz wyszła na światło.

– Wolny wstęp do warzywnego ogrodu – powiedział muł. – To ja podałem ten projekt. Zając musiał mieć wolny wstęp i wówczas ja, jako rozsądny i czynny członek, zwróciłem uwagę na to, co jest dla niego pożyteczne; teraz przynajmniej zając ma to, czego mu potrzeba. Ślimak ma prawo siedzieć na murku okalającym sad i łykać mech i promienie słońca, a prócz tego jest jednym z pierwszych sędziów w zawodach szybkości. Dobrze jest mieć fachowca w tym, co ludzie nazywają „komitetem”. Muszę przyznać, że oczekuję wiele od przyszłości, bo przecież zrobiliśmy wspaniały początek.

DZIEWCZYNA, KTÓRA PODEPTAŁA CHLEB

Słyszałeś pewnie o dziewczynie, która nie chcąc zabrudzić bucików, stanęła na bochenku chleba; i o tym, jak źle się to skończyło, jak zostało opisane i wydrukowane.

Była ubogim, ale dumnym i pysznym dzieckiem, zła z natury, jak to powiadają. Gdy była zupełnie mała, największą przyjemność sprawiało jej chwytanie much i wrywanie im skrzydełek, przez co przemieniały się w stworzenia pełzające. Chrabąszcze i żuki przekłuwała szpilką, podkładała im pod łapki zielony listek lub kawałek papieru, i biedne stworzenie trzymało mocno w łapkach ów skrawek i obracało nim w kółko, aby uwolnić się od szpilki.

– Chrabąszcz czyta! – mówiła mała Inger. – Patrzcie no, jak obraca listek!

W miarę jak rosła, stawała się gorsza, nie lepsza, ale była ładna i to stało się jej nieszczęściem, inaczej świat byłby dla niej surowszy i nie wydarzyłoby się to, o czym będzie mowa.

– Należy ci dobrze zmyć głowę – mówiła do niej własna matka. – Jako dziecko przydeptywałaś mi często fartuch, obawiam się, że jak urośniesz, podepczesz mi serce.

I tak też się stało.

Pojechała na wieś na służbę do zamożnych ludzi, którzy traktowali ją jak własne dziecko, chodziła pięknie ubrana, wyglądała ładnie i pycha wzrastała w jej sercu.

Po roku ludzie, u których służyła, powiedzieli do niej:

– Musisz przecież wreszcie odwiedzić twoich rodziców, droga Inger. Wybrała się w drogę, ale tylko po to, aby się pokazać w swoich strojach. Gdy doszła do wsi, zobaczyła parobków i dziewczyny, stojących nad jeziorem i rozmawiających z ożywieniem, a tuż obok siedziała na kamieniu jej staruszka matka i odpoczywała; była właśnie w lesie i zebrała wiązkę chrustu. Wtedy Inger zawróciła i odeszła, wstydziła się, że ona, tak pięknie ubrana, ma matkę w łachmanach, która zbiera chrust; nie robiła sobie żadnych wyrzutów z tego powodu, że zawróciła, była tylko zła.

„Znowu upłynęło pół roku.

– Powinnaś kiedyś pójść do domu i odwiedzić twoich starych rodziców, moja droga Inger – powiedziała pani. – Masz tu duży bochenek pszennego chleba, weź go ze sobą, rodzice ucieszą

się, gdy cię zobaczą.

Inger włożyła swoją najlepszą sukienkę i swoje nowe buty i szła ostrożnie, aby nie zabrudzić nóg; nikt nie mógł jej tego wziąć za złe; ale gdy doszła do miejsca, gdzie droga prowadziła przez bagnisko i gdzie rozlała się woda i błoto na dużej przestrzeni, rzuciła na ziemię bochenek chleba, aby stanąć na nim i przejść po nim suchą nogą. Gdy postawiła jedną nogę na bochenku chleba, a drugą uniosła do góry, chleb zaczął się coraz głębiej i głębiej pograżać i dziewczyna znikła zupełnie, widać było tylko wielką, czarną kałużę, a na niej rozpryskujące się pęcherzyki.

Oto jest całe opowiadanie.

Ale co się stało z Inger?

Dostała się do błotnej wiedźmy, która warzy piwo. Błotna wiedźma jest ciotką elfów, które są przecież dobrze znane, napisano o nich wiele pieśni i malowano je nieraz, ale o błotnej wiedźmie wiedzą ludzie tylko tyle, że gdy w lecie parują łąki, to ona warzy piwo. Inger spadła właśnie do jej browaru, a długo tam nie można wytrzymać. Śmietnik jest w porównaniu z browarem błotnej wiedźmy jasną, wspaniałą komnatą. Każde naczynie cuchnie tam tak, że wszyscy ludzie mdleją, i w dodatku wszystkie te naczynia stoją ciasno jedno obok drugiego, a jeżeli jest nawet pomiędzy nimi jakiś mały otvorek, przez który się można przecisnąć przeskadzają pełzające dookoła tłuste węże i mokre ropuchy; tu właśnie znalazła się Inger; te ohydne żywe gady były tak lodowato zimne, że dziewczyna drżała na całym ciele, nawet kostniała coraz bardziej. Przyrosła mocno do bochenka chleba, który ją przyciągał tak, jak bursztyn przyciąga żdźbło słomy.

Wiedźma była w domu, tego dnia miał zwiedzić browar diabeł i jego babka, stara jędza, która zawsze jest zajęta; nie wychodzi nigdy bez swojej ręcznej robótki, i tutaj także zabrała ją ze sobą. Szyła dla ludzi niepokój, kładła im do butów, aby nigdy nie zaznali spokoju, haftowała kłamstwa i robiła szydełkiem nierozważne słowa, które padały na ziemię; czyniła to po to, aby szkodzić i niszczyć. Ta starucha potrafiła szyć, haftować i robić szydełkiem.

Zobaczyła Inger, włożyła na nos okulary i obejrzała ją jeszcze raz.

– Ta dziewczyna jest bardzo obiecująca – powiedziała – wezmę ją sobie na pamiątkę tych odwiedzin. Mogłaby być figurą w przedpokoju mego prawnuka.

Oddano jej Inger. Oto jak się mała Inger dostała do piekła. Nie każdy dostaje się tam prostą drogą, czasami można trafić i objazdem, o ile ma się po temu zdolności!

Był to wielki przedpokój ciągnący się w nieskończoność. Gdy się patrzyło naprzód, kręciło

się w głowie; gdy się patrzyło w tył, kręciło się w głowie; stała tu gromada łaknących, którzy czekali, aż otworzą się wrota łaski: mogli długo czekać; wielkie, tłuste, kołyszące się pająki przedły łapami tysiącletnie pajęczyny, pajęczyny te oplątywały nogi jak sieci i trzymały w uwięzi jak miedziane kajdany, a prócz tego każdą duszę nurtował niepokój, męczący niepokój. Skąpiec zapomniał klucza od kasy, a wiedział, że klucz tkwił w zamku. Ale zbyt daleko zaprowadziłyby nas opisy wszystkich męczarni i tortur, jakich tu ludzie doświadczeni. Inger męczyło strasznie, że postawiono ją tu jako figurę.

Stopy jej nadal przywierały do bochenka chleba.

Tak to jest, kiedy się chce mieć czyste nogi – mówiła sama do siebie. – Jak to się na mnie gapią!

Rzeczywiście, wszyscy patrzyli na nią; ich złe myśli błyszczały w oczach i wychodziły bezdźwięcznie z ich warg, straszno było patrzeć.

„Na mnie jest przynajmniej miło patrzeć – myślała mała Inger – mam ładną twarz i ładną sukienkę” – przewracała oczami, aby spojrzeć na siebie, miała zbyt sztywny kark, aby móc odwrócić głowę. Jakżeż zabrudziła się w browarze błotnej wiedźmy! Wcale o tym nie pomyślała, suknie jej były oblepione jak gdyby jedną gęstą warstwą mułu; wąż wplątał się jej we włosy i objął się o plecy, a z każdej fałdy ubrania wyglądała ropucha, szczekająca jak astmatyczny mops. Było to bardzo przykre.

– Wszyscy inni wyglądają przecież także strasznie – pocieszała się Inger.

Najbardziej ze wszystkiego męczył ją głód. Czyż nie mogła schylić się i ułamać kawałka chleba, na którym stała? Nie, plecy miała sztywne, ramiona i dłonie sztywne, całe ciało było jak kamienny posąg; jedynie oczami mogła poruszać w ten sposób, że widziała nawet to, co się znajdowało za nią; był to wstrętny widok. A potem przyleciały muchy: włożyły jej do oczu, mrugała oczami, ale to nic nie pomagało, muchy nie wyfruwały, nie mogły się stamtąd wydostać; miały wyrwane skrzydełka i przemieniły się w pełzające stworzenia; była to niewypowiedziana męka; czuła tak straszny głód, jak gdyby wnętrzości jej same się pożerały, w sobie czuła pustkę, przeraźliwą pustkę.

– Jeżeli tak dłużej potrwa, nie wytrzymam – mówiła. Ale musiała wytrzymać, a trwało to bez końca.

Nagle spadła na jej głowę paląca łza, potoczyła się po jej twarzy i piersi i spoczęła na chlebie, a za nią upadła druga, upadło wiele kropel. Któż to płakał nad małą Inger? Miała przecież matkę

na ziemi. Łzy smutku, które matka wylewa nad dzieckiem, docierają do niego, ale nie wyzwalają, tylko palą, tylko powiększają jego mękę. A przy tym ten nieludzki głód i to, że nie mogła ułamać chleba, który podeptała. W końcu miała takie uczucie, jak gdyby wszystko w jej wnętrzu zostało pożarte, była jak cienka, pusta trzcina, która wchłania w siebie każdy dźwięk; słyszała zupełnie wyraźnie wszystko, co mówiono o niej na ziemi; a to, co słyszała, było złe i bolesne. Matki płacz był wprawdzie głęboki i smutny, ale mówiła ona:

– Pycha wiedzie do upadku. To stało się twym nieszczęściem, Inger. Jakże zasmuciłaś matkę!

Matka jej i wszyscy inni na ziemi wiedzieli o jej grzechu, wiedzieli, że podeptała chleb, wpadła w grzęzawisko i zniknęła. Pastuch, który pasł krowy, opowiedział o tym, gdyż wszystko widział ze wzgórza.

– Jakże zasmuciłaś twą matkę, Inger! – powiedziała matka. – Widzisz, zawsze mówiłam, że tak się skończy!

„Obym się była nigdy nie rodziła – myślała Inger – byłoby to dla mnie o wiele lepiej. Teraz na nic się to przyda, że moja matka płacze.”

Słyszała, jak jej chlebodawcy, dobrzy ludzie, którzy traktowali ją jak własne dziecko, mówili:

– Była grzesznym dzieckiem, nie uszanowała Bożych darów, podeptała je nogami. Wrota łaski długo jeszcze się dla niej nie otworzą.

„Mogli mnie przecież krócej trzymać – myślała Inger – mogli mi wypędzić muchy z nosa, jeżeli je miałam.”

Słyszała, że ułożono o niej całą piosenkę:

„Pyszałkowata dziewczyna, co podeptała chleb, aby nie zabrudzić bucików.”

W całym kraju śpiewano tę piosenkę.

„Ileż to się trzeba nasłuchać i nacierpieć – myślała Inger. – Inni powinni być także ukarani za swoje grzechy. Zbyt wiele jest ludzi, których należy ukarać. Ach, jakże ja cierpię!”

Jej uczucia stały się jeszcze twardsze niż jej ciało.

„Tu, na dole, w takim towarzystwie nie można stać się lepszą. I wcale nie pragnę być lepszą. Jakże się oni wszyscy na mnie gapią!”

Serce jej pełne było złości i gniewu do wszystkich ludzi.

„Teraz mają co opowiadać tam na górze. Ach, jakże się męczę!”

Słyszała, jak opowiadano o niej dzieciom, które ją nazywały „bezbożną Inger” – mówiono o niej, że była szkaradna, wstrętna i że powinna zostać porządnie ukarana. Z ust dziecięcych

wychodziły jedynie twarde słowa.

Ale pewnego dnia, kiedy męki i głód nękały wydrażoną skorupę jej ciała, posłyszała, jak mówiono o niej i opowiadano jej dzieje niewinnemu dziecku, małej dziewczynce, która, usłyszawszy opowieść o próżnej Inger, wybuchnęła płaczem.

– Czy nigdy już nie wydobędzie się stamtąd? – spytała dziewczynka.

A odpowiedź brzmiała:

– Nie, nigdy.

– Ale jeżeli przeprosi i nigdy już tego więcej nie zrobi?

– Ona nie chce prosić o przebaczenie – odpowiedziano dziecku.

– Tak bym chciała, aby przeprosiła – powiedziała dziewczynka i była niepoczona. – Oddałabym jej moje zabawki za to, by powróciła. Tak mi żal tej biednej Inger.

Słowa te przeniknęły do serca Inger i natychmiast przyniosły jej ulgę. Po raz pierwszy nazwał ją ktoś „biedną Inger” i nic nie dodał o jej grzechach; małe, niewinne dziecko płakało i prosiło o przebaczenie dla niej, było to takie dziwne, że chętnie sama by zapłakała, ale nie mogła płakać i to także było męką.

Podczas gdy tam na górze upływały lata, tu na dole nic się nie zmieniało – coraz rzadziej dochodziły ją z góry dźwięki, coraz mniej o niej mówiono. Nagle usłyszała westchnienie:

„Inger, Inger. Jakże mnie zasmuciłaś! Zawsze mówiłam, że tak będzie!”

To zmarła jej matka.

Od czasu do czasu słyszała swoje imię, które wymawiali jej dawni chlebobawcy, a najłagodniejsze słowa, jakie powiedziała jej pani, były:

– Czy cię kiedy zobaczę, Inger? Nigdy nie wiadomo, gdzie znajdziemy się w przyszłym życiu.

Ale Inger wiedziała, że jej dobra pani nigdy nie będzie przebywała tam, gdzie ona.

Znowu przeszły długie, gorzkie lata.

Raz usłyszała Inger swoje imię i zobaczyła nad sobą jakby dwie błyszczące gwiazdy. To było dwoje łagodnych oczu, które zamknęły się na ziemi. Tyle już lat upłynęło od tego czasu, gdy mała dziewczynka płakała niepoczona nad „biedną Inger”, że z dziecka stała się staruszką i Bóg wezwał ją do siebie. Właśnie w tej chwili, gdy przebiegała myślą całe życie, przypomniało jej się, jak gorzko płakała jako małe dziecko słysząc historię o Inger. Tamte czasy i tamto wrażenie ożyło w jej duszy w chwili śmierci i zawołała:

– Panie Boże mój, może i ja tak jak Inger deptałam Twe dary, nie myśląc, że czynię coś złego, może i ja byłam za życia dumna. Ale Ty w Twojej łasce nie pozwoliłeś mi się pograć, podtrzymywałeś mnie. A teraz w ostatniej godzinie nie cofaj Twej ręki.

Oczy staruszki zamknęły się, a wtedy otwarły się oczy jej duszy na rzeczy ukryte; a ponieważ ostatnie jej myśli były przy Inger, zobaczyła ją, zobaczyła cały jej upadek i ta pobożna dusza wybuchnęła płaczem. Tak jak niegdyś jako dziecko, stała w królestwie niebieskim i płakała nad biedną Inger; łzy i modlitwy odbijały się echem o wydrażoną, pustą skorupę, w której tliła się uwięziona, umęczona dusza; zwyciężyła ją nigdy nie przeczuwana miłość, która spłynęła na nią z góry, anioł Boży zapłakał nad nią. Dlaczego została jej zesłana łaska? Umęczona dusza zbierała w myśli każdy uczynek popełniony na ziemi i rozplakała się tak, jak Inger nigdy płakać nie mogła. Przepęliła ją rozpacz nad sobą, wydawało jej się, że nigdy nie otworzą się wrota łaski; ale gdy ogarnęła ją skrucha, w otchłani zabłysł ku niej promyk: błysnął on z większą siłą niż promień słońca, który roztopia figury ze śniegu ulepione przez chłopców na podwórku i o wiele szybciej od płatka śniegu, spadającego na miękkie usta dziecięce i roztopiającego się w kroplę wody, rozwiała się skamieniała postać Inger w mgłę; maleńki ptaszek wzniósł się lotem błyskawicy w górę, w świat ludzi.

Był wprawdzie lękliwy i nieśmiały, wstydził się samego siebie, wstydził się wszystkich żywych istot i szukał chciwie jakiegoś zakątka, jakiejś ciemnej nory w zapadłym murze, przykucnął tu skulony, drżąc na całym ciele, nie mogąc wydać z siebie żadnego dźwięku, gdyż nie posiadał głosu, siedział tam długą chwilę, zanim nie rozejrzał się wokoło siebie. Było pięknie: powietrze takie świeże i łagodne, księżyc świecił jasno, drzewa i krzewy pachniały; tam gdzie siedział, było tak przytulnie, skrzydełka miał czyste i delikatne. Wszelkie stworzenie miało piętno miłości i piękna. Wszystkie myśli, drzemające w piersi ptaszka, chciały wydobyć się na zewnątrz, ale nie potrafił wyrazić ich, zaśpiewałby chętnie jak kukułka i jak słowik na wiosnę. Ale Bóg, który słyszy nawet niemy hymn robaka, usłyszał i tę pieśń, wznoszącą się jedynie w akordach myśli tak jak psalm, który rozbrzmiewał w duszy Dawida, zanim jeszcze wcielił się w melodię i słowa.

Przez całe tygodnie dojrzewały i rosły te pieśni bez słów; miały wybuchnąć przy pierwszym uderzeniu skrzydeł dobrego czynu, ale ten czyn nie przychodził.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Wieśniak zatknął na murze drąg i przywiązał do niego worek z owsem, aby i ptaszki miały w święto Zbawiciela wesole dni i smaczne

pożywienie.

Słońce weszło w dzień Bożego Narodzenia i oświetliło worek z owsem, wszystkie ćwierkające ptaszki otoczyły słup; wówczas zabrzmiało z norki w murze: „Ćwir, ćwir!” Rozpierzchłe myśli nabrały dźwięku, słabe ćwierkanie przemieniło się w radosny hymn, przebudziła się myśl dobrego czynu i ptaszek wyfrunął ze swego ukrycia; a w niebie znali przecież tego ptaka!

Nadeszła surowa zima, wody zamarzły, ptaki i zwierzęta w lesie zaledwie mogły znaleźć pożywienie. Mały ptaszek wyfrunął na drogę i szukał czegoś do zjedzenia na śladach sań, znalazł tu jedno ziarenko, tam drugie, znalazł też parę okruszków chleba; sam jadł mało, ale zwołał wszystkie inne wygłodzone wróble, aby pożywiły się. Fruwał po miastach, wypatrywał dookoła i gdzie tylko z okna jakaś dobra ręka rozrzuciła dla ptaszków okruszki chleba, sam zjadł tylko odrobinę, a innym ptakom oddawał wszystko.

W ciągu zimy mały ptaszek zebrał i porozdawał tyle okruszków chleba, że razem utworzyły cały bochenek taki jak ten, na którym stanęła mała Inger, aby nie zabrudzić sobie bucików; i kiedy znalazł ostatni okruszek i oddał go innym, szare skrzydełka ptaszka zrobiły się białe i rozwinęły się szeroko do lotu.

– Tam nad wodą leci mewa – wołały dzieci widząc białego ptaszka; raz nurkował on w morzu, raz zanurzył się w blasku jasnego słońca; ptaszek błyszczał i mienił się tak, że trudno było zobaczyć, co się z nim stało; dzieci mówiły, że poleciał prosto w słońce.

DZIECIĘCA PAPLANINA

W mieszkaniu kupca zebrało się liczne dziecięce towarzystwo: były to dzieci ludzi bogatych i znacznych; kupcowi dobrze się powodziło. Był człowiekiem uczonym, chodził nawet na uniwersytet, co stanowiło zasługę jego ojca, dzielnego człowieka; ten początkowo był tylko handlarzem bydła, ale uczciwością i pracą zdobył majątek, który kupiec jeszcze pomnożył. Posiadał rozum i nawet serce, ale mniej o tym mówiono aniżeli o jego pieniądzech.

Bywali u niego ludzie wytworni, arystokracja krwi i arystokracja ducha, bywali też ludzie posiadający jedno i drugie – szlachetną krew i rozum, albo tacy, którzy nie mogli się pochwalić ani jednym, ani drugim. Teraz zebrało się tam towarzystwo dzieci, dzieci rozmawiały ze sobą, a dzieci rozmawiają szczerze. Była wśród nich śliczna, mała dziewczynka, ale bardzo zarozumiała: to służba zepsuła ją pochlebstwami, rodzice bowiem byli na to zbyt rozsądni. Ojciec jej był szambelanem – dziewczynka wiedziała, że to strasznie dużo znaczy.

– Jestem dzieckiem szambelana – mówiła. Mogłaby równie dobrze być dzieckiem z sutereny, bo na to, aby być jednym lub drugim, nie ma się żadnego wpływu; i opowiedziała innym dzieciom, że jest dobrze urodzona, i dodała, że jeżeli się nie jest „urodzonym” – pozostaje się niczym; wtedy nie pomaga żadna nauka ani pilność, o ile się nie jest „urodzonym”, nie można nic osiągnąć.

A ci, których nazwisko kończy się na „sen”¹² – mówiła – z tych nic już w świecie nie będzie, trzeba się wziąć pod boki i z daleka trzymać od tych „sen, sen” – i to mówiąc podparła się swymi ślicznymi rączkami pod boki; chciała pokazać, jak się to powinno robić. Jej rączki były prześliczne, była doprawdy zachwycająca.

Córeczka kupca rozgniewała się bardzo; jej ojciec nazywał się Madsen, wiedziała, że jego nazwisko kończyło się na „sen”, odpowiedziała jej więc, jak tylko mogła najdumniej:

– Mój ojciec może kupić karmelków za sto talarów i wyrzucić je przez okno. Czy twój ojciec to potrafi?

– A mój – powiedziała córeczka literata – może twego ojca i twego ojca, i wszystkich ojców opisać w gazecie. Moja matka mówi, że wszyscy ludzie boją się go, bo ojciec rządzi całym

pismem.

I dziewczynka podniosła głowę do góry, jak gdyby była prawdziwą księżniczką, która może zadzierać głowę do góry.

Ale za uchylonymi drzwiami stał biedny chłopiec i zaglądał przez szparę do środka. Nie wolno mu było nawet wejść do pokoju, gdyż był biedny. Kręcił kucharce rożen, a za to pozwoliła mu zajrzeć do dzieci, które tak wesoło się zabawiały. Była to dla niego wielka przyjemność.

„Gdybym to ja mógł być jednym z nich!” – myślał, a potem usłyszał to, co tam mówiono, i sprawiło mu to dużą przykrość. Rodzice chłopca nie mieli ani jednego grosza schowanego na dnie kuferka i gazety też nie mogli prenumerować, nie mówiąc już o tym, aby w niej pisać, ale najgorsze było to, że nazwisko jego ojca, tak jak jego własne nazwisko, kończyło się na „sen”. A więc nic już z niego nie będzie w życiu. Było to bardzo smutne. Ale wiedział przynajmniej jedno, że był urodzony. To było zupełnie pewne.

Wszystko to działo się jednego wieczora. Potem przeszło wiele lat i dzieci wyrosły na ludzi. W mieście wznosił się wspaniały dom, w którym znajdowały się cudne rzeczy, wszyscy ludzie chcieli ten dom oglądać, nawet ci, którzy mieszkali za miastem, przybywali do miasta, aby obejrzeć ten dom.

Które z tych dzieci, o których opowiadaliśmy, mogło nazwać ten dom swoim domem? Myślicie, że to łatwo zgadnąć? Okazuje się, że wcale niełatwo. Dom należał do tego biednego chłopca; pomimo że nazwisko jego kończyło się na „sen”, jednak coś z niego wyrosło, nazywał się bowiem – Thorvaldsen.

A troje innych dzieci – dzieci szlacheckiej krwi, i te dumne ze swego majątku, i dzieci arystokratów ducha? Żadne z nich nie wyróżniło się niczym zasługującym na uwagę. Wyrosły wszystkie na przyzwoitych ludzi, gdyż w istocie były to dobre dzieci; to, o czym niegdyś myślały i mówiły, było przecież jedynie dziecięcą paplaniną.

¹² Większość nieszlacheckich nazwisk duńskich kończy się na „sen”.

KOGUT PODWÓRKOWY I KOGUCIK NA DACHU

Były raz dwa koguty: jeden stał na kupie nawozu, a drugi na dachu, oba się pyszniły; ale który z nich zdziałał więcej? Powiedz nam swoje zdanie, a my zostaniemy przy swoim.

Przybytek drobiu był odgradzony parkanem od sąsiedniego podwórza, gdzie leżała kupa nawozu, a na niej rósł wielki ogórek, który był świadom tego, że jest rośliną inspektową.

– Takim się już przychodzi na świat – mówił – nie wszyscy mogą być urodzeni jako ogórki, muszą istnieć także inne żywe stworzenia. Kury, kaczki i całe stado z sąsiedniego podwórza – to także żywe stworzenia. Patrząc na podwórzowego koguta stojącego na parkanie, jakież on jest inny od kogucika na dachu, który tak wysoko stoi i nie potrafi nawet skrzypieć, nie mówiąc już o pianiu. Nie ma ani kur, ani kurcząt, myśli tylko o sobie i poci się na zielono. Nie, kogut podwórzowy to mi kogut, co się zowie! Stąpa dzielnie, jakby tańczył. Jego pianie to mi muzyka. Gdzie tylko się zjawia, zaraz można poznać, co to za trębacz. Gdyby przyszedł teraz tutaj i zjadł mnie z liśćmi i łodygą i gdybym zginął w jego wnętrznościach, byłaby to błogosławiona śmierć! – powiedział ogórek.

W nocy rozpętała się straszna burza; kury, kurczęta i kogut szukały schronienia. Płot przedzielający oba podwórza przewrócił się od wiatru, trzeszcząc strasznie; cegły spadały z dachu, ale kogucik wskazujący pogodę trzymał się mocno, nie obrócił się nawet ani razu, nie mógł się poruszyć, a jednak był młody, świeżo odlany, tylko rozważny i stateczny; urodził się już jako stary, nie był podobny do trzpiotowatych ptaków podniebnych, wróbli i jaskółek, pogardzał nimi, „ćwierkające ptactwo, mizerne wzrostem i gminne!” Gołębie były dla niego wielkimi, błyszczącymi i mieniącymi się jak masa perłowa ptakami, mówił, że wyglądają jak coś w rodzaju kogucika na dachu, ale są grube i głupie.

– Wszystkie ich myśli i pragnienia dążą tylko do tego, aby napęłnić żołądek – mówił kogucik na dachu – a jakie są nudne w obcowaniu!

Ptaki wędrowne jednak odwiedzały kogucika na dachu. Opowiadały mu o obcych krajach, o powietrznych karawanach, opowiadały straszne historie o zbójcach, czyli o drapieżnych ptakach; gdy kogucik słyszał te opowiadania po raz pierwszy, wydawały mu się nowe i interesujące, ale potem wiedział już, że wędrowne ptaki się powtarzają, że ciągle mówią to samo, a to było

nudne; z nikim nie mógł przestawać, wszyscy bez wyjątku byli nudni i ograniczeni, z nikim nie można było zawierać znajomości.

– Świat jest nic niewart – mówił kogucik. – Wszystko jest głupstwem.

Kogucik na dachu był, jak to mówią, zblazowany, uczyniłoby go to zapewne w oczach ogórka interesującym, gdyby o tym wiedział, ale ogórek patrzył tylko na podwórzowego koguta, a ten był teraz właśnie na podwórzu, tuż przy nim.

Płot przewrócił się, ale błyskawice i grzmoty minęły.

– Cóż sądzicie o takiej koguciej muzyce? – spytał kogut podwórzowy kur i kurcząt. – Było to trochę ordynarne, całkiem bez dyskusji.

Kury i kurczęta weszły na kupę nawozu, a kogut podążał za nimi wielkimi krokami.

– Ogrodowa roślina – powiedział kogut do ogórka i tym jednym słowem pokazał mu swe głębokie wykształcenie, tak że ogórek nie spostrzegł się, gdy kogut zaczął go dziobać i zjadł.

– Błogosławiona śmierć!

Przyszły kury, przyszły kurczęta (kiedy jedno leci, biegną za nimi wszystkie inne), gdakały i piszczały, patrzyły na koguta i były z niego dumne, że należał do ich rodu.

– Ku-ku-ry-ku! – zapiął kogut. – Kiedy ja wydam rozkaz, we wszystkich kurnikach świata kurczęta staną się natychmiast dorosłymi kurami.

A kury i kurczęta gdakały i piszczały. Kogut oznajmiał wielką nowinę:

– Kogut może znieść jajko! A czy wiecie, co się w tym jajku znajduje? Bazyliszek! Żaden człowiek nie może znieść jego widoku. Ludzie wiedzą o tym, a teraz i wy już wiecie, wiecie, co we mnie mieszka. Wiecie, co to ja jestem za wszechpotężny pan! – I kogut uderzył skrzydłami, naprężył grzebień i zapiął znowu. Ciarki przeszły po kurach i kurczętach, ale były strasznie dumne, że jeden z ich rodu jest takim wszechpodwórzowym panem; gdakały i piszczały tak, że kogucik na dachu musiał to słyszeć, słyszał, ale nie ruszał się z miejsca.

– Wszystko to jest bzdurą – powiedział do siebie kogucik. – Podwórzowy kogut nie składa nigdy jaj, a i ja nie mam na to ochoty. Gdybym zechciał, mógłbym nawet mieć wydęte jajko! Ale świat nie jest wart nawet pustej skorupy. Wszystko bzdura! Teraz nie chce mi się nawet już siedzieć na miejscu!

I kogucik spadł z dachu, ale nie zabił podwórzowego koguta, chociaż nosił się z tym zamiarem, mówiły kury.

A jaka z tego nauka?

Lepiej jest piąć, niż być zblazowanym i skręcić kark.

OPOWIADANIE Z DIUN

To jest opowiadanie z diun jutlandzkich, ale nie zaczyna się ono w Jutlandii, tylko daleko na południu, w Hiszpanii; morze jest pomostem pomiędzy krajami; przenieś się myślą do Hiszpanii. Jest tam gorąco i pięknie, kwitną ogniste, czerwone kwiaty granatu wśród ciemnej zieleni laurowych liści; orzeźwiający wietrzyk wieje z gór na pomarańczowe gaje i wspaniałe mauretańskie gmachy o złotych kopułach i kolorowych ścianach; ulicami ciągną procesje dzieci ze świecami i powiewającymi chorągwiami, a nad nimi niebo błyszczący milionami gwiazd. Rozbrzmiewa śpiew i muzyka kastanietów, tańczą chłopcy i dziewczęta w cieniu kwitnących akacji, a żebrak siedzi na ciosanym marmurze, orzeźwia się soczystym arbuzem i znów zapada w półdrzemkę. Tak, wszystko tam jest jak piękny sen. I sen ten przeżywało całą swoją istotą dwoje młodych, nowo poślubionych ludzi, którzy mieli wszystko, co jest dobrego na tej ziemi: zdrowie, humor, bogactwo i szacunek.

Jesteśmy tacy szczęśliwi, jak tylko można być szczęśliwym! – mówili z głębi serca, a pragnęli jeszcze, aby być w pełni szczęśliwymi, tylko jednego – żeby Bóg dał im dziecko, syna, który byłby do nich podobny z duszy i ciała. Szczęśliwe dziecko byłoby witane radością, otoczone największą troskliwością i miłością, obdarowane wszystkim, co może dać kochająca, bogata i miła rodzina.

Dni mijały kochającej się parze jak jedno święto.

– Życie jest darem łaski miłości, tak wielkim darem, że trudno ogarnąć go myślą! – powiedziała młoda kobieta. – A jeszcze błogość ta ma wzrastać po śmierci na tamtym świecie, aż po wieczność. Trudno mi to po prostu pojąć!

– To ludzie tak myślą w swej pysze – powiedział mąż. – W gruncie rzeczy jedynie niezmierna pycha może podyktować myśl, iż jesteśmy nieśmiertelni jak Bóg. – Takie były również słowa węża, a on, jak wiadomo, był mistrzem kłamstwa!

– Nie wątpisz chyba o tym, że istnieje życie pozagrobowe? – spytała żona i po raz pierwszy

na ich słoneczny świat myśli padł cień.

– Wiara nam to obiecuje, duchowni nas o tym zapewniają – odparł młody człowiek. – Ale właśnie teraz, gdy jestem tak szczęśliwy, zaczynam przypuszczać, że to tylko duma i pycha ludzka stworzyły tę wiarę, że po śmierci czeka nas jeszcze życie, które jest wieczną szczęśliwością. Czyż nie dość nam jest tu na ziemi zaznawać szczęścia?

– Tak, nam było ono dane! – odparła młoda kobieta. – Ale iluż jest ludzi na ziemi, dla których życie jest ciężkim doświadczeniem, którym nie jest dane nic prócz nędzy, poniżenia, choroby i nieszczęścia. Nie, gdyby dla tych ludzi życie kończyło się na ziemi, nie byłoby równego podziału dóbr, Bóg nie byłby Sprawiedliwością.

– Ten żebrak na ulicy doznaje radości, która wydaje mu się tak samo wielka jak radość króla w jego wspaniałym zamku – mówił mąż. – A czy sądzisz, że zwierzę pociągowe, bite i głodzone aż do śmierci, i zaharowane, ma świadomość swego ciężkiego żywota? Mogłoby się również domagać życia pozagrobowego. Wówczas i ono mogłoby odczuć niesprawiedliwość, że nie zostało wcielone do wyższego rzędu stworzeń na ziemi!

– W królestwie niebieskim jest wiele mieszkań, powiedział Chrystus – odparła młoda kobieta. – Jest ono nieskończonością, tak jak nieskończonością jest miłość Boża. Zwierzę jest również stworzeniem boskim i wierzę, że żadne życie nie idzie na marne i że każdemu przypada w udziale jego część szczęścia!

– Ale mnie wystarcza ten ziemski świat! – zawołał mąż obejmując swą śliczną żonę, miłą żonę i paląc papierosa na otwartym tarasie, gdzie woń pomarańcz mieszała się z zapachem goździków; z ulicy dolatywały dźwięki muzyki i kastanietów, gwiazdy mrugały z nieba, a dwoje oczu pełnych miłości, oczu jego żony, spoglądało na niego, napełnione życiem tej wiecznej miłości.

– Dla takiej chwili warto się rodzić, żyć i zniknąć! – uśmiechnął się. Młoda kobieta, podniosła dłoń na znak łagodnego protestu, chmura rozwiała się na nowo, byli zbyt szczęśliwi.

Wszystko zdawało im się sprzyjać, rosły zaszczyty, radość i dobrobyt. Zmiany zachodziły tylko w miejscu ich pobytu, a nie w korzystaniu z radości i rozkoszy życia. Król wysłał męża młodej kobiety do Rosji na stanowisko posła przy dworze cesarskim; był to zaszczyt odpowiedni do jego urodzenia i wykształcenia. Posiadał on sam spory majątek, a żona jego, jako córka bogatego i szanowanego kupca, wniosła mu okazały posąg. Jeden z największych statków domu handlowego kupca miał właśnie w tym roku wyruszyć do Sztokholmu, on to miał zabrać na

swym pokładzie ukochaną córkę i zięcia, jadących do Petersburga. Statek urządony był po królewsku, wysłany miękkimi dywanami i przystrojony jedwabiami i innymi wspaniałościami.

Patrząc na ten statek, wyruszający z Hiszpanii, przypominało się sobie starą Balladę o angielskim królewiczu; w tej pieśni również opisany był kosztowny i pięknie urządony statek, o kotwicy pokrytej złotem i linach okręconych jedwabiem, i w tej pieśni, tak samo jak teraz, brzmiały słowa pożegnania:

Boże, pozwól nam się znowu

Spotkać wszystkim razem!

Wiatr szybko gnał statek coraz dalej od brzegów Hiszpanii. Pożegnanie było krótkie. Za parę tygodni mieli dotrzeć do celu. Gdy znaleźli się na pełnym morzu, wiatr ucichł: powierzchnia morza była spokojna i gładka, woda połyskiwała, na niebie bez chmurki zabłyśły gwiazdy. We wspaniałej kajucie było ciągle tak, jak gdyby panowało święto.

Wreszcie zaczęto życzyć sobie, by powietrze się ruszyło, by sprzyjający wiatr popędził nieco statek, ale na próżno, gdy zrywał się wiatr, wiał z przeciwnej strony. W ten sposób przechodziły tygodnie. Podróż trwała już dwa miesiące, gdy dopiero natrafiono na pomyślny wiatr południowo-zachodni. Znajdowali się wówczas na pełnym morzu pomiędzy Szkocją a Jutlandią, wiatr wzmagał się coraz bardziej, zupełnie jak w Balladzie o angielskim królewiczu:

Zerwał się wicher, nadciągnęły chmury,

Na statek wałą fał spienionych góry

A więc rzucili w rozpacz kotwicę

I wiatr ich pognał w duńską okolicę.

Było to już dawno, bardzo dawno temu. Król Chrystian VII siedział na tronie duńskim i był w owych czasach jeszcze młodzieńcem. Wiele się od tego czasu zmieniło, wiele się wydarzyło i minęło. Jeziora i bagniska stały się bujnymi łąkami, leśne ugory urodzajnymi polami, a pod ochroną strzech wiejskich zachodniej Jutlandii rosą róże i jabłonie, ale trzeba je wyszukiwać, gdyż kryją się przed wichrami z zachodu.

Łatwo wyobrazić sobie można dawne czasy przed panowaniem Chrystiana VII. Jak wtedy, jeszcze i teraz ciągną się milami brunatne wrzosowiska z rozsianymi na nich kurhanami, meteorytami, i z popłatanymi, wyboistymi, piaszczystymi drogami; ku zachodowi, gdzie wielkie strumienie wpadają do fiordów, ciągną się bagniste łąki graniczące z wysokimi diunami, które jak łańcuchy alpejskie ze spiczastymi wierzchołkami rozciągają się nad morzem przylegając do

jego gliniastych, urwistych brzegów. Morze co roku odrywa z tych brzegów olbrzymie płyty tak, że wzgórza i urwiska wyglądają jak po trzęsieniu ziemi. Tak wygląda tam do dziś dnia, tak wyglądało i wówczas przed wielu laty, gdy szczęśliwa para żeglowała po morzu na bogatym statku.

Było to w ostatnich dniach września, w dzień niedzielny i słoneczny. Dzwony kościelne rozbrzmiewały wzdłuż fiordu Nissum; kościoły wyglądają tak jak ociosane kamienie, każdy z nich to kawał skały, Morze Północne mogłoby ponad nimi przewalić swe fale, a stałyby niewzruszone. Większość z nich nie posiada wieży, dzwony wiszą między dwiema belkami pod gołym niebem. Skończyło się właśnie nabożeństwo, wierni wylegli z kościoła na cmentarz, gdzie wówczas, tak jak i teraz, nie było ani jednego drzewka, ani krzaczka, nie było ani kwiatka, ani wieńca. Gołe pagórki jedynie oznaczały miejsca, gdzie leżeli umarli; ostra trawa, smagana przez wiatr, zarastała cały cmentarz. Jeden jedyny grób miał coś w rodzaju pomnika, był to spróchniały, drewniany kloc ociosany w kształt trumny; drzewo przyniesione z lasu zachodniej Jutlandii przez fale dzikiego morza. Tam rosną dla mieszkańca wybrzeża przyciosane belki i deski, które przyływ wyrzuca na ląd. Ale w wichrach i mgłach takie pnie prędko wietrzeją. Taki to kloc leżał tu na grobie dziecka. Ku niemu skierowała się kobieta, która wyszła z kościoła. Stała nad grobem, patrzyła na spróchniałą na wpół kłodę. Po chwili podszedł do kobiety jej mąż. Nie powiedzieli ani słowa, mąż wziął żonę za rękę i poszli od grobu przez brunatne wrzosowisko, przez bagna, aż w stronę diun.

– Dobrze było dzisiaj kazanie! – powiedział mężczyzna. – Gdyby człowiek nie miał Boga, nic by mu nie pozostało!

– Tak! – odparła kobieta. – On darzy nas cierpieniem i radością. On ma do tego prawo. Jutro nasz malec skończyłby pięć lat, gdybyśmy go mieli!

– Nic nie pomoże twój smutek! – powiedział mężczyzna. – Jemu się udało. Dostał się tam, dokąd i my oboje pragniemy się dostać.

A potem umilkli i poszli na przełaj w stronę ich domu, przez diuny.

Nagle na jednej z diun, której trawa niezbyt mocno trzymała piasek, podniósł się jak gdyby pióropusz dymu. To był wir, który jakby świdrował diunę i kręcił w powietrzu delikatne cząstki piasku. A potem przyszło silne uderzenie wichru, tak że wszystkie ryby wywieszane na sznurach do suszenia stuknęły o ściany domu – i znowu wszystko ucichło. Słońce paliło mocno.

Mężczyzna i kobieta weszli do domku, zaraz zdjęli niedzielne ubranie i szybko ruszyli przez

diuny, które wyglądały teraz jak olbrzymie fale piasku, nagle znieruchomiały. Niebieskozielone, ostre źdźbła trawy morskiej odbijały od białego piasku. Przyszło paru sąsiadów pomóc wyciągnąć łodzie na wyższe miejsca. Wiatr się wzmaczał, a potem zrobiło się przejmująco zimno; gdy wracali przez diuny do domu, ziarna piasku i żwiru smagały ich po twarzach. Pale piętrzyły w górę swe białe wierzchołki, a wichur zdzierał szczyty ich grzebieni i pryskał nimi w powietrze.

Nadszedł wieczór, powietrze przeszywał przejmujący gwizd, jęki, wycia, jak gdyby skarżyły się zastępy zrozpaczonych duchów. Wiatr zagłuszał nawet ryk fal morskich, chociaż domek stał tuż nad brzegiem morza. Piasek walił o szyby, a czasami następowało uderzenie, jakby domek miał być zmieciony z powierzchni. Było ciemno, ale koło północy wzeszedł księżyc.

Powietrze rozjaśniło się, lecz burza trwała wciąż jeszcze ponad głębokim, czarnym morzem. Rybacy od dawna poszli do łóżek, ale nie mogli zmrużyć oka w taką straszliwą pogodę. Nagle zapukano do okna, drzwi otworzyły się i ktoś zawołał:

– Jakiś wielki statek osiadł na przybrzeżnej ławicy! Rybacy wyskoczyli z łóżek i ubrali się w mgnieniu oka. Księżyc się ukazał, było dość jasno, aby można było wszystko widzieć, a piasek zasypywał oczy; wichur był tak potężny, że rybacy ledwo utrzymywali się na nogach; z wielkim trudem, pełzając między jednym a drugim podmuchem wiatru, dostali się za diuny; jak puch łabędzi unosiła się w powietrzu słona piana z morza, które jak wzburzony, kipiący wodospad uderzało o brzeg. Trzeba było mieć bystry wzrok, by dojrzeć statek na morzu. Był to wspaniały dwumasztowiec. Właśnie fala uniosła go ponad ławicę, o jakie pół kilometra od brzegu, i pognęła na brzeg, ale statek uderzył o drugą ławicę i utknął w niej bez ruchu. Pomoc była niemożliwa, morze było zbyt wzburzone. Fale uderzały w żaglowiec i przelatywały ponad nim. Zdawało się, że poprzez huk fal słychać było wezwania o pomoc, śmiertelne okrzyki. Można było dostrzec z brzegu bezskuteczne starania. Nagle olbrzymia fala, jak góra skalista, uderzyła o bukszpryt i oderwała go od razu. Rufa statku uniosła się ku górze wysoko nad wodą. Z pokładu skoczyło do wody razem dwoje ludzi; zniknęli – jeszcze chwila a jedna z największych fal, która biegła ku diunom, wyrzuciła na brzeg ciało. Była to kobieta. Zdawała się być martwa. Rybaczki zajęły się nią; sądziły, że w ciele są oznaki życia. Zaniósły ją przez diuny do chaty rybaka. Jakże była piękna i delikatna! Z pewnością wytworna jakaś dama.

Położono ją w ubogim łóżku, nie było na nim nawet skrawka prześcieradła, ale wełniana kołdra, w którą ją owinięto, była ciepła.

Kobieta powróciła do życia, ale w gorączce nie wiedziała wcale, gdzie się znajduje, co się z nią stało. Tak było lepiej, gdyż wszystko, co było jej drogie, leżało na dnie morza. Cała załoga statku zginęła. I było znowu jak w Balladzie o angielskim królewiczu:

*Ileż to było szumu i lamentu,
I tylko szczątki zostały z okrętu.*

Deski i belki z rozbitego statku morze wyrzuciło na brzeg. Ona jedna pozostała. Zanim jeszcze wicher ucichł nad wybrzeżem, leżała cicho, ale nagle przyszedł atak bólu i krzyku, kobieta otworzyła piękne oczy i powtarzała jakieś wyrazy, których tu nikt nie mógł zrozumieć. A wtedy za wszystkie jej bóle i cierpienia dostała nagrodę: trzymała w swym objęciu nowo narodzone dziecko. Powinno ono było leżeć we wspaniałym łożu z jedwabnymi firankami. Miano je powitać z radością u progu życia pełnego wszelkich ziemskich bogactw. A tymczasem Bóg chciał, aby przyszło na świat w nędznej izdebce, nawet matka go nie pocałowała na przywitanie.

Rybaczka przyłożyła dziecko do piersi matki, leżało tak przy sercu, które umilkło, gdyż kobieta umarła. Dziecko, które miało używać bogactw i radości, zostało wyrzucone na świat, wyrzucone przez morze pomiędzy diuny, do ubogiej izdebki biedaków. Nędza i ciężki los stały się jego udziałem.

*I znów przypomina się nam stara ballada
Łzy z królewicza oczu płyną,
Boże mój, widzę Bovbjergu krainę,
Gdziekolwiek pójdę, źle mi jest wszędzie.
Może mi lepiej u Buggego będzie,
Gdy pan ten w lenno zabrać mnie zamierza,
Nie będę lupem giermka ni rycerza.*

Statek rozbił się na południe od fiordu Nissum, na wybrzeżu, które pan Bugge niegdyś zwał swoim. Minęły już wówczas twarde, nieludzkie czasy, gdy mieszkańcy zachodniego wybrzeża odnosili się wrogo, jak powiadają, do rozbitków. Miłość, współczucie i ofiarność czekały na nieszczęśliwych. Umierająca matka i jej nieszczęsne dziecko znalazłyby wszędzie opiekę, wszędzie, „gdziekolwiek zawieje wiatr zachodni”, ale nigdzie chyba nie znalazłyby takiego ciepła jak u biednej rybaczki: jeszcze wczoraj z ciężkim sercem stała ona u grobu, gdzie leżało jej dziecko, które gdyby Bóg pozwolił, kończyłoby tego właśnie dnia pięć lat.

Nikt nie wiedział, kim była obca, umarła kobieta i skąd przybyła. Deski i belki statku nie mogły tego opowiedzieć.

Do bogatego domu w dalekiej Hiszpanii nie doszedł nigdy ani list, ani wieść żadna o córce i zięciu. Nie dotarli do celu swej podróży. Burze szalały przez ostatnie tygodnie na morzu. Czekano długie miesiące. Po miesiącach tych nadeszła wiadomość: „Zaginęli bez śladu. Wszyscy utonęli.”

A tymczasem w diunach koło Huusby, w chatce rybaka chował się mały chłopaczek.

Tam gdzie dwoje może się wyżywić, znajdzie się i pożywienie dla trzeciego: morze daje pod dostatkiem ryb dla głodnych ust. Chłopca nazwali Jörgen.

– To z pewnością żydowskie dziecko – mówiono. – Taki czarny!

– Może być także Hiszpan albo Włoch – mówił proboszcz.

Ale dla rybaczki te wszystkie trzy narody niczym się nie różniły i pocieszyło ją tylko to, że dziecko otrzymało chrzest święty. Chłopiec rozwijał się dobrze, jego arystokratyczna krew rozgrzewała się i wzmacniała na nędznym wikcie; wzrastał w skromnym domu. Język duński, a właściwie dialekt zachodnio-jutlandzki, stał się jego językiem rodzimym. Z nasienia hiszpańskiego granatu wyrastała morska trawa na zachodnim wybrzeżu Jutlandii. Tak zdarza się czasem z człowiekiem! Do tej ojczyzny przywiązał się wszystkimi swoimi korzeniami. Poznał głód, chłód, nędzę, ale poznał także i radość biedaków.

Dzieciństwo ma dla każdego jasne chwile, które mu przyświecają potem przez całe życie. Ileż miejsca tu do radości i zabawy! Całe piaszczyste wybrzeże leżało przed nim ciągnąc się na długie miłe, pełne zabawek, usiane mozaiką różnokolorowych kamyków: czerwonych jak korale, żółtych jak bursztyn lub białych i okrągłych jak jaja ptasie; leżały wszystkie przed nim kolorowe, śliskie i wygładzone przez morskie fale. Wysuszony szkielet ryby, wyschłe na wietrze rośliny morskie jak długie białe wstęgi wijące się między kamieniami, wszystko to było zabawą i radością dla oczu i umysłu dziecka. Chłopiec był ogromnie rozgarnięty, drzemały w nim wielkie zdolności. Jakże świetnie pamiętał bajki i piosenki, które gdzieś posłyszał. Jaki był zręczny, z kamyków i muszli budował całe okręty i układał obrazki, którymi można było ozdobić ściany izby.

– Potrafi myśli swoje wyrzeźbić w patyku! – mówiła jego przybrana matka. – A jest przecież jeszcze taki mały.

Umiał prześlicznie śpiewać. Chwytał każdą melodię. W piersi jego dźwięczało wiele strun,

które zagrałyby na cały świat, gdyby urodził się gdzie indziej, nie w chacie rybackiej nad Północnym Morzem.

Pewnego dnia u brzegu rozbił się znowu statek. Wiatr przygnał skrzynię pełną rzadkich cebulek kwiatowych. Nie wiedziano, co z nimi uczynić: niektóre ugotowano w kaszy sądząc, że są jadalne, innegniły porzucone w piasku. Nie dane im było rozwinąć przepychu swych barw, wspaniałych możliwości, które w nich tkwiły. Czyżby Jörgena miał spotkać ten sam los? Ale cebulki kwiatowe zginęły szybko, a chłopiec miał jeszcze przed sobą wiele lat prób.

Ani jemu, ani nikomu z jego otoczenia nie przychodziło do głowy, jak bardzo samotne i monotonne są dni, które przeżywają. Tyle było do roboty, do słuchania i do patrzenia! Samo morze było jak gdyby olbrzymią księgą do nauki, która codziennie otwierała nową kartę: ciszę morską, łagodne falowanie, ostry wiatr lub burzę. Gdy statek siadał na mieliźnie, było to wielkie zdarzenie, pójście do kościoła było świętem, a dwa razy do roku nadchodziła wyjątkowa uroczystość: do domu rybaków przybywał w odwiedziny brat rybaczki, wieśniak, zajmujący się połowem węgorzy w Fialtring, wysoko, w pobliżu Bovbjerg. Przyjeżdżał pomalowanym na czerwono wozem pełnym węgorzy; wóz był zamknięty jak skrzynia i ozdobiony malowanymi, błękitnymi i białymi tulipanami, ciągnęły go dwa szare woły, a Jörgenowi pozwolono nimi powozić.

Wieśniak, był to wesoły gość i tęga głowa, przywoził ze sobą gąsiorek wódki i każdy dostawał kieliszek, a gdy nie było już kieliszków, pełną filiżankę do kawy. Nawet Jörgen, chociaż taki maleńki, otrzymywał porządny naparstek po to, żeby, jak mówił wuj, splukać tłustego węgorza. Opowiadał on zawsze tę samą anegdotkę, a gdy się z niej śmiano, powtarzał ją jeszcze raz tym samym słuchaczom. Tak robią zwykle gadatliwi ludzie, a ponieważ Jörgen przez całe dzieciństwo i nawet potem w dojrzałych latach używał wyrażeń z owej historyjki, musimy jej więc posłuchać tutaj:

„W strumieniu poruszały się węgorze; węgorzyca powiedziała do swych córek, które ją prosiły, by pozwoliła im trochę popływać samym w rzeczce:

– Nie odchódźcie za daleko, bo przyjdzie zły rybak i wsadzi was do worka!

Ale poszły za daleko i z ośmiu córek wróciły tylko trzy, które skarżyły się matce:

– Wyjrzałyśmy tylko przed drzwi i zaraz zły rybak zakłuł nasze pięć sióstr!

– Powróć jeszcze! – pocieszała matka.

– Nie! – odparły córki. – Bo rybak wypatroszył je, obdarł ze skóry i usmażył.

- Powrócą jeszcze! – powtarzała matka.
- Ale on je zjadł! – powiedziały córki.
- Powrócą! – twierdziła matka.
- Ależ on je popił wódką! – powiedziały córki.
- Ach, ach! To już nigdy nie wróca! – rozplakała się matka. – Wódka grzebie węgorza!
- I dlatego to trzeba zawsze wypić po węgorzu kieliszek wódki!” – kończył rybak.

Historia ta była złotą nicią humoru w życiu Jörgena. I on także chciał opuścić dom i popłynąć nieco z „biegiem rzeki”, to znaczy na statku wypłynąć w świat, a matka mówiła jak węgorzyca: „Na świecie jest wiele złych ludzi, co zabijają węgorze.” Ale jednak musiał wyjść poza diuny, chociażby, na wrzosowisko, tak się też stało. Nastąpiły cztery radosne dni, które rozjaśniły całe jego dzieciństwo: zamknął się w nich cały urok Jutlandii, radość i blask słoneczny ojczyzny. Miał pojechać na uroczystość – właściwie mówiąc na stypę pogrzebową.

Zmarł zamożny krewniak rybaka. Gospodarstwo jego leżało w głębi lądu „na wschodzie, nieco na północ”, mówiono. Ojciec i matka mieli tam pojechać i zabrać Jörgena ze sobą. Z diun poprzez wrzosowisko i bagna dotarli do zielonej łąki, przeciętej pasmem Skjaerum, rzeki obfitującej w węgorze, tej, gdzie mieszkała właśnie węgorzyca ze swymi córkami, „tymi, które zakłuli źli ludzie i pokrajali w kawałki”. Często ludzie nie lepiej postępują ze swymi bliźnimi. Nawet rycerz Bugge, którego dobre czyny opiewa stara pieśń, a którego źli ludzie zamordowali, sam chciał zgładzić budowniczego. Ów wybudował mu zamek o grubych murach z wieżą w tym właśnie miejscu, gdzie stał teraz Jörgen ze swymi przybranymi rodzicami, tam gdzie Skjaerum wpada do fiordu Nissum. Widać tu było jeszcze wzgórze i resztki czerwonego muru obronnego. Tutaj rycerz Bugge powiedział do swego pachołka, gdy budowniczy odjechał:

– Idź za nim i powiedz: „Mistrzu, wieża się pochyliła.” Jeżeli się odwróci, zabij go i odbierz pieniądze, które ode mnie dostał, ale jeśli się nie odwróci, pozwól mu odejść w spokoju.

Pachołek usłuchał a budowniczy odpowiedział na jego słowa:

– Wieża się nie chwieje, ale kiedyś z zachodu przyjdzie mąż w błękitnej szacie. On to sprawi, że wieża się zachwieje.

I istotnie tak się też stało w sto lat później. Morze Północne wtargnęło na wzgórze i wieża się zawałiła, ale właściciel zamku, Prebjörn Gyldenstjerne, wybudował sobie nowy zamek wyżej, tam gdzie kończy się wrzosowisko, i gród ten dotąd tam stoi – nazywa się Nörre-Vosborg.

Koło tego zamku miał Jörgen przejeżdżać ze swymi przybranymi rodzicami. O każdym miejscu, które teraz mijał, opowiadano mu w długie zimowe wieczory. Teraz na własne oczy widział dwór, groby rodzinne, drzewa i krzaki. Wznosiły się tam mury obronne, obrośnięte paprocią, lecz najpiękniejsze były wysokie lipy; dosięgały one prawie dachu i wypełniały powietrze słodkim zapachem. Na północo-zachód w kącie ogrodu stał krzak obsypany kwiatami jak płatkami śniegu wśród zieleni lata; był to krzak dzikiego bzu, pierwszy, jaki Jörgen widział, okryty kwiatami. Ten krzak i lipy pozostały w jego pamięci na długie lata – zapach i urok Danii, które dziecięca dusza przechowała „aż do głębokiej starości”.

Dalsza podróż odbywała się już wygodniej, ponieważ właśnie niedaleko Nörre-Vosborg, gdzie tak pięknie kwitł krzak dzikiego bzu, spotkali innych gości jadących na stypę wozem i pojechali z nimi. Co prawda, wszyscy troje musieli siedzieć z tyłu na małej skrzynce drewnianej z żelaznym okuciem, ale było to lepsze niż podróż piechotą, jak sądzili. Droga wiodła przez wyboiste wrzosowisko. Woły, które ciągnęły wóz, przystawały przy świeżych kępkach zieleni. Sterczały one wśród wrzosu, słońce przygrzewało mocno i tak dziwnie wyglądał z oddali dym, który falował, a jednak był przejrzystszy od powietrza, widziało się przez niego na wskroś, wyglądało to tak, jak gdyby promienie światła wirowały i tańczyły nad wrzosowiskiem.

– Loke popędza swoje owce – powiedziano, a to wystarczyło Jörgenowi. Zdawało mu się, że wjeżdża wprost w krainę baśni, a przecie była to prawda. Jakaż tu panowała cisza!

Wrzosowisko rozciągało się daleko jak drogocenny dywan, wrzos kwitł, jałowce zielone jak cyprysy i świeże pędy dębów wyglądały jak bukiety na tle krzewów wrzosu. Wszystko zachęcało do tego, aby się wytarzać po ziemi: gdyby nie te jadowite żmije! O nich też rozmawiano i o stadach wilków, które tu grasowały, na skutek czego te okolice nazywano Wilczym Grodem.

Stary woźnica opowiadał o takich wypadkach jeszcze z czasów swego ojca, jak to konie staczały zaciekle walki z tymi wściekłymi drapieżnikami, które obecnie zostały doszczętnie wytepione. Pewnego ranka ojciec jego zobaczył w tym miejscu, jak jeden z koni depce wilka, którego zabił i całkowicie stratował kopytami.

Aż nazbyt prędko przeszła droga przez wyboiste wrzosowisko i przez głębokie piaski. Zatrzymali się przy domu żałoby, gdzie pełno było obcych ludzi – wewnątrz i zewnątrz domu; jeden wóz stał obok drugiego. Konie i woły szczypały skąpą trawę, wielkie zwały diun, podobne do tych, jakie Jörgen znał ze swych okolic nad morzem, wznosiły się za dworem, rozciągały się

daleko i szeroko! Jakże tu przywędrowały trzy mile w głąb ładu, a są równie wysokie i potężne, jak te na wybrzeżu? Wiatr uniósł je i przywiał aż tutaj. I one mają swoją historię.

Śpiewano psalmy, para starszych ludzi popłakała trochę, ale poza tym – jak Jörgen uważał – było niezwykle przyjemnie: było co zjeść i co wypić; najwspanialsze były tłuste węgorze, które trzeba koniecznie popijać mocną wódką, bo jak mawiał wuj-rybak, „węgorza trzeba pochować”. Te słowa znajdowały tu istotnie zastosowanie.

Jörgena wszędzie było pełno. Na trzeci dzień czuł się tu jak u siebie w domu, jak w chatce rybaka wśród diun, gdzie mieszkał od wczesnego dzieciństwa. Tu na wrzosowisku inne były skarby: roilo się od kwitnących wrzosów, borówek i jagód tak wielkich i słodkich, że gdy się je przygniatało nogą, wrzos ociekał czerwonym sokiem.

Tu leżał jeden kurhan, tu drugi, słupy dymu unosiły się w nieruchomym powietrzu. Mówiono, że to płonie wrzosowisko – wieczorem szedł stamtąd piękny blask.

Nadszedł czwarty dzień i stypa się skończyła. Musieli z diun lądowych wrócić do diun nadbrzeżnych.

– Nasze diuny to są jednak te prawdziwe – powiedział ojciec – tym brak jest mocy.

Rozmawiano o tym, jak diuny przywędrowały tu, i wszystko było niezwykle zrozumiałe i jasne. Nad brzegiem znaleziono czyjeś zwłoki. Chłopi pochowali je na cmentarzu i od tej pory rozpoczęły się wichury. Morze wdarło się gwałtownie w ład. Wówczas jeden mądry człowiek z parafii poradził, aby otworzyć grób i zobaczyć, czy pogrzebany nieboszczyk nie leży ssąc duży palec. Jeśliby tak było, oznaczałoby to, że pochowano wodnika i morze wdrze się, aby go odebrać. Otworzono grób i istotnie nieboszczyk leżał i ssał palec. Położyli go natychmiast na drabiniasty wóz zaprzęgnięty w dwa woły i jak szaleni pomknęli przez wrzosy i trzęsawiska aż nad brzeg morza, gdzie go wrzucili. Wtedy ustała wędrówka piasków, ale diuny pozostały. Wszystkiemu przysłuchiwał się Jörgen i zachował w pamięci te najszcześniejsze dni swego dzieciństwa – dni na stypie pogrzebowej.

Rozkosznie było wyrwać się w świat, zobaczyć nowe strony, nowych ludzi, a sądzonym mu było odjechać jeszcze dalej. Nie miał czternastu lat, był jeszcze dzieckiem. Zaciągnął się na statek, poznał, czym może być życie. Poznał, co to jest niepogoda, wzburzone morze, poniewierka, źli ludzie. Został chłopcem okrętowym. Skape jedzenie, zimne noce, uderzenia na przemian to pięścią, to liną. Było coś w jego szlachetnej hiszpańskiej krwi, co wrzało, i złe słowa pieniały się na ustach, ale najrozsądniej było je zdławić. A wtedy miało się takie samo uczucie,

jakie musi mieć węgorz, gdy go się patroszy, obdziera ze skóry i rzuca na patelnię.

A w jego wnętrzu coś mówiło: „Ja tu jeszcze wrócę.” Byli właśnie w Hiszpanii – ojczyźnie jego rodziców. Widział nawet miasto, gdzie oni żyli w dobrobycie i szczęściu, ale nie wiedział nic o swym pochodzeniu i związkach krwi, a jego rodzina także nic o nim nie wiedziała.

„Głupiemu” chłopakowi okrętowemu nie wolno nawet było zejść na ląd; ale ostatniego dnia pobytu statku w hiszpańskim porcie wyszedł Jörgen na ląd. Trzeba było zrobić jakieś zakupy i Jörgen miał je zanieść na okręt.

W nędznym ubraniu, które wyglądało, jak gdyby było wyprane w kałuży, a wysuszone w kominie – stał on, mieszkaniec diun, patrząc po raz pierwszy w życiu na wielkie miasto. Jakież wysokie były domy, wąskie ulice, pełne ludzi! Jedni pchali się w jednym kierunku, drudzy w przeciwnym, cały wartki potok mieszczan, chłopów, zakonników, żołnierzy! Wrzask i zgiełk, dzwonienie dzwoneczków zawieszonych na osłach, na mułach; dzwony kościelne też dzwoniły. Słysząc było dźwięk i brzęk, stukanie i pukanie, każde rzemiosło miało swój warsztat w bramie lub na chodniku. A przy tym słońce grzało mocno, powietrze było ciężkie, było tak, jakby się weszło do pieca piekarskiego pełnego karaluchów i chrabąszczy, pszczoł i much. Szumiało i huczało. Jörgen był zupełnie oszołomiony. Nagle zobaczył przed sobą potężny portal kościoła. Spod mrocznych sklepień wydobywały się promienie światła i rozchodził zapach kadzidła. Nawet najnędzniejszy żebrak w łachmanach miał odwagę wejść po schodach do kościoła. Marynarz, któremu Jörgen towarzyszył, wszedł do środka i Jörgen znalazł się w świątyni. Na złotym tle jaśniały barwne obrazy. Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus stała na ołtarzu wśród kwiatów i świec, księża w odświętnych ornatach śpiewali, a piękni, wystrojeni ministranci machali srebrnymi kadzielnicami.

Wspaniałość i przepych olśniły Jörgena, upoiły go: kościół i wiara jego rodziców zawładnęły nim i zabrzmiały zgodnym akordem jego duszy, lży stanęły mu w oczach.

Z kościoła droga powiodła na rynek. Jörgenowi dali do dźwigania statki kuchenne i prowiant. Droga była długa, odczuł zmęczenie i zatrzymał się dla odpoczynku przed wspaniałym budynkiem z marmurowymi kolumnami, posągami i szerokimi schodami. Oparł swój ciężar o mur domu; wtedy podszedł do niego wygalowany odźwierny i podniósł na niego obitą srebrem laskę, i przegnał go – jego, który był wnukiem pana tego pałacu; ale przecież nikt o tym nie wiedział, a już najmniej on sam.

Wrócił na statek i znów zaczęły się szturchańce, wymysły; mało snu, dużo pracy. Wiele

doświadczył, a – jak to mówią – dobrze jest doznać zła w młodości. Tak, ale gdy się później ma dobrą starość.

Minął czas jego zaciągu, statek znów zawinął do domu, do diun Huusby, ale gdy był w drodze, umarła matka.

Przyszła surowa zima. Zawieje szalały nad morzem i lądem, zaledwie można się było posuwać naprzód. Jakże niejednakowo obdzielane są różne kraje na tym świecie! Tutaj lodowate zimno i śnieżne zawieje, gdy tam w Hiszpanii grzało aż nazbyt silnie, a jednak kiedy któregoś dnia wśród diun było aż jasno od mrozu i Jörgen widział łabędzie, unoszące się wielkimi chmarami znad morza przez fiord Nissum w kierunku Nörre-Vosborg – miał wrażenie, że tutaj oddycha się najlepiej, a lato jest tu najpiękniejsze. W myślach widział kwitnące wrzosowisko pełne dojrzałych soczystych jagód; lipy i krzew dzikiego bzu przy Nörre-Vosborg stały w kwiatach.

„Muszę tam jeszcze kiedyś pojechać” – myślał sobie.

Zbliżała się wiosna. Rybacy zaczęli połów. Jörgen im pomagał. Urósł w ciągu ostatniego roku bardzo, był niezwykle zręczny w pracy. Pełen był życia. A jak pływał! Obracał się w wodzie, zanurzał tak głęboko, że nieraz ostrzegano go, aby unikał ławic makreli: chwytają one najlepszego pływaka, zaciągają pod wodę i pożerają tak, że nic z niego nie pozostaje. Ale taki los nie był Jörgenowi sądzony.

Sąsiedzi z diun mieli syna. Na imię mu było Morten. Jörgen był z nim bardzo zaprzyjaźniony. Obaj zaciągnęli się na okręt do Norwegii, pojechali też do Holandii i nigdy nie było między nimi najdrobniejszych nawet niesnasek, a o to przecież nietrudno, gdy się ma zapalczywą naturę; o byle co może wybuchnąć sprzeczka. Tak też było z Jörgenem. Pewnego razu na statku pokłócili się o jakiś drobiazg. Siedzieli właśnie obaj w kajucie i jedli z jednej glinianej misy, która stała między nimi. Jörgen miał w rękę scyzoryk, podniósł go na Mortena, zbladł jak kreda, a w oczach zapaliły mu się złe błyski. Morten powiedział tylko:

– Aha, toś ty z tych, co używają noża...

Ledwo to Morten powiedział, Jörgen opuścił rękę. Nie rzekł ani słowa i poszedł do swojej roboty. Gdy wrócił, podszedł do Mortena i powiedział:

– Uderz mnie w twarz, zasłużyłem na to! Czuję w sobie jakby wrzący garnek.

– Zapomnijmy o tym – powiedział Morten. Po tym wydarzeniu przyjaźń ich wzmocniła się jeszcze w dwójnasób.

Gdy wrócili z podróży do domu, do diun Jutlandii, i opowiadali, co między nimi zaszło, ludzie mówili:

– Jörgen może wykipieć, ale kasza w nim dobra!

Obaj byli młodzi i zdrowi, dobrze zbudowani i silni, ale Jörgen był zwinniejszy.

W Norwegii na północy jest zwyczaj, że wieśniacy z nastaniem wiosny wyruszają do szałasów i zabierają ze sobą bydło, które pasie się na halach. W zachodniej Jutlandii z drzewa wyrzuconego przez morze rybacy wnoszą wśród diun szałas okryte torfem i wrzosem. We wnętrzu, wzdłuż ścian, ciągną się ławy do spania. Tu śpią, pracują i mieszkają w ciągu wczesnej wiosny rybacy. Mają z sobą tak zwane „kuchareczki”: dziewczęta, które zakładają przynętę na wędki, przyjmują przybywających z połowu rybaków gorącym piwem i przygotowują im posiłek, gdy zmęczeni wracają do domu. „Kuchareczki” także przynoszą ryby z łodzi do chaty, oprawiają je i mają dużo roboty.

Jörgen wraz z ojcem, paroma rybakami i ich „kuchareczkami” mieli jeden wspólny szałas, w sąsiednim osiadł Morten. Znajdowała się tam jedna z dziewcząt, która nazywała się Elza. Oboje lubili się bardzo i zgadzali doskonale, mieli podobne usposobienia, ale zewnętrznie stanowili zupełne przeciwieństwo. On miał brązową skórę, ona białą, jasnowłosa; oczy jej były tak błękitne jak morska woda w blasku słońca.

Pewnego dnia, gdy szli razem, a Jörgen idąc ścisnął serdecznie i mocno jej rękę, dziewczyna powiedziała:

– Jörgenie, mam coś na sercu; chciałabym być u ciebie jako „kuchareczka, bo jesteś dla mnie jak brat, ale Morten, któremu służę, jest moim narzeczonym, tylko nie opowiadaj tego innym.

Jörgenowi było tak, jak gdyby piasek diun usunął mu się spod nóg. Nie powiedział ani słowa, tylko kiwnął głową, co znaczyło: tak! Więcej nie było trzeba, ale jednocześnie poczuł w swym sercu, że nienawidzi Mortena, i im więcej się nad tym zastanawiał – dawniej nie myślał nigdy o Elzie – tym bardziej dochodził do wniosku, że Morten ukradł mu to, co miał najdroższego, to znaczy Elzę. Teraz to już było dla niego jasne.

Gdy morze jest nieco niespokojne, a łodzie rybackie wracają właśnie do brzegu, spójrz tylko, jak przebywają ławice piaskowe: jeden z rybaków stoi na przedzie, inni spoglądają na niego z wiosłami w rękę, dopóki nie da im znaku, że nadchodzi wielka fala, która podniesie łódź. Podnosi się tak, że z lądu widać dno łodzi, w chwilę potem całą łódź wraz z masztami i ludźmi zakrywają fale, jak gdyby pochłonęło ją morze; po chwili jednak łódź, jak potężne zwierzę

morskie, wdrapuje się na grzbiet fal, a wiosła ruszają się jak łapy zwierzęcia. Przy drugiej i trzeciej ławicy piasku dzieje się to samo co przy pierwszej, a następnie rybacy wyskakują z łodzi i ciągną ją do brzegu, przy czym pomaga im każde uderzenie fali tak długo, póki nie dostaną się na piasek.

Wystarczy jedna fałszywa komenda, jedna chwila wahania, a łódź się rozbije.

„Wtedy i ja bym zginął, i Morten.” Ta myśl przeszła Jörgena daleko na morzu właśnie w chwili, gdy przybrany jego ojciec ciężko się rozchorował. Gorączka paliła go tak, że gdy dotarli do ławicy piaskowej, Jörgen wyskoczył na przód łodzi.

– Pozwól mi, ojcze – zawołał i wzrok jego przesunął się po postaci Mortena i po falach. Ale gdy wiosła poruszały się walcząc z wielką falą, spojrzenie jego padło na bladą twarz ojca, złe zamiary odpadły. Łódź przebyła szczęśliwie ławice i przybiła do brzegu, ale zła myśl tkwiła we krwi, gotowała się w niej gorycz, tkwiły w niej wszystkie wspomnienia uraz, jakie kiedykolwiek do niego czuł od czasów dzieciństwa. Ale mimo to Jörgen nie wysnuł z tych uraz nici zemsty i dał temu spokój. Morten złamał mu życie, czuł to, dlatego też nienawidził Mortena tak, że kilku rybaków to spostrzegło, ale sam Morten nic nie podejrzewał i był dalej usłużny i rozmowny, może nawet zbyt rozmowny.

Ojciec Jörgena musiał położyć się do łóżka, które stało się jego śmiertelnym łóżem, gdyż w tydzień potem umarł. Jörgen odziedziczył po nim chatę w diunach. Mały był to domek, ale zawsze coś, Morten nawet tyle nie miał.

– Teraz chyba już nie zaciągniesz się na statek i zostaniesz na zawsze z nami – powiedział Jörgenowi jeden ze starych rybaków.

Ale Jörgen miał inne zamiary; chciał znów rozejrzeć się trochę po świecie. Wuj jego, poławiacz węgorzy z Pjaltring, miał z kolei wuja mieszkającego w Starym Skagen. Był to rybak, ale jednocześnie bogaty kupiec, właściciel statku. Mówiono, że to był czarujący staruszek, u którego dobrze się pracowało. Stare Skagen leży na samej północy Jutlandii, tak daleko od diun Huusby, jak u nas najdalej można zająć piechotą. Dlatego właśnie Jörgen wybrał tę miejscowość. Nie chciał nawet być obecnym na ślubie Elzy i Mortena, który miał się odbyć za kilka tygodni.

Stary rybak uważał, że to nierozsądne ze strony Jörgena i że teraz, gdy posiada on dom, Elza z pewnością będzie wołała wyjść za niego za męża.

Jörgen odpowiedział na to tak bezładnie, że stary niewiele zrozumiał, ale przyprowadził do niego Elzę, by się rozmówili.

Elza powiedziała:

– Masz teraz dom. Trzeba się nad tym zastanowić.

Jörgen też się mocno zastanawiał.

Ciężkie fale przewalają się po morzu, jeszcze cięższe uderzają w serce ludzkie. Przez głowę i serce Jörgena przebiegały myśli twarde i łagodne i wreszcie spytał Elzę:

– Gdybyśmy obaj, ja i Morten, mieli każdy swój dom, którego byś z nas dwóch wybrała?

– Ależ Morten nie ma domu i nie będzie miał.

– Wyobraźmy sobie na chwilę, że ma dom.

– Wtedy wybrałabym Mortena, bo jego wolę, ale z tego nie można żyć.

Jörgen rozmyślał nad tym całą noc. Czuł coś, z czego sam nie zdawał sobie sprawy, ale było to coś silniejszego niż jego miłość do Elzy. Poszedł potem do Mortena – a nad tym, co powiedział i uczynił, dobrze się przedtem zastanowił – i oddał mu dom za śmiesznie niską cenę, a sam postanowił zaciągnąć się na statek: mówił, że go nęci takie życie. Elza, gdy się o tym dowiedziała, pocałowała go w usta, bo jednak bardziej kochała Mortena.

Nazajutrz rano Jörgen miał wyruszyć. Wieczorem przedtem, choć już było późno, postanowił raz jeszcze odwiedzić Mortena. Po drodze spotkał wśród diun tego samego starego rybaka, który odradzał mu podróż. Powiedział on, że Morten musiał chyba zaszyć sobie lubczyk w spodnie, że wszystkie dziewczęta tak się w nim kochają. Jörgen nie potrzebował tej rozmowy, pożegnał się i poszedł do domu, w którym mieszkał Morten. Z wnętrza domu dolatywała głośna rozmowa. Morten nie był sam. Jörgen zawahał się: nie miał ochoty spotkać się z Elzą i po namyśle zdecydował, że właściwie nie pragnie podziękowań Mortena. Zawrócił więc z drogi.

Rano przed świtem zawiązał swój węzełek, zabrał zapasy i przez diuny poszedł w stronę morza. Tamtędy lżej było iść niż po trudnej, piaszczystej drodze, a nawet bliżej, gdyż wybierał się najpierw do Fjaltring, do starego łowcy węgorzy, którego obiecał odwiedzić.

Morze było spokojne i niebieskie, muszle i skorupy, zabawki z czasów dzieciństwa, trzaskały pod jego stopami. Kiedy tak szedł, poczuł nagle, że leci mu krew z nosa, nie była to ważna rzecz, ale i ona może mieć znaczenie. Kilka kropel krwi upadło na jego rękaw, zmył je, zatamował krew i zdawało mu się, że lżej mu jest w sercu i głowie, kiedy stracił nieco krwi. Wśród piasku kwitły krzaki, zerwał gałązkę i zatknął za kapelusz, chciał być wesół i szczęśliwy. Szedł w świat „kawałek w górę strumienia”, jak tego chciały córki węgorzycy.

„Strzeżcie się złych ludzi, zakłują was, wypatroszą, pokrajają w kawałki, obedną ze skóry i

usmażą na patelni” – powtórzył sam do siebie i zaśmiał się serdecznie. On na pewno cało i zdrowo przejdzie przez życie. Dobry humor to doskonała broń.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy dotarł do miejsca, w którym wąską cieśniną morze przechodzi w fiord Nissum. Obejrzał się i zobaczył za sobą dwu ludzi konno. Za nimi jechali jeszcze inni, śpieszyli się, ale to go mało obchodziło.

Prom znajdował się na przeciwległym brzegu cieśniny. Jörgen przywołał prom, wsiadł do niego, ale zanim wraz z przewodnikiem znalazł się w połowie drogi, ludzie jadący tak pośpiesznie za nim zaczęli go wołać, grozić i wykrzykiwać coś w imię władzy. Jörgen nie zrozumiał, o co im chodzi, ale zdecydował, że najlepiej jest zawrócić. Sam więc schwycił jedno wiosło i skierował prom do brzegu. W tejże chwili ludzie wskoczyli do łodzi i zanim się spostrzegł, zarzucili mu sznur na ręce.

– Zapłacisz życiem za to, coś uczynił! Dobrze, żeśmy cię schwytali! – krzyczeli.

Ni mniej ni więcej, tylko oskarżono go o popełnienie morderstwa. Znalaziono trupa Mortena z nożem tkwiącym w szyi. Jeden z rybaków zeznał, że wczoraj wieczorem spotkał Jörgena idącego w stronę chaty Mortena. Nie pierwszy to raz Jörgen zamierzył się na przyjaciela nożem, mówiono więc, że to on z pewnością popełnił tę zbrodnię. Chodziło teraz o to, by go gdzieś dobrze przymknąć. Odpowiednim miejscem było tylko Ringkjöbing. Ale do Ringkjöbing droga była daleka, wiatr wiał z zachodu, więc w niespełna pół godziny dotarli przed fiord do ujścia Skjaerum, a stamtąd było już tylko ćwierć mili do Nørre-Vosborg, gdzie też był mocny zamek, otoczony wałem i fosą. W łodzi siedział wraz z nim brat tamtejszego naczelnika i powiedział, że chyba będzie można Jörgena wsadzić do tego samego lochu, w którym siedziała Cyganka Długa Małgorzata przed straceniem.

Tłumaczenia Jörgena nikt nie słuchał: kilka kropel krwi na rękawie świadczyło dość wymownie przeciwko niemu. Przecież był niewinny, ale ponieważ nie było mowy o rozprawie sądowej tu na łodzi, poddał się losowi.

Wysiedli na ląd właśnie tuż koło starego zamku rycerza Bugge, w tym miejscu, które Jörgen zwiedzał z przybranymi rodzicami, gdy jechał na uroczystość, na stypę pogrzebową w owych czterech najpiękniejszych dniach swego dzieciństwa. Prowadzono go tą samą drogą przez łąkę do Nørre-Vosborg i tak samo krzak dzikiego bzu stał cały okryty kwiatami, i pachniała wysoka lipa. Wydawało mu się, że to wczoraj tędy przechodził.

W lewym skrzydle zamku jest zejście pod wysokimi schodami w dół do niskiej, sklepionej

piwnicy, z tego lochu wyprowadzono Długą Małgorzatę na stracenie. Zjadła ona pięć serduszek dziecięcych i wierzyła, że gdyby zjadła jeszcze dwa, mogłaby fruwać w powietrzu i stawać się niewidzialną. W murze znajdował się wysoki otwór okienny bez szyb, pachnące lipy na dworze nie były w stanie wnieść ani odrobiny świeżego powietrza. Wszystko było tu spleśniałe i wilgotne. Stała tam tylko drewniana prycza, ale czyste sumienie jest najlepszą poduszką, więc Jörgen mógł spać wygodnie.

Drzwi zbite z grubych desek zamknięte były na żelazną sztabę, ale widmo zabobonu potrafi przeniknąć nawet przez dziurkę od klucza, zarówno w pańskim dworze, jak w chacie rybackiej, a szczególnie tam, gdzie Jörgen siedział. Toteż mimo woli rozmyślał o Długiej Małgorzacie i o jej sprawkach; o jej ostatnich myślach, które wypełniały tę izbę w noc przed straceniem. Myślał także o tych wszystkich czarnych praktykach, które uprawiał w dawnych czasach pan Svanwedel, gdy tu mieszkał; wiedziano przecież powszechnie, że co rano znajdowano psa, który strzegł mostu, powieszono go na własnym łańcuchu na poręczy. Wszystko to Jörgen przemyślał i przeczuł, ale w ponurych mrokach tych rozmyślań jeden promień słoneczny dobiegał do niego z tych miejsc. Było to wspomnienie dzikiego bzu i lip.

Nie siedział długo w tym lochu, przewieziono go wkrótce do Ringkjóbing, gdzie więzienie było równie surowe.

Nie były to nasze czasy; biedakom działo się bardzo źle. Wówczas jeszcze zagrody chłopskie i wsie były włączone do dóbr rycerskich i pod ich rządami; sędziami byli często stangreci i lokaje, którzy za najmniejsze przewinienie mogli skazywać na utratę mienia, karę różeg; jeszcze też tu i ówdzie, zwłaszcza daleko w Jutlandii, z dala od królewskiej Kopenhagi i oświeconych, dobrotliwych rządów, działy się rzeczy bezprawne. To, że czas się dłużył Jörgenowi było jeszcze najmniejsze.

Tam gdzie siedział, było przeraźliwie zimno. Kiedyż to się miało skończyć? Wtrącono go niewinnie w cierpienia i w nędzę. Taki był już jego los. Miał tu czas do rozmyślenia o tym, jak mu się wiodło tam, na świecie. Dlaczego właśnie jemu się to przytrafiło? Z pewnością wyjaśni się to na „tamnym świecie”, który nas czeka. Wierzył w to święcie, gdyż nauczył się głęboko wierzyć jeszcze w chacie rybaka. To, co w dostatku i słońcu Hiszpanii nie zdołało rozjaśnić umysłu jego ojca, dla niego stało się światłem pocieszenia, łaską boską, która nigdy nie zawodzi.

Tymczasem zaczęły się burze wiosenne. Daleko w głąb łądu słychać było szum Morza Północnego, lecz dopiero gdy wiatr się uciszył. Brzmiało to tak, jak gdyby ciężkie wozy setkami

dudniły po twardej, wyboistej drodze. Jørgen słyszał to w swoim więzieniu i była to dla niego pewna odmiana. Żadna stara melodia nie mogła mu się głębiej wryć w serce niż te dźwięki szumiącego morza, wolnego morza, przez które płynęło się w dalekie światy, gdzie się leciało wraz z wichrem, zaś gdziekolwiek się pozęgłowało, miało się z sobą własny domek, jak ślimak; było się zawsze na własnym, ojczystym gruncie, nawet na obczyźnie.

Jakże przysłuchiwał się owemu dalekiemu szumowi, jakież budziły się w nim wspomnienia! Ach, być wolnym, wolnym! Cóż to za szczęście być wolnym. Nawet bez butów i w połatanej, zgrzebnej koszuli! Chwilami buntowało się coś w nim do tego stopnia, że walił zaciśniętymi pięściami o ścianę.

Mijały tygodnie, miesiące, minął cały rok, aż do chwili gdy schwytano łotra zwanego Niels-Złodziej albo Niels-Koniokrad – i wtedy zaczęły się lepsze czasy, dopiero wyszło na jaw, jaką niesprawiedliwość popełniono względem Jørgena.

Na północ od portu Ringkjøbing, u pewnego chłopa, który miał u siebie wyszynk, spotkali się pewnego popołudnia, na dzień przed wyruszeniem Jørgena na wędrówkę i przed popełnieniem morderstwa, Niels-Złodziej i Morten. Wypili parę szklaneczek, które nie powinny były nikomu uderzyć do głowy, ale Mortenowi rozwiązał się język za bardzo, zaczął wygadywać, że kupił sobie dom i że się żeni, a gdy Niels spytał go, gdzie ma pieniądze, uderzył się Morten dumnie po kieszeni i powiedział:

– Są tam, gdzie powinny być.

Te przechwałki kosztowały go życie; Niels wkradł się za nim do domu i ugodził go nożem w szyję, aby zrabować pieniądze, których nie było.

Sprawę roztrząsano na wszystkie strony, a rezultat był taki, że Jørgena wypuszczono na wolność, ale któż mu zapłaci odszkodowanie za to, co przecierpiał przez cały czas w więzieniu, w chłodzie i głodzie, odcięty od ludzi!

Powiedziano mu wprawdzie, że powinien się cieszyć, że jest niewinny i że może sobie iść, gdzie chce. Burmistrz dał mu na drogę dziesięć marek, a niektórzy mieszkańcy miasteczka poczęstowali go piwem i smacznym jedzeniem. Są jednak jeszcze dobrzy ludzie! Nie wszyscy „patroszą, obdzierają ze skóry i smażą na patelni”. A najlepsze ze wszystkiego było to, że kupiec Brønne ze Skagen, na którego statek handlowy chciał się zaciągnąć Jørgen przed rokiem, przyjechał właśnie w interesach do Ringkjøbing; usłyszał on o tej całej historii, a ponieważ miał dobre serce, więc zrozumiał, ile Jørgen wycierpiał, chciał mu więc wynagrodzić krzywdę i nawet

mu pokazać, że są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

Prosto z więzienia dostać się na wolność, do nieba, być otoczonym miłością i dobrocią – tak, tego miał teraz doznać. Żaden puchar życia nie zawiera wyłącznie piołunu, bo przecież, jeżeli człowiek nie byłby w stanie podać takiego kielicha drugiemu człowiekowi, to cóż dopiero Bóg, który jest samą miłością.

– Zapomnij o wszystkim, co było – powiedział kupiec Brönne – grubą kreską przekreślmy cały ubiegły rok. Spalimy kalendarz i za dwa dni wyruszymy do ciepłego, pięknego i wesołego Skagen. Mówią, że Skagen to zapadła dziura, ale jest to zaciszny kącik za piecem, którego okna otwarte są szeroko na cały świat.

Cóż to była za podróż! Jakże głęboko oddychał! Z zimnego powietrza więziennego wyszedł na ciepłe słońce. Wrzosowisko kwitło, wszędzie pełno było kwiecica, pastuszek siedział na kurhanie i dmuchał w fajkę, którą wyciął z owczej kości.

Przed nimi ukazała się fatamorgana, wspaniały miraż pustynny: wiszące ogrody i pływające lasy unosiły się w górze, a lekkie falowanie powietrza tworzyło obraz, o którym powiadają: „Loke pędzi swoje owce.”

Wprost ku fiordowi Lim prowadziła droga przez krainę Vendel, a dalej wprost do Skagen, skąd wywędrowali niegdyś mężowie o długich brodach, zwani Longobardami. Opuścili oni swój kraj wówczas, gdy za panowania króla Snio, podczas wielkiego głodu, postanowiono zabić wszystkich starców i dzieci, a szlachetna niewiasta Gambaruk, która władała ziemiami tam w górze, zaproponowała, by raczej zamiast tego młodzi wywędrowali z kraju. Jörgen wiedział o tym wszystkim, taki był uczony. Chociaż nie znał kraju Longobardów za wysokimi Alpami, wyobrażał sobie jak tam wyglądało, bo jako młody chłopiec był przecież na południu, w Hiszpanii; pamiętał te piramidy owoców na stołach, purpurowe kwiaty granatu, pamiętał gwar i szum, dźwięki dzwonów w olbrzymim ulu miasta, ale najpiękniejszy ze wszystkich krajów wydawał się Jörgenowi ojczysty, a ojczyzną Jörgena była – Dania.

Wreszcie dotarli do tego Vendilskaga, jak w staroislandzkich i nordyckich pismach nazywają Skagen. Już wówczas rozciągało się na mile z rozsianymi między domami diunami i polem ornym miasto Stare Skagen, składające się z zachodniej i wschodniej części i kończące się aż u latarni morskiej nieopodal „cypla”. Jeszcze i dzisiaj stoją tam domy i zagrody, oddzielone jedne od drugich piaszczystymi diunami, których lotne piaski przypominają pustynię, gdzie wiatr hula po sybkim piachu, gdzie mewy, jaskółki wodne i dzikie łabędzie krzyczą tak głośno, że aż w

uszach brzęczy. O milę na południowy zachód od cypla leży wzgórze, czyli Stare Skagen, tu mieszkał kupiec Brønne, tu też zamieszkać miał Jörgen. Dom pokryty był smołą, przybudówki miały dachy z odwróconych łodzi, szczątki rozbitych statków tworzyły ściany chlewów. Dom nie był ogrodzony, nie było co grodzić, a przed domem wisały na sznurach jedne nad drugimi długim szeregiem suszące się w słońcu ryby. Całe wybrzeże pokryte było gnijącymi śledziami, gdyż każda sieć zarzucona w morze wyciągała ich takie mnóstwo, że trzeba było część wyrzucać z powrotem do morza lub wyrzucać na brzeg, gdzie gniły.

Żona i córka kupca, i wszyscy domownicy wylegli na spotkanie ojca, gdy wracał do domu. Cóż to były za uściski, okrzyki, rozmowy i jaką miłą twarzyczkę i piękne oczy miała córka kupca!

W domu było przytulnie i zamożnie, na stole postawiono półmiski z rybami, ze złocistymi fładrami, które smakowałyby nawet królowi, i wino z winnic Skagenu, to znaczy z morza; morze tu wyrzucało na brzeg wino w beczkach i w butelkach.

Gdy córka i matka dowiedziały się, kim był Jörgen i jak niewinnie i wiele cierpiał, oczy ich spoczęły na chłopcu z jeszcze większą czułością, a najczulej świeciły oczy córki kupca, ślicznej panny Klary. Jörgen znalazł w Starym Skagen cichy dom, który dobroczynnie i kojąco działał na jego serce; serce to przeżyło przecież całe morze goryczy, a takie przeżycia czynią je albo twardym, albo miększym; serce Jörgena było jeszcze tak miękkie, było takie młode, tyle jeszcze mogło się w nim pomieścić! Zdarzyło się właśnie szczęśliwie, że panna Klara miała na trzy tygodnie wybrać się statkiem w podróż do Christiansand w Norwegii, aby odwiedzić ciotkę i zostać tam na całą zimę.

W niedzielę przed podróżą przystępowali wszyscy razem do komunii św. Wielki i wspaniały był to kościół, Szkoci i Holendrzy wybudowali go przed wieloma setkami lat, był on oddalony o kawałek drogi od miejsca, gdzie obecnie znajduje się miasto; kościół trochę już podupadł, a piaszczysta droga w górę i w dół była bardzo uciążliwa, ale znoszono to chętnie, bo prowadziła do domu Bożego, gdzie śpiewano psalmy i słuchano kazania. Piasek sięgał już do muru okalającego cmentarz, ale groby były zabezpieczone przed zaspami.

Był to największy kościół na północ) od fiordu Lim. Panna Maria ze złotą koroną na głowie, z Dzieciątkiem na ręku, stała na ołtarzu jak żywa; w stallach były wyrzeźbione figury apostołów, a wysoko na ścianie widniały portrety starych burmistrzów i radców Skagenu z ich gmerkami¹³.

¹³ Godła znacniejszych starych rodzin mieszczańskich i kupieckich.

Ambona cała była rzeźbiona. Blask słoneczny przeglądał się w mosiężnym świeczniku i w niewielkim okręciku zawieszonym u sklepienia.

Jörgena ogarnęło święte, czyste uczucie dziecięce, jak wówczas gdy jako młody chłopak znajdował się w bogatej katedrze hiszpańskiej, tylko że tutaj czuł przynależność swą do całej społeczności.

Po kazaniu przystąpili do komunii i zdarzyło się, że Jörgen klęczał właśnie obok panny Klary, ale myśli jego tak były zwrócone ku Bogu, że dopiero wstając z klęczek spostrzegł, kto obok niego klęczy. Zobaczył wówczas, że po policzkach panny Klary spływają gorzkie łzy.

W dwa dni potem Klara wyjechała do Norwegii, a Jörgen zaczął pracować we dworze, wyruszał na połowy ryb, połowy były wówczas obfite i większe niż obecnie. Ławice makreli świeciły wśród ciemnych nocy i wskazywały, dokąd płyną. Mruczaki mruczały, a flądry wydawały przeciągłe jęki, gdy je łowiono, ryby bowiem nie są tak nieme, jak się mówi. Jörgen był o wiele bardziej milczący, ale to, co ukrywał w milczeniu, miało się ujawnić.

Co niedziela, gdy klęczał w kościele, z oczyma utkwionymi w obrazie Matki Boskiej na ołtarzu, wzrok jego spoczywał także tam, gdzie klęczała niegdyś obok niego panna Klara. Myślał wtedy, ile mu okazała dobroci.

Nadeszła jesień, a z nią sloty i roztopy, woda stała i pluskała na ulicach Skagen, powoli wsiąkając w grunt, piasek nie mógł jej całej wchłonąć. Trzeba było brodzić, jeżeli nie przepływać łodzią, burze rozbijały statek za statkiem na śmiertcionośnych ławicach; nastąpiły burze śnieżne lub burze piaskowe, piasek zasypywał domy, tak, że ludzie musieli włązić górą przez kominy, ale wszyscy tu byli do tego przyzwyczajeni. W izbie było przytulnie i ciepło: trzaskał ogień z drzewa z rozbitych statków i z torfu, a kupiec Brønne czytał na głos ze starej kroniki. Czytał o Hamlecie, królewiczu duńskim, który z Anglii przepłynął się tu niedaleko Bovbjergu i stoczył bitwę. Grób jego znajdował się w Ramme, ledwie o parę mil od miejsca, gdzie mieszkał łowca węgorzy. Setki kurhanów rozsiane były po wrzosowisku – jeden wielki cmentarz; kupiec Brønne opowiadał, że był sam na grobie Hamleta. Potem rozmawiano o dawnych czasach, o sąsiadach Anglikach i Szkotach, a Jörgen śpiewał starą *Balladę o angielskim królewiczu*, o pięknym okręcie i o tym, jak był wspaniale urządzony:

Od burty do burty był on pozłocony,

Widniało na nim słowo Boże,

*A u dziobu, patrząc na morze,
Księżę dziewczynę swą objął ramiony...*

Tę zwrotkę śpiewał Jörgen najgoręcej, jego oczy błyszczały przy tym, a były czarne i płonące uczuciem już od urodzenia.

Potem śpiewano, czytano na głos; wszyscy w tym domu żyli życiem rodzinnym, nawet zwierzęta domowe. W domu panowała czystość i porządek. Półka błyszczała od wycyszczonych, cynowych talerzy, a z pułapu zwieszały się szynki i kiełbasy, zapas na zimę. Tak, tam na zachodnim wybrzeżu możemy jeszcze po dziś dzień spotkać w domach zamożnych wieśniaków taką czystość, porządek, tyle zapasów wszelkiego rodzaju, tyle mądrości i dobrego humoru, W naszych czasach jeszcze się one wzmogły, a gościnność tu jak w namiotach Arabów.

Jörgen nigdy przedtem nie przeżywał tak miłych czasów z wyjątkiem tych czterech dni, kiedy jako dziecko pojechał z rodzicami na stypę. A przecież panny Klary nie było w domu, jednakże często myślano tu i mówiono o niej.

W kwietniu miał jeden ze statków wyruszyć do Norwegii; Jörgen miał nim popłynąć. Był on teraz ogromnie wesół, a matka Brönne mówiła, że doskonale wygląda i że aż przyjemnie na niego patrzeć.

– I na ciebie także – mówił kupiec do żony. – Jörgen wniósł życie w nasze wieczory zimowe i matkę także rozruszał. Odmłodziłaś w tym roku, wyglądasz dobrze i pięknie. Nie darmo byłaś najpiękniejszą dziewczyną w Viborg, a to wiele znaczy, bo zawsze uważałem, że tam są najładniejsze dziewczęta.

Jörgen nic na to nie powiedział, bo nie wypadało, ale myślał, że i on poznał piękną dziewczynę w Skagen i że do niej teraz popłynie. Wiatr był pomyślny, tak że w ciągu pół dnia zawinęli do Christiansand.

Pewnego ranka kupiec Brönne udał się do latarni morskiej, leżącej daleko od Starego Skagen, tuż koło cypla. Gdy wszedł na wieżę, węgle latarni były już dawno zgaszone, a słońce stało wysoko na niebie. Na milę od najbardziej wysuniętego cypla lądu ciągnęły się na morzu podwodne ławice piaskowe; daleko za nimi widać było dzisiaj kilka statków. Między innymi zdawało się kupcowi, że widzi przez lunetę statek „Karen Brönne”, na którego pokładzie znajdowali się Klara i Jörgen. I tak też było. Latarnia morska i wieża kościelna w Skagen wyglądały ze statku jak czapla i łabędź na błękicie morza. Klara siedziała i patrzyła na coraz bardziej zbliżające się diuny. Jeżeli wiatr będzie dalej tak pomyślny, to za godzinę zawiną do

ojczystego brzegu. Tak blisko byli radości i szczęścia, ale równie blisko niebezpieczeństwa i śmierci.

Nagle na statku pękła jedna z desek i woda zaczęła wdziierać się do wnętrza. Pompowano ją, rozpięto wszystkie żagle, wywieszono alarmową flagę, ale byli jeszcze co najmniej o milę od lądu, z dala widać było łodzie rybackie ale bardzo daleko.

Chociaż wiatr dął do brzegu, a fale pchały także w tym kierunku, lecz niedostatecznie, statek zaczął tonąć. Jörgen objął mocno Klarę prawym ramieniem.

Jakież spojrzenie utopiła w jego oczach, gdy przycisnąwszy ją mocniej, rzucił się wraz z nią w imię Wszehmocnego do morza. Wydała okrzyk, ale mogła być pewna, że on jej nie opuści. Jak to było w balladzie:

*Z dziobu, patrząc na morze,
Księżę dziewczynę swą objął ramiony...*

W tej godzinie niebezpieczeństwa i strachu przeżył Jörgen to, co królewicz w pieśni. Teraz przydało mu się, że był tak świetnym pływakiem, posuwał się naprzód za pomocą nóg i jednego ramienia, drugim obejmował mocno dziewczynę. Leżał na wodzie, odpychał się nogami i wykonywał wszystkie ruchy, jakie znał i o jakich słyszał, aby tylko mieć tyle sił, by dosięgnąć brzegu. Usłyszał jej westchnienie, czuł, jak przenika ją dreszcz i przycisnął ją jeszcze mocniej; jedna fala przewaliła się nad nią, prąd ich uniósł, woda była taka głęboka, tak przejrzysta, że przez chwilę wydawało mu się, że widzi na dnie świecącą ławicę makreli, a może był to sam Lewiatan, który ich chciał pochłonać. Chmury rzucały cień na wodę, to znowu świeciło słońce. Ptaki krzycząc przelatywały gromadami nad nimi, a dzikie kaczki, które sennie i ciężko zdawały się unosić na wodzie, uciekały przerażone przed pływakiem. Lecz jego zaczęły opuszczać siły, czuł to, ład był jeszcze oddalony na długość kilku kabli¹⁴, nadchodziła już wprawdzie pomoc, zbliżała się łódź – ale na dnie wody ujrzał wyraźnie wpatrzoną w niego jakimś dzikim wzrokiem białą postać, fala uniosła go w górę, postać zbliżyła się, poczuł coś w rodzaju uderzenia, ogarnęła go noc i wszystko zniknęło mu z oczu.

A na ławicy piasku pod wodą leżały rozbite szczątki statku; morze wznosiło się nad nimi; biała figura, ozdoba dziobu statku, oparta była o kotwicę, której ostre żelazo sterczało pod powierzchnią wody; Jörgen uderzył o to ostrze, prąd rzucił go ze zwiększoną siłą naprzód, utracił przytomność i opadł wraz ze swym ciężarem na dno, ale najbliższa fala podniosła go

¹⁴ Kabel – dziesiąta część mili morskiej = 185,2 m.

znów wraz z dziewczyną na powierzchnię.

Rybacy wciągnęli ich do swej łodzi, krew spływała Jörgenowi po twarzy, był jak martwy, ale dziewczynę trzymał tak mocno w ramionach, że musiano mu ją wydzierać z rąk: śmiertelnie blada, nieruchoma, leżała w łodzi zdążającej do cypla na Skagen.

Nie pomogły żadne wysiłki przywrócenia Klary do życia. Umarła; długo już musiał płynąć z trupem w ramionach, walczył dla trupa, dla niego tracił siły. Jörgen jeszcze oddychał, zanieśli go do najbliższego domu na diunach; miejscowy felczer, który zresztą jednocześnie był kowalem i kramarzem, założył Jörgenowi bandaż, a nazajutrz sprowadzono lekarza z Hjörning.

Chory miał mózg naruszony, leżał w malignie, wydawał dzikie okrzyki, ale na trzeci dzień jak gdyby zapadł w letarg, życie jego zdawało się wisieć na włosku i lekarz powiedział, że najlepsza rzecz, jakiej należałoby życzyć Jörgenowi, jest, aby ten włoszek się urwał.

– Proście Boga, by go wyzwolił. Już nigdy nie będzie człowiekiem.

Ale życie nie chciało go opuścić. Nic się nie przerwała, choć pamięć i wszystkie umysłowe funkcje zgasły. Zostało tylko żywe ciało, ciało, które miało wrócić do zdrowia, poruszać się, i to właśnie było straszne.

Jörgen pozostał w domu kupca Brönne.

– Przecież zachorował ratując nasze dziecko – powiedział stary kupiec – jest teraz naszym synem.

Nazywano Jörgena głupim, ale nie było to właściwe określenie. Był on jak instrument, w którym obłuźniły się struny i przestały dźwięczeć. Jedyne na krótką chwilę w rzadkich minutach odzyskiwały one dawną siłę i rozbrzmiewały na nich dawne melodie, pojedyncze takty; ukazywały się obrazy i znikaly. Po chwili Jörgen siedział znowu nieruchomo, bezmyślnie. Chcielibyśmy wierzyć, że nie cierpiał; ciemne jego oczy straciły swój blask i wyglądały jak czarne, matowe szkło.

– Biedny, głupi Jörgen – mówili ludzie.

Oto był los tego, którego matka, nosząc pod sercem, miała obdarzyć życiem tak bogatym i szczęśliwym, że aż marzenie o życiu pozagrobowym, a tym bardziej wiara w nie, wydawały się „dumą i straszliwą pychą”. Więc wszystkie dary duchowe poszły na marne? Tylko ciężkie dni, rozczarowanie i ból przypadły mu w udziale. Był jak owa cebulka pięknego kwiatu wyrwana z żywego, rodzimego gruntu i rzucona na piasek, gdzie gniła. Więc człowiek stworzony na podobieństwo Boże nie miał żadnej wartości? Całe życie miało być tylko igraszką przypadku?

O, nie! Bóg, który jest Wszechmiłością, musi wynagrodzić mu w przyszłym życiu wszystko, co tu zniósł i wycierpiał. „Pan jest dobry dla wszystkich i miłosierdzie Jego jest we wszystkich czynach Jego”, te słowa psalmu Dawidowego powtarzała żona starego kupca, z wiarą w sercu, że Bóg wkrótce wyzwoli Jörgena, aby mógł wejść do łaski Bożej, do wiecznego życia.

Klarę pochowano na cmentarzu, gdzie piasek zasypywał już mur, ale Jörgen nie myślał o tym wcale; nie wchodziło to w zakres jego myśli, przeszłość wracała do niego tylko jak rozbite kawałki okrętu wyrzucone na brzeg. Co niedziela szedł wraz z rodziną do kościoła i siedział tam bezmyślnie, bez słowa. Pewnego dnia, w czasie gdy śpiewano psalmy, z piersi jego wydarło się westchnienie i wzrok jego zabłysnął i spoczął na miejscu przed ołtarzem, gdzie niegdyś klęczała obok niego młoda zmarła przyjaciółka. Wymówił jej imię i pobladł jak chusta, a łzy spływały mu po policzkach.

Wyprowadzono go z kościoła, ale powiedział, że czuje się dobrze. Nie zdawał sobie sprawy ze swej straty, nie pamiętał już o niej – biedny człowiek, ciężko doświadczony przez Boga i przez Niego odtrącony. Ale Bóg, nasz Stwórca, jest wszechmądry i miłosierny, któż wątpi? Uznaje to zarówno nasz rozum, jak serce, a Pismo święte potwierdza: „Miłosierdzie Jego jest we wszystkich czynach Jego”.

W Hiszpanii, gdzie ciepły powiew przelatuje między pomarańczami i laurami, ponad mauretańskimi kopułami ze złota, gdzie rozlega się śpiew i muzyka kastanietów, siedział w bogatym domu bezdzietny starzec, przebogaty kupiec: ulicami przeciągała procesja dzieci z zapalonymi świecami i rozwiniętymi chorągwiami. Ile dałby za to ze swego bogactwa, aby mieć przy sobie swoje dzieci: córkę lub jej dziecko, które, być może, nigdy nie ujrzało światła dziennego, jakże więc mogło ujrzeć światło raj, światło wieczności. „Biedne dziecko.”

Tak, biedne dziecko. Właśnie dziecko, mimo swych trzydziestu lat. Tyle właśnie ukończył Jörgen w Starym Skagen.

Lotny piasek przykrywał już groby na starym cmentarzu i dawno nakrył cmentarny mur, ale mimo to mieszkańcy właśnie tu chcieli leżeć po śmierci, obok swoich bliskich. Kupiec Brønne i jego żona spoczęli tu obok córki w białym piasku.

Było to na początku roku, w okresie burz; diuny rozsypywały się, morze biło wielkimi falami, ptaki latały z krzykiem i wielkimi gromadami nad diunami jak strzępy chmur na wietrze. Jeden za drugim rozbijały się statki o ławice piaskowe między cyplem Skagen a diunami Huusby.

Pewnego popołudnia, gdy Jörgen siedział sam w izbie, zajaśniało coś w jego duszy, ogarnęło

go uczucie niepokoju, podobne do tego, które wyganiało go dawniej na diuny i na wrzosowisko.

– Do domu, do domu! – powtarzał. Nikt go nie słyszał. Wyszedł z chaty na diuny. Wicher ciskał mu w twarz piaskiem i żwirem, otaczał go zimnym kołem, ale on tego nie czuł. Szedł do kościoła. Piasek leżał wokoło muru kościoła i sięgał już do połowy okien, ale sprzed drzwi go usunęto; drzwi kościoła nie były zamknięte i z łatwością można było wejść do wnętrza. Jörgen wszedł.

Wicher z wyciem przeleciał nad miastem Skagen; był to orkan, jakiego ludzie w tej wsi nie pamiętali, straszliwa niepogoda, ale Jörgen był w domu Bożym i podczas gdy na dworze panowała czarna noc, w duszy jego zajaśniała światłość, światło duszy, które nie zgasa. Czuł, jak z głowy jego odpada z hukiem ciężki, przywalający kamień. Zdawało mu się, że zagrały organy, ale to była tylko burza i huczące morze. Usiadł w ławce, a wówczas zapłonęły wszystkie światła: świeca za świecą, i był taki blask jak we wspaniałym kościele w Hiszpanii. Wszystkie portrety starych radców i burmistrzów ożyły, wyszli oni ze ścian, na których przebywali od tylu lat, i zasiedli w stallach. Otworzyły się wrota kościelne i weszli przy dźwiękach muzyki wszyscy umarli w swych paradnych strojach, jakie nosili za życia, i zasiedli w ławkach. Rozległ się śpiew psalmu jak huczące morze. Byli tam starzy przybrani rodzice Jörgena z diun Huusby, kupiec Brønne i jego żona, a obok nich tuż przy Jörgenie zasiadła ich mała, śliczna córka. Podążyła Jörgenowi dłoń i poszli razem do ołtarza, gdzie dawniej klęczeli, i kapłan pobłogosławił ich na życie w miłości, łącząc ich dłonie. Wtedy rozległ się dźwięk puzonów, dziwny jak głos dziecięcy, pełen tęsknoty i radości, zarazem wzmagający się jak dźwięk organów, jak huragan podniosłych, pełnych tonów, rozkosznych dla ucha, a tak potężny, że mógłby poruszyć kamienie cmentarne.

Okręt wiszący u sklepienia spłynął przed nimi na dół, stał się tak wielki, taki wspaniały, miał jedwabne żagle i złożone maszty, kotwice były ze szczerzego złota, a liny z jedwabnych nici jak w starej pieśni. I młoda para oblubieńców weszła na pokład tego okrętu, i wszyscy obecni w kościele poszli za nimi, a miejsca i wszelkich wspaniałości było dosyć dla wszystkich. Ściany i sklepienia kościoła kwitły jak dziki bez, a wonne gałęzie lipy poruszały liśćmi i gałęziami wokoło; pochylały się i chwiały, aż okręt przesunął się między nimi i wypłynął na morze, wypłynął w powietrze. Każda świeczka na ołtarzu zamieniła się w małą gwiazdkę, a wiatr zaintonował psalm i wszyscy śpiewali razem:

W miłości ku szczęściu. Żadne życie nie ginie. Błogosławiona radość, Alleluja! Alleluja!

I te słowa były ostatnimi słowami Jörgena na tym świecie. Nić urwała się uwalniając nieśmiertelną duszę, tylko martwe ciało leżało w ciemnym kościele, wokół którego gwizdał wicher zasypując gmach lotnym piaskiem.

Nazajutrz była niedziela, wszyscy parafianie z księdzem przyszli na nabożeństwo. Droga była bardzo uciążliwa, prawie niemożliwa do przejścia, bo cała zawiana piachem, a przed drzwiami kościelnymi leżało olbrzymie wzgórze piasku. Kapłan zmówił krótką modlitwę i powiedział, że Bóg zamknął wrota swego domu i że trzeba zbudować mu gdzie indziej nowy.

Zaspiewali psalm i poszli do domu.

Jörgena nie mogli nigdzie znaleźć: nie było go ani w Skagen, ani w diunach. Zdecydowali więc, że musiały go porwać fale rozbijające się o piasek.

A ciało jego spoczywało w największym sarkofagu – w kościele. Bóg podczas burzy rzucił na trumnę garść piasku i po dziś dzień ciężkie wieko z piasku ją okrywa.

Lotny piasek pokrył potężne sklepienia. Osty nadmorskie i dzikie róże rosną nad kościołem, gdzie teraz wędrowiec przechodzi obok wieży, ledwie sterczącej ponad piaskiem, jak obok olbrzymiego nagrobka, który można widzieć już z daleka. Żaden król nie ma wspanialszego grobowca. Nikt nie zakłóca spokoju zmarłego. I nikt nie znał ani dotąd nie zna tej historii – wyśpiewał mi ją wicher wiejący wśród diun.

BALWAN ZE ŚNIEGU

Taki mróz rozkoszny, że aż coś we mnie trzeszczy – powiedział bałwan ze śniegu. – Wiatr potrafi tchnąć życie. Ale jakże rozżarzone jest „to” w górze, jak wytrzeszcza swoje gały. – Miał na myśli słońce; właśnie zachodziło. – Nie zmusi mnie do mrugania, będę mocno zaciskał moje skorupki.

Zamiast oczu miał dwa duże, trójkątne kawałki dachówek, usta miał zrobione z kawałka starych grabi, posiadał więc i zęby.

Przyszedł na świat wśród radosnych okrzyków dzieci, powitany brzęczeniem dzwonek sanek i trzaskaniem z bicia. Słońce zaszło, wzeszedł księżyc w pełni, okrągły i wielki, jasny i piękny w błękitnym powietrzu.

– Znowu wyszło po drugiej stronie – powiedział bałwan ze śniegu. Był przekonany, że słońce się znów pokazało. – Odzwyczailem je od gapienia się. Może sobie tam być i świecić, abym tylko mógł oglądać siebie samego. Gdybym tylko wiedział, jak trzeba się ruszyć z miejsca. Tak chętnie poruszałbym się. Gdybym potrafił, zszedłbym teraz poślizgać się po lodzie, widziałem jak to robili chłopcy; ale nie potrafię biegać.

– Precz, precz! – zaszczekał stary podwórzowy pies na łańcuchu; był trochę zachrypnięty. Miał chrypkę od czasu, gdy przestał być pokojowym pieskiem i już nie leżał pod piecem. – Słońce nauczy cię biegać. Widziałem, co się działo zeszłego roku z twymi poprzednikami, a dawniej z ich poprzednikami. Precz, precz! Wszyscy oni poszli sobie precz.

– Nie rozumiem cię, kolego – powiedział bałwan ze śniegu – to, co jest w górze, ma mnie nauczyć biegać? – Miał na myśli księżyc. – On sam, kiedy mu się dobrze przyjrzę, posuwa się naprzód: teraz skrada się z drugiej strony.

– Nic nie wiesz – powiedział podwórzowy pies. – Dopiero niedawno cię ulepiono. To, na co teraz patrzysz, nazywa się księżycem; to, które przedtem odeszło, było słońcem, jutro rano znowu wróci, ono już cię nauczy, jak stoczyć się do rowu. Wkrótce zmieni się pogoda, czuję to po rwaniu w lewej tylnej łapie. Pogoda zmieni się.

– Nie rozumiem go – powiedział bałwan ze śniegu – ale mam wrażenie, że mi powiedział coś nieprzyjemnego. To, co się tak na mnie gapi i potem odchodzi, to, co pies nazywa słońcem, nie

jest dla mnie przyjaźnie usposobione, czuję to.

– Precz, precz! – ujadął pies, okręcił się w kółko trzy razy i ułożył się w swej budzie do spania.

Pogoda zmieniła się istotnie. Nad ranem gęsta, wilgotna mgła pokryła całą okolicę; kiedy dniało, zawiął wiatr, wziął ostry mróz; ale cóż to za widok ukazał się gdy słońce wzeszło. Wszystkie drzewa i krzaki stały w szronie; wyglądało to jak las z białego koralu, wszystkie gałęzie były jakby obsypane lśniącem białym kwieciem. Widać było nieskończenie wiele gałęzi i gałązek, w lecie zupełnie niewidocznych pod liśćmi; była to błyszcząca, biała koronka, zdawało się, że z każdej gałęzi promieniuje oślepiający blask.

Płacząca brzoza chwiała się na wietrze, pełna była życia jak drzewa w lecie. Było to niezrównanie piękne. A kiedy zaświeciło słońce, wszystko zabłysło jak pokryte diamentowym pyłem, a na śnieżnej powłoce ziemi błyskały wielkie diamenty; można sobie było też wyobrazić, że płoną tam niezliczone, maleńkie światełka jeszcze bielsze od białego śniegu.

– Jakie to cudownie piękne – powiedziała młoda dziewczyna, która weszła z młodzieńcem do ogrodu. Stanęli tuż koło bałwana i stąd oglądali błyszczące drzewa. – Nawet w lecie nie można mieć piękniejszego widoku – powiedziała dziewczyna i oczy jej zaświeciły.

– A takiego jegomościa jak ten nie ma wcale w lecie – dodał młodzieniec i wskazał na bałwana. – Jest wspaniały.

Dziewczyna zaśmiała się, kiwnęła głową bałwanowi i tańczyła ze swym przyjacielem po śniegu, który skrzypiał pod nogami, jak gdyby stąpali po krochmalu.

– Kto to byli ci dwoje? – spytał bałwan psa. – Jesteś na podwórku dłużej ode mnie, czy znasz ich?

– Rozumie się, że ich znam – odpowiedział podwórzowy pies. – Ona mnie pogłaskała, a on podarował mi kość; nie ugryzę ich.

– Ale co oni tu robią? – spytał bałwan.

– Zakochana para – powiedział podwórzowy pies. – Zamieszkają w jednej budzie i będą razem gryzli kości. Precz, precz!

– Czy tych dwoje może się równać ze mną i z tobą? – spytał bałwan ze śniegu.

– To państwo – odrzekł pies. – Kiedy się dopiero wczoraj przyszło na świat, wie się naprawdę niewiele, widzę to po tobie. Jestem stary i doświadczony, znam tu wszystkich w obejściu, a były czasy, kiedy nie stałem tu na zimnie, przywiązany na łańcuchu. Precz, precz!

– Zimno jest rozkoszne – zauważył bałwan. – Opowiadaj, opowiadaj. Ale nie brzęcz łańcuchem, bo we mnie coś trzeszczy.

– Precz, precz! – ujął pies. – Byłem młodym pieskiem, oni mówili, że małym i ślicznym; wówczas leżałem w pokoju na pluszowym fotelu, spoczywałem na kolanach pani i pana, całowano mnie w pyszczek i wycierano mi łapki haftowaną chusteczką; nazywano mnie „najpiękniejszym pieskiem, piesiulkiem”, ale potem stałem się dla nich za duży, podarowali mnie gospodyni; powędrowałem do sutereny. Z miejsca, gdzie stoisz, możesz tam zajrzeć; możesz zobaczyć tę komórkę, gdzie traktowali mnie po pańsku; gdyż tak się do mnie odnosiła gospodyni; było tam wprawdzie skromniej niż na górze, ale przytulniej; dzieci nie ciągnęły mnie i nie drażniły jak tam, na górze. Karmili mnie równie dobrze, ale jeszcze o wiele obficie. Miałem własną poduszkę i był tam także piec, a o tej porze roku jest to najmiłsza rzecz na świecie. Właziłem pod sam piec tak, że znikalem pod nim. Często jeszcze śnię o piecu. Precz! precz!

– Czyż piec wygląda tak pięknie? – spytał bałwan ze śniegu. – Czy jest podobny do mnie?

– Wygląda zupełnie jak twoje przeciwieństwo. Jest czarny jak węgiel, ma długą szyję i mosiężną trąbę. Pożera drzewo, aż ogień bucha mu z ust. Trzeba trzymać się jego boku, tuż koło niego lub pod nim, to niezwykła przyjemność. Możesz go zobaczyć przez okno z tego miejsca, gdzie stoisz.

Bałwan ze śniegu zajrzał w okno sutereny i zobaczył rzeczywiście czarny, polerowany przedmiot z mosiężną rurą; ogień błyszczał w dole. Bałwan ze śniegu miał dziwne uczucie, z którego sam nie zdawał sobie dobrze sprawy: ogarnęło go coś takiego, czego nie znał, ale co znają wszyscy ludzie, o ile nie są bałwanami ze śniegu.

– I dlaczego „ją” opuściłeś? – spytał bałwan. Wydawało mu się, że piec musi być istotą żeńskiego rodzaju. – Jakże mogłeś opuścić takie miejsce?

– Musiałem – odpowiedział pies – wyrzucili mnie i przywiązali do łańcucha. Ugryzłem służącego w nogę, gdyż zabrał mi kość, którą obgryzałem; kość za kość, my siałem sobie. Ale wzięli mi to za złe i od tego czasu przymocowano mnie do łańcucha i straciłem mój piękny głos, posłuchaj no, jaki jestem zachrypnięty: precz, precz! Taki był koniec.

Bałwan ze śniegu nie słuchał już więcej, patrzył bezustannie w okno sutereny, do gospodyni, patrzył w głąb pokoju, gdzie stał piec na swych czterech żelaznych nogach i był tej samej wielkości co bałwan ze śniegu.

– Coś tak dziwnie we mnie trzeszczy – powiedział. – Czyż nigdy się tam nie dostanę? Przecież to niewinne życzenie, a nasze niewinne życzenia spełniają się zazwyczaj. Jest to moje najskrytsze życzenie, moje jedyne życzenie; byłoby to niesprawiedliwie, gdyby się nie ziściło. Muszę tam się dostać, muszę się do niego przytulić, nawet gdybym miał stłuc szybę w oknie.

– Nigdy tam nie wejdiesz – powiedział pies. – A kiedy zbliżysz się do pieca, znikniesz, precz, precz.

– I tak już prawie mnie nie ma – odrzekł bałwan. – Wydaje mi się, że się rozpadam.

Przez cały dzień bałwan ze śniegu stał i patrzył przez okno; w zmierzchu pokój wyglądał jeszcze bardziej zachęcająco; z pieca rozchodził się taki miły blask, księżyc ani słońce nigdy nie potrafią tak błyszczeć jak piec, kiedy pali się ogień w jego wnętrzu. Kiedy drzwiczki się otwierały, buchał jasny płomień, piec był do tego przyzwyczajony; płomień oświetlał czerwonym blaskiem białą twarz bałwana, czerwień ta sięgała nawet jego piersi.

– Nie wytrzymam – powiedział bałwan – jak mu do twarzy z tym wyciągniętym językiem.

Noc była bardzo długa, ale bałwanowi wydawała się krótka; stał pogrążony w swych pięknych myślach, które zamarzały tak, że aż trzeszczało.

Rankiem okna sutereny zamarzły, ukazały się na nich najpiękniejsze kwiaty, jakie tylko bałwan ze śniegu mógłby sobie wymarzyć, ale zasłoniły mu widok pieca. Szyby nie chciały odtajać i bałwan nie mógł zobaczyć „swojej ukochanej”. Trzeszczało i trzaskało w nim i obok niego; był mróz wymarzony dla bałwana ze śniegu, ale on się nie cieszył – mógłby być taki szczęśliwy, ale nie był szczęśliwy, tęsknił do pieca.

– Tęsknota do pieca to ciężka choroba dla bałwana – powiedział pies – i ja niegdyś cierpiałem na tę chorobę, ale przemożem ją. Precz, precz! Teraz pogoda się zmieni.

I pogoda rzeczywiście zmieniła się; rozpoczęła się odwilż.

Odwilż zwiększała się, a bałwan się zmniejszał. Nie mówił nic, nie skarżył się, a to jest już zły znak.

Pewnego ranka rozpadł się. Z tego miejsca, gdzie stał, wystawało coś, co przypominało kij do miotły, chłopcy ulepili bałwana na tym kiju.

– Teraz rozumiem jego tęsknotę – powiedział pies łańcuchowy. – Bałwan miał w ciele pogrzebacz; to on się w nim poruszał; teraz już to minęło. Precz, precz!

Wkrótce potem i zima również minęła.

– Precz, precz! – szczekał pies a małe dziewczynki śpiewały na podwórzu:

*Niechajże rosną z ziemi kwiatuszki.
Pokaż nam, wierzbo, wiosenne puszki.
Wiosna nadchodzi, ptaszki śpiewajcie,
Koniec lutego, pięknie zagrajcie,
I my wtórujmy kukułkom w chórze,
A ty, słoneczko, świećże nam w górze.*

I nikt już nie myślał o bałwanie ze śniegu.

DZIEWICA LODÓW

1. Mały Rudi

Pojedźmy do Szwajcarii, rozejrzyjmy się po tym pięknym górskim kraju, gdzie lasy sięgają aż po skaliste ściany dolin; wstąpmy na lśniące śniegowe pola i znowu zejźmy w dół na zielone łąki, gdzie rzeki i strumienie śpieszą w dal, jak gdyby bały się, że nie zdążą w porę do morza, aby zniknąć w jego objęciach. Słońce grzeje w głębokich dolinach, grzeje ono także olbrzymie masy śniegu, które z biegiem czasu przekształcają się w błyszczące bloki lodu i stają się spadającymi lawinami, spiętrzonymi lodowcami. Dwa takie lodowce leżą w głębokich szczelinach górskich u stóp szczytów Schreckhornu i Wetterhornu, niedaleko od górskiej wioski Grindelwald; są one bardzo interesujące, toteż latem przyjeżdża do nich mnóstwo ludzi ze wszystkich stron świata; przebywają wysokie, okryte śniegiem góry; przychodzą z głębokich dolin i muszą wspinać się wiele godzin w górę, a w miarę jak się wznoszą, doliny zapadają coraz głębiej i wyglądają tak, jakby się na nie patrzyło z balonów. Częstość zwieszają się nad nimi chmury jak ciężkie firanki dymu, zakrywające szczyty gór podczas kiedy w dolinie, gdzie widać wiele rozsypanych brązowych domków, jeszcze świeci jeden promień słońca i pada na pasmo promiennej zieleni, prześwietlając ją na wskroś. Woda szumi huczy i pryska w dolinie, woda kipi, i dzwoni w górze i wygląda jak jaskrawa, srebrna wstęga spadająca ze skał.

Po obu stronach drogi leżą drewniane domki, a przy każdym domku widnieje małe półko kartofli; uprawianie go jest konieczne, gdyż w tych domkach mieszka wiele osób, które trzeba wykarmić, dzieci tutaj mnóstwo, a mają apetyt, co się zowie; wybiegają ze wszystkich domów i otaczają podróżnych idących piechotą czy też jadących powozami; wszystkie te dzieci mają coś do sprzedania; malcy zachęcają do kupna małych, ślicznie wyrzynanych z drzewa domków, podobnych do tych, które stoją tu w górach.

Czy deszcz pada, czy słońce świeci, dzieci zawsze czyhają tutaj ze swymi towarami.

Przed dwudziestu kilku laty stawał tutaj nieraz, ale zawsze w pewnym oddaleniu od innych dzieci, mały chłopak, który też miał coś na sprzedaż; stał z miną tak poważną i tak mocno ścisnął oba rękami swoje drewniane pudełko, jak gdyby nigdy nie chciał go wypuścić; ale ta powaga i to, że dziecko było takie małe, sprawiało, że chłopca zauważano, wołano go i bardzo często

sprzedaż udawała mu się znakomicie, choć sam nie wiedział dlaczego. Wyżej w górach mieszkał jego dziadek, który rzeźbił te śliczne, urocze domki; tam w izbie stała szafa napełniona tego rodzaju rzeźbami w drzewie; były tam dziadki do orzechów, noże, widelce i pudełka ze ślicznymi kwiatami lub skaczącymi kozicami; wszystko to mogło nacieszyć oczy dziecięce, ale mały Rudi, tak się bowiem nazywał chłopiec, najchętniej spoglądał na starą fuzję zawieszoną pod sufitem, która miała kiedyś stać się jego własnością, jak powiedział dziadek, ale powinien do tego czasu wyrosnąć i nabrać sił, aby móc ją udźwignąć. Mimo że był jeszcze małym chłopcem, kazano mu już pasać kozy. I jeżeli do zalet dobrego pastuszka należy wdrapywanie się na skały z wychowankami-kozami w zawody, to istotnie Rudi był dobrym pastuszkiem. Wspinał się nawet trochę wyżej od nich; wlaził na drzewa, bo sprawiało mu przyjemność wybieranie gniazd ptakom. Był śmiały i zręczny, ale uśmiechał się jedynie wtedy, gdy stał nad grzmącym wodospadem lub słuchał huku spadającej lawiny. Nigdy nie bawił się z innymi dziećmi; spotykał się z nimi tylko wtedy, gdy dziadek posyłał go sprzedawać zabawki, co nie sprawiało mu przyjemności. Wolał włóczyć się samotnie po górach lub siedzieć u dziadka i słuchać jego opowiadań o dawnych czasach i o szczepie zasiedziałym w Meiringen, miasteczku, z którego pochodził. Ludność tego szczepu, jak mówiono, nie wywodziła się z prastarych, tutejszych mieszkańców, ale przywędrowała w późniejszych czasach. Przybyli z północy, ale osiedli tutaj, gdzie przezywano ich „Szwedami”. To była cała mądrość, którą Rudi posiadał, ale Rudi wiedział bez porównania więcej, co zawdzięczał obcowaniu z domowymi zwierzętami, to jest wielkim psem Ajolą, którego Rudi odziedziczył po swoim ojcu, i kocurem. Zwłaszcza temu ostatniemu Rudi wiele zawdzięczał: kot mianowicie nauczył go wspinaczki.

– Chodź ze mną na dach! – mówił kot, a Rudi go rozumiał, i to jak najdokładniej, bo kiedy się jest dzieckiem, nie umiejącym jeszcze mówić, rozumie się równie dobrze mowę kur i kaczek, kotów, psów jak mowę ojca i matki, tylko trzeba być małym. Nawet laska dziadka potrafi wówczas rzeć i jest prawdziwym koniem z głową, nogami i ogonem. Niektóre dzieci jeszcze bardzo długo rozumieją tę mowę; mówi się o nich, że są zatrzymane w rozwoju, że strasznie długo pozostają dziećmi. Ale czegoż to się nie mówi!

– Chodź ze mną na dach, mały Rudi! – były to pierwsze słowa kota, które chłopiec zrozumiał. – To, co ludzie opowiadają o spadaniu, jest tylko wymysłem. Nie spada ten, kto się nie boi. Chodź, postaw jedną łapkę, tak, a drugą, o, tak. Przednimi łapkami musisz macać przed sobą. Musisz mieć oczy w głowie i być zręcznym. Kiedy zobaczysz szczelinę, przeskocz ją i trzymaj

się mocno tak jak ja!

Rudi usłuchał. I dlatego to tak często siedział u kota na dachu, siedział w towarzystwie kota na szczytach drzew, nawet i na krawędziach skał, gdzie już kot nie chodzi.

– Wyżej, wyżej! – namawiały go krzaki i drzewa. – Czy widzisz, jak się wspinamy. Jak wysoko sięgamy i jak się potrafimy ucześcić na najwęższej nawet krawędzi.

I Rudi wspinał się na góry, często jeszcze przed wschodem słońca, pił chciwie swój poranny napój, mocne, orzeźwiające powietrze. Napój, który potrafi przyrządzać tylko Pan Bóg, a ludzie zaledwie mogą odczytać receptę. Składa się na nią: świeża woń ziół górskich, mięty i macierzanki z doliny. Wszystko, co ciężkie, wsysają ciemne chmury, wiatr rozpędza je nad lasami, woń z tych lasów przesyca powietrze, które staje się lżejsze, czystsze, coraz czystsze. Taki był napój poranny Rudiego.

Błogosławione córki słońca całowały jego policzki, a Zawrót Głowy czyhał w pobliżu, ale nie śmiał się do niego przybliżyć. Jaskółki, które miały aż siedem gniazd na dachu domu dziadka, krążyły naokoło niego i jego kóz i śpiewały: „My i wy! My i wy!” Przynosiły one chłopcu pozdrowienia z domu od wszystkich zwierząt, nawet od dwóch kur, jedynych domowych ptaków, z którymi Rudi się nie zadawał.

Mimo iż był jeszcze mały, widział już kawał świata i jak na takiego brzdąca odbył nie byle jakie podróże. Urodził się w kantonie Wallis i przeniesiono go tu przez góry, niedawno zawędrował piechotą aż do Staubbach, które srebrną wstęgą spada ze śnieżnobiałej Jungfrau – Śnieżnej Dziewicy. Był także w Grindelwaldzie, przy dużym lodowcu, ale to smutna historia, gdyż tam umarła jego matka.

– Tam stracił Rudi swą dziecięcą wesołość – mówił dziadek.

Bo gdy Rudi nie miał jeszcze roku, śmiał się więcej, niż płakał, jak to pisała matka, ale od czasu gdy spędził wiele godzin w szczelinie lodowca, zmienił się zupełnie. Dziadek nie lubił o tym mówić, lecz wszyscy w okolicy znali tę historię.

Ojciec Rudiego był woźnicą dyliżansu. Wielki pies, mieszkający w izbie, towarzyszył zawsze ojcu w drodze przez Simplon w dół Jeziora Genewskiego. W dolinie Rodanu, w kantonie Wallis, mieszkali krewni Rudiego ze strony ojca: stryj był dzielnym łowcą kozic i doskonałym przewodnikiem. Gdy Rudi nie miał jeszcze roku, ojciec jego umarł i matka chciała wrócić do swojej rodziny mieszkającej u stóp Berneńskiego masywu; o parę godzin drogi od Grindelwaldu mieszkał jej ojciec; był on snycerzem i pracą swą zarabiał wcale nieźle. Wyruszyła w czerwcu, z

dzieckiem na rękę, w towarzystwie dwu strzelców, do domu przez Gemmi w stronę Grindelwaldu. Miała już większą część drogi za sobą, dotarła przez przełęcz do śniegów, widziała już ojczystą dolinę i dobrze znane, rozproszone domki; pozostawał jej tylko do przebrnięcia jeden lodowiec. Śnieg właśnie świeżo napadał i przykrył jedną ze szczelin w lodzie, niezbyt głęboką, nie sięgającą aż do dna, gdzie szumiała woda, ale w każdym razie głębiej niż wzrost człowieka. Młoda kobieta z dzieckiem na rękę pośliznęła się, osunęła się w tę szczelinę, i już było po niej, nie krzyczała, nie westchnęła nawet, słychać było tylko z głębi płacz dziecka. Upłynęła przeszło godzina, zanim towarzysze kobiety zdołali sprowadzić z najbliższej wioski drągi, sznury i przywołać pomoc. Po długich wysiłkach wyciągnięto ze szczeliny, jak sądzono, dwa trupy. Zastosowano wszystkie możliwe środki, matki nie zdołano uratować, dziecko jednak oprzytomniało. Dlatego to do domu staruszka zamiast córki z dzieckiem zawitał tylko wnuk, ten malec, który więcej się śmiał, niż płakał, ale który teraz jak gdyby się od tego odzwyczaił; zmiana nastąpiła pewnie w owej lodowatej szczelinie, w tym dziwnym świecie, gdzie, jak wierzy lud szwajcarski, dusze potępieńców czekają na sąd ostateczny.

Jak gdyby szumiąca woda, zamarznięta w biegu i ściśnięta w zielonawe bloki, spoczywa olbrzymi lodowiec, kawały lodu ułożone jedne na drugich. Głęboko pod nim biegnie rwący prąd stopionego śniegu i lodu. Ogromne szczeliny i bezdenne przepaści kryją się pod nim; jest to potężny pałac lodowy, a mieszka w nim Dziewica Lodów, królowa lodowców. Ta śmiercionośna, miazdząca istota jest na poły dzieckiem powietrza, na poły zaś groźną władczynią rzek, dlatego to potrafi wspinać się z szybkością kozicy na najwyższą krawędź lodowca, gdzie najśmielsi nawet wspinacze muszą mozolnie wykuwać stopnie w lodzie; na cieniutkich gałązkach sosnowych zeglują po wodach strumieni, skacze z kamienia na kamień, owiana swymi długimi, śnieżnymi włosami i niebieskozieloną sukienką, która połyskuje jak woda w szwajcarskich jeziorach.

– Zmiażdżyć, schwycić! – wołała. – Moja jest siła, moja moc! Ukradzono mi pięknego chłopca. Ucałowałam go, ale nie zacałowałam na śmierć. Żyje, przebywa wśród ludzi, pasie kozy na zboczu, skacze po skałach coraz to wyżej i wyżej, coraz dalej od innych, ale nie ode mnie. On jest mój! Ja go schwycę!

I rozkazała Zawrotowi, by pomógł jej w tym dziele. W lecie jest Dziewicy Lodów zbyt gorąco na łąkach wśród zapachu mięty, miał ją więc zastąpić Zawrót. Kręcił się i wił, dwoił i troił; Zawrót Głowy ma mnóstwo sióstr, całe stado sióstr.

Dziewica Lodów wybrała najsilniejszy Zawrót Głowy z tych wszystkich, które wirują po całym świecie. Przesiadują one na poręczach wysokich schodów, na galeriach wież, biegają jak wiewiórki po krawędziach skał, skaczą z góry na dół, prują powietrze jak pływak wodę i wabia swe ofiary, i wciągają je do przepaści. Zawrót Głowy i Dziewica Lodów chwytają wszystkich, którzy się do nich zbliżą, jak złośliwy polip. Zawrót miał właśnie schwytać Rudiego.

– Złapać! – powiedział Zawrót – to niełatwe zadanie, ten szelma kot nauczył go swych sztuczek. To dziecko posiada siłę, której nie mogę zwyciężyć, nie mogę zbliżyć się do chłopca, gdy huśta się na gałęzi nad przepaścią, i połechtać go w pięty albo pchnąć, by wyleciał w powietrze.

Nie, nie mogę tego zrobić.

– Ale razem możemy to uczynić! – powiedziała Dziewica Lodów. – Ty i ja, ja, ja!

– Nie, nie! – zabrzmiało w powietrzu jak gdyby górskie echo dzwonów kościelnych, ale to był śpiew, to była mowa, to był chór stopiony z różnych głosów innych duchów przyrody, łagodnych, godnych miłości i dobrych, to śpiewały córki słońca; co wieczór igrają one w kształcie wieńca na szczycie gór, rozpościerając swe skrzydła w blasku różowych promieni, które stają się coraz czerwieniejsze, im słońce schodzi niżej. Ludzie mówią, że góry „się żarzą”.

Po zachodzie słońca córki słońca uciekają na wierzchołki gór i tam śpią w białym śniegu aż do świtu, wówczas zjawiają się na nowo. Kochają kwiaty, motyle i ludzi, a spośród ludzi wybierają sobie szczególnie małego Rudiego.

– Nie złapiecie go! Nie złapiecie go! – powtarzały.

– Chwytałam już większych i silniejszych! – odpowiadała Dziewica Lodów.

Wówczas córki słońca zaśpiewały pieśń o wędrowcu, któremu wichur porwał płaszcz i rzucił do burzliwej rzeki: „Wichur porwał tylko odzież, ale człowieka nie zwyciężył; wy, dzieci siły, możecie go porwać, ale zatrzymać go nie zdołacie. Jest silniejszy i ma mocniejszego ducha nawet od nas, wspina się wyżej niż nasz rodzic – słońce. Zna zaklęcia, które czują woda i wiatr, tak że muszą mu grać i służyć. Was dławi ciężka, przytłaczająca waga, a on sięga wyżej!”

Tak pięknie brzmi chór podobny do dzwonów.

A co rano promyki słoneczne zaglądały przez jedyne okienko w domu dziadka do cichego chłopczyny, córki słońca całowały jego policzki, chcąc, by roztajały, ogrzały się, znikły lodowate pocałunki, które niegdyś wycisnęła na jego twarzyczce królewska Dziewica Lodów, wtedy gdy spoczywał w ramionach martwej matki w głębokiej szczelinie lodowej i jakby cudem został

przywrócony do życia.

2. Podróż do nowego domu

Rudi skończył osiem lat; jego stryj z doliny Rodanu, po drugiej stronie gór, postanowił go wziąć do siebie; będzie mógł się tam więcej nauczyć i wykształcić. Dziadek również to rozumiał i pozwolił wnuczкови odjechać.

Rudi miał więc wyruszyć w drogę; zanim pożegnał się z dziadkiem, musiał powiedzieć „do widzenia” przyjaciółom, a przede wszystkim staremu psu Ajoli.

– Ojciec twój był pocztowym woźnicą, a ja byłem psem pocztowym! – powiedział Ajola. – Jeździliśmy w górę i w dół. Znam dobrze psy i ludzi po tamtej stronie gór. Nigdy nie miałem zwyczaju wiele mówić, ale teraz, kiedy się mamy rozstać, mogę z tobą pogadać trochę; opowiem ci historię, którą znam od dawna i o której ciągle myślałem; nigdy nie mogłem jej zrozumieć i ty jej nie zrozumiesz, ale to wszystko jedno. To tylko z niej wywnioskowałem: że los nie bywa sprawiedliwy ani dla ludzi, ani dla psów. Nie każdemu psu dane było siedzieć na kolanach i popijać mleczko, mnie się to nigdy nie przytrafiło, ale widziałem w dylizansie pieska podróżującego ze swą panią; wzięli dla niego bilet jak dla człowieka, pani jego, jakaś arystokratka czy udająca arystokratkę, zabrała ze sobą butelkę mleka, dawała mu pić z niej, dostawał ciasteczka, ale nie raczył ich zjadać, obwąchiwał je tylko, a pani zjadała. Ja zaś biegłem w kurzu obok pojazdu, byłem taki głodny, jak tylko pies może być; przeżuwałem swoje myśli, nie było to w porządku, ale ileż to rzeczy jest nie w porządku na świecie.

Chociaż nie wiem jak chciałbyś siedzieć na kolanach i jechać w powozie, nie wywojujesz sobie tego i nic nie pomożesz ani szczekaniem, ani wyciem!

Tak mówi Ajola, a Rudi uściskał go i ucałował prosto w wilgotny nos. Potem wziął na ręce kota, ale ten zaczął się wrywać.

– Zrobiłeś się dla mnie zbyt silny! – powiedział. – A nie chcę używać na ciebie pazurów. Możesz, ile chcesz, chodzić po górach, nauczyłem cię tego. A pamiętaj idąc, że nie spadniesz, jeśli się nie będziesz bał.

To mówiąc kot uciekł. Nie chciał, by Rudi widział, że smutek wyzierał mu z oczu.

Po izbie biegały kury. Jedna z nich nie miała ogona, bo jakiś turysta, który się chciał zabawić w myśliwego, wziął ją za drapieżnego ptaka i ustrzelił jej ogon.

– Rudi pójdzie za góry! – powiedziała kura.

– Ciagle się śpieszy! – odparła druga. – A ja nie lubię się żegnać! – I obie podreptały dalej.

Chłopiec powiedział „do widzenia” także i kozom. Zabeczały: „Zabierz mnie, mnie, mee!”, i to było bardzo żałosne.

Właśnie dwóch dzielnych przewodników z okolicy wybierało się na tamtą stronę, mieli przejść przez przełęcz Gemmi. Zabrali chłopca ze sobą. Szli na piechotę. Była to uciążliwa wędrownka dla takiego malca, ale był silny i śmiały i nie dał się zmęczyć.

Jaskółki odprowadziły go kawałek drogi. – My i wy! My i wy! – śpiewały. Droga wiodła obok rwącej rzeki Lutschine, która wypływa licznymi małymi potokami z lodowca z Grindelwald; przerzucone pnie i kamienie zastępują tu mosty. Minęli zarośla olszyny i zaczęli się wspinać w górę w tym miejscu, gdzie lodowiec spływa ze skalnej ściany, potem dostali się na powierzchnię lodowca i posuwali się po płytach lodowych lub obchodzili większe góry lodu. Rudi musiał chwilami pełzać na czworakach, oczy płonęły mu z zachwytu, a jego podkute żelazem buty tak mocno stukwały, jak gdyby Rudi za każdym krokiem chciał zostawić tu swój ślad. Czarny nalot ziemi, naniesiony strumieniem, okrywał lodowiec, ale błękitnozielony, lśniący jak szkło lód widniał jednak spod nalotu; co pewien czas trzeba było okrążyć małe jeziora utworzone przez groble w lodzie i w wędrownce tej natrafiono na olbrzymi kamień chwiejący się na skraju dużej szczeliny lodowej. Kamień poruszony ze swego miejsca potoczył się w dół, zniknął w przepaści, a przeciągłe echo jak grzmot wydobywało się z pustych głębin, ze szczelin Gletscheru.

Szli w górę, wciąż w górę. Lodowiec także wspinał się pod górę niczym rzeka piętrzących się, zamrzniętych fal, uwieczonych pomiędzy ostrymi skałami. Przez chwilę przeleciała przez głowę chłopca myśl, że w jednej z takich zimnych, głębokich przepaści spoczywał w ramionach matki; ale szybko otrząsnął się z tych myśli, nie znaczyły one dla niego więcej niż wszystkie inne historie, których się nasłuchał. Od czasu do czasu mężczyźni sądząc, że droga jest zbyt trudna dla malca, podawali mu rękę, ale on był niezmordowany i po gładkim lodzie szedł tak pewnie i lekko jak kozica. Teraz dotarli już do terenu skalnego i szli to pośród nagich, nie porośniętych mchem skał, to znów wśród kosodrzewiny albo zielonych łąk. Krajobraz zmieniał się co chwila. Wokoło wznosiły się góry pokryte śniegiem, których nazwy znał tak dobrze każdy

chłopiec miejscowy: Jungfrau, Mnich, Eiger. Rudi nigdy przedtem nie był na takiej wysokości, nigdy nie stąpał po śnieżnych polach: teraz zaś leżały przed nim ze swymi nieruchomymi, śnieżnymi falami, z których wiatr co pewien czas zdmuchiwał płatki śniegu jak pianę fal morskich. Lodowce stoją tu jak gdyby obok siebie, a każdy z nich jest oddzielnym pałacem Dziewicy Lodów, której cała moc i wola skierowana jest ku temu, by chwytać i grzebać. Słońce grzało mocno, śnieg oślepił i zdawał się usiany błękitnymi błyskami diamentów. Niezliczone ilości martwych owadów, przeważnie motyli i pszczół, leżały na śniegu. Zapędziły się zbyt wysoko lub przygnał je tu wiatr i zamarzyły na mrozie. Nad Wetterhornem wisiała ciemna chmura, zniżala się ona groźnie, jak gdyby ukrywając, że chowa w swoim wnętrzu halny wiatr, niebezpieczny, gdy się rozpęta. W pamięci Rudiego utkwilo na zawsze wrażenie tej wędrówki, wznoszenie się w górę nocą i znowu schodzenie w dół, głębokie przepaście skalne, w których woda w ciągu nieskończonej ilości lat przegryzała kamienie.

Podróżni przenocowali w opuszczonej, kamiennej kolebie po drugiej stronie śnieżnego pola. Znaleźli tu węgiel drzewny i gałązki sosnowe; natychmiast rozpalono ogień i w miarę możliwości przygotowano nocleg; mężczyźni rozsiedli się przy ogniu, zapalili fajki i pili gorący korzenny napój, który sami przyrządzili. Rudi też otrzymał swoją porcję i zaczął rozmawiać o tajemniczych istotach alpejskich, o dziwacznych, olbrzymich wężach w jeziorach górskich i o armii upiorów, które przenoszą uspiomych wędrowników do pięknego, pływającego miasta Wenecji; o dzikim pasterzu, który gna swe czarne owce przez ścieżki wśród łąk; choć ich nikt nigdy nie widział, ale wyraźnie słyszano dźwięk ich dzwoneczków i straszliwe beczenia stada. Rudi słuchał z uwagą, ale nie bał się, obce mu było uczucie strachu i zdawało mu się, że słyszy nawet upiorne beczenie; ba! stawało się coraz wyraźniejsze, mężczyźni także je posłyszeli, przestali gadać, nasłuchiwali i powiedzieli chłopcu, że nie wolno mu zasypiać. To był halniak, ten gwałtowny wichur górski, który zwała się z gór w doliny, łamie drzewa jak wątle trzcinki i przenosi drewniane domy z jednego brzegu rzeki na drugi, jak my figurki na szachownicy.

Po godzinie wszystko ucichło i Rudiemu pozwolono zasnąć. Zmęczony wędrówką, zasnął jak na komendę.

Wczesnym rankiem ruszyli w dalszą drogę. Słońce oświecało tego dnia Rudiemu nowe, nieznane góry, lodowce i śnieżne pola. Weszli do kantonu Wallis i znaleźli się z drugiej strony tych gór, które widać z Grindelwaldu, ale byli jeszcze daleko od nowego domu. Przed oczyma chłopca roztoczyły się inne doliny, inne łąki, lasy i górskie ścieżki, zobaczył inne domy i innych

ludzi. Ale jakich ludzi! Byli to kretyni o tłustych nieprzyjemnych, bladożółtych twarzach, szyje ich opadały w grubych, obrzydliwych fałdach jak worki. Bezsilnie włączyli się po drogach i spoglądali na obcych głupimi oczyma; najstraszniej wyglądały kobiety. Więc to mieli być ludzie jego nowej ojczyzny?

3. Stryj

W domu stryja, do którego Rudi przybył, ludzie wyglądali, na szczęście, zwyczajnie. Był tu tylko jeden kretyn, biedny, słaby na umyśle chłopak, jeden z tych, którzy wędrują po kantonie Wallis z domu do domu i w każdej rodzinie zostają po parę miesięcy. Biedny Saperli był właśnie w domu stryja, gdy Rudi tam przybył.

Stryj był jeszcze dzielnym strzelcem, a prócz tego zajmował się bednarstwem, żona jego była żywą, małą kobietką o ptasiej twarzyczce, orlich oczach i długiej owłosionej szyi.

Dla Rudiego wszystko tu było nowością: stroje, obyczaje, a nawet mowa, ale do tej potrafił się jako dziecko szybko przyzwyczaić. W porównaniu z tym, do czego przywykł u dziadka, panował tu ogromny dobrobyt. Izba, w której mieszkali, była obszerniejsza, ściany ozdobione były skórami kozic i wyczyszczonymi strzelbami, a przed obrazem Matki Boskiej nad drzwiami płonęła lampka i jaśniały świeże różyczki alpejskie.

Stryj, jak się rzekło, był jednym z najlepszych okolicznych myśliwych polujących na kozice, i jednym z najdoświadczeńszych przewodników. W tym domu miał Rudi znaleźć najczulsze pieszczoty; dotychczas pieszczono tu tylko starego, ślepego, głuche go wyżła, który co prawda nie mógł już pełnić służby, ale pełnił ją niegdyś; pamiętano o jego dawnej dzielności i dlatego zaliczano go do rodziny i obdarzano niejednym smacznym kąskiem. Rudi pogłaskał psa. Ten zrazu nie dał się pieścić, bo uważał chłopca za obcego, ale już wkrótce Rudi wkradł się do serc wszystkich mieszkańców tego domu.

– U nas w kantonie Wallis nie jest wcale tak źle. Mamy tu kozice, które nie wymierają tak szybko jak kozły; teraz jest lepiej niż w dawnych czasach, mimo że tak chwalą przeszłość; nasze czasy są lepsze. Zrobiła się jak gdyby dziura w worku; przez naszą dolinę przelatuje świeży prąd powietrza. Gdy opada to, co jest stare i zużyte, wychodzi zawsze na jaw coś lepszego.

Tak mówi stryj, a gdy się rozgadał, opowiadał o czasach swego dzieciństwa, o tym, jak to było wówczas, gdy kanton Wallis był jeszcze zamkniętym workiem, jak się wyrażał, pełnym kretynów i chorych.

– Ale przyszli do nas francuscy żołnierze; byli jak prawdziwi lekarze: zabijali chorobę razem z chorymi. Francuzi umieją się tłuc na różne sposoby, a ich dziewczęta również.

I przy tym kiwał stryj głową w stronę żony, która była Francuzką, a ona śmiała się do niego.

– Francuzi umieją tłuc kamienie, tak że te aż ustępują, wykuli oni w kamieniu drogę, zrobili drogę przez Simplon, przebitą wśród skał, taką drogę, że teraz mogą powiedzieć trzyletniemu dziecku: „Idź do Włoch. Trzymaj się tylko szosy.” I dziecko trafi do Włoch, o ile nie zboczy z szosy.

A potem stryj zaśpiewał francuską pieśń i wznosił okrzyki na cześć Napoleona Bonaparte.

Wtedy to usłyszał Rudi po raz pierwszy o Francji, o wielkim mieście Lyonie nad Rodanem. Stryj bywał w tym mieście.

Rudi miał w ciągu paru lat wykształcić się na zręcznego strzelca. Stryj mówił, że ma do tego zdolności. Uczył go więc jak ma trzymać strzelbę, jak celować, jak strzelać; w porze polowania zabrał go ze sobą w góry i dawał mu do picia ciepłą krew kozicy: to chroni strzelca przed zawrotem głowy; uczył go, jak poznawać, kiedy i z jakich zboczy skał będą się toczyły lawiny, w południe czy wieczorem, w zależności od działania promieni słonecznych, kazał mu obserwować skoki kozic i od nich uczyć się zręczności i równowagi, one miały mu pokazywać, jak ma się trzymać zawsze na nogach, a wówczas gdy nie ma już miejsca na stopy, jak się czepiać skały łokciami, na mięśniach łydek i ud, a nawet na mięśniach karku.

Kozice są mądre, stawiają warty, które ostrzegają przed człowiekiem, ale strzelec musi być mądrzejszy: zachodzić je pod wiatr; może je oszukać, gdy postawi na kijku swoją kurtkę i kapelusz, kozica to bierze za człowieka. Ten żart zrobił stryj któregoś dnia, gdy poszedł z Rudim na polowanie.

Skalna ścieżka była wąska, nie była to właściwie ścieżka, tylko gzyms, wiodący nad zawrotną przepaścią. Śnieg, który tu leżał, roztajał do połowy i kamienie obsuwały się spod nóg, dlatego też stryj położył się na brzuchu i tak czołgał się naprzód. Każdy kamień, który się osuwał spadał w przepaść, uderzał się, skakał i toczył się znowu i odbijał się ze skały na skałę, zanim znalazł spokój w czarnej głębi. Rudi stał mniej więcej o sto kroków za stryjem na wysuniętym cyplu skalnym. Nagle ujrzał olbrzymiego orła krążącego nad stryjem; jedno potężne uderzenie

skrzydeł wystarczyłoby, by strącić pełzającego na skale robaka w przepaść i zamienić go w padlinę. Stryj miał oczy utkwione w kozicę, która wraz ze swoim małym ukazała się po tamtej stronie skały. Rudi utkwiał wzrok w ptaku, zrozumiał, do czego zmierza, i już schwycił fuzję, aby strzelić, gdy w tej chwili kozica skoczyła, stryj wystrzelił i położył ją trupem, ale jej młode uciekło w takich podskokach, jak gdyby całe życie miało do czynienia ze strachem i ucieczką. Olbrzymi ptak, przerażony wystrzałem, wzbił się w powietrze. Stryj nie przeczuwał niebezpieczeństwa, dowiedział się o nim dopiero od Rudiego.

Gdy rozweseleni wracali do domu i stryj gwizdał jakąś piosenkę ze swych chłopięcych czasów, usłyszeli nagle niedaleko jakiś dziwny odgłos; obejrżeli się, potem spojrzeli w górę i zobaczyli zwieszającą się ze stromej ściany skalnej płachtę śnieżną, podobną do kawału płótna kołysanego przez wiatr. Powierzchnia jej zaczęła się łamać jak płyty marmuru, zamieniła się w spienione, wartkie wody, ryczące jak odległe grzmoty. Była to lawina śnieżna, nie spadała wprost na Rudiego i jego stryja, ale w każdym razie blisko, zbyt blisko od nich.

– Trzymaj się mocno, Rudi – zawołał stryj. – Trzymaj się z całych sił!

Rudi objął ramieniem pień drzewa i trzymał się mocno, a stryj wdrapał się na drzewo i trzymał się gałęzi, podczas gdy lawina przeciągała o kilkanaście stóp od nich, ale napór powietrza, będący jakby skrzydłami lawiny, siał wokół spustoszenie, łamał drzewa jak suche patyki i odrzucał je daleko. Rudi leżał przyciśnięty do ziemi; pień drzewa którego się trzymał, wyrwało z ziemi, odłamana korona odrzuciło daleko; wśród połamanych gałęzi leżał stryj ze zmiażdżoną głową, dłoń jego była jeszcze ciepła, ale twarz już nie do poznania. Rudi stał błądy i drżący. Była to pierwsza chwila przerażenia w jego życiu, pierwszy moment, kiedy odczuł zagadkę życia i śmierci.

Późnym wieczorem powrócił ze straszną wieścią do domu, który stał się teraz domem żałoby. Żona stała bez słowa, bez łez; i dopiero gdy przyniesiono nieboszczyka, wybuchła rozpaczliwym płaczem. Biedny kretyn ukrył się w swoim łóżku, cały dzień nie wychodził, dopiero pod wieczór przyszedł do Rudiego.

– Napisz mi list! – poprosił. – Saperli nie umie pisać. Saperli zaniesie na pocztę!

– List od ciebie? – spytał Rudi. – Do kogo?

– Do pana Jezusa!

– Do kogo?

A wtedy głupi, tak bowiem nazywali kretyna, spojrział żałośnie, złożył dłonie i powiedział

uroczyście i pobożnie:

– Jezusa Chrystusa. Saperli mu napisze, że on chce leżeć umarły, a nie pan tego domu!

Rudi uściskał mu rękę.

– List nie dojdzie. Ten list nam go nie wróci! – powiedział.

Ale nie potrafił biedakowi wytłumaczyć tej niemożliwości.

– Teraz ty jesteś podporą tego domu! – powiedziała do Rudiego stryjenka.

I tak się stało.

4. Babeta

Kto jest najlepszym strzelcem w całym kantonie Walis? – O tym wiedziały dobrze kozice.

– Strzeżcie się Rudiego! – mogłyby powiedzieć.

Kto jest najpiękniejszym strzelcem?

– Rudi! – odpowiadały dziewczęta, ale nie mówiły: – Strzeżcie się go! Nie mówiły tego nawet najpoważniejsze matki, gdyż uśmiechał się do nich tak samo mile jak do młodych córek. Był taki świeży i wesoły, policzki miał smagłe, zęby białe, a oczy błyszczące i czarne jak węgiel. Był pięknym chłopcem i miał dopiero dwadzieścia lat. Nie szkodziła mu lodowata woda, gdy w niej pływał, bo umiał się tak w wodzie zwijać jak ryba. Wspinał się na góry jak nikt inny, potrafił przyłgnąć do skały jak ślimak, miał wspaniale rozwinięte mięśnie i ścięgna; przydawało mu się to w skokach, których nauczył się najpierw od kota, a potem od kozic. Rudi był najlepszym przewodnikiem, godnym pełnego zaufania, więc mógł sobie w ten sposób zarobić mnóstwo pieniędzy. Do zawodu bednarskiego, którego również nauczył go stryj, nie miał zbyt dużego pociągu. Za to z zamiłowaniem strzelał do kozic, i to także przynosiło mu dochód. Słowem, Rudi był, jak to powiadają, doskonałą partią, o ile tylko nie zechciałby sięgać za wysoko. W tańcu był takim tancerzem, o jakim śniły dziewczęta, a niejedna marzyła o nim i na jawie.

– Pocałował mnie w tańcu! – powiedziała Aneta, córka nauczyciela, do swej najlepszej przyjaciółki, ale nie powinna była tego opowiadać nawet najlepszej przyjaciółce. Taka wiadomość nie daje się zachować w tajemnicy, jest jak piasek w dziurawym worku: natychmiast

przelatuje; wkrótce już wszyscy wiedzieli o tym, że taki dzielny chłopak jak Rudi całuje w tańcu, a przecież pocałował wcale nie tą, którą najbardziej pragnął pocałować.

– Uważajcie! – powiedział pewien stary strzelec. – Zaczął od Anety, a jak tak pójdzie dalej, to po A nastąpi cały alfabet!

Na razie całus w tańcu to był jedyny temat plotek o Rudim, a tymczasem ucałował on nie tę, która była kwieciem jego serca.

Na dole, pod Bex, pomiędzy dużymi drzewami orzechowymi, nad górskim potokiem, mieszkał bogaty młynarz. Dom mieszkalny był trzypiętrowy, ozdobiony wieżyczkami, z dachem pokrytym blachą, która błyszczała w blasku słońca i księżyca. Na najwyższej z wieżyczek znajdowała się chorągiewka wskazująca pogodę, w kształcie strzały przesywającej jabłko, na pamiątkę Wilhelma Tella. Młyn wyglądał zamożnie i malowniczo, nadawał się do opisanie i namalowania, ale młynarzowej córki nie sposób było ani opisać, ani namalować; tak przynajmniej sądził Rudi i dlatego właśnie jej obraz wyrył mu się w sercu; oczy jej promieniały jak jasny płomień, toteż i Rudiego uczucie ogarnęło tak nagle jak pożar.

Najdziwniejsze było to, że młynarzówna, piękna Babeta, nic o tym nie wiedziała. Ona i Rudi nie zamienili ze sobą jeszcze ani jednego słowa.

Młynarz był bogaty i z tego powodu jego córka była nieprzystępna, prawie nieosiągalna. Ale Rudi wierzył, że nie ma takiej wysokości, na którą nie potrafiłby się wdrapać. Trzeba się tylko wspinać, a nie spada ten, kto jest pewien, że cel osiągnie. Taką naukę wyniósł jeszcze z domu.

Zdarzyło się, że Rudi miał interes w Bex. Była to daleka droga, a koleje wówczas nie istniały. Od lodowca rodańskiego, hen u stóp góry Simplon, pomiędzy rozmaitej wielkości szczytami, wije się w dolinie Wallis potężna rzeka Rodan, która wiosną wzbiera i zalewa niszczycielską falą pola i drogi. Pomiedzy miejscowościami Sion i St. Maurice dolina wygina się w łuk, załamuje jak łokieć i za St. Maurice zwęża tak, że mieści się tam tylko łożysko rzeki i wąska szosa u jej brzegów. Stara wieża, wzniesiona jako baszta strzegąca kantonu Wallis, który się tu właśnie kończy, spogląda z urwiska górskiego na kamienny most i gmach celny naprzeciwko; tu rozpoczyna się kanton Vaud, a najbliższa miejscowość nadgraniczna to Bex. Urodzajne te strony, im dalej się idzie, tym piękniej wszystko kwitnie i dojrzewa, jest się jak gdyby w ogrodzie zasadzonym kasztanowymi i orzechowymi drzewami; gdzieniegdzie rosną zwarte cyprysy i granaty; jest tu ciepło jak na południu, ma się wrażenie, że się przyjechało do Włoch.

Rudi dotarł do Bex, załatwił swą sprawę, ale nie spotkał nigdzie nie tylko Babety, lecz nawet

żadnego z młynarczyków. Nie stało się tak, jak sobie pomyślał.

Nadszedł wieczór. Powietrze przepelnione było wonią macierzanki i kwitnących lip; nad zielonymi, lesistymi zboczami gór spoczywał jak gdyby błękitny welon; panowała cisza, ale nie była to cisza snu ani spokój śmierci, było tak, jak gdyby natura powstrzymała oddech i stanęła nieruchomo, pozując do fotografii na błękitnym tle nieba. Tu i ówdzie stały wśród drzew słupy podtrzymujące drut telegraficzny, ciągnęły się przez tę cichą dolinę. Pod jednym z takich słupów czerniło się coś, co można było wziąć za pień drzewa. Był to jednak Rudi; stał cicho jak wszystko, co go otaczało, ale nie spał, a tym bardziej nie był martwy. Jakże często bywa, że przez drut telegraficzny przebiegają ważne zdarzenia światowe czy wypadki niezmiernej wagi życiowej dla poszczególnych osób, a drut ani drzeniem, ani dźwiękiem nie zdradza tego; tak samo przez istotę Rudiego przelatywały potężne myśli o szczęściu jego całego życia, od tej chwili „nie ustające myśli”. Oczy utkwione miał w jednym punkcie błyszczącym pomiędzy liśćmi, w świetelku płonącym w oknie pokoju młynarza, w domu, gdzie przebywała Babetta. Kto spojrzełby w tej chwili na nieruchomo stojącego Rudiego, mógłby pomyśleć, że przyczał się, aby upolować kozicę, ale on sam raczej przypominał kozicę, która potrafi godzinami stać nieruchomo, jak wyrzeźbiona w gładzie, dopóki staczający się kamień nie spłoszy jej do skoku i ucieczki. To samo stało się z Rudim, spłoszyła go myśl.

– Nie należy rezygnować z odwiedzin w młynie – powiedział do siebie. – Dobry wieczór młynarzowi, piękny ukłon dla Babetty? Nie ginie ten, kto wierzy. Babetta musi mnie przecież wreszcie zobaczyć, skoro mam zostać jej mężem.

Rudi roześmiał się; był pełen wiary w siebie. Poszedł do młyna, wiedział, czego chce; chciał Babetty. Wezbrane, żółtobiałe wody rzeki płynęły, a wierzby i lipy zwieszały swe gałęzie nad wodami. Rudi szedł wzdłuż brzegu i stało się jak w starej, dziecięcej piosence:

*A w domu młynarza nikogo nie było,
zamiast gospodarza kocię się kręciło.*

Kot domowy stał na schodach, wyginał grzbiet i mówił: „Miau”, ale Rudi nie zważał na to, co on powiada. Zapukał, nikt nie posłyszał, nikt nie otworzył.

– Miau – powiedział kot. Gdyby Rudi był jeszcze dzieckiem, pojąłby, że to znaczy: „Nikogo nie ma w domu.” Ale nie zrozumiał, więc wszedł do młyna i zapytał. Tam mu odpowiedziano. Młynarz wyjechał daleko, do Interlaken – „*inter lacus*, między jeziorami”, jak to uczenie objaśnił nauczyciel, ojciec Anety; tak daleko pojechał młynarz i zabrał ze sobą Babetę na

uroczyste święto strzelców, które miało się rozpocząć nazajutrz i potrwać cały tydzień i na które zjechali się Szwajcarzy ze wszystkich niemieckich kantonów.

Biedny Rudi! Nie wybrał najodpowiedniejszej pory na podróż do Bex. Teraz nie pozostawało mu już nic innego, tylko wracać do domu. Tak też uczynił; ruszył przez St. Maurice i Sion do swej własnej doliny, do swoich własnych gór. Ale nie rozpaczał. Gdy nazajutrz wzeszło słońce, był znowu w doskonałym humorze, a właściwie nigdy go nie tracił.

– Babeta jest w Interlaken, o parę dni drogi stąd – mówił do siebie. – To daleko, o ile się jedzie szosą, ale o wiele bliżej, gdy się idzie przez góry, a to jest właściwa droga dla strzelca. Znam tę drogę, przebywałem ją już raz. Tam przecież jest mój dawny dom, tam mieszkałem u dziadka, a w Interlaken jest święto strzelców. Będę tam pierwszy i przy Babecie będę pierwszy, niech się tylko z nią poznam!

Włożywszy do lekkiego plecaka swoje odświętne ubranie, ze strzelbą i torbą myśliwską u boku, ruszył Rudi w góry. Droga nie była taka krótka, jak przypuszczał, ale zjazd strzelecki dopiero się rozpoczął, a miał trwać przeszło tydzień. Młynarz z córką przez cały ten czas mieli mieszkać u krewnych w Interlaken. Rudi szedł przez przełęcz Gemmi i miał zamiar schodzić w dół obok Grindelwaldu.

W świeżym, lekkim i ożywczym powietrzu gór szedł Rudi wesół i krzepki naprzód. Dolina schodziła coraz niżej, widnokrąg rozszerzał się coraz bardziej, tu wznosił się jeden wierzchołek śnieżny, tam znowu drugi i po chwili Rudi miał przed oczyma cały alpejski łańcuch. Rudi znał każdy szczyt, szedł prosto na Schreckhorn, który wystrzela w górę swym białym przypudrowanym, kamiennym palcem.

Wreszcie przedostał się przez grzbiet gór. Trawiaste zbocza spływały w dół, ku ojczystej dolinie, powietrze było lekkie i lekko było na duszy; góra i dolina tonęły w kwiatach i zieleni, serce przepelniały młodzieńcze myśli; starość nigdy nie nadchodzi, nie trzeba umierać – żyć, rządzić, używać! Czuł się wolny jak ptak, lekki jak ptak! A jaskółki krążyły wkoło niego i jak w dzieciństwie wołały: „My i wy! My i wy!” Wszystko było lotne i radosne.

Nisko w dole rozciągała się łąka z jej aksamitną zielenią, usiana brunatnymi domkami, wody Lütschiny kipiały i szumiały. Rudi widział lodowiec z jego szkliszczymi krawędziami w przybrukanym śniegu, widział głębokie szczeliny, lodowiec dolny i górny. Dźwięk dzwonów kościelnych dolatywał do niego na górę, jak gdyby chciano powitać go w ojczystym kraju. Serce biło mu mocniej i wezbrało tak, że nie było w nim miejsca dla Babety, tak bardzo przepelnione

było wspomnieniami.

Znowu szedł drogą, przy której niegdyś stał jako malec, sprzedając z innymi dziećmi wycinane z drzewa domki. Tam wysoko za sosnami stał jeszcze dom jego dziadka; mieszkali w nim obcy ludzie. Na drogę wybiegły dzieci, jedno z nich wyciągnęło ku niemu alpejską różę. Rudi Wziął kwiat, uważał to za dobrą wróżbę i pomyślał o Babecie. Wkrótce dotarł już do mostu, gdzie łączą się dwie odnogi Lütschiny, coraz więcej spotykał drzew liściastych; orzechy rozaczały miły cień. I oto ujrzał sztandary, biały krzyż na czerwonym polu: znaki takie, jakie bywają u Szwajcarów i Duńczyków. Przed nim leżało Interlaken.

Rudiemu miasto to wydało się tak piękne jak żadne inne. To szwajcarskie miasto w odświętnej szacie wyglądało inaczej niż wszystkie inne miasta, zbiorowiska przygniatających, kamiennych domów, ciężkich, wykwintnych i obcych. Tutaj ulice robiły wrażenie, jak gdyby drewniane domki, te z góry, zbiegły w zieloną dolinę, spławione szybką jak strzała rzeką, i ustawiły się w rzędy, tworząc miasto. A najpiękniejsza ulica wyrosła od czasu, gdy Rudi bywał tu w dzieciństwie; domki wyglądały jak owe drewniane domeczki, które dziadek po wycięciu z drzewa chował do starej szafy. Urosły, jak wyrosły stare kasztany. Każdy dom był hotelem, jak go nazywano, którego okna i balkony zdobiły wycinanki z drzewa, a dach występował naprzód, domki były przez to piękniejsze. Przed każdym domem znajdował się ogródek kwiatowy, obrócony w stronę szerokiej, wylanej asfaltem szosy; domy stały wzdłuż ulicy tylko po jednej stronie, aby nie zasłaniać widoku pięknej, zielonej, soczystej łąki, na której pasły się krowy pobrzękując dzwoneczkami jak na pastwiskach wysoko w Alpach. Łąka otoczona była wysokimi górami, rozstępowały się one w jednym miejscu, otwierając widok na Jungfrau – „Dziewicę”, najpiękniejszą górę Szwajcarii.

Ileż tu zjechało się strojnych pań i panów z obcych stron, jaki tłum Szwajcarów ze wszystkich kantonów! Strzelcy mieli numery na kapeluszach. Rozbrzmiewała muzyka, rozlegały się dźwięki katarynek, instrumentów dętych, okrzyki i nawoływania. Domy i mosty ozdobiono napisami i emblematami, powiewały z nich flagi i sztandary, co pewien czas rozlegał się huk wiwatowych wystrzałów, które brzmiały dla Rudiego jak najlepsza muzyka. W tym całym zgiełku zapomniał o Babecie, dla której przecież tu przywędrował.

Strzelcy ustawili się rzędem do zawodów, a Rudi wkrótce znalazł się wśród nich. Rudi wciąż przodował, był najzręczniejszy i najszcześniejszy: trafiał za każdym razem w czarny środek.

– Któż to jest ten młody, obcy strzelec? – pytano wokoło. – Mówi po francusku, jak mówią w

kantonie Wallis. Porozumiewa się też doskonale po niemiecku! Podobno jako dziecko mieszkał tu koło Grindelwaldu! – objaśniał ktoś w tłumie.

Chłopak aż kipiał życiem, oczy mu promieniały, a ramię było pewne, dlatego trafiał za każdym razem. Odwaga sprzyja szczęściu, a Rudi był przecież zawsze odważny; wkrótce zyskał tu sobie całą gromadę przyjaciół. Podziwiano go, prawiono mu komplementy i Rudi zapomniał już zupełnie, po co tu przybył; Babeta zniknęła całkiem z jego myśli.

Nagle jakaś silna dłoń uderzyła go po ramieniu i gruby głos męski spytał go po francusku:

– Jesteście z kantonu Wallis?

Rudi obejrzał się i zobaczył czerwoną, roześmianą twarz i tęgą postać. Był to bogaty młynarz z Bex. Zasłaniał sobą szczupłą i delikatną Babetę, ale po chwili już jej ciemne oczy wyjrzały zza jego ramienia. Bogaty młynarz czuł się pochlebiony tym, że strzelec z jego kantonu zwycięża wszystkich zawodników. Rudi był doprawdy dzieckiem szczęścia; to, za czym się aż tu zapędził, samo przyszło do niego w chwili, gdy o tym zapomniał.

Rodacy spotkawszy się daleko od ojczyzny zawierają natychmiast znajomość i rozmawiają ze sobą. Rudi stał się przez swą zręczność pierwszym na uroczystościach strzeleckich, tak jak młynarz był pierwszym ze względu na swoje bogactwo i wspaniały młyn tam w Bex. Ucisnęli więc sobie dłonie, czego nigdy przedtem nie robili, a Babeta ujęła Rudiego serdecznie za rękę, on zaś odwzajemnił jej uścisk. Spojrzał jej przy tym w oczy tak, że się zarumieniła.

Młynarz opowiadał o długiej podróży, którą przebyli, o wielkich miastach, jakie widzieli, była to prawdziwa podróż, jechali statkiem parowym, koleją i dylizansem.

– Ja wybrałem krótszą drogę! – powiedział Rudi. – Przyszedłem tu przez góry; nie ma drogi, której nie można przebyć!

– I nie skreć sobie przy tym karku! – dorzucił młynarz. – Wyglądacie mi na takiego, co w końcu z tą waszą pewnością siebie skreć sobie kark!

– Nie spada ten, kto nie zna lęku! – powiedział Rudi.

Krewni młynarza w Interlaken, u których bawił w gościnie, zaprosili Rudiego, by ich odwiedził, jest przecież z tego samego kantonu co Babeta i jej ojciec. Dogadzało to ogromnie Rudiemu, szczęście sprzyjało mu jak temu, który wie, że Bóg rozdaje nam orzechy, ale ich dla nas nie rozłupuje.

Rudi zasiadł więc, jak w rodzinnym kole, u krewnych młynarza, wzniesiono toast na cześć najlepszego strzelca, Babeta trąciła się z nim kieliszkiem, a Rudi pięknie podziękował za toast.

Wieczorem poszli wszyscy razem piękną drogą obok pięknych hoteli, pod starymi orzechami, a było tam tyle ludzi, taki tłok, że Rudi musiał wziąć Babetę pod ramię. Powiedział, że cieszy się ogromnie ze spotkania z rodakami z Vaud; Vaud i Wallis to dwa zaprzyjaźnione, sąsiedzkie kantony. Wyraził swą radość tak serdecznie, że Babeta uważała za stosowne uścisnąć mu dłoń. Przechadzali się jak starzy znajomi, a Rudi przekonał się, jak bardzo dziewczyna jest urocza i jak jej jest do twarzy, gdy zaśmiewa się z przesadnie wystrojonych obcych dam i ze sposobu, w jaki przechadzają się; nie robiła tego bynajmniej po to, by te panie wykpiwać, nie! Uważała, że są to z pewnością bardzo miłe, dobre osoby; jej chrzestna matka była także wytworną Angielką. Przed osiemnastu laty, gdy Babetę chrzczono, była właśnie w Bex i podarowała jej kosztowną szpilkę, którą nosi na piersi. Dwa razy chrzestna matka pisała do niej, a teraz umówiły się, że spotkają się w Interlaken. Miała tu przybyć ze swymi córkami, starymi pannami, tak pod trzydziestkę – powiedziała Babeta. Sama miała przecież dopiero osiemnaście.

Miłe, maleńkie usteczka nie zamykały się ani na chwilę, a wszystko, co Babeta mówiła, wydawało się Rudiemu słowami ogromnej wagi. On sam znowuż opowiadał jej, co tam miał do opowiadania: ile razy bywał w Bex, jak dobrze znał młyn jej ojca, jak przyglądał się Babecie z daleka, choć ona go nie spostrzegą, i jak ostatnio poszedł do młyna, przepełniony wieloma myślami, o których nic nie może powiedzieć – a tu i ona, i jej ojciec wyjechali, wyjechali daleko, ale nie tak daleko, by nie można było przedostać się przez mur stojący na drodze.

Tak, to wszystko opowiedział, a także, jak bardzo ją lubi... i że dla niej właściwie, a nie dla święta strzelców odbył tę trudną drogę.

Babeta nagle ucichła; zbyt wielki ciężar zwałił się na nią od razu.

A tymczasem słońce zachodziło za skalną ścianą. „Dziewica” stała w blasku i wspaniałości, otoczona zielonym wieńcem zalesionych gór. Wszyscy stawali w milczeniu i patrzyli na piękny widok. Rudi i Babeta oglądali także to majestatyczne widowisko.

– Nigdzie nie może być piękniej niż tutaj! – powiedziała Babeta.

– Nigdzie! – potwierdził Rudi i spojrzał na Babetę. – Jutro muszę wracać! – powiedział po chwili.

– Odwiedź nas w Bex. Ojciec się ucieszy! – szepnęła Babeta.

5. W drodze powrotnej

Ach, ileż Rudi musiał dźwigać, gdy nazajutrz wyruszył z powrotem przez góry do domu. Trzy srebrne puchary, dwie doskonałe strzelby i srebrny imbryczek do kawy, co mogło się przydać na własnym gospodarstwie. Ale nie to było najważniejsze: coś o wiele ważniejszego i potężniejszego niósł ze sobą, a raczej niosło go to coś przez wysokie góry.

Pogoda była marna, niebo szare i deszczowe, chmury zwisały nisko jak welon żałobny i otulały błyszczące szczyty gór. Z głębin lasów dolatywały ostatnie uderzenia siekiery, a ze zboczy spuszczano w dół pnie drzew, które mimo iż były grube, jak maszty okrętowe, wyglądały z góry jak cienkie kije. Lüschina szumiała swą monotonną pieśń, a wiatr pędził chmury po niebie. Nagle u boku Rudiego zjawiała się młoda dziewczyna; spostrzegł ją dopiero, gdy się z nim zrównała; szła tak samo przez góry. Oczy dziewczyny miały dziwną moc, musiało się w nie patrzeć, były przezroczyście jak szkło i niezwykle głębokie, bez dna.

– Czy masz ukochanego? – spytał ją Rudi, gdyż wszystkie myśli jego krążyły koło ukochanej.

– Nie mam nikogo – roześmiała się dziewczyna, ale w głosie jej nie dźwięczała prawda. – Niepotrzebnie obchodzimy naokoło – dodała po chwili. – Idźmy na lewo, tamtędy jest skrót.

– Tak, chyba po to, by wpaść w szczelinę lodową – odpowiedział Rudi. – Nie znasz drogi, chcesz się bawić w przewodnika.

– Znam doskonale drogę i myśli moje są przy mnie, gdy tymczasem twoje są tam, w dolinie – powiedziała. – Tu w górach trzeba myśleć o Dziewicy Lodów, ludzie mówią, że czyha ona na podróżnych.

– Nie boję się jej – rzekł Rudi. – Musiała mnie oddać, kiedy byłem dzieckiem, uda mi się jej wymknąć, gdy jestem dorosły.

Zmrok zapadał, deszcz był coraz gwałtowniejszy, zaczął też padać śnieg, błyszczał, oślepiał.

– Podaj mi rękę, pomogę ci przy wchodzeniu na górę – powiedziała dziewczyna i dotknęła jego dłoni lodowato zimnymi palcami.

– Ty mnie pomagać? – zawołał Rudi. – Dotychczas nie potrzebowałem jeszcze pomocy kobiety, by wspinać się w górę.

I szybko uciekł od nieznajomej; zawieja owinęła go jak płaszczem, wicher gwizdał koło uszu, a za plecami słyszał śmiech i śpiew dziewczyny; brzmiało to, doprawdy, dziwnie. Były to z

pewnością jakieś czary na usługach Dziewicy Lodów. Rudi słyszał o takich wypadkach wtedy, gdy jako chłopiec nocował w górskim szałasie.

Śnieg zaczął padać rzadziej, chmura była pod nim; obejrzał się, nie widział już nikogo, ale słyszał śmiech i nawoływanie, a nie brzmiało to jak głos ludzki.

Gdy wreszcie Rudi dotarł do szczytu góry, do miejsca, z którego ścieżka górską wiedzie już na dół w dolinę Rodanu, gdy spojrzął przed siebie, zobaczył w błękitnym czystym powietrzu, w stronie Chamonix, dwie jasne gwiazdy, mrugające na niebie. Wówczas pomyślał o sobie i Babecie, o swym szczęściu, i zrobiło mu się ciepło na duszy.

6. Odwiedziny w młynie

– Przynosisz do domu prawdziwie pańskie dary – powiedziała stara stryjenka, a jej orle oczy zabłyszczały. Poruszyła chudą szyją jeszcze szybciej niż zwykle, dziwnie nią obracając. – Szczęście ci sprzyja, Rudi. Muszę cię pocałować, mój miły chłopcze.

Więc Rudi pozwolił się ucałować, ale z jego twarzy było widać, że z trudem stara się pogodnie znosić małe przykrości domowe.

– Jakiś ty piękny, Rudi – powiedziała stara.

– Ach, nie wmawiaj mi tego – roześmiał się chłopiec, ale było mu jednak przyjemnie.

– Jeszcze raz powtarzam, że szczęściarz z ciebie – powiedziała opiekunka.

– To prawda – odparł i pomyślał o Babecie.

Jeszcze nigdy nie tęsknił do głębokiej doliny tak bardzo jak w tej chwili.

– Teraz pewno już wrócili do domu – powiedział do siebie. Już dwa dni upłynęły od czasu, który sobie nazaczyli na powrót. Muszę iść do Bex.

Więc Rudi poszedł do Bex, a młynarz był już w domu. Przyjęto go uprzejmie i oddano mu ukłony od rodziny z Interlaken. Babeta mówiła niewiele. Milczała, ale oczy jej były wymowne, a to wystarczało Rudiemu w zupełności. Młynarz, który zwykle sam najczęściej opowiadał i lubił, gdy się śmiano z jego anegdotek i żartów, boć przecież był bogatym młynarzem, wolał teraz słuchać opowiadań Rudiego o polowaniach, trudach i niebezpieczeństwach, na które narażeni są myśliwi goniący kozice wśród skalnych szczytów; o tym, jak się pełza po niepewnych śnieżnych

nawisach, które wiatr i zawierucha przyklejają do skalnych krawędzi, po niepewnych mostach, które lód przerzuca ponad głębokimi przepaściami. Rudi wyglądał zuchwale i oczy mu błyszczały, kiedy opowiadał o myśliwskim życiu, o przemyślności kozic i ich niewiarygodnych skokach, o mocnym wietrze halnym i spadających lawinach; zauważył też doskonale, że każdy nowy opis zdobywał coraz pewniej serce młynarza, a co mu się najbardziej podobało, to opowieść o sępach górskich i o potężnych orłach.

Niedaleko stamtąd w kantonie Wallis znajdowało się orle gniazdo, zręcznie ukryte wśród sterczących w górę skał; w gnieździe tym spoczywa młode orle, do którego nie sposób się dostać. Pewien Anglik ofiarowywał przed paru dniami Rudiemu całą garść złota za przyniesienie żywcem tego orlątka.

– Ale wszystko ma swoje granice – zakończył Rudi. – To orle jest nieosiągalne, byłoby szaleństwem branie się do takiej rzeczy.

Wino płynęło i płynęły słowa, a Rudiemu ten wieczór wydawał się za krótki, mimo że wyszedł z młyna po pierwszej wizycie, kiedy już północ dawno wybiła.

Światelka z okien błyszczały tylko przez chwilę poprzez gałęzie drzew, z otwartego dymnika wylazła kotka domowa, a wzdłuż rynny nadszedł kot kuchenny.

– Słyszałeś o nowości w młynie? – spytała kotka domowa. – Potajemne zaręczyny. Ojciec jeszcze o tym nie wie, ale Rudi i Babeta cały czas pod stołem nadeptywali sobie na łapy. I mnie trącili dwa razy w łapę, ale nie miauknęłam, nie chciałam, by się wydało.

– Ja bym tak nie zrobił – powiedział kot kuchenny.

– Co innego wypada w kuchni, a co innego w pokoju – powiedziała kotka domowa. – Jestem tylko ciekawa, co powie młynarz, gdy dowie się o zaręczynach.

Rudi był również ciekawy, co powie młynarz, i nie mógł już dłużej czekać, dlatego w parę dni potem Rudi siedział w dylizansie, pełen był najweselszych myśli w oczekiwaniu przychyłnej odpowiedzi, którą chciał otrzymać jeszcze tego wieczora.

A gdy nadszedł wieczór i omnibus jechał z powrotem tą samą drogą, a w omnibusie siedział Rudi, po młynie biegała domowa kotka z nowinkami.

– Czy wiesz już, ty z kuchni? – mówiła. – Młynarz wie o wszystkim. Pięknie się skończyło. Rudi przyjechał wieczorem i długo szeptali z Babetą. Stali na korytarzu właśnie przed izbą młynarza. Leżałam u ich stóp, ale nie zwracali na mnie uwagi. „Zaraz pójdę do twojego ojca – powiedział Rudi. – Idę w uczciwej sprawie.” „Czy mam pójść z tobą? Czy doda ci to odwagi?” –

spytała Babeta. „Odwagi mam dość – odpowiedział Rudi – ale w twojej obecności będzie musiał przyjąć to spokojnie, bez względu na to, czy się zgodzi, czy nie.”

I weszli do izby. Rudi nadepnął mi przy tym okropnie na ogon. Straszny z niego niezdara. Zamiauczałam, ale ani on, ani Babeta nie słyszeli. Otworzyli drzwi, wbiegłam przed nimi, ale na wszelki wypadek wskoczyłam na poręcz krzesła. Nie mogłam przewidzieć, jak Rudi będzie szurał nogami. Ale to młynarz szurał teraz nogami, i to porządnie! „Precz za drzwi! Precz w góry do kozic! Możesz sobie celować do kozic, a nie do mojej Babety.”

– A cóż oni na to? – spytał kot z kuchni.

– Oni? Mówili to wszystko, co zwykle mówią oni przy oświadczeniach. „Ona mnie kocha i ja ją kocham.” I jeżeli wystarcza w misie mleka dla jednego, starczy też dla dwojga. „To za wysokie progi dla ciebie – mówił młynarz. – Czy nie wiesz, że ona siedzi na złocie? Nigdy nie zdołasz wspiąć się do niej.”

„Nikt nie siedzi za wysoko, i zawsze można wszędzie sięgnąć, jeżeli się chce” – nie pozostał Rudi dłużny w odpowiedzi.

„A jednak sam mówiłeś, że nie możesz dosięgnąć tego orlątko, a Babeta jest jeszcze wyżej.” „Dosięgnę obojga” – powiedział Rudi. „Dobrze, dam ci ją, gdy mi przyniesiesz żywcem tamto orle” – powiedział młynarz i śmiał się tak, że aż łzy płynęły mu po policzkach. „A teraz dość tych odwiedzin, Rudi. Odwiedź nas jutro, nie zastaniesz nikogo w domu. Żegnaj, Rudi!” I Babeta powiedziała mu także: „Żegnaj”, ale tak żałośnie jak kociak, który nie może odnaleźć matki. „Słowo to słowo, mężczyzna jest mężczyzną – powiedział Rudi. – Nie płacz, Babeto, przyniosę orle.”

„Spodziewam się, że przy tym skreślisz kark, i pozbędziemy się twego natręctwa!” – powiedział młynarz.

– To ci była odprawa! Rudiego już nie ma. Babeta siedzi i płacze, a młynarz śpiewa niemieckie pieśni, których się nauczył w podróży. Ale nie będę się tym martwić, to nic nie pomoże.

– W każdym razie należy zachować pozory – powiedział kot z kuchni.

7. Orle gniazdo

Ze skalnej ścieżki dolatywało wesołe i mocne górskie nawoływanie. Ten, kto wołał, musiał być w doskonałym humorze. To Rudi szedł na poszukiwanie swego przyjaciela Vesinanda.

– Musisz mi pomóc – powiedział. – Weźmiemy jeszcze Ragliego. Musimy wyjąć z gniazda na skale młodego orła.

– Czy nie przyniesiesz raczej czegoś z księżycą? – spytał Vesinand. – To równie łatwo. Jesteś, zdaje się, w doskonałym humorze.

– Tak, bo mam wkrótce wyprawić wesele. Ale żarty na bok. Pomówmy poważnie o moich sprawach.

Vesinand i Ragli wysłuchali opowiadania Rudiego.

– Zuchwały z ciebie chłopak – odpowiedzieli. – To ci się nie uda. Skręcisz kark.

– Nie spada ten, kto nie wierzy w upadek – odrzekł Rudi.

O północy wyruszyli z kijami, drabinkami i linami. Droga prowadziła przez lasy i obsuwające się kamienie pod górę, wciąż pod górę, w ciemną noc. Woda szumiała w dole, woda płynęła w górze, mokre obłoki pędziły w powietrzu. Strzelcy dotarli do stromej ściany skalnej, było tu jeszcze mroczniej, skały stykały się prawie ze sobą, tylko tam w górze przeświecało przez szparę niebo; pod nimi rozciągała się głęboka przepaść, w której huczała woda. W milczeniu zasiedli wszyscy trzej, by doczekać się świtu. Wówczas orzeł wyfruwał z gniazda, trzeba go było zastrzelić, dopiero wtedy można było myśleć o porwaniu orlęcia. Rudi siedział zamyślony i tak nieruchomy, jak gdyby sam był z kamieni, które go otaczały: strzelbę trzymał w ręku gotową do strzału, a wzrok jego spoczywał nieruchomo na krawędzi skalnej, gdzie pod wystającym kamieniem ukryte było orle gniazdo.

Długo czekała trójka strzelców.

Nagle usłyszał nad głowami świszczący i huczący odgłos; jakiś olbrzymi przedmiot zaciemnił powietrze. Dwie strzelby wycelowały w ptaka wyfruwającego z gniazda; padł strzał. Przez krótką chwilę kołysały się jeszcze olbrzymie skrzydła, potem ptak zaczął się powoli opuszczać coraz niżej, zdawało się, że rozpostartymi skrzydłami zasłoni całą szczelinę i pociągnie za sobą strzelców. Orzeł zniknął w głębinie; słychać było trzask gałęzi i krzaków, które łamał po drodze swym ciężarem.

Teraz przystąpiono do roboty. Związano trzy najdłuższe drabinki, w ten sposób miały one dosięgnąć gniazda, potem ustawiono je w najbardziej wysuniętym punkcie na krawędzi przepaści, ale mimo to nie dosięgnęły gniazda. Nad drabinkami wznosiła się jeszcze skała gładka jak ściana. Po krótkiej naradzie postanowili, że lepiej będzie spuścić z góry nad przepaścią dwie związane drabinki i połączyć je z trzema ustawionymi na dole. Z wielkim trudem udało się wciągnąć te dwie drabinki na górę i umocnić tam węzeł. Wreszcie drabinki wisiały w górze, Rudi siedział już na najniższym szczeblu. Był lodowato zimny poranek, mgły unosiły się nad czarną przepaścią. Rudi wyglądał jak mucha na kołyszącej się słonce, zgubionej przez budującego gniazdo ptaka na krawędzi komina; ale mucha może w każdej chwili sfrunąć z chwiejnej słomki, Rudi zaś mógł tylko spaść na złamanie karku. Wicher owiewał go, a w dole, w przepaści, biegły wody strumienia, płynące z lodowca, pałacu Dziewicy Lodów.

Rudi rozbijał drabinę, tak jak to czyni pająk, który zamierza coś schwytać ze swej długiej, niepewnej nici, i kiedy po raz czwarty dotknął wierzchołka związanych drabinek, udało mu się je schwycić, związać pewną i doświadczoną dłonią, choć wciąż jeszcze kołysały się w obie strony jak na luźnych zawiasach.

Pięć związanych drabinek zdawało się kołyszącą trzcina opartą o ścianę. Ale teraz przyszło największe niebezpieczeństwo; trzeba było wdrapać się na nie, jak to czynią koty. Rudi umiał się wspinać, nauczył się przecież tego właśnie od kota, nie czuł Zawrotu, który szedł w ślad za nim i wyciągał ku niemu swe ramiona polipa. Teraz znajdował się na najwyższym szczeblu drabiny, ale spostrzegł, że jeszcze spory kawałek pozostaje mu, aby mógł zajrzeć do gniazda: zaledwie sięgnął doń dłonią. Wymacał więc, czy grube gałęzie, z których splecione było dno gniazda, trzymają się mocno, schwycił się jednej z nich, podciągnął w górę i oto nachylił się już nad gniazdem. Ale nagle uderzył mu w twarz dławiący zaduch padliny: leżały tu bowiem, rozdarte na strzępy i gnijące kozice, jagnięta i ptactwo. Zawrót, który nie mógł go sięgnąć, dmuchał mu w twarz jadowitym tchem, aby go przyprawić o utratę przytomności; a tam w dole, w czerni przepaścistej wody, siedziała sama Dziewica Lodów, o długich, białozielonych włosach, patrzyła na niego śmiercionośnymi oczyma, podobnymi do dwóch wylotów luf.

„Teraz cię schwycę.”

W kącie gniazda ujrzał Rudi olbrzymie pisklę orła, nie umiejące jeszcze fruwać. Rudi utkwiał wzrok w ptaku, opierał się z całych sił na jednej ręce, a drugą ręką zarzucił pisklęciu pętlę na szyję, schwytał go żywcem: nogi ptaka uwięzły w pętli sznura. Rudi zarzucił sobie ptaka na

plecy, tak że piskłę wisało porządny kawałek niżej od niego, podczas kiedy on spuszczał się na przywiązanej pomocniczej linie, aż dopóki nie wypróbował nogami, gdzie znajduje się najwyższy szczebel drabiny.

„Trzymaj się mocno! Nie wierz, że spadniesz, a wtedy na pewno nic ci się nie stanie!” Taka była stara nauka, słuchał jej wiernie. Wierzył, że nic mu się nie stanie, i nie spadł.

Rozległo się mocne, górskie, radosne nawoływanie, Rudi zjawił się na bezpiecznej skale z młodym orłem w dłoni.

8. Co opowiadała kotka domowa

– Macie, czego chcieliście – powiedział Rudi wchodząc do młynarza w Bex i stawiając na podłodze duży koszyk, zakryty tak, że wyzierały zeń tylko oczy żółte o czarnych obwódkach, iskrzące się, tak dzikie, że zdawało się, palą i pożerają wszystko, na co spojrzały; krótki, mocny dziób był rozwarty, gotów gryźć, a szyja była czerwona i pokryta puszkami.

– Młody orzeł! – zawołał młynarz. Babetka wydała okrzyk, nie mogła oderwać oczu to od tego orła, to od Rudiego.

– Nie dajesz się odstraszyć! – powiedział młynarz.

– A wy dotrzymujecie zawsze słowa, to wasza znana cecha! – rzekł Rudi.

– Ale czemuż to nie skrzyłeś karku? – spytał młynarz.

– Bom się doskonale trzymał! – odparł Rudi. – A teraz robię to samo, trzymam mocno Babetę.

– Najpierw przekonaj się, czy ją masz! – rzekł młynarz i roześmiał się. Był to dobry znak, Babetka o tym wiedziała. – Trzeba wyjąć orła z koszyka. To niedobrze, że tak na nas patrzy. Jak go zdobyłeś?

Rudi opowiedział wszystko, a młynarz otwierał oczy coraz szerzej i szerzej.

– Przy twojej odwadze i szczęściu możesz wyżywić trzy żony! – powiedział młynarz.

– Dziękuję! – odparł Rudi.

– Ale Babetka jeszcze nie jest twoja! – rzekł młynarz i żartobliwie poklepał Rudiego po ramieniu.

– Wiesz, co nowego w młynie? – pytała kotka domowa kota z kuchni. – Rudi przyniósł nam orlę i w zamian dostaje Babetę. Pocałowali się przy starym. To przecież oznacza zaręczyny. Stary nie szurał nogami, wciągnął pazury i uciał sobie poobiednią drzemkę, a oni siedzieli i czulili się; mają sobie tyle do opowiadania, że nie zdążą do Bożego Narodzenia!

I rzeczywiście, nie zdążyli do Bożego Narodzenia. Wicher pędził przed sobą zeschłe liście, śnieg piętrzył się w dolinach i na szczytach gór. Dziewica Lodów siedziała w swym dumnym zamku, który w zimie się rozrastał; ściany skalne pokryte były gładkim lodem, a tam, gdzie latem szumi wesoło wodospad, zwieszały się sople ciężkie jak żelazo; na przysypanych śniegiem sosnach lśniły girlandy fantastycznych kryształów szronu: Dziewica Lodów pędziła na wicherze poprzez najgłębsze doliny. Kobierzec śniegu rozciągał się aż do Bex i Dziewica Lodów mogła tam dotrzeć i widzieć Rudiego siedzącego w młynie. Tej zimy przepędził więcej czasu w domu, siedział przy Babecie. W lecie miał się odbyć ślub. Rudi często słyszał, jak mu dzwoni w uszach, tyle o tym mówili jego przyjaciele. W młynie świeciło słońce, kwitła najpiękniejsza róża alpejska, wesoła, roześmiana Babetka, piękna jak wiosna, która zmusza wszystkie ptaszki do śpiewania o lecie, o weselu.

– Jak też tych dwoje może tak ciągle siedzieć przytulonych do siebie! – powiedziała kotka domowa. – Nudzi mnie to ich miauczenie!

9. Dziewica Lodów

Wiosną rozwinęła swą soczystą zieloną girlandę orzechowych i kasztanowych drzew od mostu koło St. Maurice aż po gładką tafnię Jeziora Genewskiego, wzdłuż Rodanu, który z gwałtowną siłą płynął od swoich zielonych, lodowcowych źródeł; tam ma swój pałac Dziewica Lodów, stąd daje się wynosić na grzbiecie wichury na najwyższe śnieżne szczyty i położywszy się w słońcu na śniegu, spogląda tęsknie w doliny, gdzie ruchliwi ludzie poruszają się jak mrówki na oświetlonym słońcem kamieniu.

– Wy, siły ducha, jak was nazywają córki słońca – mówiła – jesteście tylko nędznym robactwem, wystarczy jedna śnieżna lawina, a wy, wasze domy i miasta obrócicie się w proch!

Podniosła wyżej dumną głowę, i patrzała śmiercionośnymi oczyma daleko wokoło i głęboko

w dół.

Ale z doliny dolatywały huki i trzaski – wysadzano tam skały, odgłosy ludzkiej pracy – zakładano tam drogi, budowano tunele dla kolei żelaznej.

– Udają krety! – powiedziała. Ryją korytarze w ziemi, stąd pochodzą te odgłosy podobne do wystrzałów. Kiedy ja przenoszę na inne miejsce moje pałace, rozlega się huk potężniejszy od gromów!

Z doliny podniósł się dym, ciągnął się w powietrzu jak powiewny welon, ruchomy pióropusz, pochodził z lokomotywy ciągnącej węża, którego giętkie ciało to wagon przy wagonie. Pędził szybko jak strzała.

– Bawią się we władców te siły ducha – powiedziała Dziewica Lodów. – A przecież siły przyrody będą zawsze potężniejsze! A potem śmiała się i śpiewała, aż zagrzmiało tam w dole.

– Lawina poleciała! – mówili ludzie w dolinie.

Ale córy słońca śpiewały jeszcze głośniejsze o myślach ludzkich, które panują, ujarzmiają morza, które przenoszą góry, wypełniają doliny, o myślach człowieka, które władają siłami przyrody.

O tej samej godzinie przez śnieżne pola, na których siedziała Dziewica Lodów, szło towarzystwo turystów. Związali się razem liną po to, by stanowić jakby jedno wielkie ciało na gładkiej powierzchni lodowej skorupy, nad brzegiem przepaści.

– Robaki! – zawołała. – Wy chcecie być panami natury? Odwróciła się od nich i patrzyła drwiąco w dolinę, w której pędził pociąg.

– Oto tam są te myśli. Są w mocy sił przyrody. Widzę je wszystkie. Jeden z ludzi siedzi na uboczu jak król, inni stłoczeni razem, inni znowu śpią. A gdy parowy potwór zatrzymuje się, wysiadają i idą każde w swoją stronę. I myśli idą z nimi w świat.

I roześmiała się. A ludzie w dolinie mówili:

– Znowu lawina!

– Nas nie dosięgnie! – powiedziała para siedząca we wnętrzu smoka-pociągu i stanowiąca, jak to powiadają, dwie dusze, a jedną myśl. Byli, to Rudi i Babeta, a z nimi był młynarz.

– Jadę w charakterze bagażu – mówił – jako niezbędny pakunek!

– Oto siedzi tych dwoje! – mówiła Dziewica Lodów. – Ileż to zdruzgotałam kozic, ile milionów róż alpejskich połamałam wyrwawszy je z korzeniami. I z tymi dam sobie radę! Myśli! Siły ducha!

I roześmiała się.

– Znowu lawina! – mówili ludzie w dolinie.

10. Chrzestna matka

W Montreux, jednym z najbliższych położonych miast, stanowiących wraz z Clarens, Vernex i Crin łańcuch, który otacza północno-wschodnie wybrzeże Jeziora Genewskiego, mieszkała chrzestna matka Babety, bogata arystokratka angielska, ze swoimi córkami oraz z młodym krewnym; przybyli dopiero niedawno: ale młynarz zdążył ją już odwiedzić i opowiedzieć o zaręczynach Babety, o Rudim, o orlęciu, o tryumfach w Interlaken, słowem, o wszystkim. Chrzestnej matce ogromnie spodobało bało się to opowiadanie, zainteresowała się bardzo Rudim i Babetą, i młynarzem również.

Wszyscy troje mieli się z nią spotkać, Babetę miała ujrzeć matkę chrzestną, a matka chrzestna Babetę.

Na krańcu Jeziora Genewskiego, obok miasteczka Villeneuve znajdowała się przystań parowców, które w pół godziny docierały do Vernex u stóp Montreux. Jest to okolica opiewana przez poetów. Tutaj, w cieniu drzew orzechowych, nad brzegiem lazurowego jeziora siedział Byron i pisał swój melodyjny dramat o więźniu zamkniętym w ponurym zamku skalnym Chillon. A tam gdzie Clarens odbija swe wierzby w wodach, wędrował Rousseau marząc o Heloizie. Rodan płynie pod wysokimi ośnieżonymi górami Sabaudii; tutaj niedaleko miejsca, gdzie rzeka wpada do jeziora, leży mała wysepka; jest tak maleńka, że z brzegu wygląda jak statek. Jest to skalny szczyt, przed stu laty otoczony kamiennymi groblami przez pewną damę, która zasadziła tam też trzy akacje. Teraz akacje ocieniają całą wyspę. Babetą była zachwycona tym miejscem, uważała je za najpiękniejsze z całej podróży. Tak bardzo chciała się przeprowić na tę wysepkę, tam musi być pięknie! Ale parowiec przejechał obok i zawinął w oznaczonym terminie do Vernex.

Stąd powędrowali przyjezdni pomiędzy białymi, rozświetlonymi murami otaczającymi sady i winnice górskiego miasteczka Montreux; drzewa figowe ocieniały domy wieśniaków, a laury i cyprysy rosły po ogrodach. W połowie drogi prowadzącej pod górę znajdował się

pensjonat, w którym mieszkała chrzestna matka.

Przyjęcie było ogromnie serdeczne. Chrzestna matka była to tęga, miła kobieta o okrągłej, roześmianej twarzy. Jako dziecko musiała wyglądać jak cherubinki Rafaela, teraz zaś była już starym cherubinem z koroną siwych loków naokoło twarzy. Córki były to piękne, smukłe i zgrabne dziewczęta. Młody kuzyn, który im towarzyszył, był ubrany od stóp do głów biało, miał rude włosy i złocistorude bokobrody tak wielkie, że starczyłyby dla trzech dżentelmenów. Zaczął od razu wyraźnie nadskakiwać Babecie.

Na dużym stole leżały pięknie oprawne książki, nuty i rysunki, drzwi balkonowe były otwarte i widać było przez nie piękne, szeroko rozlane jezioro, tak lśniące, że góry Sabaudii, ich małe miasteczka, lasy i śnieżne szczyty przeglądały się w wodzie jak w zwierciadle, do góry nogami.

Rudi, zwykle taki śmiały, wesoły i swobodny, czuł się tu nieswojo, poruszał się na gładkiej posadzce, jak gdyby stapał po grochu.

Jakże powoli i nudno upływał mu czas! Miał uczucie, że wprzągnął się do kieratu. Teraz zaproponowano przechadzkę. Jakże powoli się posuwali. Rudi musiał robić dwa kroki naprzód i jeden w tył, by im dotrzymać kroku. Udali się do Chillonu, ponurego i starego zamku położonego na skalnej wyspie, aby obejrzeć pręgierz, ciemne lochy, zardzewiałe łańcuchy w murze, kamienne prycze dla skazańców i straszliwe pułapki, za pomocą których strącano nieszczęśliwych do podziemi, na żelazne pale, rozpalone do czerwoności. I takie zwiedzanie uważali za przyjemność. Były to miejsca straceń, które Byron wzniosł do wyżyn poezji. Rudi widział tu tylko więzienie. Wychylił się przez wielkie, kamienne okno i patrzył w głębie lazurowozielonych wód i dalej na małą wysepkę z trzema akacjami, tam pragnął się znaleźć, z dala od tego całego rozgadane go towarzystwa. Ale Babeta była w doskonałym humorze. Powiedziała potem, że bawiła się wyśmienicie i że uważa kuzyna za zupełnie miłego.

– Zupełny głupiec – powiedział Rudi i po raz pierwszy Babecie nie spodobało się coś, co powiedział Rudi. Anglik podarował jej na pamiątkę książeczkę o Chillonie. poemat Byrona Więzień Chillonu, przetłumaczony na francuski, aby Babeta mogła przeczytać.

– Książka może być dobra! – powiedział Rudi. – Ale ten wyfryzowany elegant, który ci ją ofiarował, nie jest bynajmniej w moim guście!

– Wygląda jak wór od mąki bez mąki! – powiedział młynarz i roześmiał się z własnego dowcipu. Rudi wtórował mu i powiedział, że to słuszne porównanie.

11. Kuzyn

Gdy w parę dni potem Rudi przyszedł w odwiedziny do młyna, zastał tam młodego Anglika; Babeta częstowała go właśnie gotowanymi pstrągami, które własnoręcznie przybrała pietruszką, by smaczniej wyglądały. To było całkiem zbyteczne. Czegóż chciał tu ten Anglik? Czego tu szukał? Dlaczego Babeta go częstowała i usługiwała mu? Rudi był zazdrosny i to bawiło Babetę; sprawiało jej przyjemność poznawanie wszystkich stron jego serca, zarówno silnych, jak słabych. Miłość była dla niej jeszcze igraszką; igrała sercem Rudiego, a mimo to był on dla niej szczęściem jej życia, jej jedyną myślą, najlepszym i najpiękniejszym, co miała na świecie. Ale im bardziej posepniał, tym więcej śmiały się jej oczy; po prostu miała ochotę pocałować Anglika z rudymi bokobrodami po to, by wprawić we wściekłość Rudiego i patrzeć, jak ze złością od niej ucieka; bo to by dowodziło, jak bardzo ją kocha. Babeta nie miała racji, postępowała niemądrze, ale miała dopiero dziewiętnaście lat. Nie zastanawiała się nad tym, że jej zachowanie względem młodego Anglika może być przez niego całkiem inaczej pojęte i że to nie wypada młodej, uczciwej córce młynarza, świeżo zaręczonej.

Tam gdzie szosa wiodąca do Bex przechodzi pod śnieżnymi skałami, które w miejscowej gwarze nazywają się Diablerets, nie opodal od młyna przepływa rwący potok górski, białosiwy jak piana mydlana. Nie on jednak obraca koło młyńskie, czyni to niewielki strumień, spadający ze skały i przepływający przez kamienną tamę, która potęguje jego siłę i sprawia, że po przebyciu zamkniętego wśród drewnianych belek basenu, może poruszać olbrzymie koło młyńskie. Struga była tak obfita w wodę, że aż przelewała się poza brzegi i tworzyła wilgotną ścieżkę, którą można było skrócić sobie drogę do młyna. Na taką myśl wpadł właśnie młody Anglik, biało ubrany jak młynarczyk; pewnego wieczora wspinał się on ścieżką pod górę, idąc za światłem padającym z okna pokoju Babety. Nie potrafił wdrapywać się pod górę, wpadłby więc z łatwością do strumienia, ale na szczęście skończyło się tylko na obryzgnięciu spodni i przemoczeniu rękawów; mokry i zabłocony, dostał się wreszcie pod okno Babety, wdrapał się na lipę i udawał głos sowy; innego ptaka nie umiał bowiem naśladować. Babeta usłyszała to i wyjrzała przez cieniutkie firaneczki. Kiedy jednak zobaczyła biało ubranego mężczyznę i poznała, kto to jest, serduszko jej zabiło mocno z lęku, jak i z gniewu. Szybko zgasła światło,

upewniła się, że okna są zaryglowane i nie zwracała uwagi na jego okrzyki i pohukiwania.

Byłoby to straszne, gdyby Rudi znajdował się właśnie we młynie. Ale Rudiego nie było we młynie, nie, stało się znacznie gorzej, Rudi stał pod drzewem. Padły głośnie, gniewne słowa, rozgorzała kłótnia; mogło dojść do walki, a nawet do krwawej rozprawy.

Babeta, pełna lęku, otworzyła okno, zawołała Rudiego po imieniu, błagała go, by poszedł, mówiła, że nie może znieść tego, że tu stoi.

– Nie możesz znieść, że tu stoję! – krzyknął. – A więc to umówiona schadzka? Przyjmujesz tu, jak widzę, lepszych niż ja przyjaciół. Wstydź się, Babeto!

– Jesteś obrzydliwy, nienawidzę cię – odparła Babeta i wybuchnęła płaczem. – Idź, idź!

– Na to nie zasłużyłem – powiedział i poszedł. Policzki płonęły jak w ogniu, serce paliło jak ogień.

Babeta rzuciła się szlochając na łóżko:

– Ach, Rudi, tak serdecznie cię kocham! A ty tak źle o mnie myślisz. Była zła, bardzo zła na niego i to było jej szczęściem; inaczej musiałaby być bardzo smutna. Teraz mogła zasnąć i spać krzepkim snem młodości.

12. Złe moce

Rudi uciekł z Bex drogą do domu, a potem pobiegł w góry, gdzie świeże, orzeźwiające powietrze, gdzie śnieg leży, gdzie rządzi Dziewica Lodów. Zarośla drzew w dole wyglądały jak zagony kartofli, sosny i kosówki stawały się coraz niższe, a róże alpejskie kwitły na śniegu, który leżał płatami jak bielone płótno. Kwitła tu też błękitna gencjana, ale Rudi zmiażdżył ją uderzeniem kolby.

Wyżej na skale ukazały się dwie kozice. Oczy Rudiego zabłysły, myśli przybrały inny bieg; ale jeszcze był od nich za daleko, aby oddać celny strzał; wspiał się wyżej, gdzie między skałami rosły tylko twarde kępki trawy. Kozice posuwały się powoli po śnieżnej płaszczyźnie, strzelec przyśpieszył kroku; mgliste obłoki zamykały się wokół jego postaci i nagle znalazł się przed skalną ścianą. Zaczął padać deszcz.

Rudi czuł palące pragnienie, żar w głowie i zimno w całym ciele; sięgnął do manierki, ale

była pusta; nie pomyślał o tym, aby ją napęłnić, gdy nagle biegł w góry. Nigdy jeszcze nie chorował, ale teraz miał uczucie, jak gdyby ogarniała go nagła niemoc. Był zmęczony i poczuł nieprzewycięzoną ochotę, by rzucić się na ziemię i zasnąć, ale był przemoczony do suchej nitki; chciał się opanować, ale przedmioty dziwnie skakały mu przed oczyma i nagle ujrzał coś, czego nigdy w tym miejscu nie widział; na skale wznosił się nowiutki, niski dom, a w drzwiach stała młoda dziewczyna. W pierwszej chwili myślał, że to córka nauczyciela, Aneta, którą kiedyś pocałował w tańcu, ale zaraz poznał, że to nie ona. Mimo to dziewczyna wydała mu się znajoma, może była to ta sama, którą spotkał w górach, kiedy wracał z uroczystości w Interlaken.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytał.

– Jestem tu u siebie w domu – odparła dziewczyna – strzegę mojej trzody.

– Twojej trzody? Ależ gdzie ona się pasie? Tu sam śnieg i skały.

– Cóż ty wiesz? – roześmiała się dziewczyna. – Tuż za tą skałą, trochę niżej, jest piękna, zielona łąka. Tam pasą się moje kozy. Dobrze ich pilnuję. Ani jedna mi nie zginie. Co moje, to moje!

– Zuchwała jesteś – powiedział Rudi.

– I ty także – odrzekła dziewczyna.

– Jeżeli masz mleko, to daj mi trochę. Pić mi się chce niemożliwie.

– Mam tu coś lepszego niż mleko – odparła dziewczyna – dam ci to. Wczoraj byli tu podróżni z przewodnikiem i zapomnieli pół butelki wina, jakiego z pewnością jeszcze nie piłeś. Nie wróć już po to wino, ja go nie piję, więc ty je wypij.

Przyniosła wino, nalała je do drewnianej czarki i podała Rudiemu.

– Dobrze – powiedział. – Nigdy nie piłem tak gorącego i mocnego trunku. – Oczy mu zabłyśły, napełniło go nowe życie, żar wlał mu się w żyły, jak gdyby cała troska i cały smutek nagle uciekły. Odezwała się w nim żywa, młoda natura.

– To jednak Aneta, córka nauczyciela! – zawołał. – Pocałuj mnie...

– Dobrze, ale daj mi ten śliczny pierścień, który masz na palcu.

– Mój pierścionek zaręczynowy!

– Tak, właśnie ten – powiedziała dziewczyna i na nowo napełniwszy, czarkę winem przytknęła mu ją do warg. Wypił. Wtedy radość życia przeniknęła go na wskroś, zdawało mu się, że cały świat do niego należy. Po cóż się dręczyć? Wszystko stworzone jest po to, by się radować, używać. Prąd życia jest prądem radości, a gdy się człowiek daje przez ten prąd porwać,

jest szczęśliwy. Spojrzał na dziewczynę. Była to Aneta, ale i nie Aneta; nie była to też zjawa, jak nazywał w myślach nieznaną spotkaną koło Grindelwaldu. Dziewczyna w górach była świeża jak śnieg, co spadł przed chwilą, różowa jak alpejska różyczka, leciutka jak kozłatko, a jednak z zebra Adamowego, człowiek z krwi i kości, jak on sam. Objął ją ramieniem, zajrzał w jej dziwne, zimne oczy; tylko sekundę trwało to spojrzenie, ale w tym jednym mgnieniu napełniło go uczucie, o którym nie wiedział, czy jest duchem życia, czy śmierci. Czy podniosło go coś w górę, czy też zepchnęło głęboko, na dno lodowej, morderczej przepaści. Spadał coraz głębiej. Widział wokół siebie zielonkawe ściany lodowe jak zielonkawe szkło; nieskończone przepaści otwierały swe głębiny, woda tryskała, dzwoniła jak dzwonki i rozbijała się jak jasne perły, błyszczała jak niebieskie płomienie. Dziewica Lodów ucałowała go, a pocałunek ten przeniknął mu przez stos pacierzowy aż do mózgu; wydał okrzyk bólu, wyrwał się, zachwiał i upadł; przed oczyma miał czarną noc, ale otworzył je szybko na nowo. Złe moce wygrały grę.

Zniknęła dziewczyna, zniknęła ukryta chata, woda spływała po nagiej ścianie skalnej, śnieg piętrzył się wokoło; Rudi drżał z zimna, przemoczony do nitki, nie miał pierścionka, zniknął jego zaręczynowy pierścień, który dostał od Babety. Strzelba leżała obok niego na śniegu. Podniósł ją, chciał wystrzelić, odmówiła posłuszeństwa. Wilgotne obłoki jak gęste masy śniegu kłębiły się w szczelinie, siedział tam Zawrót i czekał na swą bezsilną ofiarę; a w dole huczało coś w przepaści, jak gdyby zwała się skalna ściana porywając z sobą wszystko, co napotkała po drodze.

A w młynie siedziała Babeta i płakała; Rudi nie zjawiał się już od sześciu dni. On, który wyrządził jej krzywdę i powinien był prosić o przebaczenie, gdyż kochała go całym sercem.

13. U młynarza

– Jakież ci ludzie robią głupstwa – mówiła kotka pokojowa do kota z kuchni. – Rudi i Babeta znów zerwali ze sobą. Ona płacze, a on zapewne już o niej nie myśli.

– Nie podoba mi się to wcale – odparł kot z kuchni.

– Ani mnie – odrzekła kotka pokojowa. – Ale nie biorę sobie tego zbyt do serca. Babeta może się przecież zaręczyć z rudowłosym. Chociaż i on nie zjawiał się tu od owego wieczora,

kiedy chciał wleźć na dach.

Złe moce czyhają na nas na zewnątrz i wewnątrz nas. Doświadczył tego na sobie Rudi i wiele o tym rozmyślał. Co się z nim działo wówczas, gdy był wysoko w górach? Czy były to duchy? Czy gorączkowe zjawy? Dotychczas nie znał choroby ani gorączki. Gdy sądził Babetę, zajrzał do wnętrza własnej duszy. Myślał o dzikiej gonitwie w jego sercu i o wicherze, który wstrząsał jego istotą. Czy mógł wyznać Babecie wszystko, każdą myśl swoją, która go opętała w owej godzinie pokusy? Zgubił jej pierścioneł, ale właśnie przez tę zgubę odzyskała go na nowo. Czy ona zechce mu się wypowiedać? Zdawało mu się, że serce pęka mu w piersi, gdy o niej myślał. Odżywało w nim tyle wspomnień. Widział ją przed sobą roześmianą i rozbawioną jak kapryśne dziecko. Każde ciepłe słowo, które do niego w radości swego serca mówiła rozjaśniało jego istotę jak promień słońca i wkrótce już był pełen słońca i myśli o Babecie.

Musieli się wzajemnie wypowiedać.

Przyszedł do młyna i zaczęły się wyznania. Rozpoczęła od pocałunku, a po wszystkim oświadczyła, że to Rudi jest grzesznikiem, a największą jego winą jest, że mógł wątpić o Babecie, o jej wierności, i to było szkaradne z jego strony. Taka niewiara i taka gwałtowność mogła sprawić wiele nieszczęścia. I dlatego Babeta wygłosiła Rudiemu małe kazanie, które ubawiło ją samą szczerze i z którym było jej ogromnie do twarzy. Jedno tylko przyznała Rudiemu. Miał rację: kuzyn chrzestnej matki był durniem. Chciała nawet spalić książkę, którą dostała od niego w podarunku i nie mieć u siebie nic, co by go przypominało.

– Wszystko się dobrze skończyło – powiedziała kotka pokojowa. – Rudi wrócił, porozumieli się i mówią, że to największe szczęście!

– Tej nocy słyszałem, jak szczury rozmawiały, że największym szczęściem jest pożerać świece łożowe i mieć pod dostatkiem zjełczałej słoniny – powiedział kot z kuchni. – Nie wiem teraz, komu należy wierzyć: szczurom czy zakochanym?

– Ani jednym, ani drugim. To najpewniejsze – rzekła kotka pokojowa.

Największe szczęście Rudiego i Babety wschodziło jak słońce, zbliżał się dla nich dzień radosny, jak to zazwyczaj nazywają, dzień wesela.

Ale ślub nie miał się odbyć w małym kościółku w Bex, a wesele nie miało być wyprawione w domu młynarza. Chrzestna matka życzyła sobie, by młodzi pobrali się w ślicznej kapliczce w Montreux, a ona miała im wyprawić u siebie w domu wesele. Młynarz nalegał koniecznie, by poddać się woli chrzestnej. On jeden wiedział, jaki ona przygotowuje prezent ślubny, i uważał,

że warto dlatego być jej posłusznym. Ustalono dzień. Już poprzedniego wieczoru mieli udać się do Villeneuve, by nazajutrz rano popłynąć statkiem do Montreux. Córki chrzestnej matki miały ubierać Babetę do ślubu.

– Chyba tu w domu będziemy mieli potem jeszcze jakąś uroczystość – powiedziała kotka pokojowa. – Inaczej ta cała historia nie byłaby warta jednego mego miauknięcia.

– Będzie, będzie tu uroczystość – powiedział kot z kuchni. – Kaczki są już zarżnięte, gołębiom ukręcono główki, a na ścianie wisi cała sarna. Ślinka mi idzie do ust, gdy na to patrzę! Jutro wyjeżdżają na ślub.

Tak, jutro. Tego wieczora Rudi i Babeta siedzieli w młynie jako para narzeczonych po raz ostatni.

Na dworze żarzyły się Alpy, dzwony wieczorne były, a córki słońca śpiewały:

„Niech im się dobrze dzieje!”

14. Nocne widziadła

Słońce zaszło, obłoki zniżyły się do doliny Rodanu i pomiędzy wysokimi górami wiatr wiał z południa, afrykański wiatr przeleciał przez wysokie Alpy, wiatr halny, który rozdzierał obłoki. A gdy wiatr ustał, przez chwilę panowała zupełna cisza; poszarpane obłoki wisiały w fantastycznych kształtach pomiędzy zalesionymi górami, hen, ponad prądem Rodanu. Zwieszały się one w postaci zwierząt przedpotopowych, orłów kołyszących się w powietrzu, żab wyskakujących z bagniska; płynęły po niej, a trwały jednocześnie w powietrzu. Rzeka niosła sosnę wyrwaną z korzeniami, woda tworzyła olbrzymie wiry, które kręciły się za prądem; czaił się tam Zawrót w licznych postaciach i kręcił się kółkami po rwącej naprzód wodzie. Księżyc oświetlał śnieg, szczyty gór, ciemne lasy i białe, dziwaczne obłoki, zjawy senne, duchy sił natury. Wieśniak, mieszkaniec gór, spoglądał na nie przez okno; płynęły gromadnie, uciekając przed Dziewicą Lodów. A ona wyjrzała ze swego lodowcowego pałacu, usiadła na kruchej łodzi, na wyrwanej z korzeniami sośnie, i woda lodowców niosła ją w dół rzeki, aż ku otwartemu morzu.

– Goście jadą na wesele! – wyło i grało w powietrzu i na wodzie. Mary w górze, mary w dole.

A Babecie śnił się dziwny sen.

Zdawało jej się, że była już żoną Rudiego, i to od wielu lat. Rudi był na polowaniu na kozice, a ona została w domu; obok niej siedział młody Anglik z rudymi bokobrodami. Oczy jego były takie gorące, słowa jego miały taką czarodziejską moc, podał jej dłoń, a ona musiała iść za nim. Wyszli z domu i szli w dół, ciągle w dół.

Babeta miała uczucie, jak gdyby na jej piersi padł jakiś okropny ciężar, który uciskał ją coraz bardziej. Był to grzech przeciwko Rudiemu, grzech przeciwko Bogu; nagle znalazła się w zupełnym opuszczeniu, suknie jej były poszarpane przez ciernie, włosy posiwiały, pogrążona w swym bólu, spojrzała ku górze i nagle zobaczyła Rudiego na skraju skały. Wyciągnęła ku niemu ramiona, ale nie odważyła się krzyknąć ani wołać, zresztą to również nic by nie pomogło, bo gdy się zbliżyła, ujrzała, że to nie był wcale Rudi, tylko jego kurtka myśliwska i kapelusz zawieszony na kijku, który często ustawiają strzelcy, by oszukać kozice. I w bezgranicznej rozpaczce Babeta modliła się: „Ach, gdybym była umarła w najszcześniejszym dniu mego życia, dniu mego wesela. Wielki Boże, to byłaby łaska, to byłoby niewypowiedziane szczęście. Byłoby to najlepsze, co mogłoby się przytrafić mnie i Rudiemu. Nikt nie zna swej przyszłości.” I gnana straszną, bezbożną rozpaczą rzuciła się w głęboką przepaść. Wówczas pękła struna, rozległ się żalony dźwięk.

Babeta obudziła się. Sen zniknął i zatarł się w jej pamięci. Pamiętała tylko, że śniła o czymś okropnym, że śnił się jej także młody Anglik. Nie widziała go już od kilku miesięcy, nie myślała o nim. Czy jest w Montreux?

Czy też będzie na jej ślubie? Cień przemknął po jej delikatnej twarzy. Brwi ściągnęły się, ale już po chwili uśmiech powrócił, a oczy rozblęły. Przecież na dworze świeciło słońce, a jutro jej ślub z Rudim!

Rudi był już w izbie, gdy zeszła na dół, i zaraz pojechali do Villeneuve. Byli oboje tak bardzo szczęśliwi, młynarz także śmiał się i promieniał najlepszym humorem. Był dobrym ojcem i poczciwym człowiekiem.

– Teraz my zostajemy na gospodarstwie – powiedziała kotka pokojowa.

15. Zakończenie

Wieczór jeszcze nie zapadł, rozweselona trójka przybyła do Villeneuve i zjadła tam wieczerę. Młynarz zasiadł z fajką w fotelu i uciał sobie drzemkę. Młoda para wyszła z miasteczka, trzymając się pod ręce, i poszła drogą pod skałami, porośniętymi krzewami, nad brzegiem błękitnozielonego, głębokiego jeziora. Ponury zamek Chillonu odbijał swe szare mury i grube wieże w jasnej wodzie; mała wysepka z trzema akacjami była jeszcze bliżej, wyglądała na jeziorze jak bukiet kwiatów.

– Jakże tam musi być pięknie! – powiedziała Babetta, która poczuła znowu chęć znalezienia się na wysepce; życzenie to mogło natychmiast się spełnić: przy brzegu kołysała się łódź; sznur, na którym była uwiązana, można było z łatwością rozplatać. Nie było nikogo w pobliżu, kogo można by spytać o pozwolenie, więc wzięli tę łódź bez pytania. Rudi potrafił dobrze wiosłować.

Wiosła zanurzyły się jak rybie płetwy w wodzie; wodzie tak giętkiej, a jednak silnej, która czasem jest grzbietem, co nosi, a czasem pochłania, czasem się łagodnie uśmiecha, a czasem jest warem krwi, a jednocześnie siłą, która potrafi człowieka zmiażdżyć. Za łodzią tworzyła się błyszcząca bruzda, w parę minut dotarli do wysepki i wysiedli z łódki. Na wyspie było tak ciasno, że zaledwie mogli we dwoje zatańczyć.

Rudi okręcił Babetę dwa czy trzy razy, a potem usiedli na ławeczce pod zwieszającymi się gałęzmi akacji, patrzyli sobie w oczy, trzymali się za ręce, a wszystko wokół nich błyszczało w świetle zachodzącego słońca.

Lasy sosnowe na górach zabarwiły się na kolor lilioworóżowy jak kwitnące wrzose, a tam gdzie kończyły się lasy i zaczynały kamienie, skały błyszczały jak przezroczyste; obłoki na niebie płonęły czerwono jak ogień, a całe jezioro było jak jeden olbrzymi świeży płatek róży. A gdy cienie dosięgły pokrytych śniegiem gór Sabaudii, zmieniły barwę na czerwono-błękitną; tylko najwyższy szczyt świecił jak czerwona lawa; wyglądało to, jak gdyby wróciła chwila z dziejów powstania tych gór; rozpalone masy wyszły z łona ziemi i nie zdążyły jeszcze się ostudzić. Alpy żarzyły się tak pięknie, jak jeszcze nigdy Babetta i Rudi nie widzieli. Pokryty śniegiem Dent du Midi miał taki blask jak tarcza miesiąca, gdy wschodzi na nieboskłonie.

– Tyle piękna, tyle szczęścia! – mówili oboje.

– Więcej chyba ziemia nie może mi już ofiarować! – powiedział Rudi. – Taki wieczór jak

dzisiaj to całe życie! Ile razy czułem takie szczęście jak w tej godzinie, myślałem zawsze: „Gdyby w tej chwili wszystko się skończyło, jakże szczęsnym mógłbym nazwać moje życie!” Jaki piękny jest świat. Ten dzień się kończył i przychodził następny, który często wydawał mi się jeszcze piękniejszy. Jakże nieskończenie dobry jest Bóg, Babeto!

– Jestem taka szczęśliwa! – powiedziała.

– Więcej ziemia nie może mi już ofiarować! – zawołał Rudi.

Rozbrzmiały dzwony z gór Sabaudii, z gór Szwajcarii. Na złotym blasku wznosiły się ku zachodowi czarnosine góry Jury.

– Niech ci Bóg da wszystko najwspanialsze i najlepsze! – szepnęła Babeto.

– Da mi z pewnością! – powiedział Rudi. – Jutro mi da. Jutro będziesz moją. Moją własną, ukochaną, małą żoną!

– Łódka! – krzyknęła nagle Babeto.

Łódka, którą mieli powrócić na ląd, odwiązała się i oddalała od wyspy.

– Przyciągnę ją! – zawołał Rudi.

Zrzucił kurtkę, zdjął buty, wskoczył do jeziora i szybko popłynął w stronę łodzi.

Przezroczysta, błękitno-zielona woda jeziora była zimna od lodowca, który spływał do niej z gór. Rudi rzucił tylko jedno spojrzenie w głąb i zdawało mu się, że widzi tam złoty pierścień, jak toczy się i błyska, zgubiony, zaręczynowy pierścionek; pierścień rósł coraz bardziej, aż stał się dużym, błyszczącym kręgiem, w którego środku lśnił przezroczysty lodowiec. Nieskończone przepaści otwierały swe głębiny, woda tryskała, dzwoniła jak dzwonki i rozbijała się jak jasne perły, błyszczała jak niebieskie promienie; w jednej chwili ujrzał Rudi to, co my musimy określić przy pomocy wielu słów: młodych strzelców, młode dziewczęta, mężczyzn i kobiety, tych wszystkich, którzy niegdyś znaleźli śmierć w chłodnych szczelinach lodowca; spoglądali teraz szeroko otwartymi oczyma, z uśmiechem na ustach, a głęboko pod nimi rozlegała się muzyka dzwonów zatopionych miast; pod sklepieniem kościelnym klęczeli wierni, piszczałki organów to były sople lodowe, a wodospad huczał bisem. Dziewica Lodów siedziała na jasnym, przezroczystym dnie; podniosła się, podpłynęła ku Rudiemu i ucałowała jego stopy – przez ciało przeleciał mu śmiertelny, lodowy dreszcz jak prąd elektryczny – lód i ogień. Trudno to rozróżnić przy tak błyskawicznym zetknięciu.

– Mój, mój! – dźwięczało w nim i wokół niego. – Całowałam cię, gdyś był maleńki, pocałowałam cię w usta. Teraz całuję cię w palce i w stopy i jesteś już cały mój.

I Rudi zniknął w jasnej wodzie jeziora.

Panowała cisza. Dzwony kościelne umilkły, ostatnie tony ucichły wraz z zagaśnięciem czerwonych blasków na górach.

– Jesteś mój! – wołało coś z głębin. – Mój jesteś! – dźwięczało z wysoka w nieskończoności. Jakże to przyjemnie przepłynąć z miłości do młodości, z ziemi do nieba.

Wtedy pękła struna, rozległ się ton żałobny. Lodowy pocałunek śmierci zwyciężył, skończyła się uwertura, zaczął się dramat życiowy, dysonans przeszedł w harmonię.

Czy sądzisz, że to smutna historia?

Biedna Babeta! Przeżyła straszne chwile! Łódź uciekała coraz to dalej i dalej. Nikt na brzegu nie wiedział, że młoda para udała się na wysepkę. Zapadł wieczór, obłoki opuszczały się coraz niżej, mrok gęstniał. Dziewczyna stała samotna, opuszczona i zrozpaczona.

Nad nią rozpełtała się burza, błyskawice rozświetliły Jurę, szwajcarski brzeg i Sabaudię, ze wszystkich stron grom za gromem, błyskawica za błyskawicą toczyły się jedne za drugimi całymi minutami. Blask błyskawic był tak jasny jak słońce; można było przy ich świetle rozróżnić, jak w południe, każdy pęd winny, a natychmiast potem następował czarny mrok. Błyskawice tworzyły wstęgi, kokardy, zygzaki; pioruny biły w wody jeziora, a echo podwajało jeszcze przeciągły ich huk. Na brzegu wyciągano pośpiesznie łodzie na ląd. wszystko, co żyło, pędziło do jakiegoś schronienia, a potem lunął rześisty deszcz.

– Gdzież mogą być Babeta i Rudi w taką psią pogodę? – spytał młynarz.

Babeta siedziała ze splecionymi rękoma, z głową ukrytą na kolanach, niema z rozpacz, nie płakała już i nie krzyczała.

– W głębokiej wodzie – szeptała – głęboko pod wodą ukrył się jak pod lodowcem!

Przypomniało jej się opowiadanie o śmierci matki Rudiego, o jego ocaleniu i jak to Rudi jako maleńkie niemowlę spoczywał w ramionach trupa wydobytego ze szczeliny lodowca.

– Dziewica Lodów porwała go znowu!

Błyskawica oświetliła nagle biel śniegu na szczytach. Babeta zerwała się; jezioro podniosło się jak świetlisty lodowiec, stała na nim Dziewica Lodów majestatyczna, błękitna, błyszcząca, u stóp jej spoczywał martwy Rudi.

– Mój jest! – powiedziała i okolicę otoczył na nowo nieprzenikniony mrok i straszna ulewa.

– To straszne! – jęczała Babeta. – Dlaczego musiał umrzeć właśnie w dniu naszego szczęścia? Boże, oświeć mój umysł! Oświeć moje serce! Nie rozumiem Twoich dróg. Błąkam się po

omacku w Twojej wszechmocy, w Twojej mądrości.

I Bóg oświecił jej serce. W błysku myśli, w promieniu łaski, jej sen z poprzedniej nocy przeniknął ją nagle światłem: przypomniała sobie słowa, które sama wypowiedziała, życzenie, by jej i Rudiemu działo się jak najlepiej.

– Biada mi! Czyżby to było ziarno grzechu w moim sercu? Czyż mój sen byłby mym przyszłym życiem, którego struna musiała pęknąć dla mego zbawienia? O, ja nieszczęsna!

Jęcząc siedziała na wyspie w mrocznej nocy. W głębokiej ciszy zdawało jej się, że słyszy jeszcze słowa Rudiego, ostatnie słowa, jakie jej powiedział:

„Więcej szczęścia nie może mi już ziemia ofiarować!”

Słowa te zabrzmiały po raz pierwszy w pełni radości, a teraz brzmiały w pełni cierpienia.

Od tej chwili upłynęło kilka lat. Jezioro uśmiecha się, uśmiechają się brzegi. Winnice nabrzmiewają dojrzałymi gronami. Parowce z powiewającymi flagami przepływają, a za nimi suną jachty z dwoma rozpiętymi żaglami jak białe motyle ponad lustrem jeziora. Do Chillonu dojechać można koleją, która sięga głęboko w dolinę Rodanu. Na każdej stacji wysiadają cudzoziemcy i z czerwono oprawnych książek czytają, co jest ciekawego do oglądania w okolicy. Odwiedzają Chillon i widzą na jeziorze maleńką wysepkę z trzema akacjami, a w książce czytają o parze narzeczonych, która w roku 1856 przepłynęła się o wieczornej godzinie na wysepkę, o narzeczonym, który utonął. „Rozpaczliwy krzyk narzeczonej usłyszano dopiero nazajutrz rano na wybrzeżu.”

Ale książka nie mówi nic o cichych dniach Babety przeżytych przy ojcu. Już nie w młynie, dokąd sprowadzili się obcy, ale w ładnym domku niedaleko dworca kolejowego, gdzie z okien nieraz spostrzega ona ponad wierzchołkami kasztanowych drzew śnieżne szczyty, po których niegdyś wspinał się Rudi. Wieczorami widzi, jak góry się żarzą, i słyszy, jak dzieci słońca śpiewają o wędrowcu, któremu wicher porwał płaszcz, zabrał opończę, ale nie człowieka.

Blask różany leży na śniegu w górze, blask różany płonie w każdym sercu, w którym mieszka myśl: „Bóg daje nam najlepsze!”

Ale nie zawsze dane nam jest takie objawienie jak to, które otrzymała Babeta we śnie.

IMBRYK

Był sobie pewnego razu imbryk do herbaty, dumny z porcelany, z której był zrobiony, dumny ze swej wysmukłej szyi i z dużego ucha. Miał on szyję z przodu, ucho z tyłu i o tym wciąż mówił; nie mówił zaś nigdy o swej pokrywce, która była stłuczona i sklejona, co było wielkim brakiem, a niechętnie mówi się o swych brakach, inni to przecież robią za nas. Filizanki, garnuszek do śmietanki i cukiernica, cały serwis do herbaty – całe to towarzystwo zwracało uwagę na pęknięcie pokrywki i rozmawiali o tym więcej niż o pięknym uchu i niezwykłej szyi; imbryk do herbaty wiedział o tym dobrze.

– Znam ich! – mówił sam do siebie. – Znam także dobrze moje wady i uznaję je, na tym właśnie polega moja pokora i skromność; wszyscy mamy wady, ale posiadamy także i zalety. Filizanki mają uszka, cukiernica ma pokrywkę, a ja mam jedno i drugie, i jeszcze w dodatku coś z przodu, czego oni nie posiadają – szyję, która sprawia, że jestem królem stołu. Cukiernicy i garnuszkowi do śmietanki przypadło w udziale być służebnymi dobrego smaku, ale ja jestem tym szczodrym władcą, rozdaję błogosławieństwo łaknącej ludzkości; w moich wnętrznościach chińskie listeczki rozpuszczają się w gotowanej, pozbawionej smaku wodzie.

Wszystko to mówił imbryk, kiedy był beztroski i młody. Stał na nakrytym stole, podnosiła go w górę delikatna rączka; ale delikatna rączka okazała się niezręczna, imbryk upadł na ziemię, szyjka się stłukła, stłukło się ucho, o pokrywce nie ma co gadać, dość się już o niej mówiło. Imbryk leżał zemdlny na podłodze, wrzątek wyciekał z niego. Spotkał go ciężki cios, ale najsmutniejsze było to, że śmieli się z niego, a nie z niezręcznej dłoni, która go upuściła na ziemię.

– Nigdy nie będę się mógł pozbyć tego wspomnienia! – mówił imbryk później, opowiadając dzieje swego życia. – Nazwali mnie inwalidą, postawili w kącie, a na drugi dzień podarowali kobiecie, która zebrała o łyżkę skromnej stawy; zszedłem do rzędu nędzarzy, stałem bez użytku w kącie; ale kiedy tak stałem, zaczęło się dla mnie lepsze życie; jest się czymś jednym, a nagle staje się zupełnie czymś innym. Napełniono mnie ziemią; dla imbryka znaczy to samo co pogrzeb, lecz do ziemi włożono cebulkę kwiatu, kto ją tam włożył, kto mi ją podarował – nie wiem; ale był to dla mnie dar, wynagrodzenie za chińskie listeczki i wrzątek, za stłuczone ucho i

szyję. Cebulka leżała w ziemi, leżała we mnie, stała się moim sercem, moim żywym sercem, a przecież nigdy przedtem nie miałem takiego serca. Wstąpiło we mnie życie i siły; puls bił, cebulka wypuściła pędy; można było pęknać od rozsadzających uczuć i myśli; wyrósł z niej kwiat, patrzałem na niego, dźwigałem go; patrząc na jego piękno, sam zapomniałem o sobie; to prawdziwe błogosławieństwo zapomnieć przez innych o sobie. Kwiat nie dziękował mi za to, nie myślał o mnie; podziwiali go i chwalili. Byłem taki szczęśliwy, że jemu jest dobrze. Pewnego dnia usłyszałem, jak mówiono, że kwiat zasługuje na lepszą doniczkę. Rozbito mnie na dwoje; bolało to okropnie, ale kwiat dostał lepszą doniczkę, a mnie wyrzucono na podwórze, gdzie leżę jako stara skorupa – zostało mi jednak wspomnienie, którego nikt mi nie może wydrzeć.

SYN DOZORCY

Generał z rodziną mieszkał na pierwszym piętrze, dozorca mieszkał w suterenie. Pomiedzy dwiema rodzinami była wielka przepaść, dzieliło je całe piętro i stanowisko społeczne. Ale mieszkali pod tym samym dachem i mieli ten sam widok na ulicę i na podwórze. Na podwórzu był trawnik z kwitnącą akacją, o ile zakwitła, siadywała pod nią czasami wystrojona mamka z jeszcze bardziej wystrojoną córeczką generała, Emilcią. Tańczył przed nimi, przytupując bosymi nóżkami, mały synek dozorca, chłopczyk o dużych, piwnych oczach i ciemnych włosach, a mała uśmiechała się i wyciągała do niego rączki; a ile razy generał ujrzał przez okno tę scenkę, uśmiechał się, kiwał głową i mówił – *charmant*¹⁵. – A sama generałowa, która była taka młoda, że prawie mogłaby być córką swego męża z wczesnego małżeństwa, nigdy nie wyglądała oknem na podwórze, wydała tylko rozkaz, że chłopczyk z sutereny może bawić dziecko, ale nie wolno mu go dotykać. Mamka była posłuszna rozkazowi pani.

Słońce przyświecało mieszkańcom pierwszego piętra i mieszkańcom sutereny, akacja kwitła, kwiaty opadały, na drugi rok rozwijały się nowe; drzewo kwitło i mały synek dozorca także kwitł i wyglądał jak świeży tulipan.

Córeczka generała była delikatna i blada jak różowy płatek kwiatu akacji. Coraz rzadziej schodziła na podwórze pod drzewo, wywożono ją na świeże powietrze w karecie. Wyjeżdżała z mamą na spacer i zawsze kłaniała się synkowi dozorca, Jurkowi, posyłała mu nawet rączką całusy, dopóki mama jej nie powiedziała, że jest już na to za duża.

Jednego przedpołudnia chłopiec miał zanieść generałowi na górę gazety i listy, które listonosz zostawił rankiem u dozorca. Kiedy wchodził na górę po schodach obok komórki z piaskiem, słyszał w niej pisk; myślał, że to jakieś kurczątko się tu zabłąkało, ale to była córeczka generała w koronkach i muślinach.

– Nie mów nic papie ani mamie, gdyż gniewaliby się na mnie.

– Ale co się stało, panienczko? – spytał Jurek.

– Wszystko się pali – powiedziała dziewczynka – pali się jasnym płomieniem.

Jurek otworzył drzwi do dziecinnego pokoju. Firanka przy oknie była prawie spalona, gzyms

firanki stał w płomieniach. Jurek podskoczył i zerwał pręt. zawołał ludzi; gdyby nie jego ratunek, spłonąłby cały dom.

Generał i generałowa wypytywali Emilcię.

– Wzięłam tylko jedną jedyną zapałkę – powiedziała – i zaraz się zapaliła, i firanka też się zapaliła. Plułam, aby zagasić, plułam, jak tylko mogłam, ale miałam za mało śliny, więc wybiegłam i schowałam się, bo mama i papa gniewaliby się na mnie.

– Pluć – powiedział generał – cóż to za słowo? Czy kiedy słyszałaś, żeby papa lub mama mówili takie brzydkie słowo? To w suterenie nauczyłaś się tego!

Ale Jurek dostał cztery szylingi. Nie wydał ich w cukierni, tylko włożył do skarbonki i wkrótce zebrało się tam tyle pieniędzy, że mógł sobie kupić pudełko z farbami i mógł pomalować swoje rysunki, których miał już mnóstwo; wychodziły jakby same spod ołówka i palców. Pierwsze kolorowe rysunki podarował Emilci.

– *Charmant* – powiedział generał; a generałowa dodała, że można po nich poznać, co chłopiec chciał narysować.

– Ma chłopak zdolności. – Słowa te żona dozorkcy powtórzyła w suterenie.

Generał i jego żona byli wytwornymi ludźmi, mieli dwa herby na karecie, po jednym dla każdego z nich; generałowa na wszystkich częściach swej garderoby, zewnątrz i wewnątrz, miała wyhaftowany herb, nawet na nocnym czepku i na nocnej koszuli: herb generałowej był bardzo kosztowny, jej ojciec kupił go za błyszczące talary, nie urodził się bowiem z herbem ani on, ani jego córka; przysłała na świat za wcześnie, siedem lat przed herbem, pamiętało o tym wielu ludzi z wyjątkiem rodziny. Herb generała był stary i duży, kości trzeszczały od noszenia takiego herbu, a cóż dopiero od noszenia dwu herbów. Toteż w generałowej coś trzeszczało, kiedy sztywno i strojnie jechała na bal dworski.

Generał był stary i siwy, ale na koniu trzymał się jeszcze dobrze, wiedział o tym i dlatego codziennie wyjeżdżał konno: za nim w przyzwoitej odległości jechał jego stajenny. Kiedy zjawiał się w jakimś towarzystwie, zdawało się, że wjeżdża na swoim wysokim rumaku. Miał on przy tym tak wiele orderów, że trudno było oczom wierzyć, ale nie było w tym doprawdy jego winy. Jako zupełnie młody człowiek rozpoczął karierę wojskową i brał udział we wszystkich wielkich manewrach jesiennych, które odbywano w czasach pokoju. Z tej właśnie epoki pochodziła anegdota, jedna, jaką potrafił opowiedzieć: jeden z jego podoficerów zamknął odwrót

¹⁵ czarujące (fr.)

jednemu z książąt i wziął go do niewoli, i oto księżę z całym oddziałem wziętych do niewoli żołnierzy, jako jeniec musiał wjechać za generałem do miasta. Było to niezapomniane wydarzenie, w ciągu wielu lat generał opowiadał o nim, wciąż powtarzając te same wiekopomne słowa, które wtedy powiedział zwracając księciu szablę:

– Tylko mój podoficer mógł waszą wysokość wziąć do niewoli, ja nigdy! – a księżę mu odpowiedział:

– Pan jest niezrównany.

Generał nigdy nie był na prawdziwej wojnie; gdy naprawdę przyszła wojna, generał przechodził drogą dyplomatyczną przez trzy zagraniczne dwory. Po francusku mówił tak dobrze, że prawie zapomniał swego ojczystego języka; dobrze tańczył, dobrze jeździł konno, niezliczona ilość orderów zdobiła jego pierś; warta stawała na baczność przed nim, jedna z najładniejszych dziewcząt również stanęła na baczność i została generałową. Urodziła mu zachwycającą córeczkę, taką uroczą, jakby z nieba zesłaną, a synek dozorczy tańczył przed nią na podwórku i obdarowywał ją swymi kolorowymi rysowanymi obrazkami. Maleńka oglądała je, cieszyła się nimi, a potem darła je na kawałki. Była taka delikatna i śliczna.

– Mój płatku różany – mówiła generałowa. – Urodziłaś się dla księcia!

Księżę stał już przed drzwiami, ale nie wiedziano o nim. Ludzie zazwyczaj nie sięgają wzrokiem poza własny próg.

– Nasz synek poczęstował ją kromką chleba – powiedziała żona dozorczy; choć nie było na chlebie ani sera, ani mięsa, smakował jej jak pieczeń. Dom by się wywrócił, gdyby generałowa zobaczyła ten poczęstunek, ale nie widziała.

Jurek podzielił się chlebem z Emilcią, chętnie podzieliłby się z nią i sercem, gdyby jej to tylko miało sprawić przyjemność. Był to dobry chłopiec, rozgarnięty, mądry, chodził co wieczór do wieczornej szkoły przy akademii, gdzie się uczył dobrze rysować, Emilcią również czyniła postępy w nauce, mówiła po francusku z boną, i miała nauczyciela tańców.

– Na Wielkanoc Jurek przystąpi do konfirmacji – powiedziała żona dozorczy; tak prędko rósł Jurek.

– Najrozsądniej byłoby oddać go potem do terminu – powiedział ojciec. – Powinien sobie wybrać dobre rzemiosło i ubylby nam z domu!

– I tak będzie musiał u nas sypiać – odezwała się matka – nie tak łatwo znaleźć majstra, który ma dużo miejsca; ubierać go także musimy; trochę stawy także się dla niego znajdzie; parę

gotowanych kartofli wystarcza mu, a naukę ma bezpłatną. Pozwól mu pójść własną drogą; zobaczysz, będziemy mieli z niego pociechę, to samo powiedział profesor.

Ubranie, w którym miał przystąpić do konfirmacji, było gotowe, matka sama je uszyła, ale przykrajął je pomocnik krawca i miało dobry krój.

– Gdyby temu krawczykowi lepiej się powodziło, gdyby miał swój warsztat i czeladników, mógłby z łatwością zostać nadwornym krawcem – mówiła żona dozorcy.

Ubranie więc było gotowe i konfirmant był gotów. Jurek dostał na konfirmację duży, tombakowy zegarek od swego ojca chrzestnego, starszego pomocnika w sklepie bławatnym; był to najbogatszy krewny Jurka. Zegarek był stary i zużyty i zawsze się śpieszył, ale to przecież lepiej, niż – gdyby się spóźniał. Był to kosztowny podarek; od rodziny generała otrzymał psalterz oprawiony w safian, przysłała mu go mała panienka, której tak często dawał obrazki. Na pierwszej stronie książki było jego imię i podpisane jej imieniem jako „łaskawej dobrodziejki”; słowa te podyktowała generałowa, a generał przeczytał je i powiedział:

– *Charmant.*

– To doprawdy duży dowód pamięci ze strony tak wielkich państwa – powiedziała żona dozorcy, i Jurek musiał w konfirmacyjnym ubraniu i z psalterzem pójść na górę, aby pokazać się i podziękować.

Generałowa siedziała z obwiązaną głową, gdyż miała dotkliwą migrenę, na którą zawsze cierpiała, gdy się nudziła. Spojrzała łaskawie na Jurka i życzyła mu wszystkiego dobrego, i aby nigdy nie miał bólu głowy. Generał był w szlafroku i w szlafmocy, i w czerwonych rosyjskich butach; pogrążony w myślach i wspomnieniach, przeszedł trzy razy przez pokój, zatrzymał się i powiedział:

– Drogi Jurku, oto zostałeś przyjęty do chrześcijańskiego świata. Bądź dzielnym człowiekiem i szanuj zwierzchność. Gdy będziesz kiedyś stary, wspomnisz, że tak cię generał pouczał.

Było to najdłuższe przemówienie, jakie generał kiedykolwiek wygłosił; potem powrócił do swych milczących rozważań i wyglądał wspaniale. Ale ze wszystkiego, co Jurek widział i słyszał na górze, najsilniej wryła mu się w pamięć mała panienka Emilka; jakże była urocza i delikatna, jakże była łagodna i powiewna. Gdyby się chciało ją narysować, trzeba by to uczynić w mydlanej bańce. Jej suknia i jasne kędziory pachniały nieuchwytnym zapachem, jak gdyby była świeżo rozkwitłym różanym krzewem; a wszak to z nią podzielił się kiedyś kromką chleba. Zjadła ją z wielkim apetytem i przy każdym kąsku kiwała mu główką. Czy jeszcze to pamięta?

Na pewno pamięta. Podarowała mu przecież „na pamiątkę” piękny psalterz. Gdy po raz pierwszy w nowym roku ukazał się na niebie księżyc w nowiu, wyszedł na dwór z kawałkiem chleba i monetą w ręku i otworzył na chybił traf psalterz, aby się przekonać, jaki psalm mu jest przeznaczony. Był to psalm miłości i dziękczynienia; a potem otworzył, aby się dowiedzieć, co było przeznaczone małej Emilci; uważał bardzo, aby nie otworzyć tam, gdzie były psalmy żałobne, ale pomimo to otworzył w miejscu, gdzie była mowa o grobie i o śmierci. Cóż to za niedorzeczność wierzyć w takie rzeczy! Pomimo to ogarnął go wielki lęk, kiedy wkrótce potem urocza dziewczynka musiała się położyć do łóżka i codziennie w południe zatrzymywał się przed ich domem powóz lekarza.

– Nie zachowają jej przy życiu – powiedziała żona dozorecy – Pan Bóg wie, kogo do siebie powołać.

Ale utrzymali ją przy życiu i Jurek rysował obrazki, i posyłał dziewczynce; narysował pałac carski, stary Kreml w Moskwie, zupełnie tak, jak naprawdę wyglądał, z wieżami i kopułami, były one jak olbrzymie, zielone i połączane ogórki, tak przynajmniej wyglądały na rysunku Jurka. Rysunki te sprawiały wielką przyjemność Emilce i dlatego Jurek posłał jej w ciągu tygodnia jeszcze parę obrazków, same budynki, gdyż rysując je mógł sobie przy tym tak wiele rzeczy wyobrażać za oknami i za drzwiami.

Narysował chiński dom z dzwoneczkami na wszystkich szesnastu piętrach; narysował dwie greckie świątynie o smukłych marmurowych kolumnach i schodach biegnących dookoła; narysował norweski kościół; widać było, że jest cały zbudowany z belek, każde piętro wyglądało, jak gdyby było umieszczone na biegunach kołyski. Ale najładniejszy był jeden rysunek, na którym był zamek, nazwany przez niego „zamkiem Emilci”. Tam miała mieszkać; Jurek tak sobie wymyślił i narysował tu wszystko, co przy każdym z budynków uważał za najładniejsze. Pałac ten miał rzeźbione belki jak norweski kościół, marmurowe kolumny jak grecka świątynia, na każdym piętrze dzwoneczki, a na samym szczycie zielone lub połączane kopuły jak na carskim Kremlu. Był to prawdziwy dziecięcy zamek. Pod każdym oknem napisał, do czego ta sala lub ten pokój są przeznaczone: „Tu sypia Emilka, tu tańczy Emilka, a tu bawi się «w gości».”

Przyjemnie było na to patrzeć, toteż oglądano chętnie rysunek.

– *Charmant* – powiedział generał.

Ale stary hrabia, gdyż był tam stary hrabia, jeszcze o wiele wytworniejszy niż generał, i miał

nawet swój pałac i swoje dobra – nie powiedział nic; słyszał, że rysunki te wymyśliły i narysował mały synek dozorca. Nie był on co prawda już taki mały, gdyż przystępował do konfirmacji. Stary hrabia obejrzał obrazki i coś przyszło mu do głowy.

Pewien szary, mokry, brzydki dzień stał się dla Jurka jednym z najbardziej jasnych i słonecznych dni. Profesor akademii sztuk pięknych zawezwał go do siebie.

– Posłuchaj, przyjacielu – powiedział – porozmawiamy sobie trochę. Bóg obdarzył cię talentem, obdarzył cię również sercem dobrych ludzi. Stary hrabia, który mieszka tam na rogu, rozmawiał ze mną o tobie; widziałem również twoje rysunki; one nie wchodzą w rachubę, dużo trzeba by było w nich poprawić. Możesz teraz dwa razy w tygodniu przychodzić do mojej szkoły, to się nauczysz lepiej rysować. Wydaje mi się, że nadajesz się raczej na budowniczego niż na malarza; sam się zresztą o tym z czasem przekonasz. Ale idź jeszcze dzisiaj do starego hrabiego, który mieszka na rogu, i podziękuj Stwórcy, że spotkałeś takiego człowieka.

Na rogu stał prawdziwy pałac; dookoła okien wyrzeźbione były słonie i wielbłądy, wszystko z dawnych czasów; ale stary hrabia największą wagę przywiązywał do nowych czasów, wraz ze wszystkim, co przynosiły ze sobą dobrego, obojętne, czy pochodziło to z pierwszego piętra, sutereny, czy ze strychu.

– Wydaje mi się – mówiła żona dozorca – że im więksi państwo, tym mniej się pyszną. Jakże miły i prosty jest stary hrabia. Mówi zupełnie tak jak ja i ty, generał z żoną tak nie potrafią. Jurek był wczoraj zachwycony serdecznym przyjęciem hrabiego, a ja dzisiaj rozmawiałam z tym człowiekiem i odczuwam to samo po rozmowie z tym możliwym panem. Czyż to nie dobrze, że nie oddaliśmy chłopca do rzemiosła? Ma zdolności.

– Ale zdolnościom trzeba przyjść z pomocą – powiedział ojciec.

– Teraz ją właśnie otrzymał – powiedziała matka – hrabia mówił o tym zupełnie jasno i wyraźnie.

– Ale wszystko to zawdzięczamy przecież rodzinie generała – powiedział ojciec – im musimy również podziękować.

– Możemy to uczynić – odrzekła matka – ale nie wydaje mi się, abym miała im za co dziękować; Bogu trzeba dziękować i Jemu dziękuję także i za to, że Emilka przychodzi do zdrowia.

Emilce było coraz lepiej i z Jurkiem szło także coraz lepiej; po upływie roku dostał mały srebrny medal, a później także i duży.

– Byłoby jednak lepiej, gdyby się uczył rzemiosła – powiedziała żona dozorczy i zapłakała – zostałyby teraz przy nas. Czego on szuka w Rzymie? Nigdy go już nie zobaczę, nawet gdyby wrócił do domu, ale on już nigdy nie wróci, mój drogi chłopiec.

– To przecież jego szczęście, jego sława – mówił ojciec.

– Dziękuję ci, mój drogi – powiedziała matka – ale mówisz co innego, niż myślisz. Jesteś tak samo zmartwiony jak ja.

I miała rację, gdy mówiła o tym zmartwieniu i o wyjeździe. – To wielkie szczęście dla tego młodzieńca – mówili wszyscy ludzie.

Nadeszła chwila rozstania. Jurek poszedł się również pożegnać do domu generała, ale generałowa nie ukazała się, miała właśnie migrenę. Generał opowiedział chłopcu na pożegnanie swoją jedyną anegdotę, i co powiedział księciu, i co książę jemu powiedział: „Pan jest niezrównany”, i podał Jurkowi końce palców.

Emilka także wyciągnęła do niego rękę i spojrzała na niego prawie ze smutkiem, ale najbardziej zmartwiony ze wszystkich – był sam Jurek.

Czas mija, gdy się coś robi, mija również, gdy się nic nie robi. Czas jest zawsze równie długi, ale nie zawsze równie pożyteczny. Dla Jerzego był pożyteczny, ale nie dłużył mu się wcale, chyba że myślał o domu. Co tam słyhać w suterenie i na pierwszym piętrze? Pisano mu o tym, a tak wiele można wyrazić w liście: jasny promień słoneczny i ciemne, ciężkie dni. Takie właśnie nowiny były w liście od matki, pisała o śmierci ojca i o tym, że została sama. Emilka była jak gdyby jej aniołem pocieszycielem, zeszła do niej do suterenu – tak pisała matka i dodała jeszcze o sobie, że pozwolono jej zostać na posadzie dozorczyń.

Generałowa pisała dziennik; zapisywała tam każde zaproszenie, każdy bal, na który chodziła lub urządziła u siebie, a także wizyty, jakie przyjmowała. Pamiętnik był ilustrowany biletami wizytowymi dyplomatów i dobrze urodzonych ludzi. Była dumna ze swego pamiętnika, który rósł coraz bardziej w ciągu tak wielu lat, podczas tyłu migren, ale i podczas tyłu jasnych nocy, to znaczy nocy dworskich balów. Emilka była po raz pierwszy na dworskim balu; matka ubrana była w różową suknię z czarnymi koronkami – po hiszpańsku! Córka w bieli, taka jasna, taka delikatna. Zielone, jedwabne wstążki powiewały jak sitowie pośród jasnych kędziorów, na których znajdował się wianek z białych nenufarów; oczy jej były błękitne i jasne, usta delikatne i czerwone, była podobna do małej syrenki, najmilszej, jaką sobie można wyobrazić. Tańczyło z nią trzech książąt, to znaczy najpierw jeden, potem inni. Generałowa przez tydzień nie miała

bólów głowy.

Pierwszy bal nie był ostatnim, Emilkę to męczyło. Dobrze, że nadeszło lato, spokój, świeże powietrze. Rodzina została zaproszona do dworu starego hrabiego.

Był to pałac otoczony ogrodem, który warto było obejrzeć. Część ogrodu była urządzona jak w dawnych czasach; były tam sztywne, zielone żywopłoty, chodziło się jakby pośród zielonych, strzyżonych szpalerów, przerywanych gdzieniegdzie dalekimi widokami. Bukszpany i jałowce były powycinane w kształcie gwiazd i piramid, z dużych grot pokrytych skorupami muszli wypływały źródła, naokoło stały kamienne posągi z najcięższego kamienia, widać to było po twarzach i ubiorach; każdy kwiatowy klomb miał swą postać, jeden miał kształt ryby, inny – tarczy herbowej lub inicjałów, była to francuska część ogrodu; można z niej było przejść od razu do zielonego lasu, gdzie drzewa rosły tak, jak chciały, a były wielkie i potężne, trawa była pięknie zielona i wolno było po niej chodzić, ale wałkowano ją, strzyżono, pielęgnowano i polewano; to była angielska część ogrodu.

– Stare czasy i nowe, czasy – mówił hrabia – tutaj tak świetnie jedne przenikają w drugie. Za dwa lata wszystko będzie pięknie wyglądało, będzie tu piękniej i wygodniej; pokażę wam rysunki i przedstawię wam także budowniczego, będzie dziś u mnie na obiedzie.

– *Charmant* – powiedział generał.

– Tu jest rajsko! – powiedziała generałowa – a tutaj istny zamek warowny.

– To mój kurnik – powiedział hrabia. – Gołębie mieszkają w wieży, indyki na pierwszym piętrze; a na parterze rządzi stara Elza. Są tu pokoje gościnne dla wszystkich: kwoki mają swój pokój, kura z kurczętami swój, a i kaczki mają własne wyjście do wody.

– *Charmant!* – powiedział generał.

I wszyscy wyszli obejrzeć te cuda.

Pośrodku izby stała stara Elza, a obok niej budowniczy Jerzy; on i Emilka spotkali się po wielu latach w kurniku.

Tak, to Jurek stał tutaj i wyglądał bardzo ładnie; twarz miał szczerą i energiczną, czarne, błyszczące włosy, a na ustach uśmiech, który zdawał się mówić: mam koło ucha sprytnego duszka, który was zna dobrze z zewnątrz i od środka. Stara Elza zdjęła swe drewniane chodaki i stała w pończochach ze względu na wytwornych gości. Kury gdakały: ko, ko, ko!, kogut piał; kaczki uciekały kwacząc: kwa, kwa! A delikatna, blada dziewczyna, przyjaciółka lat dziecinnych, córka generała, stała z rumieńcami na tak zwykle bladej twarzyczce, oczy jej stały

się wielkie, a usta zdawały się mówić, mimo że nie wymówiła ani jednego słowa. Uśmiech, jakim go przywitała, był najbardziej uroczy, taki, jaki mógłby sobie wymarzyć młodzieniec nie spokrewniony z młodą panienką, uśmiech, jakim się obdarza tancerza. Ona i młody budowniczy nigdy jeszcze ze sobą nie tańczyli.

Pan hrabia uściśnął rękę Jerzego i przedstawił go:

– Nie jest nam zupełnie obcy, nasz młody przyjaciel, pan Jerzy.

Generałowa kiwnęła głową, córka zrobiła taki ruch, jak gdyby mu chciała podać rękę, ale nie uczyniła tego.

– Nasz mały pan Jerzy – powiedział generał. – Stary przyjaciel z naszego domu, *charmant*.

– Zrobił się z pana prawdziwy Włoch – powiedziała generałowa. – Mówi pan pewnie po włosku jak urodzony Włoch?

Generał powiedział, że generałowa śpiewa po włosku, ale nie umie mówić.

Przy stole Jerzy siedział po prawej stronie Emilki, generał poprowadził ją do stołu, generałową poprowadził hrabia.

Jerzy mówił i opowiadał, a potrafił dobrze opowiadać, miał dar wymowy nie mniejszy od starego hrabiego, który również potrafił mówić. Emilka siedziała milcząc, uszy jej łowiły każde słowo, oczy błyszczały.

Ale nie mówiła nic.

Na werandzie pomiędzy kwiatami stali Jerzy i Emilka: zasłaniał ich różany żywopłot. Jerzy znowu mówił.

– Dziękuję za troskliwą opiekę nad moją matką – powiedział – wiem, że tej nocy, gdy umierał mój ojciec, pani zeszła do sutereny i była przy matce, dopóki ojciec nie zamknął oczu. Dziękuję pani! – Chwycił rękę Emilki i pocałował ją, mógł to przecież uczynić przy tej okazji, zaczerwieniła się mocno, ale uściśnęła mu rękę i spojrzała na niego niebieskimi, cudnymi oczami.

– Pana matka była poczciwą duszą. Jakże pana kochała! Wszystkie pana listy odczytywałam jej, wydaje mi się, że pana znam. Jaki pan był miły dla mnie, kiedy byłam mała, dawał mi pan obrazki.

– Które pani darła – powiedział Jerzy.

– Nie, mam jeszcze mój zamek na rysunku...

– Teraz muszę go wybudować w rzeczywistości – powiedział Jerzy i gdy wymówił te słowa,

bardzo się do tej myśli zapalił.

Generał i generałowa, gdy się znaleźli u siebie w pokojach, rozmawiali o synu dozorczy; jakże potrafił się poruszać i wyrażał się z takim znawstwem, i tyle wiedzy posiadał.

– Mógłby zostać nauczycielem domowym – powiedział generał.

– Ma talent – odrzekła generałowa i potem nie mówiła już nic więcej.

Często w letnie, piękne dni odwiedzał Jerzy zamek hrabiego. Odczuwano jego brak, gdy nie przychodził.

– Jak pana Bóg sowicie obdarzył w porównaniu z nami, biednymi ludźmi – mówiła do niego Emilka. – Czy zdaje sobie pan z tego sprawę?

Jerzemu pochlebiało to bardzo, że piękna, młoda dziewczyna patrzy na niego z podziwem. Uważał, że i ona jest niezwykle zdolna.

A generał był coraz bardziej przekonany, że to niemożliwe, aby Jerzy był dzieckiem z sutereny.

– Matka była wprawdzie całkiem zacną osobą – mówił – muszę to przyznać nieboszczce.

Przeszło lato, nadeszła zima, znowu zaczęto mówić o Jerzym. Był on dobrze widziany nawet w najwyższych sferach; generał spotkał go na balu dworskim.

W domu generała miano wyprawić bal na cześć Emilki. Czyż mieli zaprosić Jerzego?

– Kogo król zaprasza, tego i generał może zaprosić – powiedział generał i uniół się o cały cal na palcach.

.Zaproszono Jerzego i przyszedł; księżęta przyszli, hrabiowie, jeden tańczył lepiej od drugiego, ale Emilka zatańczyła tylko pierwszy taniec; w czasie tego tańca skręciła sobie nogę; nie było to wprawdzie nic groźnego, ale jednak bolesne; musiała być ostrożna, nie tańczyć, tylko przyglądać się, jak inni tańczą, siedziała więc i patrzyła, a budowniczy stał u jej boku.

– Ofiarowuje jej pan zapewne cały kościół Świętego Piotra – powiedział generał przechodząc obok nich i uśmiechnął się najserdeczniej, jak potrafił.

Z tym samym serdecznym uśmiechem przyjął Jerzego w parę dni później; młodzieniec przyszedł do jego domu prawdopodobnie po to, aby podziękować za zaproszenie na bal, cóż innego mogło go tu sprowadzić? Przywiodło go jednak coś najbardziej nieoczekiwanego, bezczelnego; szalone słowa spłynęły z jego ust, generał nie wierzył własnym uszom, piramidalne oświadczyzny, coś niewiarygodnego, nie do pomyślenia:

Jerzy poprosił o rękę Emilki.

– Człowieku! – zawołał generał i twarz jego stała się czerwona jak rak. — Zupełnie pana nie rozumiem! Co pan mówi? Czego pan sobie życzy? Nie znam pana, mój panie! Człowieku! Co panu wpadło do głowy, aby wtargnąć do mego domu? Czy mam tu pozostać, czy mam sobie pójść? – odwrócił się, poszedł do swej sypialni, zamknął się na klucz i zostawił Jerzego samego. Ten pozostał parę minut, a potem odwrócił się i wyszedł. W korytarzu spotkał Emilkę.

– Co powiedział ojciec? – spytała drżącym głosem.

Jerzy uściskał jej rękę.

– Uciekł ode mnie! Ale nadejdą jeszcze lepsze czasy.

W oczach Emilki stanęły łzy; z oczu młodzieńca jaśniała ufność i odwaga, a słońce oświetlało oboje i błogosławiło ich.

Kipiąc z wściekłości siedział generał w swym pokoju; cisnęły mu się na usta słowa i wymyśli: „Szaleństwo, stróżowski obłąd!”

Nie minęła godzina, a generałowa dowiedziała się o wszystkim z ust generała. Zawołała Emilkę i zamknęła się z nią w pokoju.

– Moje biedne dziecko! Tak cię obrazić! Nas tak obrazić. Ty także masz łzy w oczach, ale tak ci z tym ładnie. Jesteś zachwycająca ze łzami w oczach. Przypominasz mnie w dniu mego ślubu. Płacz, biedna Emilko!

– Będę płakać – powiedziała Emilka – dopóki ty i ojciec nie wyrazicie swej zgody.

– Dziecko! – zawołała generałowa – jesteś chora! Mówisz jak w gorączce, dostaję już mojej strasznej migreny. Ach, jakież nieszczęście nawiedziło nasz dom! Pozwól twojej matce umrzeć, Emilko! Wtedy nie będziesz miała już matki.

I oczy generałowej zwilgotniały, nie mogła znieść myśli o własnej śmierci.

W gazecie pomiędzy innymi wzmiankami można było przeczytać:

„Pan Jerzy został mianowany profesorem, nadano mu rangę radcy piątej kategorii.”

– Szkoda, że jego rodzice leżą w grobie i nie mogą tego przeczytać – mówili nowi dozorczy, którzy teraz mieszkali w suterenie pod mieszkaniem generała. Wiedzieli, że ten profesor urodził się i wyrósł wśród tych samych czterech ścian, gdzie oni obecnie mieszkali.

– Przejdzie teraz do wyższej kategorii podatników – powiedział dozorca.

– Tak, to niemało dla ubożego dziecka – powiedziała żona.

– Osiemnaście talarów rocznie – odezwał się mąż. – Tak, to dużo pieniędzy.

– Nie, nie, ja mam na myśli jego pozycję, stanowisko! – powiedziała żona. – Jakże możesz

przypuszczać, że chodzi mi o pieniądze. Gdybyśmy mieli dziecko, to także zostałoby budowniczym albo profesorem.

O Jerzym mówiono serdecznie w suterenie: o Jerzym mówiono serdecznie na pierwszym piętrze: stary hrabia mógł sobie na to pozwolić.

Do rozmów o Jerzym posłużyły jako pretekst jego rysunki z czasów dzieciństwa. Ale dlaczego mówiono o tych rysunkach? Rozmawiano o Rosji, o Moskwie i zaczęto mówić o Kremlu, o tym samym Kremlu, który mały Jurek narysował kiedyś dla Emilki: narysował tak wiele obrazków, ale stary hrabia specjalnie dobrze zapamiętał sobie obrazek podpisany: „Zamek Emilki, pokój, gdzie sypia, gdzie tańczy i bawi się «w gości»”, hrabia mówił, że profesor jest także utalentowany – umrze na pewno jako stary radca, było to bardzo prawdopodobne, ale przedtem wybuduje prawdziwy zamek dla damy, która teraz jest jeszcze młoda, dlaczegoż by nie?

– To było naigrzanie się z nas – powiedziała generałowa po wyjściu hrabiego. Generał potrząsnął w zamyśleniu głową i wyjechał konno wraz ze swym stajennym, który podążał za nim w przyzwoitej odległości: wyglądał jeszcze dumniej niż przedtem na swym wysokim rumaku.

Nadszedł dzień urodzin Emilki. Przysłano kwiaty i książki, listy i karty wizytowe. Generałowa pocałowała ją w usta, generał w czoło: byli to kochający rodzice. Rodziców i Emilkę spotkał wielki zaszczyt, odwiedzili ich dwaj książęta. Mówiono o balach i teatrach, o dyplomatycznych misjach, o swoich i obcych rządach. Mówiono o talentach, w jakie obfituje kraj, i wspomniano także młodego profesora, budowniczego.

– Pracuje na swą nieśmiertelność – mówiono – ożeni się z pewnością z córką jednej z naszych najlepszych rodzin.

– Jednej z najlepszych rodzin – powtarzał później generał generałowej. – Kto jest jedną z najlepszych rodzin?

– Wiem, o kim była mowa – powiedziała generałowa – ale nie wymówię tego. Nie pomyślę nawet o tym. Bóg rządzi wszystkim. Ale jestem zdumiona.

– Chciałbym się zdumiewać razem z tobą – powiedział generał. – Ale nie mam pojęcia, o co chodzi. – I pograżył się w rozmyślaniach.

Moc, niewypowiedziana moc tkwi w strumieniu łaski, jaki spływa z nieba, z łaski dworu, z łaski Boga; wszystkie rodzaje łaski spłynęły na Jurka.

W pokoju Emilki pachniały kwiaty od przyjaciół i przyjaciółek, na stole leżały piękne podarki

przysłane w dowód pamięci, ale nic nie było od Jerzego, który sam nie mógł się zjawić. Nie było to zresztą potrzebne, bo cały dom był jednym wspomnieniem o nim. Nawet z komórki z piaskiem pod schodami wyrastał kwiat wspomnień: tu piszczała Emilka, kiedy zapaliły się firanki i kiedy Jurek przyleciał jak pierwsza pompa. Jedno spojrzenie przez okno, a drzewo akacjowe przypominało dzieciństwo. Kwiaty i liście opadły, ale drzewo było pokryte szronem i wyglądało jak olbrzymia koralowa gałąź, a pomiędzy gałęziami przeświecał jasny i duży księżyc, niezmienny pomimo tylu zdarzeń, taki sam jak wtedy, gdy Jurek podzielił się z Emilką kromką chleba.

Wyjęła z szuflady rysunki, zamek carski i jej własny zamek; były to dary Jurka. Oglądała je i myślała sobie przy tym wiele; przypominała sobie dzień, kiedy niepostrzeżenie przed ojcem i matką wymknęła się do żony dozorczy na śmiertelnym łożu; siedziała przy niej, trzymała ją za rękę i słyszała jej ostatnie słowa: „Błogosławieństwo – Jerzy!” Matka myślała o swoim synu. Teraz Emilka nadawała tym słowom specjalne znaczenie. Tak, Jurek był przy niej w dniu jej urodzin, był naprawdę przy niej!

Następnego dnia, tak się składało, była znowu uroczystość w domu: urodziny generała. Urodził się on dzień później od córki, oczywiście na wiele, wiele lat przed jej narodzinami. Znowu nadeszły liczne podarunki, a pomiędzy nimi znajdowało się siodło, wspaniałe na oko, wygodne i kosztowne; tylko książęta mogli sobie pozwolić na takie siodło. Kto to przysłał? Generał był zachwycony. Gdyby do siodła dołączono kartkę z napisem: „Dziękuję za wczoraj!”, to byśmy się może domyślili, kto je przysłał, ale tam było napisane: „Od kogoś, kogo pan generał nie zna!”

– Kogóż to ja mogę nie znać? – powiedział generał. Znam wszystkich! – I myśli jego krążyły dookoła ludzi z towarzystwa, znał ich przecież wszystkich. – To od mojej żony – powiedział wreszcie – chce mnie zaintrygować... *Charmant!*

Ale żona go nie intrygowała, minęły już te czasy.

I oto uroczystość, znowu uroczystość; ale nie u generała tylko u jednego z książąt: bal kostiumowy, można było zjawić się w maskach.

Generał ukazał się jako Rubens, w hiszpańskim stroju, z małą kryzą przy szyi, z mieczem, w dobrej postawie, generałowa była panią Rubensową, cała w czarnym aksamicie, z wysokim kołnierzem, okropnie ciepłym, z kamieniem młyńskim na szyi, co oczywiście oznacza wielką, szeroką kryzę, trochę podług holenderskiego płótna, które znajdowało się u generałostwa; na

tym obrazie podziwiano zwłaszcza ręce, zupełnie podobne do rąk generałowej.

Emilka, przebrana jako Psyche, była cała w gazach i koronkach. Wyglądała jak powiewny puch łabędzi: skrzydła były jej niepotrzebne, miała je tylko po to, aby pokazać, że jest Psyche.

Było tam wiele blasku, kwiatów, świateł, wiele bogactwa i dobrego smaku, było tak dużo do patrzenia, że nie zwrócono nawet uwagi na piękne ręce pani Rubensowej. Jakieś czarne domino z kwieciem akacji na kapeluszu tańczyło z Psyche.

– Któż to jest? – spytała generałowa.

– Jego królewska wysokość, jestem tego pewien, poznaję go od razu po uścisku ręki – mówił generał.

Generałowa wątpiła.

Ale generał-Rubens nie wątpił, zbliżył się do czarnego domina i wypisał na dłoni królewskie inicjały: w odpowiedzi zaprzeczono ruchem ręki.

– Dewiza siodła! Ktoś, kogo pan generał nie zna!

– Ale ja pana znam – powiedział generał. – To pan przysłał mi siodło. Człowiek w dominie podniósł rękę i znikł w tłumie.

– Któż to jest ten w czarnym dominie, z którym tańczyłaś? – spytała generałowa.

– Nie pytałam go o nazwisko – odpowiedziała Emilka.

– Wiesz dobrze, kto to jest! To profesor! Pański protegowany, panie hrabio, jest tutaj – zwróciła się generałowa do hrabiego, który stał w pobliżu – to czarne domino z kwiatem akacji.

– Bardzo możliwe, łaskawa pani, ale zresztą jeden z książąt ma taki sam strój.

– Znam to dotknięcie ręki – mówił generał. – To książkę przysłał mi siodło. Jestem tak tego pewien, że zaproszę go do siebie na obiad.

– Niech pan to uczyni – odrzekł hrabia – jeśli jest księciem, przyjdzie na pewno.

– A jeśli jest kim innym, nie przyjdzie z pewnością – powiedział generał i zbliżył się do właściciela czarnego domina, który właśnie stał i rozmawiał z królem. Generał poprosił go bardzo uprzejmie, aby się wzajemnie poznali. Zapraszając go uśmiechał się, tak był pewny, że się nie myli, mówił wyraźnie i głośno.

Domino odsłonił swą maskę: był to Jerzy.

– Czy pan generał powtórzy swe zaproszenie?

Generał urósł na pewno o cal, wyprostował się, cofnął się o dwa kroki, po czym zrobił krok naprzód jak przy menuecie; twarz jego była poważna i miała tyle generalskiego wyrazu, ile

można było nadać delikatnej twarzy generała.

– Nigdy nie cofam mego słowa; profesor jest zaproszony – i skłonił się rzucając spojrzenie na króla, który, był świadkiem tej sceny.

Nadszedł dzień obiadu u generała; zaproszeni byli tylko stary hrabia i jego protegowany.

„Nogi pod stołem – myślał Jerzy – początek zrobiony!”

I rzeczywiście początek został zrobiony podczas uroczystości u generałostwa.

Jerzy ukazał się i jak to generałowi było wiadome, zachowywał się jak człowiek z najlepszego towarzystwa, był bardzo interesujący i generał musiał wiele razy powtarzać *charmant*. Generałowa rozpowiadała wszystkim o tym obiedzie, opowiedziała nawet jednej z dam dworu i ta (a była to jedna z najbardziej wykształconych) prosiła, aby ją kiedyś zaprosić razem z profesorem, trzeba go więc było jeszcze raz zaprosić i zaproszono go. Był znowu czarujący, potrafił także grać w szachy.

– On nie jest z sutereny – twierdził generał – on jest na pewno synem jakiegoś wielkiego pana. Takich jest wielu i biedny chłopak nie jest temu winien.

Profesor, który bywał na królewskim dworze, mógł przecież bywać w domu generała, ale o nawiązaniu bliższych stosunków nie było mowy, chociaż całe miasto o tym mówiło.

Rosa łaski spłynęła z nieba.

Nikt też się nie dziwił, że kiedy profesor został radcą stanu, Emilka została radczynią.

– Życie jest tragedią lub komedią – powiedział generał – w tragedii ludzie umierają, a w komedii pobierają się.

Tutaj pobrali się. Urodziło się trzech zdrowych chłopców, ale nie od razu.

Milutkie dzieci, gdy były z wizytą u dziadków, jeździły na drewnianych konikach po pokojach i salonach. I generał także jeździł za nimi na drewnianym koniku – „w roli dżokeja małych radców stanu”.

Generałowa siedziała na kanapie i uśmiechała się, nawet gdy miała migrenę.

Tak daleko zaszedł Jerzy i jeszcze dalej: inaczej nie opłacałoby się nam przecież opowiadać historii o synu dozorca.

PIERWIOSNEK

Była mroźna zima i dął ostry wicher, ale pod dachem było ciepło i zacisznie, spoczywał tam kwiatek, ukryty w swojej cebulce głęboko pod ziemią i pod śniegiem. Pewnego dnia spadł deszcz; krople dotarły poprzez śnieżną powłokę do ziemi, dotknęły cebulki i opowiadały o świecie pełnym blasku słonecznego; wkrótce dotarł tam także promień słońca, przedostał się poprzez śnieg aż do cebulki i ukłuł ją.

– Chodź do mnie! – powiedział kwiatek.

– Nie mogę – odrzekł promień słońca – jestem jeszcze zbyt osłabiony, by cię ogrzać; w lecie będę gorętszy.

– Kiedy będzie lato? – spytał kwiatek i powtarzał to pytanie za każdym razem, gdy docierał do niego promyk słońca. Ale do lata było jeszcze daleko; wszędzie leżał śnieg, co noc zamarzała woda w stawie.

– Jakże to długo! Jak długo! – powiedział kwiatek. – Czuję, jak mnie coś swędzi, chciałbym się wyprostować, wyciągnąć, otworzyć mój kielich i przywitać się z latem. Tęsknię już do tych błogich czasów! – Kwiatek wyprężył się, wyprostował i napierał na cienką, miękką skorupę, aż ją przebił i wyrósł spod śniegu. Miał jasnozielone pączki, zieloną łodygę i wąskie, mięsiste liście ochraniające te pączki. Śnieg go ziębił, a ogrzewał blask słońca, z każdym dniem cieplejszy. Wreszcie pojawiło się słońce o wiele gorętsze niż dotychczas i poczęło zmniejszać grubość śnieżnej pokrywy.

– Witaj, witaj! – śpiewał każdy promyk słońca, pieścił i całował kwiatek, aż ów otworzył się całkiem. Biały jak śnieg, pomalowany w zielone paski. Pochylił główkę, pełen radości i pokory.

– Prześliczny kwiat – mówiły promyki słońca. – Jaki świeży i delikatny! Jesteś pierwszym, jesteś jedynym! Jesteś naszym ukochaniem. Zwiastujesz lato, piękne lato, które zawita do wsi i miast, gdy cały śnieg się roztopi, zimne wichury odlecą daleko, ciepło zapanuje i wszystko się zazieleni. Nie będziesz sam, wyrosną twoi towarzysze: bez, złoty deszcz i nareszcie róże, ale ty jesteś pierwszy, jesteś delikatny i śliczny.

Było mu bardzo przyjemnie. Zdawać się mogło, że powietrze śpiewa i dzwoni, że promyki słońca przedostaną się do płatków i łodyg. Rósł sobie ten kwiatusek delikatny i kruchy, a

jednocześnie mocny w swej młodej krasie, rósł w białej sukience z zielonymi wstęgami na chwałę lata. Ale do lata było jeszcze daleko, chmury zakryły słońce, owiały go ostre wichry.

– Przyszedłeś trochę za wcześnie, kwiatku – mówiły wichry i deszcz. – My tu jeszcze panujemy, odczujesz naszą moc i ulegniesz jej. Mogłeś zostać jeszcze w domu, nie wychodzić na świat, bo przecież nie nadszedł twój czas.

Było przeraźliwie zimno. Nadeszły dni pochmurne, pozbawione promyka słońca: mały kwiatek zmarzłby doszczętnie, posiadał jednak więcej sił, niż mu się zdawało. Był silny radością i wiarą w nadejście lata, które mu zwiastowała jego głęboka tęsknota i potwierdzały gorące promienie słońca; stał więc, pełen ufności, w białym stroju, pośród białego śniegu, pochylając główkę pod uderzeniami ciężkich śniegowych płatków i pod lodowatymi podmuchami wichrów.

– Złamiemy cię – mówiły do kwiatka – zwiędnieš, zmarzniesz. Czegóż tu szukasz na świecie? Po cóż dałeś się zmamić? Promień słońca cię zwiódł. Dobrze ci tak, ty pierwiosnku!

– Pierwiosnek! – powtórzył kwiat pewnego zimnego poranka.

– Pierwiosnek! – wołały dzieci, które przyszły do ogrodu. – Patrzcie, wyrósł tam taki piękny, uroczy kwiatek, pierwszy, jedyny!

Słowa te złagodziły niedolę kwiatka; były jak ciepłe promienie słońca. Kwiat nie spostrzegł w swej radości, że został zerwany; spoczywał w małej rączce, całowany przez dziecięce usteczka, potem zabrano go do ciepłego pokoju, gdzie wszyscy patrzyli na niego serdecznie; wsadzono go do wody, która go wzmocniła i ożywiła. Kwiat myślał, że to już wiosna.

Córeczka pani domu, urocza, mała dziewczynka, przystąpiła właśnie do konfirmacji; miała ona kochanego, małego przyjaciela, który także był konfirmowany, czytał Pismo święte.

– Kwiat będzie moim pierwiosnkiem – powiedziała dziewczynka, potem wzięła go i zawinęła w kawałek pachnącego papieru zapisanego wierszami o kwiatach. Wiersze zaczynały się i kończyły pierwiosnkiem.

– Drogi przyjacielu, bądź pierwzimkiem – drażniła go, przesyłając pierwiosnek.

Wszystko to zawierał wiersz, który włożono do koperty; kwiat leżał w środku listu. Dookoła niego zalegały ciemności jak wówczas, gdy leżał w cebulce. Kwiat pojechał daleko, leżał w torbie listonosza, wygnieciony i spłaszczony, nie było to wcale przyjemne, ale skończyło się.

Podróż się skończyła, list otworzono i kochany przyjaciel przeczytał go; był taki zadowolony, pocałował kwiat i włożył go wraz z wierszem do pudełka, gdzie leżało już więcej pięknych listów, ale bez kwiatków. Ten kwiatek był tu pierwszym, jedynym, jak mówiły promyki słońca, i

ta myśl sprawiała mu przyjemność. Miał zresztą wiele czasu do rozmyślań; myślał, a tu upływało lato, a tu upływała długa zima, a kiedy znowu przyszło lato, wyjęto go z pudełka. Ale młodzieniec wcale nie był wesoły; z wściekłością schwycił papiery, wiersze tak rzucił, że kwiat upadł na ziemię, był zwiędły i spłaszczony; ale to nie powód, żeby go rzucić na ziemię; zawsze to jednak lepiej niż znaleźć się w ogniu, który pożarł i listy, i wiersze.

Cóż się takiego stało? To, co się często zdarza. Kwiat zwiędł młodzieńca. Był tylko żartem, dziewczyna oszukała go nie na żarty. Latem znalazła sobie innego przyjaciela.

Rankiem słońce oświetliło mały, spłaszczony pierwiosnek. Wyglądał jak wymalowany na podłodze. Służąca, sprząając pokój, podniosła go, włożyła do jednej z książek, leżącej na stole; myślała, że wypadł na ziemię podczas sprząwania i porządkowania. I kwiat leżał znowu między wierszami, pomiędzy drukowanymi wierszami, które są wytworniejsze od pisanych, w każdym razie wydano na nie więcej pieniędzy.

Upłynęło wiele lat; książkę wyjęto z półki i otworzono; były to piękne wiersze i pieśni duńskiego poety Ambrożego Stuba.

Człowiek czytający książkę przewrócił kartkę.

– Leży tu pierwiosnek – powiedział. – Ma to swoje znaczenie, że go do tej książki włożono; biedny Ambroży Stub! I on także był pierwiosnkiem, zwiastunem poezji. Zjawił się za wcześnie jak na swoje czasy, dlatego spotkały go deszcze i ostre wichry; musiał objeżdżać dwory na Fionii jak kwiat w szklanym naczyniu, jak kwiat w rymowanym liście. Pierwiosnek, zwiastun lata i zimy, dowcipniś i błazen, a przecież był on pierwszym, jedynym, pełnym młodzieńczej świeżości duńskim poetą. Spoczywaj w tej książce jako jej symbol, ty mój mały pierwiosnku! Po to cię tutaj włożono,

I kwiatek znalazł się znowu w książce, czuł się tym zaszczycony i cieszył się, że jest zakładką we wspaniałej książce z pieśniami, że i ten, który pierwszy o nim pisał, był także zwiastunem lata, także pojawił się w zimie i był pośmiewiskiem wszystkich. Kwiat rozumiał to na swój sposób, tak samo jak my rozumiemy wszystko na swój sposób.

Oto jest baśń o pierwiosnku!

KTO BYŁ NAJSZCZĘŚLIWSZY

Jakie piękne róże! – powiedział promyk słońca. – Każdy pączek zakwitnie i będzie taki sam piękny. To są moje dzieci, mój pocałunek tchnął w nie życie!

– To moje dzieci – powiedziała rosa. – Wykarmiłam je mymi łzami.

– Wydaje mi się, że to ja jestem ich matką – powiedział różany krzak. – Wy jesteście tylko chrzestnymi rodzicami, ofiarowaliście im podarunki w miarę waszych możliwości i dobrej woli.

– Moje najpiękniejsze różane dzieci – powiedzieli wszyscy troje i życzyli każdemu kwiatkowi wiele szczęścia, lecz tylko jedna róża mogła być najszczęśliwsza, a jedna musiała być tą najmniej szczęśliwą; ale która?

– Dowiem się – powiedział wiatr. – Pędzę daleko dookoła, przeciskam się przez najmniejszą szparę, wiem, co się dzieje w domu i na dworze.

Każda rozkwitła róża słyszała tę rozmowę, każdy rozkwitający pąk słyszał także.

Przez ogród przechodziła nieutulona w żalu, kochająca matka, czarno odziana; zerwała jedną z róż, która była na pół rozkwitła, świeża i pełna i wydawała jej się najpiękniejsza ze wszystkich. Zniosła kwiat do cichego, niemego pokoju, gdzie jeszcze przed paroma dniami cieszyła się życiem jej młoda córka, a teraz leżała sztywna w czarnej trumnie jak senny posąg z marmuru. Matka pocałowała umarłą, potem ucałowała na pół otwartą różę i położyła ją na piersi umarłej, młodej dziewczyny, jak gdyby świeżość róży i pocałunek matki mogły na nowo poruszyć serce dziecka.

Zdawało się, że róża stała się pełniejsza, każdy listek drżał pod wpływem radosnych myśli:

„Dana mi była droga miłości; jestem jak dziecko zrodzone z człowieka, mam pocałunek matki, mam słowa błogosławieństwa i idę wraz z tym dzieckiem do nieznanego kraju, śniąc na łonie zmarłej; na pewno to ja jestem najszczęśliwsza ze wszystkich moich sióstr.”

Przez ogród, gdzie rósł różany krzew, szła stara kobieta, która pełna; ujrzała cudny krzew, a na nim największą, najbardziej rozwiniętą różę. Jeszcze jedna kropla rosy i jeden gorący dzień – a płatki opadną; kobieta wiedziała o tym i orzekła, że róża spełniła już swe zadanie w służbie piękna; teraz musi służyć pożytkowi. Zerwała różę, zawinęła ją w gazetę i zniosła do domu, gdzie były inne przekwitłe róże, miano z nich zrobić „potpourri”; miano zmieszać jej płatki z

małymi, niebieskimi chłopczykami, które zwano „lawendowymi smykami”, zabalsamować przy pomocy soli. Tylko królowie i róże bywają zabalsamowani.

– To ja dostąpiłam największego honoru – powiedziała róża, podczas gdy kobieta ją zrywała.
– Ja będę najszcześniejsza. Będę zabalsamowana!

Do ogrodu przyszło dwóch młodzieńców, jeden był malarzem, a drugi poetą; każdy z nich zerwał jedną piękną różę.

Malarz wymalował na płótnie kwitnącą różę tak, że zdawać się mogło, iż odbija się w lustrze.

– W ten sposób będzie żyła przez wiele setek lat, podczas gdy miliony i znowu miliony róż zwiędną i umrą – rzekł malarz.

– Mnie się powiodło lepiej – powiedziała róża – przypadło mi największe szczęście.

Poeta obejrzał swą różę, napisał o niej wiersz, całe misterium; wszystko, co wyczytał z każdego różanego płatka: *Księga obrazów miłości*. Był to nieśmiertelny poemat.

– Stałam się nieśmiertelna – powiedziała róża – jestem najszcześniejsza.

Ale pośród wspaniałych róż była jedna, zakryta prawie całkiem przez inne róże; na skutek przypadku czy też szczęśliwego zbiegu okoliczności miała wadę, siedziała krzywo na łodydze i listki były po dwóch stronach rozłożone niesymetrycznie, a nawet w środku samego kwiatu wyrastał mały, skarłowaciały, zielony listek, zdarza się to czasem różom.

– Biedne dziecko – powiedział wiatr i pocałował w policzek właśnie tę różę. Róża myślała, że to pozdrowienie, hołd; było jej przyjemnie, że wygląda inaczej niż inne róże, a ponieważ z jej wnętrza wyrastał mały zielony listek, uważała to za pewne wyróżnienie. Usiadł na niej motylek i ucałował jej płatki, uważała go za konkurenta, ale pozwoliła mu odlecieć. Potem zjawił się duży konik polny; usiadł on wprawdzie na innej róży i pocierał sobie skrzydełka łapkami, u koników polnych jest to dowód zakochania; róża na której siedział, nie rozumiała tego, ale za to zrozumiała go róża z odznaką, z zielonym, skarłałym listkiem wyrastającym z jej środka, gdyż na nią patrzył konik polny oczami, które mówiły:

– Mógłbym cię zjeść z czystej miłości, a bardziej już chyba nie można kochać, niż gdy jedna istota pochłania drugą! – Ale róża nie chciała, by ją zjadł konik polny. W gwiazdzistą, jasną noc śpiewał słowik.

– To tylko dla mnie – mówiła róża z wadą czy też wyróżnieniem. – Dlaczego to mam być we wszystkim uprzywilejowana wobec moich sióstr? Dlaczegoż to otrzymałam ten znak, który mnie czyni najszcześniejszą?

Do ogrodu przyszło dwóch panów palących cygara; rozmawiali o różach i o tytoniu: podobno róże nie znoszą zapachu tytoniu, zmieniają barwę, stają się zielone, chcieli to wypróbować. Woleli nie zrywać najpiękniejszych róż, wybrali więc tę z wadą.

– Cóż za nowe wyróżnienie – powiedziała róża. – Jestem niezmiernie szczęśliwa! Najszczęśliwsza!

I pozieleniała pod wpływem dumy i tytoniu.

Inna róża na poły jeszcze w paku, może najładniejsza z całego krzewu, dostała się na główne miejsce w artystycznie związanym bukiecie ogrodnika; zabrano ją do domu młodego, możnego pana i pojechała z nim razem karetą; tkwiła pomiędzy innymi kwiatami i piękną zielenią jako najpiękniejsza; dostała się tam, gdzie było uroczyście i radośnie. Panowie i panie siedzieli w blasku tysięcy lamp, muzyka grała, sala teatralna zalana była światłem, a kiedy pośród burzliwych okrzyków oklaskiwana młoda tancerka ukazała się na scenie, do jej nóg spadł cały deszcz kwiatów, bukiet obok bukietu. Upadł także bukiet, w którym tkwiła cudowna róża jak drogocenny kamień; czuła ona w całej pełni niesłychane szczęście, zaszczyt, blask, który ją otoczył; dotknęła ziemi i zaczęła tańczyć, podskakiwać, przeskakiwała deski i padając odłączyła się od łodygi. Nie doszła do rąk tej, której składano hołdy, potoczyła się za kulisy, gdzie wzięła ją chłopak maszynista, zobaczył, jaka była piękna i jak cudownie pachniała, chociaż nie miała łodygi. Wsadził ją do kieszeni i kiedy wieczorem wrócił do domu, włożył ją do kieliszka od wódki, gdzie całą noc przeleżała w wodzie. Wczesnym rankiem postawiono ją przed starą babką, która bezsilnie siedziała w fotelu. Babka spojrzała na piękną, złamaną różę i ucieszyła się jej zapachem.

– Nie stoisz na stole u bogatej, wytwornej panny, tylko u ubogiej, starej kobiety, ale tutaj jesteś jak cały różany krzew; jakże jesteś piękna!

I staruszka patrzyła z dziecięcą radością na kwiat, myślała pewnie o dawno minionych latach świeżej młodości.

– W szybie była dziura – powiedział wiatr – mogłem się tam z łatwością dostać – widziałem błyszczące młodością oczy staruszki i ułamaną, piękną różę w kieliszku od wódki. Najszczęśliwszą ze wszystkich róż. Wiem o tym. Mogę to o niej powiedzieć.

Każda róża z krzewu w ogrodzie miała swoją historię. Każda myślała, że jest właśnie najszczęśliwsza, a wiara uszczęśliwiała. Ale ostatnia róża na krzaku myślała, że jednak jej szczęście przewyższa inne.

- Ja przeżyłam wszystkie. Jestem ostatnia, jedyna, najukochańsze dziecko matki.
- A ja jestem matką ich wszystkich – powiedział krzak różany.
- Ja! – powiedział promień słońca.
- I ja! – powiedział wiatr i pogoda.
- Każdy ma w tym jakąś swoją częśćkę – powiedział wiatr. – I każdy otrzyma swoją częśćkę.
- To mówiąc wiatr rozwał różane płatki po żywopłocie, gdzie lśniły krople rosy i świeciły promienie słońca. – To jest moja częśćka – powiedział wiatr. – Widziałem dzieje każdej róży i opowiem je teraz po całym świecie.

Powiedz mi teraz ty, która z róż była najszczęśliwsza? Musisz to powiedzieć, bo ja już się dosyć naopowiadałem.

CO SIĘ ZDARZYŁO OSTOWI

W bogatej posiadłości ziemskiej był piękny, starannie utrzymany ogród, gdzie rosły rzadkie drzewa i kwiaty; goście odwiedzający dwór zachwycali się nim. Ludzie z okolicznych wsi i handlowych miast przybywali w niedziele i święta, prosili o pozwolenie obejrzenia ogrodu, całe szkoły go zwiedzały.

A przed ogrodem, koło płotu przy polnej drodze, rósł potężny oset; miał wielkie łodygi, podzielone na wiele gałęzi, tak, że można go było nazwać całym krzewem. Nikt go nie oglądał prócz starego osła, który ciągnął wózek mleczarski. Osioł wyciągał chciwie szyję w stronę ostu i mówił:

– Jesteś śliczny! Mam ochotę zjeść cię! – Ale powróż był za krótki, aby osioł mógł dosięgnąć ostu i zjeść go.

We dworze było wielkie przyjęcie, bawili tam wysoko urodzeni krewni ze stolicy, młode piękne dziewczyny, a pośród nich jedna dziewczyna z daleka; przybyła ze Szkocji, pochodziła z arystokratycznej rodziny, miała wielkie dobra i dużo złota, była więc odpowiednią i świetną kandydatką na żonę. Tak mówili niektórzy młodzi ludzie, a także i wiele matek.

Młodzież bawiła się na trawnikach i grała w krokiet, inni przechadzali się wśród kwiatów, a każda panna zrywała po kwiatku i wkładała do butonierek młodzieńcom; ale młoda panienska ze Szkocji rozglądała się długo dookoła i długo wybierała, żaden z kwiatów nie podobał jej się, wyjrzała za sztachety, rósł tam krzew ostu ze swymi sinoczerwonymi, okazałymi kwiatami. Panna przyjrzała mu się i uśmiechnąwszy się poprosiła syna gospodarza, aby zerwał jeden z tych kwiatów.

– To kwiat Szkocji – powiedziała – mamy go w naszym herbie. Proszę mi go dać.

Młody człowiek podał jej najładniejszy oset i pokłuił sobie palce jak o najostrzejszy cień róży.

Dziewczyna wetknęła kwiat ostu do butonierki młodzieńca, który uważał to za zaszczyt. Każdy z innych młodzieńców oddałby chętnie swój wspaniały kwiat, aby tylko otrzymać oset z delikatnych rączek pięknej Szkotki. A skoro syn domu uważał to za zaszczyt, to cóż dopiero oset; zdawało mu się, że przenika go rosa i blask słoneczny.

– Jestem czymś więcej, niż przypuszczałem – mówił sam do siebie. – Nie pochodzę właściwie spod płotu, tylko z ogrodu. Czasem dostaję się w nieodpowiednie miejsce na świecie. Ale teraz już jeden z moich kwiatów jest po tamtej stronie płotu i nawet w butonierce.

Opowiadał o tej historii każdemu rozwijającemu się pączkowi i upłynęło zaledwie parę dni, gdy krzew ostu usłyszał nie od ludzi i nie ze świergotu ptaków, tylko z samego powietrza, które bierze w siebie dźwięki i posyła je dalej, z najbardziej ukrytych ścieżek ogrodowych, z pokojów pałacowych, gdzie drzwi i okna stały otworem, że młody pan, który otrzymał z rąk szkockiej panny kwiat ostu, posiadał także jej rękę i serce. Była to piękna para i dobrane małżeństwo.

„To ja ich wyswatałem” – myślał oset i wspominał swój kwiat, który dostał się do butonierki. Każdy na nowo rozkwitający kwiat musiał wysłuchać tej historii.

„Na pewno przesadzą mnie do ogrodu – myślał oset – może wsadzą mnie do doniczki, w której jest tak ciasno, to byłby największy zaszczyt.”

Krzew ostu myślał o tym tak żywo, że mówił z całym przekonaniem:

– Wsadzą mnie do doniczki.

Zapowiedział on każdemu małemu kwiatkowi, który się ukazał, że przeniesie się do doniczki, może nawet stanie się ozdobą butonierki. To było coś najwyższego, co można było osiągnąć, ale nikt nie dostał się do doniczki, nie mówiąc już o butonierce; kwiaty wchłaniały powietrze i światło słoneczne, łykały promienie w dzień, a w nocy piły rosę; kwitły, przyjmowały odwiedziny pszczół i bąków, które szukały posagu, miodu w kwiatach, wysysały ich słodycz, a kwiaty porzucały.

„Rozbójnicy – myślał oset. – Gdybym ich mógł przekłuć! Ale nie mogę.”

Kwiaty zwieszały główki, wiedły, ale zaraz rozwijały się nowe pąki.

– Przychodźcie jak na zawołanie! – powiedział krzew ostu. – Oczekuję, że lada chwila przesadzą nas na tamtą stronę płotu.

Kilka niewinnych stokrotek i mleczków rosło w pobliżu ostu i słuchały go z głębokim podziwem, wierząc we wszystko, co mówił.

Stary osioł, ciągnący wózek z mlekiem, zerkał z drogi ku kwitnącemu ostowi, ale powróż był za krótki i nie mógł dosięgnąć krzewu.

Oset tak długo myślał o ostach Szkocji, do której to rodziny zaczął się zaliczać, aż w końcu sam uwierzył w to, że pochodzi ze Szkocji, że jego rodzice i przodkowie ozdabiali herb tego kraju. Była to wielka myśl, ale przecież wielki oset może mieć wielkie myśli.

– Często nie wie się nawet o tym, z jak wytwornej rodziny się pochodzi – mówiła pokrzywa rosnąca tuż obok ostu. I ona również miała poczucie, że gdyby lepiej się z nią obchodzono, mogłaby służyć do wyrobu płótna.

Przeszło lato i przyszła jesień; z drzew spadały liście, kwiaty były barwniejsze, ale słabiej pachniały.

Ogrodniczek śpiewał w ogrodzie, śpiew jego rozbrzmiewał aż na drugą stronę płotu:

*Najpierw w górę, potem w dół,
Jak się zdarzy,
Oto cały mego życia kalendarzyk...*

Młode sosenki w lesie zaczęły odczuwać tęsknotę do Bożego Narodzenia, ale do świąt było jeszcze daleko.

– Stoję tu jeszcze – powiedział oset. – Ale wydaje mi się, że nikt o mnie nie myśli, a przecież wyswatałem małżeństwo; zaręczyli się, a potem pobrali się. Przed tygodniem był ich ślub. Nie uczynię ani jednego kroku, gdyż nie potrafię.

Upłynęło jeszcze parę tygodni. Oset miał już tylko ostatni kwiat, wielki i pełny, który zakwitł na głównej łodydze. Zimny wiatr dał na niego, barwy płowiały, przepych niknął, ale zostało dno kwiatu wielkie jak kwiat karczocha, a wyglądało ono jak posrebrzany słonecznik.

Aż tu do ogrodu weszła młoda para, teraz już jako mąż i żona; szli wzdłuż płotu, młoda kobieta wyjrzała za płot.

– Stoi tu jeszcze ten wielki oset – powiedziała – ale już nie ma kwiatów.

– Oto upiór ostatniego z kwiatów – powiedział mąż i pokazał na mieniące się srebrem resztki, które przecież były kiedyś kwiatem.

– Jakie to piękne! – powiedziała żona. – Trzeba to wyrzeźbić na ramie otaczającej nasz portret.

Młodzieniec musiał znowu przejść przez płot i zerwać kwiat. Oset ukłuł go przy tym w palec za to, że nazwał go upiorem. Kwiat dostał się do ogrodu, do pałacu i do salonu, stał tam obraz przedstawiający młodą parę. W butonierce młodego pana namalowany był oset. Mówiono o tym i mówiono o dnie kwiatu, które zostało zerwane, o srebrzystej resztkce kwiatu, która tak nadawała się do rzeźbionej ramy. A powietrze rozniosło odgłos tej rozmowy po całej okolicy.

– Jak wiele może się zdarzyć na tym świecie – mówił krzew ostu. – Mój pierwotny kwiat dostał się do butonierki, a mój beniaminek dostał się na ramkę. Co się ze mną stanie?

A na skraju drogi stał osioł i zerkał w stronę krzewu.

– Chodź do mnie, mój skarbie, bo ja nie mogę do ciebie przyjść, powróż jest za krótki.

Krzew ostu jednak nie odpowiadał. Coraz bardziej pograżał się w swych rozmyślaniach; myślał i myślał aż do samych świąt Bożego Narodzenia, aż myśl jego rozkwitła jak kwiat.

– Gdy dzieciom dobrze w ogrodzie, matka może się zadowolić nawet miejscem za płotem.

– To bardzo szlachetna myśl – powiedział promień słońca. – Toteż i ty dostaniesz dobre miejsce.

– W doniczce czy też w ramie? – spytał oset.

– W bajce – odpowiedział promień słońca. I tak się właśnie stało.

HISTORIA NAJMNIJ PRAWDOPODOBNA

Ten, kto dokona czegoś najbardziej nieprawdopodobnego, otrzyma rękę księżniczki i połowę królestwa.

Młodzi ludzie, ba, nawet i starzy, wyteżali swoje wszystkie myśli, pragnienia i muskuły; dwóch najadło się tak, że obaj umarli, jeden zapił się na śmierć, aby według swego mniemania dokonać czegoś najnieprawdopodobniejszego; wszystko to jednak nie osiągało celu.

Mali ulicznicy wprawiali się w sztukę plucia sobie na plecy, uważali to za najnieprawdopodobniejsze.

Oznaczonego dnia każdy miał wykazać, czego dokonał. Sędziów wyznaczono od trzyletnich dzieci do dziewięćdziesięcioletnich starców. Zebrała się cała wystawa rzadkich przedmiotów, ale wszyscy zgodzili się na jedno, że najnieprawdopodobniejszy ze wszystkiego był duży, pokojowy zegar w futerale, niezwykle wymyślny z zewnątrz i wewnątrz. Przy każdym uderzeniu zegara ukazywały się żywe obrazy, które wyobrażały to, co wybił zegar. Było to dwanaście obrazów z ruchomymi figurami, które śpiewały i gadały.

– To jest najnieprawdopodobniejsze – mówili ludzie.

Zegar bił raz, a wtedy ukazywał się Mojżesz na górze i wypisywał na tablicy pierwsze przykazanie: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną.”

Gdy zegar bił dwa razy, ukazywał się rajski ogród, gdzie spotykali się Adam i Ewa; oboje byli bardzo szczęśliwi, chociaż nie posiadali nawet szafy do ubrań, ale nie potrzebowali jej wcale.

Gdy zegar bił trzy razy, ukazywali się Trzej Królowie, jeden z nich był czarny jak węgiel, ale nic na to nie mógł poradzić, słońce go tak opaliło. Zjawiali się z kadzidłami i kosztownościami.

Biła godzina czwarta i pojawiały się cztery pory roku: wiosna z kukułką na świeżej bukowej gałęzi, lato z konikiem polnym na dojrzałym kłosie żyta, jesień z pustym gniazdem bocianim, gdyż ptaki odfrunęły, zima ze starą wroną, która w kącie za piecem opowiadała, bajki, stare wspomnienia.

Gdy zegar bił piątą, zjawiało się pięć zmysłów: wzrok przybywał jako optyk, słuch jako kowal, węch sprzedawał fiołki i konwalie, smak był kucharzem, a dotyk żałobnikiem w czarnej

zasłonie spadającej aż do pięt.

Biła szósta; zjawiał się gracz i wyrzucał kostkę, którą wskazywała największy numer: szóstkę.

Potem przychodziło siedem dni tygodnia lub siedem grzechów głównych, co do tego ludzie nie mogli się zgodzić, ale dni tygodnia i grzechy to jedno i to samo i trudno je rozłączyć.

Potem przychodził chór mnichów, którzy intonowali mszę poranną odbywającą się o ósmej godzinie.

Gdy wybijał dziewiątą, ukazywało się dziewięć muz, jedna była przydzielona do astronomii, druga do archiwum, a reszta do teatru.

Zegar bił dziesięć razy, wtedy występował znowu Mojżesz z tablicą praw, były na niej wypisane wszystkie przykazania, a było ich dziesięć.

Znowu wybił zegar, wtedy wyskoczyły z niego małe dziewczynki i mali chłopcy, bawiąc się w gry i śpiewając: „Rąbie, rąbie siekiereczka, rąbie jedenaście!” I była to rzeczywiście jedenasta.

Teraz wybił dwunastą, wtedy wystąpił stróż nocny w kapturze na głowie i z gwiazdą poranną i zaśpiewał starą piosenkę stróżowską:

O północnej godzinie

Narodził się nam Zbawiciel.

I podczas gdy śpiewał, dookoła wyrastały róże, które przemieniały się w główki aniołów i unosiły się w górę na tęczyowych skrzydełkach.

Było czego słuchać i było na co patrzeć! Całość była niezwykłym dziełem sztuki.

– Tak, to było coś najbardziej nieprawdopodobnego – mówili wszyscy ludzie.

Artystą był młody człowiek, dobry i wesoły jak dziecko, był on wiernym przyjacielem i pomagał swoim biednym rodzicom; zasłużył na rękę księżniczki i na połowę królestwa.

Nadszedł rozstrzygający dzień, całe miasto było przystrojone, księżniczka siedziała na państwowym tronie, który został wypchany świeżym włosiem, ale nie stał się przez to ani wygodniejszy, ani przyjemniejszy. Sędziowie patrzyli tak chytrze na tego, który miał zwyciężyć, a on stał wesoło i pogodnie, jego szczęście było przecież pewne, uczynił coś najnieprawdopodobniejszego.

– Nie, to ja zwyciężę! – zawołał nagle w tej chwili jakiś wielki, kościsty siłacz. – Jestem w stanie dokonać czegoś najnieprawdopodobniejszego.

– I to mówiąc podniósł wielką siekierę na dzieło sztuki.

Trach, trach! – wszystko się rozleciało. Kółka i sprężyny, wszystko zostało zniszczone.

– Oto, co potrafię zrobić! Zniszczyłem jego dzieło i zaskoczyłem was wszystkich; ja dokonałem czegoś najnieprawdopodobniejszego.

– Takie dzieło zniszczyć – powiedzieli wszyscy sędziowie. – Tak, to nieprawdopodobne.

Wszyscy mówili to samo, miał więc siłacz otrzymać rękę księżniczki i połowę królestwa. Gdyż skoro się obiecało, trzeba dotrzymać obietnicy, nawet najnieprawdopodobniejszej.

Z wałów i wszystkich wież miasta roztrąbiono na wszystkie strony:

„Oto odbędzie się wesele!”

Księżniczka wcale nie była zadowolona, ale ładnie wyglądała i pięknie była ubrana. Kościół jaśniał od świateł późnym wieczorem, tak jest bowiem ładnie.

Szlachetnie urodzone córki miasta śpiewały chórem i prowadziły pannę młodą, rycerze śpiewali chórem i prowadzili pana młodego; ten pysznił się i puszył, jak gdyby nic nie potrafiło go przełamać.

Ustał śpiew, zrobiło się cicho, że można było usłyszeć szpilkę spadającą na ziemię, ale pośród tej ciszy otworzyły się z hukiem i chrzęstem wielkie wrota kościoła i – bum, bum! – przez nawę kościelną wkroczył zegar z całą maszyną i ustawił się pomiędzy oblubieńcem a oblubienicą. Wiemy przecież dobrze, że umarli ludzie nie mogą zmartwychwstać, ale dzieło sztuki może ożyć, jego powłokę materialną połamano na kawałki, ale został duch – duch kunsztownego zegara straszyl, to był strach nie na żarty.

Zegar stał żywy jak wtedy, gdy był cały i nienaruszony. Dźwięki zegara zabrzmiały jeden po drugim, aż do dwunastu, i postacie wychodziły na zewnątrz. Najpierw Mojżesz; czoło jego jaśniało jak płomień; rzucił na nogi pana młodego ciężką tablicę z dziesięciorgiem przykazań i przygwoździł go w ten sposób do posadzki kościoła.

– Nie mogę podnieść tablicy – powiedział Mojżesz. – Obciąłeś mi ręce, więc teraz stój tam, gdzie stoisz.

Potem przyszli Adam i Ewa, Trzej Królowie i cztery pory roku i wszyscy mówili panu młodemu nieprzyjemne prawdy:

– Wstydz się!

Ale on się nie wstydział.

Wszystkie te postacie, które ukazywały się co godzinę, wystąpiły z zegara i urosły do nieprawdopodobnych rozmiarów; zdawało się, że nie było tam już miejsca dla zwykłych ludzi. A

przy dwunastym uderzeniu ukazał się stróż nocny w kapturze z gwiazdą poranną, powstał wielki ruch; stróż nocny skierował się wprost do pana młodego i uderzył go gwiazdą poranną w czoło.

– Leż tu! – powiedział. – Jak ty mnie, tak ja tobie. Jesteśmy pomszczeni i nasz mistrz także. Teraz znikamy!

I cały kunsztowny zegar zniknął; ale świece palące się w kościele przemieniły się w wielkie, świetliste kwiaty, od złożonych gwiazd pod sufitem padały długie, jasne promienie, a organy grały same z siebie.

Wszyscy ludzie mówili, że było to coś najnieprawdopodobniejszego, co kiedykolwiek przeżyli.

– Może zawołacie teraz prawdziwego pana młodego – powiedziała księżniczka. – Ten, który stworzył to niezwykle dzieło sztuki, będzie moim mężem i panem.

A on był obecny w kościele; cały lud tworzył jego orszak; wszyscy się cieszyli i wszyscy błogosławili go. I nikt mu nie zazdrościł.

To było najnieprawdopodobniejsze.

WIELKI WĄŻ MORSKI

Była sobie pewnego razu mała, morska rybka, pochodziła z dobrej rodziny; nie moge sobie przypomnieć, jak się nazywała, ale to ci uczeni powiedzą. Rybka miała tysiąc osiemset siostr, wszystkie w jednym wieku; nie znały one ani ojca ani matki, musiały od razu same dbać o siebie i same pływać dookoła, ale sprawiało im to dużą przyjemność. Miały pod dostatkiem wody do picia, całe morze, o pożywieniu nie myślały, jakoś tam je zdobędą; każda z nich chciała robić to, co jej się podoba, każda chciała żyć swoim życiem, ale żadna się nad tym nie zastanawiała.

Słońce przedostawało się do wody i połyskiwało w jej głębi, woda była tak przezroczysta, że widać było cały świat, w którym znajdowały się dziwaczne stworzenia; niektóre były przeraźliwie duże, o olbrzymich paszczach, mogły one połknąć od razu tysiąc osiemset siostrzyczek, ale rybki i nad tym się nie zastanawiały, bo dotychczas żadna z nich nie została pożarta.

Rybki pływały razem, tuż przy sobie, tak jak pływają śledzie i makrele; ale podczas gdy pływały sobie w wodzie, o niczym nie myśląc, z góry spadł pomiędzy nie z hałasem jakiś długi, ciężki przedmiot, który zdawał się wcale nie kończyć; rozciągał się daleko, był coraz dłuższy i przygniatał każdą małą rybkę, która mu się nawinęła, przygniatał albo uderzał tak mocno, że potem wcale nie mogła przyjść do siebie. Wszystkie małe rybki, a także i duże, pływające w morzu, uciekały przerażone aż do samego dna, ciężki, potężny przedmiot pograżał się głębiej i głębiej, był coraz dłuższy, długi na całe mile, poprzez całe morze. Ryby i ślimaki, wszystko, co pływa, wszystko, co pełza lub daje się unosić prądowi, spostrzegło to straszne stworzenie, tego nie kończącego się, nieznanego morskiego węgorza, który tak nagle zjawił się z góry.

Cóż to było za stworzenie? Wiemy przecież. Był to wielki, długi na mile kabel telegraficzny, założony przez ludzi pomiędzy Europą a Ameryką.

Pośród prawowitych mieszkańców morza, wszędzie, gdzie się zagłębiał kabel, powstawał popłoch i przerażenie. Fruwająca ryba wzniosła się w górę aż ponad powierzchnię morza, jak tylko mogła najwyżej, mrucek wyskoczył jak z procy ponad powierzchnię wody, bo potrafił skakać; inne ryby pośpieszyły na dno morza, płynęły z takim pośpiechem, że dotarły tam na długo przedtem, nim się ukazał kabel telegraficzny, przeraziły się także sztokfisz i flądry, które

po cichutku uwijały się w głębinach morza i pożerały swoich bliźnich.

Kilka wałków morskich tak bardzo się przestraszyło, że wypluło swoje żołądki ze strachu, ale żyły mimo to dalej, były do tego zdolne; wiele homarów i krabów wyszło ze swych kryjówek zostawiając w nich swoje nogi.

W całym tym przerażeniu i zamieszaniu tysiąc osiemset siostrzyczek rozbiegło się we wszystkie strony i nigdy się już więcej nie spotkały, a gdyby się nawet spotkały, nie poznałyby się na pewno. Tylko około dziesięciu rybek zostało w tym samym miejscu, a ponieważ przez pół godziny leżały cicho, przewycięzały pierwszy strach i zaczęły okazywać ciekawość.

Rozejrzały się dookoła; patrzyły to tu, to tam i myślały, że zobaczą w głębi morza ten przerażający stwór, który przestraszył małych i dużych. Przedmiot ten rozciągał się daleko na dnie morza, jak tylko można było okiem sięgnąć: był bardzo cienki, ale mógł przecież zgrubieć, nie wiedziały też jaką posiada siłę; leżał bardzo spokojnie, ale mógł być to tylko podstęp.

– Niech sobie leży! Nic to nas nie obchodzi – powiedziała najrozważniejsza z rybek.

Ale najmniejsza z nich nie chciała dać za wygraną, chciała się dowiedzieć, co oznacza to dziwne stworzenie: przyszło z góry, a więc na górze można o nim zasięgnąć informacji. Popłynęły w górę, aż do powierzchni wody; powietrze było spokojne, bez wiatru.

Spotkały delfina. Jest to taki skoczek, morski włóczęga, który fika na powierzchni morza koziołki i ma oczy do patrzenia, ten na pewno widział i dowiedział się o wszystkim; jego więc spytały. Ale delfin myślał tylko o swoich koziołkach, nic nie widział, nie wiedział, co ma odpowiedzieć, milczał i przybierał dumną minę.

Zwróciły się więc do foki, która właśnie zanurzyła się w wodę, ta była uprzejmniejsza, chociaż miała zwyczaj zjadania rybek, ale dzisiaj była syta. Foka musiała wiedzieć więcej od delfina.

– Spędzałam niektóre noce na mokrym kamieniu i patrzyłam na ląd, rozglądałam się na całe mile dookoła; żyją tam przewrotne istoty, które nazywają się ludźmi, prześladowają nas, ale przeważnie udaje się nam uciec od nich; mnie się to udało i udało się to również morskemu węgorzowi, o którego pytaacie. Był on w ich mocy tam na lądzie zapewne od niepamiętnych czasów; stamtąd wsadzili go na okręt, aby go zawieźć przez morze do innego, daleko leżącego kraju. Widziałam, jakie mieli trudności, ale przewycięzyli je, na lądzie stał się bezsilny. Zwijali go w kłębki i kręgi; słyszałam, jak się wił i kręcił, w końcu wydostał się od nich i uciekł. Trzymali go z całych sił, tyle rąk go trzymało. A jednak wysliznął im się i dostał się na dno: teraz leży tam sobie, myślę, że chyba na długo.

– Jest dosyć cienki – powiedziały rybki.

– Głodzili go – odrzekła foka – ale poprawi się wkrótce, odzyska swą tuszę i dawną wielkość. Przypuszczam, że to jest ten wielki morski wąż, którego ludzie tak się boją i o którym tyle mówią; dotychczas nigdy go jeszcze nie widziałam i nigdy o nim nie myślałam; a teraz myślę, że to on. – I foka zanurzyła się w wodę.

– Ileż ona wie, jak umie mówić – powiedziały małe rybki.

– My nie jesteśmy takie mądre. Ale może ona zmyśliła wszystko.

– Możemy przecież popłynąć w dół i zbadać tę sprawę – powiedziała najmniejsza rybka – po drodze usłyszymy zdanie innych.

– Nie poruszemy nawet płetwami, aby się czegoś dowiedzieć – powiedziały inne rybki i odwróciły się.

– Ale ja to zbadam – powiedziała najmniejsza rybka i zanurzyła się głęboko w wodę; było to jednak daleko od tego miejsca, gdzie leżało to długie stworzenie na dnie morza. Mała rybka szukała długo w głębi morza.

Nigdy przedtem świat nie wydawał jej się tak duży. Śledzie płynęły całymi ławicami, połyskując jak srebrna wstęga, makrele płynęły w tym samym kierunku i wyglądały jeszcze wspanialej. Przebywały tam ryby wszelkich kształtów, malowane wszelkimi barwami, meduzy jak wielkie półprzezroczyste kwiaty dawały się unosić i nieść prądowi. Z dna morskiego wyrastały wielkie rośliny, wysokie trawy i drzewa o kształcie palm, każdy liść pokryty był błyszczącymi skorupiakami.

Aż wreszcie spostrzegła rybka w dole długą, ciemną smugę i popłynęła w jej kierunku, ale nie była to ryba ani kabel; była to lina wielkiego, zatopionego okrętu, którego górny i dolny pokład zmiądzzył napór morza. Rybka wpłynęła do środka okrętu, skąd fale zabrały tyle ludzi; zginęli oni, gdy statek tonął; zostały tylko dwie istoty; młoda kobieta leżała wyciągnięta przyciskając małe dziecko do piersi. Woda podnosiła ich i jak gdyby kołysała miarowo, zdawało się, że oboje śpią. Mała rybka przestraszyła się bardzo, nie wiedziała przecież, że nie mogą się już obudzić. Wodne rośliny zwieszały się, jak liście nad liną okrętową, nad pięknymi ciałami matki i dziecka. Było tu cicho, było tu samotnie. Rybka uciekła stamtąd, jak tylko mogła najprędzej, popłynęła tam, gdzie woda była jaśniej oświetlona i gdzie można było dojrzeć inne ryby. Niedaleko spotkała młodego wieloryba, przeraźliwie wielkiego.

– Nie zjadaj mnie – prosiła mała rybka. – Jestem taka mała, że nie starczę ci nawet na jeden

kąsek, a tak mi jest dobrze żyć.

– Co tu robisz tak głęboko w morzu, gdzie nigdy nie bywają ryby twego gatunku? – spytał wieloryb.

I wtedy rybka opowiedziała mu o długim, dziwnym węgorzu czy też czymś w tym rodzaju, który dostał się do morza i przeraził nawet najodważniejsze morskie stworzenia.

– Ho, ho – powiedział wieloryb i wciągnął tak dużo wody w płuca, że gdy wypłynął na powierzchnię, zaczerpnął powietrza, wypuł całą fontannę. – Ho, ho! – powiedział – a więc to był ten przedmiot, który mnie łechtał w plecy, kiedy się przewalałem? Myślałem, że to maszt okrętowy, którego mógłbym użyć za wykałaczkę. Ale to nie było w tym miejscu. O wiele niżej leży ten przedmiot. Poszukam go jednak. Nie mam nic lepszego do roboty.

I popłynął przed siebie, a rybka za nim, ale w pewnej odległości, gdyż tam, gdzie wieloryb pruł wodę, powstawał rwący strumień.

Spotkali rekina i starą rybę pilę; oboje słyszeli o dziwnym morskim węgorzu, długim i cienkim; nigdy go nie widzieli, ale pragnęli go bardzo ujrzeć.

Nadpłynął morski kot.

– Pójdę z wami – powiedział; chciał płynąć tą samą drogą. – Jeśli wielki morski wąż nie jest grubszy od kotwicznej liny, przegryzę go za jednym zamachem. – Otworzył swą paszczę i pokazał sześć rzędów zębów. – Potrafię wygryźć znaki na kotwicy mogę więc równie dobrze przegryźć jego grzbiet.

– Oto jest – powiedział wielki wieloryb – widzę go. – Zdawało mu się, że widzi lepiej niż inni. – Patrzcie no, jak się podnosi, jak się obraca, pochyla i wije!

Ale to wcale nie był wąż, tylko olbrzymiej wielkości morski węgorz, wiele łokci długi, który zbliżył się do nich.

– Widziałam go już przedtem – powiedziała pila – nie robił wiele zamętu w morzu ani nie przestraszył żadnej wielkiej ryby.

A potem opowiedzieli mu o nowym węgorzu i spytali go, czy pójdzie razem z nimi na poszukiwanie.

– Czy ten węgorz jest dłuższy ode mnie? – spytał morski węgorz. – Jeżeli tak, to zdarzy się nieszczęście.

– To nic – powiedziały inne ryby. – Jest nas chyba dosyć, aby z nim skończyć. – I pośpieszyły dalej.

Ale wtedy natknęły się na olbrzymiego potwora, większego od nich wszystkich razem.

Wyglądał jak pływająca wyspa, która nie mogła się utrzymać na powierzchni.

Był to prastary wieloryb. Głowę miał porośniętą morskimi roślinami, na grzbiecie przyrosło mu niezmiernie dużo ostryg i muszelek, tak że jego czarna skóra cała okryła się białymi cętkami.

– Chodź z nami, stary! – zawołały ryby do niego – przybyła tu nowa ryba, której nie zniesiemy wśród nas.

– Zostanę lepiej tu, gdzie jestem – powiedział stary wieloryb – zostawcie mnie w spokoju, pozwólcie mi leżeć. Tak, tak, tak! Cierpię na ciężką chorobę. Kiedy wypływam na powierzchnię i wystawiam grzbiet ponad wodę, wtedy czuję ulgę. Wówczas przychodzą wielkie, poczciwe ptaki morskie i dziobią mnie; to mi tak dobrze robi, o ile tylko nie zagłębiają za bardzo swych dziobów. Czasami docierają aż do sadła. Spójrzcie no tylko! Mam jeszcze w grzbiecie cały szkielet ptaka; ptak zagłębił swoje szpony zbyt głęboko i nie mógł ich wyjąć, kiedy pograżyłem się w wodę. Teraz małe rybki obgryzły go. Spójrzcie no tylko, jak on wygląda i jak ja wyglądam! Jestem taki chory!

– Wmawiasz sobie – powiedział wieloryb. – Ja nigdy nie jestem chory. Wszystko, co żyje w morzu, jest zdrowe jak ryba.

– Proszę wybaczyć – powiedział stary wieloryb – węgorz cierpi na skórą chorobę, karp podobno ma ospę, a my wszyscy chorujemy na robaki w kiszkiach.

– Bzdury! – powiedział rekin, nie chciał więcej tego słuchać i inni także nie chcieli, mieli co innego do roboty.

Przybyli wreszcie na miejsce, gdzie leżał kabel telegraficzny. Legowisko jego rozciągało się daleko na dnie morskim, od Europy aż do Ameryki, poprzez ławice piasku, ił morski, skaliste dna, dzikie gąszcza roślin wodnych, poprzez całe lasy koralu; prądy tam w dole zmieniały kierunki, woda wirowała, roiło się od ryb, było ich więcej niż ptaków lecących gromadami na południe. Panował tam ruch, plusk, szum i świst. Gdy przykładamy do uszu dużą, pustą muszlę morską, słyszymy jeszcze trochę tego szumu.

Przybyli do celu.

– Tu leży to zwierzę – mówiły duże ryby, a mała powtórzyła za nimi. Patrzyły na kabel, ale nie widziały, gdzie się zaczynał ani gdzie się kończył.

Gąbki, polipy i gorgony wznosiły się z dna morskiego i zginały się, i pochylały nad kablem tak, że chwilami go całkiem zasłaniały, chwilami odsłaniały. Morskie jeże, ślimaki i robaki

poruszały się dookoła niego, olbrzymie pająki, które dźwigały na sobie całą załogę pełzających stworzeń, spacerowały dumnie wzdłuż kabla. Granatowe wałki morskie – czy też jak się zwie to robactwo, które żre całym ciałem – leżały i jak gdyby obwąchiwały nowe stworzenie, które opadło na dno morza. Flądry i sztokfisz kręciły się w wodzie, aby podsłuchiwać na wszystkie strony. Ryba-gwiazda, która się zawsze zaszywa w muł i wysuwa dwie długie macki z oczami na wierzchu, leżała i gapiała się, aby ujrzeć, co wyniknie z tego całego zamieszania.

Kabel telegraficzny leżał bez ruchu, ale tkwiło w nim życie i myśli; przechodziły przez niego ludzkie myśli.

– To podstępne stworzenie – powiedział wieloryb. – Mógłby uderzyć mnie w brzuch, a to moja najsłabsza strona.

– Pozwólcie nam to zbadać – powiedział polip. – Mam długie ramiona i giętkie palce; dotknąłem go już, a teraz schwycę go trochę mocniej.

I wyciągnął swoje giętkie, najdłuższe ramiona w stronę kabla, a potem otoczył go nimi.

– Nie ma skorupy – powiedział polip – nie ma skóry. Wydaje mi się, że nigdy nie urodzi żywych dzieci.

Morski węgorz położył się wzdłuż kabla telegraficznego i wyciągnął się, jak tylko mógł najbardziej.

– Ta rzecz jest dłuższa ode mnie – powiedział. – Ale długość nie ma żadnego znaczenia, trzeba mieć skórę, żołądek i giętkość.

Wieloryb, młody, silny wieloryb, opuścił się głęboko, głębiej niż kiedykolwiek.

– Czy jesteś zwierzęciem, czy rośliną? – spytał. – Albo może jesteś takim stworzeniem z góry, które u nas na dole żyć nie może?

Ale kabel nie odpowiadał; to nie leży w jego zwyczaju. Przechodziły przez niego myśli, ludzkie myśli; w ciągu jednej sekundy przewędrowały wiele tysięcy mil z kraju do kraju.

– Czy odpowiesz mi, czy też chcesz, abym cię przegryzł? – spytał ciekawy rekin i wszystkie inne duże ryby pytały o to samo. – Czy odpowiesz nam, czy chcesz, abyśmy cię przegryzły?

Kabel nie poruszył się, miał on swoje odrębne myśli, a może mieć swoje myśli ktoś, kto jest nimi przepelniony.

„Mogą mnie przegryźć, wtedy wezmą mnie na górę i znowu przyprowadzą do porządku, spotkało to już istoty mojego gatunku w o wiele marniejszych niż te wodach.”

I dlatego kabel nie odpowiadał, miał co innego do roboty, telegrafował, leżał na dnie morza

służbowo.

Tam na górze, na ziemi, zachodziło właśnie słońce, jak to ludzie nazywają, wyglądało jak najczerwieńszy ogień i wszystkie obłoki na niebie płonęły jak ogień, jeden wyglądał wspanialej od drugiego.

– Teraz będziemy mieli czerwone oświetlenie – powiedziały polipy – obejrzymy teraz ten przedmiot dokładniej, o ile będzie trzeba.

– Huzia, na niego! – zawołał morski kot pokazując wszystkie zęby.

– Huzia, na niego! – krzyczały piła, wieloryb i morski węgorz. Rzucili się naprzód, morski kot pierwszy. Ale w chwili gdy chciał wgryźć się w drut, piła wyciągnęła swój miecz i uderzyła nim w tułów morskiego kota. To był; wielki błąd, bo morski kot nie mógł już ugryźć kabla.

Na dnie morskim powstało zamieszanie; wielkie ryby i małe ryby, wałki i ślimaki rzuciły się na siebie, biły się, miażdżyły wzajemnie i dusiły.

Kabel leżał spokojnie i pełnił swój obowiązek, tak być powinno.

Na górze zapadła ciemna noc, ale miliardy i miliardy morskich stworzonek błyszczały w morzu. Raki, mniejsze od główek szpilki, błyszczały. To bardzo dziwne, ale tak się dzieje.

Morskie zwierzęta patrzyły na kabel telegraficzny.

– Co to za istota i czym ona nie jest?

To było pytanie.

Nagle zjawiała się stara morska krowa; ludzie nazywają ten rodzaj istot wodnikami i wodnicami. Była to samica, miała ogon i krótkie ramiona służące do pluskania; miała obwisłe piersi, a we włosach sitowie i wodorosty – czym się pyszniła.

– Kto pragnie wieści i wiedzy? – spytała. – Jestem jedyna, która może wam ją dać. Ale za to żądam dla mnie i dla moich bliskich wolnych pastwisk na dnie morza. Jestem taka sama ryba jak wy, a dzięki temu, że się wyćwiczyłam, stałam się pełzającym stworzeniem. Jestem najmądrzejsza ze wszystkich istot morskich; wiem o wszystkim, co się tu na dole dzieje, i o wszystkim, co się odbywa w górze. Ten przedmiot, nad którym sobie tak łamiecie głowy, pochodzi z góry, a wszystko, co przychodzi stamtąd, jest martwe albo staje się martwe i bezsilne; zostawcie go, niech sobie leży. To tylko ludzki wynalazek.

– Mnie się wydaje, że w tym się kryje coś więcej – powiedziała mała rybka.

– Milcz, ty makrelo! – zawołała duża morska krowa.

– Pętak! – powiedziały inne ryby, a to była jeszcze większa obraza. Morska krowa objaśniła

im, że to straszycło, które nie powiedziało ani słowa, jest jedynie wynalazkiem suchego lądu. I wygłosiła mały odczyt o przebiegłości ludzi.

– Chcą nas opanować, dlatego jedynie żyją; zastawiają pułapki, zwabiają nas pokarmem i chwytają na haczyk. Mają też coś w rodzaju wielkiego sznura, myślą, że wgrzyziemy się w ten sznur, tacy są głupi. Ale my nie jesteśmy tacy głupi. Nie ruszajcie tej lichoty, i tak się rozpadnie, przemieni się w błoto i muł. To, co przychodzi z góry, kruszy się, niszczy i nic nie jest warte.

– Nic niewarte! – powiedziały wszystkie morskie stworzenia i zgodziły się ze zdaniem morskiej krowy jedynie, aby mieć jakieś zdanie.

Rybka zachowała jednak swój pogląd.

– Ten nieskończenie długi, cienki morski wąż jest może najosobliwszą rybą w całym morzu. Takie mam przeczucie.

– Tak, najosobliwszą – powtarzamy my, ludzie, i mówimy, bo wiemy to na pewno i jesteśmy o tym przekonani.

Bo to jest ten wielki morski wąż, o którym już tak dawno mówiły pieśni i podania.

Poczęto go i urodzono, stworzyła go ludzka mądrość, położono go na dnie morza, sięga od krajów wschodnich aż do krajów zachodnich i tak samo szybko niesie wieści, jak promienie Słońca docierają do naszej ziemi. Rośnie i rośnie, staje się coraz potężniejszy i większy, rośnie z roku na rok, poprzez wszystkie morza, dookoła całej ziemi, przez burzliwe wody i przez jasne wody, tak jasne, że szyper widzi wszystko, co się dzieje na dnie, jak gdyby płynął w przezroczystym powietrzu, widzi roje ryb mieniących się jak barwny fajerwerk.

Głęboko na dnie rozciąga się wąż Migdaardu; błogosławiony gad, który opasując ziemię gryzie swój własny ogon. Ryby i płazy uderzają weń głową, nie rozumiejąc tego, co przychodzi z góry; jest to zwiastun ludzkości – wąż wiadomości dobrego i złego, przepelniony ludzkimi myślami, gadający wszystkimi językami świata, a jednocześnie milczący, najcudowniejszy z cudów morza.

Wielki wąż morski naszych czasów.

TALIZMAN

Byli sobie pewnego razu królewicz i królewna, którzy przeżywali jeszcze miodowe miesiące. Czuli się bezgranicznie szczęśliwi, niepokoiła ich tylko jedna myśl; czy zawsze będą tacy szczęśliwi jak obecnie. Dlatego pragnęli mieć talizman, który by potrafił zabezpieczyć ich przed niesnaskami w małżeństwie. Często słyszeli o człowieku, który mieszkał w lesie i był poważany przez wszystkich za swoją mądrość: potrafił dać dobrą radę w każdym nieszczęściu i w każdej biedzie. Królewicz i królewna udali się więc do niego i opowiedzieli, co im leżało na sercu. Wysłuchawszy ich, mądry człowiek powiedział:

– Podrózujcie po wszystkich krajach świata i gdy spotkacie zgodne małżeństwo, poproście, aby wam dali mały skrawek bielizny, jaką mają na sobie, i noście go zawsze przy sobie. To jest najlepszy sposób.

Królewicz z królewną wsiedli na konie i odjechali. Wkrótce posłyszeli o pewnym rycerzu, który podobno miał wieść szczęśliwy żywot ze swą małżonką. Udali się więc na zamek i zapytali ich sami, czy rzeczywiście byli tak radzi ze swego małżeństwa, jak głosiła fama.

– Tak jest – brzmiała odpowiedź. – Tylko jednego nam brak: nie mamy dzieci.

Tu więc nie można było znaleźć talizmanu i królewicz z królewną musieli pojechać dalej, aby znaleźć w pełni zadowolone małżeństwo.

Przybyli do miasta, w którym – jak słyszeli – mieszkał uczony człowiek żyjący ze swą żoną w największej harmonii i zadowoleniu. Poszli do niego i zapytali podobnie jak poprzednio, czy istotnie jest tak szczęśliwy w swym małżeństwie, jak to ludzie opowiadają.

– Tak, jestem szczęśliwy – odpowiedział mąż – moja żona i ja żyjemy z sobą doskonale, ale mamy za dużo dzieci, sprawiają nam one wiele zmartwień i kłopotów.

A więc i tu nie można było znaleźć talizmanu i królewicz z królewną pojechali dalej po kraju, wypytując się wszędzie o zadowolone małżeństwa, ale nikt się nie zgłaszał.

Pewnego dnia, gdy jechali konno przez pola i łąki – zauważyli niedaleko od drogi pastucha, który radośnie przygrywał na fujarce. W tej samej chwili podeszła do niego kobieta z dzieckiem na ręku, prowadząc małego chłopczyka. Gdy pastuch ją zobaczył, wyszedł jej naprzeciw, przywitał się z nią serdecznie i wziął od matki małe dziecko, całował je i pieścił. Pies pastucha

podszedł do chłopca, lizał jego małą rączkę, szczekał i skakał z radości. Tymczasem kobieta postawiła garnczek, który przyniosła, i powiedziała:

– Siadaj, stary, i jedz.

Mąż usiadł i zabrał się do jedzenia, ale pierwszy kęs dał małemu dziecku, drugi podzielił między chłopca i psa. Królewicz i królowa widzieli i słyszeli to wszystko. Podeszli teraz bliżej i przemówili do nich:

– Wy jesteście chyba szczęśliwym i zadowolonym małżeństwem?

– Jesteśmy istotnie szczęśliwym małżeństwem – odpowiedział mąż. – Dzięki Bogu! Żaden królewicz i królowa nie mogliby być szczęśliwsi od nas.

– W takim razie, posłuchajcie – powiedział królewicz – zróbcie nam przysługę, której nie pożałujecie. Dajcie nam mały skrawek koszuli, którą macie na sobie.

Na te słowa pasterz i jego żona spojrzeli dziwnie po sobie; wreszcie mężczyzna powiedział:

– Bóg świadkiem, że z przyjemnością dalibyśmy wam nie tylko skrawek, ale nawet całą koszulę, gdybyśmy ją mieli, ale nie posiadamy na sobie ani jednej nitki.

I tak nic nie załatwiwszy królewicz z królową musieli pojechać dalej. Znudziła im się wreszcie ta długa, bezcelowa włóczęga i wracali do domu. Kiedy przejeżdżali koło chatki mądrego człowieka, czynili mu wymówki, że dał im taką złą radę. Opowiedzieli mu wszystkie swoje przygody w podróży.

Wtedy ten mądry człowiek uśmiechnął się i powiedział:

– Czy rzeczywiście jechaliście na próżno? Czy nie przyjeżdżacie do domu bogatsi w doświadczenie?

– Owszem – odpowiedział królewicz – przekonałem się, że zadowolenie jest rzadkim dobrem na tej ziemi.

– A ja się nauczyłam – powiedziała królowa – że po to, by być zadowolonym, nie trzeba nic – tylko właśnie być zadowolonym.

Wtedy królewicz podał królowie rękę, spojrzeli na siebie z niewymowną miłością, a mądry człowiek pobłogosławił ich i rzekł:

– Znaleźliście prawdziwy talizman w waszym sercu. Strzeżcie go wiecznie, a nigdy duch niezadowolenia nie będzie miał nad wami władzy.

O TOBIE MÓWI BAJKA

Mędrcy starożytni chytrze obmyślili, w jaki sposób można by ludziom mówić prawdę prosto w oczy nie robiąc tego w sposób grubiański. Pokazywali im dziwne lustro, w którym ukazywały się różnego rodzaju zwierzęta i dziwaczne przedmioty. Był to widok zarówno ciekawy, jak budujący. Nazwali to „bajką”. I zależnie od tego, czy zwierzęta zachowywały się głupio, czy też mądrze, ludzie musieli patrząc na nie myśleć przy tym: „To o tobie mówi bajka.” W ten sposób nikt się nie mógł obrazić. Weźmy więc taki przykład:

Były dwie wysokie góry, a na samym szczycie każdej z nich stał zamek. W dolinie biegł pies obwąchując ziemię, tak jakby szukał myszy lub przepiórek; chciał zaspokoić głód. Nagle z jednego zamku zatrąbiono obwieszczając, że czas zasiąść do stołu. Pies pobiegł natychmiast na górę, aby przy tej okazji się najeść, lecz gdy był już w połowie drogi, przestano trąbić, a z drugiego zamku rozległ się głos trąbki. Wtedy pies pomyślał:

„Zanim przybiegnę, skończą już jeść, a tam się dopiero teraz zaczyna.” Zbiegł więc na dół i zaczął się wspinać na drugą górę. Wtedy jednak druga trąbka przestała trąbić, a odezwała się ta pierwsza. Pies znów pobiegł w dół, a potem pod górę i tak biegał tam i z powrotem, aż wreszcie ucichły obie trąbki i zakończono posiłek w obu miejscach.

Teraz zgadnij – co starożytni mędrcy mieli na myśli układając tę bajkę i kto jest tym głupcem, który biega aż do zmęczenia, ani tu, ani tam nic nie uzyskawszy.

SPIS TREŚCI

KRZESIWO

KSIĘŻNICZKA NA ZIARNKU GROCHU

CALINECZKA

TOWARZYSZ PODRÓŻY

MAŁA SYRENA

NOWE SZATY CESARZA

KALOSZE SZCZĘŚCIA

STOKROTKA

DZIELNY OŁOWIANY ŻONIERZ

DZIKIE ŁABĘDZIE

LATAJĄCY KUFER

ŚWINIOPAS

SŁOWIK

BRZYDKIE KACZAŃKO

CHOINKA

KRÓLOWA ŚNIEGU

CZERWONE TRZEWICZKI

PASTERKA I KOMINIARCZYK DZIEWCZYŃKA Z ZAPAŁKAMI

CIEŃ

SZCZĘŚLIWA RODZINA

OPOWIADANIE O MATCE

LEN

PEWNA WIADOMOŚĆ

KRASNOLUDEK U KUPCA

POD WIERZBĄ

PIĘĆ ZIARNEK GROCHU

NIEGODNA KOBIETA

OSTATNIA PERŁA

IB I KRYSZYŃKA

GŁUPI JASIO
SZYJKA OD BUTELKI
ZUPA Z KOŁKA OD KIEŁBASY
COŚ
SZYBKOBIEGACZE
DZIEWCZYNA, KTÓRA PODEPTAŁA CHLEB
DZIECIĘCA PAPLANINA
KOGUT PODWÓRKOWY I KOGUCIK NA DACHU
OPOWIADANIE Z DIUN
BAŁWAN ZE ŚNIEGU
DZIEWICA LODÓW
IMBRYK
SYN DOZORCY
PIERWIOSNEK
KTO BYŁ NAJSZCZĘŚLIWSZY
CO SIĘ ZDARZYŁO OSTOWI
HISTORIA NAJMNIEJ PRAWDOPODOBNA
WIELKI WĄŻ MORSKI
TALIZMAN
O TOBIE MÓWI BAJKA